

GORDON R. DICKSON

SMOK
JEKATY
KRÓI



Gordon R. Dickson
Smok i Sekaty Krol

Rozdział 1

–Schylić głowy! – krzyknął Jim. – Następny, który spojrzy na strzały, zostanie odesłany z murów! Podać dalej.

Widział głowy obracające się na galerijce biegnącej po wewnętrznej stronie blanków, gdy przekazywano sobie jego rozkaz. Groźba odesłania z murów była chyba najskuteczniejszym sposobem nakłonienia ich do posłuszeństwa.

Na tym odcinku muru, za którym sam się schował, zobaczył szybko pochylające się głowy. W następnej chwili posypał się na nich grad ostrych strzał o szerokich grotach. Większość pocisków spadła na kamienne ambrazury, galerijkę lub dziedziniec zamku, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Tylko jeden mężczyzna siedzący w kucki teraz runął na wznak trafiony spadającą ze znacznej wysokości strzałą która przebiła mu ramię.

–Hej, ty tam! – zawołał Jim. – Zejdź do piekarni, niech wyjmą ci strzałę. Nie próbuj sam tego robić. Może ktoś... Mały Nedzie – to znaczy Nedzie Piekarczyku – pomóż mu zejść po schodach! Oddajcie jego hełm i włócznię temu, kto zajmie jego miejsce!

–Tak, milordzie! – usłyszał głos Neda Piekarczyka, nieco zbyt pulchnego starszego brata Małego Neda, również służącego na zamku. Wywołany, kuląc się, przebiegł po galerijce, spiesząc wykonać rozkaz co też było ze wszech miar właściwe, skoro wydał go sam baron, sir James Eckert, pan nie tylko zamku Malencontri, ale również rozległych okolicznych ziem hrabstwa Somerset (aczkolwiek w osiemdziesięciu procentach porośniętych lasami).

Na szczęście ranny był dzierżawca, a niejeden z nielicznej gromadki zbrojnych czy zamkowych sług. Z pewnością nie dlatego trafiła go strzała, że na nią patrzył. Po prostu miał pecha. Jednak wszyscy na murach uznają to za karę za nieposłuszeństwo i pochylały głowy, tak jak kazał im Jim oraz doświadczeni zbrojni.

Trzeba przyznać, że pokusa była naprawdę duża. Jim rozumiał tych, którzy podnosili głowy. Ten widok był wprost hipnotyzujący. Sam z trudem powstrzymywał chęć podziwiania go.

Z daleka chmura strzał wyglądała jak mnóstwo czarnych zapaleczek unoszących się w niebo, aby nagle obrócić się w dół i z niewiarygodną szybkością pomknąć z powrotem ku ziemi. Jeśli będziesz patrzył, jak się wznoszą, możesz oberwać w twarz lub gardło, kiedy strzały zaczną opadać. Jeżeli będziesz miał pochyloną głowę, to metrowe drzewce z trzycentymetrowym bojowym grotem też może cię trafić, ale ześlizgnie się po hełmie lub uwięźnie w ramieniu. Nawet w tym drugim wypadku masz szansę przeżyć.

Problem Jima nie polegał jedynie na tym, aby zmusić sługi i dzierżawców do schylenia głów. Siły atakujące Malencontri mogły stać się naprawdę groźne tylko wtedy, jeśli pozwoli im się rozzuchwalić. Na przykład jeśli zauważą, że widoczne nad murami włócznie i hełmy noszą zwyczajni wieśniacy, a nie doświadczeni woje.

W przeciwieństwie do sir Petera Carleya, który w trakcie łupieskiej wyprawy zaatakował zamek zeszłej zimy, ci napastnicy na pewno wiedzieli, że jest to siedziba czarodzieja. Kiedy spotka się paru przedstawicieli niższych klas, zaraz wiedzą wszystko o wszystkich – a tych stu pięćdziesięciu ludzi pod murami zamku to wieśniacy, zapewne reszta jakiegoś dużego chłopskiego marszu.

Z historii, której się uczył, zanim przybył tu z dwudziestego wieku, Jim pamiętał, że w czternastym stuleciu miało miejsce sporo takich buntów chłopskich. Najsłynniejszym był bunt Wata Tylera, który skończył się po tym, jak podczas potyczki pod murami miasta jego przywódca został zrzucony z konia przez burmistrza Londynu, sir Williama Walwortha, a następnie stracony. Po każdym buncie wielu pozostałych przy życiu wieśniaków nie mogło wrócić do domów. Niektórzy zbierali się w zbrojne kupy i krążyli po kraju, żyjąc z grabieży. Byli to ci, którzy nie mieli do czego wracać – albo wygnano ich z dzierżawionej ziemi, albo byli zbiegłymi sługami, albo wiedzieli, że pan nie przyjmie ich z powrotem. Niektórzy już wcześniej byli rabusiami lub banitami. Teraz – bezdomni, ścigani i zdesperowani – nie przywiązywali większej wagi do swojego życia i dlatego ośmielili się zaatakować zamek znanego maga, wierząc jak wszyscy wieśniacy że czarodzieje i smoki posiadają niewyobrażalne skarby.

Taka tłuszcza banitów i innych wyrzutków społeczeństwa raczej nie miała szans zdobyć Malencontri. Staliby się poważnym zagrożeniem dopiero wtedy, kiedy dostrzegliby jakąś lukę w obronie. Chyba że gorycz i zapiekła nienawiść tych bezdomnych nieszczęśników doprowadziła ich do stanu, w jakim gotowi byli piąć się na mury tylko dlatego, że za nimi mieszkali tacy sami ludzie jak ci, którzy odpowiadali za ich nędzę, poniewierkę, a nawet utratę bliskich. Dla takich śmierć nie była ważna, jeśli tylko mogli zabrać ze sobą do piekła jakiegoś grubego lorda.

Wprawdzie nie mieli machin oblężniczych, lecz na pewno wielu z nich było dawnymi rzemieślnikami umiejącymi wykonać drabiny, za pomocą których mogliby rzucić do ataku więcej ludzi, niż miał ich Jim dysponujący zaledwie tuzinem zbrojnych i około czterdziestoma niewyszkolonymi sługami. Również z tego powodu powinni trzymać głowy pochylone, tak aby nad kamiennymi blankami były widoczne tylko groty włóczni i stalowe hełmy. Chociaż trzeba przyznać, że niektórzy z nich, mimo iż jeszcze nigdy nie brali udziału w walce, po otrzymaniu włóczni i hełmów zapalali prawdziwym bitewnym entuzjazmem.

–Milordzie?

Jim wstał, odszedł od krenelażu i odwrócił się.

–Och, to ty, John – powiedział, z niemiłym zaskoczeniem spoglądając na wysokiego krępego mężczyznę w średnim wieku, który był jego majordomusem i zarządzał całą służbą. Obowiązki nie wymagały obecności Johna na

murach, ale w zamku, gdzie powinien na wszystko mieć baczenie. Jim zaniepokoił się. – Co tu robisz?

–Milordzie – powiedział Jon głębokim, złowieszczym głosem. – Kołatania!

–Ach, to! – mruknął Jim.

Te tajemnicze odgłosy rozlegały się na zamku już wtedy, gdy pierwsi wieśniacy zaczęli osiedlać się w tym zakątku Somersetu. Sam tak je nazwał, nie doceniając przesądnej natury pracujących dla niego ludzi, czego później szczerze żałował. Nazwę zaczerpnął ze starej szkockiej modlitwy, którą znalazł, pisząc artykuł naukowy w odległej o setki lat przyszłości:

Od ghuli, duchów i długonogich bestii, I od stworów, co kołaczą po nocy, Zachowaj nas Panie!

To słowo aż nazbyt dobrze oddawało charakter tych dźwięków i mieszkańcy zamku natychmiast je podchwycili. Oczywiście pan i rycerz będący zarazem magiem znał bezpieczną nazwę tych odgłosów, które najczęściej nazywano nawoływaniem. Ludzie woleli używać takiego ogólnikowego określenia, aby nie przywołać tego, co powoduje te dźwięki.

Szeroka gładko wygolona twarz Johna trochę przybladła. Jego zdaniem właśnie przyniósł okropne wieści, które powinny zaalarmować słuchacza.

W przeciwieństwie do Jima i Angie (czyli lady Angeli) zarówno jego, jak i resztę zamkowych sług przerażały te tajemnicze odgłosy w ścianach. Mieszkańcy zamku prześcigali się w roztaczaniu okropnych wizji tego, co je powodowało, a większość z nich była przekonana, że to przybywa coś, by ich pożreć, jednego po drugim. Teraz John przyszedł tu z okropną wieścią która jego zdaniem zasługiwała na jakąś reakcję nawet podczas oblężenia. Jego mina wyraźnie zdradzała, że jest bezradny i zrozpaczony, a Jim nie mógł pozwolić na to, aby jego najważniejszy sługa podupadł na duchu. Wszyscy zobaczyliby to i wpadliby w panikę.

–John, nie ma powodu do zmartwień. Zajmiemy się tymi kołataniem, a do tego czasu nikomu nie zrobią krzywdy.

Wciąż powtarzał to służbie, ale te zapewnienia niewiele pomagały. Powinien działać jak panowie, rycerze, magowie i inni dzielni ludzie, a nie gadać. Gadali tylko ci, którzy nie potrafili działać.

–Kto słyszał je tym razem? – zapytał.

–Meg i Beth – odparł słabym głosem John. – Przed chwilą. Były w warzelni i usłyszały to w ścianie tuż obok. Inni, którzy byli w pobliżu, również to słyszeli. Obie zasłabły i zemdlały. Przeniesiono je do gotowni, a tam powachlowano i dano coś do picia.

Jim zastanawiał się przez chwilę.

Mury Malencontri jak większości dużych kamiennych zamków miały grubość od jednego do sześciu metrów, najszerze były u podstawy, aby udźwignąć swój ciężar, a warzelnia znajdowała się na parterze. Tam ściana była dostatecznie gruba, aby można było wydrążyć w niej tunel. Oczywiście, jeśli potrafiło się robić to bezgłośnie, nie licząc sporadycznego kołatania.

–Na razie zostawmy to – rzekł Jim ze znużeniem. – Na razie kołatki nie wychodzą ze ścian. I nie wyjdą a gdy tylko znajdę czas, zajmę się nimi. Daję ci słowo honoru maga.

Twarz Johna rozjaśnił niepewny uśmiech i równie słaby błysk nadziei. Na słowie rycerza można polegać, a słowo czarodzieja musi być warte dwukrotnie więcej.

–Tak, milordzie.

John odwrócił się i ruszył ku najbliższym schodom wiodącym na dziedziniec.

–Och, możesz też powiedzieć Beth i Meg, że przykro mi, iż znalazły się w pobliżu kołatków, ale teraz możemy być pewni, że już nikt nie usłyszy ich w warzelni, ponieważ te dźwięki nigdy nie powtarzają się w tym samym miejscu.

–Tak, milordzie – poddał się John.

Kiedy w pobliżu nie było nikogo obcego, mieszkańcy Malencontri mieli zwyczaj i przywilej połykać głoski formalnego tytułu Jima. Tylko w obecności szlachetnie urodzonych gości – a także w chwilach wzburzenia – zwracali się do niego tak, jak zrobił to teraz John. Jim bacznie spojrzał na majordomusa. Twarz Johna odzyskała normalny kolor, a głos brzmiał prawie spokojnie.

Majordomus odwrócił się i odszedł, a Jim natychmiast zapomniał o zajściu, mając na głowie ważniejsze sprawy. Zamieszanie spowodowane dziwnymi odgłosami podsunęło mu pomysł, jak rozprawić się z oblegającymi. Jeśli byli równie przesądni jak jego słudzy, to z pewnością nadal uważali maga za przerażającego przeciwnika. Wielu z nich być może nie przejmowało się tym, co się z nimi stanie, lecz strach przed nadprzyrodzonym, zaszczerpiony im w kołysce, mógł wziąć górę nawet nad desperacją i nienawiścią. Na przykład gdyby z okolicznych lasów zaczęły dobiegać dźwięki podobne do tego kołatania...

–Theolufie! – zawołał.

–Tak, milordzie? – natychmiast usłyszał za plecami głos giermka. Nie wiadomo dlaczego, tego dnia wszyscy wyrastali mu za plecami.

–Przejmij dowodzenie. Ja muszę odejść. Przez cały czas miej przy sobie gońca i w razie potrzeby pchnij go z wiadomością do lady Angeli.

–Tak, milordzie.

–Zamierzam wylecieć z zamku. – Wymawiając z naciskiem słowo „wylecieć”, Jim dał mu do zrozumienia, że zamierza zmienić postać.

Malencontri jak wszystkie zamki otaczał szeroki krąg ziemi, na której wycięto wszystkie drzewa i krzaki, żeby atakujący musieli wyjść na otwartą przestrzeń.

–Obserwuj i mów mi, co robią ci pod murami. Gdyby zaczęli uciekać do lasu, sprawiając wrażenie, że rejterują, bądź gotowy powiedzieć mi, ilu ich zbiegło i dokąd. Teraz odsuń się.

Theoluf i najbliżej stojący słudzy cofnęli się, robiąc miejsce dla znacznie większego ciała, i Jim natychmiast przybrał postać bardzo dużego i groźnie wyglądającego smoka. Zanurkował z murów ku stojącym na dole ludziom.

Desperacja i nienawiść być może uodporniła ich na paraliżujący strach przed wpojona im od dziecka obawą przed nadprzyrodzonym i magią, ale wcale nie pozbawiła ich instynktu samozachowawczego. Czmychnęli przed pozorowanym atakiem jak kury z podwórka przed spadającym jastrzębiem.

Jim oczywiście nie zamierzał atakować żadnego z nich. Próba podjęcia walki z tak licznym przeciwnikiem oznaczałaby pewną śmierć nawet dla najsilniejszego ze smoków. Tak więc poderwał się w ostatniej chwili, robiąc wiele hałasu, gdy jego skrzydła wydęły się jak spadochron, a potem błyskawicznie śmignął w górę.

W mgnieniu oka prawie pionowo wzbił się w niebo jak myśliwiec z jego rzeczywistości, tylko ograniczony energią zmagazynowaną w mięśniach. Był niczym śpiewak operowy, który zdumiewająco długo potrafi utrzymać najwyższą nutę, lecz nie może przekroczyć granic swoich fizycznych możliwości. Wzbił się tak wysoko, że stał się zaledwie małą plamką na niebie. Zdyszany, rozpostarł potężne skrzydła, złapał w nie pierwszy napotkany prąd powietrzny i zaczął spokojnie krążyć w powietrzu lekko jak szybowiec.

Leciał na zachód, w kierunku zamku Smythe, siedziby jego najlepszego przyjaciela, sir Briana Neville’a-Smythe’a, który w tych krwawych czternastowiecznych czasach kilkakrotnie ratował mu życie. Jim ostatnio martwił się o niego, ponieważ Brian za często mówił o rosnących podatkach. Z pewnością nie był osamotniony w swoich odczuciach, ale podczas gdy tacy ludzie jak earl Oksfordu byli dość potężni, aby bezkarnie roztrząsać tę kwestię publicznie, Brian i ci, z którymi ją omawiał – nie.

Jim odpędził tę myśl. Teraz miał inne zmartwienia.

Spojrzał w dół i zobaczył, że chociaż nie zdołał przepłoszyć napastników, cofnęli się spod murów i zebrali w gromadę, najwyraźniej spierając się o coś. Od czasu do czasu dostrzegał ich uniesione twarze, jak talerze schnące w jasnym słońcu. Dobrze. Zobaczą, jak odlatuje na zachód, i zaczną się zastanawiać. Dokąd się udał i dlaczego? Co może na nich sprowadzić?

Właściwie nie podążał dokładnie na zachód, ale zaczął zataczać szeroki krąg w odległości prawie dwóch kilometrów od Malencontri. Smoki, podobnie jak większość drapieżnych ptaków, miały doskonały wzrok. Sam będąc niewidoczny, mógł przez cały czas mieć oblegających na oku, i zastanowić się nad sposobem wyjścia z opresji.

Szkoda że nie przychodzi mu do głowy żaden pomysł, jak wywołać te straszliwe odgłosy w miejscu, gdzie stoją wieśniacy. To przepłoszyłoby co najmniej połowę z nich...

–Milordzie! – usłyszał z oddali głos, brutalnie wrywający go z zadumy. – Milordzie! Och, milordzie!

Jim zgrzytnął zębami, nie patrząc w kierunku wołającego. Głos był zbyt głęboki – jakby dobry bas usiłował śpiewać barytonem – i rozlegał się o wiele za wysoko nad ziemią, aby mógł należeć do innego niż to jedyne stworzenie, które mogło przeszkadzać mu w powietrzu, a o którym zupełnie zapomniał.

–Milordzie, milordzie!

Tym razem głos wzniósł się jeszcze o pół oktawy, do przeraźliwego wrzasku.

Jim westchnął i obejrzał się. No oczywiście, niecałe sto metrów dalej, unosząc się w strumieniu powietrza łączącym się z jego prądem, leciał inny smok. Młody i niedorośli. Niewątpliwie przedstawiciel młodego pokolenia smoków z Cliffside, z wyobraźnią nadmiernie pobudzoną ubarwionymi opowieściami o przygodach Jima. Ubarwiaczem był Secoh, egzaltowany karłowaty smok, który towarzyszył Jimowi, Brianowi, Dafyddowi ap Hywelowi, Aarghowi i Smrgolowi – prawujowi Gorbasha, którego ciało przyjął Jim – kiedy razem zwyciężyli w słynnej bitwie z Ciemnymi Mocami przy wieży Loathly.

Może ten młody smok z Cliffside przybywał w roli posłańca?

Jeśli nie, to był niezwykle odważnym młodym smokiem, skoro śmiał z własnej inicjatywy zbliżyć się do Jima. Przybysz był prawie dwukrotnie mniejszy od dorosłego osobnika, prawdopodobnie miał zaledwie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat i jeszcze nie przeszedł mutacji – w przeciwnym razie Jim usłyszałby go ze znacznie większej odległości.

–To ja, Garnacka, milordzie! – powiedział młody smok.

Już przeniósł się na ten sam prąd powietrzny i lekko uderzając skrzydłami, podlotał bliżej na odległość nie większą niż piętnaście metrów. Przez kilka minut w milczeniu szybował obok Jima, najwyraźniej uważając, że jego imię powinno całkowicie wyjaśnić powód jego obecności. Kiedy Jim nie odzywał się, Garnacka pokornie wyznał:

–Właściwie jestem Garnacka, ponieważ tak nazwano mnie po dziadku, ale wszyscy wołają na mnie Acka.

–Czego chcesz, Acka? – zapytał Jim.

–No cóż, milordzie – rzekł Acka i znów zamilkł.

Zrobił przymilną minę jak młody smok zamierzający poprosić rodziców o coś, co niemal na pewno zostanie przyjęte grzmiącym „Nie ma mowy!”

Mimika smoków zdecydowanie różni się od ludzkiej. Cztery wystające kły Acki były mocno przyciśnięte do zamkniętego krokodylego pyska, w ślepiach miał błysk podniecenia i lekko poruszał końcami nastawionych uszu.

–Błagam o wybaczenie, że ci przeszkodziłem, milordzie. Taki sposób mówienia był czymś niespotykanym u smoków.

Acka musiał nauczyć się go od Secoha, który z kolei podczas wizyt u Jima przejął go od służby w Malencontri.

–W porządku – powiedział Jim jak najuprzejmiej, ale bardzo stanowczo. – Czego chcesz?

–Chciałem tylko powiedzieć waszej lordowskiej mości – odparł Acka – że milord w każdej chwili może mnie wezwać. Ani Secoh, ani żaden inny smok nie muszą mnie szukać. Wystarczy zawołać albo przesłać mi wiadomość, a zaraz przylecę, szybciej niż ktokolwiek inny!

–Dobrze – rzekł Jim. – Tak też zrobię. Dziękuję ci, Acka. Do widzenia.

–Bez względu na okoliczności – powiedział z naciskiem Acka. – Obojętne, jak byłoby to niebezpieczne, można na mnie liczyć.

A gdyby milord mógł przenieść mnie w magiczny sposób, to czemu nie? Zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu.

–Pomyślę o tym – obiecał Jim. – A teraz żegnaj, Acka!

–Żegnaj, milordzie – rzekł Acka, z żalem odlatując. – To zaszczyt móc cię spotkać...

Jim odprowadził go wzrokiem. Acka opadł na niżej przepływający prąd powietrzny, ale również lecący na zachód. Cliffsides Eyrie, dom Acki, znajdował się w przeciwnym kierunku. W biały dzień, kiedy większość dorosłych osobników szukała chłodu w swych tunelach i jaskiniach, młody smok przeleciał aż za Malencontri.

Zapewne chciał pokazać, jaki jest nieustraszony. No nic, Jim już oddalał się od Acki, a poza tym i tak nie miał nad nim żadnej władzy. Kiedy Jim zniknie mu z oczu, młody szybko znudzi się tą zabawą i wróci do domu.

Teraz trzeba wracać do oblegających. Przyszło mu do głowy, że mógłby wykorzystać Ackę, aby sprawić wrażenie, że zamierza wezwać na pomoc inne smoki. Nie – zapomniał o łucznicach. Podczas jego błyskawicznego przelotu byli zbyt zaskoczeni, aby do niego strzelać, ale to się już nie powtórzy.

Martwy, naszpikowany strzałami Acka, wyglądający jak poduszeczka do igieł... Jim wolałby nie tłumaczyć się z tego przed jego rodziną w Cliffsides.

Nagle zauważył, że mała plamka, w jaką zmienił się Acka, znów rośnie. Z jakiegoś powodu smok wracał. Dziesięć do jednego, że znalazł jakiś pretekst, aby przedłużyć rozmowę. Trzeba temu zapobiec, póki czas.

Jim nabrał tchu w pojemne smocze płuca. Acka wciąż był za daleko, aby Jim mógł usłyszeć jego słaby głos, ale wyostrzony słuch młodego smoka z pewnością wychwyci donośny ryk dojrzałego osobnika. W ten sposób Jim na szczęście zdoła odesłać go do domu, nie musząc wysłuchiwać jego wykrętów.

–Acka! – ryknął. – Wracaj do domu!

Plamka, która już powiększyła się i przybrała kształt lecącego smoka, zatrzymała się. Smok niepewnie bił skrzydłami powietrze, a potem odkrzyknął coś, co zgodnie z przewidywaniami było zupełnie niezrozumiałe.

–Wracaj do domu! – powtórzył Jim. Jednak Acka wciąż się zbliżał. – Milordzie! Milordzie! – wołał.

–Co jest? – spytał gniewnie Jim.

–Mnóstwo Jerzych zbliża się traktem od zamku Smythe do Malencontri! – odkrzyknął stosunkowo cienkim głosem Acka. – Mnóstwo Jerzych, milordzie!

Wiadomość była wprost niewiarygodna. Oczywiście Jerzymi smoki nazywały ludzi, ale sir Brian Neville-Smythe nigdy nie wydawał przyjęć w swojej nieco podupadłej siedzibie, więc nie... Nagle Jim przypomniał sobie o ostatnio rozbudzonym zainteresowaniu Briana polityką i przeszedł go zimny dreszcz.

–I wszyscy są na koniach! – ponownie usłyszał głos Acki.

–Na koniach?

Zrobiło mu się jeszcze zimniej. Oprócz gońców i posłańców tylko szlachetnie urodzeni, rycerze lub ludzie wysokiego rodu jeździli konno.

–Ja się tym zajmę! – zawołał Jim do Acki. – Teraz wracaj do domu. Do domu!

Acka przestał krzyczeć, wahał się przez sekundę czy dwie, a potem znów zaczął maleć – tym razem lecąc na wschód, w kierunku jaskiń Cliffsides. Jim skręcił z wiatrem na północny zachód. Mniej więcej w tym kierunku powinien lecieć, aby przeciąć leśny trakt, który czasami – mocno na wyrost – nazywano drogą, łączącą Malencontri z zamkiem Smythe.

Szybował, spoglądając na wierzchołki drzew i wypatrując jakiegokolwiek luki, przez którą mógłby dostrzec choć kawałek gościńca. Minęła dobra chwila, ale nie znalazł. Zdumiony w końcu skręcił i poleciał z powrotem. Wydawało się niemożliwe, aby mógł przeoczyć drogę... chociaż właściwie wcale nie było to takie nieprawdopodobne. Był środek lata. Szlak był bardzo wąski, a korony drzew całkiem go skrywały, jeśli nie patrzyło się z góry pod odpowiednim kątem. Acka miał szczęście, że udało mu się go zauważyć.

Jim trochę się uspokoił. Zapewne, pomyślał, Acka swym orlim wzrokiem dostrzegł karawanę kupców na

osiólkach. Na pewno przesadzał. W każdym razie, cokolwiek zauważył ten młody smok, z pewnością musiało to być gdzieś blisko.

Jim przeleciał z powrotem wzdłuż przypuszczalnej linii drogi, która biegła w kierunku Malencontri. Dobrze znał ten trakt, gdyż wielokrotnie przemierzał go pieszo albo na końskim grzbiecie. Nie licząc paru zakrętów, omijających niezwykle wielkie drzewa lub kępy szczególnie gęstych krzaków, trakt prostą linią łączył zamek Smythe z Malencontri.

W końcu dostrzegł go – zaledwie fragment cienkiej zielonkawo-brązowej nitki między drzewami, wystarczająco rzadko uczęszczany aby częściowo porosła ją trawa. Nie było na nim nikogo. Zmierzający do Malencontri z pewnością znajdowali się gdzieś dalej. Jim ponownie zawrócił i poszybował naprzód, niesiony łagodnym wietrzykiem zaledwie trzydzieści metrów nad czubkami drzew. Lecąc tak nisko, wyraźnie widział szlak i w końcu zauważył przed sobą jakiś ruch.

Zwolnił i obrócił skrzydła, zataczając ciasny krąg nad drzewami, czekając na nadjeżdżających. Powinni się pojawić w ciągu kilku minut, a nawet sekund, jeśli byli konno.

Zaledwie to pomyślał, a już tam byli. Długi rząd jeźdźców i najwyraźniej jakiś rycerz na ich czele. Bardzo długa kolumna jeźdźców, a wszyscy z identycznym herbem na czerwonych płaszczach i zbrojach... Jim wyężył smoczy wzrok dorównujący sokolemu. Ten odcień czerwieni to królewskie barwy, a herb na piersiach zbrojnych przedstawiał łeb lwa, a właściwie lamparta. To byli zbrojni króla Anglii. Długi podwójny rząd konnych niknął wśród drzew. Acka wcale nie przesadzał.

Istotnie był to niezwykle widok na tym leśnym trakcie wiodącym do zamku Smythe. Musiało tam być co najmniej trzydziestu jeźdźców – bardzo dużo jak na cichy i spokojny letni dzień w hrabstwie Somerset, a sownie opłacanych królewskich zbrojnych z pewnością nie wysłano tutaj, aby rozpędzili zbuntowanych wieśniaków... Jadący na przedzie mężczyzna z własnym herbem na tarczy to na pewno ich dowódca.

Jimowi przyszło do głowy, że może to być sir John Chandos, który odwiedził go już kiedyś, chociaż nie z tak liczną świtą. Patrząc pod tym kątem, nie mógł rozpoznać herbu na tarczy rycerza. Obrócił się w powietrzu i podleciał do przodu, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Nagle zobaczył go wyraźnie. Ukazywał dwa ogary atakujące odyńca.

Nie był to Chandos, lecz jakiś inny przedstawiciel króla i to na czele silnego oddziału. Jeśli on i jego ludzie przybywali z zamku Smythe, z którego Jim nie otrzymał żadnego sygnału o takim wydarzeniu, można było spodziewać się wszystkiego. Żle wróżyło to najlepszemu przyjacielowi, jakiego on i Angie mieli na tym świecie – sir Brianowi Neville'owi-Smythe'owi.

Jim spiralą wzbil się nad drzewa, nie używając skrzydeł, lecz wykorzystując wznoszący prąd powietrza, ponieważ nie chciał być usłyszany. Wzniósł się jak najwyżej, a potem pomknął co sił z powrotem do Malencontri.

Rozdział 2

Lady Angela Eckert, ongiś absolwentka dwudziestowiecznego uniwersytetu, a obecnie żona Jima, barona Malencontri, nosząca tytuł kasztelanki, przez większość poranka krążyła po zamku i dziedzińcu, jak każda dobra gospodyni machinalnie rozwiązując napotkane problemy. Tu naprawiła czyjś błąd, tam skarciła dziewczkę, która się leniła, a jeszcze gdzie indziej rozstrzygnęła spór między dwoma sługami.

Kiedyś śniła jej się, że pracowała bez końca, obracając wielką korbą, której wał wchodził w otwór zamkowego muru. Otaczali ją mieszkańcy zamku i dopóki kręciła korbą, wszyscy wykonywali swoje obowiązki. Jeśli choć na chwilę przestała, żeby złapać tchu, natychmiast też stawali nieruchomo jak manekiny, dopóki znów nie zaczęła obracać korbą.

Ta wizja wszystkiego i wszystkich pogrążonych w bezruchu wróciła do niej kilka minut wcześniej, kiedy wychodząc z wielkiej sali, mijała gotownię i usłyszała dochodzące stamtąd podniesione głosy. Zanotowała w myślach, aby to sprawdzić, ale nie w tej chwili.

Nie wolno dopuścić, aby taki drobiazg jak atak bandy obwiesiów zakłócił normalny tryb życia w zamku. Świst skrzydeł nurkującego na tych wieśniaków Jima przyciągnął ją do jednego z okien. Rozpoznała go w smoczej postaci i z ulgą stwierdziła, że rozsądnie odleciał, zanim napastnicy otrząsnęli się z zaskoczenia.

Została przy oknie i po paru minutach dostrzegła w górze innego smoka. Oblegający, już lekko zbici z tropu, również go dostrzegli. Po chwili przybysz zawrócił i poleciał w inną stronę. Był zdecydowanie młodszy i mniejszy od pierwszego, ale najwyraźniej obecność więcej niż jednego takiego stworzenia nad głowami poważnie zaniepokoiła byłych wieśniaków. Potem kilku z nich nadbiegło drogą wiodącą do zamku Smythe, oglądając się za siebie i wymachując rękami. Natychmiast łucznicy i niektórzy – zapewne najbardziej doświadczeni – członkowie bandy z niechęcią zarzucili łuki na ramię i truchtem pobiegli na południe. Pozostali pospieszili za nimi i było po wszystkim. Obeszło się bez trupów, które trzeba by uprzątnąć.

Napastnicy prawdopodobnie nie stanowili już zagrożenia, ale Angela powinna ostrzec przyjaciół.

I tak zamierzała spotkać się z Geronde. Lady Geronde Isabel de Chaney – kasztelanka i faktyczna, choć nieformalna władczyni zamku Malvern, przyszła żona Briana – znacznie lepiej od Angie znała się na opłatach, łapówkach oraz innych podobnych sprawach. Najpierw trzeba wejść po schodach na wieżę i wysłać do przyjaciółki

gołębia pocztowego z wieścią o grasujących bandytach i zaproszeniem do Malencontri. W powrotnej drodze Angie zajrzy do gotowalni i sprawdzi, co się tam dzieje.

Był już też najwyższy czas, aby wysłać jakiś prezent biskupowi Bath i Wells, który okazał się tak pomocny przy nakłanianiu króla, aby uczynił ich prawnymi opiekunami małego Roberta Falona. Angie myślała o prawdziwym chińskim jedwabiu, który Carolinus mógłby załatwić dla niej dzięki swoim powiązaniom z magami na Dalekim Wschodzie. Jednak taki prezent będzie bardzo kosztowny – szczególnie teraz, kiedy król przypierał wszystkich do muru, nieustannie podwyższając wszystkie podatki.

Nigdy nie przypuszczała, że w czternastowiecznym świecie jednym z jej największych zmartwień będzie podatek dochodowy. Oczywiście, nie tak go tu nazywano, ale to niczego nie zmieniło. Razem z Jimem musieli oddawać Jego Królewskiej Mości Edwardowi III dziesięć do piętnastu procent wszystkiego, co zarobili w ciągu roku na dzierżawie, sprzedaży i wszelkich innych rodzajach działalności.

Już przekupili króla – choć nie bezpośrednio – ponad trzydziestoma funtami opłaty za prawo do opieki, a do tego dojdą jeszcze konieczne opłaty dla urzędników zajmujących się dokumentami – nie tylko dla kanclerza, ale i kilku radców dworu, a nawet pomniejszych kancelistów.

Ostatnio pieniądze rozchodziły się tak szybko, że Angie z trudem zdoła zebrać potrzebną sumę – lub jej ekwiwalent – na belę białego chińskiego jedwabiu, chociaż ta bynajmniej nie była tak gruba jak bele, jakimi handlowano w dwudziestym wieku.

Rozmyślając o tym, dotarła na przedostatnie piętro szczytu wieży, gdzie mieściły się klatki z gołębiami. Pomieszczenie to znajdowało się bezpośrednio pod słonecznym pokojem, który był sypialnią jej i Jima oraz pokojem Roberta oddzielonym przepierzeniem.

Gołębnik był długi i wąski, z jedną krzywą ścianą będącą zewnętrznym murem wieży oraz biegnącym wzdłuż niej szerokim stołem. Stały na nim klatki z gołębiami pocztowymi.

Na jej widok ciche gruchanie przybrało na sile, na wypadek gdyby miało to oznaczać porę karmienia – chociaż gołębie dobrze wiedziały, że tak nie jest. Angie spojrzała na nie z aprobatą. No tak, było tu sporo gołębi z Malvern, z zakodowanym w maleńkich główkach miejscem przeznaczenia i gotowych odlecieć z wiadomością do rodzinnego gołębnika, gdy tylko zostaną wypuszczone.

Angie zmarszczyła brwi. Nigdzie nie zauważyła opiekuna gołębi, któremu niedawno przydzielono to zajęcie. Nie napotkała go także po drodze.

Wciąż marszcząc brwi, przeszła wzdłuż krzywej ściany na drugi koniec pomieszczenia i tam go znalazła. Leżał skulony w kącie i nie ruszał się. W pierwszej chwili pomyślała, że coś mu się stało, zaraz jeszcze bardziej spochmurniała, gdy stanęła nad nim i poczuła kwaśny odór piwa. Bliższe oględziny potwierdziły pierwsze wrażenie: czternastoletni opiekun gołębi był zalany w trupa.

Angie powstrzymała gwałtowną chęć kopnięcia go w zębra. Nie zrobiła tego po pierwsze dlatego, że nawet po prawie trzech latach życia w czternastowiecznym świecie nie nabrała średniowiecznych nawyków, a po drugie, przypomniała sobie, że ma na nogach ciżmy, czyli miękkie kapcie, więc kopiąc go, zrobiłaby sobie krzywdę, a jego pewnie nawet by nie obudziła.

W następnej chwili zaniepokoiła się, że chłopiec może być nałogowym pijakiem, a nie ofiarą sporadycznego pijaństwa. Było to zupełnie możliwe, zważywszy, że wszyscy tutaj – niezależnie od wieku – pili co najmniej piwo warzone w domu. Być może ten chłopiec już jest uzależniony. Jeżeli tak, to nie będzie można zatrzymać go w zamku. Odesłanie go będzie ciężkim ciosem dla jego rodziny, a jeszcze cięższym dla niego, kiedy poznają powód odprawy. Niewątpliwie cieszyli się z tego, że przydzielono mu opiekę nad gołębiami, i powtarzali sobie, że skoro już pracuje na zamku, może zająć wysoko. Ten chłopiec może zostać kimś, na przykład psiarczykiem. A może nawet... chociaż to tylko marzenia... pewnego dnia mógłby zostać majordomusem. Jego najbliższa rodzina i najdrożsi krewni niewątpliwie nie będą zachwyceni, gdy się dowiedzą iż zmarnował szansę awansu i bogactwa tylko dlatego, że nie wiedział, kiedy może bezpiecznie się upić.

Jednak Angie nie mogła pozostawić na służbie kogoś, na kim nie mogła polegać. I nie miała czasu, aby podjąć próbę wyleczenia go z alkoholizmu, nawet gdyby reszta zamkowej służby zechciała wesprzeć jej wysiłki, w co wątpiła. Prawdę mówiąc, zapewne cichcem podsuwaliby mu trunki, jeśli nie ze współczucia, to wiedzeni złośliwym poczuciem humoru i chcąc zobaczyć, jak narobi sobie kłopotów. Angie nienawidziła tego. Ani ona, ani Jim nie mieli serca, by winowajcę wychłostać, wybatożyć lub ukarać w inny sposób, stosowany przez średniowiecznych feudałów. Oczywiście mogła kazać zamknąć go w zamkowym lochu, który jak prawie wszystkie był po prostu dziurą wykopaną w ziemi.

Już dawno kazała usunąć stamtąd nieczystości, gdyż w tych czasach więźniowie nie korzystali z żadnych urządzeń sanitarnych i mieli szczęście, jeśli sporadycznie rzucono im coś do zjedzenia. Lecz loch nadal był najciemniejszym, najwilgotniejszym i otoczonym najgrubszymi ścianami pomieszczeniem zamku. Te mury nigdy się nie rozgrzewały, nawet pod koniec lata. W rezultacie w podziemiach zawsze panował nieprzyjemny chłód.

Jedna noc w takim miejscu powinna przypomnieć chłopakowi o jego obowiązkach. Zazwyczaj ludzie uwięzieni w lochach nigdy nie wychodzili z nich żywi albo wyprowadzano ich tylko po to, aby wymierzyć im karę, po której

umierali. Taka perspektywa powinna otrzeźwić chłopaka. A może wystraszy go tylko na krótko i wypuszczony znów wróci do nałogu.

Angie nadal zastanawiała się nad tym problemem, kiedy usłyszała dźwięk dzwoneczka oznajmiający przybycie jednego z własnych gołębi. Natychmiast obejrzała go, ale ptak nie przyniósł żadnej wiadomości. Z całą pewnością był to gołąb z Malencontri, zostawiony u Briana i Geronde, aby mogli przysłać im wieści. Zapewne zdołał uciec z gołębnika i przyleciał do domu.

Jednak ku zdziwieniu Angie niemal natychmiast dołączył do niego drugi gołąb, którego dotychczas nie zauważyła, ponieważ przechadzał się między klatkami, dziobiąc ziarna wysypane lub wyrzucone z innych klatek. Ptak miał obrączkę z wiadomością, którą powinien doręczyć jej lub Jimowi pijany chłopak.

Sądząc po spokojnym zachowaniu gołębia, nie przyleciał tu w ciągu kilku ostatnich minut. Równie dobrze mógł tu przybyć, zanim jeszcze chłopiec stracił przytomność. Kolejny minus.

Angie podeszła do gołębia, wyjęła kartkę z wiadomością, a potem umieściła oba ptaki w pustej klatce. Nowo przybyły protestował, ale sypnęła im na osłodę trochę ziarna i oba gołębie natychmiast zajęły się dziobaniem.

Rozwinęła karteczkę. Była z najcieńszego papieru, jaki dało się zdobyć, a wiadomość, skreślona zgodnie z dość specyficznymi pojmowanymi przez Geronde zasadami ortografii, brzmiała następująco: „B ANT G CUM”. Ponieważ napisano ją w fonetycznej angielszczyźnie, a nie po łacinie, którą władał kapelan zamku Malvern, miała to być prywatna wiadomość zapowiadająca prywatną wizytę.

A więc Brian i Geronde zamierzali odwiedzić Jima i Angie. Tylko kiedy nadeszła wiadomość? Sądząc po stanie chłopca, mogło to być wczoraj.

Jeszcze bardziej niepokojące były osobiste podteksty tej wiadomości. Dziesięć do jednego, że Brian i Geronde mieli jakiś problem i będą szukali ich pomocy lub rady. A to niemal na pewno oznaczało, że sprawa jest poważna.

W średniowieczu słowo przyjaciel miało tylko jedno znaczenie. Jeśli przyjaciel prosił cię o pomoc, nie mówiłeś mu, że w tej chwili jesteś zajęty albo umówiony. Twoim obowiązkiem było zostawić wszystko i zająć się nim. Służyć radą lub pożyczką, chwycić za broń, a nawet ryzykować życie, aby mu pomóc. Inaczej nie byłeś prawdziwym przyjacielem.

Tylko kiedy nadeszła ta wiadomość? Od jak dawna był tutaj ten gołąb i kiedy mogą przybyć Brian z Geronde? W jakiegokolwiek sprawie chcieli zasięgnąć rady, trzeba będzie zapewnić im pewne wygody. To oznaczało, że nie tylko należy wydać odpowiednie dyspozycje kuchni, ale także posprzątać, wywietrzyć i przygotować dwie komnaty. Angie pospiesznie opuściła gołębnik, odkładając na później sprawę pijanego chłopca, i po kręconych schodach w środku wieży szybko zbiegła do gotowalni.

Zbliżając się do niej, usłyszała te same podniesione głosy, co wcześniej. Miała tam miejsce zażarta kłótnia między kobietą a dziewczyną, a ponieważ Angie znała głosy wszystkich sług, natychmiast je rozpoznała. Kobieta była Gwynneth Plyseth, sprawująca pieczę nad gotownią, w której potrawy przyniesione z głównej kuchni podgrzewano lub przygotowywano do podania ludziom jedzącym w wielkiej sali – szczególnie na stół, przy którym siedzieli Jim oraz Angie, a także wszyscy znamienitsi goście. Dziewczyna to niewątpliwie nowa uczennica Gwynneth.

Angie, już zirytowana obłęzieniem, pijanym chłopakiem oraz rychłym przybyciem gości, wkroczyła do komnaty i zastała je stojące nos w nos.

Uczennicą była May Heather, irytująca, choć zaledwie trzynastoletnia osóbką. Niedawno została przeniesiona z kuchni pod nadzór Gwynneth. Stojąc tak oko w oko, tworzyły zdumiewający widok – mogłyby pozować do obrazu zatytułowanego Wiek przeciw młodości – pojedynek.

May Heather, chociaż niewysoka, była tylko około pięciu centymetrów niższa od Gwynneth Plyseth. Jednak zarządzająca kuchnią ważyła od niej o dobre pięćdziesiąt kilogramów więcej. Mimo to May najwyraźniej była gotowa posłużyć się pierwszą lepszą bronią, a i Plyseth zdradzała wyraźną chęć do walki.

Na widok wchodzącej Angie obie oniemiały i wytrzeszczyły oczy.

–Moja panno! – warknęła Angie do Gwynneth Plyseth. – Cóż to ma znaczyć?

Była zaskoczona tonem swojego głosu. Ponownie poczuła się tak samo jak wtedy, kiedy miała ochotę kopnąć opiekuna gołębi. Przypomniało jej się, że ostatnio uświadomiła sobie, iż służba szepcze, że od kiedy zostali z Jimem prawnymi opiekunami młodego Roberta Falona, stała się nadzwyczaj ostra i groźna. Zbyt często zamiast udawać kasztelański gniew, naprawdę weń wpadała. Tak stało się i teraz.

Obie kobiety gapily się na nią. Nie dlatego, aby powiedziała i zrobiła coś niezwykłego jak na ówczesną panią zwracającą się do służby. Jednak dotychczas ani ona, ani Jim nie zachowywali się tak wobec zamkowych, zbrojnych, dzierżawców i ich sług, więc ich sąsiedzi – między innymi Geronde – twierdzili, że służba w Malencontri jest rozpuszczona. W tej chwili jednak była równie zła jak te dwie kobiety i one zdawały sobie z tego sprawę.

–Nie... błagam o wybaczenie, milady – jęknęła Gwynneth. – Wybacz milady, ale muszę sprowadzić tu zbrojnego, który należycie wychłoscze tę dziewczkę. Jest dla mnie za silna. Nie mogę sobie z nią poradzić.

Pozornie z czternastowiecznego punktu widzenia w tej prośbie nie było niczego nadzwyczajnego, ale takie zajęcie nie leżało w zakresie normalnych obowiązków żołnierza, który uznałby je za nie licujące z jego godnością.

–Ona...! – wybuchła May Heather, ale Angie uciszyła ją groźnym spojrzeniem. Angie ponownie zwróciła się do Gwynneth:

–Dlaczego trzeba ją bić? Przecież znasz moje rozkazy w tej sprawie. No?

–Przecież mam ją uczyć, milady! – odparła Gwynneth. – Mam nauczyć ją tego, co robimy tutaj, w gotowni. A ona nie pozwala mi tego zrobić jak należy!

–Co nauka ma wspólnego z biciem? – dopytywała się Angie.

–Cóż, milady – powiedziała Gwynneth. – A jak inaczej mam ją nauczyć? Aby wychować taką dziewczynę jak ona, najpierw należy jej pokazać, co trzeba zrobić, a potem zbić ją, żeby zapamiętała. Ona szybko się uczy. Muszę jej to przyznać. Ale jeszcze nie wie wielu rzeczy, a ja nie mam siły, żeby się z nią użerać. Ona nie daje się bić. Stawia opór!

Angie mogła w to uwierzyć. May Heather chciała kiedyś walczyć ze smokiem – którym był Jim, ale May o tym nie wiedziała – za pomocą starego topora wojennego, który zdjęła ze ściany i ledwie zdołała unieść. Dziewczyna znów próbowała odezwać się i podać Angie swoją wersję wydarzeń.

–Pamiętam – powiedziała z przekonaniem May. – Lepiej niż ktokolwiek. Proszę posłuchać, milady. – I zaczęła nucić: – Korzenne wino: na dużą ucztę – w kuchni grzane – na małą, dla gości pani i pana – w gotowni przyrządzane – imbir, cynamon, kardamon – po szczypcie – cukru, pieprzu (nie dla pani) – kwiatu słonecznika wysypcie – dodaj kwartę czerwonego wina – potem znów trochę imbiru, tartego cynamonu dosypcie...

–Prześmiać! – ucięła Angie. – Daj jej powiedzieć!

May Heather przestała nucić, ale jeszcze zdołała wtrącić:

–Wcale nie musi mnie bić!

–May! – warknęła Angie. May Heather zamilkła. Angie znów odwróciła się do starszej kobiety. – A teraz, Gwynneth, zechciej mi wyjaśnić, co bicie uczennicy ma wspólnego z nauką?

–No a jak inaczej zdoła coś zapamiętać? – spytała Gwynneth. – W gotowni jest wiele, wiele ważnych rzeczy do zrobienia. Setki. Jej młody umysł zupełnie się pogubi, jeżeli nie będzie miała powodu, żeby pamiętać o każdej z osobna. Dlatego muszę ją bić za każdym razem, kiedy coś jej pokażę.

Angie była bliska rozpaczki. Słudzy, dzierżawcy, chłopcy – wszyscy na ziemiach Malencontri przestrzegali zwyczajowych praw. Jeśli coś robiono w jakiś sposób od niepamiętnych czasów, to powinno być tak zawsze. Raz po raz spotykała się z takim nastawieniem i czasem miała wrażenie, że wszystkim mieszkańcom tego kraju należałoby rozciąć czaszki, nalać do nich trochę zdrowego rozsądku, a dopiero potem zaszyć.

–Panno – powiedziała ponuro. – Od tej pory będziesz pokazywać May Heather, co należy zrobić, dopilnujesz, żeby wykonała to prawidłowo, a kiedy kilka razy zrobi to jak należy, możesz zająć się czymś innym. Nie ma powodu, by ją bić, chyba że nie będzie chciała się uczyć.

–Niebie?! – powiedziała Gwynneth, wytrzeszczając oczy. Ścisnęła w palcach fałdy spódnicy. – Milady, jak można się bez tego obejść? Ich małe główki nie zdołają zapamiętać lekcji, jeśli im się jej nie wbije. Wszyscy o tym wiedzą. Na przykład jeśli w wiosce trzeba postawić nowy słup graniczny, to co robią ludzie? Chwytają jednego z wiejskich chłopców, przywiązują do słupa i chłoszczą. Do końca życia będzie mógł powiedzieć każdemu, gdzie stoi ten słup. W przeciwnym razie czy mieliby pewność, że to zapamięta?

Dla Gwynneth był to poważny argument, szczególnie ze względu na konieczność zapamiętywania wszystkiego, ponieważ ci ludzie nie mogli niczego zapisać. To tak jak ze świadkami na ślubie – niezbędnymi głównie dlatego, żeby mogli później zaświadczyć, że odbył się w danym miejscu i czasie. Tylko tak można było mieć pewność w tym społeczeństwie analfabetów.

Angie mogła tylko wykorzystać swoją pozycję.

–No cóż, tutaj nie będziemy tak postępować – oznajmiła, podpierając się swoim niekwestionowanym autorytetem pani zamku. – Powiem to tylko raz, panno Plyseth, i nie zamierzam powtarzać. Masz uczyć May Heather tak, jak ci kazałam, i koniec. A teraz ty, May. – Obróciła się do dziewczyny. – To wcale nie oznacza, że możesz robić, co chcesz, May Heather – powiedziała. – Panna Plyseth nie będzie cię biła po każdej lekcji, ale ma prawo zrobić to, jeśli nie będziesz jej słuchać. Musisz się z tym pogodzić. Jeśli nie, mamy inne sposoby, aby nauczyć cię posłuszeństwa. W jednej chwili znajdziesz się na dziedzińcu i zostaniesz wychłostana przez kogoś ze zbrojnych. Chyba tego nie chcesz?

May Heather wysunęła brodę i uparcie wyduła usta. Przez moment Angie obawiała się, że blef się nie uda – bo przecież nie miałyby serca spełnić tej groźby wobec dziewczynki. Przecież nie mogła ukarać jej tak, jak karano w zamku dorosłych mężczyzn – a nawet i dla nich była to bardzo surowa kara. Jeśli jednak na rycerskim proporcu widniały słowa: „Śmierć lepsza od niesławy”, to zawołaniem May Heather było: „Lepiej umrzeć niż ustąpić”.

–Wiem, co mam robić, milady! – powiedziała.

–Nie, nie wiesz! – warknęła Angie. – Ja wiem. I ja mówię, co masz robić. Zrozumiano?

May spuściła oczy i wbiła wzrok w podłogę.

–Tak, milady.

Angie natarła na Gwynneth.

–A ty, panno Plyseth? – zapytała. – Rozumiesz?

–Och tak, milady! – zawołała Gwynneth, załamując ręce. – Chociaż... sama nie wiem, milady, naprawdę. Tak mnie uczono, kiedy sama przyszłam do gotowalni, i do dziś jestem wdzięczna za te lekcje, ale jeśli milady mówi, że powinnam inaczej... Zrobię tak, ale...

–Żadnych ale – powiedziała Angie. – Po prostu tak zrób.

–Oczywiście, milady – przytaknęła Gwynneth, nagle znacznie spokojniejsza, kiedy otrzymała wyraźny i stanowczy rozkaz, z którym każda chrześcijańska dusza musi pogodzić się jak z deszczem, gradem i śnieżycą. – Mam nie bić jej tylko podczas lekcji, milady? Mogę to robić, jeśli będzie krnąbrna, niedbała albo złośliwa?

–Tak też jej powiedziałam – potwierdziła z rezygnacją Angie i nagle przypomniała sobie, co sprowadziło ją na dół. – No, dość już tego. Teraz trzeba przygotować poczęstunek dla gości. Lady Geronde i sir Brian mogą zjawić się tu w każdej chwili.

–Tak, milady – powiedziała rześkim i pewnym głosem Gwynneth. Zwróciła się do May Heather: – May. Znajdziesz milorda na dziedzińcu przed wielką salą. Zaniesiesz mu wiadomość od pani...

–Zostań! – rzuciła niecierpliwie Angie. Nie było ani chwili czasu do stracenia i nie chciała, aby Jim uznał, że może jeszcze skończyć to, co tam robił. – Sama tam pójde. Wy dwie bierzcie się do roboty.

Wypadła z gotowalni do wielkiej sali i zobaczyła, że w tej ogromnej komnacie o wysokim sklepieniu nie ma żywej duszy. Nikt nie zasiadał przy stojącym na podwyższeniu stole, poprzecznym do dwóch niższych i dłuższych, przy których sadzano ostatnich gości.

Drzwi na końcu sali były otwarte na oścież i w tym prostokącie jasnego światła widziała kawałek dziedzińca. Nikogo tam nie było, lecz w następnej chwili usłyszała dobiegający stamtąd głuchy łoskot i bezładne okrzyki.

Pobiegła w kierunku drzwi.

–Jim! – zawołała. – Przybywa Geronde z Brianem!

–Wiem – odpowiedział jej basowy ryk dorosłego smoka. – Już tu są. Właśnie wjechali.

Angie nazbyt dobrze знаła głos smoka, aby rozpoznać w nim Jima. Otworzyła usta, żeby coś zawołać, ale stwierdziła, że szybki bieg pozbawił ją potrzebnego do tego tchu. Zaraz powie coś Jimowi, kiedy do niego dotrze. Co on jeszcze robi w tym smoczym ciele? Na dziedzińcu Malencontri wjeżdżają niespodziewani goście, więc nie ma czasu na głupstwa.

Rozdział 3

Jednak kiedy w końcu wybiegła przez drzwi w światło słońca i niemal wpadła na Jima, który w swoim smoczym ciele siedział na bruku, nie wymówiła słów, które cisnęły jej się na usta. Powstrzymała się, widząc, że dzieje się coś niezwykłego.

Theoluf właśnie zameldował Jimowi, że oblegający niespodziewanie wycofali się, lecz w powietrzu nadal wyczuwało się napięcie.

Nie tylko dlatego, że Jim wciąż był smokiem. Yves Mortain, dowódca zbrojnych, biegł po schodkach na galerijkę, John Steward niepewnie szedł w kierunku Jima przez podwórze, a Geronde i Brian jechali konno do drzwi wielkiej sali, podczas gdy ich eskorta zmierzała do stajni. Steward wyprzedził Geronde i Briana, ale Jim najpierw warknął na giermka:

–Theolufie! Niech wszyscy łucznicy staną przy strzelnicach wychodzących na podwórze. Mają się nie pokazywać, ale być gotowi szyć strzałami do każdego nieprzyjaciela, który wdarłby się przez bramę. Mamy jeszcze na zamku tych pięciu nowych wysmienitych walijskich łuczników, prawda?

–Tak, milordzie – rzeki Theoluf. – Kłopoty, milordzie?

–Mam nadzieję, że nie – odparł Jim – ale chcę być przygotowany. Możemy mieć przeciwko nam trzydziestu lub więcej zbrojnych. Niech nikt nie strzela bez rozkazu. Majordomusie...

–Tak, milordzie? – wysapał leciwy sługa, łapiąc oddech.

–Jak już powiedziałem Theolufowi – rzeki Jim – będziemy mieli gości: rycerza i spory orszak zbrojnych w królewskich barwach. Wyjdiesz im naprzeciw i powiesz, że nie ma mnie tu. Kiedy ostatnio mnie widziałeś, byłem smokiem i unosiłem się w powietrzu, co zazwyczaj oznacza, że opuszczam Malencontri. Jeśli rycerz będzie nalegał, możesz zaprowadzić go do milady.

–Po co to wszystko, Jim? – spytała Angie.

–Potem ci wyjaśnię – rzucił pośpiesznie Jim. – A teraz...

–Jaki herb nosi ten rycerz? – przerwał mu Brian. Już zeskoczył z konia i stał dwa metry dalej. Jim odwrócił się do niego i spróbował odszukać w pamięci odpowiednie terminy heraldyczne opisujące to, co widział: białe ogary atakujące czarnego odyńca. Kiedyś nie byłby w stanie, ale teraz już mógł to zrobić, chociaż dopiero po namyśle.

–Miał na tarczy... No tak – dodał po chwili. – Dwa prawe psy i wściekłego, groźnego, wojowniczego odyńca.

Brian zmarszczył brwi.

–Nie znam takiego herbu – rzekł. – Niewątpliwie jest z królewskiego dworu, szczególnie jeśli jedzie na czele królewskich zbrojnych. Mądrze czynisz, Jamesie, unikając natychmiastowego spotkania z nim, dopóki nie poznasz jego zamiarów. Trzydziestu zbrojnych to zbyt liczny oddział, aby radośnie wpuszczać ich za mury, ale bez

poważnego powodu nie możesz zamknąć bramy przed ludźmi króla.

–Nie – rzekł Jim i odwrócił się. – Angie, może zaprowadzisz Geronde do słonecznego pokoju? Mogłabyś również zabrać Briana do tej komnaty piętro niżej, z której jest dobry widok na dziedziniec. Do tej, którą zwykle zajmuje Carolinus, kiedy u nas bawi. Brianie, zamierzam polecieć na szczyt wieży, a potem zejść w moim ludzkim ciele i dołączyć do ciebie w komnacie Carolinusa.

–Dobrze – odparł krótko Brian. Już odwrócił się, żeby pomóc Geronde zsiąść z konia, a właściwie po prostu ją zdjął.

Geronde doskonale umiała sama zsiadać, aczkolwiek przed wynalezieniem damskiego siodła, dokonanie tego z gracją było nie lada sztuką. Jednak etykieta wymagała, by dżentelmen pomógł damie zsiąść z konia, co też Brian uczynił.

Podniósł ją i postawił na ziemi, jakby nic nie ważyła. Ten widok wciąż trochę zdumiewał Jima, który wiedział, że Geronde, choć niewysoka bynajmniej nie była lekka jak piórko. Jednak Brian był krzepkim mężczyzną. Kilka centymetrów niższy i lżejszy od Jima, z pewnością dorównywał mu siłą mięśni, może z wyjątkiem mięśni nóg, które Jim miał nadzwyczaj dobrze rozwinięte przed przybyciem do tego świata.

Brian zrobił kilka kroków i wyciągnął ramiona do Jima, ale zaraz je opuścił.

–Do licha, Jamesie! – rzekł. – Aczkolwiek kocham cię i szanuję, nie potrafię ucałować smoka na powitanie! W rzeczy samej nie jestem pewien, czy Święty Kościół tego nie zabrania.

–Wszystko w porządku – odparł Jim. – Rozumiem to.

I tak też było. Z drugiej strony zauważył w zachowaniu Briana jakąś zmianę, której nie pojmował. Jakieś podniecenie i napięcie objawiające się w ledwie dostrzegalny sposób, którego Jim nie potrafiłby określić, lecz który wyraźnie dostrzegał, obserwując starego druha.

Może po prostu taką reakcję wywołała obecność królewskiego oficera na czele oddziału zbrojnych, ale Brian zwykle nie reagował tak silnie z tak błahego powodu. Pomimo nieostrożnych wypowiedzi Briana zbrojni równie dobrze mogli przybyć z przyjacielską wizytą. Prawdę mówiąc, było to bardzo prawdopodobne – chyba że zaszły jakieś wydarzenia, o których Jim nie wiedział. Bacznie przyjrzał się Brianowi, usiłując dociec, co dokładnie sprawia wrażenie, że Brian jest spięty i gotowy do walki.

Nawet jasne promienie słońca nie zdradziły mu tej tajemnicy. Tylko oświetliły kanciaste rysy cofającego się Briana, twarz, którą można by nazwać urodziwą, gdyby nie trochę przyduży i bardzo haczykowaty nos. Potocznie nazywano taki nos normańskim. Po obu jego stronach błyszczały niebieskie oczy, zuchwale i wesole. Upodabniały go do dzikiego, lecz przyjaznego sokoła. Jim często widywał taką minę na twarzy Briana, kiedy czekała ich walka na śmierć i życie. Brian w przeciwieństwie do Jima cieszył się bitwą, co też zawsze okazywał.

–Lepiej ruszajcie się, wszyscy – rzeki Jim, nadal spoglądając na Briana. – Angie, możesz wprowadzić gości do środka, prawda?

–Oczywiście – odparła Angie. – Pozwól, Geronde. Brianie... Odwróciła się i ruszyła do wielkiej sali. Geronde i Brian poszli za nią. Jim odwrócił się i stwierdził, że Theoluf już odszedł, co powinien był zrobić, ale John Steward nadal stoi na dziedzińcu.

–Johnie – rzekł Jim. – Zamierzam wlecieć na szczyt wieży, a ty masz poczekać tu na rycerza oraz tych, których zabierze ze sobą do zamku. Nie pozwól, aby nasi ludzie okrzykiwali go lub wypytywali, kiedy będzie tu wjeżdżał. Tylko pamiętaj – kiedy ostatni raz widziałeś mnie żywego, byłem smokiem.

–Och, milordzie! – załamał ręce John.

–Nie bądź idiotą! – warknął Jim nieco ostrzej niż zwykle. – Nic mi się nie stanie. Chcę tylko, abyś mówił prawdę, kiedy powiesz, że ostatnio widziałeś mnie w smoczym ciele. Chcę również, abyś w razie potrzeby mógł poprzysiąc na krzyż. Teraz odsuń się.

John pospiesznie cofnął się, a Jim z łopotem skrzydeł uniósł się w powietrze, z wysiłkiem podleciał na szczyt wieży i opadł na nią z łoskotem. Stojący tam wartownik zsalutował mu włócznią i powitał rytualnym okrzykiem, który zdaniem mieszkańców zamku należało wydać, ilekroć ich pan ukazał się im w smoczej postaci. W wypadku kobiet był to przeraźliwy pisk, natomiast mężczyźni wydawali głośny wrzask. Wartownik zdążył wydać go w samą porę, gdyż Jim natychmiast przybrał ludzką postać.

–Wkrótce będziemy mieli gości – oznajmił mu Jim. – Nie ma potrzeby wszczynać alarmu. Porozmawia z nimi John Steward – nikt inny nie powinien. To ludzie króla i Theoluf już wie o ich przybyciu.

–Tak, milordzie. Rozumiem.

Jim zszedł po schodach na niższe piętro, gdzie znalazł Angie i Geronde zmierzające do słonecznego pokoju. Geronde weszła do środka, lecz Angie przystanęła przy drzwiach i Jim pospiesznie opowiedział jej, co widział z powietrza.

–A więc zbrojni nadjeżdżają od zamku Smythe? – zapytała. Jim skinął głową.

–A Brian i Geronde przyjechali z przeciwnej strony, z zamku Malvern. A więc tamci o tym nie wiedzą.

–Też tak sądzę.

–Widzę, że jesteś bardzo zatroskany, prawda? – spytała, spoglądając mu w oczy. – O co chodzi?

–Sam nie wiem. Coś się dzieje, ale nie wiem co. Mam wrażenie, że Brian dziwnie się zachowuje, ale może się mylę. Jednak jest zupełnie możliwe, że wieść o jego niechętnym stosunku do podatków dotarła na królewski dwór... A to byłoby niedobrze.

–No tak – odparła w zadumie. – Teraz rozumiem, dlaczego cię tu nie ma. – I dodała stanowczo: – Poradzę sobie, jeśli wezwie mnie John Steward. – Ucisnęła go i odwróciła się do drzwi. – Zejdź do Briana. Jest już w komnacie Carolinusa.

–Słuchaj – powiedział Jim pod wpływem impulsu. – Chciałem o czymś z tobą porozmawiać. Chodzi o służbę.

–Świetnie – odparła. – Gdy tylko będziemy mieli czas.

–Gdy tylko będziemy mieli czas – przytaknął Jim i odszedł.

Schodząc do komnaty, wspominał ten przelotny uścisk. Czasem najzupełniej poważnie zastanawiał się, czy Angie ma zdolność jasnowidzenia. Niebezpieczeństwo, jakie mogło grozić Brianowi z powodu publicznych wypowiedzi na temat nowych królewskich podatków, rozbudziło obawę, która od pewnego czasu dręczyła Jima. Po prostu bał się o życie swoje i Angie, podejrzewając, że po kilku spędzonych tu latach ludzie w końcu go przejrzeni.

W wyniku wypadku, który przeniósł jego i Angie do tego świata, był w stanie przybierać smoczą postać. Dzięki temu zyskał też magiczne zdolności i stał się magiem, czy mu się to podoba, czy nie. Był rycerzem, a także baronem tylko dlatego, że podczas pierwszego spotkania z Brianem okłamał go w trosce o własne bezpieczeństwo.

Nie był prawdziwym czarodziejem – po prostu wykorzystywał wiedzę następnych wieków, aby za takiego uchodzić. Nie umiał posługiwać się kopią i tylko dzięki intensywnym naukom Briana był w stanie po amatorsku siec i kłuć mieczem. Manier nauczył się, naśladowując otaczających go ludzi.

Spójrzmy prawdzie w oczy: był oszustem.

Przetrwali tu z Angie tylko dzięki niewiarygodnemu szczęściu, jakie sprzyjało im przy wyborze przyjaciół. Brian był zwycięzcą licznych turniejów rycerskich i trudno by znaleźć drugiego równie lojalnego człowieka jak on. Dafydd ap Hywel był niezrównanym łucznikiem oraz wytwórcą łuków i strzał. Carolinus zaś, mentor Jima w sprawach magii – który z pewnością dawno go już przejrzał – był jednym z trzech magów klasy AAA+ na tym świecie.

Jeśli Jim nauczył się czegoś w ciągu kilku spędzonych w średniowieczu lat, to tego, że w tych czasach człowiek musi mieć przyjaciół, żeby przeżyć. Wszyscy wymienieni nigdy by go nie zawiedli. Jednak nie mógł tego powiedzieć o innych ludziach w Anglii, nie mówiąc już o pozostałych mieszkańcach Ziemi.

Na przykład jego służba i drużyna zbrojnych. Jim miał być ich panem, a także magiem. Jego obowiązkiem było pozbyć się kołatków, których się obawiali, przekonani, że pewnej nocy wyjdą ze ścian i pożrą ich wszystkich. Tymczasem nie zrobił tego. To rozczarowanie może pozbawić ich złudzeń co do jego osoby. Ostatnio zauważył, że zbyt się spoufalali, co pozornie miało na celu jego wygodę i dobro, lecz w tych czasach było dość niezwykle w stosunkach służby z panem.

To jego wina. Nie nadawał się na prawdziwego feudała, gdyż nie potrafił wymierzać surowych kar – na przykład chłosty – za niewykonanie obowiązków. Za często z nimi rozmawiał i zbyt dokładnie informował o swoich zamiarach. Byli przyzwyczajeni obawiać się władcy i obrońcy – w przeciwnym razie czyż mógł obronić ich przed wrogami? Przyjazne stosunki nie były tak ważne.

Tak więc w rzeczywistości nie pozwolili, aby został ich przyjacielem, ponieważ najpierw musiał się wykazać. Ich obowiązkiem było umrzeć za niego w razie potrzeby. Natomiast jego obowiązkiem było udowodnić im, że warto za niego umierać. Troska, jaką ostatnio go otaczali, mogła być udawana, tylko po co?

Kłopot w tym, że obawiał się, iż zna odpowiedź na to pytanie...

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że stoi przed drzwiami komnaty, którą zwykle zajmował Carolinus, kiedy odwiedzał Malencontri. Wszedł do środka i zastał Briana zerkającego już przez jedną z dwóch wąskich strzelnic na dziedziniec w dole.

–Oficer w czynnej służbie – rzekł Brian, odwracając się od strzelnicy, kiedy Jim zamknął za sobą drzwi. – Rzeczywiście, nigdy nie widziałem tego herbu, chociaż chyba słyszałem, jak ktoś o nim mówił. Coś tłucze mi się po głowie. Być może słyszałem nazwisko tego człowieka. Broadbent? Nie, to nie tak. No cóż, mam wrażenie... – Urwał, gdy ktoś znów otworzył drzwi.

Jim odwrócił się i zobaczył wchodzącą pannę Plyseth, niosącą dzbany z winem i wodą oraz cztery kielichy. Za nią szła May Heather, balansując tacą z ciasteczkami. Obie promiennie uśmiechały się do rycerzy. Postawiły poczęstunek na stole, dygnęły, a potem wyszły tyłem, jak należy w obecności szlachetnie urodzonych, z przylepionymi do ust uśmiechami. Jim mimo woli zastanawiał się, czy pozostaną one na ich twarzach po zamknięciu drzwi...

Kiedy to zrobiły, Jim nagle zrozumiał. May Heather właśnie otrzymała jedną z lekcji podawania do stołu. Z pewnością chodziło o to, aby zademonstrować jej, jak należy podać jedzenie i napitek panu oraz jego gościowi. Najdziwniejsze było to, że zwykle nie obsługiwano go w taki sposób. Jim nie pamiętał, aby Gwynneth kiedykolwiek uśmiechała się tak promiennie, podając do stołu. Prawdę mówiąc, jeśli w ogóle kiedykolwiek osobiście mu coś

podawała, stawiała to na stole dość zdecydowanym gestem, jakby chciała powiedzieć: „Jedźcie i cieszcie się”. Nie miał nic przeciwko temu.

Brian najwidoczniej nie zwrócił na to uwagi. Już pochłaniał jedno z ciasteczek i nalewał wino do kielichów.

–No cóż – rzekł, siadając na skraju łóżka i zostawiając Jimowi jedyne wygodne krzesło w pokoju. – Nieważne.

Szybko poznamy jego nazwisko, kiedy twój majordomus przyjdzie tu, żeby opowiedzieć o wizycie.

Ponieważ Brian wielkodusznie pozostawił mu krzesło, Jim zajął je, chociaż sam zamierzał przysiąść na łóżku, a jego, jako gościa, usadowić na wygodnym krześle.

–Oczywiście, masz rację – rzekł.

–Te sprawy rozwiążą się same – stwierdził Brian, z zadowoleniem podnosząc kielich z winem. Nagle odstawił go i sięgnął po dzban z wodą Jim wytrzeszczył oczy. Ze zdziwieniem ujrzał, jak jego stary przyjaciel dolewa sobie wody do wina. Brian nigdy nie rozcieńczał wina, chyba że podczas formalnych spotkań. Już otworzył usta, żeby o to zapytać, ale znów je zamknął. Brian – najwyraźniej celowo – nie zwrócił na to uwagi. Jednym haustem wypił połowę rozcieńczonego trunku, przełykając go z ulgą.

–Ach, Jamesie! Miło znów cię widzieć!

–I mnie miło jest znów cię widzieć, Brianie – powiedział najzupełniej szczerze Jim. Uznał, że Brian w swoim czasie wyjaśni mu sprawę rozwodnionego wina. Na razie on też pociągnął łyk, po czym obaj prawie równocześnie odstawili kielichy na stół. – Jakie wieści? – zapytał Jim. Jeśli nie chciał zostać uznany za wścibskiego, to zgodnie z zasadami dobrego wychowania tylko w ten sposób mógł zachęcić gościa do opowiedzenia, co sprowadza go do Malencontri.

–No cóż, sprawy stoją całkiem dobrze, Jamesie – odparł Brian. – Chociaż nie powiem, że nie życzylbym zanikowi Malvern szczęśliwszych dni. Wiesz, jak wielkie były moje oczekiwania, kiedy w końcu sprowadziliśmy ojca Geronde z Ziemi Świętej.

–Istotnie.

Spotkanie Geronde z jej długo nieobecny ojcem, sir Geoffreyem de Chaneyem, ujawniło poważne rozdzwiewki między ojcem a córką. Geronde od dawna cierpiała w milczeniu z powodu ustawicznych podróży ojca i jego pogoni za bogactwem. Jednak ich spotkanie miało miejsce kilka miesięcy temu i oboje bezpiecznie powrócili do zamku Malvern. Jim zakładał, że ojciec i córka pogodzili się, a i nie słyszał o niczym, co by temu przeczyło. Brian wlał więcej wody do resztki wina.

–Geronde – mruknął – doprowadza mnie do szaleństwa, żądając, abym dolewał wody do każdej przeklętej szklanki wina, jakbym był na jakimś przeklętym bankiecie. – Ponownie dołał wody do i tak już rozwodnionego wina. – To ma sens na bankietach, kiedy siedzi się od południa do zmroku i chce pozostać chociaż na pół trzeźwym – ciągnął. – Jednak, na wszystko, co święte, jakże to psuje smak wina! Mówiłem jej, że wolałbym wypić dziewięć szklanek wody i jedną czystego wina niż dwadzieścia rozcieńczonego. Tymczasem ona twierdzi, że z czasem się przyzwyczaje. Ha!

Jim spojrzał na niego ze zdziwieniem. Po raz pierwszy słyszał, żeby Brian narzekał na Geronde, a i niezwykle rzadko widywał u niego taką ponurą minę.

–Znasz mnie, Jamesie – ciągnął Brian. – Nie jestem niewolnikiem wina. A nawet i piwa, tak jak niektórzy, co uważają że ale to nieszkodliwy napój. Jeśli postawić przede mną kielich – wychylę go. Jeśli nie, to wcale mi go nie brak, bo w końcu jesteśmy przyzwyczajeni zarówno do obfitości, jak do postu, w lecie i w zimie. Jednak... na świętego Briana, mojego patrona, po prostu lubię nie rozcieńczone wino!

Jim przyjrzał mu się uważnie.

–Czy coś się stało, Brianie? – zapytał.

–Oprócz wina... – zaczął Brian, popatrzył na Jima, zawahał się, a potem wybuchnął: – Tak, do licha, tak! Coś jest bardzo nie w porządku! Mam na oku coś naprawdę wielkiego, ale nie mogę się tym cieszyć. Tak nie powinno być!

–Brianie – rzeki Jim. – Wylej to rozwodnione wino. Rycerz opróżnił swój kilkakrotnie dopełniany wodą kielich.

Oczywiście, na podłogę. Kiedyś Jim skrzywiłby się na ten widok. Jednak czas spędzony tutaj przyzwyczaił go do takich zachowań, a ponadto służba, oczywiście, posprząta tu później. Brian już sięgał po dzbanek.

–Nie, nie! – powstrzymał go Jim, ostrzegawczo unosząc palec, a kiedy przyjaciel zawahał się, patrząc na niego, Jim wziął od niego dzban, napełnił winem jego kielich i podsunął mu. – Nie nalałeś sobie tego kielicha – powiedział do Briana. – Ja to zrobiłem. I postąpiłbyś bardzo nieuprzejmie, gdybyś mi odmówił.

–Och? Aha! – rzekł Brian, unosząc brwi, a potem uśmiechając się ze zrozumieniem. Zacisnął w dłoni kielich. – Tak, tak, oczywiście, Jamesie. Bardzo nieuprzejmie. – Pociągnął tęgi łyk i jego twarz rozpromienił błogi uśmiech. – Aach! – odetchnął z ulgą i satysfakcją.

–Mówiłeś, że coś jest nie w porządku – przypomniał Jim.

–Owszem – przytaknął Brian i przez chwilę znów marszczył brwi, ale zaraz się rozpogodził. – Jednakże nie powinienem obarczać cię moimi kłopotami, Jamesie...

–Masz na to moją zgodę, Brianie – rzekł Jim, zanim przyjaciel zdążył skończyć.

–Na mą duszę, James! Oto cały ty! – zawołał Brian. – Nie przeczę, że przyjechałem tutaj z myślą że

porozmawiam o tym z tobą. Jednak nie przychodzi mi to łatwo. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka miesięcy będę nazywał tego człowieka ojcem. Jednak przysięgam, że nie zamieszkać z nim pod jednym dachem.

Jim zrobił należycie zaskoczoną minę, ale niepotrzebnie. Brian już się rozgadał.

–Dobry pan Malvern jest gorszy od osiołka, który zaledwie spojrzy na jeden żłób z sianem, a już myśli o drugim, równie pełnym – a myśląc o nich, wyobraża sobie następne. Już dawno powinniśmy dać na zapowiedzi i od miesiąca być po ślubie. Geronde i ja czekaliśmy wiele lat i jej życie nieraz było w niebezpieczeństwie z powodu tego, że nie było mnie u jej boku. Dlatego nosi na twarzy tę bliznę pozostawioną przez piekielnika, który przed tobą panował w Malencontri. Pamiętasz, że usiłował ją w ten sposób zmusić do małżeństwa i zostawił jej ten znak na całe życie! Powiadam ci, to więcej niż człowiek jest w stanie znieść i nadal udawać uprzejmość!

Jim poczuł przyływ współczucia. Wspomniany piekielnik, czyli sir Hugh de Bois de Malencontri, podstępem wszedł do Malvern z dostatecznie liczną świtą aby zająć zamek. Próba nakłonienia Geronde do małżeństwa była oczywiście bezprawna, ponieważ tylko ojciec Geronde lub król, gdyby ojca uznano za zmarłego mógł udzielić na nie zgody. Jednak sir Hugh zawsze uważał, że należy najpierw działać, a potem skłaniać innych, aby to zaakceptowali. W tym wypadku mogło mu się to udać. Pomimo usilnych starań doradców, król nie wykazywał ochoty do zajmowania się problemami swego królestwa. Chciał, by zostawiono go w spokoju i pozwolono sprawom toczyć się własnym biegiem. Spora łapówka wręczona przez sir Hugh'a z pewnością umocniłaby Jego Królewską Mość w tym przekonaniu.

Jim zanotował w myślach, aby zapytać Carolinusa – mistrza magii, u którego praktykował – czy tej blizny na policzku Geronde nie udałoby się jakoś usunąć. Tak przyzwyczaił się do odwagi, z jaką Geronde nosiła tę jedyną skazę na swojej urodziwej i delikatnej twarzyczce, że prawie zapomniał o jej istnieniu. Jednak Geronde musiała nieustannie o niej pamiętać, szczególnie ilekroć spotykała kogoś, kto nigdy przedtem jej nie widział.

–Sądzę, że sir Hugh już dawno nie żyje – rzekł Jim. – Kiedy ostatnio go widzieliśmy, z całą pewnością nie ruszał się i leżał na ziemi, poza ochronnym kręgiem laski Carolinusa.

–Tyle że później nie było go tam – rzekł Brian, pochylając się – kiedy zły mag Malvinne został wciągnięty, bezwładny i bez życia, jak wisielec, do Króla i Królowej Śmierci. Nie możemy mieć pewności. Jeśli jednak de Bois żyje i znów stanie na mojej drodze... – Brian zapatrzył się w dal, skupiony na własnych myślach, a jego twarz znów przybrała ten sokoli wygląd, lecz w jego oczach nie było radości. Były groźne i skupione co rzadko się zdarzało.

–W każdym razie – rzekł Jim, porzucając temat sir Hugh'a – wspominałeś, że sir Geoffrey z jakiegoś powodu zwrócił się przeciw tobie i Geronde?

–Przez uprzejmość wymieniłeś Geronde – rzeki Brian, uspokoiwszy się. – Ale to ja jestem osobą której sir Geoffrey zamierza narobić kłopotów. James, on wyznaczył sumę za rękę swojej córki! Chce osiemdziesiąt funtów! Możesz w to uwierzyć? Jakby była jakąś księżniczką z bajki zasobną w klejnoty! Osiemdziesiąt funtów wystarczy, aby przez dwa lata utrzymać zamek Smythe i wszystkich jego mieszkańców!

–Hm – mruknął Jim.

–Och, on twierdzi, że to dla dobra Geronde, nie jego. Mówi, że natychmiast przekaże jej tę sumę jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby coś mi się stało. Co za bzdury! Z początku żądał dwustu funtów, ale Geronde w końcu stargowała do osiemdziesięciu. Więcej nie chciał opuścić i ma jej oddać całą sumę, gdy tylko zapłacę. Słyszałeś coś podobnego?

–Nie – odparł poważnie Jim.

Wiedział, że minimalne dochody rycerza potrzebne do utrzymania zamku i niezbędnej służby to co najmniej pięćdziesiąt funtów rocznie. Brian ledwie wyciągał tyle w dobrych latach, a i to głównie ze zwycięstw na turniejach niż z upraw i dzierżawy kiepskich ziem. Zeszłej zimy, po turnieju bożonarodzeniowym u earla Somerset, został nagrodzony kubkiem złotych monet, ale takie nagrody rzadko się zdarzały. Cypryjski szuler pozbawił Briana znacznej części tej nagrody. Zazwyczaj trofea wręczane zwycięzcom turniejów były okazałe, ale mniej wartościowe. Część przychodów Briana pochodziła ze sprzedaży przechodzących na jego własność koni i zbroi pokonanych przeciwników.

Mimo wszystko zwycięstwa na turniejach były niepewnym i ryzykownym sposobem zarobkowania – szczególnie że zawsze można było przegrać. Przypadek lub szczęście mogły sprzyjać prawie równie dobremu rywalowi. Trzeba Brianowi przyznać, że nie zdarzało się to często.

–No cóż – powiedział Jim. – Jeśli on po prostu zamierza przekazać je Geronde, to ona w razie potrzeby może ci je oddać, żeby utrzymać zamek Smythe. Po ślubie będzie to tak samo jej dom jak twój.

–Och, jeśli będzie trzeba, zrobi tak – rzekł Brian. – Powiedziała mi to, gdy tylko sir Geoffrey nie mógł nas usłyszeć. Jednak najpierw muszę mieć tę sumę, żeby mu ją wręczyć, a gdzie znajdę osiemdziesiąt funtów, James? – Spojrzał na Jima. – Mówię ci – ciągnął. – To pytanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Jak wariat biegałem tam i z powrotem po moim zamku, obmyślając setki różnych sposobów, ale zawsze wracałem do punktu wyjścia. Wszystkie zwycięstwa, jakie mógłbym odnieść w ciągu całego roku, nie przyniosą mi takiej sumy. Ponadto Geronde i ja czekaliśmy już tyle lat!

–Wiem – powiedział Jim. Chętnie pożyczylby Brianowi pieniądze, gdyby miał, co było tak zrozumiałe, że nawet

nie musieli o tym mówić. Mając Malencontri, znajdował się w znacznie lepszej sytuacji niż Brian. Ziemie i inne źródła dochodów przynosiły mu rocznie prawie sto dwadzieścia funtów. To jednak wcale nie oznaczało, że kiedykolwiek miał osiemdziesiąt funtów gotówką. – A dlaczego sir Geoffrey wyznaczył taką cenę? – zapytał. – Coś musiało podsunąć mu taki pomysł.

–Niech mnie diabli, jeśli wiem! – odparł Brian. Napełnił kielich, zawahał się, a potem dołał do niego odrobinę wody. – Geronde może się domyśla, aleja nie mam pojęcia!

Właśnie w tej chwili Geronde opowiadała o tym Angie w słonecznym pokoju.

Rozdział 4

–Oczywiście, marzą mu się imperia, które mógłby zdobyć, oraz nieprzebrane skarby, jakie mógłby znaleźć, gdyby tylko miał trochę pieniędzy, żeby ich poszukać. Jest taki jak zawsze, wcale się nie zmienił po tym, jak Brian i James wyzwolili go z niewoli. Mówię ci, Angelo, mój ojciec doprowadzi mnie do szaleństwa!

Geronde wreszcie doszła do sedna sprawy, o której przyjechała porozmawiać z Angie.

Angie cierpliwie wysłuchiwała koniecznego wstępu. W rozmowie z Jimem Brian nie potrafił bezpośrednio przejść do dręczących go problemów – podobnie było z Geronde. Jednak przewyciężywszy początkowe opory, Brian natychmiast dochodził do sedna sprawy. Tymczasem Geronde zbliżała się do celu jak koliber, aby niespodziewanie przeskoczyć na inny temat i dopiero po chwili wrócić do głównego. Częściowo wynikało to z obowiązujących w owych czasach zwyczajów, ale także z oporów i skrępowania Geronde. Pogruchała czule nad małym Robertem, który akurat nie spał i jak zwykle z zadowoleniem spoglądał na świat, wymachując rączkami i nóżkami w urządzeniu zwanym kołyską, w którym uparcie kładła go Angie, nie zezwalając na praktykowane w średniowieczu spowijanie w liczne warstwy materiału i mocowanie do łatwo dającej się przenosić deski. Wszyscy, łącznie z Geronde, w duchu uważali, że metoda Angie nie wyjdzie chłopcu na dobre.

Porozczulawszy się, Geronde przyjęła kubek wina z wodą i porozmawiała o pogodzie, o niezłych zbiorach, o żrebacku, który przyszedł na świat w stajniach Malvern i wygląda tak obiecująco, że może zostanie jej osobistym wierzchowcem... A w końcu zapytała Angie, jak układają się sprawy w Malencontri.

Angie słuchała cierpliwie i udzielała prawidłowych odpowiedzi, wiedząc, że z czasem Geronde dojdzie do sedna sprawy, co też się stało. Teraz w końcu zaczęła mówić o swoim prawdziwym problemie związanym z ojcem, który powrócił do domu po bezowocnej próbie zdobycia fortuny na odległym Wschodzie.

–...wcale się nie zmienił – powiedziała do Angie. – Bynajmniej się tego nie spodziewałam, ale przysięgam, że zapomniałam, jak szalone pomysły miewa. Teraz, kiedy znów jest na zamku, ponownie uzmysławiam sobie, jak bliskie szaleństwa były jego rojenia, marzenia i sny o zdobyciu tego, co uzyskać może tylko mag lub król. Przypominam sobie, że wyraźnie zadawałam sobie z tego sprawę już wcześniej, zanim zostawił mnie samą, z całym Malvern na głowie.

Ciekawość zwyciężyła i Angie nie zdołała się powstrzymać, choć w duchu obiecywała sobie zachować cierpliwość i poczekać, aż przyjaciółka sama poruszy temat, który chciała omówić.

–Powiedz mi, Geronde, czy naprawdę miałaś zaledwie jedenaście lat, kiedy ojciec zostawił cię samą w Malvern?

–Tak, istotnie, miałam tyle lat – odparła Geronde. – I przysięgam, że nie brakowało takich jak ja dziewcząt i kobiet pozostawionych równie młodo i równie nie przygotowanych do zarządzania dobrami. Och, nie nauczyłam się tego od razu. Po tym, jak opuścił mnie po raz pierwszy, jeszcze kilkakrotnie wracał do domu, ale za każdym razem tylko na kilka tygodni, a potem znów wyjeżdżał. Aż przyszedł czas, gdy mi oznajmił, że zamierza wziąć udział w wyprawie krzyżowej, która wyruszy z Włoch, i zdobyć fortunę. Wtedy skończyłam już czternaście lat. Jednak wszystko zaczęło się, kiedy miałam jedenaście.

–Nie mogę sobie tego wyobrazić – powiedziała Angie. – Jak to? Po prostu przyszedł i powiedział: „Jesteś kasztelaną”?

–Nie, oczywiście, że nie – odparła Geronde. – Oczywiście, był stary dureń, majordomus. Wiedziała, że to głupiec, zanim jeszcze ojciec pozwolił mu zajmować się wszystkim. Jednak wciąż nie wierzyłam, że ojciec może nie wrócić, a ja będę musiała wziąć na siebie zarządzanie całym zamkiem i naszymi ziemiami. Mój ojciec... kiedy opuszczał zamek, był zimny i deszczowy marcowy dzień. Ojciec odjechał, przysięgając, że wróci do domu do świętego Marka, kiedy będzie kwiecień i dość sucho na orkę. Jednak nie wrócił do świętego Marka. Nie było go też do świętego Jana, pierwszego maja ani w Nawiedzenie Matki Boskiej trzydziestego pierwszego maja, a do świętego Barnaby doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej czekać z założonymi rękami. – Geronde miała ponurą minę. – Majordomus wołał siedzieć beczynnienie niż zrobić coś, czym mógłby napytać sobie kłopotów. W końcu tylko siedział i pił całymi dniami. Tak więc poszłam do kwatery naszych zbrojnych i kazałam dowódcy – nazywał się Walter – zebrać wszystkich. Kiedy przyszli, wygłosiłam krótką mowę. Spojrzałam na nich, a oni na mnie. „Jestem panią tego zamku”, powiedziałam. „Czy ktoś z was temu zaprzeczy?” – Geronde zamilkła.

–I co powiedzieli? – spytała Angie.

–A co mieli powiedzieć? Popatrzyli na mnie niepewnie i po chwili Walter rzekł cicho: „Nikt temu nie zaprzecza, milady”. Po raz pierwszy nazwał mnie wtedy „milady”.

Angie skinęła głową.

– „A zatem”, powiedziała im, „nasz zamek i ziemie potrzebują kasztelanki, a ponieważ ja jestem panią tego zamku, nikt inny nie może nią być. Jesteście mi winni posłuszeństwo, tak samo jak waszemu panu. Zrozumiano?”

Angie pokręciła głową i zamruczała coś z podziwem.

– Wahali się – ciągnęła Geronde. Ale po chwili przyznali, że i moje ostatnie słowa były prawdą. „Doskonale”, powiedziała. „Od tej pory wykonujecie moje rozkazy, a nie majordomusa”. A było sporo roboty. Pola leżały odłogiem, a w zamku panował nieład. – Milczała chwilę, spoglądając w dal. – Zbrojni towarzyszyli mi, gdy poszłam wydać rozkazy, które miały na nowo wprawić wszystko w ruch. Chciałam, aby wszyscy wiedzieli, że nie zamierzam tolerować żadnych sprzeciwów, i tak też się stało. Wprowadziłam się do komnaty ojca, przed którą zawsze pełnili straż dwaj wartownicy. „Kiedy wróci ojciec”, powiedziała im, „będziecie, oczywiście, traktować go jak waszego pana. Pamiętajcie jednak, że dopóki nie zdecyduje inaczej, ja rządę tym zamkiem i ziemią. Od dziś ja noszę kasztelański pas oraz klucze. I będę nosić go w jego obecności, chyba że każe mi go zdjąć”. – Geronde zamilkła i przez chwilę oddychała z trudem. Kiedy zaczęła mówić, w jej głosie pojawił się gwałtowny ton. – Ojciec nie wrócił aż do dnia świętego Bartłomieja, kiedy jabłka dojrzały do zerwania. Został niewiele dłużej niż dwa tygodnie. Zobaczył kasztelański pas na moich biodrach, zobaczył, że zbrojni i słudzy wykonują moje rozkazy, i nic nie powiedział. – Skrzywiła się gniewnie. – Wcale go to nie obchodziło! Byle tylko nie musiał się o nic troszczyć! – Opanowała gniew. – Potem znów wyjechał na kilka miesięcy, wrócił na krótko, a po kilku następnych wyjazdach wyruszył na tę krucjatę. Trzymałam majordomusa jeszcze jakiś rok, żeby sąsiedzi nie pojęli, że można łatwo przejąć zamek. Kiedy niektórzy zorientowali się, że w rzeczywistości to ja wszystkim rządę, pozbyłam się go. Od tego czasu Malvern doskonale prosperuje, jak zapewne wiesz.

Przez chwilę milczały obie. Geronde zatopiła się we wspomnieniach, a Angie czekała.

– Jednak nie przyjechałam tutaj, żeby opowiadać ci o tym, Angelo – powiedziała Geronde. – Mój ojciec wrócił i Malvern należy do niego, chociaż niech mnie licho, jeśli pozwolę, aby popadł w ruinę pod moją nieobecność. Będę miała wszystko na oku i postaram się, żeby wszystko szło jak należy, nawet kiedy przeniosę się do zamku Smythe. A samo zaprowadzenie porządku w tym kawalerskim gnieździe będzie trudnym zadaniem. – Znów zawrzała gniewem. – Ojciec – wypaliła – postanowił teraz zażądać od Briana ceny za moją rękę. Nie chce zgodzić się na mniej niż osiemdziesiąt funtów.

Angie była zaskoczona. Geronde mówiła dalej:

– Ojciec przysięga, że te pieniądze są dla mnie, ale obawiam się, że nie możemy mu ufać. Może zechce sfinansować nimi swoją kolejną szaloną wyprawę. Jednak nie ma sensu o tym mówić. Zrobiłam, co mogłam, żeby obniżyć cenę, i nikt nie zdołał w tej sprawie osiągnąć nic więcej. Chcę porozmawiać z tobą o Brianie.

– O Brianie? – zdziwiła się nieco Angie.

– Tak – potwierdziła Geronde. – To żądanie bardzo go przygnębiło... – Znów urwała i zmieniła temat: – Przy okazji, Angelo, błagam cię, wyświadczyć mi przysługę!

– Oczywiście.

– Chodzi o to, że jeśli będziesz siedziała przy stole z Brianem, w mojej obecności czy nie – chociaż wątpię, aby zachodziła taka potrzeba, jeśli ja przy tym będę – jeżeli zauważysz, że podnosi kielich, do którego nie dołał wody, możesz zrobić zdziwioną minę?

– Zrobić zdziwioną minę? – powtórzyła cierpliwie Angie. – Dobrze.

– Rozumiesz, chciałabym, abyś na niego spojrzała. Nie karcąco, wystarczy lekkie zdziwienie. To wszystko.

– Z pewnością mogę to zrobić – stwierdziła Angie. – Czy mogłabym jednak poznać powód?

– Oczywiście – odparła Geronde. – Chcę, żeby zawsze rozcieńczał wino. Bardzo tego nie lubi i w głębi serca wcale nie mam mu tego za złe. Nie jest pijakiem, jak wiesz. Chociaż często wypija pierwszy puchar duszkiem, razem z towarzyszami, którzy nie zauważają, że w trakcie uczyt zwalnia tempo, aż w końcu prawie wcale nie pije. Dlatego nigdy, prawie nigdy, się nie upija.

– To prawda – przytaknęła Angie. Teraz, kiedy wspomniała o tym Geronde, przypomniała sobie, co powiedział jej kiedyś Jim. Zauważył, że podczas uczyt Brian pił z każdą godziną mniej, chociaż otaczający go ludzie nie wylewali za kołnierz.

– Istotnie – powiedziała Geronde. – Jednak podczas takich przyjęć jak to bożonarodzeniowe u earla Somerset, kielichy napełnia sługa, który dopełnia je wodą na skinienie ręki. Nie chcąc się wyróżniać, Brian także kazał mu to robić. Nie byłoby w tym nic złego, tyle że ilość dodawanej wody za każdym razem była różna.

– Wiem, o czym mówisz – mruknęła Angie, której na tej świątecznej uczyt podano kielich prawie nie rozcieńczonego wina po kilku zawierających prawie samą wodę. W przegrzanej, zatłoczonej wielkiej sali duszkiem opróżniła kielich – i prawie się zadławiła.

– Słudzy często bywają nietrzeźwi – ciągnęła Geronde. – W takich sytuacjach Brian nie wie, kiedy powinien przestać pić. Nie jest w stanie ocenić, ile wypił, i albo siedzi spragniony, w złym humorze, co może skończyć się natychmiastowym lub późniejszym pojedynkiem z którymś z pijanych kompanów, albo przecenia ilość dodanej do trunku wody i wypija więcej niż zwykle.

Kiedy Jim i Angie znaleźli się w tym średniowiecznym świecie, Angie próbowała w takich chwilach wytłumaczyć Geronde, że samo rozcieńczanie wina nie zmniejsza zawartości alkoholu w całkowitej objętości roztworu. Do tej pory nauczyli się już z Jimem, że nie ma sensu tłoczyć dwudziestowiecznej wiedzy do czternastowiecznych głów. To na nic.

–A więc chcesz go przyzwyczaić do picia wina z wodą, aby mógł lepiej ocenić swoje możliwości? Wiem, że Jim powiedział kiedyś, iż jego zdaniem Brian stara się nie nadużywać wina, aby w razie potrzeby móc sprawnie posłużyć się bronią, gdyby ktoś usiłował go sprowokować, myśląc, że pijany będzie mniej groźnym przeciwnikiem.

–To także prawda – przyznała Geronde. – Pomożesz nam?

–Tak, oczywiście. Z miłą chęcią. Tylko co to ma wspólnego z ceną za twoją rękę i jak ta sytuacja wpłynie na Briana?

–Powinnaś raczej powiedzieć, jak już wpłynęła!– zawołała z gniewem Geronde.

Angie wytrzeszczyła oczy. Ktoś zapukał do drzwi.

–W tej sytuacji – powiedział Brian do Jima, wstając i ponownie wyglądając przez wąską strzelnicę – zacząłem szukać jakiegoś sposobu, żeby zdobyć pieniądze. W końcu, nie mogąc już tego znieść, złożyłem wielkie ślubowanie. Nie zwykle śluby, rozumiesz, Jamesie, lecz przysięgę przed ołtarzem mojej... no, tego, co zostało z mojej zamkowej kaplicy. Poprzysiągłem, że zdobędę te pieniądze, nawet gdybym musiał je pożyczyć od samego diabła! – Odszedł od wykuszu, żeby znów usiąść. – I tak się złożyło, Jamesie – rzekł, wyciągając rękę i kościstym palcem stukając w ramię Jima – że w ciągu tygodnia ten sposób sam się znalazł. – Ponownie usiadł na łóżku. Najwyraźniej oczekiwał zdumienia, więc Jim starał się je okazać.

–Naprawdę?

–W istocie. – Brian zamilkł, szukając słów. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że król ma również innych doradców poza sir Johnem Chandosem? Niektórzy z nich są earlami lub diukami, inni wielkimi posiadaczami ziemskimi. Grupa tych doradców poradziła ostatnio królowi, aby nałożył liczne nowe podatki, takie jak ostatnia dziesięcina czy pogłowne – w wysokości jednego pensa od najbiedniejszych po funta od najznamienitszych – albo podatek od obrotu ziemią. – Brian potrząsnął głową – To wszystko, łącznie z roczną daniną na Święty Kościół – przeżegnał się – i tym podobnymi opłatami, którym oczywiście nie jesteśmy przeciwni, pochłaniają wszystkie nasze fundusze i budzą słuszny gniew takich ludzi, jak earl Oksfordu i inni. Doszło do tego, że są zdecydowani wystąpić, rzecz jasna nie przeciwko królowi, ale tym, którzy go otaczają.

Jim poczuł się nieswojo. Wzmianka o earlu Oksfordu dowodziła, że Brian mówił o najwyższych kręgach politycznych państwa, gdyż ten arystokrata od dawna współzawodniczył – i to zażarcie – o królewskie względy z earlem Cumberlandem. W tym współzawodnictwie Cumberland miał ogromną przewagę, jako przyrodni brat króla. Jim pomyślał z niepokojem, że nie są to kręgi, w których powinien obracać się Brian.

Wiedział, że w innych okolicznościach Brian wystrzegałby się tego, ale nierealne wymagania ojca Geronde mogły pozbawić go zdrowego rozsądku.

Jakby wiórując myślom Jima, Brian ciągnął:

–To lord Cumberland jest doradcą króla... A przy okazji, czy mówiłem ci, że Agatha Falon wróciła na dwór i nie tylko znów jest w dobrych stosunkach z królem, ale również z Cumberlandem?

–Nie wiedziałem o tym – rzekł Jim, marszcząc brwi. Agatha, ciotka małego Falona, już raz próbowała zabić dziecko, a także Angie. Jim sądził, że ta kobieta nie ma już żadnej władzy.

–Jak już mówiłem – ciągnął Brian – to Cumberland i jego poplecznicy wzięli władzę w swoje ręce, wmawiając Jego Wysokości, że uwolnią go od brzemienia obowiązków.

–Hm – mruknął Jim w zadumie.

–Nawet nie musiałem szukać. Jeszcze nie zdążyłem niczego wymyślić, kiedy przybył do mnie emisariusz. Wiesz, Jamesie... – Pochylił się i wesoło klepnął Jima w kolano. – Zaproponowali mi, żebym dołączył do oddziałów, które zbierają. Co o tym sądzisz? Któryś z nich wejdzie w spór z earlem Cumberlandem lub innym takim doradcą a w rezultacie oddziały te najadą ziemię Cumberlanda. Potem wycofają się i pozornie rozwiążą. Potem wybuchnie nowy spór i oddziały znów się zbiorą żeby najechać inne włości.

–Przecież... – zaczął Jim, lecz Brian uciszył go, unosząc rękę.

–Chcesz zapytać, zupełnie słusznie, czy miałbym prawo wziąć udział w takich działaniach. Powiem ci, że natychmiast udałem się do mego dobrego pana, earla Somerset, którego jestem lennikiem. Poprosiłem go o zgodę na podjęcie walki w jego sprawie.

–Zrobiłeś to? – wytrzeszczył oczy Jim. – Teraz wszyscy będą wiedzieć, że jesteś w to zamieszany.

–Jakie to ma znaczenie? – odparł Brian. – Wyraził zgodę, rozumiejąc mnie, ale samemu nie mogąc angażować się w takie działania. Chodzi o to, żeby przysporzyć tym chciwym doradcom wydatków, ograniczając cały spór do nich i tych, którzy myślą inaczej, nie wciągając w to króla. Oczywistym rezultatem będzie powrót doradców na ich ziemię i do zamków. Czy to nie sprytny plan?

–No cóż... – zaczął powoli Jim.

–Wiedziałem, że docenisz jego zalety – mówił wesoło Brian. – To musi się udać.

–Tak, ale... – zaczął Jim, ale Brian znów mu przerwał.

–Zaczekaj, Jamesie – rzekł, podnosząc rękę. – Pozwól, że opowiem ci wszystko. Oni zamierzają zapłacić mi osiemdziesiąt funtów. Czterdzieści funtów z góry i czterdzieści po tym, jak oddziały zrobią swoje!

Jim otworzył usta, żeby wyrazić swoją opinię na temat nikłych szans Briana na odebranie drugiej części zapłaty, ale się powstrzymał. Wszelkie próby odwiedzenia przyjaciela od tego zamysłu były z góry skazane na niepowodzenie.

Brian nigdy nie był dobrym biznesmenem. Zbyt wierzył w honor innych szlachetnie urodzonych, słusznie lub nie. Z drugiej strony osiemdziesiąt funtów gotówką płatne natychmiast to niemal zbyt wiele jak na jakiegokolwiek wojenne usługi. Jim postanowił zwrócić mu uwagę na inny, być może ważniejszy aspekt sprawy.

–Brianie – rzekł jak najspokojniej. – Czy nie zachodzi obawa, że chociaż w rzeczywistości nie występujesz przeciwko królowi – otaczający go doradcy mogą go przekonać, iż jesteś buntownikiem lub przestępcą którego należy postawić przed obliczem sprawiedliwości? Możesz wpakować się w poważne tarapaty.

–E tam! – odparł z uśmiechem Brian. – Pojedziemy, powywijamy bronią wokół zamku jednego z tych lordów, którzy pakują ręce do zasobnej królewskiej kiesy, a potem znikniemy. Nikt nawet nie będzie wiedział, kim byliśmy. Tymczasem ci, którzy wydają mi rozkazy, będą przekonywać króla, iż to było oznaką rosnącego niezadowolenia poddanych z powodu nowych podatków. Nie widzę tu żadnego ryzyka ani niebezpieczeństwa, oprócz nieszczęśliwego wypadku, do jakiego zawsze może dojść w gromadzie zakutych w stal rycerzy. Oczywiście, król nic nie będzie wiedział o tym planie.

–Skąd możesz być tego pewny, Brianie? – zapytał Jim. – Może on lub jego otoczenie już o nim słyszało. Wiesz, że kiedy ten rycerz z ludźmi jechał traktem od strony twojego zamku.

–Zamku Smythe? – powiedział Brian, prostując się. – Dlaczego miałoby nadjeżdżać od mojego zamku?

–Sam zadawałem sobie to pytanie – odparł Jim. – Sądząc po tym, co mi powiedziałaś, może to oznaczać kłopoty. To królewski oficer i ma dość liczny oddział, aby zająć mały... chciałem powiedzieć, zamek taki jak twój, szczególnie mając przewagę wynikającą z zaskoczenia. Czy to możliwe, aby wieść o planach tych anonimowych lordów mogła dojść do uszu króla albo tych, którzy stoją za nowymi podatkami?

–Nie wierzę w to, Jamesie – powiedział powoli Brian. – To zbyt szybko. Minęły zaledwie dwa tygodnie, od rozmowy z emisariuszem, który chciał mnie wynająć.

–A jednak... – zaczął Jim.

Brian przez dłuższą chwilę spoglądał w dal. Potem odprężył się i uśmiechnął.

–Nie, nie – stwierdził. – To niemożliwe. – Uśmiechnął się krzepiąco. – A zresztą już wyraziłem zgodę. Moim zdaniem to bardzo zręczny plan. Ta historia z szukającym mnie królewskim oficerem to część planu moich pracodawców, którzy chcą wywołać wrażenie, że w kraju są ludzie gotowi zbuntować się przeciwko nadmiernym podatkom. To wszystko. Nie może być inaczej.

Zupełnie uspokojony, oparł się wygodnie i pociągnął łyk wina.

Jim spoglądał na przyjaciela ze spokojną miną ale z rozpaczą w sercu. Nie mogąc znaleźć słów, wstał i podszedł do najbliższej strzelnicy, aby popatrzeć i zyskać chwilę do namysłu. Chociaż Brian nie brał tego pod uwagę, ryzykował oskarżenie o zdradę. Oczywiście w jego sercu nie było zdrady, ale to nie miało znaczenia, jeśli ktoś przekona króla, że jest inaczej.

Jak grom z jasnego nieba nagle uderzyła go zupełnie nowa myśl. Gdyby Brian został oskarżony o zdradę, podejrzenia natychmiast padłyby na najbliższe mu osoby, na przykład na Jima i Angie. Tak rozumowano na królewskim dworze. W takim wypadku aresztowanie nastąpiłoby równie niespodziewanie, jak... powiedzmy, ten sam piorun z jasnego nieba.

Czy wizyta rycerza w zamku Smythe i przybycie do Malencontri miały z tym coś wspólnego? Jim wyraźnie spojrział na dziedziniec.

–I co ty na to? – rzekł. – Rycerz odjeżdża, razem ze swoimi ludźmi.

–Tak mówisz? – Usłyszał za plecami kroki Briana, który zerwał się z krzesła i szybko podszedł do drugiej strzelnicy. – Na Boga, masz rację!

Patrząc na dziedziniec w dole, widzieli, jak ostatni królewscy zbrojni przejeżdżają przez bramę i po zwodzonym moście.

–A więc to tak! – podsumował Brian, odchodząc od okienka i wracając na łóżko.

Jim usłyszał plusk nalewanego do kielicha wina lub wody – prawdopodobnie raczej wina. Odwrócił się.

–Znacznie szybciej, niż oczekiwałem – wyznał. – Zastanawiam się...

Nie zdołał głośno wyrazić swoich wątpliwości, ponieważ w tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Geronde, a tuż za nią Angie. Jim wstał z krzesła, zwalniając je dla tej, która zechciałaby usiąść. Angie przystanąła, a Geronde – jako gość – po krótkim wahaniu usiadła na krześle.

–Jak udało wam się tak szybko pozbyć tego człowieka? – zapytał Brian.

–Już wcześniej pytał, czy zastał tu Jima – odparła Angie, spoglądając na męża. – John Steward powiedział mi, że po raz ostatni widziano cię, gdy jako smok opuszczałeś zamek. Rycerz spytał mnie, czy wyruszyłeś na kolejną

wyprawę z Brianem, i dodał, że właśnie jedzie z zamku Smythe, w którym również nie zastał właściciela, dlatego przyszło mu do głowy, że może wyruszyliście gdzieś razem.

–I co mu powiedziałaś? – zapytał Jim.

–Oczywiście, zapewniłam go, że nie wiem – odrzekła Angie. – Powiedziałam mu, że nigdy nie mówisz mi o takich sprawach, dopóki nie jest już po wszystkim...

–A ja – wtrąciła Geronde – dokładnie to samo powiedziałam o Brianie. Nigdy nie mówi mi nic o swoich wyprawach czy bitwach, dopiero kiedy się skończą. Potem wyznałam mu, że wkrótce zamierzamy się pobrać, a on życzył mi długiego i szczęśliwego małżeństwa.

–Czy wyglądał na przekonanego? – spytał Jim.

–Moim zdaniem tak – odrzekła Angie. Zwróciła się do przyjaciółki: – Jak uważasz, Geronde?

–Och, uwierzył w każde nasze słowo! W końcu niewielu mężów mówi żonom o celach swych podróży – tak samo jak ojcowie nie opowiadają się córkom.

–W każdym razie to mu wystarczyło – dodała Angie. – Powiedział, że przybył tu tylko wręczyć ci rozkaz od sir Johna Chandosa wydany w imieniu króla...

Wyjęła kawałek pergaminu zalakowany wielką czarną pieczęcią teraz złamaną. Podała go Jimowi, który rozwinął pergamin i spojrzał.

Potrafił przeczytać dwudziestowieczne druki po łacinie i nawet trochę mówił w tym języku. Jednak czternastowieczne ozdobniki, a szczególnie pionowe kreski takich liter, jak „k” oraz „i” czy „h”, kłuły go w oczy jak włócznie miniaturowej armii i cała stronica wydawała mu się gmatwaniną linii mozolnie nakreślonych przez przedszkolaka. Oddał pergamin Angie.

–Możesz to przeczytać?

–Już to zrobiłam – odparła. – To od sir Johna Chandosa. Prosi, abyś był gotowy. Na rozkaz króla masz dołączyć do oddziałów, które poprowadzi na północ przeciw wrogom Anglii. Nie pisze, co to za wrogowie, ale zgodnie z listem powinien tu być za dzień lub dwa.

Rozdział 5

–Dzień lub dwa... – powtórzył oszołomiony Jim. To istotnie szybko, szczególnie ze średniowiecznego punktu widzenia. Z drugiej strony zwierzchnicy zazwyczaj nie biorą pod uwagę, że podwładni chcieliby być zawiadamiani wcześniej, a Jim zdecydowanie był podwładnym króla, o czym przypominał ten list, a także, przynajmniej teraz, również sir Johna Chandosa. Zwrócił się do Briana: – Północ Anglii nie jest tym miejscem... – zaczął i urwał. – Nie ma nic wspólnego z tym, o czym mi mówiłeś?

–Nie – odrzekł Brian. – Dotychczas nic mi nie mówiono o północy.

Przez kilka sekund w komnacie panowała cisza.

–No cóż – przerwała ją raźnie Geronde. – Teraz już wiemy, po co przyjechali tu królewscy. Mieli doręczyć ci wiadomość, Jamesie. – Wstała. – A teraz, Brianie, powinniśmy już ruszać, jeśli chcemy dotrzeć do Malvern za dnia.

–Nie zostaniecie na noc? – zapytała Angie.

–Och, nie – odparła Geronde. – Wcale nie mieliśmy takiego zamiaru. Brian od kilku tygodni gości w Malvera, żeby zaznajomić się ze wszystkim. A ponieważ pogoda była dzisiaj taka ładna, postanowiliśmy zrobić przejażdżkę i dojechać aż do Malencontri na pogawędkę. Musimy wrócić na wieczerzę. Jeszcze nie dopiłeś wina, prawda, Brianie?

Jak na spontaniczną ich wizytę została niezwykle dobrze przygotowana – nawet poprzedzona wiadomością przyniesioną przez gołębia pocztowego. Jednak nikt o tym nie wspomniał, chociaż Brian dopiero po kilku sekundach milczenia niezręcznie potwierdził:

–W rzeczy samej – rzekł, z zainteresowaniem spoglądając na dno swojego kielicha.

–No cóż, pójdziemy z Angelą wydać rozkaz, by osiodłano i przyprowadzono konie. Dopij wino i dokończ rozmowę z Jamesem. Potem zejdźcie. My z Angelą będziemy w wielkiej sali albo na dziedzińcu. Chodź, Angelo.

Szeleszcząc sukniami, obie wyszły z komnaty. Brian z żalem spojrzał na kielich, a potem jednym haustem wypił resztę wina. Odstawił puchar na stół.

–Chyba nie musisz odjeżdżać tak szybko, prawda, Brianie? – zapytał Jim, znacząco sadowiąc się na opuszczonym przez Geronde krześle.

–Muszę. Muszę – rzekł Brian. – Geronde ma rację. Jeśli chcemy wrócić do Malvern, zanim podadzą wieczerzę, to powinniśmy już jechać. Siedz, Jamesie. Nie musisz mnie odprowadzać. – Ruszył do drzwi.

–Miałem nadzieję – powiedział Jim – że porozmawiamy o rym, co powinniśmy zrobić, gdybyśmy przypadkiem znaleźli się po przeciwnych stronach.

–Rzecz jasna powinniśmy się unikać – odparł Brian. – Nawet gdyby do tego doszło, zawsze znajdziemy innych, z którymi będziemy mogli walczyć.

–Mam nadzieję – rzekł Jim, ale podupał na duchu. Brian najwyraźniej postanowił rozpatrywać tę sytuację wyłącznie jako okazję do zdobycia potrzebnych mu osiemdziesięciu funtów.

–Ponadto – ciągnął Brian – przyznaję, że przybyłem tu w nadziei, że zechcesz się do mnie przyłączyć, Jamesie.

Czyż nie byłaby to ogromna przyjemność, gdybyśmy obaj mogli walczyć ramię w ramię? Rozumiem jednak, iż królewskie rozkazy nie pozostawiają ci wyboru. – Chociaż starał się tego nie okazywać, na twarzy Briana malował się smutek.

–Prawdę mówiąc – rzeki Jim – nie jestem tym tak zainteresowany jak ty, Brianie. Oczywiście masz po temu ważne powody. Mimo wszystko nawet zważywszy ten list, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cię zawiodłem.

Brian potrząsnął głową. Skręcił tak, aby w drodze do drzwi przejść za krzesłem Jima. Niespodziewanie położył dłoń na ramieniu przyjaciela i mocno je ścisnął. Powiedział ochryplym głosem, nabrzmiałym wzruszeniem:

–Nie myśl tak, stary druhu! – wykrztusił. – Nie myśl! Puścił ramię Jima i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero późnym wieczorem Jim znalazł okazję, żeby porozmawiać w cztery oczy z Angelą. Jednak nie mógł wybrać gorszej chwili.

–Co za dzień! – jęknęła Angela, padając na wielkie miękkie łożo w słonecznym pokoju. – Miłe spokojne lato i ty dla odmiany jesteś w domu, a tu masz! Jednego dnia: oblężenie, szukający cię królewscy, ojciec Geronde żądający osiemdziesięciu funtów i Brian zamierzający wyruszyć na małą prawdopodobnie nielegalną wojnę, żeby zdobyć te pieniądze, podczas gdy ludzie króla pewnie już chcą go aresztować. Panie, co będzie dalej?

–No cóż – rzekł Jim. – skoro już o tym wspomniałaś...

–Nie, nie, nie! – zawołała Angie, chowając głowę pod poduszkę. – Nie teraz. Jutro, Jim!

–Nie – nalegał. – Teraz. Jutro może przyjechać Chandos. Jutro wszystko może się zdarzyć. Musisz mnie wysłuchać.

Powiedział jej o swoich podejrzeniach odnośnie służby.

–Nonsens! – powiedziała. Kiedy zaczął mówić, zdjęła poduszkę z głowy. Teraz usiadła na łóżku. – Wydaje ci się.

–Mówię ci – upierał się Jim. – Oni pierwsi przejrzeni mnie i nie spodobało im się to, co odkryli. Nie lubią mnie.

Jestem prawie pewny. Ta ich troska to tylko pozory.

–Jeżeli tak myślisz, to zapytaj ich.

–Skłamią ze strachu. Albo z uprzejmości.

–Zapytaj May Heather. Jeśli cię nie lubi, powie ci o tym, tak samo jak o wszystkim, o co zapytasz.

–Trzynastoletnią dziewczynkę? Od niedawna na zamku? Nie mogę.

–No cóż, to najlepszy pomysł, jaki przychodzi mi dziś do głowy. Lepiej już śpijmy.

Tymczasem kilka mil dalej biegnący przez las i przystający od czasu do czasu, żeby sprawdzić to lub obejrzeć tamto, angielski wilk Aargh – kolejny przyjaciel Jima i Angie – zatrzymał się, czując słaby obcy zapach napływający z wieczornym wiatrem. Potem ruszył, zajęty swoimi wilczymi sprawami.

Zgodnie z listowną zapowiedzią John Chandos zjawił się nazajutrz po południu na czele dwudziestu kopijników. Był to tak liczny orszak, że Angie delikatnie zasugerowała, iż może powinni biwakować za murami. Sir John nie miał nic przeciwko temu, dobrze wiedząc, że nikt zdrowy na umyśle nie wpuszcza gromady zbrojnych do swego zamku, jeśli nie musi.

Chandos rozumiał to i nie obraził się, a jego ludzie również. Trzej towarzyszący mu młodzi rycerze także zostali zaproszeni do środka i usadzeni przy stole obok sir Johna i gospodarzy. Natomiast zwyczajni żołnierze przywykli częściej sypiać pod gołym niebem niż pod dachem, więc zawsze mieli jakieś płachty, z których stawiali namioty chroniące przed nocnym chłodem i poranną rosą. Z filozoficznym spokojem rozpalili ogniska i czekali, aż zamkowa służba przyniesie im jadło i napitki. Tymczasem sir John, jego rycerze, Angie i Jim zasiedli do obfitej, choć wczesnej wieszery.

–Będąc w pobliżu – powiedział sir John po niezbędnych prezentacjach i wymianie uprzejmości – postanowiłem was odwiedzić, ponieważ nie widzieliśmy się od Bożego Narodzenia, a zawsze spotykam się tu z miłym powitaniem.

To oczywiście była tylko formalna uwaga, wygłoszona na użytek ewentualnie podsłuchującej służby. Jim i Angie uśmiechnęli się uprzejmie.

Chandos z przyjemnością upił łyk wina z dużego prostokątnego kubka, który zdaniem Jima i Angie nie miał żadnych zalet poza tą, że był dostatecznie duży i nie wymagał częstego dopełniania, dlatego stawiali go przed honorowymi gośćmi. Sir John upił kolejny łyk i odstawił puchar na najlepszy obrus Malencontri.

–I znów pełnię zaszczytną państwową służbę w imieniu Jego Królewskiej Mości – powiedział.

–Znowu na walijskiej granicy? – spytała Angie, podtrzymując rozmowę. Kiedy sir John ostatnio przybył tu na czele zbrojnych, podążał właśnie w tym kierunku.

–Tym razem na szczęście nie – odparł Chandos. – Są inne kłopoty. Niestety nigdy ich nie brak.

Sługa przeszedł wzdłuż ścian wielkiej sali, zapalając wypełnione suchym drewnem kagańce – żelazne kosze, do których przytykał zapaloną nasączoną tłuszczem gałąź. Od cienkich i suchych wierzbowych witek niemal natychmiast zajmowały się grubsze kawałki drewna, dając zarówno światło, jak i miłe ciepło, uzupełniające to, które buchało z wcześniej zapalonych kominków. Płomienie najbliższego kosza rzucały blask na spokojną, urodziwą twarz sir Johna, który ujmująco uśmiechał się do Jima i Angie.

–Z pewnością jest mnóstwo spraw do załatwienia – powiedziała Angie, gdy sługa wyszedł.

–Obawiam się, że tak, lady Angelo – odparł strateg, arcyszpieg i doradca króla w jednej osobie. – Jednak takie jest życie. A prawdę mówiąc, wolę to od bezczynności. A wy tak nie uważacie?

–Ja nie mam w tej kwestii wyboru – odparła Angela. – Jednak owszem, wolę coś robić niż siedzieć bezczynnie.

–Ja również – rzekł Jim. – I ja także nie mam wyboru. Prawdę mówiąc, jeśli dobrze się rozejrzę, to nie widzę wokół nikogo, kto by go miał, od najskromniejszego sługi po najwyższego pana. Wszyscy ścigamy się z czasem.

–Tak to już jest. Co wybieriecie? – spytał Chandos. – Ja... ach, te wasze ciasteczka, które tak lubię!

Właśnie weszła May Heather, przygryzając dolną wargę i skupiając całą uwagę na niesionej wielkiej tacy z ciasteczkami, o których mówił Chandos. Były to babeczki z galaretką wprowadzone do menu przez Angie razem z kilkoma innymi dwudziestowiecznymi specjałami, łatwymi do zrobienia w czternastowiecznej kuchni. Chandos brał jedną po drugiej, zjadając je jak cukiereczki. May dygnęła, usilnie starając się przy tym nie upaść, po czym znikła.

–No cóż – rzekł Jim, usiłując w jakiś subtelny sposób skierować rozmowę na królewski rozkaz. – Co słyhać na królewskim dworze?

–Ach tak, wieści – rzekł Chandos, popijając galaretki tęgim łykiem wina. – No cóż, najpierw muszę powiedzieć, że młody książę Edward bardzo miło was wspomina. Zarówno was, jak i waszych przyjaciół... Pewnie ostatnio nie widzieliście żadnego z nich, szczególnie czarodzieja ani łuczника. Jak on się nazywał?

–Dafydd ap Hywel – odpowiedziała Angie.

–No właśnie, wiedziałem, że jakoś tak. A także, oczywiście, zacnego sir Briana i sir Gilesa de Mer oraz... no tak, tego wilka.

–Aargha – podsunęła Angie.

–Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że kiedyś zostaliśmy tu oblężeni przez węże morskie i mieliście na dziedzińcu olbrzyma. Czy on również był waszym przyjacielem?

–Owszem – przytaknął Jim. – To był Rrrnlf, diabeł morski, naturalny. Choć nie tak bliski przyjaciel jak ci, których wymieniliście wcześniej.

Prawdę mówiąc, Rrrnlf odwiedził Malencontri zaledwie kilka tygodni wcześniej. Przyszedł wyjaśnić, dlaczego nie był w stanie odpowiedzieć na wezwanie Jima, który na wiosnę potrzebował jego pomocy. Rrrnlf zawsze obiecywał natychmiast zjawić się na wezwanie – z dowolnego oceanu na świecie.

Miał dobrą wymówkę – na dzień Morza Czerwonego znalazł butelkę, nieopatrznie ją otworzył i wypuścił potężnego dżinna, który uwięził Rrrnlfa pod podwodną górą. Było to irytujące, ale nie stanowiło większego problemu dla diabła morskiego, który był ogromny, silny i mógł po prostu wykopać sobie drogę spod skały. Jednak zajęło mu to trochę czasu i dlatego pojawił się trochę za późno.

Przedziwne, ale kopiąc ten tunel, napotkał inne stworzenie – człowieka lub naturalnego, nie potrafił powiedzieć. Istota była trochę podobna do człowieka, ale miała najwyższą metr wysokości.

Towarzyszyła Rrrnlfowi podczas tej wizyty i przez cały czas nie odezwała się słowem – tylko gapiała się na Jima.

Rrrnlf wyjął ją z za koszuli. Dość brzydkie stworzenie miało na sobie skózaną spódniczkę i zbyt obszerną koszulę z tego samego materiału. Jej rękawy były nie tylko luźne, ale również tak długie, że zasłaniały ręce, którymi zdawał się zaciskać mankiety od środka.

Rrrnlf wyjaśnił, że to stworzenie również kopało tunel, ale ze względu na niewielkie rozmiary czyniło stosunkowo niewielkie postępy. Rrrnlf, który był uprzejmym diabłem morskim, mógł odrzucić zagradzający drogę głąz równie łatwo, jak człowiek odgarnia stosik kurzu. Zabrał stworzenie ze sobą.

Nie odpowiedziało, kiedy Jim spytał je o coś, tylko gapiło się na niego z szeroko otwartymi ustami, jakby nie mogąc uwierzyć własnym oczom. A przynajmniej tak Jim odczytał wyraz jego twarzy.

–Nigdy wiele nie mówi – wyjaśnił Rrrnlf, spoglądając na małą postać z czułą dumą właściciela domowego zwierzątka...

Jim wrócił myślami do tego, co mówił Chandos.

–Tak, tak – ciągnął Chandos. – Na przykład przydałby mi się teraz twój przyjaciel łucznik, gdyby nie był tak daleko. Myślisz, że chciałby przyłączyć się do mnie i moich ludzi, aby załatwić tę drobną sprawę stwarzającą zagrożenie dla królestwa? Otrzymałby sowitą zapłatę.

–Nie sądzę, aby Dafydd zechciał to zrobić – pokręcił głową Jim. – Nigdy nie był szczególnie zainteresowany wojaczką, chyba że w obronie własnej. Nie wiem, czy kiedykolwiek o tym mówił, ale podejrzewam, że nie miałby ochoty pomagać Anglikom.

–Hm – mruknął Chandos. – To zupełnie zrozumiałe u Walijszyka.

Po babeczkach z galaretką podano omlet ze szpikiem wołowym i siekaną wieprzowiną, który uważano za idealne letnie danie. Potem wniesiono znacznie pożywniejszy pasztet wołowy i biesiada trwała.

Jim przeżuwał w myślach fakt, że Chandos tylko przelotnie napomknął o człowieku, o którym wiedział, że jest najlepszym przyjacielem Jima – o Brianie. Chandos musiał zdawać sobie sprawę z tego, że Jim zwróci na to uwagę. Najwidoczniej jednak czekał z wyjaśnieniami do chwili, kiedy opuszczą wielką salę i będą mogli porozmawiać na osobności.

Na razie John Chandos oddał się rozmowie z Angie. Jim poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Nie uważał się za zazdrośnika, lecz obowiązująca w tych czasach etykieta wydawała się doskonale dostosowana do uwodzenia każdej damy, jaką dżentelmen napotka. W rzeczy samej niepodjęcie takiej próby wobec damy graniczyło z obrażą, a nie dało się zaprzeczyć, że maniere sir Johna były po prostu nienaganne. Jednakże tym razem Jim za bardzo martwił się o Briana, aby się tym przejmować, a poza tym ufał Angie.

Ona spostrzegła, że Jim jest dziwnie milczący – co było równie zauważalne, jak pełne szacunku milczenie trzech młodych rycerzy, i zaczęła się zastanawiać, czy może zaniepokoił go jakiś fragment jej rozmowy z sir Johnem. Trochę bawiło ją, że małżonek jest zazdrosny o sir Johna. Był on już po czterdziestce, a może nawet po pięćdziesiątce, chociaż wcale na to nie wyglądał i niewątpliwie był atrakcyjnym mężczyzną. Jeśli jednak Jim jest zaniepokojony, to może powinna rozwiać jego obawy. Obserwowała go przez chwilę, ale doszła do wniosku, że nie ma się czym przejmować, i dalej cieszyła się towarzystwem rycerza.

W końcu podano na stół „Pokusę fauna”, czyli pudding z goździkami – najlepszy deser osiągalny w Malencontri teraz, kiedy większość owoców jeszcze nie zdążyła dojrzeć. Sporządzono go z rosółu wołowego, białej mąki, sproszkowanych ziaren czerwonego pieprzu, mielonych migdałów, a wszystko to, głównie dla ozdoby, posypano płatkami mniszka. W tym momencie pojawił się John Steward z uroczystą miną i laską majordomusa, której na co dzień nigdy nie nosił.

–Wybaczcie, milordzie, milady, dostojni rycerze – rzekł. – Zarówno pokój gościnny dla sir Johna, jak i komnata dla trzech pozostałych dżentelmenów są już przygotowane. – Skłonił się i wycofał z wielkiej sali.

Siedzący na końcu stołu sir Charles Lederer, najstarszy z trzech młodych rycerzy, odchrząknął i przemówił:

–Błagam o wybaczenie, milordzie, milady, sir Johnie – rzekł. – Ale jestem trochę niezdrów. Przez cały dzień czułem się nie najlepiej. Zapewne z powodu tego, co razem z tu obecnymi sir Williamem i sir Alanem zjedliśmy na śniadanie, zanim wyruszyliśmy w drogę. Za waszym łaskawym pozwoleniem chętnie udałbym się teraz na spoczynek.

Chandos spojrzął na Jima, który zrozumiał sygnał.

–Oczywiście, sir Charlesie – powiedział. – Sen jest najlepszym lekarstwem na większość chorób. Milady i ja z całą pewnością wybaczymy ci, jeśli nas opuścisz, chociaż decyzja w tej sprawie należy do sir Johna.

–Masz moje pozwolenie, Charlesie – rzekł sir John. – A jeśli ktoś z pozostałych również źle się czuje, najlepiej zrobi, jeśli pójdzie za twoim przykładem.

–Dziękujemy, sir Johnie. Milordzie, milady – odparli chórem dwaj pozostali, natychmiast wstając i kłaniając się. – Dobranoc i niech Bóg was błogosławi.

Jim, Angie oraz Chandos również życzyli im dobrej nocy i gdy trzej rycerze zeszli z podium, w drzwiach gotowni natychmiast pojawił się majordomus, aby pokazać im drogę do komnaty.

–To dobrzy chłopcy – rzekł Chandos, spoglądając za nimi. – Grzeczni i posłuszni. Jednak nic nie wiedzą o prawdziwej walce, gdyż jeszcze nie brali udziału w poważnej bitwie. Mimo to wydają się dostatecznie dzielni. – Odwrócił się do Jima. – Musimy porozmawiać, sir Jamesie – rzekł. – Możemy to zrobić tutaj, jeśli uważasz, że w pobliżu nie będzie zbyt wielu ciekawskich uszu. A może masz lepsze miejsce do poważnej rozmowy?

–Oczywiście nasz słoneczny pokój – odparł Jim.

Chandos pytał tylko dla formalności. Bywał już w tej komnacie.

Tam też poszli wszyscy troje. Przyniesiono im wino oraz ciasteczka na przekąskę, ale nikt ich nie ruszył. Wszyscy troje zjedli już więcej, niż chcieli – Chandos uprzejmie komplementując w ten sposób posiłek, a Jim i Angie, aby dać dobry przykład gościom.

–Miła komnata – rzekł sir John, sącząc wino i spoglądając przez najbliższe z okien, które Jim kazał wybić, poszerzając strzelnicę.

Otwory okienne nie tylko oszklono, ale wstawiono szyby w ramach osadzonych na zawiasach, które można było otwierać do wewnątrz, wpuszczając świeże powietrze. Teraz to okno było otwarte i wpadający do komnaty wieczorny wietrzyk z pewnością był miły sercu sir Johna, który – jak większość ludzi w tych czasach – zazwyczaj był zbyt grubo odziany. Powszechnie uważano, iż ubranie służy do utrzymania ciepła, a jeśli komuś było za gorąco... No cóż, mógł się po prostu pocić. Lepiej pocić się przez kilka miesięcy, niż marznąć przez resztę roku.

–Bardzo ją lubimy – powiedziała Angie.

–Wcale mnie to nie dziwi – rzekł sir John. Spojrzął na Jima. – Mam poczucie winy, sir Jamesie, że pozbawiam cię takich przyjemności, lecz obu nas wzywają obowiązki względem króla. Niewątpliwie zastanawiałeś się, dlaczego otrzymałeś jego rozkaz, oddając cię do mojej dyspozycji.

–Doszedłem do wniosku, że coś się szykuje, ale nie miałem pojęcia co i nadal nie mam.

–Obaj zostaliśmy wplątani w problemy naszych czasów – stwierdził sir John i upił łyk wina. – Obaj zawdzięczamy to swego rodzaju sławie, jaką zyskaliśmy, a która sprawia, że wzywa się nas w sytuacjach wymagających użycia szczególnych środków. Zaraz wszystko wyjaśnię, ale chciałbym, aby to pozostało między nami.

–Oczywiście – odparli prawie jednocześnie Jim i Angie.

Jim odwrócił się na krześle i spojrzął na kominek, gdzie miło trzaskał świeżo rozpalony ogień. – Hobie! –

zawołał.

–Tak, milordzie? – odpowiedział mu głos z komina.

–Idź gdzieś, gdzie nie będziesz słyszał o czym rozmawiamy.

–Tak, milordzie.

Jim odwrócił się z powrotem do Angie i gościa. Zauważył pytające spojrzenie Chandosa.

–To tylko nasz zamkowy skrzat – rzekł. – Wierny przyjaciel i sprzymierzeniec. Tyle że pełno go w każdym kominie i kominku. Mimo wszystko nie zamieniłbym go na żadnego innego skrzata w Anglii.

Z kominka dobiegi cichy wesoły chichot.

–Hobie! – rzucił Jim przez ramię.

–Tak, milordzie. Już mnie nie ma... Głos ucichł w oddali.

–Dziękuję – rzekł sir John. – No cóż, chodzi o drobny zatarg między kilkoma posiadaczami ziemskimi, istotny tylko dlatego, że po jednej stronie mamy dżentelmena, który jest może nazbyt skłonny udzielać rad Jego Wysokości. Po drugiej szlachcica uważającego, iż ten pierwszy przez kilka ostatnich lat udzielał władcy złych rad w kwestii wysokości podatków... Może nawet słyszeliście jakieś pogłoski o jednym lub drugim.

–Teraz, kiedy o tym myślę – rzekł Jim – zdaje mi się, że coś o tym słyszałem, w dodatku całkiem niedawno.

–Niestety – przyznał Chandos. – Te narzekania są zbyt powszechne. Chciałbym, abyście zrozumieli, o jaką stawkę tu idzie. Nasz król pragnie odzyskać całkowitą kontrolę nad Akwitania, czyli tą częścią Francji, która jest jego prawowitym dziedzictwem. A także tytuł króla Francji, do którego również ma prawo, ponieważ jego dziadem był król Filip IV.

–Zgadza się – przytaknął Jim, przypomniawszy sobie zdobyte na studiach wiadomości. Francuzi rzeczywiście obrali królem Filipa Walezego, jako wnuka króla Filipa III.

–Owszem – potwierdził Chandos. – Tak więc nasz Edward ma takie same prawa do tronu jak Filip. Jednak tych z nas, którzy są w najbliższym otoczeniu króla, nie martwi jedynie problem dziedzictwa. Chodzi nam o dobro całego królestwa. Na ziemiach Akwitanii, oczywiście, znajdują się winnice, z których pochodzi nasze bordo. W rzeczy samej, cały świat zaopatruje się tam w czerwone wino. – Zamilkł i pociągnął łyk z pucharu. – Gdybyśmy odzyskali te ziemie i winnice, sama akcyza umożliwiłaby zniesienie wielu drobnych podatków, na które narzeka angielski lud. Krótko mówiąc, powstrzymując indywidualne spory między najbliższym otoczeniem króla a tymi, którzy uważają, że udzielano mu złych rad, nie tylko utrzymamy spokój w królestwie, ale podejmiemy niezbędne kroki do złagodzenia ogólnego niezadowolenia. – Zamilkł i spojrzał na Jima.

–Rozumiem – rzekł Jim.

Nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu. Oczywiście, powtarzał sobie w duchu, że to słowa Anglika mówiącego o prawie jego władcy do francuskiego tronu, ale rozumowaniu Chandosa i przytoczonym przez niego faktom trudno było coś zarzucić.

–Rozumiem – powtórzył. – Tylko co to wszystko ma wspólnego ze mną i do czego jestem potrzebny?

Chandos nie odpowiedział od razu, ale wstał, jakby musiał rozprostować nogi, pomaszerował do najbliższego okna i spojrzał przez nie na wewnętrzny dziedziniec zamku. Odwrócony plecami do Jima i Angie zaczął wyjaśniać:

–Krótko mówiąc, dla towarzystwa, ale również ze względu na twoje umiejętności. Doszły do nas wieści, że wasz przyjaciel, sir Brian Neville-Smythe może należeć do tych, którzy zamierzają zakłócić spokój milorda earla Cumberlanda – gdyż i tak prędzej czy później dowiedziałbyś się, kogo mamy ochraniać.

Jim podupadł na duchu.

–Jak rozumiem – ciągnął sir Chandos – sir Brian otrzymał zgodę swego lennego pana, milorda earla Somerset, aby sprzymierzyć się z tymi, którzy obecnie są zwaśnieni z milordem Cumberlandem. – Lekko potrząsnął głową. – Na razie wszyscy zainteresowani chcą utrzymać sprawę w tajemnicy, chociaż w rzeczywistości nie uda się uniknąć jej ujawnienia i roztrząsania w całym królestwie. Sir Brian, znany jako świetny rycerz i zwycięzca turniejów, przyciągnie wielu dobrych ludzi na stronę tych, którzy teraz grożą Cumberlandowi. Chciałbym uczynić powszechnie znanym fakt, że nie przyłączyłeś się do niego, i dodać równie znane nazwisko po przeciwnej stronie. W każdym razie mam dla ciebie królewski rozkaz i chociaż przykro mi z powodu takiego pośpiechu, musimy odjechać jutro wczesnym rankiem. Musimy... – Urwał. – Na świętego Jerzego! – zawołał. – Wasz zamek płonie! A większość służby jest bardziej zainteresowana walką toczącą się na dziedzińcu.

Rozdział 6

Jim w dwóch susach znalazł się przy oknie i spojrzał na dół.

–Do licha, Angie! – rzekł. – To May Heather i kuchcik Tom. Znów to robią!

–A pali się w kuchni! – powiedziała Angie, która właśnie dopadła drugiego okna.

Wszyscy troje zbiegli po schodach.

Kiedy Jim, Angie i sir John wyszli na dziedziniec, dym już zaczął rzednieć, ale tłum wcale nie. Walka wciąż trwała, choć wysokie ciała dorosłych zasłaniały walczących.

–Rozdzielić ich! – krzyknęła Angie, szybkim krokiem zмирzając z Jimem i sir Johnem w kierunku tłumu gapiów.

–Reszta ma zostać na miejscach! Słyszycie? Macie zostać! Niech nikt się nie rusza!

Tłum, który już zaczynał się rozpierzchać, niechętnie został na miejscu, rozstępując się przed nadchodzącymi. Udało się rozdzielić walczących, chociaż z uszczerbkiem dla rozdzielających. Nie ulegało wątpliwości, że przeciwnikami, jak kilkakrotnie już w ostatnim czasie, rzeczywiście byli May Heather i chłopak pełniący równorzędne stanowisko w kuchni, kuchcik imieniem Tom.

Przyjaźnili się, ale też często kłócili, a ostatnio stoczyli kilka zażartych potyczek, które z jakiegoś powodu odciągały całą służbę od obowiązków. Żaden sługa nie potrafił wyjaśnić, dlaczego te walki są tak interesujące.

–Znów ci dołożyłam! – powiedziała triumfalnie May, kiedy odciągnięto ich od siebie. Tom mruknął coś pod nosem.

–No? – warknęła Angie. – O co poszło tym razem?

–Un kłamie! – zawołała May Heather, w przypiływie złości zapominając o starannej wymowie i wracając do gardłowego wiejskiego akcentu.

–Nie! – krzyknął Tom.

Oboje gwałtownie próbowali się wyrwać i skoczyć na siebie. I każde z nich dostało w ucho od tych, którzy ich trzymali.

–No dobrze, puśćcie ich – poleciała Angie. – Chcę odpowiedzi, a nie dwojga głuchych dzieciaków. Mówiłam wszystkim o biciu dzieci w bok głowy. Ty, Tom! Powiedz mi. W czym skłamałeś, według May Heather?

–Tam była dziura! – zawołał Tom ile sił w płucach. – Przy wielkim piecu!

–Wcale nie! Nie! – krzyknęła May Heather. – Proszę sprawdzić, milady. Nie ma tam żadnej dziury. To jego robota, że komin się zatkał!

Jim wiedział, że dociekanie prawdy w takich wypadkach trwało czasem bardzo długo, gdyż opowiadający zwykle reagował na ostatnie słowa przeciwnika. Dlatego zostawił Angie z tłumem i dwoma wściekłymi dzieciakami, a sam udał się z sir Johnem do kuchni.

W środku dym już się rozwiął. Kilka osób z kuchennego personelu, które na widok Angie zdążyły czmychnąć do środka, teraz z minami winowajców chowało się po kątach. Jim wbił spojrzenie w kuchmistrzynie, która stała z pomocnicą, szefową piekarni, obok wielkiego pieca, przypominającego wapiennik o ścianach z wypalanej gliny. Na samym środku było masywne palenisko, nad którym stawało się talerze, aby podgrzać dania albo utrzymać ich ciepło. Z tyłu od paleniska wznosił się komin, równie masywny jak sam piec.

Drzwi paleniska były otwarte, ale w środku nie płonął ogień, chociaż nadal wyczuwało się bijące stamtąd ciepło. Gdy Jim i sir John podeszli do obu kobiet, z paleniska wygramolił się jeden z podkuchennych, z twarzą i ubraniem tak usmarowanymi brudem i sadzą, że ledwie dało się go rozpoznać.

– Jest zatkany ziemią – rzeki, zwracając się do kuchmistrzynie. – Całkiem zatkany. Będziemy musieli najpierw rozbić skorupę, a potem wygarnąć ją łopatą. Za pozwoleniem, milordzie – dodał, zauważając obu rycerzy.

– Zablokowany wylot? – powtórzyła kuchmistrzynie. – Nasz Tom nie mógł tego zrobić. Ani ta dziewczyna, chociaż jest zdolna do wszystkiego. To zbyt ciężka praca dla takiego małego chłopca lub dziewczyny. No cóż, bierzcie się do roboty!

– To nieczysta sprawa! – powiedziała szefowa piekarni, ścisząc głos i omijając wzrokiem Jima. – Tak bywa, kiedy ludzie hołubią skrzaty w kominkach. Mówię wam, w moim piecu nie ma żadnych skrzatów! Dopilnowałam tego!

Ta wypowiedź pozornie była skierowana do jednego ze sług po przeciwnej stronie kuchni, który teraz starał się udawać, że jej nie słyszał. Jednakże już sam fakt, że coś takiego powiedziano głośno w obecności Jima, był dowodem na to, co Geronde nazywała „straszłą swobodą”, na jaką zezwalano służbie w Malencontri.

– Skrzaty? – zapytał sir John, spoglądając na Jima.

– Ten, z którym rozmawiałem na górze – odparł Jim nieco bardziej ostro, niż zamierzał. – Przebywa tu za moim pozwoleniem i tutaj zostanie – w tym lub każdym innym kominie tego zamku!

Po raz pierwszy był naprawdę wściekły i ton jego głosu zdradził to wszystkim znajdującym się w pobliżu sługom. Bez pozwolenia nie mogli przed nim uciec, ale wszyscy zadrżeli jak pod uderzeniem wichru. Szefowa piekarni próbowała schować się za kuchmistrzynie. Bez powodzenia, obie bowiem były równie otyłe.

– Przepraszam na moment, sir Johnie – rzekł Jim, przypomniawszy sobie o patrzącym na to wszystko Chandosie. Potem zwrócił się do kuchmistrzynie: – W jaki sposób komin został zatkany ziemią? – zapytał. – I co to za historia z tą dziurą?

– Nie mam pojęcia, milordzie – odparła kobieta, starannie niż zwykle wymawiając ostatnie słowo, ponieważ obserwował ją gość. – Nasz Tom, który przyszedł do kuchni, kiedy... no, kiedy nie było tu nikogo innego, tuż przed tym, zanim zatkał się komin, mówi, że widział dziurę w podłodze. – Tupnęła.

Jim spojrział w dół. Zobaczył twardą polepę, udeptaną przez lata przez wiele nóg. Kucharka wskazała na prawo.

–Mówił, że dziura była tam, milordzie. Nawet widać, że ziemia chyba została tam wzruszona.

Jim i sir John podeszli za nią do widocznego na podłodze kręgu mniej ubitej ziemi. Rzeczywiście, w tym miejscu można ją było odgarnąć miotłą.

–To przechodzi wszelkie wyobrażenie – stwierdził sir John. – Jeśli rzeczywiście była tu dziura i wylazło z niej jakieś stworzenie, a potem weszło do pieca... Czy wtedy palił się w nim ogień?

–Nie, milordzie – odparła kuchmistrzynie. – Skończyliśmy gotować śniadanie i palenisko zostało już wyczyszczone. Prawdę mówiąc, większość służby posilała się przed rozpoczęciem przygotowań do gotowania wieczerzy.

–A więc to nie piekielny demon – rzeki sir John, zwracając się do Jima – ale, na wszystkich świętych, to coś dziwnego. Może w tej gadaninie o sile nieczystej jest jakiś sens?

–Będę musiał omówić to z Carolinusem – odparł z lekkim zniecierpliwieniem Jim, unikając odpowiedzi.

„Siła nieczysta” była określeniem często używanym zarówno przez szaraczków, jak i szlachetnie urodzonych. Na ile Jim orientował się w tej kwestii, na tym świecie nie było czegoś takiego. Terminem tym określano wszystko, co wykraczało poza zwyczajne ludzkie doświadczenia: a więc naturalnych, nadnaturalnych, goblinów, diabłów, džinnów, demonów, jak również panów i królów podziemi, niebios i piekieł...

Jim nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ci ludzie czasem śmiertelnie obawiali się choćby wspomnieć o takich istotach, a innym razem zawzięcie o nich plotkowali. Może czegoś nie rozumiał? Tak jak nazywania dziwnych odgłosów „nawoływaniem”, co prawdopodobnie oznaczało, że gdybyś głośno wypowiedział imię takiego stworzenia, mogłoby przyjść. I dopaść cię.

Jim przez moment się zaniepokoił, że sir John, który był bardziej inteligentny od niemal wszystkich innych ludzi napotkanych w tym czternastym wieku, może się poczuć urażony szorstką odpowiedzią. Zerknął na rycerza i stwierdził, że ten wygląda na zadowolonego. Wyszli na zewnątrz i ponownie dołączyli do Angie.

Okazało się, że zdążyła już odesłać May Heather do gotowalni, Toma do kuchni, a pozostałych – po zrobieniu krótkiego i gniewnego wykładu na temat zaniedbywania obowiązków i gapienia się na parę walczących dzieciaków – z powrotem do pracy. Dziedziniec szybko opustoszał.

We troje ruszyli w stronę wielkiej sali. Po drodze Jim opowiedział Angie o dziurze w podłodze kuchni i tajemniczym zapchaniu komina ziemią.

–Zastanawiam się, czy zbiegli się tu wszyscy słudzy z całego zamku? – mruknął. Miał to być żart, ale Angie pobladła.

–Jeśli na zamku jest coś, czego nie powinno tu być... – zaczęła z przerażoną miną. – Jeżeli zostawiła dziecko samo, zabiję ją! – Podbiegła do drzwi i zniknęła za nimi.

–Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał sir John z żywym zainteresowaniem. Jego głos bardzo przypominał głos Briana, kiedy wyglądało na to, że czeka ich walka. Nagle Jim zrozumiał przyczynę zdenerwowania Angie.

–Proszę mi wybaczyć, sir Johnie – rzekł i pobiegł za żoną.

Jednak sir John pobiegł za nim. Chociaż starszy od niego, rycerz był w równie dobrej formie jak Jim. Przemknęli przez wielką salę i gotownię, mijając ochmistrzynię, surowo karzącą May Heather, która już zdążyła się umyć i ogarnąć.

–...czy to też twoja wina? – pytała surowo Gwynneth Plyseth, odwracając oczy od zdumiewającego widoku, jakim byli dwaj biegnący – biegnący – przez gotownię rycerze.

–Och nie, proszę pani – powiedziała May Heather z wyrazem absolutnej niewinności na świeżo umytej twarzy. – Ja tylko trochę posprzeczałam się z Tomem.

Na schodach Jim trochę zwolnił. Biegnący za nim sir John również, chociaż sądząc po równym oddechu, zrobił to raczej z grzeczności. Było to całkiem zrozumiałe, gdyż tacy ludzie jak sir John i Brian, nie mówiąc już o służbie, prowadzili niezwykle aktywne życie, codziennie wykonując czynności wymagające użycia wszystkich sił. Mimo to – jako były as uniwersyteckiej drużyny koszykówki – Jim lekko zirytował się, widząc, że rycerz w średnim wieku uprzejmie zwalnia, żeby go nie wyprzedzić.

Dogonili Angie w samą porę, żeby zobaczyć, jak łomocze w drzwi do pokoju Roberta Falona i krzyczy do piastunki:

–Otwieraj! To ja! Lady Angela! Otwórz, mówię!

Zza drzwi doleciała piskliwa i niezrozumiała odpowiedź, ale po chwili dało się słyszeć szuranie jakiegoś ciężkiego przedmiotu, a potem szczęk rygła. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich wystraszona twarz dziewiętnastoletniej piastunki. Angie odepchnęła ją i podbiegła do kołyski. Zatrzymała się i wydała głośne westchnienie ulgi.

–Nic mu się nie stało – powiedziała. Przez chwilę posapywała, a potem odwróciła się do opiekunki. Dziewczyna cofnęła się o krok, wpadając na Jima, który wraz z sir Johnem również wszedł już do komnaty.

–P-przepraszam, milordzie – jęknęła, a potem odwróciła się do Angie i upadła przed nią na kolana. – Wybacz, milady! Tak się przestraszyłam!

–Przestraszyłaś? Czego? Odpowiadaj!

–Coś próbowało tu wejść! – wyjęczała piastunka. – Zamknęłam drzwi, tak jak zawsze kazałaś mi to robić, pani. Kiedy nie mogło wejść, zaczęło łomotać w drzwi. Zawołałam: „Kto tam?!”, ale nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Tylko to łomotanie. Dlatego zastawiłam drzwi wszystkim, co było w komnacie, oprócz kołyski! Potem sama się o nie oparłam. Kiedy milady zaczęła pukać i wołać, myślałam, że to wróciło!

Jim i sir John już oglądali zewnętrzny panel drzwi, które zrobiono z grubych, co najmniej trzycentymetrowych desek. Zdumiewające, ale dostrzegli na nich wgłębienia – nie wokół klamki, lecz na jej wysokości, mniej więcej pośrodku drzwi.

–Będzie pan łaskaw wyjść ze mną na korytarz, sir Johnie – rzekł ponuro Jim. – Zamierzam rzucić zaklęcie na ten pokój.

Sir John wyszedł za nim z komnaty.

–Zaklęcie? – powtórzył.

–Ochronny czar, sir Johnie – rzekł Jim.

Na dźwięk słowa „czar” sir John cofnął się aż pod ścianę. Jim wycelował palec w kierunku drzwi.

Jeszcze niedawno musiałby wymówić rymowane zaklęcie, aby rzucić ochronny czar na pokój Roberta. Ostatnio nauczył się już tworzyć w myślach obraz tego, co chciał osiągnąć.

Widział to teraz, jakby niewidzialne srebrzyste nitki przenikające kamień, drewno i powietrze. Przez moment wodził palcem w powietrzu.

–Niechaj nikt spoza zamku nie wejdzie przez te drzwi ani okno – powiedział nitkom. – Chyba że wprowadzony przez lady Angelę lub przeze mnie.

Odwrócił się z powrotem do sir Johna i na jego obliczu nie dostrzegł ani śladu strachu. Wiedział jednak, że John Chandos jest najniebezpieczniejszy wtedy, kiedy jego twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu – a tak było teraz.

–Załatwione, sir Johnie – powiedział jak najspokojniej. Potem zawołał przez otwarte drzwi: – Wszystko w porządku, Angie! Zabezpieczyłem pokój. Nic nie wejdzie przez te drzwi i okno. Matyldo, jesteś już bezpieczna, ale niech te drzwi zawsze będą zamknięte. Angie, nie ma powodu do obaw. Może pójdziesz na dół z sir Johnem i ze mną?

–Błagam o wybaczenie, sir Jamesie – rzekł Chandos. – Zważywszy, że już zjedliśmy wieczerzę, a rano siądziemy na koń, sądzę, iż powinienem udać się już do mojej komnaty, jeśli zechcesz przywołać sługę, który pokaże mi drogę. Z pewnością zechcesz także poczynić przygotowania do drogi i nie wątpię, że ty też zechcesz jak najwcześniej udać się na spoczynek.

–Och, oczywiście, sir Johnie – odparł z przygnębieniem Jim. Chociaż Chandos mówił, że chciałby wyjechać już jutro, nie spodziewał się, że wyruszą tak wcześnie.

–Twoja komnata znajduje się piętro niżej, milordzie – dodał. – Sam wskażę ci drogę.

Odprowadziwszy szacownego gościa do najlepszego pokoju gościnnego, Jim wrócił do słonecznego pokoju i zastał Angie szykującą mu podróżne ubrania. W milczeniu zaczął jej pomagać. Sir John z pewnością wyrazi zgodę na zabranie jucznego konia, który poniesie dodatkowe bagaże. Po kilku wyprawach z Brianem i Dafyddem, Jim nauczył się zabierać jak najwięcej rzeczy.

W myślach zaczął układać plany. Sir John będzie musiał również zezwolić mu na zabranie giermka jako ordynansa... nie, po namyśle doszedł do wniosku, że to nie byłoby rozsądne. Jego giermek Theoluf był jedynym doświadczonym żołnierzem w Malencontri, a w razie poważnych kłopotów zbrojni będą potrzebowali dowódcy. Postąpiłby nierozsądnie, zostawiając Angie i cały zamek bez dowódcy, podczas gdy w okolicy roіło się od obwiesiów, przybywali królewscy żołnierze i coś kręciło się po zamku. Oczywiście mógłby zabrać jakiegoś zbrojnego lub kogoś ze służby, lecz ci nie mieli pojęcia o obowiązkach związanych z podróżą. Nie. Pojedzie sam. Jeden z ludzi Chandosa może prowadzić jego rumaka Gorpa oraz jucznego konia.

Wspólnie spakowali wszystko i przygotowali do zniesienia i załadowania na konia. Jim wezwał zbrojnego pełniącego wartę przed słonecznym pokojem i kazał mu sprowadzić Johna Stewarda. Kiedy majordomus przyszedł, Jim pokazał mu bagaże.

–Johnie – rzekł. – Jutro rano ma to być załadowane na jucznego konia, a mój wierzchowiec oraz rumak bojowy Gorp mają być przygotowane do drogi, gdyż o świcie wyjeżdżam z sir Johnem Chandosem. Jeśli Gorp jest rozleniwiony po tak długiej bezczynności, niech ktoś rozrusza go przed wschodem słońca.

–Tak, milordzie.

–Zajmiesz się, oczywiście, przygotowaniem śniadania, nie tylko dla mnie, ale i dla sir Johna, jego rycerzy oraz zbrojnych za murami, a także prowiantu na trzy dni. Wszystko to

ma czekać w wielkiej sali o świcie.

–Tak się stanie, milordzie – odparł Steward, nawet nie mrugnawszy. – Będzie tak, jak sobie życzysz. Milord pragnie być obudzony godzinę przed wschodem słońca?

–Może trochę wcześniej.

–Bardzo dobrze, milordzie.

Steward wyszedł. Jim i Angie posłali niedawno zrobione, bardzo duże i wygodne, z baldachimem i zasłonkami chroniącymi od przeciągów łóżko.

Kiedy się położyli, Angie wyraziła głośno to, co przez cały dzień chodziło Jimowi po głowie.

–Nie sądziłam, że zabierze cię tak szybko.

–Ja też nie – rzekł Jim. – Ale może to i dobrze. Im szybciej wyjadę, tym prędzej wrócę.

Angie nie spodziewała się usłyszeć od niego innych słów, lecz nagle poczuła niepokój na myśl o jego odjeździe. Od kiedy w ich życiu pojawił się mały Robert Falon, nie tylko obudziły się w niej silne uczucia opiekuńcze wobec dziecka, ale pragnęła częściej widywać koło siebie Jima – najlepiej przez cały czas.

Nie dlatego, aby bała się zostać sama w zamku. Zdążyła się już przystosować do twardej rzeczywistości tego świata, w którym się znaleźli, a Geronde udzieliła jej wielu lekcji i nauczyła mnóstwa rzeczy przydatnych kasztelance zarządzającej zamkiem pod nieobecność pana. A więc nie chodziło o to. Po prostu pragnęła, żeby Jim tu był, a teraz, kiedy musiał wyjechać, chciała, aby wrócił cały i jak najszybciej.

–Posłużysz się magią, prawda, jeśli będziesz musiał? – zapytała. – Zrobisz to?

–Och, oczywiście.

Jednak Angie wiedziała, że ostatnio zaczął uważać swoją magiczną energię za zbyt cenną, aby jej używać – chyba że w sytuacji absolutnej konieczności, takiej jak ochrona komnaty Roberta.

Objęła go i przytuliła się do niego, ale nadal czuła zimne ukłucia niepokoju. Obawiała się, że mimo obietnicy będzie oszczędzał magię, nawet kiedy będzie mu potrzebna, a przez to może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Rozdział 7

Zgodnie z zapowiedzią sir Johna wyruszyli o świcie. Pojechali na północny zachód do Bath, a potem do Kanału Bristolskiego, gdzie wsiedli na statek do Caerwent. Stamtąd przejechali starym rzymskim traktem do Caerleon i dalej na północ, przez Kenchester, Leintwardine, Roxter, a później do Warrington, Wigan, Ribchester i Lancaster. Później niemal prosto na północ.

Trop był zimny.

Aargh, angielski wilk, ruszył pod wiatr do jego źródła, cichy jak cień, bezszelestnie przemykając po usianej słonecznymi plamami leśnej ściółce, przez zielone krzaki rosnące w miejscach, gdzie majestatyczne dęby i wiązy przepuszczały dość światła. Aargh miał nos przy ziemi, a uszy nastawione, gdyż trop nie był zimny w tym sensie, że zostawiono go dawno temu, lecz raczej z powodu dziwnego zapachu, który wilk odbierał jako chłodny.

Nos był dla niego tym, czym dla człowieka zmysł smaku i wzroku. Dawał mu ogromną liczbę informacji, których ludzie nie rejestrowali lub nie zwracali na nie uwagi. Tak więc uznał ten trop za „zimny” wyłącznie dlatego, że nie było na to lepszego określenia. W ten sposób

człowiek mógłby opisać smak lub kolor, z jakim nigdy wcześniej się nie zetknął. Ta woń mówiła mu o ciemności i chłodzie.

Podczas wielu lat odpierania zakusów innych wilków na swoje terytorium jeszcze nigdy nie wyczuł takiego zapachu, więc był spięty od czubka nosa aż po koniec ogona.

Nie był to ślad nikogo i niczego znanego Aarghowi. Zapach nadlatywał z lekkim wietrzykiem, który rozwiewał futro na pysku wilka i przybierał na sile w miarę, jak Aargh zbliżał się do jego źródła – którym mogło być cokolwiek. Jednego był pewny. Było to coś, czego nie znał, więc podchodził z najwyższą ostrożnością.

Z ostrożnością nie z lękiem. Aargh nie znał strachu od kiedy był szczenięciem, ale wiedział, co to rozwaga i czujność. Jeśli miał przed sobą coś niebezpiecznego, to dobrze byłoby, gdyby zobaczył to pierwszy.

Las rzedniał. Między wielkimi drzewami coraz częściej trafiały się puste miejsca i Aargh nie musiał się rozglądać, aby wiedzieć, że podchodzi do zamku Malencontri, siedziby jego przyjaciół: Jima i Angie Eckertów, niezwykłego barona i lady. Zapach stał się silniejszy i wilk podążał jeszcze wolniej, korzystając z każdej osłony. Nagle stanął, uniósł łeb, aby jak najlepiej wykorzystać swój węch, nastawił uszy i zerknął przez gałęzie niskiego krzaka.

Usłyszał tylko ciszę, a dostrzegł jedynie dziurę w niewielkim wzniesieniu – jakby wylot jaskini.

Aargh nigdzie nie dostrzegł śladu żadnego żywego stworzenia, ale nadal czekał. Zapach, teraz silny i bliski, jeszcze wyraźniej mówił o chłodzie i głębokiej ciemności – miejscu bardzo odległym od takiego lasu jak ten. W końcu wilk ponownie ruszył, ale podchodząc do otworu, stawiał krok za krokiem, wiedząc, że drgania ziemi mogą ostrzec coś, co czai się w tej dziurze.

Jednak nic się nie stało i nic nie wyskoczyło z otworu. Aargh podszedł doń i ostrożnie obwąchał. Część wykopanej ziemi otaczającej otwór została poruszona w ciągu kilku ostatnich godzin. Jeszcze nie zdążyła wyschnąć.

Otwór był dziwny, sztucznie wykopany i zagadkowy. Wyglądał jak wejście do legowiska, ale był o wiele za mały dla niedźwiedzia i zbyt duży dla wilka, który lubił, aby wylot otaczał jego kark jak obroża, gdyby musiał się bronić: tunel chroniłby jego ciało, a na zewnątrz wystawałyby jedynie szczęki i kły. W takiej pozycji wilk może bronić się przed każdym przeciwnikiem.

Z drugiej strony był też za duży dla borsuka, następnego pod względem wielkości leśnego zwierzęcia kopiącego nory, aczkolwiek mógłby należeć do młodego dzika, gdyby został wykopany jakiś czas temu. Jednak dziki w lecie nie chowają się w norach – tylko w zimie i w niepogodę.

I z pewnością nie wykopał go troll. One również – szczególnie nocne trolle – chowały się w norach tylko w niezwykłych okolicznościach, na przykład robiły to samice rodzące młode. Nimfy, driady oraz inni naturalni nie potrzebowali żadnych nor.

Jeśli się nie mylił – a nawet teraz uważał, aby czubek jego nosa czy jakakolwiek inna część ciała nie ukazała się we wpadającym do otworu blasku – tego, kto wykopał tę norę, nie było teraz w środku. Jakby na potwierdzenie tego pochwycił nosem nowy świeży trop wiodący w kierunku Malencontri.

Ruszył za nim.

Ślad wiódł prosto do zamku. Stworzenie szło na dwóch nogach, nie zatrzymując się i nie zachowując żadnych środków ostrożności. Aargh natomiast był uważny, ale ruszył trochę szybciej, bo między rzadziej rosnącymi drzewami było więcej dających dobrą osłonę krzaków.

Lasy i wszystko w nich należało do króla, ale pospólstwo miało prawo zbierać chrust – i nic poza tym – na opał. To prawo zostało nielegalnie rozszerzone przez jednego z wcześniejszych panów zamku, który – jak wielu innych – nagiął je dla własnej korzyści, pozwalając kmiociom i dzierżawcom wycinać chaszczę i krzewy rosnące wokół zamku oraz na skraju lasu. W ten sposób chłopci dostawali więcej drewna na opał, a ewentualny nieprzyjaciel nie miał osłony ani materiału na faszynę, którą mógłby zasypać fosę, żeby zaatakować mury.

Drzewa rosły coraz rzadziej. Aargh zwolnił kroku. Zaszedł za śladem aż na skraj lasu, tam przystanął i wyjrzał zza drzewa na otwartą przestrzeń, otaczającą zamek szerokim na strzał z łuku pierścieniem, pozwalającym na ostrzeliwanie napastników.

Był to jeden z tych angielskich dni, kiedy po nieustannych deszczach i chłodach wszyscy stracili już nadzieję na lato, chociaż był dopiero późny czerwiec. Tymczasem pogoda jak zwykle spletała wszystkim figla i nagle niebo zrobiło się niebieskie, powietrze ciepłe, wiatr łagodny i przyjazny, a życie obiecujące i miłe.

W taki dzień i pogodę Aargh zwykle drzemał gdzieś w cieniu. Robiłby to i teraz, gdyby nie ten dziwny zapach i trop, który wiódł na otwartą przestrzeń. Spoglądając tam, w cieniu drzew po prawej stronie Aargh ujrzał kołyskę, a w niej zwęszył małego Roberta Falona. Niedaleko dziecka była piastunka, która wygodnie rozsiadła się na ziemi i oparła plecami o pień drzewa, wykazując prawie wilczy zdrowy rozsądek i ucinając sobie drzemkę.

Jeden z zamkowych zbrojnych, młodzian niewątpliwie wysłany tu do pilnowania dziecka, stał teraz pół tuzina kroków dalej i patrzył w innym kierunku, zaabsorbowany grą toczoną przez wolnych od służby zbrojnych i koniuszych.

Gra była brutalna, czego można się było spodziewać. Trochę podobna do piłki nożnej, tyle że piłkę można było odbijać nie tylko nogami, lecz kierować do celu – czyli na końcową linię boiska po stronie przeciwnika – na wszelkie sposoby. Tego, kto próbował w tym przeszkodzić, można było usunąć z drogi wszelkimi metodami, z wyłączeniem ostrych narzędzi. Można było gryźć, kopać, szturchać, dusić i wykręcać kończyny przeciwnika, aby odebrać mu piłkę. W tym momencie wygrywali stajenni.

Aargh rozważył sytuację.

Nieznany najwyraźniej był zainteresowany Robertem lub piastunką. Ponadto nie obawiał się, że zostanie zauważony z murów lub przez strażnika na wieży. Na murach mogło nikogo nie być, a wartownik na wieży mógł być równie zafascynowany grą, jak zbrojny. Jednak wychodzenie na otwartą przestrzeń nie było typowym działaniem obcego, który nie wie, czy w razie potrzeby zdoła szybko uciec.

Być może ten trop nie wiedzie aż do kołyski ani drzewa, pod którym pochrapywała piastunka. Aargh obrócił się i nie wychodząc z ukrycia, przebiegł między drzewami, aż znalazł się na wysokości kołyski. Wtedy ostrożnie ruszył naprzód, chowając się za kolejnymi drzewami, aż znalazł się trzy wilcze kroki od kołyski i pięć od śpiącej opiekunki.

Ponownie powęszył. Z tej odległości trudno było powiedzieć, czy trop Nieznanego wiódł

do kołyski, czy opiekunki. Ktokolwiek go zostawił, mógł znów skręcić i ruszyć w kierunku zamku albo po prostu obejść je i pójść dalej.

Na szczęście kołyska Roberta stała bokiem do wieży, tak więc przycisnąwszy się do ziemi i pokonawszy odcinek otwartej przestrzeni, Aargh mógłby wykorzystać ją jako osłonę. Zazwyczaj, kiedy miał jakąś sprawę do kogoś na zamku – a więc do Jima lub Angie – zostawał w lesie i wył od czasu do czasu. Jim lub Angie słyszeli wycie albo zwrócił na nie uwagę stojący na warcie zbrojny. Tak czy siak, niebawem jedno z nich, najczęściej Jim, przychodziło na umówione miejsce.

Tak było bezpiecznie. Jednak w tym szczególnym wypadku Aargh nie chciał czekać pół dnia. Kołyska stała niedaleko, więc jeśli skoczy szybko i cicho jak zawsze, powinien dotrzeć do niej nie zauważony przez nikogo.

Przywarł się do ziemi i ruszył.

W mgnieniu oka znalazł się przy kołysce i jego wcześniejsze przeczucia potwierdziły się. Trop, za którym szedł, wiódł do samej kołyski i kiedy Aargh wsunął pod nią pysk, wyczuł go również po drugiej stronie. Po tej, po której się znajdował, silniejszy w jednym miejscu zapach świadczył o tym, że Nieznany przystanął, zapewne przyglądając się Robertowi. Od tego miejsca trop wiódł dalej, z powrotem do lasu i być może do nory.

Jednak dziecku nic się nie stało. Kiedy Aargh zajrzał do kołyski, mały miał szeroko otwarte oczy i zabulgotał wesoło na widok włochatego wilczego pyska. Wyciągnął rączki do ucha Aargha.

Znając potrzeby nie tylko wilczych, ale i ludzkich szczeniąt, Aargh przezornie mocno przycisnął ucho do czaszki, zamknął oko i na moment położył łeb na piersi Roberta, pozwalając dziecku głaskać i tarmosić szorstką sierść, jednocześnie chroniąc oko i ucho, które mogłyby przy tym ucierpieć.

Po chwili chłopczyk przestał go dotykać. Aargh cofnął łeb i spojrzał na wciąż uśmiechniętego Roberta, który teraz daremnie wyciągał rączki do motylka przelatującego dwa metry od kołyski. Aargh wycofał się i skoczył z powrotem między drzewa. Zaczął okrążyć zamek, zmierzając do miejsca, gdzie mury łączyły się z wysoką wieżą wewnętrznego kasztelu, będącego ostatnim bastionem, do którego wycofali się walczący, gdyby wróg zdołał przełamać pierwszą linię obrony i wdrzeć się na dziedziniec.

W tym miejscu ściany zamku były gładkie, bez okien i z nielicznymi strzelnicami, a ponieważ tworzyły pionowe urwisko prawie trzydziestometrowej wysokości, nie zachęcały do wspinaczki czy ataku. Las podchodził prawie pod sam mur, gdyż pas otwartej przestrzeni był tutaj węższy, więc Aargh mógł bezpiecznie przebiec tędy i ruszyć w kierunku, w którym zmierzał, zanim natrafił na dziwny trop.

Przemykając pod samym murem, aby uniknąć dostrzeżenia przez strażę, wilk minął otwór, przez który wpadało do gotowni powietrze i odrobina światła i usłyszał głosy dwóch kłócących się kobiet – jeden młodszy i bardziej piskliwy. Aargh lubił Angie i sir Jamesa, więc jakoś tolerował innych mieszkańców zamku, ale ci jak cały gatunek – przez większość czasu robili strasznie dużo hałasu.

Najwidoczniej tacy już byli, a Aargh nie miał czasu ani chęci, by starać się zmienić ten świat, chociaż patrzył na to z dezaprobatą. Teraz przebiegł obok zamku w miły cień drzew, między którymi zaraz zniknie. Wilki nigdy nie robią hałasu.

Rozdział 8

Minął prawie tydzień, zanim grupka sir Johna Chandosa przejechała przez most Low Borrow, zbliżając się do Penrith Castle na południe od Carlisle. Wjechali do zamku, gdzie trzech młodzi rycerze, zbrojni i konie udali się do stajni na kilkudniowy popas.

W samym zamku sir John, Jim oraz sir Bertram Makeworthy – majordomus earla Cumberlanda, zarządzający ziemiami, kopalniami i wytwórniami na tym terenie – usiedli do obiadu i pogawędki przy nakrytym śnieżnobiałym obrusem stole.

Najpierw jednak sir Bertram chciał usłyszeć historię przybycia Jima do tego świata z ust jej głównego bohatera. Jim nie liczył, ale majordomus był chyba trzysta dwudziestą osobą której musiał opowiedzieć tę historię. Ilekroć to robił, usiłował podkreślić, że nigdy nie pokonałby Ciemnych Mocy przy wieży Loathly, gdyby nie pomoc towarzyszy: Briana, Aargha, Dafydd, Danielle i Carolinusa, oraz dwóch smoków. To zastrzeżenie nie zrobiło żadnego wrażenia na sir Bertramie, tak samo jak na wszystkich poprzednich słuchaczach. Wszyscy słyszeli tę opowieść, zanim jeszcze spotkali Jima, przekazywaną w rozmaity sposób przez wędrownych minstrelów – którzy zawsze czynili Jima samotnym bohaterem. W każdym razie słuchanie jej z ust samego Jima miało dla nich ogromne znaczenie. Później – tak jak sir Bertram – będą mogli tworzyć własne jej wersje, tym autentyczniejsze dla przyszłych słuchaczy.

Kiedy skończył opowiadać, wszyscy trzech przeszli do rzeczy.

–Zdajesz sobie sprawę, sir Bertramie, z jakiego powodu sir James, ja oraz moi ludzie zjawiliśmy się tutaj? – spytał Chandos.

–Istotnie – odparł sir Bertram. Był wysokim, otyłym mężczyzną po czterdziestce, o długiej i bladej twarzy, którą na pewno nieczęsto opromieniał uśmiech. – Rozumiem, że spodziewacie się tu kłopotów. Tylko gdzie? W samym Carlisle? W wytwórniach? W kopalniach? Na pastwiskach?

–Nie wiem – odparł Chandos. – Może powinienem ciebie o to spytać. Czy ostatnio mieliście tu jakieś kłopoty? A raczej czy macie je w tej chwili?

–Kłopoty! – rzeki sir Bertram, przy czym jego twarz zgodnie z przewidywaniami przybrała niezwykle posępny wyraz. – A kiedy nie ma kłopotów? Słyszę o nich ze wszystkich stron. Szkoccy rabusie kradną stada! Nie ma śledzi! Górnicy muszą dostać zaliczkę na poczet urobku, inaczej umrą z głodu – a te niewdzięczne psy wiedzą, że nie mogę na to pozwolić! Kto wtedy pracowałby w kopalniach? Wciąż mam kłopoty. A ostatnio, jak już powiedziałem, z górnikami. Nie chcą schodzić do szybów z powodu gnomów.

–Gnomów? – zapytali jednocześnie Jim i sir John.

–No tak – odparł trochę niecierpliwie sir Bertram. – Albo inaczej krasnoludów. To takie ziemne stworki. Górnicy twierdzą że słyszą ich kopanie. A kiedy jeden z nich zawoła, że słyszy gnomy, zaraz wszystkim wydaje się, że je słyszą a wtedy rzucają narzędzia, uciekają i nie chcą wrócić do szybów i chodników – czyli do dziur w ziemi oraz łączących te otwory tuneli. Nic nie można zrobić, tylko czekać, aż nabiorą odwagi i znów zejną pod ziemię. Najpierw robi to jeden czy drugi. Potem cała reszta pójdzie za ich przykładem i po pewnym czasie kopalnia znów pracuje.

–W rzeczy samej – przyznał sir John. – To poważne problemy, sir Bertramie. Jednak mnie interesują napaści na ziemie i posiadłości szlchetnego earla. I nie mówię o

sporadycznych wypadach szkockich złodziejasków, lecz zorganizowanych atakach zbrojnych oddziałów wyrządzających szkody jego lordowskiej mości i narażających go na koszty.

–O niczym takim nie wiem – rzekł sir Bertram. Oprócz innych emocji na jego twarzy pojawił się niepokój. – Czy to także nam grozi? Wiedziałem, że przybywacie w związku z jakimś problemem, ale nie wiedziałem, że aż tak poważnym. Zbrojni – niewątpliwie doświadczeni żołnierze – Boże dopomóż! Nie mam dość ludzi, żeby ustawić strażę we wszystkich posiadłościach.

–Obawiam się, że strażę na niewiele się zdadzą – rzekł sir John. – To będą spore siły, zamierzające palić, niszczyć i przysporzyć kłopotów naszemu panu. – Przerwał, żeby napić się całkiem niezłego francuskiego wina.

–Miałem nadzieję, że powiesz mi, który majątek lub posiadłość mogą zaatakować najpierw – na przykład która jest najbardziej odizolowana, najłabiej broniona lub pilnowana. Jeśli wskażesz mi takie miejsce, wtedy razem z moimi ludźmi mógłbym zaczekać tam na wichrzycieli i przepędzić ich, kiedy się pojawią. A być może dać im taką nauczkę, żeby już więcej nie próbowali.

–Hm – mruknął sir Bertram, zaglądając do kielicha. – Niech pomyślę. Największe szkody w najkrótszym czasie wyrządziliby, atakując kopalnie. Jednak jest ich wiele i nie potrafię powiedzieć, której z nich powinniście pilnować.

–To nie jest konieczne – rzekł sir John. – Sądzę, że sir James zgodzi się ze mną, iż takie siły będą musiały zebrać się w jednym miejscu, gdyż z pewnością przybędą w małych grupkach, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a potem spotkają się w jakimś dogodnym miejscu.

Sir Bertram zastanawiał się przez chwilę, marszcząc brwi.

–Myślę, panie, że las Skiddaw mógłby być takim miejscem, o jakim mówisz – oświadczył. – Gdyby zgromadzili się tam, mieliby blisko do Alston, gdzie są kopalnie srebra i ołowiu, a także do Egremont, które znajduje się opodal kopalni żelaza.

–A czy ten las Skiddaw jest takim miejscem, do którego moglibyśmy niepostrzeżenie dojechać i rozbić obóz? – zapytał sir John.

–Niewątpliwie – odparł sir Bertram. – Poślę z wami kogoś, kto was tam zaprowadzi. To wyżyna z licznymi kępami drzew. Jeśli dobrze ukryjecie obóz i wystawicie warty, nikt nie powinien was znaleźć.

–Czy mogę prosić – rzekł sir John – o wysłanie wiadomości do okolicznych miasteczek i tych, którzy bywają w lasach, aby zawiadamiali nas o każdym zbrojnym oddziale, jaki zauważą?

Sir Bertram skinął głową, a Chandos dodał:

–Rozumiem, że ten las Skiddaw nie leży zbyt daleko?

–Jakieś dwadzieścia do trzydziestu kilometrów na zachód – odparł sir Bertram. Siedział, spoglądając na nich.

Chandos zwrócił się do Jima:

–Jak sądzisz, sir Jamesie? – zapytał. – W istocie, może byłoby dobrze jutro rano wyruszyć do tego lasu. Nasi ludzie odpoczną, kiedy tam dotrzemy.

Jim zrozumiał, że Chandos pyta go tylko z grzeczności. To sir John podejmował decyzje.

–Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, sir Johnie – odrzekł.

–Zatem uzgodnione – rzekł Chandos, ponownie obracając się do sir Bertrama. – Jednakże, ponieważ nasi ludzie spodziewali się co najmniej kilku dni odpoczynku, nie wyruszymy wczesnym rankiem. Czy moglibyśmy prosić, aby przygotowano nam na zamku posiłek, powiedzmy, przed południem?

–Oczywiście, oczywiście, sir Johnie! – zapewnił gospodarz z niemal wesołym uśmiechem. – Z największą przyjemnością. I pošlę z wami trzech lub czterech ludzi, którzy dobrze znają ten teren. A kiedy już znajdziecie odpowiednie miejsce na obóz, objadą okolice i każą wszystkim tamtejszym mieszkańcom wypatrywać obcych.

–Doskonale – powiedział Chandos. – Nasi ludzie nie będą zadowoleni – rzekł później do Jima, kiedy opuścili sir Bertrama i szli do swoich komnat. – Spodziewali się kilku dni snu, pijaństwa i obłapiania dziewczek.

–Chyba masz rację – odparł Jim. – Życzę ci dobrej nocy, sir Johnie.

–I ja tobie, sir Jamesie.

Zbrojni, pomyślał Jim, idąc za służącym do swojego pokoju, z pewnością nie będą zadowoleni, ale nie ośmielą się narzekać. Gdy sługa odszedł, Jim zdjął pas rycerski i wsunął pochwę miecza pod zasuwę drzwi, co powinno zatrzymać co najmniej na chwilę każdego, kto próbowałby je otworzyć, a także narobić hałasu i obudzić go.

Trzej młodzi rycerze będą musieli robić dobre miny do złej gry. Nie mieli innego wyboru. Jim też chętnie spędziłby kilka dni na nogach, a nie w siodle. Dziś w nocy będzie spał jak kamień.

Nie skorzystał z łóżka, w którym mogły być insekty. Zwykle zmieniano pościel po wyjeździe gościa, jednak służba zbyt często korzystała z nich, żeby uciąć sobie drzemkę lub pokochać się „po pańsku”, a słudzy, jak wszyscy inni, mogli mieć pchły, wszy, a nawet zakaźne choroby skóry.

Rozłożywszy śpiwór przed miło płonącym na kominku ogniem, Jim się rozebrał – oczywiście nie całkiem, ponieważ ogień wkrótce zgaśnie, a chociaż było lato, nad ranem w komnacie będzie zimno. Rozwinął drugi śpiwór, aby w razie potrzeby mieć się czym przykryć, po czym owinał się kocem i z westchnieniem ulgi legł na posianiu.

–To jest to! – powiedział do siebie. – Teraz kilka godzin spokojnego snu.

Jednak nie wiadomo dlaczego nie mógł zasnąć. Leżał tak, z narastającym zniecierpliwieniem obserwując palącą się na kominku kłodę. Ogień strawił większość jej powierzchni, pozostawiając węgle, które żarzyły się – najpierw jasno, później słabo – w lekkich podmuchach przeciągów, a potem gasły, pozostawiając tylko nikłe roztańczone ogniki.

Coś jest nie tak, powiedział sobie. Z całą pewnością. Coś było nie tak.

Po pierwsze zmiana, jaką wyczuł w zachowaniu zamkowej służby. Zauważył ją jeszcze zanim zaczęły się kołatania. Potem pochopna decyzja Briana, który postanowił wziąć udział w zbrojnych działaniach przeciw najważniejszemu doradcy króla, co mogło zostać uznane za bunt przeciwko samemu królowi. Pozornie powodem tego była chęć zdobycia pieniędzy, ale to wcale nie pasowało do Briana, jakiego znał Jim. Brian był rycerskim idealistą. Czasem jego skłonność do robienia tego, co należy, graniczyła ze śmiesznością. Jim był przekonany, że Brian prędzej dałby sobie uciąć rękę, nim chwyciłby za miecz w sprawie, którą można by

uznać za sprzeczną z interesem króla. Tymczasem teraz ochoczo wdał się w tę awanturę.

A Jim posłusznie wziął udział w ekspedycji Chandosa, która miała rozbić oddział, do którego dołączył Brian.

Jim nie miał złudzeń. Nie powołano go ze względu na jego czarodziejskie umiejętności, które niewiele wykraczały poza możliwości początkującego maga, chociaż trudno w to było uwierzyć. Był tutaj, ponieważ powszechnie uważano go za paladyna – potężnego wojownika, którym po prawdzie był w jeszcze mniejszym stopniu niż magiem.

Wziął udział w kilku prawdziwych, lecz mało ważnych bitwach, zwykle razem z Brianem. Jednak były to walki kwitowane pogardliwym prychnięciem przez prawdziwych rycerzy, którzy nie nazywali ich inaczej, jak starciami, potyczkami lub drobnymi kłopotami...

Brian, który usilnie starał się nauczyć go posługiwania się mieczem, sztyletem i kopią znał prawdę o umiejętnościach Jima. Chandos, jako doświadczony strateg i znawca ludzi, też z pewnością szybko ją odkrył. W ostatnie Boże Narodzenie sir Harimore Kilinsworth, główny rywal Briana w pojedynkach na miecze i kopie, w mgnieniu oka przejrzał Jima i niezwłocznie mu to powiedział. Właśnie wtedy Jim zaczął odczuwać wyrzuty sumienia.

Pod wieloma względami były to prymitywne czasy. Jednak on i Angela postanowili w nich zostać, kiedy uratował ją z wieży Loathly i przez krótki czas posiadał dość magicznej energii, aby przenieść ich oboje z powrotem do świata i czasów, które znali.

Kiedy było już po wszystkim, zgodzili się, że podoba im się tutaj. To były dobre czasy – pod wieloma względami wspaniałe, gdyż odwagę i lojalność rozpoznawano tu i szanowano bardziej niż w dwudziestym wieku...

Wspominając moment, gdy podjęli tę decyzję, uśmiechnął się i zapadł w sen, myśląc o tym, co ich do tego skłoniło.

Nagle się ocknął. Ktoś nad nim stał, ale nie była to Angie. Był to Carolinus, jego mistrz magii. Płomienie kreśliły głębokie cienie w kosmykach jego brody i fałdach czerwonej szaty, którą zawsze miał na sobie.

–No, no – rzekł mag dziwnie chrapliwym głosem. – Zbudziliśmy się już, co?

–Nie – rzekł Jim, którego w tym momencie wszystko denerwowało, i dodał bez zastanowienia: – Śpię!

Wszystko pochłonęła ciemność.

Rozdział 9

Powoli, leniwie Jim budził się ze snu, wynurzając się z głębokiej toni niepamięci. Takie łagodne przebudzenie było miłym sposobem powrotu do rzeczywistości. Jednakże w miarę odzyskiwania przytomności, narastało w nim przeświadczenie, że coś jest nie w porządku albo że coś się stało tuż przed tym, zanim wpadł w otchłań, z której teraz się wynurzał.

Nagle poczuł głęboki niepokój. Gwałtownie ocknął się i usiadł.

–Co się stało? – zapytał. Mag spojrzał na niego z góry.

–Uśpiłeś się – odparł krótko.

–Ja? – zdziwił się Jim. – Jak to zrobiłem?

–Nie mam pojęcia – rzekł Carolinus. – Każdy ma swoje metody. Użyłeś magii, oczywiście.

–Chcesz powiedzieć, że uśpiłem się za pomocą mojej magii?

–A cóżby innego? – odrzekł szorstko Carolinus. – Oczywiście, że uśpiłeś się za pomocą

twojej magii. A czyją mogłeś się posłużyć?

–Nie wiedziałem, że moja magia może na mnie działać! – wyznał Jim.

–No to teraz już wiesz – rzekł Carolinus. – Człowiek całe życie się uczy. Wydawało mi się, że to jeden z najbardziej oczywistych faktów, ale najwyraźniej przeoczyłeś go. To oczywiste, że czary działają na tego, kto je rzuca. Kiedy za pomocą magii przenosisz się gdzieś, czy twoje czary nie działają na ciebie?

–No... – zaczął Jim, ale nie wiedział, co powiedzieć. Oczywiście, Carolinus miał rację. Jako jeden z trzech magów klasy AAA+ na tym świecie wiedział, co mówi... Jim pomyślał o swojej randze czarodzieja C+, a i to uzyskanej w wyniku niedawnego awansu.

Mimo wszystko ta myśl była niepokojąca. Zbyt bliskie było to machinalnemu wykorzystywaniu magii w celu uszczęśliwienia siebie albo zmiany opinii o czymś lub... nie potrafił wymyślić dobrego, a zarazem zabawnego przykładu. Jednak możliwość wpływania na siebie własną magią rodziła poważne wątpliwości.

Nagle uświadomił sobie, że Carolinus pojawił się nie wezwany. Mag normalnie tak nie postępował – zazwyczaj Jim musiał go szukać i bardzo często nie był w stanie znaleźć.

–Cóż, dzięki za przybycie – powiedział pospiesznie Jim.

–Nie musisz dziękować. Nie jestem tu z kurtuazyjną wizytą – rzekł Carolinus. – I wcale nie przybyłem. Rozmawiasz tylko z moją projekcją. Nie przybyłem, ponieważ nie mogłem.

–Dlaczego?

–To nie twój interes. A innymi słowy, to nieistotne. Chcę z tobą porozmawiać o ważniejszych sprawach.

Jim gapił się na projekcję Carolinusa. Zastanawiał się, po co to? Zawsze uważał, że mistrz magii może udać się dokądkolwiek chce i w każdej chwili.

To prawda, od tej reguły zdarzały się wyjątki – na przykład kiedy Carolinus zachorował. Wyglądało na to – o ile Jim się orientował – że w tym świecie czary mogły goić rany; ale nie leczyły chorób.

Podniósł się z posłania w szortach i koszulce. W tych czasach wszyscy zwykle spali nago, ale pomimo ubrania było mu zimno. Pospiesznie dołożył drzewa na kominek. Buchnęły płomienie. Odwrócił się do Carolinusa.

–W każdym razie – rzekł raźnie i przyjaźnie, opanowując zły humor i próbując ułagodzić Carolinusa – miło mi cię widzieć, nawet w postaci obrazu. Przy okazji, pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, w jaki sposób ja mógłbym wysłać moją projekcję?

–Nie mam zielonego pojęcia – odparł Carolinus.

Po długich staraniach, jakich nie szczędził, od kiedy Jim zaczął u niego terminować, Carolinus w końcu zdołał go przekonać, że nie jest w stanie nauczyć go magii. Stary czarodziej dokonał tego, każąc Jimowi samodzielnie rozwiązywać wszystkie problemy. A w miarę upływu czasu Jim powoli uświadomił sobie prawdę: magii – podobnie jak muzyki czy malarstwa – nie można było komuś przekazać. Tylko samemu można się jej nauczyć. Prawdziwe czary były sztuką i oprócz pewnych podstawowych technik i zasad ich rzucania każdy czarodziej musiał opracować własne sposoby... Jim zdał sobie sprawę, że Carolinus przeszywa go gniewnym spojrzeniem.

–Przepraszam – rzekł pospiesznie. – Błądziłem myślami.

–Jak zwykle, jeśli wolno zauważyć – odparł Carolinus. – W każdym razie nie mogę

rozmawiać tu z tobą przez całą noc. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Dlatego mnie tu widzisz.

–O co chodzi? – spytał Jim, czując nagły dreszcz niepokoju. – Chyba nic się nie stało Angie i Robertowi?

–Nie – odparł krótko Carolinus. – Skończmy z tym. Nie mam wiele czasu, a muszę ci przekazać dwa polecenia. Po pierwsze, skontaktuj się z KinetetE, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Po drugie, za wszelką cenę musisz utrzymać króla na tronie – mówię o królu Anglii.

–Utrzymać króla na tronie? – powtórzył Jim. Jak miał to zrobić? Szukał słów, którymi mógłby wyrazić zaskoczenie i niedowierzanie, ale Carolinus mówił dalej.

–Pamiętaj – rzekł. – Nie trać głowy. Nawet, kiedy nie będziesz mógł użyć magii... bo wiesz, że są takie chwile i miejsca. – Urwał i spojrzał ostro na Jima.

Ten przypomniał sobie, że kiedyś już zawiodły go magiczne umiejętności – w Królestwie Zmarłych. Jednak zanim zdążył coś powiedzieć, Carolinus uciszył go, unosząc rękę.

–Nawet w takich chwilach – ciągnął – dobry czarodziej ma pewne możliwości. Magiczne oddziaływanie.

–Carolinusie – zaczął Jim. – Co... Obraz maga zamrugał i znikł.

–Carolinusie! – zawołał Jim. Mag nie odpowiedział.

Jim skupił się na Carolinusie, wyobrażając go sobie tak, jak przed chwilą go widział, i nakazując magii, aby przeniosła go do starego czarodzieja.

Nic się nie stało.

Po raz pierwszy od kiedy Carolinus ukazał mu magiczne umiejętności, jakie Jim nabył, zwyciężając pod wieżą Loathly, czary nie skutkowały. Przecież nie zużył ich – jeszcze nie. Dotychczas nie zwracał się do Wydziału Kontroli – tego dziwnego tworu, który pilnował magicznej energii – z prośbą o przelanie większej ilości magii na jego konto, do czego był uprawniony dzięki staraniom Carolinusa. Nie prosił o to, gdyż stary mag twierdził, że należy oszczędzać magię, i Jim podejrzewał, że prośba o zwiększenie limitu mogłaby się spotkać z odmową. Jednak oszczędzał swoją magiczną energię. Z pewnością pozostało mu jej całkiem sporo. Aby to sprawdzić, wyobraził sobie, że trzyma różę. Doznał tego charakterystycznego uczucia, jakie towarzyszyło działaniu magii, a jednocześnie w jego dłoni pojawił się kwiat.

–Au! – powiedział, ukłuwszy się kolcem.

Wrócił do rzeczywistości i zaczął zastanawiać się nad tym niemal nieprawdopodobnym faktem, że jego czary nie chciały działać.

Może Carolinus zablokował wszelkie próby kontaktu? Tylko takie wytłumaczenie przychodziło mu na myśl, ale jeśli tak, to dlaczego? Jim położył się na posłaniu i gdy ogień na kominku znów zaczął dogasać, ponownie roztrząsał to, co powiedział mu Carolinus. W przeszłości mag bywał czasem nieosiągalny, lecz to nie było to samo.

I jak on, Jim, mógł mieć coś do powiedzenia w kwestii pozostania na tronie obecnego króla Anglii, Edwarda III? Był zdumiony i w głowie kłębiły mu się rozmaite pytania, wymagające odpowiedzi, które rodziły następne pytania. Twarze, nazwiska i myśli wirowały jak w kalejdoskopie.

Na domiar wszystkiego polecenie Carolinusa, aby Jim skorzystał z pomocy KinetetE

było równie chybione, jak wymóg utrzymania króla Edwarda na tronie. KinetetE była jedną z trójki magów klasy AAA+ na tym świecie. Jim widział ją tylko raz, z daleka, ale wyglądała na groźną kobietę, a jeśli Carolinus był typowym czarodziejem klasy AAA+, to trudno będzie się z nią dogadać.

Oba te polecenia były nie do zrealizowania. Z tych skąpych informacji, niedopowiedzeń i półprawd nie dało się wyciągnąć żadnych sensownych wniosków. Mógł tylko dać się porwać temu wirowi i płynąć z prądem...

Promień słońca padł przez otwór strzelnicy i trafił go prosto w oczy.

Chandos stał nad Jimem, zupełnie ubrany, w zbroi i z mieczem u pasa – najwyraźniej gotowy do jazdy.

–Błagam o wybaczenie – mówił, bynajmniej nie przepraszająco. – Ale już czas wyruszyć w drogę, a wiem, iż nie chciałbyś zaczynać całodziennej jazdy bez jedzenia i picia. Już zastawiono dla nas stół i jeśli szybko ubierzesz się i uzbroisz, może jeszcze zdążysz coś przekąsić, zanim wsiądziemy na koń. Ponieważ nie zabrałeś ze sobą giermka, czy mam przysłać ci jednego z moich ludzi, żeby pomógł ci się odziać i włożyć zbroję?

–Nie, nie – zaprzeczył Jim, gramoląc się z posłania. – Zaraz zejdem. Chciałbym tylko, żeby ktoś zabrał mój bagaż.

Zauważył, że Chandos przygląda mu się i pojął, że to jego nocny strój przyciąga uwagę rycerza.

–Proszę o wybaczenie – dodał pośpiesznie. – Przez większą część nocy byłem zajęty sprawami... magicznej natury.

–To całkiem zrozumiałe, sir Jamesie – odparł Chandos, cofając się i nadal ze zdumieniem patrząc na szorty i koszulkę Jima. – Cóż, za kilka minut i ja będę na dole przy stole.

Rycerz wyszedł i wszedł zamkowy sługa. Jim ubrał się i włożył zbroję – jednak korzystając z pomocy sługi. Zapiął pas, chwycił hełm i pośpieszył do wielkiej sali, gdzie przy stole siedzieli Chandos i sir Bertram. Wokół nie było nikogo, lecz ci dwaj spoglądali na niego z dezaprobatą pomieszaną z zainteresowaniem, którymi można by obdzielić tuzin ludzi.

Niecały kwadrans później z brzuchem pełnym jadła i napitku Jim razem z sir Johnem i jego ludźmi wyjeżdżał już z zamku Penrith. Po kolejnych dwudziestu minutach jechali przez gęste lasy, gdzie czasem trafiali na drogę, a czasem nie. Jednak przewodnicy przydzieleni przez sir Bertrama prowadzili pewnie, czasem omijając niewielkie wzniesienia, aż wczesnym popołudniem oznajmili, że dotarli do lasu Skiddaw. Minęli dwa niewielkie szczyty o wysokości od ośmiuset do tysiąca metrów. Otaczały je liściaste lasy dębowo-jesionowo-brzozowe i równie mało urozmaicone zarośla. Przewodnicy zameldowali sir Johnowi i Jimowi, jako przywódcom ekspedycji, że trasa podróży wiedzie wokół Blencathry i między Knottem a Great Calva – wszystko to nazwy kolejnych gór.

Późnym popołudniem natrafili na dostatecznie dużą na obozowisko polanę ze strumykiem w pobliżu. Polanka leżała na łagodnie nachylnym na południe stoku i na jej końcu, prawie przy strumieniu, stał prymitywny drewniany szałas – prosta jednoizbowa chata, prawdopodobnie domek myśliwski lub coś w tym rodzaju. Od razu przydzielono ją Jimowi i sir Johnowi. Ku uldze Jima w środku przyjemnie pachniało i nie zastali tam brudu, bałaganu i śmieci, które często znajduje się w takich chatkach. W drewnianych ścianach,

które wyglądały tak, jakby miał je zwalić pierwszy zimowy wichur, nie było okien, tylko szpary, ale na jednym końcu izby znajdowało się palenisko z nisko umieszczonym otworem do odprowadzania dymu.

–Jeśli obejmiesz tu dowodzenie, sir Jamesie – rzekł Chandos, kiedy już wniesiono ich bagaże – ja z tuzinem ludzi i jednym z naszych przewodników mógłbym objechać okolicę. Zgadzasz się?

–Jak najbardziej, sir Johnie – odparł Jim, zadowolony, że nie musi znów siadać na koń. Na palenisku już rozpalono ogień, a na podobnym do plandeki obrusie rozłożono zimne mięsiwo i chleb, w razie, gdyby rycerze zgłodnieli. Jim bardzo chciał zostać sam, żeby wszystko przemyśleć.

Chandos odjechał, zabierając ze sobą nie tylko tuzin ludzi, ale także trzech młodych rycerzy. Jim stał przed chatą i z lekkim podziwem patrzył, jak oddziałek znika wśród drzew. To podobne do Chandosa, aby przede wszystkim zbadać okolicę, w razie, gdyby przyszło im walczyć.

Powoli wrócił do izby. W środku miło płonął ogień, a jeden ze zbrojnych, pełniący obowiązki ordynansa sir Johna, upewniwszy się, że rycerze niczego już od niego nie potrzebują, odszedł. Nawet dym z paleniska posłusznie uchodził przez otwór w ścianie, gdyż wietrzyk wiał w dobrą stronę i zapewniał konieczny ciąg.

Jim stanął w otwartych drzwiach. W obecności Chandosa, patrzącego mu – oczywiście w przenośni – na ręce, nie chciał zdradzać swojej nieznajomości wojennego rzemiosła. Spojrzał na otwartą przestrzeń na środku polanki.

–Dagget! – zawołał.

–Tak, milordzie – za jego plecami, tuż na prawo odezwał się lekko ochryply baryton.

Jim obejrzał się i zobaczył ogorzałą twarz oszpeconą blizną, która zaczynała się na czole, przecinała złamany nos i schodziła aż na policzek. Jim nie miał pojęcia, jak Dagget zdołał przeżyć taką ranę. Był krzepkim i mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Podeszedł do Jima.

Chandos też nie zabrał ze sobą giermka, ale Dagget najwyraźniej był zarówno dobrym ordynansem, jak i dowódcą pozostałych zbrojnych.

–Przyszedłem zobaczyć, czy milord ma dla mnie jakieś rozkazy – dodał Dagget, stając przed Jimem.

–Chciałbym zobaczyć ludzi, których postawiłeś na warcie.

–Pozwól za mną, milordzie.

Okazało się, że było ich pięciu, rozstawionych wśród drzew wokół polanki. Obejrzwawszy ich z tym, co – jak miał nadzieję – wyglądało na rycerskie zainteresowanie, Jim wrócił do chaty i zwolnił Daggeta.

Dopełniwszy obowiązku, nalał sobie wina. Usiadł na bagażu, opierając resztę tobołków o ścianę, żeby służyły mu jako oparcie.

Przez całą drogę zastanawiał się nad tajemniczymi słowami Carolinusa, ale do niczego nie doszedł. Nie pojmował, co ma wspólnego z królem Anglii albo z KinetetE.

„Magiczne oddziaływanie” – takie były ostatnie słowa Carolinusa. Tylko co właściwie oznaczały? Zmęczony umysł Jima próbował znaleźć do nich rym – i nagle przypomniał sobie przesądne obawy zamkowej służby związane z tak zwanymi nawoływaniem.

Zgodnie z tym przesądem, jeśli wymówiłeś imię jakiegoś złego stwora, może po ciebie przyjść. Czy tak samo było z magią? I jak to możliwe? Carolinus wspomniał również o chwilach, kiedy magia nie działa. Co w takim wypadku można przywołać?

No cóż, jeśli czarodziej nie może użyć magii, może mógłby to zrobić ktoś inny... Teraz przypomniał sobie, że jednym z doznań, jakie towarzyszyły uczeniu się magii, było to szczególne wrażenie świadczące, że czar działa.

Może potrafiłby również stwierdzić, czy działa magia innego czarodzieja? Może dobry czarodziej potrafi jakoś wyczuć działanie magii... z jakiej odległości? A może potrafi wyczuć ją wszędzie?

Teraz przypomniał sobie również, iż Carolinus kilkakrotnie ostrzegał go, kiedy rozmawiali na odległość, że ktoś może ich usłyszeć. Tak więc mag może wyczuwać czary innych magów.

Tylko co to miało wspólnego z tronem Anglii i Jimem?

Może raczej chodziło o KinetetE, o której również wspomniał Carolinus? Jim bynajmniej nie był uradowany perspektywą spotkania z nią.

Widział ją tylko raz, kiedy pełniła funkcję swoistego arbitra w pojedynku magów, w którym brał udział Carolinus. Doszło do niego, kiedy pewien orientalny mag sprzeciwiał się wykorzystywaniu przez Jima hipnozy.

KinetetE wyglądała na niebezpieczną osobę. Jednak wiedząc, jak wygląda, potrafił ją sobie wyobrazić i dotrzeć do niej za pomocą czarów...

W tym momencie drzwi chaty się otworzyły. Jim zobaczył czerwony blask zachodzącego słońca, sączący się przez gałęzie drzew, i w następnej chwili zasłonięty przez zakutego w stal Chandosa, który wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

–Dobrze, że pojechałem na ten rekonesans – oświadczył Chandos, przechodząc obok Jima i stając przy kominku, żeby ogrzać dłonie.

Rozdział 10

Jim dopiero teraz zauważył, że chociaż mieli środek lata, wraz z nadejściem zmroku temperatura tak spadła, że ogień na palenisku był bardzo przydatny. Znajdowali się w północnym zakątku Anglii i na sporej wysokości.

Stał obok Chandosa, grzejąc się przy ogniu.

–Powiedziałaś, iż dobrze się stało, że pojechałeś na ten rekonesans, sir Johnie – przypomniał, spoglądając przez płomienie na rycerza.

–W rzeczy samej! – przytaknął sir John, odrywając wzrok od tańczących płomyków. Był teraz zupełnie innym człowiekiem niż ten dworny Chandos, jakiego Jim znał dotychczas. – Wichrzyciele już tu są. Gdybym nie uparł się, aby wyjechać na zwiady, nie wiedzielibyśmy o tym. A tak zdołaliśmy ich wytropić. Najwidoczniej ten, kto nimi kieruje, myśli bardzo podobnie do sir Bertrama, ponieważ rozbili obóz niedaleko stąd. Znajdują się kilometr dalej.

–Jak zdołali dotrzeć tutaj tak szybko? – zapytał Jim.

–Niech mnie licho, jeśli wiem! – odparł Chandos. – Poinformowano mnie, że jeszcze nawet nie zaczęli formować oddziału, tymczasem, sądząc po tym, jak wygląda ich obóz, zaczęli się gromadzić mniej więcej tydzień temu. Nie wiem, czy są już wszyscy. – Wzruszył ramionami. – Najlepiej będzie ruszyć natychmiast – orzekł. – W tej chwili jest ich prawie tyłu, co nas, amóżę trochę więcej. Jednak jest wśród nich dziesięciu rycerzy, a każdy z

nich ma co najmniej jednego giermka. Dobrze władający kopiami jeźdźcy będą stanowili trzon ich szyku. Nas jest dwóch, plus trzech młodych i niedoświadczonych rycerzy bez giermków, chociaż Dagget jest równie dobry. – Milczał chwilę, napełniając sobie kielich. – Z drugiej strony – ciągnął – moi zbrojni to doświadczeni żołnierze i sprawni jeźdźcy. Najlepsi mogą pojechać obok nas. Na tarczach, które tam widziałem, nie dostrzegłem żadnych szczególnie znanych herbów. Oczywiście nie licząc twego przyjaciela, sir Briana.

– Briana? – zdziwił się Jim. – Przecież nie powinno go tu być. Odwiedził mnie w moim zamku dzień przed twoim przybyciem do Malencontri. Widziałeś go tu?

– Nie – odparł krótko Chandos. – Oczywiście stoją tam namioty, więc pewnie był w jednym z nich. Jednak widziałem tego wielkiego rumaka bojowego, uwiązane obok innego wierzchowca. Nie ma wątpliwości. Ten koń jest wart królestwa. Zapomniałem, jak się nazywa.

– Blanchard – odparł machinalnie Jim, gorączkowo zbierając myśli.

– To przez nasze powolne tempo podróży! – rzucił gniewnie Chandos. – Powinienem jechać szybciej. Mogliśmy spokojnie skrócić naszą podróż o dwa, a nawet trzy dni. – Oderwał wzrok od twarzy Jima i nie odwracając się, zawołał głośno: – Dagget!

Niemal natychmiast zaskrzypiały drzwi i stanęła w nich krępa postać, doskonale rozpoznawalna nawet w półmroku.

– Sir Johnie?

– Wieczera! – rzucił sir John, nadal się nie odwracając. – Jadło i napitek! I postaraj się o jakiś stół, przy którym moglibyśmy usiąść.

– Tak jest, sir Johnie.

Drzwi zamknęły się, zasłaniając Daggeta oraz zachodzące słońce. Chandos obrócił się na pięcie, podszedł do wyłożonego mięsiwa, chleba i wina, po czym sporządził sobie wielką kanapkę. Wrócił z nią do ognia i stanął tam, patrząc z ukosa na Jima.

– Dagget jeździ ze mną od kilku lat – powiedział. – Zaraz przyniesie nam stół. Potem porozmawiamy.

Zaufanie, jakim sir John darzył Daggeta, okazało się całkowicie uzasadnione. W zdumiewająco krótkim czasie Jim i starszy rycerz zasiedli naprzeciw siebie, na grubych wiązkach mocno związanych gałęzi, na które narzucono końskie siodła. Niewielki stolik uzyskano, ustawiając znalezione w chacie łóżko na stercie gliny, a następnie nakrywając je końską derką i obrusem z bagażu sir Johna.

Na jego białej powierzchni, w blasku podsyczonego ognia, położono srebrne nakrycia z wytłoczonym na nich herbem sir Johna – dwie łyżki, dwa kielichy, srebrną karafkę z winem i drugą z wodą. Ponadto dla obu ustawiono kamionkowe miski z gorącym gulaszem z wołowiny i rosółu, który otrzymali, opuszczając zamek Penrith, ale najwidoczniej doprawionym ziołami z osobistego bagażu Daggeta.

Na drugie danie również była wołowina, nieco zmięczona w wyniku długiej jazdy, w trakcie której, owinięta w czystą szmatę, spoczywała między siodłem a derką wierzchowca Daggeta. Podano ją pokrojoną w paski i podgrzaną w płomieniach jednego z ognisk. Posiłek zakończył słodki, smakujący szafranem pudding, również ciepły.

– Posłuchaj – rzekł w końcu sir John, odsuwając pusty talerz i pociągając kolejny łyk wina. Odstawił puchar. – Nie masz nic przeciwko temu, że ja dowodzę ekspedycją,

prawda?

–Rzeczywiście – rzekł z przekonaniem Jim. Pytanie było retoryczne. Nikt lepiej od Chandosa nie nadawał się na dowódcę takiej wyprawy. Jednak Jim doceniał jego kurtuazję.
– Masz większe doświadczenie, niż ja kiedykolwiek będę miał.

–To dobrze – rzeki sir John. – Ponieważ sądzę, że jeśli wszystko potoczy się tak, jak przewiduję, nie będzie czasu na dyskutowanie, kto komu wydaje rozkazy. – Ponownie podniósł kielich do ust, pociągnął długi łyk i z trzaskiem odstawił naczynie na stół. – Tak jak ja to widzę – rzekł – nie mamy wyboru.

Jim bacznie go obserwował. Migoczące płomienie ożywiały twarz Chandosa, czyniąc jego oczy mroczniejszymi i bardziej zapadniętymi. Na obliczu sir Johna malował się spokój, pod którym jednak kryło się napięcie. Dworzanin zmienił się w wodza.

–Sądząc po tym, co zobaczyłem w ich obozie – ciągnął – jutro będą gotowi wyruszyć i zrobić to, co zaplanowali. Nie mamy innego wyboru, jak niezwłocznie ich zaatakować, gdyż być może czekają jeszcze na posiłki i zwlekając, zwiększylibyśmy ich przewagę liczebną. Nawet teraz będą stanowili ciężki orzech do zgryzienia, jeśli – jak przypuszczam – przynajmniej niektórzy z nich są doświadczonymi żołnierzami. Nie ma sensu posyłać do sir Bertrama po posiłki, nie mamy bowiem na to czasu, a ponadto nie chcę żadnego z tych, którzy pilnowali posiadłości milorda Cumberlanda. – Urwał i gorzko się uśmiechnął. – Chciałeś zapytać mnie dlaczego?

–Właściwie nie zamierzałem pytać. Jednak chciałbym wiedzieć.

–Powiem ci – rzekł Chandos. – Nawet nie muszę ich oglądać, żeby wiedzieć, że większość ludzi sir Bertrama nigdy nie użyła broni przeciw innemu przeciwnikowi jak bezbronni kmiecie i dzierżawcy, górnicy i tak dalej. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy nie mają żadnego obycia z bronią. W istocie, tacy często potrafią dzielnie walczyć w obronie swego domu, rodziny i pana. Niektórzy nawet lepiej i szybciej staną do walki od tych, co brali udział w niejednej bitwie, gdyż żaden doświadczony żołnierz nie wdaje się w konflikt, nie wiedząc, czy zwycięży, czy zginie. – Przerwał, czekając na reakcję Jima. Ten skinął głową. Z tym mógł się zgodzić. – W wypadku szlachetnie urodzonych, takich jak my – ciągnął Chandos – jest oczywiście inaczej. Mimo to kiedy zwykły żołnierz ma walczyć, często staje nadzwyczaj dzielnic, walcząc ze wszystkich sił i korzystając z doświadczenia. Dlatego najlepsi są doświadczeni żołnierze. I z takich sformowałem mój oddział. Jeśli nic ma innego sposobu, aby uniknąć śmierci, jak zabijać, będą chcieli zostać zwycięzcami. Co więcej, mają dużą wprawę. No i w końcu nie odwrócą się i nie uciekną chyba że sytuacja będzie beznadziejna. – Zamilkł, patrząc na Jima, który poczuł się nieswojo. – Nie dotyczy to tylko zwykłych żołnierzy – podjął po chwili. – Ty, sir Jamesie, zapewne sam to widziałeś. Bóg wie, że – nie mówię tu o nas, gdyż obaj znamy nasze czyny – tchórze i zdrajcy trafiają się nawet wśród tych, którzy nazywają się dżentelmenami. Nawet król Artur miał takich przy Okrągłym Stole – jak pewnie pamiętasz, w końcu sir Parsifal zawstydził wszystkich, postępując tak, jak przystoi rycerzowi, za co Bóg zesłał mu wizję świętego Graala. Obawiam się jednak, że zboczyłem z tematu.

–Wcale nie – powiedział Jim. – Mamy cały wieczór na rozmowę.

–Chyba nie – rzekł sir John. – Może dobrze byłoby wcześniej położyć się spać i wstać przed wschodem słońca. Jestem przekonany, że nie mamy wyboru. Musimy całą siłą

uderzyć o świcie na ich obóz, zanim będą gotowi do walki, żeby wykorzystać element zaskoczenia i w ten sposób zrównoważyć ich przewagę liczebną.

–Czy między drzewami, wśród nisko zwisających gałęzi i krzaków, uda nam się zająć pozycje tak, żeby nas nie zauważyli? – zapytał Jim. – Szczególnie, że pod drzewami będzie jeszcze ciemno. A ponadto czy oni nie wystawią wart?

–Na pewno będą tam wartownicy – rzekł Chandos. – Mam jednak ludzi, którzy potrafią znaleźć ich w ciemności i poderżnąć im gardła tak, żeby nie podnieśli alarmu. Oczywiście moi ludzie mogą popełnić błędy. Mogą przeoczyć jakiegoś wartownika albo zabijany może krzyknąć przed śmiercią i zaalarmować obóz. Prawdę mówiąc, jest bardzo prawdopodobne, że coś nam przeszkodzi. W takich potyczkach zawsze należy się z tym liczyć. Możesz wszystko doskonale zaplanować, ale przypadek pokrzyżuje ci szyki.

–Co zrobimy, jeśli tak się stanie?

–To samo, co zrobilibyśmy i tak – odparł Chandos. – Jeśli wartownicy podniosą alarm, będzie to oznaczało, że dobrzy żołnierze będą obudzeni i uzbrojeni, kiedy tam wpadniemy – chociaż niekoniecznie odziani w zbroje i na koniach. Mało prawdopodobne, aby któryś z nich był w zbroi, chyba że ma sprawdzać warty. Jednak niektórzy śpią w zbrojach i twój przyjaciel Brian wygląda mi na jednego z nich. W każdym razie czy podniosą alarm, czy nie, musimy zrobić swoje i jak najlepiej wykorzystać zaskoczenie.

Jim kiwnął głową.

–Oczywiście masz rację – rzekł. – Nie ma innego wyjścia.

–Rad to słyszę – odparł Chandos. Podniósł puchar i dopił wino. – A teraz powinniśmy przespać się przed walką.

–Muszę wyjaśnić – rzekł pośpiesznie Jim – że prawa magii, których muszę przestrzegać, nakazują mi spać na specjalnym posłaniu na podłodze...

–Oczywiście – zgodził się sir John. – Szanuję twoje poczucie obowiązku. Ponadto lepiej nie ruszać tego stołu. – Ponownie podniósł głos, nie odwracając się: – Dagget!

Natychmiast zaskrzypiały drzwi i padła odpowiedź:

–Tak, sir Johnie?

–Gałęzie jako materac i końskie derki na posłanie! Będę spał na podłodze, tak jak sir James, a stół pozostawimy do wykorzystania przy śniadaniu.

–Tak, sir Johnie. Drzwi się zamknęły.

Sir John, jako arystokrata w każdym calu, nie chrapał przez sen. Jim, którego czasem o to oskarżano, spoglądał w ciemności na leżącego na posłaniu z koców i miękkich brzoźowych gałęzi rycerza, trochę zazdroszcząc mu łatwości, z jaką zapadł w sen.

Mijały godziny, a on leżał, nie mogąc zasnąć. Ogień dogasał i w izbie robiło się ciemniej. Jim znów rozmyślał o tym, co powiedział Carolinus. Miał wrażenie, że wciąż jest prześladowany przez Ciemne Moce. Czyżby znów miało się to zdarzyć?

Jeśli się nie mylił, Ciemne Moce były złowrogą siłą, która – wtrącając się w ludzkie sprawy – miała nadzieję osiągnąć stan zastoju, wykluczającego jakkolwiek postęp, albo totalny chaos krwawej anarchii i śmierci. Czasem działała za pośrednictwem nienaturalnych stworów, takich jak ogry, harpie czy robak, z którym potykał się przy wieży Loathly. Czasem jej narzędziami były zdeprawowane ludzkie istoty, takie jak Mahdnne, zły czarnoksiężnik. Próbowwała nawet wykorzystać Granfera, najstarszą i największą matkę

wszystkich mórz. Nie wiadomo, czym może się posłużyć...

W końcu, kiedy minęła już prawie cała noc, wciąż o tym rozmyślając, Jim zapadł w tak długo wyczekiwany sen.

Sam nie wiedział, jak zaczął się ten majak, ale później pamiętał, że trzymając się za ręce, biegli z Angie jakimś korytarzem lub wąskim tunelem, który nie dawał żadnej osłony, a nadciągało tornado. Nagle podłoga uciekła im spod nóg, a ściany zadrżały i runęły. On i Angie znaleźli się w ciemnościach, przygniecieni potwornym ciężarem gruzu. Nie mogli się ruszać. Nie mogli oddychać. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była dłoń Angie, jej poruszające się palce, które dotknęły jego ręki, a potem splotły się z jego palcami, zanim zgasły ich ostatnie iskry życia.

Ocknął się gwałtownie, na pół uduszony. W izbie było pełno gęstego dymu. Jim chciał odkaszląć, ale zabrakło mu tchu w płucach. Podniósł się i po omacku powłókł w kierunku wyjścia. Macając ścianę, znalazł drzwi i niemal wypadł na zewnątrz, po czym zrobił kilka chwiejnych kroków i stanął.

Nagle uświadomił sobie, że koszmarne sen się skończył. Jim stał w ciemnym lesie, na polance oświetlonej tylko nikłym blaskiem zapalonego na środku ogniska, przy którym stał Chandos i jeden z młodych rycerzy. Obaj byli w zbrojach, a w pobliżu stało sześciu zbrojnych. Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Jima. Łagodny wietrzyk niósł wilgoć przedświt.

–Sir Jamesie! – zawołał Chandos. – Mogłem się domyślić, że sam się zbudzisz. Czy zauważyłeś, że wiatr się zmienił? – Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do młodego rycerza, którym był sir William Blye: – Widzisz, sir Williamie – powiedział. – Jak godnego i prawego rycerza nie trzeba budzić rano ze snu, kiedy czeka go wojenne ćwiczenie?

Sir William wbił wzrok w ziemię. Chandos ponownie odwrócił się do Jima.

–Ależ, sir Jamesie! – rzekł. Przeziębiesz się, jeśli będziesz chodził tak lekko odziany. Przynajmniej chodź tutaj, do ognia. A ty, Dagget, ruszaj razem ze swymi ludźmi.

Sir William też odszedł, a Jim, który i tak zamierzał podejść do ogniska, już się zbliżył. W tym momencie ciepłym miejscem była chata za jego plecami, którą zmieniający się wiatr wypełnił dymem, oraz ognisko, również wyglądające niezbyt zachęcająco, ale choć dawało niewiele światła, to przynajmniej promieniowało ciepłem i nie groziło uduszeniem w dymie.

Rozdział 11

Okazało się, że za wiele sobie obiecywał po tym ognisku. Wesoło skaczące płomienie przyciągały go jak ćmę, lecz już po kilku sekundach zatęsknił za chatą, nawet pełną dymu – bo lepiej się dusić niż przysmażyć z jednej strony. Obejrzał się przez ramię, żywiąc słabą nadzieję, że wiatr zmienił kierunek i nie wdmuchuje do izby dymu z paleniska. Wprawdzie tak się nie stało, ale z powodu otwartych drzwi powstał przeciąg, który wywiał dym przez otwór nad paleniskiem. Powietrze w izbie szybko się oczyściło.

–Na świętego Jerzego – powiedział Chandos, który obserwował odjeżdżających zbrojnych. – Dzień będzie chłodny. – Odetchnął głęboko i z satysfakcją. – I dobry dla nas. Czuję to w kościach. Jednak, sir Jamesie – ponownie spojrzał na Jima – radziłbym ci niezwłocznie się ubrać i włożyć zbroję. Tymczasem zgasimy ognisko i zasypimy je ziemią. Wkrótce zacznie świtać, a nie chcemy, aby ktoś w nieprzyjacielskim obozie dostrzegł dym na tle nieba. Jeśli chcesz, pošlę człowieka, który spakuje twoje rzeczy i umieści je na

grzbiecie konia.

–Byłbym wdzięczny – odparł Jim. Plecy, odsunięte od ognia, miał zimne jak lód.

Odwrócił się i prawie biegiem ruszył do chaty oraz czekającej tam ciepłej odzieży.

Wspomnienie koszmarnego snu rozwiało się prawie całkiem razem z dymem. Wsiadając chwilę później na Gorpa, po pospiesznym posiłku złożonym z pucharu wina i kawałka zimnego mięsiwa, Jim uświadomił sobie, że nie wstrząsają nim już te gwałtowne emocje, które go obudziły. Teraz rozjaśniło mu się w głowie i powiedział sobie, że zapewne były spowodowane lękiem przed tym, co czekało go tego ranka.

Wolałby jechać na tę bitwę, mając u boku Briana, gdyż mimo całej zręczności Chandosa w posługiwaniu się bronią i umiejętności dowodzenia Briana przynajmniej obchodziłoby to, czy przyjaciel wyjdzie z życiem z potyczki. Jim czuł się samotny i opuszczony.

Kiedy sir John mówił o prostodusznych żołnierzach weteranach, Jim doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że im nie dorównuje. W przeciwieństwie do Chandosa i Briana – a także niemal każdego rycerza, którego dotychczas napotkał w tym świecie – bynajmniej nie cieszyła go perspektywa walki i zrobiłby wszystko, byle jej uniknąć. Nieświadomie obawiał się najgorszego i jego umysł przetworzył ten lęk w najstraszliwszy z koszmarów: sen, w którym ani on, ani Angie nie mieli szansy przeżycia.

Ostrożnie podążali do celu, przy czym żołnierze trzymali konie za uzdy, omijając przeszkody i suche gałęzie, których trzask mógłby zaalarmować nieprzyjaciela. Chandos rozdzielił siły na trzy formacje. W środku jechali Jim, Chandos oraz trzech młodzi rycerze i ci zbrojni, którzy wprawnie posługiwali się ciężką kopią.

Z obu ich stron podążali jeźdźcy w lżejszych zbrojach, którzy mieli oskrzydlić wroga, kiedy środek szyku weźmie na siebie główny ciężar uderzenia na równie dobrze uzbrojonego przeciwnika. Byli tu wszyscy – bagaże i zapasowe konie zostały nie pilnowane w obozie.

Dagget i wysłani w celu zlikwidowania wartowników mężczyźni mieli również obserwować nieprzyjacielski obóz i zameldować, czy wszyscy w nim śpią, czy też część oddziału czuwa, uzbrojona i gotowa odeprzeć atak.

Chandos twierdził, że to mało prawdopodobne – ci ludzie spodziewali się atakować, a nie być atakowanymi. Doświadczony rycerz jednak najwyraźniej nie zamierzał ryzykować.

Podążali ostrożnie i powoli, lecz Jim miał wrażenie, że aż nazbyt szybko zbliżają się do obozu wroga. Już przewyciężył pierwsze emocje związane z nadchodzącym starciem. Jednak miał nieprzyjemne wrażenie, że pospiesznie przełknięty posiłek ciąży mu kamieniem na żołądku, a pomimo ubrania i miękkiej wyściółki zbroi było mu zimno.

Nieraz już walczył w swojej ludzkiej postaci, ale jeszcze nigdy z konnym i odzianym w zbroję przeciwnikiem, więc ścisnęło go w piersi na samą myśl o tym. W lesie unosił się zapach wilgotnego drewna i ziemi. Zapewne padało przed świtem. Powinni już być bardzo blisko obozu wroga.

Nagle tuż przed nosem wierzchowca Chandosa pojawił się Dagget. Sir John, podnosząc rękę, zatrzymał oddział. Niebo nad ich głowami poszarzało już tak, że nawet w ciemnym lesie mogli dostrzec się nawzajem, więc sygnał przekazano na prawo i lewo, aż wszyscy stanęli.

–Było czterech wartowników, o pół strzelenia z łuku od obozu – zameldował Dagget sir

Johnowi. – Jeden z nich spał. Zabiliśmy wszystkich. Podeszliśmy do obozu. Tam również wszyscy śpią, o ile mogliśmy to stwierdzić, nie zaglądając do namiotów, milordzie.

Chandos podniósł oczy ku szybko jaśniejącemu niebu.

–A więc nie traćmy czasu – powiedział. – O pierwszym brzasku niektórzy z nich wstaną rozpalić ogniska i przygotować posiłek.

Machnął ręką. Ponownie przekazano ten sygnał po linii. Ruszyli.

Nadal wiał przenikliwy poranny wiatr, teraz prosto w ich twarze, przynosząc zapachy obozowiska. Jim jeszcze nie opuścił przyłbicy, a kiedy zerknął na prawo i lewo, zobaczył, że Chandos i pozostali rycerze także mają je podniesione.

Ten fakt był dziwnie krzepiący. Mieli jeszcze kilka chwil, zanim zetną się z wrogiem. Jim próbował pocieszać się myślą, że otaczają go dobrze wyszkoleni oraz – oprócz trzech młodych rycerzy – doświadczeni żołnierze, ale zaczął się obawiać, że może ich zawieść, robiąc coś niegodnego, na przykład zostając z tyłu albo unikając walki. W ich oczach nawet użycie magii – zakazanej w bitwie – byłoby zbrodnią.

Nie wolno mu. Powtarzał sobie, że tego nie zrobi. Po prostu pozwolił, aby przygnębił go ten zimny pochmurny poranek oraz napięcie wywołane powolnym atakiem na śpiących nieprzyjaciół – w wyniku którego w ciągu następnej godziny mógł zginąć tak samo jak inni, teraz jeszcze żywi.

Zapach dymu stawał się coraz mocniejszy. Chandos podniósł rękę i opuścił przyłbicę. Młodzi rycerze poszli za jego przykładem i Jim też. Zawsze cierpiał na lekką klaustrofobię, więc po opuszczeniu przyłbicy zrobiło mu się trochę duszno. Z trudem oddychał i znów poczuł dym. Jednak w tej samej chwili Chandos popędził konia i powiedział głośno:

–Dobrze, panowie! Dotychczas jechaliśmy cicho, ale teraz już nie musimy. Naprzód!

Puścił konia kłusem. Pozostałe wierzchowce także przeszły w kłus, a Gorp, nie czekając na sygnał Jima, zrobił to samo, dotrzymując kroku sąsiednim rumakom. Mężczyźni prowadzący konie za uzdy znikli.

Las zaczął rzednieć – dojeżdżali do polany. Kłus przeszedł w krótki galop. Wszyscy jeźdźcy unieśli tarcze i wyjęli kopie z uchwytów, trzymając je w gotowości. Potem puścili się pełnym galopem.

Wypadli na polankę.

Przez kilka sekund Jim mógł ogarnąć spojrzeniem całą scenę. Polanka była bardzo podobna do tej, na której sami rozbili obóz, ze strumykiem płynącym po łagodnym stoku. W pobliżu stały równe rzędy namiotów z powiewającymi na wietrze proporczykami przed każdym wejściem. Kilka kręcących się przy nich postaci w żołnierskim rynsztunku zastygło, a potem obróciło się ku nadjeżdżającym.

W obozie rozległy się krzyki. Ludzie na zewnątrz namiotów wyjęli miecze i stanęli przodem do nacierających lub odwrócili się i zaczęli uciekać, narażając się na stratowanie. W mgnieniu oka atakujący wpadli do obozu. Kilka namiotów się wywróciło. Z jednego wybiegł jakiś mężczyzna, bez zbroi, ale z mieczem w dłoni. Nagle wyrósł tuż przed Jimem. Przestraszony Gorp instynktownie stanął dęba i uderzył go przednimi kopytami.

Mężczyzna padł. Jim galopem ominął namiot w tej samej chwili, gdy przejechał po nim inny jeździec z nastawioną kopią. Z innych namiotów wybiegali ludzie, jedni częściowo ubrani w zbroje – w hełmach lub z tarczami – inni tylko z mieczami w dłoniach, tak jak ten

pierwszy. Grot kopii Jima ominął wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Nagle przejechał polanę i znalazł się w lesie, próbując osadzić Gorpa.

Koń przebiegł jeszcze kawałek, zanim dał się zatrzymać. Parskał i ze wzburzenia lub strachu toczył błędnym spojrzeniem. W końcu Jim zdołał zawrócić i zauważył, że wśród otaczających go drzew inni jeźdźcy też zawracają. Chandos był tuż obok.

–R Chandos! – zawołał sir John. Jim i pozostali podjechali do niego.

–Za mną na polanę! Równaj szereg!

Zbili się w zwarty szyk, znów tworząc szereg, omijając drzewa. Wpadali przy tym na siebie i na gałęzie, klnąc ile wlezie.

–Cisza! – ryknął sir John. – R Chandos! R Chandos! Do mnie! Stanęli w równym szeregu. Piesi obiegli polanę i teraz pojawili się tuż za wierzchowcami. Jeźdźcy wyjechali pomiędzy drzew. Słońce weszło już nad horyzont, ale jeszcze było niewidoczne za drzewami. Niebo było niebieskie, ale na zachodzie wisiały gęste chmury.

Chandos podniósł przyłbicę, żeby go lepiej słyszano. Jim swoją podniósł wcześniej, chociaż nie pamiętał kiedy. Zobaczył, że większość jeźdźców zrobiła to samo, odstawiając spocone i zaczerwienione twarze.

–Tworzą szyk! – powiedział cicho zakuty w stal jeździec po lewej. Był nim jeden z młodych rycerzy. – Z nimi będziemy walczyć!

Miał rację. Jakimś cudem w ciągu tej krótkiej chwili, kiedy ponownie formowali szyk w lesie, ludzie z namiotów zdołali przynajmniej częściowo włożyć zbroje, dosiąść koni i zrobić to samo. Ustawili się w długim szeregu na drugim końcu polanki, za namiotami.

Chandos siedział na koniu i czekał, dając im na to czas, podczas gdy jego oddział stał na otwartej przestrzeni gotowy do ataku.

Przeciwnik sformował szyk bardzo podobny do ich. Dobrze opancerzeni i uzbrojeni rycerze znaleźli się w środku, a lżejsza jazda na skrzydłach. Słudzy wciąż przyprowadzali rumaki nielicznym zbrojnym, którzy nie zdążyli na nie wsiąść, a teraz pospiesznie zajmowali miejsce w szeregu.

–Teraz! – krzyknął Chandos, gdy ostatni z wrogów wgramolił się na siodło. – Równaj szereg! Powoli na otwartą przestrzeń! Już!

Ruszyli. Jechali po skosie na lewą stronę polanki, gdzie nie rozstawiono namiotów, a przeciwnicy niespiesznie zmiierzali na ich spotkanie z drugiego jej końca.

Jim zdjął metalową rękawicę i otarł twarz. Czuł, jak pot ścieka mu po karku i plecach. Stopniowo oba szeregi zwalniały kroku, aż zupełnie znieruchomiały, spoglądając na siebie nad murawą.

Chandos wysunął się o trzy lub cztery metry naprzód i odwrócił się, żeby zmierzyć okiem szereg.

–Jechać równo! – zawołał do czekających jeźdźców. – Uwaga na nachylenie stoku. Nie zjeżdżać na lewo!

Po przeciwnej stronie jakiś mocno zbudowany mężczyzna w zbroi krzyczał coś do ustawionych w szeregu jeźdźców. Chandos ponownie zajął miejsce obok Jima. Krępy rycerz również wrócił do szeregu.

Przez moment oba oddziały stały naprzeciw siebie w milczeniu i bezruch. Dopiero w tym momencie Jim rozpoznał namalowany na tarczy herb Briana. Na chwilę zaparło mu dech,

gdyż wydało mu się, że Brian znajduje się dokładnie naprzeciw niego, stojąc obok krępego rycerza tak jak Jim obok Chandosa. Potem, równie nagle, uświadomił sobie, że Brian znajduje się co najmniej o trzy miejsca z boku, gdyż krępy rycerz nie stał dokładnie naprzeciw sir Johna. Jim odetchnął z ulgą.

W pośpiechu, z jakim opuszczali obóz, zupełnie zapomniał o Brianie. Teraz miał już pewność. Jego najlepszy przyjaciel stał pięćdziesiąt metrów dalej, z opuszczoną przyłbicą i nastawioną kopią. Jednak dzięki Bogu nie będą musieli walczyć ze sobą. Brian niemal na pewno pokona tego, z kim się zetrze. Co do Jima, powinien zapomnieć o tym, że trzyma kopię, i dobrze się zasłonić tarczą. Może wtedy uda mu się wyjść cało.

Chwila dziwnego wyczekiwania szybko minęła.

Chandos przesunął się w prawo, zajmując miejsce dalej od Jima, dokładnie naprzeciw nieprzyjacielskiego dowódcy. Podniósł rękę, a potem opuścił ją, wskazując na przeciwnika, a ich dowódca uczynił to samo.

–R Chandos! R Chandos! – krzyknął sir John i jego koń skoczył naprzód.

Cały szereg – i Gorp z nim – ruszył do ataku. Konie natychmiast zaczęły iść klusem, a potem przeszły w krótki i pełny galop, gdyż oba szeregi dzieliła niewielka odległość i ciężkie bojowe rumaki musiały jak najszybciej się rozpędzić. Jim opuścił kopię, w myślach zacisnął kciuki i pognął w kierunku nieprzyjaciela, który zbliżał się równie szybko.

Ujrzał przed sobą szczupłą postać w zbroi trzymającą kopię, której grot – nawet uniesiony – lekko chwiało się w powietrzu. Kilku jeźdźców dzieliło ją od Briana, który pędził jak strzała, osłaniając się tarczą. Teraz obie linie zaczęły się łamać, gdyż rumaki biegły z różną szybkością. Jim poczuł, że sąsiedni lekko spycha Gorpa w dół stoku.

Dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. Wszystkie konie po jego prawej lekko zbaczały w lewo – zgodnie z nachyleniem stoku, przed czym ostrzegał ich Chandos. Nie było sensu ścigać wodze Gorpowi i opierać się zbiorowemu naciskowi. Równie dobrze mógł się dać spychać...

Nagle uświadomił sobie, że z każdą sekundą przesuwa się ku szybko rosnącej tarczy Briana – i jego kopii.

Rozpaczliwie usiłował skierować Gorpa w prawo, ale wierzchołek nie mógł skręcić, wzięty w kleszcze przez sąsiednie konie. Wprawdzie próbował go usłuchać, lecz nie był w stanie wykonać polecenia. Oba szeregi zbliżały się do siebie tak szybko, że Jim z ulgą stwierdził, iż przyjdzie mu się potykać nie z Brianem, lecz jego sąsiadem. Ten wysunął się trochę przed szereg, a próbujący utrzymać swoją pozycję Gorp również znalazł się nieco na przedzie, tak więc obaj gnali na siebie, jakby mieli stoczyć indywidualny pojedynek.

Jim wycelował kopię, trzymając ją luźno i czekając, a w ostatniej chwili zacisnął ją z całej siły.

Wpadli na siebie.

Jim był już w takim tłumie, a grając w koszykówkę, nie obawiał się bezpośredniego kontaktu. Teraz jednak miał wrażenie, że uderzył w granitową ścianę. Ułamek sekundy wcześniej uświadomił sobie, że jadący obok jego przeciwnika Brian z pewnością rozpoznał jego tarczę, gdyż teraz lekko przesunął kopię, tak by przypadkiem nie trafić Jima.

W następnej chwili poczuł, że grot jego kopii się ześlizguje. Jego przeciwnik trzymał tarczę lekko skośnie, aby kopia trafiła w nią pod kątem i ześlizgnęła się – sztuczka, której

Brian próbował nauczyć Jima. Grot kopii odskoczył w bok, Gorp rąbnął barkiem w żebra mniejszego rumaka przeciwnika, zbijając go z nóg, a Jim uderzył łokciem w hełm spadającego rycerza.

Jednak kopia Jima, ześliznąwszy się po tarczy przeciwnika, niesiona ciężarem rozpędzonego wierzchowca i ciała Jima, ominęła krawędź tarczy Briana i uderzyła w jego pancerz. Brian jedną ręką chwycił się siodła, ale razem z koniem runął na ziemię, a w sekundę później Gorp potknął się o Blancharda i upadł, zrzucając Jima.

Uderzenie o ziemię było silniejsze niż zderzenie z przeciwnikiem. Jednak Jim prawie go nie poczuł. Myślał tylko o Brianie.

Podniósł przyłbicę i zobaczył, że leży na ziemi tuż za Brianem, a obejrzawszy się, ujrzał ułomek kopii sterczący z piersi nieruchomego przyjaciela. Obok nich zarówno Blanchard, jak i Gorp podnosiły się z ziemi. Kątem oka Jim ujrzał inną zakutą w stal postać jadącą na niego nie z kopią lecz wysoko uniesionym i gotowym do ciosu mieczem.

Jim instynktownie użył czarów. Ignorując wszelkie zasady magów i rycerzy, zabraniające czarodziejowi wykorzystywać swoją przewagę nad nie umiejącym czarować przeciwnikiem, pospiesznie rzucił zaklęcie ochronne na Briana i siebie. Jednak nadjeżdżający nie dotarł do nich, gdyż jego koń uskoczył w bok przed nacierającym Blanchardem.

Blanchard – najlepiej wytresowany i najsilniejszy rumak bojowy, jakiego Jim widział – wpadł w furję. Instynkt nakazywał mu bronić leżącego pana, więc gdy napastnik minął ich wszystkich, koń natarł na stojącego nad Brianem Jima.

Stanąwszy dęba jak każdy porządny rumak bojowy, wielki biały ogier zębami i kopytami zaatakował wroga. Jim, bezpieczny za ochronnym zaklęciem, odruchowo próbował uskoczyć. Sfrustrowany niemożnością rozprawienia się z przeciwnikiem, Blanchard rzucił się na Gorpa, który też stanął dęba. Oba ogiery, kwicząc, gryzły się i kopały, więc Jim rozpaczliwie usiłując je powstrzymać, rozdzielił je za pomocą magii. Przeniósł Blancharda na polanę, na której biwakowali w nocy.

Gorp, pozbawiony przeciwnika, rozglądał się ze zdumieniem. Jim zauważył, że zmierza ku nim kolejny jeździec, lecz i tego zaatakował ktoś inny. Walka zmieniła się teraz w szereg indywidualnych pojedynków między jeźdźcami otoczonymi przez pieszych, uważnie wypatrujących okazji do zadania śmiertelnego ciosu. Jim widział ją jako bezładną kotłowanąinę, powoli przesuwającą się w dół stoku.

W pierwszej chwili pomyślał, że zabił przyjaciela. Brian leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami. Jim wiedział, że musi natychmiast go stąd zabrać. Sięgnął myślami do obozowiska, przy którym tego ranka stał z sir Johnem, i w mgnieniu oka znaleźli się tam. Kopczyk ziemi, którą przysypano ognisko, jeszcze lekko dymił. Stojący w pobliżu Blanchard ponownie rzucił się na Jima, lecz ten nadal był otoczony ochronnym zaklęciem.

Jim dostrzegł przywiązane do rozciągniętej między drzewami liny zapasowe wierzchowce, które pozostawili tu rano, wyruszając do boju. Ich widok przypomniał mu o tym, żeby sięgnąć myślą na pobożowisko i ściągnąć tu własnego rumaka Gorpa.

Potem Jim zdjął hełm i spojrzał na Briana, który leżał nieruchomo i nie odpowiadał. Jim nie wiedział, czy starczy mu sił, żeby wyjąć ułomek kopii z ciała przyjaciela. Mąciło mu się w myślach i nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy grot kopii był haczykowaty, czy nie... Był przekonany, że rycerska kopia nie powinna mieć zadziórów, ale ścisnęło go w żołądku na

myśl o wyciąganiu jej z ciała Briana. Usłyszał echo słów Carolinusa, nakazującego mu oszczędzać magiczną energię.

–Do diabła z tym! – mruknął.

Wyciągając dłońmi kawałek kopii, mógłby wyrzucić Brianowi jeszcze większą krzywdę. Zaczął wyobrażać sobie proces magicznego usuwania drzewca.

Napięcie utrudniało mu i to, ale w końcu obraz w jego umyśle przybrał wyraźny kształt. Zobaczył grot kopii i kawałek drzewca, postarał się dostrzec wszystko, co mogło się znaleźć w ranie i wywołać zakażenie, po czym wyobraził sobie ułomek poza ciałem Briana. Zobaczył, jak krwawienie ustaje i rana się zasklepia. A kiedy to ujrzał, tak się stało i nagle zakrwawiony ułomek kopii leżał na ziemi obok nieruchomego ciała przyjaciela.

Tą samą metodą zdjął z Briana zbroję, po czym sztyłem rozciął mu odzież. Rana była już różową linią na piersi Briana, ale sporo krwi wsiąkło w wyściółkę zbroi i zebrało się w małą kałużę na ziemi.

Jim przyłożył ucho do piersi Briana. Serce biło powoli, lecz mocno. Brian wciąż był nieprzytomny, ale to mógł być skutek szoku. Jim zrobił wszystko, co mógł, za pomocą swoich ograniczonych magicznych umiejętności.

Przypomniawszy sobie, jak Dafydd stracił równie wiele krwi, kiedy wracając z Francji do Anglii, spotkali pirata zwanego Krwawonogim. Carolinus zdołał zasklepić rany łuczника, ale nawet on nie potrafił poradzić sobie z upływem krwi. Wtedy Jim zdołał w przybliżeniu określić grupę krwi Dafydda i znaleźć podobną, a Carolinus w magiczny sposób dokonał transfuzji.

Teraz Jim też potrafiłby przeprowadzić taki zabieg, ale byli daleko od Malencontri, jedyne miejsce, gdzie mógłby znaleźć to, czego potrzebował bardzo osłabiony Brian.

Próbował coś wymyślić, ale przekonał się, że jest wyczerpany nie tyle fizycznie, ile psychicznie. Z tego, co wiedział, rzucanie czarów było bardzo wyczerpujące – a jeszcze nigdy nie robił tego w takim napięciu. Usiłował skupić się na tym, co powinien teraz zrobić. Nic nie przychodziło mu na myśl. Kręciło mu się w głowie.

Był zbyt zmęczony, żeby zrobić coś więcej. Ponownie nachylił się i przyłożył ucho do piersi Briana. Serce biło równie mocno jak przedtem, co bardzo uspokoiło Jima.

Zastanawiając się, jak mógłby pomóc rannemu, zapadł w sen, położywszy jedną rękę na piersi przyjaciela, aby się zbudzić, gdyby Brian nagle poruszył się lub potrzebował pomocy.

Rozdział 12

Odległe, lecz coraz bliższe dudnienie bębnow łomoczących w marszowym rytmie w jego śnie w niejasny sposób skojarzyło się z wizją kupionego na ulicznym stoisku hot doga, którego właśnie miał ugryźć.

Był obficie posmarowany musztardą i miał cudowny smak, którego Jim nie miał okazji zakosztować od kilku lat, odkąd razem z Angie przybyli do tego świata. Wizja, od której ślinka napłynęła mu do ust, powoli przybladła i znikła. Dudnienie zmieniło się w inny rodzaj werbla: miarowy plusk deszczu o zakłęcie, którym Jim otoczył siebie i Briana. Jim zbudził się.

Wokół zalegał półmrok. Posępne czarne chmury ciężkie od deszczu zasnuły całe niebo i lało jak z cebra.

Deszcz padał na opuszczony łeb Blancharda, stojącego tuż poza zasięgiem zakłęcia, jak

najbliżej swego pana. Koń najwidoczniej już nie uważał Jima za wroga. Parsknął i potrząsnął łbem, aż krople wody rozprysły się na wszystkie strony.

–Przestań padać – rozkazał na pół śpiący Jim.

Chciał jeszcze pospać – nawet nie zdążył ugryźć tego hot doga. Jednak deszcz nadal padał i Jim nagle przypomniał sobie, że pogoda, podobnie jak choroba i parę innych rzeczy, nie słucha poleceń maga. A przynajmniej nie Jima.

Zupełnie obudzony, odwrócił się i spojrzał na Briana. Ten nadal był nieruchomy i blady. Jim pospiesznie przyłożył dłoń do jego warg i poczuł lekkie tchnienie. A więc rycerz jeszcze żył, a brak krwi na ustach świadczył o tym, że kopia nie przebiła płuca. Dotknął skóry na piersi Briana. Była zimna.

Jim spojrzał na deszczowe niebo, które nic mu nie powiedziało. Nie miał pojęcia, jak długo spał – kiedy ostatni raz spoglądał w niebo, świeciło i od zachodu nadciągały chmury. Teraz, kiedy patrzył na ich ołowiany pułap, domyślał się, że jest co najmniej południe. Jednak powietrze ochłodziło się od deszczu, a Brian powinien jak najszybciej się rozgrzać.

Jim spojrzał na wielkiego białego ogiera. Blanchard nadal spoglądał na Briana. Oczywiście „wierny do śmierci”, pomyślał Jim. Można było tego oczekiwać od Blancharda. Jim zdjął zakłęcie i wstał, z trudem rozprostowując kości. Polana była pusta i cicha. Nawet wiatr przestał wiać. Deszcz rzedniał, lecz wszystko było mokre. Jim pomyślał, że mógłby przenieść Briana do chaty, gdzie będzie dostatecznie sucho, aby rozpalić ogień. Może znalazłby też w swoich jukach kilka suchych ubrań, którymi mógłby okryć i ogrzać Briana.

Musiał coś zrobić. Nie mogli zostać tu długo. Brian bardzo potrzebował jak najlepszej opieki, a tę mógł mu zapewnić tylko zamek Malencontri z jego służbą, a szczególnie z Angie.

Tymczasem znajdowali się o wiele dni drogi od zamku. A nawet gdyby dzieliła ich odległość zaledwie paru kilometrów, a nie kilkuset, w żaden zwyczajny sposób nie zdołałyby zawieźć tam Briana wcześniej niż po dziesięciu dniach powolnej i ostrożnej jazdy, zapewne na noszach między dwoma wierzchowcami – jeśli ranny przeżyłby taką podróż.

Jedynym wyjściem było ponownie skorzystać z magii. Jej zasoby, przed trwonieniem których tak przestrzegał go Carolinus, zużywały się coraz szybciej. Przeniesienie Jima, Briana i koni na taką odległość poważnieje uszczupli. Jednak nie mógł pozwolić, aby Brian został tutaj i umarł.

Nie mógł też zostawić tu koni. Wierzchowce były bardzo cenne – a Gorp nawet więcej niż cenny: niezbędny dla kogoś takiego jak Jim. Brian zaś nigdy nie wybaczyłby mu, gdyby zostawił lub zgubił Blancharda.

Skoncentrował się na Malencontri i dwóch miejscach na zamku: stajni dla koni oraz słonecznym pokoju dla siebie i Briana. Zamknął oczy z wysiłku, jakim było dokładne przywołanie ich obrazu w pamięci. Nie miało żadnego znaczenia, że Blanchard, Gorp, wierzchowiec i juczny koń Jima znajdowały się daleko od siebie – wyobraził je sobie stojące jeden obok drugiego przed wejściem do stajni i posłał je tam. Znikły.

Teraz skoncentrował się na słonecznym pokoju w zamkowej wieży... i nagle był tam z Brianem, na hiszpańskim dywanie obok łóżka. Angie nie było, ale spoglądała na nich jedna ze służących, która sprzątała komnatę.

–Ooo! – wrzasnęła, tym razem naprawdę ze strachu, a nie ze zwyczajowej uprzejmości,

po czym wybiegła z pokoju.

Jim natychmiast o niej zapomniał. Służąca powie Angie, że on tu jest, a ponieważ i tak nie pomogłaby Brianowi, nie było powodu, aby ją zatrzymywać. Jim odwrócił się do Briana, zadowolony z tego, że gruby dywan izoluje przyjaciela od zimnej kamiennej podłogi.

W owych czasach w Anglii nie wyrabiano takich dywanów, ale właśnie zaczęto je robić w Hiszpanii. Jim i Angie sprowadzili go z pomocą Carolinusa i pewnego kastyljskiego maga. Teraz powinien przenieść Briana na łóżko i zdjąć z niego zakrwawione ubranie. Wciąż zastanawiał się, jak to zrobić, żeby nie wyrządzić mu krzywdy – ponieważ jak wszyscy nieprzytomni ludzie Brian zdawał się ważyć tonę – kiedy do komnaty wpadła Angie.

–Jim...! – zaczęła, ale przerwał jej w pół zdania.

–Brian jest ciężko ranny! – rzekł. – Został przeszyty kopią i stracił sporo krwi. Wyjąłem ułomek kopii i zasklepiłem ranę, ale wciąż jest nieprzytomny. Każ przygotować dla niego pokój, dobrze? I przyślij tu paru ludzi z noszami. Pospiesz się!

Angie zbladła jak ściana.

–Mam się po... – zaczęła, patrząc na Briana. – Och, oczywiście! Zaraz się tym zajmę! Odwróciła się i wybiegła ze słonecznego pokoju.

Jim ponownie zajął się nieprzytomnym przyjacielem. Trzeba go bardzo ostrożnie przenieść. Chociaż teoretycznie magia zagoiła ranę, raczej nie należało potrząsać bezwładnym ciałem. Najlepiej będzie poczekać na nosze. Jim ponownie usiłował przypomnieć sobie podstawowe zasady udzielania pierwszej pomocy.

Po pierwsze sprawdzanie pulsu w różnych częściach ciała. Jeśli jest wyczuwalny w tętnicy szyjnej, to serce bije częściej niż czterdzieści razy na minutę. Dotknął szyi Briana pod zagięciem szczęki, odnalazł tętnicę i wymacał puls. Nacisnął czubkami palców i liczył w przepisowym rytmie: raz – Missisipi, dwa – Missisipi, trzy – Missisipi. Takie liczenie nie było dokładne. Serce Briana mogło bić szybciej. Powinien sprawdzić tętnicę udową po wewnętrznej stronie uda.

Szukał jej przez jakiś czas, a kiedy wreszcie znalazł, był prawie pewny, że wyczuwa słaby puls. Brian był nieprzytomny i to niepokoiło Jima. Nie potrafił uwierzyć, że Brian mógłby umrzeć. Zawsze tryskał życiem...

W tym momencie do komnaty wmaszerowała Angie, prowadząc czterech zbrojnych z noszami – jedną z innowacji wprowadzoną przez nią z powodu konieczności częstego udzielania pomocy ofiarom nieszczęśliwych wypadków lub chorym sługom. Nosze składały się z dwóch drewnianych kołków przeciągniętych przez podwinięte i zaszyte końce kawałka mocnego materiału, ale zdumiewająco dobrze pełniły swoje zadanie, jeśli tylko noszowi zachowywali ostrożność.

Depcząc im po piętach, przybiegła Ellen Cinders, starsza pokojowa w Malencontri. Była koścista, surowa i chuda, zadziwiająco wysoka jak na te czasy, gdyż nawet kilka centymetrów wyższa od Angie.

–Milordzie, milady – powiedziała, dygając. – Komnata z nowymi okiennicami, tuż pod słonecznym pokojem, jest prawie gotowa. Możemy już przenieść tam tego zacnego rycerza. Na łóżku jest świeża pościel, nocnik jest czysty, podłogi wytarte, a ogień rozpalony. Czy sir Brianowi potrzeba coś jeszcze?

–Za chwilę – odparła Angie. – Zaraz tam zejść. Idź z nimi i zaczekaj tam na mnie.

Dobrze, wy czterej, podnieście go razem – tylko ostrożnie. Właśnie tak. Połóżcie go na noszach – ostrożnie – a teraz równie ostrożnie zanieście go na dół i przenieście na łóżko. Zrozumiano?

–Tak, milady – odpowiedzieli chórem.

Jim i Angie patrzyli, jak zbrojni wynoszą Briana. Idąca tuż za nimi Ellen zamknęła drzwi. Angie odwróciła się do Jima.

–Angie... – zaczął pospiesznie Jim.

–Nie, to ty mnie posłuchaj! – przerwała mu Angie. – Już zajęliśmy się Brianem, a to jest ważniejsze niż cokolwiek, co masz mi do powiedzenia. Jim! Straciliśmy Roberta! Porwano go!

Skrzywiła się i zaczęła płakać. Jim przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, a potem podszedł i wziął w ramiona. Była nieruchoma jak posąg. Angie nieczęsto płakała i nawet teraz usiłowała powstrzymać łzy.

Jim miał już pewne doświadczenie w takich wypadkach, więc tylko trzymał ją w ramionach. Po kilku minutach rozluźniła się; przytuliła do niego.

–Przepraszam – powiedziała po chwili, ocierając oczy i odsuwając się.

–Nie ma za co – rzekł ochryplym głosem Jim. – Wszystko w porządku.

Angie objęła go i pocałowała.

–Kocham cię – powiedziała.

–No, ja też – odparł. – Chciałem powiedzieć, że też ciebie kocham.

Angie lekko poklepała go po ramieniu.

–Już dobrze – mruknęła. – Teraz usiądźmy i wszystko ci opowiem.

Angie usiadła na skraju łóżka, twarzą do Jima, który również na nim przysiadł. Teraz już wyglądała na zupełnie trzeźwą i spokojną ale wiedział, iż to jedynie oznaczało, że panowała nad sobą.

Mały Robert Falon, którego opiekunem Jim został z rozkazu króla, w rzeczywistości bardziej był pod opieką Angie. Pokochała dziecko od pierwszej chwili, gdy je znalazła, porzucone i płaczące w śniegu. Tylko ono pozostało przy życiu z grupy, wśród których byli jego rodzice, zmierzający – tak samo jak Jim i Angie – na doroczne bożonarodzeniowe przyjęcie u earla Somerset.

Teraz Jim miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale to mogło przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. Musiał siedzieć i czekać, aż Angie zacznie mówić.

Jej głos brzmiał równo i stanowczo.

–Kilka dni po twoim wyjeździe usłyszałam wycie Aargha i wyszłam się z nim spotkać. Powiedział, że dzień wcześniej przechodził obok Malencontri i znalazł głęboką dziurę w ziemi. Poczul zapach jakiegoś stworzenia, którego nigdy przedtem nie napotkał. Dziura znajdowała się między drzewami, tuż za otwartą przestrzenią wokół zamku. Aargh zrobił to co zwykle – najpierw poszedł do Carolinusa, żeby opowiedzieć mu o tym. Jednak nie zastał Carolinusa ani wtedy, ani podczas kilku następnych wizyt, tak więc przyszedł z tym do mnie.

–Dziwię się, że tak się tym przejął. Zwykłą dziurą w ziemi.

–Ja też byłam wówczas zdziwiona – przytaknęła Angie. – Jednak na wszelki wypadek poprosiłam Aargha, żeby sprawdził, czy może zwęszyć coś w zamku. Jednak nie chciał

tego zrobić. Wiesz, że nie lubi wchodzić do ludzkich siedzib. Powiedział, że sprawdzi, czy w tej dziurze jest świeży zapach, co oznaczałoby, że stworzenie wróciło. Otwór był dostatecznie duży, żeby zmieścić się w nim niedźwiadek, ale Aargh orzekł, że żaden niedźwiedź nie wykopałby takiego tunelu. Powiedział, iż będzie w pobliżu zamku, gdybym go potrzebowała. – Zamilkła i spojrzała gniewnie na Jima. – Tymczasem właśnie dziś Robert zniknął. Nikt nic nie słyszał, ale w kamiennej ścianie była dziura! Piastunka powiedziała, że nic o tym nie wie. Myślę, że mówiła prawdę. Była przerażona otworem i tym, co mogę jej zrobić za utratę Roberta. Poprzysięgła na krzyż, że Robert był tutaj, kiedy zeszła do kuchni, żeby zabrać na górę swój obiad, a gdy po kilku minutach wróciła, nie zastała go. Angie spojrzała na Jima.

–Otwór w kamiennej ścianie? – powtórzył Jim. – I nikt nic nie słyszał? Zupełnie nic?

–Nie było mnie w słonecznym pokoju – wyszłam z wieży. Wartownik na jej szczycie, tuż nad naszymi głowami, niczego nie słyszał. Tymczasem ta dziura schodzi bardzo głęboko! Kazałam przymocować ciężarek na linie i opuścić go do otworu. Sznur rozwinął się na całą długość i jeszcze nie sięgnął dna.

–Angie! – wykrztusił Jim. Tym razem spróbował jednak ją objąć, ale znów była nieruchoma jak posąg i tylko pokręciła głową.

–Nie! – powiedziała. – To, co czuję, nie ma znaczenia. Musimy go znaleźć i sprowadzić z powrotem. Czy znasz jakiegoś maga, naturalnego, czy jakąkolwiek istotę, która potrafiłaby wywiercić taki tunel w murze i zabrać dziecko?

–Nie – odparł Jim. – Nie znam, ale jestem pewien, że cokolwiek porwało Roberta, nie zrobiło tego po to, żeby wyrządzić mu krzywdę. W przeciwnym razie nie zadałoby sobie tyle trudu, aby go porwać. Nie dziwi mnie, że Aargh nie mógł znaleźć Carolinusa. Kiedy ostatni raz go widziałem, pokazał mi tylko swój obraz. Udał się gdzieś i nie mogę nawiązać z nim kontaktu.

Spojrzelili po sobie.

–Jeszcze nigdy tak nie było! – powiedziała Angie. – Czarnoksiężnicy, trolle, węże morskie... Ale nigdy tak!

–Cóż – odparł Jim. – Masz rację, musimy wziąć się w garść. Kiedy to się stało?

–Zaledwie parę godzin temu – powiedziała Angie. – A wydaje mi się, że minęły już lata. Nie wiedziałam, kiedy znowu cię zobaczę i czy w ogóle! A Carolinus... Próbowałam go wezwać, tak jak ty to robisz. Kiedy nie przybył, posłałam do Dźwięczącej Wody człowieka na naszym najszybszym koniu.

–Carolinusa tam nie ma – rzekł Jim. – Kazał mi jednak skontaktować się z KinetetE – to jedna z dwóch pozostałych magów klasy AAA+. Zaraz ją wezwę.

Spróbował. Nikt mu nie odpowiedział. Nikt się nie pojawił.

–Zdaje się, że będę musiał jej poszukać, gdziekolwiek jest – stwierdził Jim. – Muszę wymyślić, jak to zrobić. A to oznacza, że powinienem odłożyć ten problem na chwilę i pozwolić, aby sam się rozwiązał. W taki sposób każdy mag opracowuje nowe sposoby rzucania czarów. – Spojrzał na nią. Siedziała sztywno wyprostowana. – Przykro mi – rzekł.

–Jak długo to potrwa? – spytała.

–Och... dzień lub dwa. – Dwa dni!

–Przykro mi – powtórzył Jim. – Postaram się zrobić to jak najszybciej. Przecież wiesz.

Angie jeszcze przez chwilę siedziała nieruchomo, a potem wstała.

–W porządku – powiedziała głosem zupełnie wypranym z emocji, rzeczowym jak zawsze. – Co trzeba zrobić z Brianem?

–Jesteś pewna...?

–Oczywiście. Będę przy tobie w dzień i w nocy, żeby wysłuchać, co wymyśliłeś, a teraz równie dobrze możemy się zająć tym, co należy zrobić. Czego mu potrzeba?

–Tego samego co Dafyddowi, kiedy walczyliśmy z piratem. Krwi. Wtedy Carolinus dokonał transfuzji za pomocą czarów. Myślę, że teraz ja też to potrafię.

–Zatem do roboty. – Wstała i Jim poszedł za nią gdy ruszyła do drzwi. Nagle zatrzymała się, odwróciła i spojrzała mu prosto w oczy. – Jest coś ważnego, o czym mi nie powiedziałaś. Co to takiego?

–To może poczekać – rzekł Jim. – Nie, nie może. Chcę wiedzieć. Mów!

–W porządku – mruknął Jim.

Był zmęczony, a nawet wyczerpany, kiedy zbudził się sam, leżąc na deszczu obok Briana. Teraz jednak zupełnie otrzeźwiał. Spojrzał przez jedno z okien słonecznego pokoju i stwierdził, że jest dopiero wczesne popołudnie.

–Prawdę mówiąc – zaczął – wróciłem wcześniej niż powinienem, ze względu na Briana. Należał do oddziału, który mieliśmy rozbić. Kiedy Brian został przebity kopią musiałem jak najszybciej go tu sprowadzić.

–Nic mu nie będzie – orzekła Angie. – Pamiętasz, że już nieraz dochodził do siebie. On dosłownie w mgnieniu oka wraca do zdrowia. Walczyłeś przeciwko tym, z którymi on był?

–Tak – odparł ponuro Jim.

–A więc jednak walczyliście razem?

–Nie – odparł Jim. Nagle znów poczuł się wyczerpany. Kolana ugięły się pod nim i ponownie usiadł na łóżku. – To moja kopia go zraniła.

Angie wytrzeszczyła oczy.

–Och, Jim! – zawołała, ujmując w dłonie jego rękę.

–Nic nie mogłem na to poradzić – powiedział, a jego głos który nawet dla niego brzmiał martwo. – Atakowaliśmy w szeregu. Konie zaczęły spychać Gorpa, aż znalazłem się prawie naprzeciw Briana. Potem moja kopia odbiła się od tarczy przeciwnika i trafiła Briana, który jechał obok.

Angie jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń.

–Rozpoznał cię? – zapytała.

–Na pewno – rzekł Jim. – Z pewnością rozpoznał mój herb dużo wcześniej niż ja jego i podniósł kopię, żeby mnie nie zranić. Uderzenie kopii i ciężar ciała Gorpa obaliły Briana i Blancharda na ziemię. Gorp i ja również upadliśmy. Kiedy podczołgałem się do Briana, był już nieprzytomny.

–Jim... – zaczęła łagodnie Angie.

Jim pokiwał głową i uściśnił jej dłonie. Potem wstał.

–Stało się! – rzekł. – Będę musiał spojrzeć mu w oczy, kiedy odzyska przytomność. A teraz, jak już powiedziałaś, zajmijmy się najpilniejszymi sprawami. Carolinus mógłby nam pomóc, ale nie jest w stanie. Dafydd jest daleko...

–Och, wcale nie! – wtrąciła Angie. – Już tu jedzie. Kilka dni po twoim wyjeździe

wysłałam gołębia pocztowego do Gilesa o' Wold. Pomyślałam, że poczuję się lepiej, jeśli będą tutaj podczas twojej nieobecności. Dafydd i Danielle byli tam razem z dziećmi i przysłali odpowiedź, że zaraz wyruszają.

–No cóż, dzięki Bogu – rzekł Jim. – Mamy jednego przyjaciela.

–Mamy też Rrrnlfa – powiedziała Angie. – Jeśli to coś pomoże.

–Rrrnlfa? – powtórzył Jim, patrząc na nią ze zdziwieniem. – Diabła morskiego? A co on znów tu robi?

–Nie mam pojęcia – odparła. – To ma coś wspólnego z tym człowieczkiem – czy cokolwiek to jest – którego wciąż nosi ze sobą. Chciał na ciebie zaczekać, a ponieważ doszłam do wniosku, że może się przydać, nie sprzeciwiałam się. Jest na dziedzińcu, jak zwykle.

Oczywiście, pomyślał Jim. A gdzie mógłby być? Rrrnlf, mierzący co najmniej dziesięć metrów, nie zmieściłby się w żadnych zamkowych drzwiach, choć te były dość duże, według ludzkich norm.

–Cóż – mruknął Jim. – Teraz pójde rzucić okiem na Briana i chyba powinniśmy natychmiast dać sygnał Aarghowi, żeby przybył i pokazał mi tę dziurę w lesie. Powiniennem też obejrzeć otwór w murze. Potem ponownie spróbuję się skontaktować z KinetetE albo przenieść do niej. Jednak najpierw do Briana...

Podparł się łokciami i zamrugał. Nagle zakręciło mu się w głowie.

–Jim, nic ci nie jest?

Głos Angie zdawał się dolatywać z oddali.

–Chyba nic. Już dobrze – odparł, siadając. Znów otrzeźwiał. To tylko chwilowe zamroczenie, pomyślał. Wszystko dzieje się zbyt szybko. – Nic mi nie jest. Wiesz co, to chyba nawet dobrze, że nie mogę teraz rozmawiać z Brianem i niepokoić go. Może najpierw wysłucham historii Aargha...

Plółt byle co i wiedział o tym. Na szczęście przerwało mu nagłe otwarcie drzwi słonecznego pokoju. Ellen Cinders bez pukania wpadła do komnaty.

–Błagam o wybaczenie, milordzie, milady – wysapała. – Ale pomyślałam, że chcielibyście wiedzieć. Sir Brian już nie jest nieprzytomny. Teraz śpi.

–Doskonale, panno! – powiedziała Angie. – Wróć na dół i zostań przy nim. A następnym razem przyślij z wiadomością jednego ze zbrojnych. Zaraz tam przyjdę. Dasz nam znać, gdyby zmienił się stan lub zachowanie sir Briana albo gdyby rana zaczęła mu dokuczać.

–Tak, milady – powiedziała Ellen Cinders i znów wyszła.

–Kiedy ostatni raz coś jadłeś? – zapytała Angie. Od kiedy Jim na moment podparł się łokciami, bacznie mu się przyglądała.

–Och – mruknął Jim. – Rano zjadłem kawałek mięsa i popiłem winem. Naprawdę nie jestem głodny... Może zjadłbym hot doga z dużą ilością musztardy...

–Co?

Jim gwałtownie wrócił do rzeczywistości.

–Śniłem na jawie – rzekł. – Mówiłem o... Myślę, że przydałaby mi się teraz filiżanka dobrej mocnej, gorącej herbaty.

–Ach! – powiedziała Angie, podchodząc do kominka, w którym na obrotowym metalowym ramieniu zawieszono czajnik. Chwyciła za rączkę. – Zaraz będzie! – obiecała.

Tymczasem ciało Jima przypominało o innych potrzebach. Już był w połowie drogi do pomieszczenia, które Angie nazywała łazienką, lecz wszyscy ich sąsiedzi nazwaliby po prostu wygodką – pomimo wszystkich zainstalowanych tam udogodnień. To prawda, że składały się one głównie z bieżącej wody z cysterny na dachu wieży oraz ołowianych rur kanalizacyjnych biegnących po ścianie, nad fosą i do podziemnych żwirowych filtrów. Znajdowała się tam również marmurowa wanna przywieziona z ruin starożytnego rzymskiego miasta – tyle że ciepłą wodę trzeba było grzać na piecu i nosić wiadrami.

–Zaraz będę z powrotem – rzekł i znikł.

Kiedy wrócił, Angie stała w otwartych drzwiach słonecznego pokoju, rozmawiając z pełniącym tam wartę zbrojnym.

–...natychmiast do gotowni. Powiedz panie Plyseth, że pan zje na śniadanie boczek, gorący chleb (kiedy wcześniej prosili o tosty, na stole pojawiały się przedziwne rzeczy), omlet z czterech jaj, mleko, miód, masło i trochę owoców. Panna Plyseth wie, co ma tu przysłać. Zostań przy niej, dopóki tego nie zrobi. Teraz powtórz, co ci mówiłam!

Jim usłyszał głos wartownika, posłusznie powtarzający każdy wymieniony przez Angie produkt prawie z taką samą intonacją. Jednym z błogosławieństw średniowiecznego świata była doskonała pamięć jego mieszkańców, gdyż oprócz zawodowych pisarzy i nielicznych bardzo dobrze wykształconych ludzi, nikt nie umiał pisać. Angie zamknęła drzwi i wróciła do Jima, który znów wyciągnął się na łóżku, podczas gdy Angie zajęła się herbatą.

Jim w tym momencie najbardziej pragnął napić się kawy. Jednak Carolinus nigdy nie miał na nią ochoty i nie chciał pomóc im w jej zdobyciu. Natomiast lubił czarną herbatę i odstąpił Jimowi oraz Angie trochę tej, którą sprowadził dzięki swoim zawodowym kontaktom na Wschodzie.

–Masz – powiedziała Angie, podając Jimowi filiżankę. – Mleko i resztę przyniosą lada chwila. Miałam tu trochę miodu, więc herbata jest taka, jak lubisz. Może napijesz się, na początek.

Jim zrobił to. Siedział, popijając gorący napój, i powoli przejaśniało mu się w głowie. Zanim wypił połowę filiżanki, zbrojny oraz jeden ze służących wnieśli śniadanie. Jim nie zdawał sobie sprawy, że jest głodny, ale kiedy poczuł zapach jedzenia, uświadomił sobie, iż była to jedna z kilku rzeczy, których potrzebował.

Angie miała rację. Jedząc, powoli układał sobie wszystko w głowie. Zaspokoił głód, a potem usiadł w jednym z wygodnych miękkich foteli, zrobionych specjalnie do słonecznego pokoju. Spojrzał na Angie i wrócił do ich rozmowy.

–Już dobrze – powiedział. – Teraz pójde spojrzeć na Briana.

–Jeśli śpi, to nie ma pośpiechu, chyba że możesz coś dla niego zrobić – powstrzymała go Angie. – Przy takiej ranie powinien leżeć w spokoju, nie uważasz? Ellen powiedziała, że na pewno potrzebuje snu.

Zadowolenie wywołane posiłkiem, marzeniami o hot dogach i powrotem do domu natychmiast opuściło Jima, pozostawiając pustkę. Znów przypomniał sobie tę chwilę, kiedy oba szeregi starły się ze sobą, i widok padającego na ziemię Briana.

Lekko odwrócił głowę od Angie i spoglądał w dal przez pomalowaną na biało otynkowaną ścianę z grubych na pół metra kamiennych bloków, którą postawiono tu w tym roku, żeby odgrodzić mniejszy pokój dla Roberta i jego piastunki. Potem znów popatrzył na

Angie. Spoglądali na siebie, a po chwili chwyciła w dłonie jego leżącą na stole dłoń.

–Och, Jim! – powiedziała.

Siedzieli tak przez dłuższą chwilę. W końcu Angie zdołała się uśmiechnąć. Odpowiedział jej uśmiechem.

–Jesteś dzielna – rzekł.

–Ty też.

W końcu Angie puściła jego rękę i wstała.

–Pójdę sprawdzić, czy Brian naprawdę śpi. Jeśli tak, to wrócę i zdecydujesz, czy chcesz się z nim zobaczyć dzisiaj, czy też lepiej pozwolić mu najpierw dobrze odpocząć, zanim do niego pójdziesz.

Wyszła z komnaty, zanim Jim znalazł odpowiedź. Siedział za stołem, rozpamiętując. Wróciła po kilku minutach.

–Śpi – oznajmiła, siadając przy stole. – I już wygląda lepiej. Na twoim miejscu dałabym mu pospać dzień czy dwa. Nie ma powodu, aby wpędzać go w jeszcze gorszy stres. Poślę Geronde gołębia z wiadomością, że Brian tu jest, a ty mógłbyś pójść i wywiesić sygnał dla Aargha. Chyba wystarczyło, że wygoiłeś ranę Briana – reszta przyjdzie sama. Jeśli nie będzie żadnych komplikacji, za kilka dni powinien już wstać i chodzić.

–Tak sądzisz? – zapytał Jim, irracjonalnie podbudowany rzeczowym tonem jej głosu.

–Owszem – odparła Angie. – Możesz zobaczyć go jutro i sam osądzisz. Znając Briana, do tego czasu będzie potrzebne zakłęcie, żeby powstrzymać go od wstawania z łóżka.

Rozdział 13

–Nie – rzekł Jim, kiedy schodzili po schodach. Myślał o propozycji Angie, żeby utrzymać Briana w łóżku, rzucając nań zakłęcie. – Chyba nie powinienem. To nie byłoby w porządku, gdybym rzucił na niego zakłęcie i nie powiedział mu. Byłby urażony – tak jakbym nie mu nie ufał. I wcale nie miałbym mu tego za złe. W tym czternastym wieku jeszcze bardziej niż w naszych czasach należy zważać na to, co się mówi.

–Pewnie masz rację – mruknęła Angie. – Chociaż przydałoby się to.

–Wiem – rzekł Jim, gdy byli już w połowie schodów. – Naprawdę bardzo chciałbym przyspieszyć jego ozdrowienie w jakiś magiczny sposób, ale nie wiem jak.

–To tak jak z Carolinusem, który zachorował i nie mógł się wyleczyć?

–Właśnie – przytaknął Jim. – Magia nie działa w niektórych miejscach – takich jak Królestwo Zmarłych – i sytuacjach. Wiesz, że tak jest, kiedy zabroni tego ktoś, kto głęboko wierzy w swoją religię – jakiś święty człowiek. Oczywiście zakaz musi być odnawiany co dwadzieścia cztery godziny, ale pamiętasz, ile kłopotu miałem w ostatnie święta Bożego Narodzenia, kiedy w zamku earla ten nawiedzony biskup...

–Nie powinieneś źle o nim mówić – przypomniała Angie. – Pamiętaj, jak bardzo nam pomógł w uzyskaniu prawa do opieki nad Robertem.

–Oczywiście, masz rację – mruknął Jim. – A więc błogosławiony biskup pobłogosławił to miejsce przed naszym przybyciem i nie mogłem użyć magii... – Urwał.

–Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała Angie.

–Właśnie coś sobie przypomniałem... Przecież Carolinus przenosił siebie i mnie, posługując się magią, jakby biskup wcale nie pobłogosławił zamku.

–W końcu jest jednym z największych magów na świecie – przypomniała Angie.

–Mimo wszystko nie powinien... Ale masz rację, robił to już wcześniej. Na przykład twierdził, że magią nie uda się czegoś zrobić, a potem sam to robił...

Przerwało mu głośne przeciągłe wycie dobiegające z lasu opodal zamku.

–Aargh! – zawołała Angie. – Wcale nie musimy wywieszać sygnału!

Zaczęła zbiegać po schodach. Jim pospieszył za nią ostrożnie trzymając się w odległości kilku kroków za nią. Schody nie miały poręczy ani innej ochrony zabezpieczającej tego, kto się na nich pośliznął, przed upadkiem ze znacznej wysokości.

Wycie Aargha przedarło się przez mury i rozległo w całym zamku. Wilcze wycie w środku dnia powszechnie uważano za zły znak, chociaż załoga Malencontri przywykła już do tego, że Aargh w ten sposób oznajmia swoją obecność. Kiedy Jim i Angie jechali do wielkiej bramy, widzieli posępne twarze koniuszych i straży. Prawie połowę dziedzińca zajmował ogromny, odziany w skóry Rrrnlf – diabeł morski, drzemiący na boku, twarzą do ściany.

–Doskonale – orzekł Jim. – Przy odrobinie szczęścia zdołamy wyjechać i wrócić, nie rozmawiając z nim.

Aargh czekał na nich bardzo niedaleko. Mogli przejść ten kawałek w trzy minuty, ale jako pan i pani zamku musieli pokonać ten odcinek konno. Służba milcząco nalegała na to. Prawdopodobnie wypełniała swoje obowiązki i oczekiwała, że państwo równie dokładnie będą wypełniać swoje.

Niestety, w tym wypadku wiązało się to z koniecznością zostawienia wierzchowców w pewnej odległości od miejsca spotkania, gdyż konie nie lubią wilków tak samo jak załoga zamku, a w przeciwieństwie do służby rumakom nie można wytłumaczyć, że nie mają do czynienia z dzikim zwierzęciem, ale z przyjacielem rodziny. Jim i Angie musieli przejść co najmniej dwadzieścia metrów, aby dotrzeć do wbitego w ziemię pala. Aargha oczywiście nie było nigdzie widać.

–Pewnie chce nas zaskoczyć – szepnęła Angie do Jima, kiedy czekali na wilka.

–Nie mam ochoty na takie szczenięce zabawy – rzekł znajomy szorstki głos za ich plecami.

Odwrócili się. Stał tam: złowrogi, potężny, złotooki i zębaty, wielkości małego kucyka.

–Po prostu nie chcę, żeby coś mnie zaskoczyło. Macie u siebie Briana, prawda?

–Skąd wiesz? – zapytał Jim.

–Przed chwilą obiegłem zamek – odparł Aargh. – Słyszałem jak jego ogier w stajni wyzywa twojego – bezskutecznie, oczywiście, skoro oba są w różnych boksach. Tylko tak sobie gadał. Ale wszystkie konie są głupie.

–Nie powinieneś tak mówić! – zwróciła mu uwagę Angie.

–Mówię, co chcę! – odparł Aargh. – Konie naprawdę są głupie. Wszystkie trawożerne są głupie. Jeśli jego koń jest w zamku, Brian też tam jest. Co powstrzymało go od przyjścia tutaj?

–Jest ranny – odparł Jim. – Tak więc musi leżeć w łóżku i odpoczywać, aż odzyska siły po utracie krwi.

–Ranny? – zdziwił się Aargh. – To fatalnie. Najpierw nie można znaleźć Carolinusa, a potem Brian zostaje ranny. Teraz tylko potrzeba, żeby Dafydd złamał nogę. Wy, dwunodzy, nie możecie obyć się bez jednej kończyny, tak jak my, wilki. Wygląda na to, że decyzja o przyjęciu postawy wyprostowanej nie była jednak tak mądra. A więc w tej sytuacji cały problem spada na moje barki.

–Zapomniałeś o Jimie? – rzuciła ostro Angie.

–Zapomniałem? Wcale nie – powiedział jej Aargh. – On jest pomocny, jeśli nie złamie nogi. Nie włada jednak mieczem tak jak Brian i nie pośle strzały tak jak Dafydd. Warto umieć takie rzeczy, jeśli urodziłeś się z zębami, które nie przestraszą myszy.

–Jako smok... – zaczęła Angie, ale Jim jej przerwał.

–W porządku, Angie – powiedział. – Aargh nie chciał mnie obrazić, tylko zwrócić uwagę na pewien aspekt tej sytuacji. Potrzebujemy Briana – nie mówiąc już o Carolinusi. Jednak w tej chwili najważniejszą sprawą jest odnalezienie Roberta, obojętnie, ilu nas jest i jak mamy tego dokonać.

–Możecie na mnie liczyć – warknął Aargh. Spojrzał na Jima. – Pewnie chcesz teraz zobaczyć ten otwór?

–Owszem – odparł Jim.

–No to chodźcie za mną – powiedział Aargh. Odwrócił się do nich tyłem i potruchtał. Ruszyli za nim.

Po niecałych trzech minutach marszu dotarli do dziury. Tworzyła czarny krąg w małym pagórku między drzewami, kilka metrów od otwartej przestrzeni, za którą wznosił się zamek. Kiedy tam podeszli, Aargh już stał przy wylocie. Odsunął się, a Jim uklęknął i obwąchał otwór.

–Czujesz coś? – zapytał z ironią Aargh.

–Nie – odparł Jim, podnosząc się z ziemi. – Nie wyczuwam żadnego zapachu.

–Dobrze powiedziane – rzekł Aargh. Wyciągnął szyję. Włożył nos w dziurę i przez sekundę ją obwąchiwał. – Gdybyś miał choć odrobinę węchu, musiałbyś wyczuć zapach gotowanego mięsa.

–Mięsa? – zdziwił się Jim.

–Przecież mówię – warknął Aargh. – Kiedy odkryłem ten otwór, nie było takiego zapachu. Tunel był ślepy.

–Skąd wiesz, skoro teraz schodzi głębiej, niż możesz zajrzeć?

–Wcale nie. Nie wiem jak dziura w waszym zamku, ale ta schodzi tylko na dwa metry. Nie wchodziłem do niej, ale wsunąłem łeb na tyle głęboko, aby słońce przestało mnie oślepić, i kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczyłem, że ta nora przechodzi w podziemny tunel wiodący w tym kierunku, gdzie zachodzi słońce. Teraz tunel biegnie również w przeciwną stronę. Może ciągnąć się nie wiadomo jak daleko. Sądzę jednak, że ten, kto porwał małego Roberta, uniósł go tędy.

–A co z zapachem gotowanego mięsa? – spytał Jim.

–Może dobiegać tylko z naszego zamku! – zawołała Angie.

–A więc – podsumował Jim. – Najpierw wykopano ten otwór, a potem przedłużono tunel aż do zamku, żeby porwać Roberta?

Angie spojrzała na niego.

–Nie rozumiem, co tu się dzieje – mruknął Jim – ale ten, kto wydrążył tunel, na pewno potrafi kopać. Jak wielki kret.

–Nie ma takich dużych kretów – przypomniał Aargh.

–No cóż, teraz nie będziemy się tym przejmować – rzekł Jim. – W każdym razie wiemy już więcej niż dotychczas. Jestem ci wdzięczny za to, że odkryłeś ten otwór. A teraz musimy zdecydować, jak mamy szukać Roberta. Może powinniśmy zacząć od jutra. Do tego czasu Dafydd powinien już tu być, a Brian może na tyle odzyska siły, aby zasiąść w wielkiej sali. Tam się spotkamy, a tymczasem zobaczę, co uda mi się znaleźć w chacie Carolinusa.

–Lepiej spotkajmy się na zewnątrz! – warknął gniewnie Aargh. Jim spojrzał na wilka. Zupełnie zapomniał.

–Wiem, że nie lubisz przebywać w budynkach – powiedział – ale bywałeś już w naszej wielkiej sali...

–Niechętnie! – rzekł Aargh. – W takich miejscach wilk może wpaść w pułapkę!

–Może przyszedłbyś jeszcze raz, ze względu na okoliczności? – poprosiła Angie. – Może uda nam się przenieść Briana do wielkiej sali, ale na pewno nie tutaj, a sam mówiłeś, że

bardzo by nam się przydał. Nawet jeśli nie może użyć miecza, warto wysłuchać jego rad. Nie sądzisz?

Aargh zawarczał.

–Przyjdę tam jeszcze raz – obiecał.

I z tymi słowami swoim zwyczajem niespodziewanie znikł wśród otaczających ich drzew.

–Przyjdzie – powtórzyła Angie, gdy wracali do zamku. – Zawsze przyjdzie, ilekroć będziemy go potrzebowali.

–Wiem – przytaknął Jim. – Zawsze się spiera, ale zjawia się, kiedy jest potrzebny.

Teraz lepiej wrócę z tobą do słonecznego pokoju, a potem wejdę na szczyt wieży i polecę do Dźwięczącej Wody, żeby zobaczyć, czego tam zdołam się dowiedzieć.

–Miejmy nadzieję, że to coś da.

Wjechali z powrotem na dziedziniec. Jim zauważył z ulgą, że Rrrnlf wciąż śpi. Dobrze, że morskie diabły nie chrapią. A przynajmniej ten jeden tego nie robił. W przeciwnym razie na zamku nie usłyszałoby się własnych myśli. Nagle Jim zauważył, że Angie znów jest bardzo milcząca i nieszczęśliwa.

–Odzyskamy go – powiedział.

–On jest taki malutki – szepnęła, mrugając oczami. Potem zmieniła minę i wyprostowała się w siodle, gdyż zbliżali się do stajni. – Polecisz jako smok, oczywiście?

–Tak zamierzam.

–No tak – powiedziała w zadumie Angie. – Wiesz co? Pod pewnymi względami mniej się o ciebie martwię, kiedy przybierasz postać smoka, niż gdy jesteś w ludzkim ciele.

–W ogóle nie powinnaś się o mnie martwić. Zawsze mogę się osłonić zaklęciem.

Angie nic nie odpowiedziała.

Zostawili konie stajennym i w milczeniu weszli na schody. Zostawił ją przy drzwiach do słonecznego pokoju i wszedł jeszcze wyżej, na wieżę.

Pod upstrzonym obłokami niebem stał tylko jeden wartownik z włócznią i mieczem. Przechylał się przez blanki, spoglądając na dziedziniec. Na widok Jima pospiesznie wyprostował się i wyprężył.

–Geoffrey – rzekł Jim. – Zejdz i sprawdź, czy milady cię nie potrzebuje. Zostań przy niej, dopóki cię nie odeśle.

–Tak, milordzie.

Geoffrey oparł włócznię o ramię i natychmiast ruszył w kierunku schodów. Był doświadczonym, prawie trzydziestoletnim żołnierzem, z początkiem łysin czołowej, kwadratową szczęką i ogorzałą twarzą. Jim wiedział, że Geoffrey domyśla się, że pan zaraz przemieni się w smoka, ale jak wszyscy mieszkańcy zamku doskonale udawał, że nie ma o tym pojęcia. Zniknął na schodach.

Jim właściwie nie wiedział, dlaczego woli się zmieniać w smoka, kiedy nikt ze służby nie patrzy, lecz instynkt podpowiadał mu, że lepiej, aby jak najrzadziej widzieli go uprawiającego czary. W każdym razie kiedy Geoffrey odszedł, Jim zaczął się przemieniać, jednocześnie w magiczny sposób pozbywając się odzienia – tak by nie zniszczyć go, lecz mieć je przy sobie, kiedy będzie go potrzebował, ponownie przybrawszy ludzką postać.

Natychmiast stał się smokiem, co wiązało się z przejściem smoczego sposobu myślenia i odczuwania, który znacznie różnił się od ludzkiego.

Smoki raczej nie były skłonne do długotrwałego zamartwiania się. Jim natychmiast pozbył się trosk o Roberta, Carolinusa i służbę. Nagle poczuł się bardzo zdrowy, bardzo duży i bardzo silny – wrażenie, które można opisać jedynie jako smocze. Pomimo trudnej sytuacji poczuł przyływ otuchy.

Rozejrzał się, upewniając się, że może swobodnie rozłożyć skrzydła, a potem skoczył w powietrze i zaczął się wzbijać, robiąc jak najwięcej hałasu, aby usłyszała go Angie.

W mgnieniu oka, a przynajmniej bardzo szybko – taka była siła skrzydeł dorosłego smoka – znalazł się nad drzewami, tak daleko od Malencontri, że gdyby Geoffrey w tym momencie wrócił na posterunek, wzięłyby go za dużego ptaka lecącego w oddali.

Złapał wstępujący prąd powietrza, szeroko rozłożył skrzydła, pozwalając się unosić spiralnym ruchem aż na wysokość około półtora kilometra. Na tym pułapie prąd stał się zbyt słaby, aby unieść go wyżej. Jim skręcił jak żaglowiec płynący z wiatrem, wykorzystując podmuch powietrza. Skierował się na południowy wschód, ku chacie Carolinusa.

Jak zwykle upoiła go czysta radość latania. Miał ochotę przedłużyć tę przyjemność, lecz sytuacja była na to zbyt poważna. Wkrótce wylądował na żwirowej dróżce do małej chatki Carolinusa, wyglądającej jak z bajki i stojącej na zielonej polanie otoczonej ogromnymi starymi drzewami oraz porośniętej gęstą trawą aż po rabaty kwiatów pod oknami.

Wszystko wyglądało jak zwykle. W małej sadzawce, z której wznosiła się fontanna, jakieś małe stworzonko – ryba lub maleńka złota syrena, zbyt szybka, by pochwycić ją okiem – skoczyła wdzięcznym łukiem i ponownie skryła się w wodzie, zanim zdążył skupić na niej wzrok. Wokół panowała atmosfera głębokiego spokoju. Jim otrząsnął się i podszedł do pomalowanych na zielono frontowych drzwi chatki.

Tak jak się spodziewał, były zamknięte. Co więcej, a czego również się spodziewał, nie ustąpiły, kiedy lekko je pchnął. Wcale nie wkładał w to pchnięcie siły, gdyż zarówno drzwi, jak i reszta chaty – a nawet cała polana – znajdowały się pod wpływem nieusuwalnego zaklęcia, rzuconego przez Carolinusa.

Zapukał do drzwi, w razie gdyby Carolinus był w środku. Nikt nie odpowiedział.

Teraz, skoro już tu był, powstawało pytanie, co właściwie mógł osiągnąć. Dysponował dość ograniczonymi umiejętnościami magicznymi, a nie było cienia nadziei, że zwykła siła fizyczna zdoła naruszyć zaklęcie rzucone przez maga tak potężnego, jak Carolinus. Zastanawiając się nad tym, z powrotem przyjął ludzką postać. Nie wiedząc, co robić, zapukał jeszcze raz.

–Carolinusie! – zawołał. – Jeśli tam jesteś, ale nie możesz odpowiedzieć, daj mi jakiś znak!

Czekał. Nasłuchiwał, ale nic się nie zmieniło. Szmer tryskającej fontanny, któremu polana zawdzięczała swoją nazwę, nie cichł. Jim mocno przycisnął głowę do drzwi i nasłuchiwał.

Z początku nic nie słyszał. Potem wpadł mu do głowy nowy pomysł. Wyobraził sobie, że ma słuch ptaka, który potrafi usłyszeć owada w trawie. Znów nadstawił ucha. Tym razem usłyszał coś – jakby piskliwy śpiew bliskiego wrzenia dzbanka na ogniu.

Oczywiście, powiedział sobie, to dzbanek Carolinusa, któremu czarodziej kazał wiecznie wrzeć, żeby w każdej chwili mógł się napić gorącej herbaty. Był to ten sam dzbanek, który o mało nie startł sobie dna, pędząc aż do Malencontri z wieścią że stary czarodziej potrzebuje pomocy.

Wszyscy miejscowi wierzyli, że dzbanek, jak również inne przybory i przedmioty w chacie Carolinusa, jest obdarzony własnym życiem. Oczywiście dzbanek zdradzał jego pozory, ale miał dość ograniczone możliwości. Jim doszedł do wniosku, że powinien przynajmniej spróbować z nim porozmawiać.

–Dzbanku! – krzyknął przez drzwi. – Tu Jim Eckert. Zakłęcie Carolinusa nie pozwala mi wejść, ale muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę wejść? A może ty mógłbyś wyjść?

Ponownie przycisnął ucho do drzwi, nasłuchując, czy w pisku dzbanka nastąpi jakaś zmiana. I tak się stało. Nagle dzbanek zaśpiewał zupełnie zrozumiale:

Jimie, mag mówił mi, że przyjdiesz, Jeżeli znów w kłopoty wpadniesz. Zapukaj dwa razy, a potem trzeci I tylko magiczne słowo rzeknij.

Jim odsunął się od drzwi i stał, rozmyślając. Magiczne słowo. Jakie magiczne słowo? To w stylu Carolinusa, żeby taką sytuację zmienić w lekcję magii. A przecież nigdy nie wspominał o żadnym magicznym słowie.

Jim opanował narastający gniew. Złość do niczego go nie doprowadzi. Ma do rozwiązania zagadkę. Najwidoczniej miała zniechęcić każdego intruza, który usłyszałby tę piosenkę, lecz Carolinus uważał, że Jim zdołają rozwiązać. A zatem...

Oczywiście. Żaden z żyjących w czternastym wieku ludzi nie mógł znać tych magicznych słów. Gdy tylko przyszło mu to do głowy, Jim o mało znów nie wpadł w złość na myśl o tak prostym rozwiązaniu. No nie, powiedział sobie. Przecież Carolinus nie mógł się posłużyć takim oczywistym i śmiesznym... A może jednak.

Nabrał tchu w piersi, zapukał i powiedział do drzwi:

–Sezamie, otwórz się.

Drzwi się otworzyły. Jim wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim i w przyćmionym, lecz nadal wystarczającym świetle wpadającym przez okna, zobaczył dzbanek na palenisku i usłyszał jego śpiew. Teraz brzmiał jak chór głosów:

Witaj, zacny Jimie Eckercie! Witaj...

Dzbanek śpiewał, aż Jim kazał mu przestać.

–Mnie również miło cię widzieć, dobry dzbanku – rzekł. – Pewnie nie wiesz, gdzie jest Carolinus?

Dzbanek lekko się zakołysał i wydał przeciągły drżący gwizd, opadający smutną nutą.

–A więc nie wiesz? – zapytał Jim.

Dzbanek odpowiedział krótkim ostrym gwizdnięciem. Jim kiwnął głową.

–Rozumiem. No cóż, jeśli ty nie wiesz i ja nie wiem, to nie wiadomo, gdzie on jest.

Jednak dochodzę do wniosku, że gdziekolwiek jest, może zapragnąć herbaty, jaką możesz dać mu tutaj, w jego chacie. A więc może wpaść tu na chwilę, a może tylko dotrze tutaj w magiczny sposób i powie ci, żebyś nalał mu jedną, a potem przeniesie ją i wypije tam, gdzie jest... W każdym razie pomyślałem, że podam ci krótki wiersz, który mógłbyś mu wtedy zaśpiewać. Zrobisz to dla mnie?

Kolejny krótki ostry, potwierdzający gwizd.

–Doskonale – rzekł Jim. – Daj mi minutę. Muszę wymyślić rym...

Istotnie – musiał. Niezbyt dobrze wychodziło mu pisanie wierszy i pewnie nie lepiej układanie piosenek. Na szczęście znał melodię, którą wyśpiewywał dzbanek, więc po prostu musiał ułożyć do niej słowa. Zastanawiał się chwilę i po krótkim namyśle wyszło mu

coś takiego:

Robert porwany, Angie w rozpacz. Każdy z nas biada i złorzeczy. Poradź nam, Carolinusi!

Kiedy wyśpiewywał ją dzbankowi, piosenka wydała mu się wyjątkowo kiepska. Jednak gdy dzbanek odśpiewał ją swoim zdyszonym monotonnym głosem, brzmiała nieco lepiej.

–No cóż – rzekł Jim dzbankowi. – Może to coś da. Dziękuję, dzbanku.

Ten odpowiedział krótkim ostrym gwizdem.

–Ja tobie też – odparł Jim.

Wyszedł przez drzwi, które natychmiast zatrzasnęły się za nim. Na wszelki wypadek sprawdził je. Były równie dobrze zamknięte jak poprzednio.

Znów przemienił się w smoka i w ponurym nastroju poleciał z powrotem do Malencontri.

Rozdział 14

Następnego ranka Jim nadal był ponury. Spał dobrze, ale obudził się zaniepokojony. Uczucie to nie opuściło go podczas śniadania, które na szczęście służba bez szemrania przyniosła mu do słonecznego pokoju, w przeciwieństwie do obiadu i wieczerzy – państwo zawsze musieli spożywać je w wielkiej sali. Angie wstała wcześniej i Jim zjadł śniadanie tylko w towarzystwie własnych myśli. Jednak tych było mnóstwo.

Fatalnie, że Carolinus był nieosiągalny, kiedy tak bardzo go potrzebowali, ale w tym momencie musiał się z tym pogodzić. Usiłował ponownie porozumieć się z KinetetE, ale znów nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Próbował przenieść się do niej, lecz nie był w stanie tego zrobić, nie mogąc wyobrazić sobie, dokąd ma się udać. Na razie przestał o niej myśleć.

Teraz powinien zrobić to, czego najbardziej się obawiał, a co musiał: porozmawiać z rannym, ale już przytomnym Brianem o tym, jak go zranił. Zatopiony w myślach wyszedł z komnaty i dosłownie wpadł na dwie kobiety, które właśnie miały do niej wejść.

–Milady nie ma... – zaczęły.

–Wiemy – odparła ostro niższa. – Ma się tu spotkać z nami za chwilę i posłała nas przodem.

Jim zamrugał i wrócił na ziemię.

–Och, witajcie – powiedział, rozpoznając je. – Geronde! Danielle!

–Właśnie widziałam Briana – powiedziała Geronde, niższa z nich. – Chyba nie sądziłeś, że zostanę w zamku Malvern, kiedy Brian jest tak ciężko ranny?

–Nie, oczywiście, że nie – przytaknął Jim. – Oczywiście. Po prostu nie spodziewałem...
– Wolał urwać niż wpakować się w kłopoty.

–Sądzę, że Dafyddda znajdziesz w wielkiej sali – powiedziała wysoka młoda żona walijskiego łuczniaka, uderzająco piękna nawet po urodzeniu dwojga dzieci.

–Istotnie. Miło mi was widzieć. Zeszłej nocy próbowałem się skontaktować z Carolinusem, ale nie udało mi się – rzekł Jim i natychmiast zrozumiał, że już o tym wiedzą.

–Och? – powiedziała Danielle.

–Ach tak – mruknęła Geronde.

Geronde otworzyła drzwi słonecznego pokoju. Obie minęły go i weszły do środka. Został sam i nagle poczuł się nie umyty, nie ogolony i obszarpany.

Po tym spotkaniu miał jeszcze mniejszą ochotę na wizytę u Briana. Mimo to zszedł do

komnaty, w której poprzedniego dnia umieszczono rycerza.

–James! – rzekł Brian, siadając na łóżku. Nie był już taki blady. – Miałem nadzieję, że ktoś tu zajdzie – a najchętniej ty! Tak się nudzę, leżąc tutaj. Szczególnie że wiem, iż powinienem być rzeński i zdrowy.

–Sądzę, że jeszcze nie, Brianie – rzekł Jim. Spojrzał na służkę siedzącą na stołku w kącie pokoju. – Bet, wyjdź na zewnątrz i dobrze zamknij drzwi. Zaczekaj na korytarzu, aż cię zawołam.

–Tak, milordzie.

–Siadaj! Siadaj! – zachęcał Brian.

Jim przysunął stołek Bet do łóżka i usiadł.

–Ostatnią rzeczą jaką pamiętam – ciągnął Brian – jest to, że ja byłem w Cumberlandzie, a ty tutaj, w Somerset.

–Niezupełnie – poprawił Jim. – Prawdę mówiąc, ja również byłem w Cumberlandzie.

–Naprawdę? – zdziwił się Brian. – A niech mnie powiesz, zetną i poćwiartują, jeśli coś pamiętam!

–No cóż – zaczął Jim. – Może pamiętasz, że ci, z którymi byłeś w lesie Skiddaw, zostali zaatakowani przez inny oddział?

Brian potarł czoło.

–Rzeczywiście, chyba pamiętam coś takiego. Jednak nie pamiętam, żebyś ty tam był, Jamesie.

–Byłem po przeciwnej stronie – wyjaśnił Jim.

–Na Boga, naprawdę?

–Tak – rzekł Jim. – Prawdę mówiąc, kiedy nasz szereg jechał na wasz, znalazłem się prawie dokładnie naprzeciw ciebie. Nie idealnie, ale trochę z boku – o dwóch lub trzech jeźdźców – i nie sądziłem, że się zetrzemy. Jednak tak się złożyło, że inne konie zepchnęły Gorpa w twoją stronę, i okazało się, że mam przed sobą człowieka, który jechał obok ciebie.

–Coś podobnego! – zawołał Brian. – Mam nadzieję, że pamiętałeś, aby wysoko trzymać tarczę i do ostatniej chwili nie ścisnąć kopii, tak jak cię uczyłem. Czy wysadziłeś przeciwnika z siodła?

–No cóż... właściwie... – zaczął Jim i zakrztusił się. – Widzisz, patrzyłem głównie na ciebie. Ty też mnie zauważyłeś i uniosłeś kopię tak, żeby na pewno mnie nie trafić, nawet gdyby zepchnięto cię naprzeciw mnie.

–No pewnie. To oczywiste – rzekł Brian. – I co dalej?

–No cóż, Brianie. Prawdę mówiąc – zająknął się Jim – jadący na mnie jeździec ustawił skośnie tarczę, tak jak próbowałeś mnie nauczyć, i grot mojej kopii ześliznął się po niej i... Krótko mówiąc, Brianie, to ja trafiłem cię kopią.

–Naprawdę?! – Brian wytrzeszczył oczy. – No tak, oczywiście. Zupełnie słusznie wybrałeś następnego przeciwnika...

–Brianie, nie zrobiłem tego specjalnie! – zawołał Jim. – Uwierz mi, to był wypadek. Grot mojej kopii po prostu zoczył w twoją stronę, a ponieważ jechaliśmy na siebie... No wiesz, jak to jest: moja kopia ominęła brzeg twojej tarczy i zadała ci ranę, która teraz przykuła cię do łóżka. To wszystko moja wina.

–No tak, to wszystko wyjaśnia – przyznał Brian. – Jednakże, James, musisz pamiętać, że jeśli obowiązek nakazuje ci uderzyć na nieprzyjaciela, nie powinieneś się zastanawiać, kto na ciebie jedzie. W takich wypadkach najważniejszy jest obowiązek.

–Powiniem unieść grot kopii tak jak ty – rzekł przygnębiony Jim. – Po prostu nie zdążyłem. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nie masz pojęcia, jak mi przykro, Brianie.

–Przykro? – powtórzył Brian, marszcząc brwi. – Dlaczego miałyby ci być przykro, James? Przecież grot twojej kopii niczym nie różni się od innych.

–Nie chciałem ci tego zrobić – wyznał Jim. – Ale nie mogłem tego uniknąć.

–A jakże mogłoby być inaczej? – dziwił się Brian. – Dziękuję ci za twoją przyjaźń i opiekę, a poza tym jestem tutaj, szybko dochodzę do siebie i wkrótce wstanę z łóżka. Może już na dzisiejszą wieszczę?

–To za wcześnie. Trochę za wcześnie – sprzeciwił się Jim. – Musisz pamiętać...

–Wiem – przerwał mu Brian. – Mam leżeć i nabierać sił. Angela powiedziała mi tak, kiedy rano przyszła tu z Geronde. Można by pomyśleć, że zdrowy mężczyzna powinien uzupełnić ubytek krwi w godzinę. Tymczasem to trwa kilka dni. Powiadam ci, James, czuję się na siłach stawić czoło każdemu.

–Nie wątpię – przytaknął Jim. – Ja jednak czułbym się lepiej, a Geronde i Angie również, gdybyś jeszcze przez jakiś czas nie wstawał z łóżka.

–No cóż, trudno – rzekł Brian. – Jakoś to zniosę. Słuchaj, James, opowiedz mi o tej bitwie. Jeśli zasługuje na taką zaszczytną nazwę. Kto zwyciężył?

–Nie wiem – odparł Jim. – Kiedy wpadłem na ciebie, ja również spadłem z konia. Blanchard próbował mnie atakować i był gotowy wdeptać nas obu w ziemię, więc zabrałem nas stamtąd.

–Blanchard! – zawołał Brian, gwałtownie siadając na łóżku. – Co z Blanchardem? Czy wiesz, co się z nim stało? Nie wątpię, że wielu chciałoby go mieć...

–W porządku, w porządku! Blanchard jest w mojej stajni – uspokoił go Jim. – Sprowadziłem go tutaj.

Brian wydal przeciągłe westchnienie ulgi i osunął się na posłanie.

–Uratowałeś nie tylko moje ciało, ale i duszę, James! – rzeki. – Wolałbym stracić rękę niż Blancharda. Co tam rękę! Wszystko! Wiesz, ile on dla mnie znaczy, a prawdę mówiąc, jest wart znacznie więcej.

–Wiem – przytaknął Jim. – Tuż przed bitwą sir John Chandos powiedział mi, że wie, iż tam jesteś, ponieważ zauważył Blancharda i natychmiast go rozpoznał. Powiedział, że Blanchard jest wart królestwa.

–Wszystkich królestw tego świata! – zakrzyknął Brian. – A i tak bym go nie sprzedał. Wiesz co, James... Skoro już tu jesteś, może spędzilibyśmy ten czas trochę przyjemniej? Wiem, że nie powiniem pytać, czy masz tu wino, ale może małe piwko i partyjka szachów...?

Jim przez chwilę spoglądał na przyjaciela. Brian wcale nie udawał. Wprawdzie Jim zagoił ranę w jego ramieniu, ale ciało wciąż pamiętało ból i zniewagę. W żaden sposób nie mógł temu zapobiec. W tym momencie Brianowi mógł pomóc tylko kielich ulubionego wina, którego Jim nie chciał podać wycieńczonemu organizmowi. Jednak Brian skarżył się jedynie na nudę.

Brian nie był stoikiem. Po prostu ignorował ból, któremu nie mógł zapobiec. Czy potrafiłbym do tego stopnia zapanować nad bólem? – pytał siebie Jim i wiedział, że odpowiedź brzmiała „nie”.

–Szachy jak najbardziej – odparł pokornie.

Chociaż tyle mógł zrobić w tych okolicznościach dla człowieka, którego o mało nie zabił. Niezbyt cieszyła go ta perspektywa. W dwudziestym wieku uważał się za niezłego gracza, ale nigdy nie słyszał o zasadach wprowadzonych przez Briana, według których królowa zamiast być najsilniejszą, była najsłabszą figurą i mogła się poruszać tylko skośnie, po jednym polu.

Zmiany te nie były tak poważne, aby Jim nie mógł w ogóle grać, ale uniemożliwiały zastosowanie znanych mu wariantów, zmuszając do ich adaptacji lub wymyślania nowych, jakby po raz pierwszy grał w szachy.

Zaczęli partię. Brian bez trudu wygrał pierwsze trzy gry, co ogromnie go ucieszyło, a po ostatniej porażce Jim wymówił się ważnymi sprawami i zostawił przyjaciela w znacznie lepszym humorze, niż go zastał. Wyszedłszy z komnaty Briana, odruchowo wszedł po schodach wiodących do słonecznego pokoju, ale słysząc kobiece głosy, przystanął przed drzwiami.

To chyba nie była najlepsza chwila, żeby tam wchodzić. Zarówno Geronde, jak i Danielle były wyraźnie zdenerwowane, kiedy niedawno je spotkał. Dopóki nie dowie się przyczyny, najlepiej będzie się trzymać z daleka. Angie świetnie poradzi sobie z tym sama.

Odwrócił się i szedł do wielkiej sali. Znalazł tam Darydda, jak zwykle strugającego jedną ze strzał. Dafydd należał do tych ludzi, którzy przez cały czas muszą coś robić.

–Milordzie – rzekł formalnie, gdy Jim usiadł naprzeciw niego.

–Jamesie – poprawił go Jim. – Znamy się tyle lat, że chyba powinniśmy mówić do siebie „Jamesie” i „Dafyddzie”?

Mimo to bacznie spoglądał na Dafydd, który zazwyczaj przemawiał takim formalnym tonem, jeśli nie zgadzał się w czymś z Jimem. Jakby wywieszał flagę sygnalizacyjną, ostrzegającą: „Teraz traktuj mnie poważnie!”

–A więc Jamesie – rzekł przystojny, wysoki i szczupły Dafydd, spokojny i odprężony jak zwykle. – Z przyjemnością widzę cię w dobrym zdrowiu. Możesz powiedzieć mi, jak się ma Brian i jak został ranny?

Jim opowiedział. Pomiął tylko to, że Brian zgodził się walczyć po stronie tych, którzy sprzeciwiali się nałożonym przez króla podatkom. Brian powiedział mu o tym w zaufaniu i Jim nie był pewny, czy bez pozwolenia może się podzielić tą wiadomością nawet z tak starym i dobrym przyjacielem Briana jak Dafydd.

–A więc – doszedł do tego, jak oba oddziały stanęły naprzeciw siebie w lesie Skiddaw – nie spodziewałem się, że przyjdzie mi walczyć z Brianem. Próbowałem go ominąć, a on zauważył mnie i podniósł kopię, żeby mnie nie trafić. Jednak w tłoku zepchnięto mnie na niego i... No cóż, w końcu trafiłem go kopią, chociaż starałem się tego uniknąć. Dlatego teraz leży w łóżku. Nie podoba mu się to, ale musi odpocząć, zanim jego organizm nie uzupełni ubytku krwi.

–To smutne – rzekł Dafydd. – Ale takie rzeczy zdarzają się w walce. Kiedyś spojrzalem nad grotem strzały i zobaczyłem kuzyna, niecałe sześćdziesiąt metrów dalej, z łukiem

wycelowanym nie we mnie. On mnie nie widział. Był obrócony do mnie bokiem, ale poznałem go po sylwetce. Aby ci, którzy stali wokół mnie, nie zastanawiali się, puściłem strzałę, ale tak, by chybiła. Potem cofnąłem się, zanim mnie dostrzegł. Mniej znany łucznik miałby kłopoty, gdyby chciał się wycofać z pierwszego szeregu. Ja jednak zyskałem już reputację zręcznego i odważnego. Tak więc nikt mnie o nic nie pytał, co i dobrze, gdyż musiałbym go zabić, a nie lubię zabijać ludzi ani zwierząt bez powodu. – Skończył strzałę i położył ją przed sobą na stole.

Jim spojrział na nią z zaciekawieniem. Jej grot miał prawie dziesięć centymetrów długości, był metalowy, wąski i sześcioboczny, a na końcu ostry jak igła.

–Wygląda jak strzała, którą sporządziłeś na Pustych Ludzi, kiedy walczyliśmy na szkockiej granicy z Gilesem de Mer i jego rodziną – zauważył Jim.

–Jest podobna – odparł Dafydd – ale nie taka sama. To zupełnie nowy typ. Stwierdziłem, że używają ich inni łucznicy przeciwko stalowym zbrojom, które ostatnio spotyka się coraz częściej. Taki grot nazywają szydłowatym.

–Jeśli zwykłą strzałą potrafiłeś przeszyć blat grubego stołu, tak jak w zamku Gilesa de Mer – rzekł Jim – to co zrobiłbyś tą?

–W istocie, sam chciałbym wiedzieć – odparł Dafydd. – Jednak musimy na to poczekać. Tymczasem lady Angela mówi, że w ścianie tego zamku jest dziura.

–Tak, w komnacie Roberta. – I prowadzi za mury.

–To także prawda – rzekł Jim. Dafydd spojrział mu prosto w oczy.

–Widzisz – rzekł. – Wydaje mi się to dość niezwykłym sposobem porwania dziecka. I nie magicznym, bo mag nie musi się przebijać przez ściany ani kopać dziur. Żadne ze znanych mi stworzeń nie zachowuje się w ten sposób. Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, gdzie powinniśmy szukać tego, co zabrało Roberta.

–Jakie? – zapytał Jim, gdyż Dafydd urwał znacząco, nadal nie odrywając oczu od Jima.

–Morze – odparł Dafydd. – Morze jest ogromne, zapewne równie wielkie jak ląd, i mogą w nim żyć stworzenia, jakich nie możemy sobie wyobrazić, a nie tylko zobaczyć. Może jedno z nich przyszło i porwało Roberta.

–Naprawdę tak myślisz? – zapytał Jim. Nagle zabrakło mu słów. – Tylko w jakim celu taki morski stwór – żyjący bardzo głęboko w morzu, skoro dotychczas nikt go nie widział – kopałby tunel w ziemi, żeby porwać dziecko?

–Nie wiem – odparł Dafydd. – Nawet nie wiem, czy taki stwór istnieje. Wiem tylko, że to jedyne miejsce, jakie przychodzi mi do głowy. Natomiast co do stworzeń, które zamieszkują głębiny mórz, tona dziedzincu masz jedno z nich, które może odpowiedzieć na to pytanie.

–Oczywiście – mruknął Jim. – Rrrnlf!

–Może przynajmniej powie nam, w którym kierunku powinniśmy się udać – rzekł Dafydd. – Bo bez tego jak mamy zacząć szukać chłopca?

–Na pewno nie mamy nic do stracenia – mruknął Jim, na poły do siebie. Uświadomił sobie, że Dafydd wciąż na niego patrzy, i to przypomniało mu o czymś. – A zatem będziesz mógł mi pomóc szukać Roberta, Dafyddzie?

–A dlaczego sądziłeś, że nie?

–No cóż... – Trudno mu było wyrazić słowami niemal wrogie nastawienie Danielle, kiedy spotkał ją i Geronde przy drzwiach do słonecznego pokoju. – Pomyślałem, że skoro jest tu

z tobą Danielle...

–Danielle martwi się o bezpieczeństwo męża i ojca jej dzieci – odparł Dafydd. – Ale musimy zrozumieć, że powinniśmy sobie pomagać w potrzebie. Istotnie, może nie będzie zadowolona, że angażuję się w to, ale przynajmniej nie będzie mi przeszkadzać.

–No cóż, z przykrością oderwę cię od niej – powiedział Jim – ale będę się czuł znacznie pewniej, mając cię przy boku. Szkoda że Brian jest jeszcze taki słaby...

–Nie przejmuj się Brianem – powiedział Daiydd. – Jeśli zechce coś zrobić, zrobi to, choćby cały świat stanął mu na drodze. Taki już jest. A teraz może wyjdziemy i porozmawiamy z diabłem morskim?

–Racja! – odparł Jim, podnosząc się od stołu. Dafydd też wstał. – Jak myślisz, może powinniśmy pokazać mu tę dziurę w ziemi? Ponieważ nie ma szans, żeby zajrzał do takiego małego pomieszczenia jak komnata Roberta.

–Wydaje mi się, że to dobry pomysł – przytaknął Dafydd. Już szli między dwoma długimi stołami do frontowych drzwi wielkiej sali. Dafydd jednym zręcznym ruchem zgarnął swój łuk, kołczan i strzałę, nad którą pracował, a teraz przełożył sobie kołczan przez jedno, a łuk przez drugie ramię.

–Kiedy ostatnio go widziałem, spał – powiedział Jim, kiedy dochodzili do drzwi. – Ach, już się zbudził.

Rrralf nie tylko się zbudził, ale usiadł z podwiniętymi nogami na dziedzińcu, mając głowę prawie na wysokości biegnącej wzdłuż blanków galeryjki. W ponurym milczeniu zdawał się przerzucać coś z ręki do ręki. Jim wytrzeszczył oczy, widząc, że tym czymś był ten sam mały brzydal, który towarzyszył Rrralfowi podczas jego poprzedniej wizyty w Malencontri. Teraz też nie wydawał z siebie głosu, gdy diabeł morski podrzucał go i zręcznie łapał drugą wielką dłonią. Traktował malca jak żongler jabłko, a mały człowieczek wcale nie protestował. Jego ubranie wyglądało tak, jakby przyrosło mu do ciała, a wyraz twarzy nie zmienił się ani na chwilę, gdy Rrralf raz po raz podrzucał i łapał kompana. Malc stał prosto jak zabawka, z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków, a podrzucony, w najwyższym punkcie obracał się, nie zginając ciała, po czym spadał głową w dół. Przez cały czas na jego twarzy malował się ten sam wyraz niebotycznego zdumienia.

Nagle Jimowi przyszła do głowy szalona myśl, że może ten człowieczek lubi być tak podrzucany i łapany. Jednak Jim nie był w stanie wyobrazić sobie, dlaczego miałoby tak być.

Natomiast Rrralf wyglądał na odrobinę przygnębitego, ale poweselał na widok Jima i machinalnie schował malca za pazuchę.

–Ach, mały magu! – zahuczał. – Znów tu jesteś!

Jim miał ochotę powiedzieć, że to jego ziemia i własność, więc tu jest jego miejsce. To Rrralf był tu gościem. Jednak powstrzymał się. W rozmowie z diabłem morskim zbyt łatwo można było zbiec z tematu.

–Rrralfie! – powiedział. – W lesie jest dziwna dziura w ziemi i chcielibyśmy z Dafyddem, żebyś poszedł tam z nami i obejrzał ją.

–Ja? Mam patrzeć na dziurę? A co w niej jest?

–Nie wiemy – odparł Jim. – Dlatego chcemy, żebyś ją obejrzał i może obwąchał, a potem powiedział nam, co o niej sądzisz. Może dostrzeżesz lub wyczujesz więcej niż my.

–Oczywiście, mały magu – odparł Rrrnlf, wstając. Górując nad nimi, dodał: – Na waszym miejscu nie przejmowałbym się tym. Dziury rzadko niepokoją takie małe osoby jak wy. Od dziesięciu tysięcy lat żadna dziura nie niepokoiła małej osoby.

–A niepokoją diabły morskie lub inne żyjące w morzu stworzenia? – zapytał Jim.

Rrrnlf zaśmiał się.

–Nic nie może niepokoić diabła morskiego, mały magu – rzekł. – Przecież wiesz. Co do innych mieszkańców mórz, to zależy, co zrobią lub powiedzą takiej dziurze. Aczkolwiek... – Rrrnlf w zadumie podrapał się po głowie. – Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek w morzu był niepokojony przez dziurę. Gdzie ona jest?

–Lepiej chodź z nami – poradził Dafydd.

–No to biegnijcie przodem – odparł Rrrnlf.

Wstał z przyjaznym uśmiechem na twarzy, gdy Jim i Dafydd przemaszerowali przez bramę i przez otwartą przestrzeń. Nie dostrzegli i nie usłyszeli Rrrnlfa, dopóki nie weszli do lasu – wtedy tuż za nimi rozległ się trzask łamanych gałęzi i pomruki diabła morskiego. Chociaż nie mógł rozróżnić poszczególnych słów, Jim pomyślał, że brzmiały tak, jakby Rrrnlf przeklinał po staroangielsku.

–Mały magu! – ryknął Rrrnlf tuż nad ich głowami, skryty przez baldachim gałęzi. – Gdzie jesteście?

–Tutaj! – odrzyknął Jim. – Podążaj za dźwiękiem mojego głosu. Idę... w tym... kierunku...

Szedł dalej, pokrzykując raz po raz, aż doszedł do dziury. Wtedy stanął.

–Tu jest! – zawołał.

Znów usłyszał trzask łamanych drzew. Na ziemię posypał się grad konarów i liści. Ujrzeni szeroką twarz Rrrnlfa.

–Gdzie ta dziura? – zapytał diabeł morski.

–Tuż pod moimi nogami! – odparł Jim. – Gdybym zrobił jeszcze krok, wpadłbym do niej!

–Och – mruknął Rrrnlf.

Jeszcze przez chwilę trzeszczały gałęzie, a potem Rrrnlf opadł na cztery łapy obok Jima i Dafydda – w tej pozycji mierzył zaledwie cztery metry – i zajrzał do otworu. Jim i Dafydd musieli się cofnąć. Z pewnością, pomyślał Jim, jedynym okiem spogląda prosto w dziurę.

Po dłuższej chwili Rrrnlf odchrząknął, podniósł głowę, otarł twarz z ziemi i trawy, a później spojrzął na Jima i Dafydda.

–To dziura, rzeczywiście.

–Owszem – powiedział Jim, prawie tracąc cierpliwość. – Jednak wydaje się, że dokądś prowadzi. Aargh zajrzał do niej i orzekł, iż schodzi w dół na prawie dwa metry, a potem biegnie równolegle do powierzchni, na lewo od ciebie, Rrrnlfie.

–Aargh? – powtórzył Rrrnlf. – Ach, ten mały wilk.

–No właśnie – rzeki Dafydd. – Czy masz pojęcie, Rrrnlfie, dokąd prowadzi ten tunel?

–No a dokąd mógłby prowadzić? – odparł Rrrnlf. – Biegnie na południowy zachód. Tam, gdzie wy, mali ludzie, wykopujecie z ziemi ołów, cynę i srebro.

Jim i Dafydd spojrzeli po sobie.

–Kornwalia – mruknął Dafydd. – Tamtejsze kopalnie.

–A potem – dodał wesóło Rrrnlf – oczywiście do morza. Jim zawołał triumfalnie:

–Dafyddzie! Miałaś rację!

–A jak mógł jej nie mieć? – zdziwił się Rrrnlf. – Czyż wszystkie stworzenia w końcu nie wracają do morza?

Rozdział 15

–Nie wszystkie, Rrrnlfie – zaprzeczył Jim.

–Ależ tak – upierał się Rrrnlf, wstając i spoglądając w dół przez dziurę, którą wyrwał w listowiu. – Jeśli udasz się w którąkolwiek stronę tej waszej krainy, mały magu, zawsze dotrzesz do morza. Jakże mogłoby być inaczej?

–Przecież nie wiesz na pewno, że ten otwór prowadzi do morza – upierał się Jim.

–Ależ tak – rzekł Rrrnlf. – Nie czujesz zapachu? Wy, mieszkańcy lądu, macie dobry węch.

–Nie wszyscy! – wtrącił ochryply głos i w polu widzenia Jima pojawił się wilczy nos wetknięty w dziurę. – Ja tu mam najlepszy węch, a nie czuję morza.

–No właśnie, Rrrnlfie – powiedział Jim. – Mówiłeś, że je zwęszyłeś?

–Nie – odparł Rrrnlf. – Nigdy niczego nie wącham. Ja... – Stał przez chwilę, zapatrzony w dal. – Ja je czuję! – rzekł po chwili, spoglądając na Jima.

–W jaki sposób? – spytał Dafydd.

–Po prostu wyczuwam – odrzekł Rrrnlf. – Czuję, że ten tunel biegnie daleko, mija miejsce, gdzie kopią inni mali ludzie, łączy się z kolejnymi tunelami, a potem jeszcze innymi, aż do miejsca pod górą gdzie płynie podziemna rzeka wpadająca do morza.

–A gdzie jest to miejsce pod górą? – spytał Dafydd dość ostro jak na niego.

–Och, pod dnem morza... gdzieś tam...

Wskazał na południowy zachód, prawie zgodnie z kierunkiem, w jakim wiódł tunel.

–Jedna z zatopionych krain? – spytał ostro Dafydd. Jim spojrzał na niego.

–Chyba można ją tak nazwać – odparł Rrrnlf, poskrobawszy się po głowie. – Taka jak ta, ale głęboko w oceanie.

–Mógłbyś mi powiedzieć, która to z nich?

–A czy one różnią się od siebie? – spytał z powątpiewaniem Rrrnlf. – Nam, diabłom morskim, nie wolno tam wchodzić, a z góry wszystkie te miejsca wyglądają jednakowo.

–Jamesie, Aarghu – powiedział Dafydd, zupełnie innym tonem. – Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej o tym porozmawiać.

–A o czym tu mówić? – mruknął Aargh. Wsunął nos w otwór, wskazując tunel. – Niech James poszerzy tę dziurę, żebyśmy mogli w nią wejść, a potem pójdziemy korytarzem do samego końca.

–Nie sądzę, aby to było takie proste – odparł Dafydd. – A powód podam wam, kiedy zasiądziemy w wielkiej sali i porozmawiamy. – Przerwał i popatrzył na Aargha. – A może ty nie pójdziesz z nami?

–Powiedziałem Jimowi, że pójdę, i zrobię to – warknął Aargh. – Chociaż nie widzę w tym żadnego sensu. Dlaczego nie możemy porozmawiać tutaj?

–Zapewne możemy znieść Briana do wielkiej sali – wyjaśnił Jim. – Ale raczej nie da się go przenieść tutaj.

Aargh cicho warknął, ale już nic nie mówił. Znając go, Jim uznał to za niechętnie „tak”.

–To miejsce, o którym mówicie – rzekł Rrrnlf nad ich głowami – jest za małe, żeby

mógł tam wejść. Będę na dziedzińcu, gdybyście mnie potrzebowali.

–Dziękuję, Rrrnlfie – powiedział Jim, w myślach oddychając z ulgą. Cały czas usiłował wymyślić jakiś argument, który przekonałby diabła morskiego, że nie musi brać udziału w naradzie.

Jim miał wrażenie, że znów znalazł się w dobrze mu znanej sytuacji: próbując zorganizować naradę wojenną której uczestnicy mają rozbieżne zainteresowania – na przykład Brian chciałby tu być, chociaż nie powinien wstawać. Trzeba będzie powiedzieć mu o zebraniu – inaczej śmiertelnie się obrazi. Kiedy tylko się dowie, trudno będzie go utrzymać w łóżku. Może nawet okaże się to niemożliwe.

Istotnie okazało się to niemożliwe, lecz to była najmniejsza z komplikacji. Był tam nie tylko Brian – zniesiony przez służbę, usadowiony na fotelu i popodpierany poduszkami, żeby było mu wygodnie, opierający nogi na pełniącym funkcję podnóżka taborecie – ale także Geronde, Danielle i Angie, które postanowiły wziąć udział w naradzie.

Aargh nie narzekał, ale Jim zdawał sobie sprawę z tego, że wilk wcale nie jest zadowolony z sytuacji. Leżał na lawie na końcu stołu z podwiniętymi tylnymi łapami i wyprostowaną przednią częścią ciała. W ten sposób jego łeb znajdował się prawie na wysokości głów pozostałych uczestników zebrania.

Zakończywszy przygotowania, Jim usiadł. Brian patrzył na niego uważnie, wciąż blady. Zdołał nakłonić służbę, żeby go odziała, a nawet przypasał z miecz.

Gość w zaprzyjaźnionym domu nie powinien mieć brom u boku. Jim wątpił, aby Brian miał siłę wyjąć miecz, nie mówiąc już o postużeniu się nim. Podejrzewał, iż oręż miał świadczyć o zdecydowaniu Briana i o tym, że rycerz jest gotowy na wszystko, czy to się komuś podoba, czy nie.

Z początku wokół stołu panowała złowieszcza cisza. Na szczęście teraz, kiedy wszyscy usiedli, pojawili się słudzy z dzbanami wina i wody, pucharami oraz kilkoma talerzami zakąsek.

Potem wyszli. Jim musiał rozpocząć naradę. Odchrząknął.

–Dafydd, Aargh, Rrrnlf i ja obejrzelśmy razem dziurę w ziemi, którą Aargh odkrył w lesie – powiedział tonem, którym chciał zachęcić ich do dyskusji. – Pornlf twierdzi, że ten otwór prowadzi do morza. Jednakże Dafydd... – Nagle pojał, że zapuszcza się na niepewny teren. Dafydd mógł nie przewidzieć obecności kobiet. Ani zaś Danielle, ani Geronde z pewnością nie ucieszy wiadomość, że ich mężowie chcą udać się na wyprawę. – Dafydd – Jim pospiesznie zmienił dalszą część zdania – uznał, iż powinniśmy usiąść i wszystko omówić, zanim coś postanowimy.

Siedzący wokół słuchacze nie zareagowali. Jim zerknął na Aargha w nadziei, że wilk pomoże mu, mówiąc coś. Aargh jednak pozostał w swej nieruchomej pozie sfinksa i nie odezwał się. To Dafydd zabrał głos.

–No cóż – rzekł. – Mam wrażenie, że może jest szybszy i lepszy sposób podróżowania. Powinniśmy...

–Ty nie pójdziesz! – przerwała mu Danielle.

–Nie pójde? – Nie!

Dafydd kilkakrotnie pokiwał głową jak człowiek, który wciąż zastanawia się nad sytuacją i później podejmuje decyzję. Jim poczuł, iż ktoś mu się przygląda, i lekko obróciwszy głowę,

zobaczył, że to Brian. Któryś sługa pomylił się i postawił przed nim puchar z winem. Brian teraz podniósł go – rzecz jasna lekko drżącą dłonią – lecz napotykając spojrzenie Jima, zrobił triumfalną minę. Jim nic nie powiedział. Patrzył, jak Brian przyłożył puchar do ust, a potem wyraz twarzy rycerza gwałtownie się zmienił. Brian odsunął kielich, z lekkim zdziwieniem spojrzał na zawartość i znów odstawił.

–Zgadza się! – powiedziała Geronde. – To wino jest zbyt mocne. Wzięła ze stołu dzbanek i dopełniła puchar aż po brzegi – wodą.

Jim już wcześniej dołał tam wody, zanim Brian podniósł kielich do ust. Teraz płyn był zaledwie różowawy. Brian odwrócił głowę i ponuro uśmiechnął się do Geronde.

–Będziemy tak gadać cały dzień? – zapytał Aargh. – To do was podobne, ludzie. Gadacie i nic się nie dzieje. Gdyby był tu Carolinus...

–Jestem tu! – przerwał mu zirytowany i dziwnie zachrypnięty głos Carolinusa. Spojrzeli i zobaczyli jego lekko rozmazujący się na brzegach obraz, stojący między dwoma długimi stołami. Jim natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że Carolinus znów pojawił się tylko jako projekcja. – Zostawiłeś wiadomość mojemu dzbankowi, Jim? Mam tylko chwilę. O co chodzi?

Jim zerwał się na równe nogi.

–Carolinusie! – zawołał. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Mogę przez chwilę porozmawiać z tobą na osobności? Chcę powiedzieć...

–W porządku – odparł kwaśno Carolinus. – My, magowie klasy AAA+, odróżniamy słowa „na osobności” od... No, mniejsza z tym.

Jego projekcja ruszyła w kierunku gotowalni. Jim odepchnął swoje krzesło i pospiesznie ruszył za nim. Przeszli do gotowalni, w której – ku zaskoczeniu Jima – nie było żywego ducha. Potem zrozumiał dlaczego. Załoga zamku przywykła do czarów Jima, ale Carolinus to całkiem co innego. Nikt z nich nie chciał obrazić czy niepokoić maga. Teraz wszyscy znaleźli się w poza zasięgiem głosu.

–Chodzi o to... – zaczął Jim, ale Carolinus przerwał mu, gdy stanęli przed kominkiem.

–Nieważne, nieważne – rzekł stary mag. – Mówiłem ci, że nie mam czasu! Niech Dafydd poprowadzi cię tam, dokąd chcesz się udać, do Liones, a potem do wejścia do Nadwzgórza-Podwzgórza. Nie możecie zabrać ze sobą Aargha.

–Co to za Nadwzgórze-Podwzgórze? – zdziwił się Jim. – I czemu nie?

–Nieważne. Zobacysz, kiedy tam dotrzesz – odparł Carolinus. – Obecność Aargha wywarłaby zły wpływ. Teraz to nieistotne! – pokręcił głową. – Tylko zanim wejdiesz, zwróć uwagę na to, co jest wyryte w kamieniu nad wejściem. Słuchaj, mam mało czasu. Muszę ci powiedzieć, że przed kilkoma dniami straciłeś swoje Nielimitowane Konto. Twój stary antagonistą Son Won Phon ożywił się podczas mojej, trwającej do tej pory nieobecności i w rezultacie zablokowano ci dostęp do Nielimitowanych Zasobów. Nie wiem, ile miałeś na swoim koncie. A ponieważ teoretycznie wciąż jesteś praktykantem, Wydział Kontroli ci nie powie. Dlatego staraj się jak najmniej korzystać z magii – oszczędzaj ją. A przede wszystkim pamiętaj, że za wszelką cenę musisz chronić króla i księcia Anglii. Teraz muszę już iść...

–Króla? Księcia? – powtórzył Jim.

Jednak Carolinusa już nie było. Jim gapił się na puste miejsce, gdzie przed chwilą stał

mag. Carolinus już dwukrotnie robił tajemnicze wzmianki o konieczności chronienia króla Anglii i następcy tronu.

–Przecież muszę odzyskać Roberta, do licha! – rzekł Jim i powoli wrócił do wielkiej sali. – No cóż – powiedział, siadając i patrząc na pytające miny pozostałych. – Carolinus odszedł – zniknął. Zapewne zauważyliście, że nie był tutaj osobiście, tylko w postaci obrazu. Dafyddzie, powiedział, że ty wiesz, dokąd mamy iść. Będziemy musieli przejść przez... – Urwał i przez jedną krótką chwilę spoglądał na długą ścianę i dwa kominki za plecami siedzących, zanim zwrócił się do Angie. – Do licha z tym! – rzeki. – Doskonale znam nazwę tego miejsca, ale uciekło mi z pamięci. Angie, jak brzmi nazwa tej dawnej krainy z wiersza o śmierci króla Artura?

–Och, mówisz o Odejściu króla Artura Alfreda Tennysona? No wiesz, Artur wcale nie umarł – przypomniała niezawodna Angie. – Został uniesiony przez trzy królowe na Avalon. A strofa, o której mówisz... – Zacytowała:

Tedy powstał król i ruszył wojska nocą,
Ścigając sir Mordreda, stają za stają,
Ku zachodniej krainie Liones – Ziemi niegdyś z Otchłani wyniesionej ogniem,
która znów w Otchłani zatonie...

Urwała.

–Właśnie! – zawołał Jim. – Przejdziemy przez część Liones i dotrzemy do miejsca zwanego Nadwzgórzem-Podwzgórzem.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy. Potem przemówił Dafydd.

–Liones od wielu wieków spoczywa w oceanie. – Jego spokojny głos brzmiał dziwnie ponuro w głuchej ciszy. – Teraz nie jest jedynie nagim skalnym pustkowiem. Roi się tam od czarów, bestii, drzew oraz innych roślin, które potrafią mówić i działać.

–Na wszystkich świętych! – powiedział Brian z takim wzburzeniem, na jakie pozwalał mu jego stan. – Naprawdę? Myślałem, że już dawno zapomniano o takich miejscach.

–Nie w mojej krainie – rzekł Dafydd. – Ponieważ musisz dotrzeć do Liones, będziesz potrzebował mojej pomocy... Nie, nie, mój Złoty Ptaszku – powiedział, zwracając się do Danielle, która otworzyła usta. – Błagam, zaczekaj. Porozmawiamy o tym później i jeśli się nie zgodzisz, to nie pójdę. James, czy Carolinus nie powiedział nic więcej prócz wzmianki, że musisz przejść przez Liones?

–Nie o tym, dokąd mamy się udać – odparł Jim. Z jakiegoś powodu nie chciał wspominać o wejściu do Nadwzgórza-Podwzgórza i wrytym nad nim napisie. – Mówił coś o tym, że najważniejsze jest ochronić króla i księcia...

–Ależ Jamesie! – wybuchnął Brian. – To może być bardzo ważne. Co grozi królowi i księciu?

–Carolinus nie wyjaśnił. Nie powiedział nic więcej ponad to, co wam mówię – odparł Jim. Kątem oka zauważył, że Angie z trudem powstrzymuje gniew wywołany sugestią, że jakieś niebezpieczeństwo grożące królowi może być ważniejsze od odzyskania Roberta.

–A więc powinieneś użyć magii i natychmiast przenieść nas do Liones! – orzekł Brian.

–Ty nie możesz tam iść! – stwierdziła gniewnie Geronde, która sprawiała wrażenie, jakby chciała wstać z krzesła i rzucić się na Briana. – Nie jesteś w stanie nigdzie dojść ani na dwóch nogach, ani na czworakach. A nawet gdybyś zdołał, to i tak na nic się nie przydasz.

–Niech to lichy, Geronde! – rzekł Brian. – Może i jestem dziś trochę słaby. Pewnie przyda mi się trochę snu, ale jutro będę mógł wsiąść na koń, a za dwa dni prześcignę każdego. Ponadto nie mam wyboru. Tak ślubowałem.

–Niech dia... – Geronde w ostatniej chwili powstrzymała się i nie powiedziała czegoś, co Brian niewątpliwie uznałby za bluźnierstwo. Popatrzyła na Angie. – Angelo, przecież wiesz, że on nie może jechać!

–No, jest bardzo słaby... – Angie najwyraźniej wahała się między bezczelnym kłamstwem a chęcią poparcia Jima. Wiedziała, że przydałby mu się zaprawiony w bojach umysł Briana, nawet gdyby trzeba było nieść rycerza na noszach.

–Moje ślubowania – powiedział powoli i stanowczo Brian. Jego twarz była biała jak chusta, ale głos silniejszy niż przedtem. – Ślubowałem, że nie skrzywdzę kobiet, dzieci ani członków Kościoła Świętego, lecz będę ich wspierał i pomagał im w potrzebie.

–Nie było w nich mowy o dzieciach! – rzuciła gniewnie Geronde.

–Niektórzy rycerze – ciągnął Brian tym samym stanowczym tonem – opuszczają ten fragment, uważając, że pomaganie dzieciom nie licuje z godnością rycerza. Ja tak nie uczyniłem i Bóg słyszał moje słowa.

–Angelo, Jamesie! – błagała Geronde. – Powiedzcie mu, że nie potrzebujecie jego pomocy. Pomyślcie! Nie macie prawa o nią prosić. Bóg wie, że dobrze życzę temu dziecku choćby ze względu na was, jak również z innych powodów. Pamiętajcie jednak, że on nie jest waszym dzieckiem! Wasz ród nie przetrwa ani nie zginie czy on będzie żył, czy nie!

–Chcę go odzyskać – powiedziała Angie. Jim nie otwierał ust.

–A więc pojedę z wami – rzekł Brian z tą samą determinacją.

–W każdym razie nie nastąpi to szybciej niż jutro rano – dodała pośpiesznie Angie, chcąc zakończyć dyskusję powszechnie przyjętą konkluzją.

–A więc jutro rano – stwierdził stanowczo Brian. – Wtedy będziesz mógł przenieść nas wszystkich do Liones, prawda, Jamesie?

–Cóż – zaczął Jim. – Prawdę mówiąc... – Od kiedy Carolinus kazał mu oszczędzać magiczną energię, Jim rozpaczliwie szukał jakiejś alternatywy. – Może Rrrnlf mógłby nas przenieść przez morze, tak jak zrobił to, kiedy musieliśmy stawić czoło krakenowi Granferowi. Taki sposób podróżowania do Liones może być znacznie bezpieczniejszy.

Wszyscy prócz Aargha i Angie spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Przecież taka podróż to drobiazg dla maga!

–Widzicie – ciągnął pośpiesznie Jim, nagle przypomniawszy sobie, co Carolinus powiedział mu w Cumberlandzie. – Podejrzewam, iż Liones to kolejne królestwo, w którym moje czary nie działają. Tak jak wtedy gdy przypadkiem wszyscy znaleźliśmy się w Królestwie Zmarłych pod zamkiem Malvinne'a. Pamiętasz, Brianie?

–Tak – potwierdził rycerz.

–Tak więc są poważne powody, aby nie przenosić się tam za pomocą magii, lecz w jakiś inny sposób. Może poproszę Rrrnlfa, żeby powiedział nam, co o tym sądzi?

Jim gorączkowo rozmyślał, nie przestając mówić, nie tyle szukając właściwych słów, ile starając się nie dopuścić nikogo do głosu i uniknąć sporu. Szybko wyobraził sobie Rrrnlfa w wielkiej sali. Kiedy zobaczą diabła morskiego, nie będą chcieli dyskutować.

–Rrrnlfie! – powiedział głośno, aby zrobić wrażenie na widowni, gdyż wcale nie było to

potrzebne. – Wzywam cię!

Wszyscy prócz Angie byli pod wrażeniem, ale zaraz opadły im szczęki. Nad głowami usłyszeli potężny trzask i trzy czwarte Rrrnlfa wypełniło całą przestrzeń między dwoma stołami, cztery metry od miejsca, gdzie siedzieli. Z góry doleciał jego tubalny głos:

–Kto mi to zrobił?

–Jasna cholera! – zaklął pod nosem Jim. – Zapomniałem, że on jest taki wysoki!

Rozległ się kolejny trzask i jedna z ogromnych rąk Rrrnlfa przebiła sufit obok dziury, w której niknęła górna część jego tułowia.

–Przestań, Rrrnlfie! – krzyknął Jim. – Zaraz się tobą zajmę! Niech mnie licho, jeśli naprawię ten dach czarami – mruknął do siebie. – Niech zajmie się tym cieśla. Jest pogodnie i sucho.

Przez sekundę wahał się, czy skurczyć Rrrnlfa, czy przenieść wszystkich na podwórze. W końcu uczynił diabła morskiego trzy metry niższym. I nagle pojawił się przed nimi cały Rrrnlf, mrugający z powodu półmroku panującego w wielkiej sali, rozpraszanego teraz trochę przez słoneczny blask wpadający przez dziury w suficie.

–Mały magu! – rzekł skrócony Rrrnlf. – Co się stało? Jesteś większy niż zwykle. I ci obok ciebie też!

–Tak to już czasem bywa z magią – mruknął Jim. – Kiedy następnym razem nas zobaczysz, znów będziemy mali. Chciałem cię o coś poprosić. Czy mógłbyś zanieść Briana, Dafydd i mnie do Liones?

–Nie do Liones, magu – rzekł z żalem Rrrnlf. – Nie mogę się do niej zbliżyć. Nie mówiłem ci?

–Chcę tylko, żebyś zabrał nas w pobliże... – zaczął Jim, ale przerwał mu Dafydd.

–James – rzekł. – Pozwól, że ci wyjaśnię. Rrrnlf ma rację. Nie może zbliżyć się do Liones, chyba żeby znalazł się w innym królestwie lub przeszedł przez nie – a te królestwa są niedostępne dla takich jak on. Natomiast Rrrnlf może zanieść nas na skraj zatopionej krainy. Stamtąd możemy pójść sami.

–Jesteś pewny, że mogę to zrobić, łuczniku? – zapytał z powątpiewaniem Rrrnlf.

–Tak – stwierdził Dafydd.

–W każdym razie – wtrącił Jim – nie musisz zanosić nas aż tam. Wystarczy, jeśli przeniesiesz nas przez wodę na sam skraj tej krainy, a wtedy w razie potrzeby użyję mojej magii, żeby pokonać ostatnie metry, ale już bez ciebie. To prawda, że mógłbym przebyć tę drogę za pomocą magii, ale najpierw musiałbym wyobrazić sobie to miejsce. A tego nie mogę zrobić, gdyż nigdy tam nie byłem.

Powinienem być pomyśleć o tym wcześniej i w ten sposób wytłumaczyć im, dlaczego nie mogę za pomocą czarów przenieść nas do Liones, powiedział sobie w duchu. A przecież dopiero co napotkał ten problem, kiedy usiłował się skontaktować z KinetetE.

–Czy tak właśnie robisz, mały magu? – zapytał Rrrnlf. – Widzisz rzeczy?

–Owszem – odparł Jim – ale trudno to wyjaśnić komuś, kto nie jest magiem. A teraz, czy na pewno możesz nas zanieść na skraj zatopionej krainy?

–Chciałbym móc widzieć rzeczy – rzekł z żalem Rrrnlf.

–A ja chciałbym mieć dziesięć metrów wzrostu i siłę diabła morskiego – powiedział Jim.
– A nie mam. Każdy z nas ma pewne umiejętności.

–To najśluszniesze słowa, jakie słyszałem z twoich ust – rzekł z aprobatą Aargh.

–Pewnie masz rację – powiedział ze smutkiem Rrrnlf. – Wy, mali ludzie... – Urwał i sięgnął za koszulę. – Coś mi się przypomniało – wyjaśnił. Wyjął dłoń zza pazuchy. Trzymał w niej brzydkiego człowieczka z zawiązanymi mankietami koszuli. Postawił go jak zabawkę między zebranymi. Mały nie odrywał oczu od Jima.

Spoglądali na siebie z odległości mniej więcej metra politurowanego blatu. Jim zauważył, że stworzenie skurczyło się wraz z Rrrnlfem.

Właściwie nie jest taki brzydki, pomyślał Jim. I nie jest to człowiek, lecz z całą pewnością naturalny. Nie tylko dziwny wygląd tego stworzenia, ale jakiś głęboki instynkt podpowiedział Jimowi, że ma przed sobą kogoś, kto nie zalicza się do ludzi.

Nie miało to większego znaczenia. Większość naturalnych, takich jak Rrrnlf, było uosobieniem uprzejmości i dobroci, nawet jeśli czasem brakowało im trochę tego, co ludzie nazywali zdrowym rozsądkiem. Inni potrafili być tak okropni jak zamieszkujący podziemia zamku earla Somerset prastary troll, który jednocześnie wykazywał zdecydowanie delikatną i wrażliwą naturę. Jeszcze inni bywali tak nieludscy jak Meluzyna, niesamowita mieszkanka Francji, której kapryśne usposobienie i bezmyślny egoizm zagrażały każdemu smokowi i mężczyźnie, który wpadł jej w oko.

Nieludzie mieli w sobie coś, co zawsze dawało się wyczuć. Mimo wszystko Jim pomylił się, kiedy wcześniej uznał to stworzenie za brzydkie – w rzeczywistości było raczej dziwne. Twarz miała nieco bardziej wydłużoną od ludzkiej, a wypukłe czoło i gęste czarne nastroszone włosy nadawały mu dziki wygląd. Jednocześnie nieustannie otwarte usta i wielkie niebieskie oczy sprawiały, że wyglądał jak ktoś, kto dopiero odkrywa otaczający go świat.

Wrażenie to pogłębiał niewielki wzrost i jego ręce, schowane w szerokich i przydługich rękawach, które wydawały się dłuższe niż powinny. Jakby starał się je ukryć przed niepowołanym wzrokiem.

Oczywiście, być może ta koszula należała do kogoś dwukrotnie większego. Dziwnie na nim wisała, stercząc tu i ówdzie, jakby jego ciało było zbyt kanciaste lub zdeformowane.

–Ciesz się, że znów cię widzi – wyjaśnił Rrrnlf, wrywając Jima z zadumy.

Jim nadal spoglądał na stworzenie.

–Skąd wiesz? – zapytał. – Czyżby zaczął mówić? Kiedy ostatnio przyprowadziłeś go tu, powiedziałeś, że nigdy nie odezwał się nawet słowem.

Rrrnlf zaczął prawym kciukiem drapać się w lewe ucho, opuścił rękę i spojrzał na stworzenie, które teraz wcale nie zwracało na niego uwagi.

–Tak – potwierdził. – Już zaczął mówić. Ciesz się, że cię widzi... Chociaż czy naprawdę dlatego się cieszysz? Może po prostu jest rad, że coś widzi.

Jim pomyślał, że po raz pierwszy w tym świecie spotykał się z telepatią między dwoma naturalnymi. Nie wiedzieć czemu, najwidoczniej nie było dla niej miejsca w tej rzeczywistości, rojącej się od magii i nadprzyrodzonych zjawisk.

Szybko wziął się w garść, wiedząc, że teraz nie pora na takie rozważania.

–Przepraszam, Rrrnlfie – powiedział. – Nie wiem, co...

–Nie, pomyliłem się – przerwał mu Rrrnlf. – On mówi, że chce zostać z tobą.

–Ze mną?

–Z tobą – poważnie pokiwał głową Rrrnlf. – Teraz już rozumiem, co mówi. Twierdzi, że jesteś jego szczęściem i musi przy tobie zostać. Jeśli chce tu zostać, to będziesz musiał go zatrzymać.

Być może brzmiało to zupełnie logicznie dla Rrrnlfa, ale Jim nie chciał teraz żadnych komplikacji. Zrobił stanowczą minę i rzekł ostro:

–Nie mogę go tu zatrzymać. Obojętnie, co o mnie sądzi. Będziesz musiał zabrać go, odchodząc.

Niespodziewanie malec wyciągnął ramiona do Jima gestem małego dziecka proszącego, aby je przytulić. Serce Jima stopniało jak kostka lodu na rozpalonej blasze.

–No... może... – wymamrotał, obrzuciwszy Angie spojrzeniem winowajcy. – Na jakiś czas...

–A więc uzgodnione, mały magu – powiedział Rrrnlf. – Zdrzemnę się, dopóki nie będziecie gotowi, a potem zaniosę ciebie, małego rycerza i małego łuczника, gdziekolwiek mogę dojść.

–W porządku – przytaknął Jim, zrozumiawszy to jako chęć powrotu na dziedziniec. Przywrócił Rrrnlfowi i Małemu ich normalne rozmiary i diabeł morski nagle znów w dwóch trzecich był w wielkiej sali, a jedną trzecią nad jej dachem.

–Będę musiał skoczyć – usłyszeli grzmiący głos nad sufitem, zanim Jim zdążył wyobrazić sobie Rrrnlfa na dziedzińcu. Zdumiewająco zwinnie, zważywszy jego wielkość i wagę, diabeł morski ugiął kolana i śmignął w górę jak rakieta, znikając im z oczu. Usłyszeli głuchy łoskot na dziedzińcu i chóralny okrzyk szczerego przerażenia wydany przez ludzi, którzy to obserwowali – Jim miał nadzieję, że z bezpiecznej odległości.

Zebrana wokół stołu grupka już zaczęła się rozchodzić. Aargh zdążył zniknąć niepostrzeżenie. Danielle z zawziętą miną odchodziła z Dafyddem. Geronde dyrygowała służbą, która miała wnieść Briana po schodach.

–Mogę pomóc? – zapytała Angie.

–Nie trzeba – odparła Geronde, nie patrząc na nią.

Jim i Angie zostali sami za stołem. Oboje spojrzeli na malca.

–Cóż – rzekł Jim niespokojnie do Angie. – Wygląda na to, że przez jakiś czas jesteśmy skazani na jego towarzystwo.

–Nie ma sprawy – powiedziała Angie. – Jeśli tylko nie będzie się plątał pod nogami.

–Oczywiście – pospiesznie przytaknął Jim. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał przygarnąć tego malca. Mogą być problemy z jego karmieniem, bo trudno przewidzieć, czym on się żywi. Niektórzy naturalni wcale nie musieli jeść. Inni, tak jak Hob, jedli i pili – ale tylko wtedy, kiedy chcieli, a nie dlatego że musieli. Oczywiście niektórzy – tak jak kilka rodzajów trolli – musieli regularnie zabijać i pożywiać się jak wszystkie drapieżniki.

Jim wiedział, że Rrrnlf prawdopodobnie wcale nie musiał jeść, a jeśli tak było i ten malec podróżował z nim przez cały ten czas, to zapewne też nic nie jadł, ponieważ diabeł morski na pewno nie wpadł na to, żeby go nakarmić.

Kiedy Jim pomyślał o Hobie, ich zamkowym skrzacie, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

–Może... – zaczął i urwał. Podniósł głos, kierując słowa do najbliższego kominka. – Hobie! – zawołał. Tak jak się spodziewał, odpowiedź była natychmiastowa. Tylko zupełnie

inna, niż oczekiwał.

–Nie lubię go! – zawołał cienki głosik w kominie, ale Hob nie wystawił nawet czubka nosa. – Wcale go nie lubię!

Rozdział 16

–Nie bądź głupi, Hobie! – rzekł Jim. – On cię nie skrzywdzi. Jeśli chcesz, otoczę cię ochronnym zaklęciem, tak że nikt nie będzie mógł zrobić ci krzywdy, kiedy wyjdiesz.

–Nie boję się! – zawołał Hob. – Po prostu go nie lubię.

–A więc przyjdź tu i przyłącz się do lady Angeli i do mnie.

–No cóż...! – odkrzyknął Hob. – Jeśli tu będziecie...

Pod okapem kominka pojawiła się głową w dół mała brązowa postać, wywinęła koziółka w powietrzu i wskoczyła na koniec stołu między Angie i Jima.

–Wcale się go nie boję – powiedział Hob. – Ale to nie jest jego dom, a wy lubicie go bardziej niż mnie!

–Hobie! – perswadowała mu Angie. – Przecież wiesz, że nikogo nie lubimy bardziej od ciebie.

–Naprawdę? – ucieszył się skrzat, spoglądając na nią. Wzięła go za małą rączkę.

–Słowo!

–Och! – westchnął skrzat. Wyprostował ramiona i urósł o centymetr.

–A więc – rzekł, patrząc na Małego. – Co zamierzacie z nim zrobić?

–Nie chodzi o to, co ja lub lady Angela zamierzamy z nim zrobić. Chcę, żebyś ty się nim zajął.

Hobowi wydłużyła się mina i znów skurczył się do swojej normalnej wysokości. Jim mówił dalej:

–Nie jestem pewny, czy on da sobie radę w naszym zamku, więc chciałbym, abyś ty się nim zaopiekował – przynajmniej dziś wieczorem – i znalazł dla niego jakieś miejsce, gdzie mógłbyś mieć go na oku. Wiesz, że on jest naturalnym tak jak ty.

–Troll także – odparł Hob. – Ale pożarłby mnie, gdyby tylko mnie zobaczył.

–Nie sądzę, żeby on chciał cię zjeść.

–Może nie. I tak bym mu nie pozwolił – odparł Hob. – Nie chcę go w żadnym z moich kominów, a on pewnie też nie chciałby w nich być. Może ulokuję go na poddaszu, razem z nietoperzami.

–Nietoperzami? – powtórzył Jim. Zerknął na Angie. – Tutaj są nietoperze?

–Oczywiście – odrzekła. – Jak w każdym zamku, katedrze czy innym dużym budynku.

–To miłe, przyjacielskie nietoperze – zapewnił go Hob.

–Hmm, wierzę ci na słowo. – Jim popatrzył na Małego. Ten z szeroko otwartymi ustami spoglądał na skrzata. – Jeśli nie będzie miał nic przeciwko temu.

–Nie, mówi, że tak będzie dobrze – odparł Hob.

–Mówi? Jak to? Chcesz powiedzieć, że słyszysz, co on mówi, Hobie? W jaki sposób?

–Nie wiem. Po prostu słyszę.

–Ja nic nie słyszę – mruknęła Angie.

–Ani ja – rzekł Jim. – Hobie, jeśli potrafisz skłonić go do mówienia, zapytaj, jak ma na imię.

–Jak masz na imię? – zwrócił się Hob do malca. – Och, naprawdę? A to mój pan i pani!

I mój zamek. Ty jesteś tu obcy... Jak się nazywasz, pytam? Mówi, że nazywa się Hill – dodał po chwili Hob.

–Hill?

–Tak mówi – rzekł Hob. – Sądzę, że on nie jest zbyt mądry. To najgłupszy z... z tych, których nazywasz naturalnymi, milordzie, a których spotkałem. Tak myślę.

–A więc słyszy, kiedy się do niego mówi – powiedział Jim, myśląc o tym, że dobrze zrobił, szybko zgadzając się z Angie, kiedy powiedziała, że nie chce mieć malca w słonecznym pokoju. – Zapytaj go, dlaczego chciał iść ze mną, zamiast zostać z Rrrnlfem?

–Mówi, że bez powodu! – wyjaśnił Hob i powtórnie zwrócił się do malca. Potem spojrzął na Jima. – Powtarza tylko „On jest moim szczęściem!” i nic więcej.

–Cóż – mruknął Jim. – Zaprowadź go do nietoperzy. Jeśli chce się udać ze mną tam, dokąd się wybieram, czeka go więcej emocji, niż przypuszcza. Dziś wieczorem, a może trochę dłużej, będzie twoim gościem. To zależy, jak szybko sir Brian będzie mógł ruszyć z nami w drogę.

Hob stanął na jednej nodze.

–Tak, milordzie – niechętnie rzekł po chwili i odwrócił się. – Chodź, Hill.

–Aha, Hobie! – zawołał za nim Jim. – Może jemu też nie podoba się to, że musi tu zostać. Bądź dla niego uprzejmy.

Hob przystanął. Hill też. Hob odwrócił się. Hill również.

–Uprzejmy, milordzie? – wytrzeszczył oczy skrzat.

–No wiesz – wyjaśnił Jim. – Jesteś uprzejmy, kiedy robisz takie rzeczy, jak zabieranie dzieci na przejażdżkę na smudze dymu.

–Przecież on nie jest młody – powiedział Hob, który sięgał Hillowi do pasa. – Jest duży!

–Ja też, a mnie zabrałeś.

–Och, to było co innego, milordzie. Ciebie lubię.

–Cóż, powiedzmy, że uprzejmość polega na tym, żeby zrobić komuś coś miłego, ale wcale nie ma powodu, żeby wcześniej tego kogoś lubić. Można najpierw być uprzejmym, a dopiero potem okaże się, że lubisz tego kogoś, a on ciebie.

–Ach tak? – zdziwił się Hob. Kręcąc głową, znów się odwrócił i zaprowadził gościa do kominka. Smużka dymu uniosła ich do komina i obaj zniknęli.

–Może zdołam przypadkiem zostawić Hilla – powiedział Jim do Angie. – Szczególnie jeśli Brian będzie rano gotowy do drogi i udamy, że odjeżdżamy w pośpiechu. Byłaby to dobra wymówka.

–Życzę szczęścia.

–Według Hilla, szczęście to moje drugie imię – odparł Jim, ale ten żart wcale nie rozbawił Angie.

Jim obudził się w środku nocy z gotowym rozwiązaniem problemu, nad którym się zastanawiał. Choć Brian pozornie szybko wracał do zdrowia, Jim wiedział, że przyjaciel stracił dużo krwi. Wprawdzie zagoił ranę, która spowodowała krwotok, lecz Brian wciąż miał za mało krwi, aby być całkiem zdrowym. Jim nie miał pojęcia, w jakim stopniu mogło to być groźne. Kiedyś Carolinus użył czarów, żeby przeprowadzić transfuzję. Jim rozmyślał o tym, jak to powtórzyć, a teraz, w środku nocy, zbudził się ze snu, w którym znalazł sposób. Leżał tak, półprzytomny, powoli uświadamiając sobie, że to, o czym śnił, powinno się udać:

jego własne serce działające jak miniaturowa pompa regulowana pulsem.

Starając się nie zbudzić Angie, wysliznął się z łóżka, rozchylił zasłony tylko tyle, żeby wyjść, ubrał się i po cichu zszedł po schodach.

Pod drzwiami Briana stał uzbrojony wartownik. Wprawdzie pełnił tylko honorową wartę, ale miał miecz, włócznię i hełm, jakby spodziewał się ataku.

Jim wyszedł zza załomu korytarza w tej samej chwili, gdy wartownik ziewnął. Zauważył Jima i zamknął usta, prężąc się i odpędzając senność.

–Spokojna noc, Bartholomew – rzekł Jim.

–Tak jest, milordzie – odparł zbrojny. – Sir Brian śpi spokojnie. Nie słyszałem żadnych dźwięków dobiegających z komnaty, oprócz jednego czy dwóch chrapnięć.

–Dobrze – mruknął Jim. – Zamierzam rzucić na niego okiem. Otwórz cicho drzwi i zamknij je za mną. Czy w środku jest jasno?

–Ogień wciąż się pali, milordzie – odparł wartownik.

–Upewnij się, że będzie płonął całą noc – polecił Jim. – A teraz otwórz drzwi.

Wszedł do komnaty i drzwi cicho zamknęły się za jego plecami. Dopiero po chwili wzrok Jima przyzwyczaił się do słabego światła padającego z kominka. Ujrzał spokojnie śpiącego na boku Briana, który wcale nie chrapał.

Jim cicho podszedł do niego. Przez moment stał tylko, spoglądając na przyjaciela. Być może było to złudzenie wywołane rdzawym blaskiem ognia, ale Brian wyglądał teraz znacznie lepiej – spokojny i odprężony. Jim delikatnie ujął nadgarstek Briana. Wprawdzie mógł go zbudzić tym dotknięciem, ale Brian zawsze miał mocny sen, z którego mógł go wyrwać tylko szcęk metalu uderzającego o metal, krzyki albo dźwięk werbli lub rogu, obojętnie jak odległy.

–Niech to licha... – wymamrotał Brian, nie otwierając oczu. Zachrapał i dalej spał jak zabity. Jim delikatnie wodził palcem po nadgarstku, aż znalazł puls, i nacisnął lekko, aby policzyć uderzenia.

Ponieważ w tym czternastym wieku nie dysponował zegarkiem, Jim nauczył się odmierzać czas w myślach. Po dwóch pomiarach oszacował puls Briana na średnio pięćdziesiąt dwa uderzenia na minutę. A więc wszystko w porządku. Serce Jima zawsze biło wolno, co było skutkiem uwarunkowań genetycznych lub wieloletniego uprawiania sportu. Sprawdził swój puls. W spoczynku, tak jak teraz, miał tętno pięćdziesiąt cztery. Po zaśnięciu zapewne spadało mu do około czterdziestu ośmiu, a nawet wolniejszego. W każdym razie ich serca biły w zbliżonym tempie.

Za pomocą tej samej techniki, którą stosował do magicznego napełniania pucharów winem, pobrał kroplę krwi z ciała Briana i umieścił ją na płaskim ostrzu noża. Potem umieścił obok kropelkę swojej krwi. Rozkazał im nie mieszać się, jeśli nie są z tej samej grupy, ale natychmiast się złąły. Jim nie wiedział, czy jest uniwersalnym dawcą czy po prostu ma tę samą grupę krwi co Brian, ale to nie było istotne. Mógł przetoczyć mu swoją krew.

Intensywnie wpatrywał się w Briana, koncentrując się na wizji, jaką tworzył w swoim umyśle. Kiedy obraz Briana w najdrobniejszych szczegółach wrył mu się w pamięć, wyobraził sobie, że napędzana pompą serca krew przechodzi przez czubek palca, którym dotykał przegubu Briana, i do naczynia krwionośnego. Płynie powoli, w miarowym tempie zgodnym z biciem jego serca.

W ten sposób na pewno nie wprowadzi życiodajnego płynu zbyt szybko do krwiobiegu Briana, a zarazem da mu co najmniej pół litra swojej krwi, co powinno wzmocnić go przed jutrzejszą podróżą. Jim liczył uderzenia swego serca, aż uznał, że już powinien zakończyć transfuzję.

Ruszył do drzwi, ale przystanął, słysząc za nimi stłumione głosy. Jeden z nich należał do wartownika, który miejscowym dialektem rozmawiał z innym zbrojnym.

–Przyniesłeś mi coś do picia, Nick?

–Ta. Mosz. Piweńko, Bart. Niczego innego nie było.

–Dzięki i za to. Zaschło mi w gardle, Nick – rzekł wartownik i dodał po krótkiej przerwie:

– Co nowego na dole?

–Rośnie i jest chętny. Nie bój się, Bart. Nie stracisz twego śrybra.

–Musimy wygrać. Jak nic. Wspomnisz moje słowa, Nick... Szepty przycichły i stały się niezrozumiałe. Jim poczuł nagły niepokój, wywołany dręczącymi go od niedawna wątpliwościami co do prawdziwych uczuć mieszkańców zamku. Paradoksalne, ale miał lekkie poczucie winy. Wprawdzie w tych czasach obowiązywały zupełnie inne zasady, ale wychowano go w przekonaniu, że nieładnie jest podsłuchiwać. Nagle poczuł się uwięziony w pokoju jak złodziej w budynku otoczonym przez policję. Wcale nie chciał przyłapać tych dwóch za drzwiami na łamaniu przepisów służby wartowniczej. A jednak tak powinien zrobić pan zamku.

Wyprostował ramiona, położył dłoń na klamce, otworzył drzwi, a potem prześliznął się przez nie i cicho zamknął za sobą. Chociaż poruszał się prawie bezszelestnie, tamci usłyszeli go, i kiedy znalazł się na korytarzu, zastał tylko Barta na posterunku. Zerknąwszy w głąb znikającego za ścianą korytarza, Jim nie dostrzegł nikogo. Natomiast zauważył skórzany bukłak ukryty między nogami Bartholomew a ścianą. Udał, że go nie widzi, i ruszył w kierunku schodów.

–Dobranoc, Bartholomew – powiedział.

–Dobranoc, milordzie – odparł wartownik.

Jim zaczął wchodzić po schodach, kolejny już raz zastanawiając się nad zwyczajami panującymi w różnych wiekach. Właściwie nie powinien mieć żadnych oporów przed podsłuchiowaniem tego, co mówiono za drzwiami – i żaden inny pan w tych czasach nie miałby ich. Jednak nawet po kilku spędzonych tu latach niepokoiły go takie drobne różnice przekonań. Pewnego dnia znajdzie czas, żeby to przemyśleć.

Powtarzał sobie, że każdy czternastowieczny rycerz i pan zamku na jego miejscu podsłuchałby tę tajemniczą rozmowę między wartownikiem a jego przyjacielem, ponieważ chciałby wiedzieć, o co im chodzi. W przeciwieństwie jednak do Jima nigdy nie słuchałby ich z powodu osobistego zainteresowania ich życiem.

Kim był „on”, o którym mówili? Czyżby sam Jim? Bzdura. Był starszy od nich obu. Wciąż rósł jednak i zmieniał się pod względem przystosowania do tych średniowiecznych czasów. Zapomnij o tym, powiedział sobie. Brian będzie jutro silniejszy i może nawet w dostatecznie dobrej formie, aby pojutrze ruszyć w drogę. Tylko to się liczyło.

Po cichu wrócił do słonecznego pokoju. Angie nadal spała. Ostrożnie wszedł do łóżka, zaciągając zasłony i wsuwając się pod kołdrę. Udało mu się nie zbudzić żony. W łóżku było ciepło i natychmiast ogarnęło go przyjemne uczucie dystansu do wszystkiego. Angie była

tutaj. Wszystkie zmartwienia odplynęły w dal i Jim zasnął.

Obudził go jej krzyk. Uniósłszy głowę, zobaczył, jak wychylała się przez jedno z okien, wołając rozkazująco do kogoś na dziedzińcu pod wieżą:

–I rozdzielcie ich! – krzyknęła ile sil w płucach. – Reszta niech wraca do pracy! Chyba macie, co robić, a może nie?

Zapadła krótka cisza, podczas której Jim próbował otrzeźwieć.

–Teraz lepiej! – zawołała Angie. Zamknęła okno i ruszyła z powrotem w kierunku łóżka. Siedząc na nim, Jim patrzył, jak rozchyliła zasłony po drugiej stronie i wróciła do niego.

–Och! Już nie śpisz. To dobrze – powiedziała. – Właśnie miałam cię zbudzić.

–I zbudziłaś – rzekł Jim, nadal półprzytomny i dostatecznie senny, aby słyszeć syreni śpiew pościeli i materaca.

–No cóż, czas żebyś się ubrał.

–Co tam się działo na dziedzińcu?

–Już po wszystkim. To May Heather i jej przyjaciel Tom – kuchcik. Znów się pobili.

–Znów?

–Nie mogę tego pojąć. Prosiłam zarówno kuchmistrzynie, jak i ochmistrzynie, aby dowiedziały się, dlaczego tych dwoje wciąż to robi – przecież są najlepszymi przyjaciółmi. Papużki nierozłączki. Jak bliźniaki. Tymczasem co jakiś czas o mało się nie pozabijają w wyniku kłótni o jakiś drobiazg. Oboje mają po trzynaście lat.

–Tom ma już trzynaście lat? – zdziwił się Jim. – A więc jest dość drobny jak na swój wiek.

–Nie w tych czasach. Pamiętaj, że to kwestia żywienia – odparła Angie. – Dzieci nie wyrastają tak duże jak w naszych czasach, z powodu niedoboru pożywienia w zimie oraz źle zbilansowanej diety przez resztę roku. Ponadto May Heather jest teraz w wieku, kiedy jest większa od niego. Wiesz, że w tym okresie dziewczęta rosną szybciej.

–Ach tak? – mruknął Jim. – Pewnie masz rację.

Teraz już zupełnie się przebudził i spostrzegł, że jest już jasno, sądząc po słonecznym blasku wpadającym przez okna. Zwykle, zgodnie ze średniowiecznymi zwyczajami, do których przywykli, obudziłby się o świcie.

–No cóż, już wstaję – rzekł, gramoląc się z łóżka. – Możesz zamówić śniadanie?

–Już to zrobiłam – powiedziała Angie. – O, już jest.

Drzwi bez pukania otworzyły się na oścież i trzy służące wniosły śniadanie, zaskakując Jima nie ubranego, gdyż razem z Angie przestrzegali średniowiecznego zwyczaju sypiania nago, przynajmniej w domu. Zupełnie nieporuszone jego nagością, zastawiły stół, dygnęły i wyszły.

–Chciałbym, żeby nauczyły się pukać – mruknął Jim.

–Daj spokój i jedz śniadanie – poradziła Angie. – Powinieneś się już do tego przyzwyczaić. Teraz włóż coś, usiądź i zjedz.

–To oni nami rządzą – narzekał Jim, pospiesznie się ubierając – a nie my mmi.

–No cóż – powiedziała Angie, rozprawiając się z jajkami na twardo i boczkiem. – Tacy już są i my ich nie zmienimy. Pospiesz się, zanim jedzenie wystygnie.

Jim dołączył do niej i śniadanie poprawiło mu humor. Ponadto zaczął się zastanawiać nad kilkoma sprawami, które chodziły mu po głowie od czasu prywatnej rozmowy z

Carolinusem. Posiłek był naprawdę bardzo smaczny i zanim Jim go skończył, podjął decyzję.

–Zamierzam coś sprawdzić – powiedział do Angie, odsuwając krzesło. – Zostań tutaj. Chcę wezwać Wydział Kontroli i zapytać o stan mojego konta.

–Ach tak? – powiedziała Angie. – Zawsze robisz to pod moją nieobecność. Nie uważasz, że tym razem mogłabym popatrzeć?

–Raczej posłuchać – powiedział Jim. Odszedł od stołu, spojrzął w przestrzeń i powiedział bardzo głośno: – Wydziale Kontroli!

–Tak, Jimie Eckercie? – mniej więcej metr nad ziemią i tuż przed Jimem natychmiast odpowiedział basowy głos wiecznie niewidzialnego, być może bezcielesnego, ale zawsze sprawnego funkcjonariusza.

–Chciałbym dodać na moje konto trzy razy tyle energii, ile zdobyłem przy wieży Loathly, jeśli łaska – rzekł Jim zdecydowanie i autorytatywnie.

–Żałuję, Jimie Eckercie – odparł Wydział Kontroli. – Ale dalsze przelewy na twoje konto nie są możliwe.

A więc Carolinus miał rację – A to dobre! – rzekł Jim. – To może przynajmniej powiesz mi, ile mi jeszcze zostało?

–Przykro mi, Jimie Eckercie.

–Czy tego też nie możesz zrobić?

–Nie można tego zdradzić nikomu, kto jest jeszcze praktykantem.

Jim westchnął w duchu. Carolinus ostrzegał go, że nie ma sensu pytać. Jednak zawsze warto spróbować.

–No tak, właśnie wyruszam w podróż i nawet nie mogę się dowiedzieć, ile zostało mi magii. Nawet jeśli jestem tylko magiem klasy C+ – rzekł Jim – to wydaje mi się, że powinniście mi powiedzieć, chociaż w przybliżeniu, ile magicznej energii mam na moim koncie.

Zapadła krótka cisza. Gdyby nie chodziło o Wydział Kontroli, Jim byłby przekonany, że rozmówca się namyśla. Jednak po chwili usłyszał głos:

–W przybliżeniu – oznajmił Wydział Kontroli – masz na koncie równowartość trzech pełnych zasobów maga klasy B+. Jednak po ich zużyciu nie otrzymasz nowego limitu.

–Dziękuję – powiedział Jim.

Wydział Kontroli nie odpowiedział. Widocznie już się wyłączył, jak zawsze natychmiast. Siedząca za stołem Angie miała smutną minę.

–Czy to wystarczy? – zapytała.

–W tym rzecz, że nie mam pojęcia – odparł Jim. – Trudno powiedzieć. Nie wiem nawet, ile wynosi pełne konto maga klasy B+. Powinno jej wystarczyć na wiele zwykłych czynności, ale jeśli zamierzam w magiczny sposób przenieść Briana i Dafydd, a także wierzchowce dla nas trzech i jucznego konia, ten zapas może się szybko wyczerpać.

–Musicie brać aż tyle? – spytała Angie. – Mówię o koniach i w ogóle. – Wstała i obeszła stół, podchodząc do Jima.

–A jeśli nagle skończy mi się magia, co zrobimy z transportem, nie mówiąc już o ciężkich zbrojach, broni oraz innym wyposażeniu?

–Och! – powiedziała Angie, ale zaraz uśmiechnęła się do niego. – Wszystko będzie

dobrze. Mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze.

–Mam nadzieję – rzekł Jim, powoli wstając od stołu, ale i on poweselał. – Dzięki Bogu, że mam ciebie!

Objęli się.

–A teraz – rzekł Jim, kiedy uwolnili się z objęć – chodźmy zobaczyć, czy Brian będzie mógł jutro ruszyć w drogę.

Brian był całkowicie przekonany, że może jechać – nie tylko nazajutrz, ale już dziś. Co więcej, odruchowo objął dowodzenie i zaczął wydawać rozkazy, aby niezwłocznie siodłać konie i pakować juki. Jim będzie musiał pożyczyć mu kilka rzeczy. Co się stało z tym hełmem i zbroją, które miał na sobie w Cumberlandzie, kiedy został ranny? Co z jego orężem? I potrzeba mu kilka zmian bielizny...

–Wszystko jest już przygotowane – rzekł Jim.

–Och! – zafrasował się Brian. – Ty też musisz zabrać te rzeczy, bo będą ci potrzebne.

–Zamierzałem wziąć tylko jednego jucznego konia.

–Sądzę, że możemy wszystko załadować na jedno zwierzę, nie przeciążając go – rzekł z lekkim zniecierpliwieniem Brian. – Pojedziemy w zbrojach.

–Wiem – przytaknął Jim. – Myślę, że jeden juczny koń wystarczy. Schował gęsie pióro do futerału, który wcześniej przypiął sobie do kubraka, i zwinął rulon szarego papieru.

–Czy musisz wszystko zapisywać? – spytał Brian, który ledwie umiał się podpisać.

Natychmiast poprawił się z rozbajającym uśmiechem: – Racz mi wybaczyć, Jamesie. Jestem nieuprzejmy. To dlatego że jak najszybciej chcę wsiąść na konia.

–W porządku, Brianie – rzekł Jim. – Zapisując wszystko, mam pewność, że o niczym nie zapomnę.

–Przecież podałem ci tak krótką listę potrzebnych nam rzeczy! – zawołał Brian z niewinnością człowieka, który od dziecka ćwiczył zapamiętywanie co do słowa tego, co usłyszał, a by w razie potrzeby móc powtórzyć to kilka dni później.

–My, magowie, tacy już jesteśmy – stwierdził Jim. – Przyślę na górę kilku służących, żeby pomogli ci się przygotować do drogi. Jadłeś już śniadanie?

–Kilka godzin temu – odparł Brian.

Smugi światła wpadały przez strzelnicę w ścianie komnaty Briana pod tym samym kątem, co przez okna słonecznego pokoju, tak więc słońce dopiero od godziny stało na niebie. Jednak Jim wiedział, że Brian prawdopodobnie wstał i zjadł śniadanie dwie godziny przed świtem.

–No cóż, a zatem wkrótce spotkamy się na dole – stwierdził Jim i odszedł.

Zszedł do wielkiej sali, zamierzając zapytać o Dafydd. Znalazł go przy stole, samego i jak zwykle zajętego struganiem strzał, które starannie wygladzał i wyważał.

–Dzień dobry, Dafyddzie – powitał go Jim, siadając naprzeciw niego przy stole.

–Dzień dobry, sir Jamesie – odparł Dafydd. Pochylił się nad białym obrusem i zniżył głos do szeptu, nie odrywając się od pracy. – Wiesz co, James. Zastanawiałem się nad tym i jest kilka rzeczy, które muszę powiedzieć ci o Liones. Byłoby wspaniale, gdyby dobry Carolinus pojawił się ponownie i porozmawiał z nami, ale nie możemy na to liczyć. Chciałem ci o tym powiedzieć od razu, gdy tylko ujrzałem cię dziś rano, ale później uznałem, że lepiej z tym poczekać, aż znajdziemy się daleko od zamku.

Jim także zniżył głos.

–Jeżeli uważasz, że to naprawdę ważne, Dafyddzie – rzekł – to lepiej porozmawiajmy o tym tu i teraz, tylko ty i ja. Później będzie z nami nie tylko Brian, ale i Rrrnlf, który ma tak dobry słuch, że usłyszy nas, choćbyśmy mówili jak najciszej. Zakładam, że to jakaś tajemnica?

–Istotnie – mruknął Dafydd. – Możemy tu mówić bez obawy, że ktoś nas podsłucha?

–Tak – odrzekł Jim. – Zaraz się tym zajmę. – Podniósł głos. – Johnie Stewardzie!

Zaczekał. Dafydd też. Jednak John Steward się nie pojawił. Po krótkiej chwili z gotowalni wyszła May Heather.

–Słucham, milordzie – powiedziała. Twarz miała lekko spuchniętą po lewej stronie i podrapany nos, lecz poza tym była jak zawsze wesoła i energiczna. – Ochmistrzyni wyszła na chwilę i w gotowalni nie ma nikogo oprócz mnie. Czym mogę służyć, milordzie?

–Hmm, na chwilę przejmiesz obowiązki majordomusa – rzekł Jim i mógłby przysiąc, że na te słowa May Heather urosła o trzy centymetry.

–To dla mnie zaszczyt, milordzie.

–Powiedz wszystkim na zamku, oprócz sir Briana i milady, że omawiam ważną sprawę z Dafyddem ap Hywelem. Nie chcę, aby któryś z nich ogłuchł lub oślepl, więc powiedz wszystkim, że rzuciłem czar na wielką salę, i mają trzymać się od niej z daleka. Mam nadzieję, że dopilnujesz, by nikt się tu nie zbliżał, i sama też będziesz uważać.

May Heather przełknęła ślinę.

–Tak, milordzie, powiem wszystkim. Zrobię tak, jak kazałeś.

–Kiedy będziecie mogli wrócić – rzekł Jim – pójdę do gotowalni i uderzę ręką w sztyletu w jeden z wielkich garnków lub patelni. Kiedy usłyszycie ten dźwięk, będziecie mogli bezpiecznie tu wrócić.

–Tak, milordzie. Zaraz pójdę i upewnię się, że wszyscy trzymają się z daleka od wielkiej sali!

May Heather odwróciła się i wybiegła do gotowalni, natychmiast znikając w głębi korytarza po drugiej stronie wielkiej sali. Jim odprowadził ją spojrzeniem, dał czas na przebiegnięcie korytarza i wypędzenie wszystkich, po czym znów spojrzał na wysokiego łucznika.

–A teraz, Dafyddzie – powiedział ściszym głosem, ale nie tak cicho jak przed nadejściem May. – Co chciałeś mi powiedzieć?

–Chodzi o niebezpieczeństwo, jakie może nam grozić – rzekł Dafydd. – Gdyż, jak wiemy wszyscy z Dawnej Krwi, każdy, kto wkroczy do Liones, jak ostrzega nas Carolinus, ryzykuje, że nigdy nie zdoła powrócić na stały ląd.

Rozdział 17

Jim wytrzeszczył oczy.

–Widzisz, dlaczego nie chciałem wspomnieć o tym głośno – powiedział cicho Dafydd. – Nasze żony i tak niechętnie patrzą na tę podróż. Gdyby uznały, iż nasz powrót nie zależy od naszych umiejętności i szczęścia, a nawet bożej łaski, lecz od czystego przypadku, zapewne zareagowałyby jeszcze silniej.

Jim skinął głową.

–Masz rację – rzekł równie cicho jak Dafydd. – Chcesz powiedzieć, iż to tylko kwestia

czystego przypadku, którego nic nie zdoła kontrolować?

–O ile wiem, tak – odparł Dafydd. – Właśnie dlatego chciałem o tym pomówić z dala od zamku. Ci z nas, którzy wyruszają na tę wyprawę, powinni wiedzieć, czym ryzykują. Może Carolinus zna sposób, aby tego uniknąć, ale nie wyjawiał go nam, a ja wiem tylko to, czego dowiedziałem się w dzieciństwie. Chociaż ludzie, którzy mi o nim opowiadali, również nie byli w Liones, ta historia jest znana od wielu lat i ludzie pamiętają imiona tych, co nie wrócili.

–Przecież mógł im się zdarzyć jakiś wypadek?

Nawet jeśli Dafydd twierdził, iż jest to tylko stara opowieść zrodzona przez czyjąś wyobraźnię, mogła ona narobić sporego zamieszania w czternastowiecznych umysłach Dafydda i Briana. Ponadto Jim był głęboko przekonany, że słowo „zamieszanie” w najmniejszym stopniu nie oddaje skutku, jaki wywarłaby na czternastowieczne umysły Geronde i Danielle.

Skoro już o tym mowa, Angie również byłaby zaniepokojona. Zapewne nie z przesadnego lęku, ale na wieść o jakimś nie znanym niebezpieczeństwie, jakie tam na niego czyha.

–Musisz wiedzieć o tym coś więcej, Dafyddzie – rzekł. – Kto nie pozwoli nam stamtąd powrócić?

–Nic więcej nie wiem – odparł Dafydd. – Wiem jednak, że to prawda. Opowieść o pozostawionym towarzyszu powtarzało zbyt wielu ludzi przez zbyt wiele wieków. My z Dawnej Krwi pod Wodami niechętnie wchodzimy do Liones.

Jim spojrzał na niego, lecz Dafydd nie zmienił wyrazu twarzy.

–To, co mi powiedziałaś – mruknął Jim – na niewiele się przyda. Nawet nie mam pojęcia, przed czym miałyby chronić nas moja magia.

–Co do twojej magii – dodał Dafydd – to powiedziano mi, że będzie działać w zatopionej krainie na mój lud, gdyż składa się on z mężczyzn i kobiet. Jednak opowieść głosi, iż ludzkie czary nie mają mocy w Liones, gdyż mieszkańcy tej ziemi wydają się ludzcy, lecz wcale tacy nie są. To inne królestwo.

Jim powoli pokiwał głową.

–Wierzę ci – powiedział. – I nie mam pojęcia, jak nas ochronić.

–Mnie też nic nie przychodzi do głowy i wcale nie oczekiwałem tego od ciebie – powiedział Dafydd. – Musiałem ci o tym powiedzieć, tak jak powiem Brianowi, który jedzie z nami. – Zamilkł i spojrzał na Jima. – Jest jeszcze coś.

–O czym chcesz mi powiedzieć, Dafyddzie?

–Krążą plotki o odmieńcach. Dzieciach, które porwały duchy, a na ich miejsce podrzuciły inne. W kołysce Roberta nie było innego dziecka, a ja nigdy nie słyszałem o takim wypadku ani nie widziałem niczego takiego jak duch. – Spojrzał poważnie na Jima, który ze zrozumieniem pokiwał głową. – Może jednak one istnieją – ciągnął Dafydd – i z jakiegoś powodu nie podrzuciły odmieńca do kołyski Roberta. Niektórzy przysięgają, iż mają niezbite dowody na istnienie takich stworzeń. Nie mam pojęcia, czym one miałyby być ani dlaczego miałyby robić coś takiego. Powtarzam tylko to, co mi mówiono, że ci, którzy to robią są potężni i źli.

–Hm – mruknął Jim. W jego umyśle rodziły się liczne pytania, których jeszcze nie potrafił sformułować. Wciąż zastanawiał się, czy zadać je Dafyddowi, kiedy łucznik zaczął mówić

dalej.

–Druga sprawa, o której chciałem ci powiedzieć – rzekł – to że dziś wczesnym rankiem, zanim zszedłeś do wielkiej sali, jakiś mężczyzna w płaszczu narzuconym na kolczugę i ciemnozielonym kapeluszu z piórkiem podjechał z trzema zbrojnymi do bramy zamku. Wszyscy czterej nosili herb podobny do królewskiego – ale nie był to znak króla. Zbrojni mieli na głowach hełmy, u boków miecze i jeździli konno prawie równie dobrze jak ten szlachcic w płaszczu. – Zamilkł i napił się, a Jim zrobił to samo, potem Dafydd mówił dalej. – Zostali okrzyknięci przez straż, ale powiedzieli, że mają dla ciebie wiadomość i chcą się z tobą widzieć. Kiedy im odmówiono, zostawili wiadomość lady Angeli i odjechali na wschód. Ponieważ nie wspomniałeś o tym, pomyślałem, że sam to zrobię.

Jim spoglądał na niego ze zdziwieniem.

–Nic o tym nie wiedziałem! – powiedział. A potem uświadomiwszy sobie, że zabrzmiało to tak, jakby Angie uczyniła coś niewłaściwego, pospiesznie dodał: – Jestem jednak pewny, że powiedziałyby mi, gdyby to było coś ważnego. Może lepiej pójdę ją o to zapytać... – Urwał.

Gdzieś na dziedzińcu przed frontowymi drzwiami wielkiej sali usłyszał podniesiony głos. Gniewny i znajomy. Głos Briana. Nie dało się zrozumieć, co mówił. Jim nie chciał, aby Brian tak wcześnie podniósł się z łóżka, a ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, to by ktoś z mieszkańców zamku zdenerwował rycerza.

–Chyba najpierw pójdę sprawdzić, co zirytowało Briana – powiedział, wstając od stołu.

Dafydd już to zrobił, zarzucając na jedno ramię łuk, a na drugie kołczan ze strzałami.

Kiedy podchodzili do drzwi, głos Briana brzmiał głośniejszy i bardziej zrozumiały. Wyszli na zewnątrz i ujrzeni go przy wejściu do stajni, obok Blancharda i koniuszego, który z przepaszającą miną miał w dłoniach kapelusz. Stajenni stali nieco dalej – w sporej odległości od koniuszego – a zamkowy kowal właśnie do nich podbiegał.

–Jamesie! – wykrzyknął Brian, gdy Jim z Dafyddem podeszli do niego. Nie tylko był już na nogach, ale wyglądał tak, jakby nie miał powodu, by leżeć w łóżku. – To niebywałe! Blanchard o mało nie zgubił podkowy, a nikt nie kiwnął palcem, dopóki nie wyprowadziłem go z boksu!

–Błagam o wybaczenie, milordzie – powiedział koniuszy, z ulgą zwracając się do Jima. – Ten wielki ogier tak rzucał się na stajennych – do czego miał, oczywiście, prawo – że żaden z chłopców nie śmiał wejść do boksu, więc tylko karmili go przez ściankę sąsiedniego stanowiska. Dzisiaj sam bym go wyprowadził, ale inne sprawy...

–Nie powinno być żadnych innych spraw! – zagrzemiał Brian. – Blanchard powinien być waszą pierwszą i jedyną sprawą, skoro tu jest, najznamienitszy ze wszystkich koni... – Urwał, ze zmieszaniem zerkając na Jima. – Nie licząc zacnego wierzchowca waszej lordowskiej mości, rzecz jasna! – dodał głośno. – Podkova musiała się obluzować podczas potyczki w Cumberlandzie, a teraz trzeba ją natychmiast przybić. Natychmiast!

–To na nic, milordzie – mruknął kowal, który pochylił się i trzymał między kolanami przednią nogę rumaka, skrobiąc kopyto nożem. – Ma pęknięte kopyto, oto co się stało. Nie jest to duże pęknięcie, sir Brianie. Zaraz je oczyszczę, ale muszę to robić ostrożnie, żebym nie wyrządził mu krzywdy. Pewnych spraw nie można przyspieszyć, szlachetni panowie. Dopóki nie zestrugam kopyta nożem, nie można przybić podkowy.

–Święci, cierpliwości! – jęknął Brian, ale odwrócił się od Blancharda, który spokojnie stał na trzech nogach, gdy kowal mozolił się nad czwartą. – Och, zdaje się, że przybył do ciebie posłaniec, Jamesie.

–Tak słyszałem – odparł Jim. – Kto odebrał wiadomość?

–Lady Angela. Jest chyba w słonecznym pokoju – powiedział Brian i zniżył głos. – To pisemna wiadomość, Jamesie!

–Rozumiem – powiedział Jim. – Lepiej pójdę tam od razu. Brianie, czy nie powinieneś usiąść w wielkiej sali i oszczędzać siły na podróż?

–Jeśli w ogóle będzie jakaś podróż – rzekł ponuro Brian. – Jeżeli wyruszymy przed wschodem słońca.

Jim zerknął na słońce. Minęły dopiero trzy godziny długiego letniego dnia.

–No cóż, pójdę na górę – rzekł. – Za chwilę wrócę. Brianie, niczego nie przyspieszysz. Idź do wielkiej sali, siądź za stołem, napij się wina, a zaraz poczujesz się lepiej.

–Mogę już pić wino? – rozpromienił się Brian.

–Możesz – przytaknął Jim. – Tylko nie za dużo! W nocy, kiedy spałeś, w magiczny sposób dałem ci trochę krwi, ale nadal nie masz jej tyle, ile powinieneś.

–Niechaj święty Brian, mój patron, zawsze ma cię w opiece! – zawołał rycerz i ruszył w kierunku zamku.

Dafydd poszedł z nim, a Jim pospieszył przed nimi przez wielką salę i gotowalnię – gdzie w porę przypomniał sobie, by przystanąć i kilkakrotnie uderzyć w kocioł – po schodach, bardzo długich i krętych, aż zasapany stanął przed drzwiami słonecznego pokoju. Przez moment opierał się o nie, łapiąc oddech, a potem wszedł. Angie siedziała przy stole, trzymając łokcie na blacie, a brodę na dłoni i w zadumie spoglądając przez okno.

–Angie, odebrałaś jakąś wiadomość? – spytał Jim, opadając na krzesło naprzeciw niej. Oderwała wzrok od okna.

–Tak, mój drogi. – Podsunęła mu kilka kawałków pergaminu. – Może spróbujesz ją przeczytać?

Rozdział 18

Jim chwycił pergamin, który okazał się jedną dużą kartką złożoną w harmonijkę. Na jej środku widniał jeden akapit, niewielki w stosunku do rozmiarów kartki. Na dole widniała pieczęć odcisnięta w czerwonym wosku.

Jim spojrzał na nią. Słabo wyznawał się na herbach, lecz ten zawierał symbol królewskiej rodziny – stojącego lwa (w koronie) oraz fleurs-de-lys, które Edward dodał do swego herbu, kiedy zaczął zgłaszać pretensje do tronu Francji, więc łatwo było go rozpoznać.

Jednakże z pewnością nie była to wielka pieczęć, używana w ważnych i historycznych chwilach, ani nawet mniejsza, do celów urzędowych. Mimo wszystko nie było żadnej wątpliwości, że to herb członka królewskiego rodu.

Jim spróbował odczytać wiadomość. Litery z licznymi ozdobnikami i zawijasami, kreślone zgodnie ze zwyczajem owych czasów, były trudne od rozszyfrowania, szczególnie w pismach po łacinie. To jednak sporządzono po angielsku i przez kogoś, kto umiał pisać, chociaż niezbyt dobrze. Jak na te czasy było to jeszcze całkiem znośne pismo, lecz gdy spróbował rozróżnić słowa, litery zlewały mu się w niezrozumiały ciąg.

–Angie – powiedział, oddając jej list. – Możesz to przeczytać?

–Już to zrobiłam – odparła. Wzięła od niego papier i przeczytała na głos.

Do naszego wiernego i oddanego przyjaciela, sir Jamesa de Smok de Malencontri, z wyrazami szczerzej i dozgonnej wdzięczności, sir Jamesie, oraz życzeniami wszelakiego szczęścia. Moje mnie opuściło. Na miłość, jaką mnie darzysz, przybądź niezwłocznie do mnie do Windsoru, abyśmy razem mogli powstrzymać zakusy tej niegodziwej kobiety, Agathy Falon, która nieustannie mi zagraża, a przed którą ty jeden możesz mnie obronić. Jeśli mnie miłujesz, zbierz twych najlepszych przyjaciół i przybądź niezwłocznie.

Angie skończyła czytać. Jim popatrzył na nią.

–To wszystko? – zapytał. – Wydawało mi się, że napisał znacznie więcej.

–Bo tak jest – odparła. – Cały czas chodzi o to samo. Powtarza to w kółko.

Położyła pergamin dokładnie na środku stołu i spojrzała Jimowi w oczy.

–Czy posłaniec miał coś do powiedzenia?

–Nie – odrzekła. – Poinformowałam go, że już wyjechałeś przed świtem z jednym jucznym koniem. Powiedziałam, że nie wiem dokąd. Nie wspomniałam o Robercie ani niczym innym.

–A więc nie dałaś mu żadnej odpowiedzi?

–Przecież wiesz, że ksiązę uznałby list ode mnie za wścibstwo – nieuzasadnione wtrącanie się w jego prywatne sprawy. Ponadto nie chciałam zostawiać żadnego śladu na papierze, w razie gdybyś jednak chciał pojechać za nimi i powiedzieć, że pomyliłam się albo coś takiego.

–Nie chcę – rzekł Jim. – Oczywiście dobrze zrobiłaś. Teraz nie mogę mu pomóc. Najpierw musimy odnaleźć Roberta.

Angie odetchnęła.

–Wiedziałaś, że tak powiesz! Jednak chciałam to usłyszeć. Myślisz, że ta historia z księciem oznacza dla nas nowe kłopoty?

–Skąd mogę wiedzieć? – odparł ponuro Jim. – Nie wiem nawet, co go tak zdenerwowało. Czy sądzisz, że posłaniec uwierzył w to, co mu powiedziałaś?

–A dlaczego nie? – zdziwiła się Angie. – Nie sądzę, aby wiedział, co było w liście. To był jeden z ludzi księcia – nie prawdziwy królewski herold. Sam mi to powiedział. Mówił, że oczekiwał, iż pojedziesz z nim do Windsoru. Najwidoczniej ksiązę nie przebywa na dworze. Jednak nie ma niczego niezwykłego w tym, że ktoś, kto mieszka w głębi kraju, tak jak my, jest nieobecny w domu, kiedy przybywa herold. Ponadto Geronde i Danielle były ze mną w wielkiej sali, kiedy otworzyłam i czytałam ten list. – Zachichotała, co rzadko się jej zdarzało. – Były pod wrażeniem – wyznała.

–Dlaczego?

–Ponieważ miałam czelność otworzyć królewski list zaadresowany do ciebie, ale bardziej dlatego, że przeczytałam go bez trudu.

–Nie powiedziałaś im, co zawiera?

–Oczywiście, że nie – odrzekła. – Pomimo to poparły mnie, gdy oznajmiłam posłańcowi, że cię nie ma.

–To ładnie z ich strony – zauważył Jim.

–Przecież wiesz, że nie mogły postąpić inaczej.

To prawda, pomyślał. W tym momencie Geronde i Danielle mogą trochę się boczyć na niego i Angie, ale nawet pominąwszy łączącą ich przyjaźń, w tych czasach instynkt nakazuje każdemu popierać to, co mówi się obcym. Chyba że trzeba byłoby przysięgać, co naraziłoby ich dusze na potępienie.

–Mimo wszystko – rzekł Jim pod wpływem nowej myśli – dziwię się, że posłaniec nie spytał, dokąd pojechałem, i nie próbował mnie dogonić.

–Powiedziałam, że wyjechałeś, kiedy jeszcze spałam, o czym i dowiedziałam się od służby.

–Doskonale się spisałaś – rzekł Jim, spoglądając na nią z wdzięcznością. – Chciałem ci powiedzieć, że Brian czuje się znacznie lepiej. W nocy udało mi się przetoczyć mu trochę krwi i teraz mówi, że chce jak najszybciej ruszyć w drogę.

–Zaniesie was Rrrnlf?

–Tak – odparł Jim. – Pamiętasz, nie wolno mu wejść do zatopionej krainy, ale może przenieść nas w jej pobliże szybciej, niż dotarlibyśmy tam w jakikolwiek inny sposób.

–A więc zaraz ruszacie? – spytała Angie. Jim kiwnął głową.

–Zatem lepiej pożegnajmy się teraz. Na dziedzińcu będzie pełno ludzi, a nie chcemy tylu widzów.

–Masz rację.

Na dziedzińcu istotnie było sporo osób, kiedy zeszli tam kilka chwil później. Był tam każdy sługa, który miał do tego choćby najmniejszy pretekst.

Pozostałe dwie pary również tam były. Danielle stała tuż przy Dafyddzie i mówiła mu coś pośpiesznie, zbyt cicho, by można ją było usłyszeć. Dafydd był spokojny i obojętny jak zawsze. Na jednym ramieniu miał łuk, a na drugim kołczan ze strzałami.

Geronde i Brian również stali blisko siebie, ale nic nie mówili – tylko w milczeniu spoglądali sobie w oczy, skrępowani wysokim urodzeniem, które nie pozwalało okazywać uczuć w obecności pospólstwa, nawet jeśli Brian wyruszał na niebezpieczną wyprawę, z której mógł nie wrócić.

Gorp, Blanchard i wierzchowiec Dafydda również już tam stały z założonymi uzdami i siodłami, przy których sterczały przymocowane miecze i długie włócznie. Stajenni trzymali rumaki za uzdy, ale w sporej odległości od siebie. Nikt nie przytrzymał czwartego konia, który najwidoczniej już od pewnego czasu stał obładowany i nakryty grubym pledem z nieczesanej wełny, pełniącym funkcję plandeki. Miał zrezygnowany wyraz pyska.

Rrrnlf nadal spał.

–Szpilką? – spytała Angie Jima, pokazując mu ten przyrząd i spoglądając na wielki paluch Rrrnlfa, sterczący z sandała na jego prawej nodze, więc łatwo dostępny.

Jim skrzywił się.

–Nie – mruknął. – Po namyśle dochodzę do wniosku, że odżaluję trochę magii i sam go zbudzę. – Wskazał ręką na Rrrnlfa. – Zbudź się!

–Co?! Gdzie?! – ryknął Rrrnlf, gwałtownie siadając. Powiedział coś bardzo głośno prawdopodobnie po staroangielsku.

–Nie, Rrrnlfie – przypomniał mu Jim. – To czternasty wiek!

–No tak, zgadza się – przyznał Rrrnlf. – To ty, mały magu. – Rozejrzał się wokół. – I widzę tu wszystkich pozostałych małych, włącznie ze zwierzętami, na których jeździcie.

–No właśnie i chciałbym, żebyś je również zabrał – powiedział Jim. – Najpierw jednak będę musiał użyć magii, aby stworzyć wokół nas niewidzialny mur, żebyś mógł mocno nas trzymać i nie zmiażdżyć. Myślę, że nas trzech i konie to za dużo, by się zmieścić w jednej twojej dłoni, a pewnie nie chciałbyś podróżować, mając obie ręce zajęte...

Jim urwał. Blanchard, który zamarł z przerażenia na widok nagle wyrastającego przed nim Rrrnlfa, teraz postanowił dać wyraz swoim uczuciom. Rżąc, stając dęba, wywracając ślepiami i tocząc pianę z pyska, szarpał trzymane przez stajennego wodze. Kilku stajennych z koniuszym już biegło na pomoc wystraszonemu chłopcu, ale sytuację uratował Brian, który złapał wodze i zaczął uspokajać wierzchowca. Zakrył mu oczy ramieniem, chwilowo zasłaniając Rrrnlfa, a zniknięcie tej straszliwej postaci oraz głos Briana – jedyny, na który reagował rumak – szepczący łagodne i czułe słowa do ucha, szybko uspokoiły Blancharda.

Gorp lekko podrzucał łbem, jakby również chciał dać taki popis, ale brakowało mu doświadczenia, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, przestał. Juczny koń spoglądał na oba rumaki z wyraźnym i głębokim niesmakiem.

–No dobrze – rzekł Jim, kiedy znów zapanował spokój i Blanchard zdołał spojrzeć na Rrrnlfa, nie wpadając w szal. – Podprowadźcie tutaj konie, łbami do mnie, ale tak, żeby się nie pogryzły... Dobrze.

Istotnie było dobrze, chociaż żaden ze stajennych nie chciał za bardzo się zbliżyć do rumaków. Brian zrobił to stanowczo i pewnie. Na dziedzińcu zapanował spokój i wierzchowce nie zamierzały go już zakłócać.

–W porządku – powiedział Jim. – Teraz otoczę każdego konia zaklęciem, a potem rzucę jeden większy czar, tak aby były chronione wszystkie i każdy z osobna. Brianie, lepiej odsuń się na moment od Blancharda... Czy będzie stał spokojnie, kiedy puścisz wodze?

–Stój! – rozkazał Brian, puszczając wodze. Cofnął się, okazując szacunek wobec magii.

–Doskonale – rzekł Jim. – Teraz niech stajenni puszczą Gorpa oraz pozostałe konie i też się cofną. Dobrze. Już.

–Jeszcze chwilkę, Jamesie – powiedział Brian. – Zamierzasz zostawić twojego skrzata i tego, jak mu tam, przy koniach? A może pojedą z nami?

–Przecież ich tu nie ma – zdziwił się Jim.

–Ależ są! – odparł Brian. – Pod plandeką na jucznym koniu, razem z resztą bagażu. Myślałem, że tak chciałeś, z siebie tylko znanych powodów.

–Na pewno nie! – warknął Jim, spoglądając na juczne zwierzę. – Pod plandeką? Hobie! Przykrycie lekko się poruszyło.

–Chodź no tu, Hobie! I przyprowadź ze sobą tego jak mu tam. Malec i Hob wyśliznęli się spod plandeki, ale nie zeskoczyli na ziemię, tylko pozostali na grzbiecie jucznego konia, który stał nieruchomo jak głaz.

–Hobie – powiedział Jim, z trudem zachowując spokój. – Jak to się stało, że jesteś tutaj, i co robi z tobą ten naturalny?

Hob stanął na jednej nodze.

–On – wymamrotał Hob, zerkając na malca po prawej – powiedział, że sam schowa się pod plandeką. – W głosie Hoba wyraźnie słyhać było zazdrość. – Tak więc zabrałem go tutaj na smudze dymu, w ten sposób koniowi jest lekko, a on to lubi. Poza tym gdyby on pojechał, a ja nie, to jak mógłbyś z nim rozmawiać?

–Wcale nie zamierzałem z nim rozmawiać – rzekł Jim, usiłując zrozumieć coś z wyjaśnień Hoba. – Ponieważ w ogóle nie powinno go tu być. Przyszedł bez pozwolenia. Ty...! Jak on ma na imię, Hobie?

–Mówi, że nazywa się Hill – odparł Hob.

–Hill? – powtórzył Jim, wciąż starając się zachować spokój i rozsądek. – Hill, nic przeciwko tobie nie mam, ale musicie pozostać tu z Hobem. Nie chcę zabierać was ze sobą.

Malec spoglądał na Jima, nie zmieniając wyrazu twarzy, ale Jim nagle poczuł się dziwnie nieswojo. To nieruchome spojrzenie miało w sobie coś oskarżycielskiego.

–Och! – zawołał Hob. – On płacze!

Hob wyciągnął ramiona i chwycił Hilla za rękę, ale Hill nie zwracał na niego uwagi, tylko gapił się na Jima.

Jim też mu się przyglądał. Ta nieruchoma twarz o pustym dzieciennym spojrzeniu i rozchylonych ustach, na którą patrzył, wcale się nie zmieniła. W niebieskich oczach nie dostrzegł łez.

–Płacze? – powtórzył Jim. – On wcale nie płacze. Dlaczego miałby płakać, Hobie?

–Płacze w środku i mówi, że to dlatego, bo jesteś jego szczęściem! – odparł Hob. Dotknął dłoni malca, który nadal nie zwracał na niego uwagi. – W porządku, Hill. Będę z tobą. Może chcesz przejechać się na smużce dymu?

Hill nie odpowiedział.

Jim poczuł się dziwnie nieswojo. W swoim dawnym świecie zignorowałby całą tę gadaninę o szczęściu i Hillu, który musi być przy nim. Natomiast tutaj nauczył się zwracać uwagę na rzeczy dziwne i tajemnicze, a wbrew zdrowemu rozsądkowi miał przeczucie, że postąpiłby źle, każąc małemu naturalnemu pozostać w Malencontri.

–No dobrze! – rzucił gniewnie. – Obaj możecie jechać. Tylko niech żaden z was nie płacze się nam pod nogami!

–Hurra! – zawołał Hob.

Hill już mościł się z powrotem pod plandeką na końskim grzbiecie. Hob poszedł w jego ślady.

–No dobrze, a więc ruszamy – powiedział Jim.

Najpierw wycelował wskazujący palec w Gorpa, potem w jucznego konia, który stał między ogierami, później w Blancharda, a na końcu w wierzchowca Dafyddda. Poruszył palcem tam i z powrotem, wodząc od jednego rumaka do drugiego.

–Już – oznajmił – - To wystarczy.

Gorp poruszył się niespokojnie, uderzył nosem o niewidzialną ścianę między nim a jucznym koniem, po czym zastygł, zaskoczony. Blanchard nadal był posłuszny rozkazowi Briana i stał z luźno puszczonej wodzami.

–A teraz, Brianie i Dafyddzie – poprosił Jim – bądźcie łaskawi podejść tutaj i stanąć przed końmi. Zaraz do was dołączę.

Obaj natychmiast podeszli do niego, trochę sztywno, jak pacjenci, którym dentysta właśnie oznajmił, że jest gotowy ich przyjąć.

Gdy tylko znaleźli się we wskazanym miejscu, Jim zrobił dwa kroki, odwrócił się i stanął obok nich. Przymknął oczy, tworząc w myślach obraz, i w następnej chwili ta część jego

umysłu, która wyczuwała działanie magii, podpowiedziała mu, że zaklęcia chronią zarówno jego, jak i pozostałych dwóch mężczyzn oraz ich konie.

–Myślę, że jesteśmy gotowi... – zaczął i urwał. – Nie, chwileczkę. Rrrnlfie, zechcesz się pochylić i położyć otwartą dłoń na ziemi, żebym mógł sprawdzić, czy się w niej zmieścimy?

Rrrnlf zrobił to. Nie ulegało wątpliwości, że mógł ująć ich swoją potężną dłońią ale niezbyt pewnym chwytem.

–Sądzę, że zmniejszę nas o połowę. Brianie, Dafyddzie, przypomnijcie mi, żebym przywrócił nam naturalne rozmiary, kiedy już dotrzemy do celu.

–Niewątpliwie – odrzekł Dafydd, zanim Brian zdołał cokolwiek wykrztusić.

Zajął mu to tylko chwilkę i Jim nie zdążył nawet poczuć tej zmiany, a milczenie Briana, Dafydda i koni utwierdziło go w przekonaniu, że i oni niczego nie czuli. Jednak dłoń Rrrnlfa, nadal rozpostarta i czekająca na nich na ziemi, teraz mogła objąć ich wszystkich.

–Tak, teraz może nas nieść. – Jim popatrzył na tłum. – Wrócę jak najprędzej! – obiecał.

–Żegnaj, milady – powiedział Brian do Geronde, głosem zdumiewająco pełnym uczucia, zważywszy tak liczną widownię.

–Wrócę, mój Złoty Ptaszku – rzekł jednocześnie Dafydd cicho, lecz wystarczająco donośnie, aby usłyszała go Danielle, która przecież stała niedaleko.

–No, Rrrnlfie – powiedział Jim. – Zanieś nas do granicy zatopionej krainy.

–Bardzo dobrze, mały magu – odparł Rrrnlf. – Czy te małe wierzchowce też mam tam zanieść?

–Kiedy spróbujesz nas podnieść, zobaczysz, że nie da się nas rozdzielić.

–I uważaj, morski diable! – wtrącił Brian, zaledwie Jim zdążył to powiedzieć. –

Ostrożnie! Szczególnie z Blan... z końmi!

–Pewnie, mały rycerzu – zgodził się Rrrnlf i jego ogromne łapsko zamknęło się wokół nich tak, że między palcami widzieli wielką salę znajdującą się za plecami diabła morskiego.

Podniósł ich trochę zbyt gwałtownie, aż konie zarżały ze strachu. Zakołysali się w powietrzu, a potem usłyszeli głuchy łoskot i już spoglądali z góry na zamkowe mury. Rrrnlf niósł ich w prawej ręce, zwieszanej u boku, knykciami skierowanej w tył, tak że między jego palcami widzieli, co opuszczają, ale nie dokąd zmierzają. Wszyscy trzej spoglądali na zamek.

Diabeł morski ruszył równym rozkołysanym krokiem. Malencontri małało z każdą chwilą, a potem nagle wyrosły przed nim drzewa. Zamek stawał się mniejszy przy każdym kroku, zdumiewająco długim nawet u kogoś tak wysokiego jak Rrrnlf. W końcu Malencontri zupełnie znikło, razem z Angie, Geronde, Danielle i innymi. Znajome zakątki lasu też szybko pozostawały w tyle, aż podróźnych otoczyły tylko pnie drzew i listowie.

Później był tylko las i kołysanie.

Rozdział 19

Najwidoczniej działało coś więcej niż tylko długi krok Rrrnlfa, ponieważ zaledwie upłynęło kilka minut, a nad głowami zahuczał jego głos.

–Ach, morze!

Długie miarowe wymachy ramienia Rrrnlfa wywołałyby mdłości, gdyby Jim po cichu nie rzucił zaklęcia zamieniającego je w senność; teraz ustały i Brian gwałtownie wyrzucił z siebie słowa, jak człowiek nagle zbudzony ze snu:

–To niemożliwe! – wybuchnął. – Byliśmy o dzień drogi od morza, no, może niecały dzień jazdy, ale na pewno za daleko, żeby pokonać taką odległość w tak krótkim czasie!

–To magia naturalnych – wyjaśnił gładko Jim i równie nagle pogрузyli się w zielonych odmętach.

Wszyscy trzej doznali niepokojącego odczucia, w którym jedynie Jim rozpoznał wrażenie towarzyszące jeździe szybko opadającą windą: jakby żołądek podchodził człowiekowi do gardła.

Ukradkiem zerknął na towarzyszy. Obaj mieli nieprzeniknione miny. Zbyt nieprzeniknione. Jim podejrzewał, iż każdy z nich uważał, że tylko on ma takie wrażenie, i nie chciał tego okazać. Jim otworzył usta, żeby im wyjaśnić, ale zaraz je zamknął. Z trudem zdołałby im to wytłumaczyć za pomocą czternastowiecznych słów, a poza tym wrażenie szybko ustąpiło i jego przyczyna nie miała znaczenia.

Wydawało się, że minęła zaledwie chwila, a już spoglądali przez metrową warstwę wody na piaszczystą plażę, za którą widniał zielony ląd, jasno oświetlony niewidocznym słońcem i przechodzący w góry oraz doliny.

–Niedawno widziałem tam kilku małych ludzi – rzekł Rrrnlf. – Wszyscy się odwrócili i uciekli, a teraz leżą w trawie, więc nie możecie ich dostrzec. – Odrobinę rozluźnił zaciśniętą wokół nich dłoń i powiedział nieszczęśliwym głosem: – Mały magu, dlaczego wszyscy ci mali ludzie zawsze przede mną uciekają?

–Ponieważ mają nieczyste sumienia – rzekł Jim, zanim Dafydd lub Brian zdążyli odpowiedzieć.

–Aha. – Na twarzy Rrrnlfa pojawiło się zdziwienie. – A więc to tak. Dlaczego tak wielu z was, małych ludzi, ma nieczyste sumienia?

–To nie tak – wyjaśnił szybko Jim, zanim któryś z towarzyszy zdążył powiedzieć coś niewłaściwego. – Tak się składa, że najczęściej widzisz moich przyjaciół i mnie, kiedy ścigają nas lub atakują ludzie o nieczystych sumieniach.

–No tak, teraz rozumiem – mruknął Rrrnlf.

–Dafyddzie – ciągnął pospiesznie Jim. – Czy to jest ta zatopiona kraina, o której mówiłeś?

–Tak – odparł Dafydd. – Czy będziesz mógł przenieść nas przez ostatni pas wody na ląd, James?

–Owszem – rzekł Jim. – Zaczekajcie...

–Czy mam wam podać małe wierzchowce, kiedy już tam pójdziecie? – przerwał mu lekko zaniepokojony Rrrnlf. – Co mam robić, kiedy zostawicie mnie z nimi?

–Zabierzemy je! – wykrzyknął Brian, zanim Jim zdążył odpowiedzieć. – I uważaj na nie, Rrrnlfie!

–Tak, mały rycerzu!

–Wszyscy będziemy uważać, Brianie – dodał Jim. – Bardzo ci dziękuję za to, że nas tu przyniosłeś, Rrrnlfie.

–Istotnie – rzekł Dafydd. – Ja również ci dziękuję, Rrrnlfie.

–Dzięki ci, diable morski – powiedział Brian, trochę sztywno i najwidoczniej mając wątpliwości, czy to właściwa forma zwracania się do zwykłego, ale mierzącego co najmniej dziesięć metrów naturalnego, który właśnie bez wysiłku przeniósł ich taki kawał drogi i w

morską głębinę. – To był wyczyn! Świetna robota.

–Och, lubię robić dla was takie rzeczy, mali ludzie – rzekł Rrrnlf. – Czy mogę popatrzeć, jak przenosisz wszystkich za pomocą czarów, mały magu?!

–Oczywiście – odrzekł Jim.

Wcześniej zamknął ich w jednym zaklęciu ochronnym. Teraz miał czas przemyśleć potrzebną mu wizję magicznego tunelu biegnącego przez wodę w powietrze, aż do widocznego w oddali lądu. Teraz wyobraził go sobie. Tunel pojawił się, a on poszedł nim, prowadząc Gorpa i kolejno uwalniając pozostałe konie. Brian i Dafydd ruszyli za nim, wiodąc swoje wierzchowce. Juczny koń poczłapał z tyłu jakby nigdy nic.

Wyszli na piaszczysty brzeg. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Blanchard nadal zachowywał się potulnie. Niestety, wielki ogier najwyraźniej nagle otrząsnął się z szoku wywołanego zamknięciem w niewidzialnej zagrodzie z ogromnej dłoni – stanął dęba i zarżał. Brian doskoczył do niego, złapał wodze tuż przy wędzidle i ściągnął mu łeb w dół, po czym zaczął przemawiać do konia, głaszcząc go i uspokajając. Powoli i niechętnie Blanchard dał się ugłaskać, chociaż parsknął od czasu do czasu, jakby dając znać, że cała sytuacja bardzo go denerwuje.

Gorp patrzył na niego przez chwilę, a potem zaczął obwąchiwać piasek pod nogami, jakby szukał źdźbeł trawy. Nie znalazł żadnego, więc zrezygnował, podniósł łeb i stał, spoglądając przed siebie. Spokojny wierzchowiec Dafydda zignorował zajście, a juczny koń, przezornie odwróciwszy łeb od Blancharda, żeby rumak tego nie dostrzegł, parsknął wzgardliwie. Nie był to zbyt dobroniosny przedstawiciel końskiego rodu.

–Dafyddzie, czy możemy teraz przejść przez tę twoją krainę? – zapytał Jim.

–Nie widzę żadnych przeszkód – odparł chłodno Dafydd. – I nie powinieneś nazywać jej „moją krainą”, sir Jamesie. Jestem Walijczykiem. To prawda, że łączą mnie więzy krwi z tymi, którzy zamieszkiwali tu niegdyś, ale to inna sprawa.

Jim zbyt późno przypomniał sobie, że razem z Brianem przysięgli zachować w tajemnicy fakt, iż Dafydd pochodzi z królewskiego rodu tej zatopionej krainy. W swobodnym przekładzie nosił tytuł „księcia omywanych przez morze skał”. Łucznik najwyraźniej nie chciał, aby wspominać o tym w obecności żadnego z mieszkańców górnego świata.

–Żegnaj, Rrrnlfie, i dziękuję – powiedział Dafydd, po czym z jucznym koniem i własnym ruszył w kierunku miękkich zielonych traw rosnących dalej od brzegu.

–Żegnaj, mały łuczniku! – zawołał Rrrnlf i zniknął.

Jim przystanął na brzegu, aby podziękować Rrrnlfowi nieco wylewniej, niż zrobił to Dafydd, którego nagłe zniknięcie trochę go zaskoczyło. Przez chwilę się zastanawiał, czy w jakiś sposób nie obraził diabła morskiego. Jednak Gorp już szarpał wodze, chcąc ruszyć za pozostałymi końmi. Jim wszedł w zieloną trawę, a Brian z Blanchardem za nim.

–Och! Patrz, Hill! – zawołał cienki głosik, który Jim znał aż za dobrze.

Obejrzał się i zobaczył dwie twarze wyglądające spod plandeki na grzbiecie jucznego konia. Zaklął, niezupełnie pod nosem, jak się okazało.

–No, niech to... – zaczął, kiedy przerwał mu Brian.

–Powiedziałaś, Jamesie – rzucił ostro rycerz z za jego pleców – że mogą jechać z nami. Nic nie mówiłaś, że mają milczeć, a wiesz, iż przynajmniej Hob musi wciąż gadać. Twoi ludzie nigdy nie będą wiedzieli, na czym stoją jeśli jasno im tego nie wyjaśnisz. Rycerz...

–Wiem, wiem – rzekł Jim, podnosząc rękę, żeby powstrzymać Briana. – Przez chwilę zapomniałem, że są tu z nami.

Ta odpowiedź i uniesiona dłoń skutecznie powstrzymały Briana od wygłoszenia długiego wykładu na temat panów i poddanych. Jim i tak ostatnio miał poważne wątpliwości odnośnie swojego stosunku do mieszkańców Malencontri. Nie chciał, żeby ktoś jeszcze je pogłębiał. W milczeniu poszli dalej.

–Milordzie – pisnął cienkim głosem Hob z grzbietu jucznego koma.

–Co znowu? – spytał zirytowany Jim.

–Bardzo przepraszam, milordzie, ale chciałeś, by ci przypomnieć o przywróceniu nam zwykłych rozmiarów – powiedział pokornie Hob.

Jim zdążył dostrzec zdumienie na twarzy Briana i wszyscy stanęli jak wryci. Zanim ktoś zdążył powiedzieć choć słowo, Jim zdjął rzucone wcześniej zaklęcie.

–Dziękuję, Hobie – powiedział.

W milczeniu pomaszzerowali dalej. Z początku tylko prowadzili konie przez porośniętą wysoką trawą łąkę, lecz po krótkiej chwili wsiedli na nie i ruszyli w otwartą przestrzeń, ciągnącą się w dal i stopniowo przechodzącą w niewysokie góry, które dostrzegli na horyzoncie. Po pewnym czasie napotkali trakt, a raczej szlak, który doprowadził ich do zwirowej drogi, nieco zakurzonej, ale pokrytej świeżymi śladami kopyt i butów.

W miarę jak nią podążali, droga się poszerzała, aż w końcu spod cienkiej warstwy ziemi wyjrzały bloki białego kamienia i wkrótce potem ziemia oraz kurz zupełnie znikły i kopyta koni zadudniły na białym bruku rzymskiej drogi.

–Raczej mi wybaczyć – rzekł Dafydd – lecz lepiej będzie, jeśli w tej krainie ja pojedę przodem.

–Oczywiście – przytaknął Brian, zgadzając się z ochotą która zdziwiła Jima, dopóki nie padły następne słowa rycerza: – Czyż nie jesteś osobistością w tej krainie?

–Jestem – odparł Dafydd. – Ale i tak dziękuję za uprzejmość.

Przy tych słowach w jego głosie i zachowaniu nastąpiła zauważalna zmiana. Pojechał pierwszy, a oni za nim. Wkrótce zaczęli spotykać zmierzających w przeciwną stronę przechodniów: rzemieślników, wieśniaków i tym podobnych ludzi. Wszyscy pozdrawiali ich wesoło w języku, który – zdaniem Jima – nie był kornwalijskim, a może nawet i nie walijskim, chociaż miał podobnie śpiewną intonację. Dafydd odpowiadał im w tym samym języku.

Nawet nie próbował tłumaczyć ich słów i Jim uznał, że były to tylko uprzejme pozdrowienia.

W miarę jak jechali, na drodze robił się coraz większy ruch i coraz więcej ludzi mijano ich lub wyprzedzało, gdyż Jim, Dafydd i Brian jechali powoli, oszczędzając wierzchowce. Wszyscy ludzie podróżowali pieszo i pozdrawiali przybyszów, aż w końcu Dafydd odpowiadał im tylko machaniem ręki i zdawkowym powitaniem.

Wkrótce Jim zauważył, że ludzie nie tylko idą drogą, ale ciągną ku niej ze wszystkich zielonych pól po obu jej stronach, jakby z farm znajdujących się poza zasięgiem wzroku.

Obrócił się w siodle i spojrzał za siebie. W oddali zobaczył tłumy ludzi schodzących się ze wszystkich stron.

Stopniowo zostali otoczeni. Tłum gęstniał i poruszał się razem z nimi nie tylko drogą ale i

równolegle do niej, po trawie z obu stron, a wszyscy wędrujący uśmiechali się promiennie. Ludzie teraz rzadziej pozdrawiali ich, tylko machali do Dafydd, który zaczął odpowiadać na to jedynie uśmiechem – tak wielu go witało. Chociaż jednak były ich nieprzeliczone tłumy, pozostawili szeroki krąg wolnej przestrzeni wokół trzech mężczyzn i ich koni.

Za plecami Jima kopyta Blancharda wybiły nowy rytm na kamiennej drodze i Brian zrównał się z przyjacielem.

–Co o tym myślisz, Jamesie? – powiedział zniżonym głosem, pochylając się do Jima, a ich rozmowę niemal całkowicie zagłuszył uprzejmy i cichy pomruk tłumy oraz stuk końskich kopyt na bruku. – Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Może zapytajmy Dafydd. Jak uważasz?

–Nie wiem, Brianie – odparł Jim. – Daj mi jeszcze chwilę na zastanowienie.

Brian zaczekał. Jim uważnie obejrzał otaczających ich ludzi. Wszyscy byli długonodzy jak Dafydd, lecz poza tym niepodobni do niego – ogorzali, jakby przez całe życie ciężko pracowali na powietrzu. Nie mieli tego kościstego, muskularnego, zabiedzonego wyglądu, jaki ma wielu ludzi harujących na roli. Wyglądali tak, jakby nigdy nie brakowało im snu ani pożywienia, a wszyscy sprawiali wrażenie promiennych – jakby znaleźli tu szczęście.

Teraz, kiedy przestali zagadywać Dafydd – być może uświadomiwszy sobie, że nie jest w stanie wychwycić wszystkiego, co mówi doń tak wiele osób – zaczęli rozmawiać ze sobą. Ich głosy brzmiały wesoło i radośnie – skrzyły się śmiechem zadowolenia z czegoś zabawnego i godnego uciechy, a nie rubasznym humorem na czyjś koszt.

–Nie mam pojęcia, jak dowiedzieli się tak szybko o naszej obecności – powiedział cicho Jim do Briana. – Najwidoczniej przyszli tu zobaczyć Dafydd. Może podjedziemy do niego i zapytamy? Nie będziemy zbyt go naciskać. Pozwól, że ja będę mówił.

–Dobry pomysł – zgodził się Brian.

Popędzili konie i Jim wstrzymał swojego pół metra za Dafyddem, po czym rzekł do łuczника:

–Dafyddzie, czy możesz nam wyjaśnić, co się tu dzieje? Łucznik odparł, nie odwracając głowy:

–Po prostu cieszą się, że mnie widzą w tej krainie. To wszystko – odparł. – Wybrałem tę drogę w nadziei, że tego uniknę, lecz na próżno...

–A mogliśmy pojechać inną? – spytał Jim.

–Tu nie powinniśmy mieć żadnych problemów – ciągnął Dafydd. – Tędy najszybciej dostaniemy się do Liones, omijając stare miasta, w których mieszka arystokracja. Nie ma znaczenia, że mieszkańcy farm i wiosek witają mnie w ten sposób. Będziemy jechać dalej i wkrótce przejedziemy, a im pozostanie tylko wspomnienie, o którym będą mogli mówić – nic więcej. – Zamilkł na chwilę i dodał nie wskazując ręką: – Widzicie to miejsce, gdzie teren wznosi się i droga przechodzi przez wąwóz u podstawy góry? Dalej nie będzie miejsca na duży tłum. Przesmyk ma około pięciu kilometrów długości i ci, którzy idą z nami, nie podążą dalej. Później wjedziemy w las, a na jego drugim końcu staniemy na granicy Liones.

–Cóż więc mamy robić? – zapytał Jim.

–Jechać dalej – odparł Dafydd, po raz pierwszy odwracając się i spoglądając na towarzysza. – Tylko zrób mi tę grzeczność i trzymaj się za mną wtedy obserwujący nas ludzie będą szczęśliwsi.

–Oczywiście – rzekł Jim.

Dafydd miał dziwnie poważną minę, usta zaciśnięte w cienką prostą linię, a w oczach niezwykle stanowczy błysk. Brian spojrzął na niego ostro, lecz bez słowa pozostał z tyłu, jadąc ramię w ramię z Jimem.

–Równie dobrze moglibyśmy być sami, Brianie – mruknął Jim. – Ci ludzie pewnie i tak nie znają naszej mowy.

–No właśnie, Jamesie – rzekł Brian.

Jechali w milczeniu, aż dotarli do przesmyku, po obu stronach którego wznosiły się górskie zbocza. Wbrew zapowiedzi Dafydda stały na nich tłumy gapiów, szczególnie na niższych i mniej stromych stokach. Tymczasem na otwartej przestrzeni, którą pozostawili za sobą, ludzie zaczęli się rozchodzić, aż zupełnie zniknęli im z oczu, gdy dotychczas prosta droga zaczęła się wić między wzgórzami, tak że jeźdźcy widzieli przed sobą tylko jej niewielki odcinek.

Słońce wciąż jasno świeciło. Pogodny dzień i dobry humor tłumy zdawał się udzielać nawet jucznemu koniowi, który podążał teraz za Dafyddem, wlokąc po ziemi zapomniane wodze – jak wierny pies wszędzie towarzyszący panu.

Zbocza stawały się bardziej strome i mniej dostępne, a ich szczyty zbliżyły się, ale wciąż stały na nich tłumy machających ludzi. Droga zakręcała coraz częściej i nagle za kolejnym zakrętem ujrzeli czterech jadących dwójkami jeźdźców na pięknych koniach, znacznie drobniejszej budowy od Gorpa czy Blancharda. Wyglądali jak dawni wojownicy, odziani w kubraki z utwardzonej skóry wzmocnionej płytkami metalu i w staromodnych hełmach z osłoną nosa. Każdy miał w ręku włócznię, a u pasa miecz. Wszystkie konie były białe.

Tuż za nimi podążały jeszcze dwie pary białych koni ciągnących otwarty powóz podobny do bryczki, której woźnica siedział na wysokim koźle, twarzą do pasażerów. Wiózł tylko jedną osobę: mężczyznę w podeszłym wieku, gładko ogolonego i wyprostowanego. Powóz był złoty i migotał w słońcu. Za nim jechali dwójkami kolejni uzbrojeni we włócznię jeźdźcy.

Dafydd wstrzymał wierzchowca. Rumak stanął, juczny koń również, a Jim i Brian także ściągnęli wodze. Siedzieli, czekając, aż pierwsi jeźdźcy podjadą do Dafydda, po czym rozjechali się na boki, stając twarzami do drogi. Zaprzęg zatrzymał się przed samym Dafyddem, który zsiadł z konia i powoli podszedł do powozu, po czym przemówił w tym samym języku, jaki słyszeli do tej pory.

–Może – powiedział Brian cicho kątem ust do Jima, z kamiennym wyrazem twarzy patrząc przed siebie – mówią o czymś, co dotyczy i nas?

–Chyba powinniśmy poczekać – odparł Jim w ten sam sposób. Dafydd odwrócił się, popatrzył i skinął na nich.

Brian zeskoczył z konia, a Jim poszedł w jego ślady. Oba bojowe rumaki były przyzwyczajone stać nieruchomo w miejscu, więc Brian z Jimem spokojnie zostawili je tak, podchodząc do Dafydda i powozu.

–Odjedźcie stąd wraz z... – Ku zdziwieniu Jima stary człowiek w powozie powiedział to doskonałą angielszczyzną, oprócz ostatniego słowa lub słów oznaczających tytuł Dafydda w ich starożytniej mowie. – Chciałbym więc, abyście to usłyszeli.

–Mój dobry królu tej krainy – rzekł Dafydd do starca również po angielsku. – Pozwól, że przedstawię ci sir Jamesa Eckerta, barona de Bois de Malencontri et Riveroak, oraz sir

Briana Neville'a-Smythe'a z zamku Smythe. Obaj przybywają z ziemi Saksonów.

–Miło mi ich widzieć – rzekł król do Dafydd, po czym znów zwrócił się do Jima i Briana: – Wasze imiona i czyny znane są nawet tutaj, w naszym małym królestwie – oznajmił. – Z tego, co słyszałem i co powiedział Dafydd, wynika, iż jesteście zacynymi i dobrymi ludźmi. Chciałbym, abyście zrozumieli, że choć niewątpliwie przybyliście tutaj bez złych zamiarów, wasza wizyta stworzyła pewien problem i muszę porozmawiać z... – Ponownie użył tytułu, jaki Dafydd nosił wśród tego ludu. – Ufam, iż uwierzycie mi, kiedy powiem, że nie życzymy wam niczego złego, jak również nie życzymy niczego złego temu, z którym zamierzam teraz porozmawiać. Zechcecie mi wybaczyć, panowie, i zaczekać tu, aż omówimy tę sprawę na osobności?

–Bardzo chętnie, Wasza Wysokość – odparł Brian.

–Ja również – dorzucił Jim.

–Dobrze.

Jim nie usłyszał żadnego rozkazu, lecz jeden ze stojących za powozem jeźdźców zeskoczył z konia i podbiegł do drzwi powozu. Wziął pod rękę starca, a ten dźwignął się na nogi i powoli zszedł po stopniach, które wysunęły się spod drzwiczek. Jeździec podtrzymywał króla, gdy ten niepewnie przeszedł kilka kroków.

Stok obok drogi wznosił się najpierw łagodnie, a potem stromo ku wierzchołkowi, wolny od ludzi aż po zielony szczyt pagórka, dobrze widoczny na tle bezchmurnego, pozornie nieskończonego nieba. Dafydd i król odeszli kawałek, po czym zaczęli się przechadzać tam i z powrotem, pogrążeni w cichej rozmowie.

Starzec kroczył powoli i niepewnie, a Dafydd chwilami brał go pod rękę i podtrzymywał. Król najwidoczniej był kiedyś wysokim mężczyzną – może nawet wyższym od Dafydd – ale zgarbił się z wiekiem przygarbił go, tak że teraz wydawał się o pół głowy od niego niższy. Pomimo to gdy tak się przechadzali, nie było żadnej wątpliwości, który z nich jest królem.

Brian z Jimem stali i czekali tak samo jak konie, zbrojni jeźdźcy oraz ludzie na stokach. Wokół panowała cisza, w której ledwie słyhać było głosy Dafydd i króla, szemrzące jak niewidoczny, płynący tuż za skałą strumyk.

Stali i patrzyli, gdy ruch na wzgórzu przyciągnął uwagę Jima. Na samym szczycie pojawił się jakiś człowiek, dobrze widoczny na tle nieba – mężczyzna równie wysoki jak Dafydd i także z łukiem na ramieniu. Nieznajomy miał na sobie kapelusz, kurtkę i jasnoniebieskie spodnie. Stał bez ruchu, tylko patrząc na dwóch przechadzających się w dole mężczyzn, ale natychmiast około dwudziestu jeźdźców przygalopowało od powozu i stanęło półokręgiem między nim a królem i Dafyddem.

Mężczyzna w niebieskim stroju nie poruszył się, ale po chwili dołączyła do niego następna postać z łukiem, a potem wzdłuż grani pojawiły się kolejne, identycznie ubrane i uzbrojone.

Zbrojni jeźdźcy obserwowali ich w milczeniu. Odziani na niebiesko łuczniczy też czekali, patrząc w dół. Dafydd i stary król przechadzali się tam i z powrotem, pogrążeni w rozmowie.

Rozdział 20

Król i łucznik książę nadal rozmawiali. Brian z Jimem czekali w milczeniu. Królewska eskorta również. I strzelcy na wzgórzu. Nieco dalej czekali ludzie, którzy ściągnęli z tak

daleka, aby ujrzeć Dafydd.

Od czasu do czasu król stawiał dłuższe kroki, jak ktoś nawykły do pokonywania pieszo znacznych odległości, ale zaraz znowu zwalniał i Jim widział, jak Dafydd podtrzymuje starca.

W końcu się zatrzymali. Jeszcze chwilę stali, rozmawiając, a potem Dafydd odwrócił się i skinął na Jima oraz Briana. Obaj byli już w siodłach – Brian instynktownie dosiadł swego rumaka, kiedy pojawili się łucznicy, a Jim odruchowo poszedł za jego przykładem. Teraz ponownie zsiadli, po czym podeszli do Dafydd i króla. Z bliska twarz króla okazała się szara ze zmęczenia. Kiedy jednak do nich przemówił, jego głos był wciąż silny, choć przyciszony, jakby nie chciał być słyszany przez stojących w pobliżu zbrojnych.

–Dafydd mówi mi – rzekł – iż jesteście jedynie przejazdem w naszej krainie, zmierzając do granicy Liones, gdzie masz nadzieję, sir Jamesie, odnaleźć swego podopiecznego.

–Zgadza się – odparł Jim.

–Zatrzymałem was tutaj tak długo – powiedział król lekko zachrypniętym już głosem – aby prosić... – Tu znów wymienił tytuł Dafydd. – ...aby nie jechał z wami, lecz został tutaj, na tej ziemi, która od niepamiętnych czasów należała do jego rodziny. Jednak on mówi, że nie może, że musi jechać z tobą. – Przerwał i odkaszlnął. – Poprosiłbym i ciebie, lordzie Jamesie Eckercie – ciągnął – abyś zwolnił go z obowiązku towarzyszenia ci i pozwolił zostać. Ale rozumiem, iż chodzi tu o coś więcej niż tylko o obowiązek. Tak więc nie będę już dłużej was zatrzymywał, lecz usunę się, pozwalając wam przejechać. Niech Bóg ma was w opiece, kiedy przekroczycie granicę Liones. – W tych ostatnich słowach wyraźnie pobrzmiwały skrywane emocje.

–Przykro mi... – zaczął Jim, ale zauważył, że stojący z boku Dafydd nieznacznie pokręcił głową. – Jednak sir Brian i ja musimy jechać dalej, a Dafydd z nami, jeśli taka jest jego wola. Mówisz, panie, tak, jakby nasza wyprawa do Liones łączyła się z ogromnym niebezpieczeństwem.

–Nie wiem, czy znajdziesz tam twego podopiecznego – rzekł król. – To kraina magii i nie tylko. Najdziwniejsza ze wszystkich Innych Królestw. Nie mam pojęcia, czy jest to dawna kraina Ducha – jak powiadają niektórzy – czy nie. Wiem jednak, iż napotkacie tam niebezpieczeństwa inne niż zbrojny wróg. – Zamilkł na chwilę, jakby zabrakło mu tchu. – My nie przekraczamy tej granicy. To zakazane, a ci nieliczni, którzy złamali to prawo, nigdy nie wrócili albo wrócili na krótko – odmienieni lub w dziwnych okolicznościach. Był pewien człowiek, który udał się do Liones. Od tego czasu wraca do swojej rodziny tylko raz na sto lat. Za każdym razem tylko na chwilę. Nie potrafi lub nie może rozmawiać ze swoimi potomkami, a za każdym razem jego szaty są bardziej poszarpane, broda dłuższa i bardziej rozczochrana, a on wygląda jak potępieniec. Potem znów znika. Powiedziałbym wam, czego macie się wystrzegać, gdybym wiedział. Jednak nie wiem.

–Mimo wszystko jestem wdzięczny – powiedział Jim. – Tym bardziej że wolałbyś, aby Dafydd pozostał tutaj i nie narażał się na to, co przydarzyło się tamtemu człowiekowi. Cokolwiek to jest, muszę tam pojechać...

–I ja! – wtrącił Brian.

–I ja, oczywiście także – rzekł Dafydd.

–A więc – powiedział król – nie ma o czym mówić. W głębi serca wiedziałem, że tak będzie. Proszę was tylko o jedno, jako dżentelmenów. Gdyż o tym, że nimi jesteście,

najlepiej świadczy to, iż towarzyszy wam Dafydd. Jeśli uda wam się stamtąd wrócić, nie mówcie nikomu o naszej krainie, nawet tym Walijszykom, którzy stąd pochodzą. Proszę, abyście nic nie mówili, kiedy was zapytają. Uczynicie to dla mnie?

Jim i Brian przytaknęli.

–A zatem – rzekł król, odwracając się w kierunku powozu – teraz was opuszczę. – Delikatnie uwolnił rękę z uchwytu Dafyddda. – Pójdę sam, bez pomocy. Dafyddzie, twój lud zechce się z tobą pożegnać – zrób dlań chociaż tyle.

–Taki miałem zamiar – odparł Dafydd.

Król skinął głową i długim, choć niepewnym krokiem przebył niewielką odległość dzielącą go od powozu. Eskorta pomogła mu wsiąść, a on powiedział do nich coś w swoim języku i powóz zawrócił. Zbrojni otoczyli go i wszyscy ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przyjechali.

Tymczasem Dafydd odwrócił się do odzianych na niebiesko łuczników. Poczynając od stojących najbliżej, jeden po drugim zeszli do niego po zboczu, zachowując niewielkie odstępy, ale prawie równym szeregiem.

–Sir Jamesie, sir Brianie – powiedział Dafydd, nie odwracając się i nie patrząc na rycerzy. – Wyrządźcie mi łaskę, jeśli wróćcie do waszych koni.

–Oczywiście, Dafyddzie – zgodził się Jim.

Dosiedli z Brianem koni. Stali zaledwie kilka metrów dalej i przyglądali się, jak odziani na niebiesko łuczniczcy kolejno podchodzą do Dafyddda.

Znalazszy się trzy kroki od Dafyddda, każdy zdejmował kapelusz, a podszedłszy bliżej, przyklękał i pochylał głowę. Dafydd kładł lewą rękę na ramieniu każdego łuczniczcy i lekko je ścisnął. Nikt nic nie mówił. Dafydd cofał rękę, łuczniczcy zaś wstawali, wkładali kapelusze, cofali się, odwracali i odchodzili, a jego miejsce zajmował następny.

Podchodzili jeden po drugim. Jimowi nie od razu przyszło do głowy, żeby ich liczyć, lecz kiedy zaczął, przestał, doliczywszy do stu. Do tego czasu pozostało jeszcze tylko kilka niebiesko odzianych postaci, a później Dafydd był już sam. Ci, którzy już przed nim uklękli, wracali na szczyt wzgórza i znikali za nim. Widząc to, Jim przypomniał sobie o tłumach, które towarzyszyły im wcześniej i wycofały się na widok przybywającego króla oraz jego świty. Rozejrzał się. One również zniknęły.

Kiedy Jim ponownie spojrzął na Dafyddda, ostatni łuczniczcy włożył kapelusz, odwrócił się i odszedł. Gdy znikł za pagórkiem, Dafydd zbliżył się do Jima i Briana, po czym bez słowa dosiadł konia.

–Prowadź! – rzekł Brian.

Nad nimi powoli zachodziło słońce, które wcale nie powinno świecić pod setkami sążni morskiej wody.

Ujęli wodze i pojechali razem drogą – Jim i Brian po bokach Dafyddda, który spoglądał w dół zatopiony w myślach. Milczeli. Jim stwierdził, że jakaś uparta dwudziestowieczna część jego natury buntuje się przeciwko zgrozie, z jaką król mówił o Liones. Któż lepiej od Jima wiedział, że na tym świecie istnieje magia? Nie mogła ona jednak być tak straszna, by nie dało się jej wytłumaczyć...

–Dziękuję, sir Brianie, sir Jamesie – powiedział niespodziewanie Dafydd.

–Ha! – odpowiedział Brian tym wygodnym jednosylabowym dźwiękiem, który wydawał

w chwilach wzruszenia lub napięcia.

–Nie ma za co, Dafyddzie – rzekł Jim.

Dafydd znów zamilkł i jechali dalej w milczeniu, aż minęli kolejny zakręt. Wtedy nieoczekiwanie Dafydd znów przemówił.

–Teraz, kiedy obiecaliście nikomu nie mówić o tym, co tu widzieliście i słyszeliście, powinniście wiedzieć o tym, co powiedział mi król.

–To nie jest konieczne, do licha! – mruknął Brian.

–Jednakże chętnie wam to wyjawię. Nie macie nic przeciwko temu?

–Oczywiście, że nie – zapewnił Jim.

–Chodzi o to – rzeki Dafydd, spoglądając na uszy swego rumaka – że mówił o wielu sprawach związanych z moim rodowodem oraz krewnymi, których wciąż tu mam – jak widzieliście. Jednak nie tylko o tym. On jest królem tej krainy, wywodzącym się z prastarego rodu, który wygasa...

Nagle jakby przejechali przez niewidzialną i niewyczuwalną ścianę. Wokół nich nic się nie zmieniło. Słońce jasno świeciło na tym samym błękitnym niebie. Mimo to...

–Dojeżdżamy do granicy Liones – oznajmił spokojnie Dafydd. – Niech dokończę. Ten ród wygasa. Wszyscy trzej synowie króla zginęli, a obie córki zachorowały na nie znaną w tej krainie chorobę i również umarły przed kilkoma laty. On nie ma wnuków. Jest starym człowiekiem i obawia się, że kraina, którą obaj kochamy, pozostanie bez władcy. Moja rodzina jest blisko związana z królewską. Ja jestem jej głową – jeśli można tak powiedzieć, gdyż nie mieszkam tutaj. Dlatego pragnął, abym został, sprowadził tu moją żonę i dzieci i wziął na siebie obowiązki króla, kiedy on odejdzie.

Brian i Jim nie odezwali się. Zabrakło im słów.

–Powiedziałem mu... – rzekł Dafydd, spoglądając przed siebie na białą drogę, która wbiegała teraz w wysoki i ciemny las. Drzewa o bezlistnych i splątanych konarach tak gęsto porastały zbocza, że kilka metrów od skraju poszycie ginęło w rzucanym przez nie cieniu. – Powiedziałem mu, że choć wzywa mnie tu obowiązek, to jeszcze silniejszy wzywa mnie gdzie indziej. Moje miejsce nie znajduje się tutaj, lecz na górze, w znanym nam świetle, przy mojej żonie i dzieciach. Jestem Dafyddem Łucznikiem, a nie Dafyddem Królem. Wolę być łucznikiem niż królem i nie chcę wychowywać moich synów i córek w tej zagubionej i zatopionej krainie, lecz w świetle, gdzie życie i historia posuwają się naprzód.

Droga zwężyła się i konary rosnących po obu jej stronach drzew zaczęły się splatać.

–Człowiek musi wybierać – rzekł po chwili Brian. – Takim Bóg uczynił nasz los. Nie można się wahać, dokonując wyborów.

Wjechali w głęboki cień lasu, a choć nie było w nim niczego przerażającego czy niezwykłego, w jakiś dziwny sposób zdawał się wpychać między nich. Tak więc podążali dalej w milczeniu, a Jim zupełnie zatopiony w myślach.

Brukowana droga już nieco wcześniej zmieniła się w węższy piaszczysty trakt, który teraz przeszedł w wąski szlak, więc musieli jechać pojedynczo. Brian bez słowa wysunął się naprzód, Jim zajął miejsce za nim, a Dafydd zamykał pochód, prowadząc jucznego konia.

Szlak zwężył się coraz bardziej, aż stał się ledwie widoczną ścieżką znikającą od czasu do czasu, więc musieli zachować ostrożność, chociaż konie podążały pewnym krokiem, jakby doskonale znały drogę, a Brian też nie okazywał żadnych oznak wahania.

Czarne, prawie bezlistne drzewa otaczały ich coraz ciaśniejszym kręgiem, jakby chciały schwytać przejeżdżających. Srebrny blask sączył się przez splątane gałęzie, słabo, lecz wystarczająco oświetlając drogę, tak że kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do niego, bez trudu odnajdywali drogę.

Jim rozmyślał nad ostatnimi słowami, w których Dafydd wyjaśnił swoją decyzję odmowy objęcia tronu, a także nad słowami, jakimi skwitował to Brian. Kiedy Jim postanowił pozostać z Angie w tym czternastym stuleciu i nie wracać do dwudziestego wieku, nie przypuszczał, że będzie miał poważne kłopoty z rozwiązywaniem jakichkolwiek problemów. Nawet jeśli od razu nie będzie w stanie się uporać z jakimś, to łatwo się nauczy – w końcu od dzieciństwa wciąż się czegoś uczył. Jednak ostatni problem ze zmianą nastawienia służby w Malencontri, związany z różnymi sprawami, które dla ludzi w tych czasach były czymś oczywistym, wynikał z przeświadczenia, że jeśli coś zawsze robiono w dany sposób, to należy tak robić zawsze.

„Najstarsi ludzie nie pamiętają czegoś podobnego!” – mówili mu dzierżawcy, kiedy usiłował nakłonić ich, aby spróbowali robić coś inaczej. Przecież tak robili przez całe życie. I żadne argumenty nie były w stanie ich przekonać. Dla nich jakakolwiek zmiana była równoznaczna z końcem świata. Teraz doszedł do wniosku, że to po prostu rzeczywistość wymierzała mu policzek, karząc go za nieuwagę. Dopiero kiedy zrozumiał, jak bardzo musi się zaadaptować do życia w tym wczesnym społeczeństwie, pojął, jak kiepsko jest przystosowany do tych czasów. Zapewne nic w tym dziwnego, że zorientował się tak późno – nigdy nie wątpił w swoje możliwości. Na swój sposób był równie zuchwały jak Brian, który nigdy nie miał żadnych wątpiwości. Kiedy potrzebował pieniędzy, których żądał ojciec Geronde, Brian bez wahania wziął udział w awanturze graniczącej z buntem przeciwko królowi – pomimo głębokiej i niezachwianej lojalności wobec monarchy. Jim nadal nie mógł zrozumieć, jak Brian zdołał to usprawiedliwić, ale znając przyjaciela, wiedział, że ten w swym przekonaniu ma czyste sumienie.

Teraz po raz pierwszy Jima ogarnęły wątpiwości. Może nie powinien podejmować próby odnalezienia i uratowania małego Roberta bez...

Nagle wyjechali spomiędzy drzew na polankę. Rzadka murawa pod kopytami koni nagle się urywała, tworząc wyraźną granicę, za którą zaczynał się inny krajobraz – kamienista niegościnna ziemia, gęsto porośnięta karłowatymi drzewami. Srebrzyste światło czegoś podobnego do słońca i ledwie widocznego nad koronami drzew oblewało wszystko zimnym blaskiem.

Ale to nie ten widok tak gwałtownie wyrwał Jima z zamyślenia. Uczynił to wołający do nich głos.

–Stać! – krzyknął głos, który należał do Carolinusa.

Rozdział 21

Jim natychmiast zauważył, iż Carolinus wygląda, jakby walczył z niedźwiedziem. Skraj czerwonej szaty czarodzieja był brudny i wystrzępiony. Twarz miał szarą i wyciągniętą jakby długo obywat się bez snu, lecz jego głos był silny jak zawsze.

Mag nadal był tylko projekcją a nie trójwymiarowym żywym Carolinusem. Na dźwięk jego głosu Jim, Brian i Dafydd odruchowo wstrzymali konie. Teraz spoglądali na niego, pozornie stojącego kilka centymetrów nad ziemią i około trzech metrów od nich. On patrzył

raczej przez nich niż na nich, jakby wcale ich nie widział.

–Zanim wkroczycie do Liones, muszę was przestrzec. – Mówił dziwnie oficjalnie i podniośle. – Pamiętajcie o tym, iż znajdziecie się w srebrzystoczarnej krainie, gdzie nie ma innych barw. Przez cały czas uważajcie, czy to, co was otacza, pozostaje srebrzystoczarne. Powoli może przybierać kolory zwyczajnego świata. Zanim jednak srebro i czerń zupełnie znikną uciekajcie! Jeśli zaczekacie do chwili, gdy przestaniecie widzieć czerń i srebro, a wszystko zacznie wyglądać jak w blasku normalnego słońca – zostaliście schwytani. Już nigdy nie wrócicie do domów. Na zawsze pozostaniecie w Liones. Teraz muszę...

–Bezruch! – krzyknął Jim, wskazując palcem na odzianego w czerwoną szatę czarodzieja. Zrobił to instynktownie, w rozpaczliwej nadziei, że powstrzyma Carolinusa od ponownego zniknięcia, które z pewnością nastąpi, kiedy mag skończy mówić. Polecenie odniosło dość dziwny skutek.

–Stać! Zanim wkroczycie do Liones... – Obraz Carolinusa powtórzył tekst do miejsca, w którym przerwał mu Jim, po czym nagle powiedział ostrym i zirytowanym tonem, jakim zwykle mówił stary mag: –...odejść, gdyż mogłem się ukazać wam tylko na chwilę. Pozwólcie, że powiem wam jeszcze jedno. Liones to kraina magii, bardzo, bardzo starej magii. Nie wiercie własnym oczom. Karzeł może być olbrzymem, szalas zamkiem lub zamek szalasem. Dama w opałach istotnie może być niewiastą w opresji – ale także śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem. Tam, gdzie widzicie jednego rycerza, może ich być dwudziestu. Teraz muszę już odejść. Żeg...

Chociaż Jim pospiesznie powtórzył zaklęcie, tym razem rozkaz nie odniósł skutku. W nagłym czerwonym rozbłysku obraz Carolinusa zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Jim z poczuciem winy spojrzał na towarzyszy. Tylko on miał obowiązek przekroczyć tę granicę i może powinien zrobić to sam. W samą porę powstrzymał się i nie powiedział tego głośno, wiedząc, że nie byłiby wdzięczni, tylko urażeni. Zaczynam się czegoś uczyć, pomyślał ponuro. Przedziwne, lecz ta myśl poprawiła mu samopoczucie.

–Jak sądzisz, Jamesie? – zapytał Brian. – Czy powinniśmy wyciągnąć z tego jakąś naukę, zanim ruszymy?

–No cóż – odparł Jim. – To oczywiste, że musimy uważać. – Przez chwilę się zastanawiał, a potem dodał: – I wygląda na to, że przedłużanie pobytu w Liones byłoby dla nas niebezpieczne, tak więc musimy jak najszybciej przejechać przez tę krainę.

Przyjaciele poważnie skinęli głowami – w kwestiach magii czekali na jego decyzje.

–W istocie – rzeki Jim, spoglądając na niebo. – Wydaje mi się, że zapada wieczór. Jeśli pojedziemy dalej, wkrótce będziemy musieli rozbić obóz. Czy nie uważacie, że lepiej się nieco cofnąć i tutaj przeczekać noc? A do Liones wjedziemy wczesnym rankiem, aby mieć cały dzień na jej przebycie.

Z powrotem wjechali w ciemny las, aby rozbić obóz, ale nie znaleźli wody, więc zatrzymali się w suchej kotlinie między dwoma nagimi wzgórzami. Niewiele rozmawiali, a rano Jim zastanawiał się, czy Brian i Darydd spali równie kiepsko jak on.

Gdy ponownie dosiedli koni, Jim ponuro spojrzał na przyjaciół.

–Będę się starał chronić nas przed tym, przed czym ostrzegał nas Carolinus, każąc uważać na wszelkie złudzenia wywołane magią. Byłoby dobrze, gdybyśmy wszyscy

obserwowali te zmiany barw, o których mówił.

–Amen – rzekł Brian i Jimowi wydało się, iż Darydd powtórzył to za rycerzem, tylko znacznie ciszej.

Popędzili wierzchowce i ruszyli. Jim był okropnie spięty. Tamci dwaj wierzyli, że poradzi sobie w tej krainie, co bardzo go niepokoiło. To było coś nowego – jego wyczulenie na reakcje otaczających go ludzi. Dotychczas nigdy nie niepokoiła go ich niezachwiana wiara w jego możliwości. Może działa się tak również dlatego, że tak niedawno Brian okazał zdolność do podejmowania trudnych i szybkich decyzji. A i Darydd zaledwie kilka godzin wcześniej również stanął przed trudnym wyborem, stanowczo i bez wahania odrzucając to, co mu proponowano.

Nie chodziło tylko o to, że w porównaniu z Jimem ci dwaj byli tak stanowczy. W tym średniowiecznym świecie każdy zdawał się posiadać tę cechę. Ich decyzje mogły być błędne, ale podejmowali je bez wahania i trzymali się ich. W przeciwieństwie do niego ci ludzie nie roztrząsali wszystkiego w nieskończoność, zastanawiając się nad prawidłową odpowiedzią.

Zatopiony we własnych myślach. Jim uświadomił sobie, że znów dotarli do miejsca, gdzie przedtem ukazał im się obraz Carolinusa, ale tym razem nic się nie stało. Wjechali do Liones.

W tym karłowatym lesie otaczała ich cisza: nie śpiewał żaden ptak, nie szeleścił liść, nawet łagodne tchnienie wiatru nie poruszało konarów i gałęzi. Pomimo to Jim słyszał jakiś dźwięk, irytujący w tej ciszy, jak bzyczenie natrętnego owada. Powoli rozpoznał głos, uparcie, a nawet pompatycznie mówiący w bliskiej odległości. Był to głosik Hoba.

–...a ja powiedziałem mu – ciągnął skrzat – „Hultaju! Ja jestem Hob Jeden de Malencontri, a ty...”

Jim spróbował zapomnieć o głosiku, – ale teraz, kiedy ustalił jego źródło, musiał go słuchać, czy tego chciał, czy nie. Hob oczywiście przechwalał się swoimi przygodami podczas ostatniego bożonarodzeniowego przyjęcia w zamku earla Somerset i długim tytułem nadanym przez Jima skrzatowi, który jak wszystkie miał tylko trzyliterowe imię.

Na szczęście Hill nie umiał mówić lub przemawiał w jakiś dziwny niesłyszalny sposób i Jim musiał znosić tylko gadaninę Hoba. Może uda mu się jej nie słuchać, skupiając na czymś myśli. Nagle coś przyszło mu do głowy. To, w jaki sposób Hob, a wcześniej Rrrnlf rozmawiali z Hillem, pozostawało zagadką wymagającą rozwiązania. Dotychczas w tym świecie magii nie napotkał niczego tak tajemniczego, aby nie miało jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia.

Czy to możliwe, by Hill wysyłał jakieś sygnały, które zarówno Rrrnlf, jak i Hob potrafili zrozumieć, nie zdając sobie sprawy, że robią coś niezwykłego?

Oczywiście, było to możliwe, ale kiedy zaczął się zastanawiać nad tym, pojawiły się wątpliwości. Z pewnością Hob, a może i Rrrnlf, zauważyliby, iż Jim nie wychwytuje tych sygnałów, i powiedzieli mu, że Hill „mówi” w inny sposób.

A jeśli sygnały wysyłane przez Hilla brzmiały w ich uszach jak zwyczajna mowa? Jim przypomniał sobie, że zdaniem niektórych badaczy wieloryby porozumiewają się ze sobą na znaczne odległości, wydając... Jak to nazywano? Poddźwiękami? Naddźwiękami? Czyż delfiny – jeśli dobrze pamiętał – nie potrafią rozmawiać ze sobą za pomocą ultradźwięków?

Doszedł do wniosku, że to całkiem możliwe, i poweselał na myśl, iż może mieć rację. Gdyby tylko mógł to sprawdzić...

–Milordzie! Milordzie! – zawołał Hob.

Jim ściągnął wodze Gorpowi i zaczekał, aż zrówna się z nim najpierw Dafydd, a później juczny koń. Hob i Hill wyszli spod plandeki na jego grzbiecie. Hill siedział, gapiąc się na Jima.

–Co się stało, Hobie? – zapytał Jim.

–Milordzie! – powiedział skrzat. – To ważne! Hill ma ci coś do powiedzenia!

–I co mów... – Jim urwał, przypominając sobie to, o czym myślał przed chwilą. Odwrócił się i powiedział do Dafydda: – Mógłbyś na chwilę zostawić mi jucznego konia? Jedź dalej i powiedz Brianowi, że zatrzymałem się na chwilę, żeby porozmawiać z Hillem. Nie odjeżdżajcie daleko, żebyśmy się nie pogubili.

–Oczywiście, James – odparł Dafydd, odwiązując cugle jucznego konia od łąku siodła i podając je Jimowi. Podjechał do Briana, lecz ten, usłyszawszy słowa Jima, już zatrzymał Blancharda i obrócił się. Dafydd dołączył do niego i obaj czekali, patrząc i słuchając.

Jim ponownie odwrócił się w siodle i spojrzał na obu naturalnych.

Zatrzymali się na polance, która niewątpliwie była taką Lionek, jak opisał ją Carolinus. Ziemia wyglądała jak oblana światłem księżyca. To światło było przyćmione niczym w pochmurny dzień, ale cienie drzew, skał oraz trzech jeźdźców były zupełnie czarne, natomiast oświetlone głązy, drzewa lub ziemia wydawały się srebrzystoszare. Nawet górne powierzchnie liści tych nielicznych drzew, na które padało światło, były srebrne.

Nie zwracając na to uwagi, Jim zwrócił się do naturalnych siedzących na końskim grzbiecie:

–Hillu – powiedział do malca. – Chcę, żebyś uważnie mnie wysłuchał i zrobił to, co powiem. Hobie, on mnie rozumie, prawda, kiedy do niego mówię?

–Tak, milordzie – rzekł Hob. – On rozumie cię doskonale. Zupełnie nieświadomie podkreślił słowo „on”, lecz Jim i tak poczuł się nieswojo. Odepchnął od siebie to uczucie.

–A teraz, Hillu – powtórzył, z trudem przybierając rozkazujący ton wobec tego malca o dziecinnie niewinnym spojrzeniu. – Chcę, żebyś powiedział mi, co zamierzasz. Potem zaczekasz, aż dam ci znak, i powtórzysz to. Być może poproszę cię, abyś zrobił to trzy lub cztery razy. Może więcej. Rozumiesz?

–On nie rozumie – odparł za niego Hob. – Uważa, że jesteś dziwny. Ponieważ jednak ty go o to prosisz, nie ma nic przeciwko temu. Zrobi, co każesz.

–Dobrze. Chcę, żebyś bardzo uważnie mnie wysłuchał i zrobił dokładnie to, co mówię – ciągnął Jim, spoglądając na Hilla. – Chcę cię prosić, żebyś kilkakrotnie powtarzał swoje słowa, a ja spróbuję słuchać ich w różny sposób. Może nie rozumiesz, co mam na myśli, ale jeśli przestaniesz mówić, kiedy podniosę rękę, i nie zaczniesz, dopóki jej nie opuszczę, wszystko będzie dobrze. Rozumiesz?

–Mówi, że rozumie – odparł Hob.

–Dziękuję ci, Hobie – powiedział Jim. – Jednak od tej pory nic nie mów, tylko pozwól mi słuchać. Zobaczymy, czy go usłyszę.

Musiał wyobrazić sobie coś, na czym mógłby skupić magiczną energię. Pomyślał o nietoperzach – zdaje się, że one wychwytyują ultradźwięki. Przymknął oczy i wyobraził sobie,

że jest w stanie usłyszeć również dźwięki wydawane przez nietoperze, a jego uszy wydłużają się i może nimi poruszać...

–Zaczynaj, Hill – rozkazał. – Powiedz to, co chciałeś.

Hill popatrzył na niego – i nic się nie stało. Przez chwilę Jim sądził, że Hill nie rozumiał go albo nie zareagował. Później doszedł do wniosku, że Hill jednak mówi coś do niego na swój sposób, tylko on go nie słyszy.

Jim podniósł rękę i zastanowił się. O czym myślał przed chwilą? Ach tak, o delfinach i wielorybach – ewentualnych kandydatach do wychwytywania ultradźwięków.

Spojrzał na Hilla i opuścił rękę.

Tym razem wydawało mu się, że coś słyszy, ale mogło to być przywidzenie, gdyż bardziej wyczuł to, niż usłyszał. Już był bliski zrezygnowania z tego planu, kiedy dał o sobie znać zdrowy rozsądek, włączając się bez pytania o zgodę.

Co się z nim dzieje? Zupełnie zapomniał, że znajduje się w Liones, gdzie jego czary mogą nie działać. Zastanawiał się chwilę, szukając w myślach jakiegoś prostego testu, potem przypomniał sobie obrączkę, która niezbyt dobrze pasowała na jego palec i dlatego zostawił ją w Malencontri. Spróbował ją przenieść.

Nic się nie stało. Jego magia tu nie działała.

A więc nie zdoła jej wykorzystać, aby obdarzyć się nadludzkim słuchem... Chwileczkę!

Wiedział, że smoki mają lepszy słuch od ludzi, a ponadto rozpoznają spory zakres ultradźwięków – sam jako smok leciał kiedyś w nocy, porykując potężnym smoczym głosem i widząc ciemną ziemię w dole dzięki czemuś w rodzaju radaru. A zdolność przybierania smoczego ciała nie podlegała regułom zwykłej magii. Była jego częścią jak proste umiejętności niektórych naturalnych, którzy nie potrafili ich kontrolować. Już wcześniej obdarzył swoje smocze ciało sokolim wzrokiem. Równie łatwo osiągalny był dla niego smoczy słuch.

Dokonał tej zmiany i nagle usłyszał Hilla w połowie zdania – bo zapomniał dać mu znak ręką.

–...powinniśmy iść tędy, powtarzam! – mówił Hill jasno i wyraźnie. Jim zauważył, że jego akcent niewiele się różnił od dialektu mieszkańców hrabstwa Somerset. – ...powtarzam! – ciągnął Hill.

–Słyszę cię, Hill! – rzekł Jim. – Tylko co rozumiesz przez „tędy”?

Hill uniósł jedną ze swych dziwnie długich rąk, zupełnie zakrytą przez jeszcze dłuższy rękaw. Wskazał nią kierunek.

–Powinniśmy skręcić w lewo.

–Dlaczego? – zapytał Brian, który szybko zrozumiał, o co chodzi. – Zapytaj go, dlaczego akurat tędy?

–Dlaczego, Hill? – spytał Jim.

–Musimy! – rzekł uparcie Hill.

Jim spojrzał we wskazanym kierunku. Hill pokazywał na najbliższe drzewa i coś, co mogło być stertą głazów lub podnóżem ciągnącego się za horyzontem pasma górskiego. Znajdowało się w przeciwnym kierunku niż ogromny srebrny krąg, który oblewał wszystko swoim blaskiem.

–Czy możemy mu zaufać? – zmarszczył brwi Brian. – Carolinus ostrzegał, że to kraina

magii i ułudy i niczemu nie wolno tu ufać.

–Cóż, Hill, tak samo jak my, przybył tutaj z zewnątrz – rzekł Jim, odwracając się i patrząc na malca. Ku swemu zdziwieniu, zobaczył cieknące po jego policzkach łzy.

–Musimy! – powtórzył Hill.

–Możemy mu zaufać? – ostro zapytał Brian.

Jim spojrzął na towarzyszy, którzy siedzieli na rumakach zaledwie dwa metry dalej. Obaj właściwie zrozumieli Hilla.

–Tak sędzę – odparł Jim, mimo woli poruszony emocjami, które kryły się w głosie Hilla.

– W końcu znalazł się tu z nami przypadkiem i nie mógł wiedzieć, że tutaj zawędrujemy. A ponadto – dodał po namyśle – przecież i tak nie wiemy, dokąd jechać. Tak więc każdy kierunek jest dobry. Będziemy ostrożni i jeśli się okaże, że to niebezpieczne, zawsze możemy wrócić. Ponadto dowiemy się w ten sposób, czy możemy wierzyć Hillowi. – Zdając sobie sprawę, że Hill słyszał te słowa, które mogły zranić jego uczucia, Jim odwrócił się do malca. – Ja chyba mu wierzę – dodał.

Hill zamrugał, ale w jego oczach już nie było łez.

–Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał go Jim.

–Nie – odparł Hill, potrząsając głową.

–Masz mówić „milordzie”, kiedy zwracasz się do mojego pana! – rzucił ostro Hob. – Zawsze mów „milordzie”, kiedy z nim rozmawiasz!

–Racja! – rzekł Brian i nawet Dafydd lekko skinął głową. Hill nic nie powiedział.

–Chcę to usłyszeć! – naciskał Hob.

–Nie – usłyszał Jim.

Dafydd i Brian, którzy oczywiście nie słyszeli odpowiedzi Hilla, czekali.

–Dlaczego nie?! – krzyknął Hob.

–Bo on nie jest moim lordem! – rzekł Hill i znów zaczął płakać.

To śmieszne, pomyślał Jim, lecz stwierdził, że porusza go widok tego płaczącego malca. Jakby patrzył na małe dziecko nie potrafiące się uporać z przerastającym je problemem.

–Nieważne, jak do mnie mówi. No cóż, spróbujemy pojechać w tym kierunku, który nam wskazał.

Brian był oburzony.

–W takim razie – wycedził – ja pojedę pierwszy. Przez cały czas trzymajcie się w zasięgu wzroku i gdybyście stracili mnie z oczu, natychmiast zawołajcie. Nie możemy się rozdzielić.

Ruszyli, przy czym Brian jechał na przedzie, a Jim na końcu grupy, obok jucznego konia, usiłując wyciągnąć coś z Hilla. Ten najwidoczniej powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Wreszcie Jim zrezygnował, wyprzedził jucznego konia, a ponieważ w tym miejscu drzewa rosły rzadziej, zrównał się z Dafyddem i jechał obok niego po kamienistym gruncie porośniętym rzadkimi kępami srebrzystej roślinności. W miarę jak wielka srebrna tarcza Wznosiła się na niebie, jednocześnie jakby się kurcząc, widoczna przed nimi ściana czarnego kamienia wydawała się znacznie bliższa.

Jim uznał, że czas spędzony na próbach nakłonienia Hilla do rozmowy nie był zupełnie stracony. Zauważył pewne szczegóły. Na przykład trudno było powiedzieć, kiedy Hill mówi

„ty”, a kiedy „my” czy „wy”. Być może zależało to od drobnych różnic intonacji.

Wzniesienie, ku któremu zmiierzali, widziane spomiędzy drzew, okazało się nie tak odległe, jak się zdawało. W krótkim czasie stało się znacznie wyższe, chociaż w zdradliwym świetle tej srebrzystoczarnej krainy trudno było ocenić odległość.

Wjechali w prastary bór. Drzewa tu były niemal równie wielkie, chociaż nie tak ulistnione jak te w znanych im lasach stojących w promieniach zwykłego słońca, a między nimi rozpościerały się polanki lub większe otwarte przestrzenie. Po prawie godzinie Brian niespodziewanie przystanął, gestem dając im znak, aby zrobili to samo.

Jim, Dafydd i juczny koń – ten ostatni zawsze ochoczo wykorzystujący okazję do przerwy w pracy – natychmiast się zatrzymali. Brian siedział na znieruchomiałym Blanchardzie, spoglądając na widoczną między drzewami polankę. Po chwili zawrócił i powoli podjechał do towarzyszy.

–Tam, na tej otwartej przestrzeni przed nami, jest jakiś rycerz – powiedział cicho, kiedy zrównał się z nimi.

–Skąd wiesz, że to rycerz? – zapytał Jim.

–Trudno się pomylić – rzekł Brian. – Ma pas rycerski, miecz, kopię i jest odziany w pełną choć trochę staromodną zbroję. Co więcej, po rycersku siedzi na koniu, aczkolwiek w starym i dziwnie wyglądającym siodle. Przedni i tylny łęk są zbyt niskie, żeby nadawały się do turnieju.

–Zauważyłeś, co robi? – spytał Jim.

–Wygląda na to, że tylko siedzi na koniu i rozmyśla – odparł Brian. – Może to podróżny zastanawiający się, którądy jechać – tak jak niedawno my. A może usiłuje przypomnieć sobie coś, co zapomniał zrobić i z powodu czego będzie musiał wrócić do domu.

–Jest sam?

–Zgadza się, Jamesie – odrzekł Brian. – Sam. Nie mogę wiele powiedzieć o jego rumaku, gdyż w tym świetle nie mam pewności. Wydaje się czarny, ale może to kasztanek. W każdym razie to zacny rumak, ciężki i odpowiedni dla kopijnika.

–No cóż, chyba powinniśmy podjechać tam i przywitać się z nim – rzekł Jim. – Jak sądzisz, Brianie? A ty, Dafyddzie?

–Ja nie jestem rycerzem – odparł Dafydd. – Nie mam na ten temat zdania.

–Sądzę, że jak najbardziej powinniśmy tam podjechać i porozmawiać z nim – rzekł Brian. – Nie możemy przegapić takiej okazji. On może wskazać nam drogę, a nawet przekazać jakieś krzepiące wieści o twoim podopiecznym.

–Masz rację – przytaknął Jim.

Brian obrócił Blancharda i we trzech ruszyli naprzód, jadąc obok siebie. Juczny koń otrząsnął się i pokłusował za nimi, i wszyscy razem wyjechali na polanę.

Rozdział 22

Rycerz był najwyraźniej tak głęboko zatopiony w myślach, że nie podniósł głowy i nie spojrzął w kierunku nadjeżdżających, dopóki nie znaleźli się na polance. Wtedy natychmiast obrócił rumaka, stając twarzą do nich.

Podniesiona przyłbica odsłaniała twarz, która – być może z powodu kilku miejsc nie tkniętych przez „słońce” – miała ponury i gniewny wygląd.

Brian zatrzymał się, a Jim i Dafydd poszli za jego przykładem.

–Zacny rycerzu! – zawołał Brian do nieznanego, od którego dzieliła go jeszcze odległość dobrych kilku metrów. – Racz nam wybaczyć, że zakłócamy twoją samotność, ale może będziesz tak uprzejmy i wskażesz podróżnym właściwą drogę?

Ponure oblicze samotnego rycerza rozjaśnił szeroki uśmiech. Nieznajomy popędził rumaka, który truchtem ruszył ku przybyłym.

–Oczywiście! Oczywiście! – rzekł rycerz, podjechawszy do nich. – Z przyjemnością. Czuję się tu taki samotny przez tak długi czas, w deszcz i niepogodę. Wiecie jednak, że nie miałem innego wyjścia. Przodek gdzieś tu jest, lecz nigdy nie wiadomo, gdzie się pokaże, tak więc ktoś musi przemierzać te lasy. A ponieważ jestem głową rodu, nie miałem wyboru. Chętnie służę wam wszelką pomocą!

–To ogromnie uprzejmie z twojej strony, panie – rzekł Brian. – Pozwól, że przedstawię ci barona sir Jamesa Eckerta de Bois de Malencontri. Ja jestem sir Brian Neville-Smythe, z młodszej linii Neville’ów. A to nasz towarzysz, mistrz łuku, Daiydd ap Hywel.

–Jestem zaszczycony. Nie mogliście przybyć w lepszym momencie. Znużyła mnie samotność. Jestem sir Dinedan.

–Sir Dinedan? – Gdy Brian powtarzał imię rycerza, jego głos załamał się w sposób, jakiego Jim nigdy nie słyszał w jego ustach. – To spotkanie to dla nas zaszczyt, sir Dinedanie. Jesteś niezwykle uprzejmy, tak grzecznie i przyjaźnie rozmawiając z nami, których imiona – choć obaj jesteście rycerzami – z pewnością nie są ci znane.

–Cóż, to prawda – przyznał sir Dinedan. – Lecz niczego innego nie oczekiwałem. Wasze zbroje i broń wyraźnie świadczą że nie jesteście kornwalijskimi rycerzami. Ponadto nigdy nie widziałem równie pięknego rumaka jak ten, na którym siedzisz.

–Jestem jeszcze bardziej zaszczycony – powiedział Brian. – Mój koń nazywa się Blanchard de Tours, zacny panie. Można rzec, iż ojciec w pewnym sensie podarował mi go na łożu śmierci, gdyż rumak kosztował mnie prawie całą ojcowiznę.

–Łatwo mi w to uwierzyć – rzekł sir Dinedan. – Powiedziałeś jednak, że chcielibyście, abym wskazał wam drogę przez ten las? Nie dopełniłbym obowiązku wobec mego przodka, gdybym nie pomógł takim dzielnym rycerzom. Dokąd zmierzacie?

–Właściwie – odparł Brian – dokładnie nie wiemy. Szukamy tu zaginionego podopiecznego sir Jamesa. Dziecka, które niedawno zostało porwane – prawdopodobnie przez jakiegoś ducha. Zamierzamy je odzyskać.

Sir Dinedan cicho gwizdnął.

–To nie lada zadanie – rzekł. – Nie mówię, iż nie ma tu duchów, ale znalezienie ich to zupełnie inna historia. Być może czeka was jeszcze długa podróż. I niewiele mogę wam powiedzieć o drodze, którą powinniście wybrać. Gdyby był tutaj przodek lub gdybyście napotkali go podczas jazdy przez las, może prędzej zdołałby wam pomóc, jako lepiej zaznajomiony z takimi istotami niż ja, ponieważ ja jeszcze żyję. Może jeśli pojedę kawałek z wami, zwiększy to wasze szanse na spotkanie z nim, gdyż jako członek rodziny widuję go częściej niż ktokolwiek inny.

–Zaiste bardzo to uprzejmie z twojej strony! – powiedział Brian lekko drżącym głosem i Jim zerknął na niego ze zdziwieniem. – W takim razie – ciągnął Brian – skoro mamy jechać razem, może zechcesz wyrządzić mi największy zaszczyt, o jaki można prosić kogoś takiego jak ty. Aczkolwiek odniosłem pewne skromne sukcesy w walce na kopie z innymi

rycerzami w kraju, z którego pochodzę, wiem, iż z mojej strony to nadmierna śmiałość. Jednakowoż, gdybym wyszedł żywy z tego starcia, do końca życia radowałbym się wspomnieniem, iż miałem zaszczyt potykać się z rycerzem Okrągłego Stołu. Czy zechciałbyś stoczyć ze mną jedną walkę?

Sir Dinedan patrzył na niego przez chwilę.

–Obawiam się, sir – rzekł w końcu – że mylisz mnie z moim przodkiem. To prawda, że jestem sir Dinedan, ale sir Dinedan obecny. To mój przodek był rycerzem Okrągłego Stołu. Choć od tego czasu minęło wiele pokoleń, imię pozostało w rodzinie. Nie chciałbym, abyś potykał się ze mną z niewłaściwych pobudek.

–Nie jesteś tym sir Dinedanem, który pojechał z sir Tristramem przeciw trzydziestu rycerzom królowej Morgan le Fay, ratując sir Lancelota du Lac?

–Nie – odrzekł sir Dinedan. – Jak powiedziałem, to był mój przodek, a nawiasem mówiąc, ta opowieść została zniekształcona przez kolejne pokolenia, błędnie przypisujące większą zasługę sir Tristramowi.

Brian otworzył usta, ale znów je zamknął.

–Tak – ciągnął sir Dinedan Obecny. – Jak wiecie, on też był dzielnym rycerzem Okrągłego Stołu. Jednakże kiedy przyszła wieść, iż trzydziestu rycerzy czeka w zasadzce na sir Lancelota, to mój przodek, a nie sir Tristram natychmiast rzekł, iż trzeba zaatakować i pobić tych trzydziestu rycerzy, aby uratować Lancelota. To sir Tristram się ociągał, twierdząc, że atak na trzydziestu rycerzy jest zbyt ryzykowny, a kuzyn Lancelot już kilkakrotnie pakował go w takie awantury, dlatego postanowił, że więcej nie da się w nie wciągnąć.

Jim miał wrażenie, że opowieść płynie zbyt gładko, jakby sir Dinedan opowiadał ją wiele razy. Milczał jednak, gdy rycerz mówił dalej.

–Wtedy mój przodek zawstydził go, mówiąc, że jeśli tylko zechce walczyć z jednym rycerzem, on weźmie na siebie pozostałych dwudziestu dziewięciu. Tedy sir Tristram przystał na to, pojechali i pobili tych trzydziestu, a sir Tristram, odzyskawszy odwagę, zabił dziesięciu z nich. Mój przodek zabił dwudziestu, ratując sir Lancelota. Powiadam wam, abyście nie dali się zwieść opowieściom innych, którzy twierdzą, iż było odwrotnie.

–Hm! – chrząknął zmieszany Brian i Jim nabrał pewności, że przyjaciel niewątpliwie słyszał inną wersję tej opowieści.

Prawdę mówiąc, pomyślał Jim, jeśli wierzyć temu, co napisał Malory w *Le Morte Darthur*, na pewno było zupełnie inaczej i to obecny sir Dinedan podawał im przekręconą wersję wydarzeń. Przede wszystkim, jeśli Jim dobrze pamiętał, to nie sir Tristram, lecz sir Dinedan był kuzynem Lancelota.

Jednakże to wszystko nie miało znaczenia. Sir Dinedan już zgodził się stoczyć z Brianem walkę na kopie, jeśli zadowolili go pojedynek z dalekim potomkiem prawdziwego sir Dinedana, a Brian chętnie wziął go za słowo. Jim zastanawiał się, czy nie powinien się sprzeciwić temu ze względu na niedawno odniesioną przez Briana ranę, ale nie przychodził mu do głowy żaden sposób, w jaki mógłby to zrobić, nie obrażając przyjaciela.

–Obawiam się, że jedyna kopia, jaką zabrałem, tkwi przy moim siodle – powiedział Brian. – Z ostrym grotem, oczywiście, jak przystoi rycerzowi w obcej krainie.

–Hm, a czyż moglibyśmy się potykać inaczej niż na ostre? – zapytał sir Dinedan,

unosząc ze zdziwieniem pociemniałe w słabym świetle brwi. – Czy potykasz się z innymi nie na ostre kopie?

–Och, dla wprawy i zabawy, rozumiesz – rzucił niedbale Brian, ale Jim wyczuł w jego głosie zmieszanie. – Nie, nie, oczywiście na ostre. Czy życzysz sobie wybrać ten koniec polany, z którego pragniesz ruszyć...

To pytanie wywołało krótką dyskusję odnośnie warunków pojedynku, które szybko uzgodniono. Jim miał dać znak do walki. Ustawił Gorpa w połowie odległości dzielącej obu rycerzy, podniósł rękę, a potem opuścił ją. Obaj jeźdźcy runęli naprzód, a Jim pospiesznie wycofał Gorpa.

Trzask zderzenia zabrzmiał potwornie głośno w ciszy srebrzystoczarnego lasu, a jego rezultat był równie spektakularny. Kopia sir Dinedana ześliznęła się po tarczy przeciwnika, zręcznie przechylonej w ostatniej chwili, aby wywołać właśnie taki efekt, natomiast grot kopii Briana trafił w sam środek tarczy sir Dinedana, obalając nie tylko rycerza, ale także jego rumaka.

Koń wy dostał się spod ciała rycerza i wstał, po czym energicznie się otrząsnął. Brian wstrzymał swojego wierzchowca, podjechał z powrotem i spojrzał na sir Dinedana, który leżał nieruchomo na ziemi.

–Boże miej litość! – zawołał Brian, zeskakując z konia. – Czyżbym zabił tego zacnego rycerza?

Uklęknął obok powalonego i podniósł mu przyłbicę. Sir Dinedan miał zamknięte oczy.

–Sir Dinedanie...?

–Nie jestem całkiem martwy – odparł słabym głosem rycerz. – Może nawet przeżyję. Łyk wina z bukłaka przy łęku mojego siodła...

Brian zerwał się na równe nogi, chwycił cugle wierzchowca sir Dinedana, łagodnymi słowami uspokoił przestraszone zwierzę i zdjął bukłak z łęku. Wrócił, wyjął zatyczkę i delikatnie uniósł głowę sir Dinedana. Przytknął bukłak do ust rycerza, który przełknął kilka łyków, zanim Brian odjął manierkę.

–Jeszcze – rzekł sir Dinedan, otwierając jedno oko. Brian spełnił tę prośbę. – Ach, to przywraca mi życie. – Otworzył drugie oko. – Może mimo wszystko przeżyję. Jednakowoż, sir Brianie, pragnę mieć ten zaszczyt i radować się twym zwycięstwem nawet nad tak słabym przeciwnikiem jak ja.

–Dlaczego nazywasz się słabym? – zapytał Brian. – Jesteś godnym rycerzem.

–Ach, gdyby tylko tak było... Jeszcze odrobinę wina, jeśli laska... Piękne dzięki. Niestety tak nie jest. Od wielu pokoleń moją rodzinę trapi okrutna słabość. Czasami, bez ostrzeżenia, nachodzi nas i odbiera siły. Tak się złożyło, że nasza mnie tuż przed naszym spotkaniem.

–Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – zapytał Brian, troskliwie pomagając mu wstać.

–Co? – rzekł sir Dinedan, marszcząc brwi. Był dobre pięć centymetrów wyższy od Briana i znacznie szerszy w ramionach. – Kiedy moim obowiązkiem jako głowy rodziny jest codziennie objeżdżać te lasy, szukając okazji do właśnie takich pojedynków? Ja, w którego żyłach płynie krew pierwszego sir Dinedana gotowego samotnie walczyć z trzydziestoma rycerzami, gdyby sir Tristram nie zmienił zdania i pojechał, żeby mu pomóc?

–Oczywiście! – łagodził Brian. – Dżentelmen nie powinien o tym wspominać. Racz mi wybaczyć.

–Z przyjemnością – odparł sir Dinedan, ponownie dosiadając konia. Nachylił się, wziął bukłak z rąk Briana i jeszcze raz przytknął naczynie do ust, zanim powiesił je na łąku. – Ponadto ta słabość szybko mija bez śladu. Nigdy się na nią nie skarżę.

–Jak przystoi zacnemu rycerzowi – rzekł z podziwem Brian. On też wsiadł na konia i ruszyli. Jechali na przedzie, a sir Dinedan zaczął opowiadać o swoim zamku pełnym krewnych.

–...prawdę mówiąc, z przyjemnością opuszczam go za dnia... – mówił.

Jim ledwie go słuchał. Dziwne, ale w tym momencie bez wyraźnego powodu brakowało mu jego magicznych umiejętności. Miał wrażenie, że czegoś mu brak, jakby zapomniał o czymś, co w każdej chwili może mu być potrzebne. Odczuł pewną emocjonalną pustkę.

Próbując się z tego otrząsnąć, usłyszał jakiś szmer wśród pobliskich drzew. Źródło tego dźwięku znajdowało się gdzieś po prawej stronie i na tyle daleko, że drzewa nie pozwalały go dostrzec. Jednak chwilę później doleciał stamtąd zgiełk jakby stu rozszalałych psów i kilka sekund później wjechali na polankę w samą porę, by zobaczyć zwierzę podobne do przerośniętego lamparta, z łbem boa dusiciela, długim lwim ogonem zakończonym chwostem oraz płomieniami tryskającymi z nozdrzy.

–Tropiąca Bestia! – wykrzyknął Brian.

–Ach tak – rzekł sir Dinedan i pomachał do niej ręką, wołając: – Mam nadzieję, że masz się dobrze, TB!

Tropiąca Bestia obróciła łeb i spojrzała na niego, po czym uniosła łapę w krótkim pozdrowieniu i znikła między drzewami, wydając dźwięki, w których Jim rozpoznał teraz odgłos stada tropiących zwierzynę psów. Pospiesznie popędził Gorpa i dołączył do dwóch rycerzy.

–Kogo ona tropi? – pytał Brian Dinedana.

–Króla Pellinore'a – odparł rycerz. – Pierwszego króla, wiecie – tak samo jak ona jest pierwszą tropiącą bestią.

–Myślałem, że to król Pellinore ścigał bestię? – zdziwił się Brian.

–Cóż, oboje się ścigali, jeśli wiecie, o czym mówię – odrzekł sir Dinedan. – Tak jak przodek krąży tutaj, ale nie spotykają się, chyba że przypadkiem. W rzeczywistości są przyjaciółmi, wiecie?

–Nie wiedziałem – mruknął Brian.

–Och tak – powiedział sir Dinedan. – Kiedyś polowali razem, kiedy TB miała legowisko w pobliżu zamku Pellinore'a, zanim lawina zasypała wejście i zmusiła ją do przeprowadzki w inne strony. Chociaż nawet wtedy niezbyt dobrze szły im łowy. Mimo to brakowało im tych spotkań i teraz widzicie rezultaty.

–Aha – powiedział w zadumie Brian.

–Sir Dinedanie – zapytał Jim. – Gdzie dokładnie się znajdujemy?

–Cóż, jeśli nic się nie zmieniło, jak to często tutaj bywa – odrzekł rycerz – nadal jesteśmy w Lesie Potyczek i niedługo czeka nas kolejna przygoda.

–Kolejna przygoda? – powtórzył Brian, wytrzeszczając oczy.

–Och tak – odpowiedział sir Dinedan. – Jest ich tu pełno. Nie można ich uniknąć.

–Co... – Brian urwał. – A więc gdzie spodziewasz się następnej? – Rozejrzał się, trzymając dłoń na rękojeści miecza.

–Powinna być tuż za następną grupą drzew. Przynajmniej w takich miejscach zwykle czekają.

Minęli drzewa i wyjechali na kolejną polanę. Wszyscy wstrzymali konie.

Po lewej srebrne słońce minęło zenit i zaczęło opadać za horyzont, a przy tym stawało się jakby większe i zalewało wszystko oślepiająco białym światłem. Blask oblewał nie tylko polankę, ale również stromą ścianę urwiska wznoszącego się dwadzieścia lub trzydzieści metrów dalej, gdzie majaczyła jeszcze wyższa skała, a za nią jeszcze jedna.

W tym dziwnym świetle trudno było mieć pewność, ale skała wyglądała na granit i była zupełnie gładka, tylko naprzeciw nich, w miejscu, gdzie urwisko spotykało się ze ściółką lasu, znajdował się owalny wylot jaskini lub tunelu. Otwór wyglądał na dostatecznie szeroki, aby wszystkie cztery konie mogły wjechać weń równocześnie.

Światło ukazało również jakieś dziwne runy wyryte w skale nad otworem. W srebrnych promieniach te znaki wyglądały jak czarne rany w skale. Gdy tak na nie patrzyli, runy poruszyły się i zaczęły zmieniać kształt, aż – przynajmniej dla oczu Jima, gdyż ani Brian, ani Dafydd nie umieli czytać – przybrały formę liter.

–Co głosi napis? – zapytał Brian, spoglądając na znaki. Jim przeczytał:

KTO WCHODZI, ODCHODZI KTO ODCHODZI, WRACA – Żegnajcie – powiedział sir Dinedan, zawracając konia i ruszając z powrotem w las.

Jim jako jedyny zauważył, że ich opuszcza.

–Może teraz – rzekł z satysfakcją Brian – dopadniemy naszą zwierzynę.

Jednak ich wierzchowce pokonały zaledwie połowę drogi do urwiska, gdy towarzysze usłyszeli kobiecy głos.

–Pomocy! – krzyczał. – Och, pomocy! Ratunku!

Wszyscy trzej wstrzymali konie i spojrzeli na lewo, skąd spomiędzy drzew wybiegła kobieta w białej sukni i z twarzą zakrytą woalką. Na ich widok przystanęła, zachwiała się, a potem stała spokojnie. Woal lekko się wydymał i opadał, poruszany jej ciężkim oddechem, gdy z trudem łapała powietrze. Skierowali konie w lewo i podjechali do niej. Kobieta była dość szczupła i niewysoka. Spod nakrycia głowy wymykały się jej czarne włosy, ale nic więcej. Resztę twarzy i ciała skrywała woalka oraz suknia.

–Cóż cię niepokoi, milady? – zapytał grzecznie Brian. – Czy ktoś cię ściga? – Obrzucił spojrzeniem drzewa za jej plecami, a w tym momencie kobieta odzyskała głos.

–Nie! – jęknęła. – Błagam na wszystko, szlachetni panowie, pomóżcie mi w niedoli! Oni chcą... zabić mojego brata... i ojca!

–Gdzie te łotry ich trzymają, milady? – zapytał Brian, stając w strzemionach i usiłując dojrzeć coś wśród drzew za jej plecami.

–Niedaleko stąd – odparła. Jej pierś falowała w przyspieszonym oddechu. Jim odniósł wrażenie, że jej głos brzmi dziwnie znajomo, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego. Nie był to głos dziewczyny ani młodej kobiety. – Te diabły... otoczyli nas. Mają tylko maczugi, ale jest ich wielu. Mój ojciec i brat są nieuzbrojeni, mają tylko sztylety. Błagam was, pomóżcie im. Pomóżcie, na Boga!

–Tak też zrobimy, niezwłocznie! – rzekł Brian. – Inaczej bodajbym nigdy już nie dobył

miecza! Daj mi dłoń, pani.

Wyciągnęła rękę, a on – nawet nie odchylając się w siodle – bez wysiłku chwycił ją i posadził za swoimi plecami na grzbiecie Blancharda.

Jim zauważył, że zrobił to pozornie bez wysiłku, a kobieta przyjęła to jako najzwyczajszą rzecz pod słońcem. Jim wciąż zapominał, jak silny jest Brian, chociaż szczuplejszy i kilka centymetrów niższy od niego. Właściwie zapominał, jak silni są wszyscy ludzie w tych czasach. Raz widział w Malencontri służącego, który był od niego o głowę niższy, lecz bez wysiłku zarzucił sobie na plecy i poniósł wiązkę drewna na opał, którą Jim ledwie zdołał podnieść.

Przypomniał sobie, jak przybywszy tutaj, łudził się, iż większe rozmiary i wieloletnie uprawianie różnych sportów czynią go równie silnym lub silniejszym od większości ludzi żyjących w czternastym wieku. Szybko wyzbył się tego złudzenia.

Teraz jednak nie miał czasu na takie rozważania. Brian już trącił ostrogami boki Blancharda i z uciśnioną dziewczicą – jak mimowolnie ochrzcił ją w duchu Jim – pogalopował w las. Pozostali podążyli za nim jak najszybciej, ale juczny koń, którego cugle odwiązały się od siodła Dafydd, niepostrzeżenie zwolnił, pozostał w tyle, a potem stanął za krzakami, które skutecznie go zasłoniły.

Po pokonaniu zaledwie dziesięciu metrów wyjechali na mniejszą polanę otoczoną gęstym pierścieniem drzew. Brian osadził Blancharda na jej środku, a panna ześliznęła się z końskiego grzbietu.

Naprzeciw niej rzeczywiście stali dwaj mężczyźni, starszy i młodszy, obaj w opończach z odrzuconymi na ramiona kapturami, przepasani w talii szarfami imitującymi rycerskie pasy. Szarfa starszego była nabijana i wyszywana – prawdopodobnie złotem, chociaż Jim nie potrafił tego stwierdzić przy tym świetle – lecz część ozdób wypadła. Pas młodszego był tylko malowany. Takie stroje nosiło się raczej w domu, a nie w podróży, i obaj mężczyźni wyraźnie czuli się w nich nieswojo, bardziej zakłopotani niż przestraszeni.

Istotnie, obaj byli uzbrojeni w sztylety, ale nie wyjęli ich – bardzo niezwykle zachowanie w obliczu wroga. Jim spojrzał na kobietę. Wciąż miał wrażenie, że kogoś mu przypomina. Gdy mężczyźni sięgnęli po sztylety, ona też wyrwała zza pasa nóż i na widok ostrza coś przypomniało się Jimowi, lecz w tym momencie ze wszystkich stron na polanę wysypali się napastnicy.

Rzeczywiście byli uzbrojeni tylko w maczugi, ale były to ciężkie maczugi. Ponadto taki oręż doskonale im odpowiadał, gdyż byli olbrzymami mierzącymi trzy i pół metra, odzianymi w spódniczki z nie wyprawionych skór.

Jim spiął Gorpa, podjechał do kobiety, sięgnął ręką i zerwał woal z jej twarzy. Ujrzał doskonale mu znaną twarz Agathy Falon, ciotki Roberta, wykrzywioną obrzydliwym grymasem triumfu. W następnej chwili zniknęła razem z dwoma mężczyznami.

Giganci jednak pozostali, zbliżając się w milczeniu. Było ich co najmniej dwudziestu i najwyraźniej nie byli przyjaźnie usposobieni. Ich wielkie postacie otaczały trzech podróżnych. Brian już wyjął kopię z olstra, a Jim poszedł w jego ślady, obracając Gorpa w przeciwną stronę. Wstrzymał się na widok Dafydd, który zajął pozycję obok nich, tak że we trzech mogli obserwować całą polanę. Jim usłyszał brzęk cięciwy i zobaczył, jak jeden z olbrzymów bez jęku osuwa się na ziemię, potem drugi wypuścił z rąk pałkę i oburącz chwycił brzechwę strzały o szerokim grocie, która przeszła mu kolano.

Giganci, którzy dotychczas podchodzili powoli, nagle rzucili się do ataku.

Wtem przeraźliwe wycie sfory ujadających psów rozdarło powietrze. Giganci odwrócili

się, podnosząc dwóch swoich powalonych strzałami Dafydd i zabierając ich ze sobą. W mgnieniu oka zniknęli między drzewami, a sekundę później na polankę wybiegła Tropiąca Bestia. Długi jęzor zwiślał jej z rozciągniętej w szerokim uśmiechu paszczy, jeśli można tak nazwać grymas malujący się na pysku zwierzęcia o gadzim łbie.

Przydreptała do Jima i zaczęła poszczekiwać. Nie przestawała i Jim zrozumiał, że usiłowała mu coś powiedzieć.

–Hobie – powiedział Jim, rozglądając się wokół. – Gdzie juczny koń?

Zanim ktoś mu odpowiedział, zwierzę spokojnie wyłoniło się zza krzaków. Hob spoglądał na nich, siedząc między uszami konia.

–Tak, milordzie?

–Hobie – rzekł Jim. – Czy rozumiesz, co ona mówi?

–Och tak, milordzie – odparł Hob. Głos mu się zmienił, a słowa zaczęły monotonicznie płynąć z jego ust jak dobrze zapamiętana lekcja. – Mówi, że on i przodkowie, którzy byli prawymi rycerzami Okrągłego Stołu, wiernymi królowi Arturowi do ostatniej bitwy, przybyli tu pierwsi i są panami tej krainy. Wszystkie stworzenia, takie jak te olbrzymy, muszą schodzić im z drogi – i tak też czynią, inaczej drzewa pochwytyłyby ich i udusiły. Widząc, iż jesteśmy przyjaciółmi tego, kto należał do jednego ze starożytnych rodów, przysłała nam z pomocą.

Wydawszy jeszcze jedno przyjazne warknięcie, TB zniknęła między drzewami i przez długą chwilę słyszeli jej przeraźliwe wycie cichnące w oddali.

Rozdział 23

–Ach! – odetchnął z satysfakcją Brian. – Teraz możemy zajrzeć do jaskini!

Jaskinia, kiedy rzeczywiście do niej wjechali, okazała się czymś więcej, niż Jim się spodziewał. Po pierwsze, tunel za wejściem również był dostatecznie szeroki, aby mogli nim jechać wszyscy trzej obok siebie – przy czym juczny koń niechętnie truchtał za nimi na uwięzi – chociaż Dafydd z uprzejmości i szacunku dla rycerzy trzymał się o pół końskiej długości za nimi. Po drugie, tunel miał płaskie dno, które jak okiem sięgnąć lekko opadało, a ściany i sklepienie półokrągłe, najwyraźniej wykute w skale.

Skala wyglądała na czarny granit – Jim znów dostrzegł normalne barwy – ale sączyło się z niej światło, nie z powierzchni, lecz jakby z jakiegoś ukrytego w niej źródła. Poświata pozwalała im widzieć na odległość około dziesięciu lub dwunastu metrów, kiedy pozostawili za sobą wylot jaskini.

–Wydaje mi się to nieco dziwne, Jamesie – zauważył Brian i odwrócił się do Dafydd. – Nie uważasz, Dafyddzie?

–Nie, sir Brianie – odparł Dafydd. – Jednakże mam niedobre przeczucia. Sądzę, iż powinniśmy trzymać broń w gotowości.

–Zaiste – rzekł Brian. – Jak w każdym nie znanym miejscu. Mówiono mi to nieraz, kiedy wjeżdżałem z innymi na rynek jakiegoś obcego miasta. Pamiętam, że kiedyś, taka przestroga bardzo nam pomogła. Było nas tylko czterech, choć samych rycerzy, gdy kilka kilometrów od Winchesteru...

Gwałtownie osadził rumaka, a Jim i Dafydd odruchowo poszli za jego przykładem.

Jakby minęli jakieś niewidoczne drzwi: nie znajdowali się już w tunelu, lecz w jaskini, której odległe ściany krył mrok. Przed nimi wznosiły się kamienne palce – las stalagmitów

wyrastających z dna jaskini oraz stalaktytów zwisających z pogrążonego w ciemnościach sklepienia – a całe podziemie rozbrzmiewało pluskiem kropeł spadających z kamiennych sopli. Komnatę rozjaśniał ten sam blask, który dotychczas oświetlał im drogę. W tej kamiennej dżungli dno jaskini przechodziło w trakt równie szeroki i prosty jak budowane przez Rzymian.

–Piekielne, ale pomocne światło – zauważył Brian.

–Wszystko tu świeci – rzekł Jim. – Jakby pod powierzchnią skał była fosforyzująca warstwa.

Brian, a nawet Dafydd spojrzeli na niego z szacunkiem. Czasem z ust Jima padały długie słowa, których nikt nie rozumiał. Niewątpliwie były to magiczne zaklęcia.

–Cokolwiek to jest, jest bardzo przydatne – powtórzył Brian nieco weselszym tonem, ponieważ Jim najwidoczniej podjął już odpowiednie kroki, żeby przeciwdziałać niesamowitej magii tego miejsca. Ruszyli.

Dalej jaskinia rozszerzała się jeszcze bardziej, tworząc ogromną salę, której ścian nie dało się dostrzec. Droga zwęziła się w ścieżkę i biegła wśród kamiennych palców, niknąc w oddali; wciąż prowadziła w dół.

Dziwna poświata wydawała się coraz jaśniejsza – a może ich oczy przyzwyczyły się do niej. Panującą wokół ciszę podkreślało wszechobecne kapanie kropeł wody. Jim przypomniał sobie krótki wiersz, którego nauczył go przewodnik górski w Stanach Zjednoczonych, aby ułatwić zapamiętanie nazw skalnych formacji.

Stalaktyty gromadą ciasną opadają, A stalagmity rosną, jeśli wodę mają.

Jim zastanawiał się, czy któryś z jego towarzyszy był już kiedyś w takiej jaskini, ale ponieważ niczym nie okazywali, że widzą w tym coś niezwykłego, wolał ich nie pytać.

Przy sączącym się ze skał blasku podążali krętą drogą i po chwili zupełnie stracili poczucie kierunku.

–Milordzie? – usłyszał Jim za plecami głosik Hoba, cichy i bardzo słaby, lecz mimo to odbijający się echem wśród kamiennych sopli.

–O co chodzi, Hobie? – zapytał Jim, nie odwracając głowy.

–Tu są... sam nie wiem. Wokół nas.

–Gdzie? – Jim rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł.

–Nie rozglądaj się, milordzie. Kiedy to robisz, one się kryją. Spróbuj patrzeć przed siebie i obserwować wszystko kątem oka.

Jim spróbował to zrobić, ale przez chwilę – długą chwilę – słyszał tylko stukot kopyt na kamieniach i kapanie wody. Potem jego wbite w przestrzeń oczy dostrzegły jakiś ruch po prawej stronie, a sekundę później po lewej.

Ukradkiem obserwując je, dostrzegł ciemne sylwetki olbrzymów nieco mniejszych od tych, z jakimi próbowała ich skonfrontować Agatha. Poruszali się na dwóch nogach, ale chwiejnie, prawie jak małpy. Całe ich ciało było pokryte gęstym ciemnym futrem i nie nosili broni. Jednak było ich wielu i poruszali się równolegle do Jima oraz jego towarzyszy. Jim miał wrażenie, że z każdą chwilą podchodzą bliżej.

Brian również usłyszał ostrzeżenie Hoba. Nie tknął kopii, ale znów poluzował miecz w pochwie i kącikiem ust powiedział do Jima:

–Skrzat miał rację – mruknął. – To mała armia i nie życzą nam dobrze. Jeśli zdołamy

znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli stanąć plecami do ściany, będziemy w lepszej pozycji do odparcia ataku.

–Hobie – rzekł Jim, nie odwracając głowy. – Spytaj Hilla, czy wie, co to za stwory. A może już ci coś o nich powiedział?

–Pytałem go – odparł Hob. – Nic nie mówi, ani słowa. Jakby mnie nie słyszał.

Jim zaryzykował i obejrzał się. Twarz malca była jak zwykle pozbawiona wyrazu i nie spoglądał na Jima, lecz przed siebie i na kamienny las, jakby jechał sam i o czymś rozmyślał.

–Hill, słuchaj mnie! – powiedział Jim. – Chcę cię o coś zapytać! Malec nie odpowiedział. Jim zapytał ponownie, ale Hill się nie odezwał. W jego wyglądzie nastąpiła dziwna zmiana. Chociaż jego twarz wyglądała dokładnie tak samo, miał teraz zaciśnięte usta i poważną prawie ponurą minę. Można by rzec, że wyglądał jak idący do bitwy żołnierz albo skazaniec zmierzający na egzekucję. Tak czy inaczej, nie można było nawiązać z nim kontaktu.

–Podeszli bliżej – orzekł Brian.

Skrzyżował ręce. Lewą dłonią nadal trzymał wodze, ale zbliżył ją do sztyletu, a prawą do rękojeści miecza, który miał u boku.

–Proponuję miecz i puginał – rzekł nadal ściszym głosem, lecz tonem towarzyskiej pogawędki. – W takiej walce, Jamesie, tarcze nie na wiele nam się przydadzą. Lepiej się osłaniać ostrzem. – Odrobinę podniósł głos. – Dafyddzie! – rzucił, nie oglądając się na łucznicę. – Proponuję, żebyś zrobił to samo. Ostrze tego długiego noża, który nosisz na prawym biodrze, a nie twoje śmiertelne strzały. Jest ich zbyt wielu, aby śmierć paru powstrzymała pozostałych od ataku.

–Też tak sądzę – odpowiedział równie spokojnie Dafydd. – Jestem tuż za wami i niewątpliwie najlepiej będzie się trzymać jak najbliżej.

Jim poczuł, że coś lekkiego łąduje mu na ramieniu.

–Racz wybaczyć, milordzie – szepnął Hob, lokując się tam. – Chcę być przy tobie.

–W porządku, Hobie – powiedział cicho Jim.

Poczuł, że coś trąca jego rumaka od tyłu i juczny koń przecisnął się między Blanchardem a Gorpem, obejmując prowadzenie. Na nim, najwyraźniej nie panując nad wierzchowcem, siedział Hill, trzymając się końskiej grzywy i spoglądając w dal. Wciąż patrzył przed siebie i zdawał się nie zauważać ani jeźdźców, ani otaczających ich stworzeń. Wysunął się naprzód, a potem juczny koń, znów bez rozkazu, zwolnił do poprzedniego tempa, tak że podążali teraz razem, tylko Hill jechał dwie długości przed nimi, na czele.

Ten manewr wyraźnie powstrzymał otaczające ich stwory. Zwolniły i przestały się zbliżać. Ponadto jakby zaczęło się ich robić mniej.

–Podejrzywałem, że on coś o nich wie – mruknął Brian do Jima. – Może zdoła nas bezpiecznie przeprowadzić.

–Może – przytaknął Jim.

Okryte futrem stworzenia znów zaczęły się poruszać szybciej i zbliżać do jadących. Teraz były już całkiem blisko, a niektóre ukazywały się między świecącymi kolumnami, otwierając pyski i groźnie szczerząc zęby. Brian się przeżegnał.

–Jest jeden problem z przygodami w takich niezwykłych miejscach, Jamesie – rzekł tonem towarzyskiej pogawędki. – Jak tutaj znaleźć księdza, który w razie potrzeby

udzieliłby ostatniego namaszczenia? In manus tuas, Domine.

Stwory zaczęły teraz tłuc pięściami w kamienne formacje. Był to głuchy łoskot, ale – wielokrotnie powtórzony – brzmiał w uszach Jima jak stłumiony werbel. Jim uznał to za sygnał do ataku, więc zaczął wodze o łęk siodła i chwycił sztylet oraz miecz.

Przez chwilę był zupełnie pewny, że nie wydostaną się stąd żywi, gdyż w każdej chwili może nastąpić atak. Dziwne, ale zamiast strachu, żalu lub jakiegokolwiek emocji czuł tylko bezdenną pustkę. Jechał dalej, słuchając werbla.

Potem niespodziewanie przez stłumiony łoskot bębnienia przedarł się ostry, niemal melodyjny dźwięk, jak odgłos stalowego kilofa uderzającego o skałę. Zabrzmiało jak brzęk szklanego dzwonka i bębnienie natychmiast ucichło. Dźwięk się powtórzył i rozbrzmiewał w regularnych odstępach czasu, miarowo jak metronom.

Jim wytrzeszczył oczy. Włochate postacie zastygły. Przez dłuższą chwilę się nie ruszały, a potem jak ciemne smugi zaczęły znikać między kamiennymi filarami jaskini. Nim minęła minuta, nie pozostał ani jeden.

–Na Boga! – rzekł Brian. – To brzmi miarowo jak kościelny dzwon. Cóż to takiego?

Jim nie wiedział. Brian podjechał do Hilla i prawie krzyknął mu do ucha:

–Co to jest?!

Hill jechał, jakby go nie słyszał. Zanim Jim zdążył coś powiedzieć, Hob zawołał ze swego miejsca na jego ramieniu:

–Sir Brianie! Hill odpowiedział!

–I co mówi? – zapytał Brian, oglądając się.

–To moi przyjaciele! – zawołał Hob.

–Wiedziałem! – mruknął Brian, wstrzymując Blancharda i czekając, aż Jim zrówna się z nim. – On nie jest tu obcy! Teraz nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

–Owszem – przytaknął posępnie Jim. – Teraz może wszystko zacznie się wyjaśniać.

–Najwyższy czas – dorzucił Brian. Spojrzał uważnie na Jima. – Teraz przypominam sobie – ciągnął z ponurą miną – że znałeś tamtą kobietę, która niedawno zniknęła razem z jej bratem i ojcem. Patrzyłem gdzie indziej, ale ty najwyraźniej ją rozpoznałeś. Czy to jej sprawka?

–Nie sędzę – odrzekł Jim. – Ale masz rację. To była Agatha Falon, ciotka Roberta.

–Przecież miała woal – zdziwił się Brian. – Jak się domyśliłeś, że to ona?

–Już raz widziałem, jak chwyciła za nóż – odrzekł Jim. – Pamiętasz, opowiadałem ci o tym, jak podczas przyjęcia u earla Angie zastała ją w naszej komnacie, próbującą zabić Roberta. Groziła Angie nożem. Na szczęście w tym momencie wszedłem i odebrałem jej broń.

–Ach tak – powiedział Brian. – Pamiętam, że opowiadałeś o tym. Szkoda że nie ma męża, gdyż za coś takiego powinieneś wyzwać go na pojedynek!

–Nie tylko nie ma męża – odparł Jim – ale ostatnio wróciła do łask Jego Wysokości i przebywa w otoczeniu księcia Edwarda. To ona chciała się tam znaleźć, wbrew woli księcia. Poprosiła króla, aby pozwolił jej tam pojechać. A on oczywiście pozwolił.

–No cóż, jeśli nie jej męża, to chociaż rycerza – rzekł Brian, kończąc temat machnięciem ręki. – A więc nie poniosła żadnych konsekwencji. Powinienem był zwrócić ci na to uwagę. Sprawa nie została należycie załatwiona. Z pewnością mogła znaleźć kogoś, kto spotkałby

się z tobą w jej imieniu. A gdyby zabiła Angelę?

–To nie było takie proste – odparł Jim. – Pamiętaj, że najwyraźniej znów jest jedną z faworyt króla. Rozgłos wokół tej sprawy mógł nam tylko przysporzyć kłopotów.

–Mimo wszystko... – mruknął Brian, z uporem zaciskając szczęki.

Zjeżdżali coraz niżej, a dzwon wciąż im towarzyszył. Droga znowu się zmieniła, poszerzając się wśród coraz mniejszych stalaktytów i stalagmitów. Poświata znów sączyła się z kamiennych ścian po bokach, a i sufit też był widoczny, chociaż ten odcinek tunelu był zdecydowanie wyższy i szerszy niż wcześniej.

Regularny brzęk dzwonu i stukot końskich kopyt odbijały się usypiającym rytmem w świadomości Jima. Nikt się nie odzywał. Dafydd nigdy nie był gadatliwy, a Brian też milczał, kiedy nie miały nim jakieś silne uczucia.

Jim przeskakiwał myślami z tematu na temat. Od początku wyprawy nie znaleźli dowodu na to, że zmierzają we właściwym kierunku, aby odzyskać Roberta. Miał jednak wrażenie, że tak jest. A jeśli było prawdą to, o czym napomknął Carolinus, że mag potrafi wyczuć, kiedy działa się na niego magia... może teraz kierował się właśnie takim odczuciem. Tylko czy mogło tak być, jeśli w tym podziemnym królestwie nie mógł się posługiwać swoją magią?

Niepokoilo go jeszcze coś. Przed chwilą w Liones, gdzie znalazł się zupełnie nieoczekiwanie, o mało nie wpadł w zasadzkę zastawioną przez kogoś, kto w żadnym razie nie powinien wiedzieć, że Jim tam jest, a już na pewno nie powinien dotrzeć tam, przygotować atak, a potem uciec, tak jak zrobiła to Agatha.

Już to było niepokojące. A kiedy zastanowił się nad tym głębiej, musiał przyznać, iż przybył tu w poszukiwaniu małego Roberta, którego wrogiem była właśnie ta Agatha Falon, jego ciotka. Pragnęła zagarnąć dobra Falonów i powstrzymać Jima oraz jego przyjaciół. Jim nie miał dowodów na to, że Robert znajduje się gdzieś tutaj, ale atak Agathy był zbyt podejrzanym zbiegiem okoliczności.

Kiedyś czytał, że nie ma przypadków. Jeżeli tak, to zasadzka potwierdzała, iż Robert został przywieziony tutaj, ale również że Agatha była zamieszana w porwanie – a trudno było sobie wyobrazić, jak to możliwe.

Przypadek? Nieprawdopodobne. Od kiedy przybył wraz z Angie do tego czternastowiecznego świata, stali się nieustannym celem ataków Ciemnych Mocy, złośliwych sił, które zdaniem Carolinusa pragnęły zakłócić równowagę między przypadkiem a historią.

Tylko w jaki sposób porwanie małego Roberta miałyby wpłynąć na takie siły? To wydawało się bez sensu.

Nagle przypomniał sobie ostrzeżenie, jakiego udzielił mu obraz Carolinusa: aby nie dał się zwieść pozorom w Liones. Skąd mógł mieć pewność, że to była naprawdę Agatha?

Zbyt wiele domysłów, a za mało informacji. Zajął głowę pilniejszą kwestią a mianowicie pytaniem, dokąd prowadzi tunel i co znajdą na jego końcu. Dotychczasowe wydarzenia nie podsuwały mu żadnego wyjaśnienia co do celu tej wędrówki oprócz przeświadczenia, że niewątpliwie znajduje się on pod ziemią. Cały czas podążali w dół...

–Lubię ich – powiedział mu do ucha senny głos Hoba. Skrzął nadal siedział na jego ramieniu, a ponieważ był lekki, jak wszyscy naturalni, Jim kompletnie zapomniał o jego

obecności. Teraz jednak głosik Hoba wyrwał go z zadumy i Jim zdał sobie sprawę z tego, że dźwięk dzwonu ucichł. Natomiast stukotowi końskich kopyt towarzyszyło jakby echo – regularne bicie werbla, które zdawało się rozbrzmiewać raczej w jego uszach niż na zewnątrz. Jakby dochodziło zewsząd, a nie z jednego konkretnego kierunku. Zamyślony Jim dopiero po chwili zrozumiał słowa skrzata.

–Ich? – zapytał. – O jakich „ich” mówisz, Hobie?

–O sękatych. Są za nami.

–Za nami?

Jim obejrzał się i zobaczył maszerujące za nimi szeregi postaci nieco mniejszych od Hilla, o takich samych pozbawionych wyrazu twarzach. Maszerowały dziesiątkami za Jimem i jego towarzyszami, a ich białe stopy miarowo uderzały w kamienne dno jaskini, wywołując to łagodne dudnienie. Szły równymi szeregami i wszystkie były jednakowo ubrane.

Tak jak Hill nosiły skórzane spodniczki i kaftany. Każdy z nich miał na prawym boku wepchnięty za pas stalowy młotek z krótkim drewnianym trzonkiem, którego ciężar równoważył tkwiący z przeciwnej strony metalowy oskard. Zza pleców jak łuki wystawały im cienkie metalowe pręty, nie grubsze od wskazującego palca Jima.

Ten widok na moment zaskoczył Jima, który zaraz przypomniał sobie, że tutaj, po ziemią może występować górnicza odmiana naturalnych, a jeśli tak, to pręty zapewne były metalowymi wiertłami, które można wbijać w pęknięcia skały i poszerzać je, aby uzyskiwać urobek znacznie łatwiej niż tylko za pomocą oskardów.

Podobnie jak Hill, wszyscy mieli zaciśnięte mankiety długich rękawów skrywających dłonie.

–Kim oni są? – zapytał Jim Hoba. – Dlaczego za nami idą?

–To przyjaciele Hilla – rzekł Hob.

Jim poczuł przyływ nadziei, ale pospiesznie i stanowczo odepchnął ją od siebie.

–Teraz lubisz Hilla, prawda? – zapytał skrzata.

Hob nie odpowiedział od razu, najwidoczniej zastanawiając się.

–Tak – odparł w końcu. – Tylko nie wolno mu sądzić, że może mi odebrać to, co moje.

Malencontri, milady i ty, milordzie, należycie do mnie!

Jim próbował obrócić głowę i spojrzeć na skrzata, lecz ten był zbyt blisko. Hob nigdy przedtem nie był taki zazdrosny. Teraz Jim rozpoznał ten słaby, ale znajomy ton głosu naturalnego. Miał wrażenie, że taką nutę słyszy w głosach zwracającej się do niego służby w Malencontri, ton posiadacza, jakby to on należał do nich, a nie odwrotnie.

–Nie sądzę, aby chciał mieć Malencontri i tych, którzy tam mieszkają – pocieszył skrzata.

–On chce ciebie – odparł Hob. – Przynajmniej częściowo. A ty jesteś moim panem, nie jego.

–Oczywiście – powiedział Jim. – I nie mam zamiaru być jego panem.

–Słyszałeś to, Hill? – rzekł Hob, oglądając się na malca. Jednakże Hill nie odpowiedział.

Podejrzanie, które już od dłuższego czasu trapiło Jima, teraz się skryształizowało.

Popuścił wodze i wbił pięty w boki Gorpa, ale rumak wykazywał dziwną niechęć do zrównania się z jucznym koniem, na którym siedział Hill. Jim w końcu zrezygnował, jadąc tuż za malcem.

–Hillu – rzekł do jego pleców. – Do czego służą te metalowe pręty? Czy wiercicie nimi dziury w kamiennych ścianach? A jeśli tak, to jaki towarzyszy temu dźwięk?

Hill nie odpowiedział, ale nie odwracając się, wyciągnął w bok jedną z osłoniętych rękawem koszuli rąk. Chociaż Jim nie zauważył, aby towarzyszył temu jakikolwiek inny sygnał, jeden z maszerujących wyskoczył z szeregu, podbiegł naprzód i wręczył malcowi metalowy pręt.

Hill zręcznie złapał jeden jego koniec, a drugi skierował w kamienną ścianę po prawej stronie. Nie było słyhać żadnego dźwięku, ale w skale pojawił się owalny otwór szeroki na półtora metra i głęboki na trzy. Prowadził do równoległego korytarza, w którym kręciły się te same istoty, nazywane przez Hoba sękatymi.

Zastygły, gapiąc się na Hilla. Stały z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i twarzami pozbawionymi wyrazu. Hill nie zwracał na nie uwagi, tylko przejechał jeszcze kilka metrów i ponownie skierował pręt w ścianę.

Znów wybił otwór w skale, ale tym razem Jim usłyszał głuchy łoskot, który czasami rozlegał się w murach Malencontri. Tym razem otwór na drugim końcu miał jakby mętne, lecz przezroczyste okno, a widoczni za nim sękaci nie zwracali uwagi na Hilla i dalej zajmowali się swoimi dotychczasowymi sprawami. Niewątpliwie był to rodzaj okna zasłoniętego cienką warstwą kamienia, przez którą można było obserwować to, co znajduje się za nią. Kiedy wróci do domu, ostuka wszystkie ściany, w których słyszano kołatania.

Najwyraźniej dotarł z Brianem i Dafyddem we właściwe miejsce. Spojrzał złowrogo na Hilla. Szczęście! Akurat!

Hill wypuścił pręt, jakby przestał go interesować, a naturalny, który mu go dał, podbiegł i w rozpaczliwym susie złapał narzędzie, zanim upadło na kamienie.

–Hill, co... Niech cię szlag, Gorp! – rzekł Jim, popędzając rumaka do przodu, aż zrównał się z jucznym koniem. – A więc to nie jest narzędzie górnicze? W takim razie do czego służy?

–Do walki – odparł niespodziewanie Hill, nadal nie patrząc na Jima.

–Walki? Z kim mielibyście walczyć?

–Z goblinami – rzekł Hill. Obrócił głowę i spojrzał – nie na Jima, lecz na Gorpa. Rumak stanął jak wryty i Jim nie był w stanie go ruszyć, dopóki nie podjechał doń Brian.

–Górą wieje jakiś dziwny wiatr – zauważył nieoczekiwanie Brian. – Posłuchaj, jak świszczę.

Jim wcześniej nic nie słyszał, ale Brian miał rację. Istotnie, gdzieś wysoko w górze było słyhać świst. Rozglądając się, zobaczył, że właśnie weszli do lejkowato rozszerzającej się jaskini o ścianach silniej oświetlonych niż inne, lecz mimo to po trzydziestu metrach niknących w ciemnościach.

Również sklepienie tej ogromnej sali ginęło w mroku. Poświata ścian sięgała dostatecznie wysoko, aby można było dostrzec błyszczące końce zwisających z sufitu stalaktytów. W wielu z nich były wywiercone otwory, a wiejące skądś powietrze świszczało w nich, wywołując dźwięki o rozmaitej wysokości. Sam wiatr też się zmieniał, co Jim mógł już teraz wyraźnie wyczuć. Rezultatem było coś w rodzaju muzyki, której towarzyszył miarowy tupot nóg o skalne podłoże jaskini.

Jim zadawał sobie pytanie, czy słyszy to ludzkimi uszami, czy też magicznie

poprawionym słuchem, który pozwalał mu usłyszeć Hilla. Zwrócił się do Briana:

–Brianie. Czy słyszysz Hilla?

–Nigdy nie słyszałem ani słowa z tego, co mówi – odparł rycerz.

–On mówi. Ale musiałem znaleźć specjalny sposób, zanim zdołałem go usłyszeć.

–Pamiętam – rzekł Brian. Spojrzał bacznie na Jima. – Czy coś jest nie w porządku, Jamesie? Zadajesz dziwne pytania.

–Myślę, że chociaż nie mam tutaj moich magicznych umiejętności – odparł Jim – być może nadal potrafię wyczuć otaczającą mnie magię, nawet jeśli nie mogę jej zrozumieć ani jej przeciwdziałać.

–Zawsze to coś – rzekł Brian. – Być może to nam wystarczy.

–Cóż, kto wie. To może się nam przydać. Jeśli nikt nie zauważy, że wyczuwam tutejszą magię, może zdołam to jakoś wykorzystać.

–Niechaj pomogą ci w tym wszyscy święci – powiedział Brian. – A na razie mam dosyć jazdy za tym małym, kimkolwiek jest. Wyprzedźmy go i pojedźmy przodem.

Po tych słowach Brian popędził koma, a Jim czuł się zobowiązany pójść w jego ślady. Ich wierzchowce zrównały się z Hillem, ale ani Blanchard, ani Gorp nie chciały się wysunąć do przodu.

–Co wstąpiło w te zwierzęta! – rzucił gniewnie Brian, popędzając Blancharda cuglami i ostrogami.

Hill nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem. Zanim Jim zdążył odpowiedzieć, Hill ostro i rozkazująco powiedział coś, czym zupełnie zaskoczył Jima.

–Powiedział: „Stać!” – poinformował Jim Briana i Dafydd. W rzeczywistości już stanęli, gdyż ich wierzchowce się zatrzymały. Hill zsiadł z jucznego konia.

–Blanchardzie, niech cię licho! – warknął Brian.

Blanchard położył uszy po sobie, ale nie zareagował.

–Myślę, że lepiej będzie, jeśli zsiądziemy – powiedział cicho Jim.

–Jeśli tak mówisz – odparł równie cicho Brian przez zaciśnięte zęby. – Gdybym jednak mógł... Jamesie, nie rozumiem tego!

–Ja też nie – przyznał Jim, gdy wszyscy zsiadali z koni. – Spójrz pod nogi.

Ujrzeni przed sobą ścieżkę biegnącą dnem jaskini, zaznaczoną lśniąco kamieniami trzycentymetrowej średnicy, osadzonymi mniej więcej co dziesięć centymetrów. Dwa rzędy tych klejnotów tworzyły szlak, którego koniec ginał w oddali – nie wiadomo, czy we mgle, czy z powodu znacznej odległości. Hill najwidoczniej zamierzał nim przejść, gdyż już ruszył naprzód.

–Myślę, że chce, abyśmy poszli za nim – powiedział pokornie Hob do ucha Jima, ale dostatecznie głośno, aby usłyszeli go dwaj pozostali. Jim spojrzał na Briana i Dafydd.

–Niech mu będzie – powiedział. Tamci skinęli głowami.

Jim odwrócił się i zobaczył, że ogromną salę za nimi wypełniali mali kopacze, a kolejni nadciągali tunelem i rozchodzili się na boki, dołączając do zgromadzonych. Brian i Dafydd również ich zauważyli.

–Na Boga – rzekł Brian. – Chyba nie mamy wyboru. Odwrócili się i ruszyli za Hillem, a wierzchowce same poszły za nimi. Tłum małych postaci deptał im po piętach. Przed nimi mrok zasnuwający drugi koniec jaskini zdawał się cofać, ale wolniej, niż do niego

podchodzili, tak że teraz znajdował się zaledwie pięć metrów przed nimi, chociaż wciąż się oddalał. Wiatr w górze przybierał na sile. Jim słyszał coraz głośniejszą muzykę, której towarzyszył dziwny kontrpunkt bosych stóp dudniących o kamienne dno jaskini.

–Sądzę, że przed nami jest ktoś, kto nie lubi Hilla – szepnął Hob do ucha Jimowi. Jego głosik był pokorny i niepewny. – Milordzie, czy mam powiedzieć Hillowi, że jesteście po jego stronie?

–A jaka jest ta jego strona, Hobie?

–Nie wiem – przyznał skrzat. – Może gdybyś go zapytał... Była to całkiem rozsądna sugestia. Z pewnością nie zaszkodzi spróbować.

–Hillu – powiedział Jim.

Hill na chwilę obrócił głowę i spojrzał mu w oczy. Jak zwykle jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale niewątpliwie słyszał i rozumiał, o czym mówili Jim z Hobem. Jim wyraźnie usłyszał odpowiedź.

–Zobaczymy go wkrótce – powiedział i zamilkł. Po chwili dodał: – To mój wuj.

–Twój wuj? – powtórzył Jim. – Dlaczego więc...

Urwał, ponieważ Hill znów się odwrócił, najwyraźniej kończąc rozmowę. Szedł dalej, a Jim, Brian i Dafydd podążali za nim. Konie człapały ich śladem, kiwając łbami, a tuż za nimi ciągnął tłum kopaczy.

Nagle cicho i bez ostrzeżenia ciemność przed nimi zaczęła się szybko cofać. Nie musiała umykać daleko. Po chwili ujrzeli drugi koniec jaskini. Stało tam podium, a na nim podobny do tronu fotel z siedzącą na nim postacią oblaną migotliwym blaskiem.

Rozdział 24

Jaskinia kończyła się ścianą, wznoszącą się jak pozbawiony okien wielopiętrowy budynek. Jednakże na wysokości drugiego piętra ostro pochylała się do przodu, w rezultacie jej górna część sterczała jak potężny balkon nad placem.

Na samym środku u jej stóp wznosiło się kamienne podium, a na nim tron, błyszczący tak samo, jak szata siedzącej na nim postaci. Podium otaczał krąg tych samych migoczących kamieni, które znaczyły ścieżkę.

Oparcie tronu wznosiło się łukiem nad głową siedzącego, a w połowie wysokości odchodziły od niego wygięte i spłaszczone wypustki tworzące rzeźbione poręcze, niejednakowo zakończone: jedna miała kształt oskarda, a druga młota. Cały tron wydawał się wykuty z jednego kawałka, nadal pozostając częścią wznoszącej się za nim skały, lecz otaczający go krąg klejnotów i przyćmione światło sprawiały wrażenie, że unosi się nad głowami stojących przed nim.

Jim spojrzał uważnie. Wielkie nieba! Tron rzeczywiście się unosił!

Oderwał od niego wzrok i spojrzał na zasiadającą na nim postać.

Odziany w sięgającą do podłogi lśniąca szatę, siedział tam naturalny podobny do Hilla, tylko o pół głowy wyższy i nieco większy.

Przyjrząwszy mu się dokładniej, Jim stwierdził, że twarz tego osobnika, bardzo podobna do szerokiej i grubo ciosanej twarzy Hilla, ma inny i bardzo nieprzyjemny wyraz. Naturalny spoglądał na Jima i jego przyjaciół, lecz nie z niewinnością, jaką Jim zdawał się dostrzegać u Hilla i tych, którzy stali za nim. Potem nagle i to się zmieniło. Postać skupiła spojrzenie na Hillu i jej rysy stały się niemal ludzkie pod wpływem uśmiechu, który wykrzywił dotychczas

wyższą z wszelkich uczuć twarzy.

–No, Newy... – usłyszał Jim głos nieznanego.

–No, wuju – przerwał ostro Hill. – Znów tu jestem!

Jim szybko na niego spojrzał i stwierdził, że twarz Hilla również się zmieniła. I ona przybrała wyraz, jakiego Jim jeszcze na niej nie widział. Nadal była młoda, ale usta się zamknęły, a dolna szczęka lekko się wysunęła. On również miał teraz bardziej ludzki wygląd, ale w jego wypadku była to zmiana na lepsze.

–Cóż, tak widzę, Newy. Co też miałem powiedzieć? Wydostałeś się, prawda? Nie spodziewałem się ujrzeć cię tu wcześniej jak za sto lat.

–Pomógł mi przyjaciel – odparł Hill.

–Przyjaciel? Och, masz teraz przyjaciół na powierzchni? Jakiż to przyjaciel zdołał szybciej wykopać cię spod góry niż ty sam?

–Nazywano go diabłem morskim – odrzekł Hill. – Nigdy nie widziałeś takiego jak on. Był tak wysoki jak ośmiu naszych ustawionych jeden na drugim i mógłby cię skruszyć jedną ręką jak kawałek piaskowca.

Uśmiech jego wuja nagle się poszerzył, chociaż siedzący nie zmienił wyrazu twarzy, co nadało mu wygląd szaleńca.

–Żadna żywa istota nie zdoła skruszyć sękatego króla, króla Wzgórza, Nadwzgórza, Podwzgórza i innych Podziemi! Powinieneś o tym wiedzieć, jako królewski syn, Newy!

–Ty nie będziesz prawdziwym królem, wuju! – krzyknął Hill.

–Będę prawdziwym królem! – wrzasnął wuj, unosząc się z fotela. Zaraz jednak się opanował i opadł na tron. – A może jesteś po prostu głupi. Zawsze byłeś głupi. Teraz jednak myślę, że w dodatku mnie okłamujesz. Jeśli nie, to czemu przyprowadziłeś tutaj tych trzech głupich górniaków i ich zwierzęta, jeśli nie po to, by uwiarygodnić twoją opowieść?

Hill wyciągnął rękę i wskazał na Jima.

–Ukradłeś jego dziecko! – powiedział. – On wie, że ty to zrobiłeś.

–A jeśli nawet, to co cię to obchodzi, Newy?

–On jest moim szczęściem! – zawołał Hill.

–Szczęściem? – Przez chwilę król wyglądał na zaniepokojonego. Zaraz jednak zatrzęsł się ze śmiechu. – Teraz wiem, że jesteś nie tylko kłamcą, ale i głupcem, Newy. Jakiś głupi górniak ma być szczęściem sękatego?

–Moim szczęściem byłby diabeł morski, który tak szybko mnie wykopał – odparł Hill. – Zadaj sobie pytanie, jakże inaczej byłbym tu tak szybko z powrotem? Jednak diabeł morski nie mógł przyjść ze mną do Nadwzgórza. Tak więc przekazał swoje szczęście temu, a tenże też nie jest jakimś głupkiem. To mag, ot co, potężny czarodziej. Sam przybył tutaj po swoje dziecko!

–Pewnie chce je zobaczyć, co? – rzekł król. – Jego magia na nic się tu nie zda. Tutaj ja mam szatę i tron. Tak więc...

Machnął ręką w kierunku narożnika podium, na którym stał jego tron. Nagle, dwa metry dalej, na kamiennym bloku pojawił się Robert Falon machający rączkami i nóżkami. Płakał głośniej niż kiedykolwiek, lecz Jim wcale go nie słyszał. Jim doskonale zrozumiał znaczenie faktu, że nie może usłyszeć płaczu dziecka. W następnej chwili mocno uderzył w niewidzialną ścianę twardą jak kamień. Natychmiast pojął, że król rzucił czar na Roberta. Ta

myśl była niczym niespodziewanie zatrzaśnięte przed nosem drzwi.

–Spójrz na niego! – zakrzyknął król. – Ten głupek myślał, że pozwolę mu zabrać jego dziecko! Hej! Głupku! Twojego dziecka już tu nie ma! Zostanie oddane głupiej damie! – Król się zaśmiał, co przypominało odgłos ocierających się o siebie kamieni. – Spójrz na niego! – chichotał, zwracając się do Hilla. – Ależ jest zdumiony! I nic dziwnego. Pięciu naszych wysłałem, żeby ukradli jego dziecko, i wszyscy wrócili wstrząśnięci, bo nie udało im się przekopać przez skałę do jego jaskini, gdzie roilo się od głupków usiłujących zabić biednych sękatych. Jeden próbował ukraść w biały dzień dziecko z kołyski, kiedy głupek strażnik drzemał w słońcu, ale nie zdołał, bo przestraszył się wilka! Wtedy musiałem pójść sam!

Spoglądający na Roberta Jim ledwie słuchał tej długiej przemowy. Teraz jednak słowa króla głośnym echem odbiły mu się w głowie.

–Powiedziałeś, że oddasz Roberta głupiej damie! – powiedział. – Jakiej damie?! Może Agacie Falon? – spytał ostro.

Król nie odpowiedział, ale Jim poczuł, że niewidzialna siła odpycha go od Roberta. Król patrzył tylko na Hilla, ignorując Jima, który odwrócił się i chwiejnym krokiem wrócił do Briana. Stwierdził, że w tym momencie mógłby bez wyrzutów sumienia zabić tego sękatego.

–Rzucił na ciebie czar, Jamesie? – szepnął mu do ucha Brian. Objął go ramieniem, gdyż pod Jimem dosłownie ugięły się kolana.

Jim potrząsnął głową zarówno w odpowiedzi na jego pytanie, jak i po to, żeby się otrząsnąć z szoku. Z najwyższym trudem opanował gniew i się uspokoił. Magia nie miała nic wspólnego z tą nagłą słabością, lecz nie był w stanie wyjaśnić Brianowi, na czym polega szok emocjonalny.

–Nie, Brianie – odparł i własny głos wydał mu się obcy, dziwnie głuchy. – Nic mi nie jest. Co się dzieje?

Znów słyszał podniesione głosy Hilla i króla.

–Spierają się – odparł Brian prawie normalnym głosem. – Ten, który nazywa się królem sękatych, szydzi z młodego Hilla. Ja też nie przepadam za tym malcem, ale – na Naszą Panią! – chętnie pomógłbym mu teraz, gdybym wiedział jak.

–Ty też? – powiedział Jim. – Od jak dawna słyszysz ich rozmowę?

–No, od dłuższej chwili, od kiedy zaczęli rozmawiać – odparł Brian, puszczając go. – Wiedziałem, że ty słyszysz mowę tych istot – dzięki magii, rzecz jasna. Dla mnie one były nieme jak głązy. Teraz jednak wydaje się, że przynajmniej ci dwaj potrafią wydawać ludzkie dźwięki, jeśli chcą. Wystarczająco zrozumiałe, aby było jasne, że król zamierza znów odesłać Hilla pod jakąś górę i chce, żeby błagał go o litość. Hill jednak stawia mu czoło, prawie jak mężczyzna. Uważaj, Jamesie. Możesz sam ich usłyszeć.

–W jaki sposób zdołałeś... – zaczął Jim, ale zamilkł. – Oni rozmawiają teraz w normalnym ludzkim języku. Zaczekaj... nie, nic podobnego. Zastanawiam się... Brianie, posłuchaj mnie przez chwilę.

Jim ukradkiem przesunął się naprzód, wchodząc w krąg kamieni otaczających tron. Król był zwrócony twarzą do Hilla, a ten patrzył tylko na monarchę. Jim powiedział do Briana:

–Gladiator Hill, amor Fortuna.

–Zaiste, Jamesie, całkowicie podzielam twoje zdanie. Tylko dlaczego się odsunąłeś,

żeby to powiedzieć?

Jim cofnął się do niego i powtórzył łacińskie słowa.

–Co? – zapytał Brian.

–Przepraszam – powiedział Jim w dwudziestowiecznej angielszczyźnie, która z jakiegoś powodu była doskonale zrozumiała dla ludzi z czternastego wieku. – Coś utkwiło mi w gardle. Powiedziałem, że Hill umie walczyć, a fortuna mu sprzyja.

–To samo mówiłeś chwilę przedtem – przypomniał Brian. – Oczywiście, nigdy nie wolno lekceważyć fortuny. Zgadza się z tym. Oni tutaj strasznie dużo mówią przed wymianą ciosów. Prawie zaczynam wątpić, czy mają na to ochotę. Anglicy nigdy tak nie postępują.

Jim nie znalazł na to odpowiedzi.

–Ponadto – ciągnął Brian – jak inaczej mieliby rozmawiać? To prawda, że ich mowa jest pospolita i kmieca, ale dostatecznie jasna.

Tak też było.

–Powtórz to – Hill prawie krzyknął. Twarze obu zdradzały uczucia, o jakie Jim nigdy by ich nie podejrzewał.

–Zabiłem twego ojca? – odparł król. – Nigdy! Ten stary dureń sam wyciągnął nogi.

–Nieprawda!

–No, no! Licz się ze słowami!

–To nie nazywaj mojego ojca durniem! – zawołał książę. – Jeśli jakiś sękaty jest durniem, to ty!

–Widzę, że nabrałeś prawdziwie rycerskich manier, co? Poza tym on był durniem. Jako jego młodszy brat chyba wiem najlepiej!

–Skończ z tym! Nie powinieneś tak mówić o nikim, kto odszedł z Nadwzgórza-Podwzgórza, a już na pewno nie o rodzonym bracie!

–Nie było cię tutaj, kiedy to się stało – odparł król. – To nie ty, lecz ja widziałem, jak upadł. Był tylko słabym starym durniem i umarł.

–Ja jestem jego bliższym krewnym. Jestem jego synem! – krzyknął książę. – Rozłupię cię za takie gadanie!

Król się roześmiał.

–Ty i kto jeszcze? – powiedział. – Nie masz żadnych krewnych, którzy by ci pomogli. Ci, którzy teraz za tobą stoją nie ruszą oskardem ani prętem, żeby ci pomóc – nawet gdyby mogli coś wskórać przeciw sile królewskiej magii. Dlaczego sądzisz, że zdołasz mnie choć dotknąć?

–Mam moje szczęście! – rzekł Hill. Król prychnął.

–Głupek to żadne szczęście!

–Nigdy tak nie mów! – wrzasnął Hill. – Nie mógł być większym szczęściem. Sam wiesz! A co z wszystkimi dziećmi, jakie ukradziono przez wieki? Robiono to, ponieważ przynosiły szczęście. Aon jest magiem. To czyni go szczęściem w dwójnasób!

–Magiem! – prychnął król. – Mam tu już doskonałego maga. Spójrz tylko!

Równie nagle jak przedtem Robert teraz po drugiej stronie tronu pojawił się Carolinus. Stary mag stał w klatce, trzymając się prętów, jakby tylko dzięki nim mógł się utrzymać na nogach. Twarz miał szarą z wyczerpania, ale otworzył usta i Jim usłyszał jego ochrypy głos – nie w myślach, ale zwyczajnie, w uszach.

–Odejdź! – zawołał. – Odejdź, Jim! I Jim tak zrobił.

Głos Carolinusa jeszcze rozbrzmiewał mu w uszach, gdy znalazł się w wielkiej sali pełnej mężczyzn i kobiet, z których wiele nosiło czerwone szaty magów – więcej niż kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Ze sceny, na której się pojawił, kobieta przemawiała do zgromadzonych.

Widział już ją kiedyś. Była jednym z trzech magów klasy AAA+ na tym świecie i odgrywała rolę sędziny – czy jak tam nazywali to magowie – podczas pojedynku Carolinusa z czarodziejem klasy B, niejakim Sonem Won Phonem, który oskarżał Jima o posługiwanie się orientalną magią bez fachowego instruktazu w tej dziedzinie.

Kobieta była w nieokreślonym wieku, prawdopodobnie po trzydziestce lub czterdziestce, wysoka, chuda i trupio blada. Miała wyrazistą i pociągłą twarz oraz poważną minę. Kiedy Jim widział ją poprzednio, nosiła ciemnozieloną szatę i rodzaj mycki w tym samym kolorze. Teraz miała na sobie czerwoną szatę maga, czystą, lecz wyraźnie znoszoną. Jim gorączkowo szukał w pamięci jej imienia.

Cokolwiek mówiła do audytorium, przerwała na widok Jima. Jak wszyscy obecni na sali obróciła się i spojrzała na niego. Przez chwilę panowała głucha cisza, a potem rozległy się szepty.

–...Smoczy Rycerz... Nie, nie więcej niż klasa C+, mówię ci...! Ogromne konto dodatkowe. Powiadają... – szu, szu -... Carolinus, ale...

–Jak się tu dostałeś, Jim? – zapytała kobieta. Na dźwięk jej głosu szepty na sali ucichły.

–Sądzę, że przysłał mnie tu Carolinus... Tak jakby. A może po prostu wykorzystał coś, co było wyryte nad wejściem, coś w rodzaju „Kto wchodzi, odchodzi. Kto odchodzi, wraca...”

–Ha! – zakrzyknęła równie gwałtownie jak czasem Brian. – Oto cały Carolinus. Wykorzystał nawet ich sękatą magię!

Nagle zarzucono Jima dziesiątkami pytań. Kobieta stanęła twarzą do audytorium, podniosła rękę i wszyscy ucichli.

–Powiedz, Jim – zapytała, odwracając się do niego i mówiąc tylko nieco łagodniej niż przed chwilą. Spoglądała na słuchaczy. – Jak to się stało, że znalazłeś się tam, gdzie Carolinus mógł wykorzystać to zaklęcie sękatych?

–No cóż, Kinetety... – zaczął.

–KinetetE – zmarszczyła brwi.

–Przepraszam. – Jim spróbował powtórzyć jej imię z naciskiem na to ostatnie „e”. – Kinetet... je?

Próba wymówienia tego dźwięku zakończyła się całkowitym niepowodzeniem.

–Nie – powiedziała. – Kin-e-tet-E. Z akcentem na końcowe „e”. Nieważne. Wymawiaj, jak chcesz, tylko odpowiedz na moje pytanie.

–Cóż – powiedział Jim. Nagle znów poczuł się jak mały chłopczyk stojący przed wychowawczynią pierwszej klasy – a prawdę mówiąc, KinetetE była o dobre kilka centymetrów wyższa od niego. W kilku zdaniach przedstawił wydarzenia, które nastąpiły po porwaniu małego Roberta. KinetetE przerwała mu, kiedy doszedł do Hilla.

–Kim on był? – warknęła.

–Sękatym... Księciem sękatych, jak sądzę, ale z początku nie wiedzieliśmy o tym. –

Opisał resztę ich wyprawy, aż do konfrontacji Hilla z wujem. – W każdym razie – zakończył – król sprawił, że Carolinus się ukazał. A wtedy Carolinus rzucił zaklęcie – i oto jestem. – Jim skończył i spróbował złapać oddech. Całą historię opowiedział prawie jednym tchem.

–Ha! – powiedziała KinetetE tym razem w zadumie, lecz wciąż trochę gniewnie. –

Mówisz, że widziałeś Carolinusa? Jak wyglądał?

–Król zamknął go w klatce. Carolinus był w złym stanie. Ledwie trzymał się na nogach.

Słuchacze wydali głośny jęk, pomieszany z okrzykami wściekłości.

–Czy było ci wiadome – warknęła KinetetE – że Carolinus udał się do tamtejszego króla za specjalnym pozwoleniem Światowego Zgromadzenia Magów i z akredytacją ambasadora, aby ocenić zagrożenie dla równowagi Królestw?

–Nic o tym nie wiedziałem – powiedział Jim. – Widziałem go i rozmawiałem z nim tuż przed podróżą, ale nawet wtedy pojawił się tylko jako obraz, a nie osobiście. Potem pojawił się powtórnie, zanim wyruszyłem do Liones, ale i wtedy był projekcją. Sądzę, iż zostawił dla nas tę wiadomość na wypadek, gdybyśmy pojawili się tam i włączyli ją. Jednak wówczas tylko ostrzegł nas, że Liones jest krainą bardzo niebezpiecznej dla nas magii.

–No cóż, teraz już o tym wiemy – rzekła KinetetE. – Sękaty król najwidoczniej myśli, że może zrobić z magiem klasy AAA+, co chce. Będziemy musieli dać mu nauczkę!

Audytorium przyjęło to z aprobatą, pohukując w sposób nie licujący z godnością magów.

–Przecież wuj Hilla dysponuje jedyną magią, jaka jest osiągalna w tym królestwie, prawda? – zapytał Jim.

–Owszem, lecz ona nie jest jego własnością! – odparła ostro KinetetE. – On tylko panuje nad nią, dopóki prawnie nosi szatę ozdobioną Wielkim Srebrem. Czy wiesz, co to takiego?

Kiedy Jim pokręcił głową, wyjaśniła:

–Wielkie Srebro jest maleńką częścią zwyczajnej cyny, ale tylko sękaci potrafią je rozpoznać. Pod wpływem magii sękatego króla, tak jak węgiel zmieniający się w diamenty pod wpływem nacisku wielokilometrowej warstwy skorupy ziemskiej, staje się klejnotem – najcenniejszym ze wszystkich. Magia sękatego króla opiera się na tych klejnotach zdobiących jego szatę i tron. Musi jednak odziedziczyć je prawnie, inaczej można mu je odebrać. Wtedy ktoś inny zostaje królem sękatych i ma do nich prawo. – Zamilkła i przez chwilę jej czarne oczy spoglądały gdzieś w dal. Potem znów zwróciła wzrok na Jima. – No tak – powiedziała prawie do siebie. – Musimy dobrze wszystko przemyśleć. Nie wiesz, po co Carolinus przysłał cię do nas?

–Musiał przygotować to wcześniej, żeby maksymalnie skrócić czas mojego zniknięcia.

–Tak myślałam – powiedziała KinetetE. Obróciła głowę i powiedziała do słuchaczy: – Barronie, muszę cię prosić, żebyś tu przyszedł.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem z tłumu wyłonił się mały mężczyzna po pięćdziesiątce, otyły, z nosem jak guzik, cienkimi wargami i bladoniebieskimi oczami, którymi wciąż mrugał. Miał na sobie czerwoną szatę i wysoki spiczasty kapelusz – obie części garderoby źle na nim leżały. Wyglądał na człowieka, który powinien nosić okulary w stalowych oprawkach. Te jednak – oczywiście – były nieosiągalne w tym miejscu i czasie, a ponadto mag nie musiał ich nosić, gdyż w każdej chwili mógł uczynić swój wzrok tak dobrym lub złym, jak chciał.

–Jeśli muszę – odparł gniewnym tonem.

–Co dwie głowy, to niejedna. A ponadto skorzystamy z tego, co podpowie nam nasz młody praktykant – powiedziała KinetetE. – Jeśli sękaty król lekceważy nas w ten sposób i traktuje tak jednego z naszych najwybitniejszych członków, to stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Nie rozumiem, dlaczego nie zdaje sobie z tego sprawy.

–Chyba że – podsunął Jim – ten nowy król, który najwidoczniej, aby objąć tron, zabił prawowitego władcę – ojca Hilla – ma chytry plan i z jakiegoś powodu uważa się za niezwyciężonego.

–Nie odzywaj się nie pytany, chłopcze! – warknął mężczyzna, który stanął na podium obok KinetetE. Był znacznie niższy od niej i od Jima.

–Mówię wam – uparcie ciągnął Jim – że to wszystko musi być logicznie powiązane i uważam, że właśnie o to chodzi!

Rozdział 25

–Co za tupet! – mruknął Barron. – Nie odzywaj się nie pytany, praktykancie. Mag KinetetE i ja rozwikłamy tę sprawę!

Nie sprawił tego ton głosu mężczyzny ani sugestia, że Jim nie jest w stanie w niczym pomóc, ale to, że doskonale wymówił nazwisko KinetetE. Jim przypomniał sobie teraz, że Barron to trzeci z magów klasy AAA+ na świecie, lecz mimo to wpadł we wściekłość, a w takim stanie bywał bardzo uparty. W dwudziestym wieku miewał do czynienia z takimi osobami i wiedział z doświadczenia, że jeśli pozwoli, aby Barron zamknął mu usta, to już nigdy nie uda mu się nic powiedzieć. Takim osobnikom należy dać stanowczy odpór.

–Nie – powiedział. – Nikt z was nie zwraca uwagi na to, co powiedziałem. Wiadomość Carolinusa, którą zostawił dla nas przed granicą Liones, była projekcją. Prawdopodobnie wysłał ją już z królestwa sękatych.

–Gdzie jego magia nie działa? – zapytała KinetetE.

–A ponieważ nie działa – ciągnął Jim – mógł uczynić to jedynie za pozwoleniem sękatego króla. Ten pragnął mnie tam zwabić i nie chciał, aby towarzyszył mi mój przyjaciel Aargh – angielski wilk. Podejrzewam, że sękaci bardzo obawiają się wilków. Dlatego pozwolił Carolinusowi wysłać tę wiadomość, a mistrz zdołał przekazać w niej ukrytą informację.

–Niezłe rozumowanie jak na praktykanta, nie uważasz, Barronie? – powiedziała KinetetE.

–Udało mu się zgadnąć – rzekł Barron. Zawahał się i niechętnie dodał: – Sądzę, że ma chyba trochę oleju w głowie.

–Ja też tak myślę – powiedziała KinetetE. – Może więc posłuchamy go przez chwilę.

Ostatnie słowa powiedziała tonem, który – zdaniem Jima – nie zachęcał do dalszej dyskusji. Barron najwidoczniej też to wyczuł. KinetetE ponownie zwróciła się do Jima.

–Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś nam teraz wspomnieć?

–Tylko o jednej sprawie, która może mieć z tym związek – odparł. – Nie rozumiem, jak to możliwe, ale kiedy przejeżdżaliśmy przez Liones, wciągnęła nas w zasadzkę kobieta w woalu. – Opowiedział, jak rozpoznał Agathę oraz ojej zniknięciu. – Agatha odziedziczy ziemię i majątek Falonów, jeśli jej bratanek umrze. Król Anglii oddał mi Roberta pod opiekę i razem z żoną uważaliśmy, że wiemy dość dużo o Agacie, aby uchronić Roberta przed jej...

–Wiemy o tym! – przerwał mu Barron.

–W porządku – rzekł Jim. – Jeśli jednak to była Agatha – Carolinus ostrzegł mnie, że w Liones roi się od złudzeń, więc może to nie była ona – musiała dysponować jakąś magią, żeby się tam dostać.

–Hm – mruknęła KinetetE.

–W każdym razie – ciągnął Jim – zanim Agatha i ci dwaj mężczyźni zniknęli, zauważyłem, że nosili dworskie szaty. A Carolinus mówił mi coś o niebezpieczeństwie grożącym królowi. Mam na myśli króla Anglii. Dlatego uważam, że ktoś powinien sprawdzić to na królewskim dworze.

Tym razem zarówno KinetetE, jak i Barron milczeli chwilę, kiedy Jim skończył mówić. W końcu odezwał się Barron.

–To może nie mieć żadnego związku z tarapatami Carolinusa! – stwierdził.

–Ta kobieta z pewnością skorzystałaby na zniknięciu dziecka – orzekła KinetetE. – Tylko w jaki sposób uwięzienie Carolinusa miałoby być powiązane z dworem Anglii... Być może Jim dostrzegł coś, o czym ja i Barron nie pomyśleliśmy.

Barron prychnął.

–Naprawdę jesteś gotowa uwierzyć w to, że ta cała Agatha ma coś wspólnego z przetrzymywaniem Carolinusa przez sękatego króla? – zapytał.

–Owszem – odparła KinetetE. – I przypominam ci, Barronie, iż jestem niezrównana w magii analitycznej, tak jak Carolinus w intuicyjnej – a on ufa temu chłopcu. Pamiętaj, że ta kobieta jest związana z chłopcem, chłopiec z sękatym królem, ten z Carolinusem, a Carolinus z Jimem, który z kolei jest powiązany z dworem Anglii.

–Ja? – zdziwił się Jim, ale nikt go nie usłyszał.

–Och. No cóż, w takim razie – rzekł Barron – chyba będę musiał osobiście udać się na dwór. – Skrzywił się. – Nie ma rady. Nikt z naszego Zgromadzenia nie jest tam równie dobrze znany, a ponadto nikogo nie szanują tam tak...

Pomruk w tłumie.

–Może oprócz Carolinusa – dodał pospiesznie Barron. – W każdym razie znam dworskie układy lepiej niż kto inny. Znam tam ludzi. Ty... – Spojrzał na Jima.

–Tak, magu? – odparł uprzejmie Jim, czując, że pora okazać dobre maniery.

–Sądzę, że będziesz musiał udać się tam ze mną, aby znaleźć tę Agathę oraz dwóch ludzi, których przedstawiła jako brata i ojca.

–Ja? – powiedział Jim. – Nie mogę! Muszę wrócić, żeby uratować Roberta i Carolinusa...

–Nie teraz – powiedziała KinetetE.

–Zatem ruszamy – rzeki Barron. – Jeśli oczywiście Zgromadzenie zaaprobuje takie postępowanie. Czy wszyscy się zgadzają? – Odwrócił się do audytorium.

Jim i KinetetE także to zrobili i Jim ze zdziwieniem zobaczył, że szaty wszystkich obecnych przybrały czerwoną barwę.

–Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Jeśli muszę... Chodź, Tim czy też Jim, jak cię tam zwą...

–Chwileczkę – powiedział Jim.

Barron spojrzał na niego z nieskrywanym zdumieniem. Jim szybko powiedział do

KinetetE:

–Muszę wrócić do sali tronowej króla sękatych – powiedział. – Jak najszybciej.

Ponieważ wygląda na to, że dojdzie tam do walki. Robert i Carolinus potrzebują pomocy.

–Nigdy nie... – zaczął Barron, ale tym razem przerwała mu KinetetE.

–Nie martw się o to, Jim – powiedziała. – Postaram się, żeby nic cię nie ominęło.

Możesz trochę odpocząć.

–Dziękuję – odparł Jim.

Odwrócił się z powrotem do Barrona w samą porę, by zobaczyć, jak gniewna mina maga zmienia się w wymuszony uśmiech. Zerknął na KinetetE i spostrzegł, że uśmiechała się do maga klasy AAA+ w sposób, który zniechęciłby głodnego tygrysa.

–Sądzę, że tak będzie najlepiej, Barronie – powiedziała. – Jestem pewna, że możemy liczyć, iż jak najlepiej wykorzystasz obecność młodego Jima, zwracając uwagę na to, co mówi i myśli.

–Ach tak. O... oczywiście – wymamrotał Barron. – Jesteś gotowy, ee... Jim?

–Jestem, magu – odrzekł Jim.

Błyskawicznie, do czego przyzwyczał go Carolinus, Jim znalazł się z Barronem w murowanej komnacie z małym kwadratowym oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec. Z miejsca, gdzie stał Jim, widać było tylko skrawek błękitnego nieba nad znajdującym się trochę dalej murem. Zapewne to boczna ściana innego budynku, pomyślał Jim. Z niewidocznego podwórka dobiegały krzyki i wiwaty, jakby odbywały się tam jakieś zawody.

Komnata niewątpliwie była sypialnią, gdyż znajdowały się w niej tylko dwa twarde i niskie krzesła, stół i łóżko z odsuniętymi zasłonami. Na stole stało kilka butelek wina oraz dwie szklanki, jedna prawie pełna, a druga do połowy opróżniona. Stół znajdował się w odległości wyciągniętej ręki od łóżka. Barron miał gniewną minę. Podszedł do łóżka i złapał za ramię leżącą z brzegu postać, częściowo zakrytą kołdrą. Energicznie potrząsnął śpiącym.

–Zbudź się! – warknął.

Ponieważ ani potrząsanie, ani polecenie nie dały rezultatu, podniósł głos i potrząsnął jeszcze mocniej.

–Edgarze, masz się zbudzić! Natychmiast!

Leżący miał twarz do połowy ukrytą w poduszce. Teraz nad połową wąsa i kątem ust ukazało się jedno oko. Otworzyło się szeroko. Spojrzało na Barrona. Spazmatycznym ruchem właściciel oka i wąsa usiadł na łóżku, spoglądając przez opadającą mu na oczy ciemnoblonde grzywkę. Oparł się o wezglowie łóżka, jakby usiłując odsunąć się od Barrona.

–Magu! – powiedział ochryplym głosem. – Magu! Myślałem, że opuścicieś dwór!

–Tak zrobiłem. Teraz wróciłem – odparł Barron. – Ta komnata była bawialnią. Dlaczego teraz jest sypialnią?

–No, ja... ja... Widzisz, tak jakby...

–Nieważne! – uciął Barron. – Widzę tu dwoje drzwi. Które z nich prowadzą do bawialni?

Mężczyzna zwany Edgarem wskazał na drzwi znajdujące się bliżej Barrona i Jima.

–Wrócimy za trzy minuty. Będziesz ubrany, rozbudzony i gotowy do rozmowy! – rzekł Barron.

–Tak, magu – powiedział Edgar, prawie spadając z łóżka i stając nago przed niespodziewanymi gośćmi. Za nim spod kołdry wystawała blond czupryna, której nie zasłaniał już własnym ciałem.

–Chodź, Jim – powiedział Barron.

Odwrócił się i pomaszerował w kierunku wskazanych przez Edgara drzwi. Jim wszedł za nim do pokoju, w którym stały dwa drewniane krzesła oraz fotele z miękkimi oparciami i poręczami. Barron zajął jeden fotel i wskazał Jimowi drugi. Usiedli.

W tej komnacie również było okno, przez które dolatywały wybuchy radości. Jim usiłował sobie wyobrazić, co tam się działo. Taki dziedziniec nie nadawał się do gier zespołowych. Najwyżej do tenisa.

–Magu – zapytał. – Jak on się nazywa? Ten, którego właśnie obudziłeś w sąsiedniej komnacie?

–Edgar – odparł machinalnie Barron. – Edgar de Wiggin. Strasznie się guzdrze.

–Dopiero usiedliśmy, magu – przypomniał mu Jim. – Na pewno jeszcze nie minęły trzy minuty.

–Może nie. – Barron założył nogę na nogę i zaczął bębnić palcami po kolanie. – To śliski jegomość. Trzeba mocno trzymać go w cuglach. Jednak bywa użyteczny... O, już jest!

Edgar de Wiggin właśnie stanął w drzwiach sypialni.

–Wyglądasz obrzydliwie – rzekł zimno Barron, spoglądając na niego. – Zasznurowuj spodnie.

–Och, racz mi wybaczyć, magu.

Zawiązując pospiesznie wciągnięte spodnie, Edgar podszedł do gości, zawahał się, a potem usiadł na jednym z twardych krzesel.

–Rad jestem, że cię widzę, magu – powiedział.

Jego trójkątna twarz pod grzywą burchów włosów uśmiechała się szeroko, ale oczy spoglądały podejrzliwie i nieszczerze. Jim pomyślał, że takiemu człowiekowi nie chciałby powierzyć większej sumy pieniędzy.

–Nie marnuj mojego czasu, Edgarze – powiedział Barron. – Czy znasz lady Agathę Falon?

–Hm, nie przyjaźnimy się – odrzekł Edgar, nadal się uśmiechając. – Ona spędza tyle czasu z Jego Wysokością i innymi wpływowymi ludźmi. Oczywiście jestem szlachcicem i dworzaninem, ale ona jest zbyt zajęta znacznie możniejszymi ode mnie. Nie chciałbym...

–Nieważne, co chciałbyś – uciął Barron. – Chcemy się czegoś o niej dowiedzieć. Czy przebywa tu cały czas?

–Och, prawie nie opuszcza dworu – odparł Edgar. – Chyba że jedzie do Londynu, na przykład na bal u hiszpańskiego ambasadora lub inne przyjęcie. Jeśli chcecie, mogę jej zanieść wiadomość.

–Nie chcę – powiedział Barron. – Jak już mówiłem, potrzebuję tylko informacji. Kogo ma przy sobie? Nie mówię o sługach, ale o pomniejszych dżentelmenach, którzy dotrzymują jej towarzystwa.

–Cóż, wielu stara się o jej laski – powiedział Edgar. Uśmiech w końcu znikł z jego twarzy, która mimo to sprawiała wrażenie skrytej i nieszczerzej. – Z pewnością nie chodzi o takich możnych jak earl Cumberland na przykład?

–Nie, nie – zaprzeczył Barron. – Powiedziałem pomniejszych, prawda? Ponadto chyba już stwierdziłeś, że ona interesuje się tylko Jego Wysokością.

–Och tak, magu. Jednak jest w bardzo dobrych stosunkach z takimi ludźmi, jak Cumberland, Gloucester i Despenserowie. Jednak wielu pomniejszej rangi szlachciców ma nadzieję wkraść się w jej łaski, gdyż jest mile widziana przez Jego Wysokość.

–Jimie – rozkazał Barron. – Opisz mu tych dwóch ludzi.

–Oczywiście, magu – powiedział Jim. – Jeśli uważasz, że to rozsądne.

–Rozsądne? Rozsądne? – warknął Barron.

–Obawiam się, że nie znam tego dżentelmena – rzekł Jim.

–I co z tego? – odparł Barron. – On jest zupełnie nieszkodliwy – dla nas. Jak już mówiłem, to Edgar de Wiggin – nieprawy syn hiszpańskiego ambasadora. Jest tolerowany na dworze, ponieważ umożliwia nieoficjalne kontakty między tronem angielskim a hiszpańskim. Mówi po hiszpańsku i trochę szpieguje Hiszpanów bawiących na królewskim dworze. Jego stanowisko królewskiego garderobianego jest tylko tytularne. Oto kim jest: baronem bez grosza przy duszy.

Jim poczuł się dotknięty. On też był tylko baronem, ale nie był to najlepszy moment do okazywania irytacji.

–Chcę znaleźć dwóch mężczyzn – powiedział Edgarowi. – Jeden jest po dwudziestce, o jasnych włosach, z jedwabistą młodzieńczą bródką i cienkim wąsikiem. Nosi modne stroje, mierzy prawie metr osiemdziesiąt i ma łasicowatą twarz z dużymi wystającymi zębami. Nie wygląda na wojownika. Drugi jest co najmniej dwadzieścia lat starszy, dziesięć centymetrów niższy i lekko zgarbiony. Ma siwe włosy i cienki wąsik. Żaden z nich nie ma na twarzy blizn ani śladów po ospie.

–Sir – powiedział Edgar. – Mogę spytać, w co byli ubrani?

Jim zapomniał, że w czternastym wieku, znajdując się w otoczeniu wymagającym noszenia najlepszego ubrania, nosiło się je codziennie, sporadycznie każąc służbie wyczyścić je lub wyprać, aż pewnego dnia stawało się zbyt znoszone, poplamione lub obszarpane, aby je włożyć. Wtedy należało oddać lub sprzedać stary strój i postarać się o nowy, który znów był noszony, jak długo się dało. Ubrania, które tamci dwaj nosili w Lionese, zapewne były jedynymi, w jakich widywano ich ostatnio.

–Nie mogę określić kolorów szat – odparł Jim, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że widział je w Lionese, gdzie wszystko było srebrnoczarne. – Młodszy nosił opończę, a starszy płaszcz zasłaniający resztę odzienia.

Edgar spojrział na Jima, a potem powoli pokręcił głową.

–Jest tu kilku dżentelmenów takiego wzrostu i wieku, a każdy z nich mógł nosić taki strój.

–No cóż, wobec tego będziemy musieli obejrzeć ich wszystkich – rzekł Jim trochę ostrzej, niż zamierzał. To prawda, że KinetetE obiecała szybko przenieść go z powrotem do sali tronowej sękatego króla, ale miał nieprzyjemne wrażenie, że sprawy zbyt się komplikują, aby zdołał od razu odnaleźć współników Agathy.

–No właśnie – powiedział Barron, wstając z fotela. – Idź z nim, Jim. Edgarze, zaprowadź go do kogoś, kto może odpowiadać temu opisowi. Gdybym był ci potrzebny, Jim, wezwij mnie. Na pewno wiesz, jak to zrobić. Carolinus musiał nauczyć cię chociaż tego.

Jim nauczył się tego sam, mimo to ponownie powstrzymał się od kąśliwej odpowiedzi. Pewnie i tak nie zdążyłby nic powiedzieć, ponieważ Barron już znikł.

–Zatem pozwól ze mną sir – rzekł Edgar de Wiggin.

Jim poszedł za nim wąskim wilgotnym kamiennym korytarzem. Edgar szedł pierwszy.

–Obawiam się, że mag Barron zapomniał wyjawić mi twe imię, sir – rzekł Edgar.

–Zgadza się, nie zrobił tego – odparł Jim. – Jestem sir James Eckert, baron de Bois de Malencontri w hrabstwie Somerset.

–Jestem zaszczycony, sir Jamesie – powiedział Edgar. – I ja również, sir Edgarze – odparł odruchowo Jim. Tamten się zmieszał.

–Ufam, że nie obrazisz się, zrozumiawszy... dowiedziawszy się, sir Jamesie, że nie pasowano mnie na rycerza.

–Nie? – szczerze zdziwił się Jim. Dotychczas nigdy nie spotkał dorosłego szlachcica, który nie byłby rycerzem – w ostateczności oczekującym na pasowanie lub będącym sługą Kościoła.

–Obawiam się, że nie, sir Jamesie – rzekł Edgar, gdy zaczęli schodzić po długich stromych schodach wbudowanych w wysoki kamienny mur. – Król czasem osobiście pasuje na rycerzy szlachciców należących do jego dworu. To ogromny zaszczyt. A ponieważ pasowanie przez króla ma tak wielką wartość, powszechnie uważa się, iż byłoby obrazą dla Jego Wysokości, gdyby robił to ktoś inny – choćby miał rangę i prawo pasowania godnych tego szlachciców – tak więc nikt nigdy nie korzysta z tego przywileju. W rezultacie jeszcze nie dostąpiłem tego zaszczytu.

Zamilkł, a ponieważ Jim nie wiedział, co na to powiedzieć, poszli dalej. Nie rozmawiali do czasu, aż zeszli na parter i przeszli przez łukowate drzwi. Za nimi znajdował się ten sam dziedziniec, na który wychodziło okno sypialni Edgara.

–Ach, tenis! – powiedział Jim, zadowolony z tego, że trafnie odgadł.

–Racz wybaczyć, sir Jamesie – powiedział Edgar. – To tylko lotka. Jeden z tych dwóch ludzi, o których wspomniałeś, ten młodszy, być może stoi po prawej stronie kortu, obserwując grę. Widzisz go?

Jim spojrzął i zobaczył wysokiego młodzieńca, ale ten miał zbyt jasne włosy i nie był podobny do żadnego z tych uzbrojonych w maczugi olbrzymów, których Jim widział tuż przed atakiem.

–Nie – pokręcił głową. – To nie on.

–Wybacz, sir. Poszukamy innych.

Tak też zrobili. Krążąc po mrocznych korytarzach i prawie pustych dziedzińcach, Edgar znalazł jeszcze trzech kandydatów do roli młodszego mężczyzny i dwóch podobnych do starszego, ale Jim wykluczył wszystkich.

–Błagam o wybaczenie, że pytam, sir Jamesie – rzekł Edgar. – Czy jesteś zupełnie pewien, że żaden z tych napotkanych nie jest jednym z tych, których widziałeś? Nawet najlepszy wzrok czasem zawodzi, jeśli widzi się kogoś tylko przez chwilę.

–Jestem pewny – odparł Jim. – Szukamy dalej.

–Bardzo dobrze, sir Jamesie. Tędy proszę.

Tym razem Edgar poprowadził go schodami w górę, na pierwsze piętro. Potem długim i dość wąskim korytarzem, który był bardzo zakurzony, jakby rzadko go używano. Jim

dwukrotnie kichnął i Edgar wyraził mu swoje współczucie.

–To tylko kurz – powiedział Jim.

–Miło mi to słyszeć – powiedział Edgar. Został trochę z tyłu. – Do następnej osoby, którą chcę ci pokazać, jest niedaleko. Jednak korytarz jest nieco wąski, więc może pójdziesz przodem...

Korytarz istotnie był wąski i Jim wysunął się naprzód. Sam nie wiedział, co go ostrzegło, ale postanowił się odwrócić. W tym momencie otrzymał mocny cios w prawy bark. Lekko się zachwiał, ale dokończył obrót i ujrzał Edgara stojącego na szeroko rozstawionych nogach i gapiącego się nań ze zdumieniem lub strachem. Pochwa u jego pasa była pusta. Nawet bez tego Jim zrozumiałby, co się stało. Już poczuł skutki szoku, chociaż jeszcze nie czuł bólu. Coś tkwiło w jego plecach.

Odwrócił się w samą porę, tak że ostrze wbiło się w jego bark i utkwilo w ciele, ale weszło pod kątem, a nie tak, jak je wymierzono. Jim poczuł, że szybko opuszczają go siły i wszystko zasnuwa się mgłą. Z trudem uniósł rękę i wydało mu się, że wskazał nią na Edgara.

–Bezruch! – zdołał powiedzieć.

Rozdział 26

Edgar nawet nie zdążył zmienić miny. Nagle zastygł w dziwnej pozie z grymasem przerażenia na pociągłej twarzy.

Opierając się o ścianę, żeby nie upaść, Jim spróbował dosięgnąć tkwiącego w plecach noża. Ostrze jednak znajdowało się za wysoko i albo wbiło się zbyt głęboko, albo uwięzło w ciele, kolczudze lub ubraniu, więc nie mógł go wyjąć. Ledwie mógł dosięgnąć palcami rękojeści. W żaden sposób nie zdołał uchwycić go tak mocno, aby wyrwać ostrze.

W tym momencie nie przychodził mu do głowy żaden magiczny sposób, który mógłby mu pomóc. Może jeśli uda mu się skoncentrować na tym, co robi... Spróbował wyobrazić to sobie tak samo, jak wtedy gdy używał magii, ale teraz z najwyższym trudem zbierał myśli.

Wyobraził sobie, że mgła zasnuwająca mu oczy rozwiewa się, tworząc powłokę, w której on stoi i może jasno myśleć. Nadal nie czuł bólu, aczkolwiek wyczuwał obce ciało znajdujące się w miejscu, gdzie nie powinno go być. Wydawało się ciężarem, który na przemian popycha go naprzód i ciągnie w tył – zdecydowanie zbyt mocno. Będzie musiał wykorzystać Edgara.

–Edgarze – powiedział głośno, ponownie odwracając się do dworaka. – Twoje ciało od pasa w górę jest wolne. Reszta nadal pozostaje nieruchoma. Chwycisz za rękojeść sztyletu i wyciągniesz go. Zrobisz tylko to i nic więcej. Teraz jak najdalej wyciągnij rękę.

Obejrzał się przez ramię. Widok był upiorny. Ręka Edgara powoli się uniosła, jakby była obdarzona własnym życiem. Dłoń znikła z pola widzenia Jima.

–A teraz – rzekł Jim – powiesz mi, kiedy dotkniesz palcami rękojeści... bo możesz już mówić – dodał.

Przygniótł go jeszcze większy ciężar.

–Czy dotykasz noża? – zapytał.

–Tak – jęknął Edgar. – Sir, nie wiedziałem, że jesteś magiem. Powinienem się domyślić, skoro przybyłeś z magiem Barronem. Wierz mi, magu, gdybym wiedział...

–Nieważne! – uciął Jim. – Chwyciłeś rękojeść?

–Tak, magu.

–A więc wyciągnij ten przeklęty sztylet! Powoli.

–Tak, magu... Tak, rozumiem. Wyjmę go równie zręcznie... – Edgarowi zabrakło słów.

–Ciągnij, niech cię diabli!

Poczuł szarpnięcie w tył i zaparł się stopami. Ostrze wyszło i Jim o mało nie runął na twarz. Zdołał w porę złapać równowagę i natychmiast wyobraził sobie, że naczynia krwionośne w ranie się zasklepiają. Odwrócił się i zobaczył, że Edgar nadal jest kompletnie sparaliżowany przez rzucony czar i może swobodnie poruszać tylko jedną ręką w której trzymał nóż.

–Odrzuć sztylet! – rozkazał Jim.

Edgar niezgrabnie wykonał polecenie i nóż ze szczękiem upadł na zakurzoną podłogę korytarza, sześć metrów dalej.

–Idź! – powiedział Jim.

Nic się nie stało i po chwili Jim zrozumiał, że użył niewłaściwego polecenia. Zmienił zdanie i postanowił na razie nie zdejmować zaklęcia z dworaka.

Ignorując nieruchomego Edgara, Jim zaczął sobie wyobrażać, że rana w barku się goi – przecięte tkanki się łączą uprzednio zasklepione naczynia krwionośne znów są drożne, zakaźne drobnoustroje znikają – tak samo jak w wypadku rany, którą wygoił Brianowi w Cumberlandzie. Poczuł ukłucie bólu, a potem przez długą chwilę nic; tępy ból zaczął się wkrótce rozchodzić po całych plecach. Jim sięgnął ręką i dotknął ich – namacał wilgoć. Krew. Skupił się, każąc jej zniknąć, i pomacał powtórnie, sprawdzając, czy plecy są już suche. Były. Znów obrócił się plecami do Edgara.

–Czy widzisz krew?

–Nie, magu.

Jim odwrócił się twarzą do dworzanina.

–W porządku – rzekł, chociaż w rzeczywistości wcale tak nie było. Ból pleców, mgła zasnuwająca oczy oraz pustka w głowie nie pozwalały mu się skupić i w każdej chwili mogły spowodować utratę przytomności. Ledwie trzymał się na nogach. – Czy jest tu gdzieś w pobliżu jakiś pusty pokój z łóżkiem, na którym mógłbym się położyć?

–Tak, magu – odparł pokornie Edgar. – Ale...

–Ale co?

–Musielibyśmy zejść po schodach do innej części budynku. To skrzydło jest puste i nie używane od lat.

–Dlatego przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby mnie zadźgać – rzekł Jim. – Aby nikt szybko nie znalazł mojego ciała!

–Tak, magu – Edgar o mało nie udławił się tymi słowami.

–W tej komnacie, o której mówisz... – powiedział Jim. – Czy jest tam coś, co dobrze pamiętasz i mógłbyś mi dokładnie opisać? Krzesło, łóżko, coś w pokoju, gobelin na ścianie...

–No – powiedział z namysłem Edgar. – Jest tam krzesło ze złamanym oparciem – zwyczajne drewniane krzesło. Tylko część oparcia jest odłamana od siedzenia. Poza tym jest dobre.

–Jego kolor i wielkość? – naciskał Jim. – W porównaniu do krzesel w twoim pokoju.

–Takie same. I w tym samym kolorze, magu.

–Dobrze.

Jim przywołał w pamięci obraz jednego z drewnianych krzesel w komnacie Edgara, wyobraził sobie złamane oparcie i poszukał najbliższego pomieszczenia, w którym znajdował się taki mebel. Po chwili ujrzał obraz komnaty, w której znajdował się tylko stół i jeszcze jedno drewniane krzesło oraz łóżko. Za pomocą magii przeniósł tam siebie i Edgara. Od łóżka dzieliły go tylko dwa kroki, które chwiejnie zrobił. Kładąc się na łóżku, przypomniał sobie, że prawdopodobnie roi się w nim od pcheł i wszy, więc rzucił zaklęcie wiążące insekty w materiale pościeli.

Leżąc na boku, oparł się o wezglowie i poduszkę. Ta bynajmniej nie łagodziła bólu w plecach, ale i tak poczuł bezgraniczną ulgę, gdyż nie musiał już mobilizować wszystkich sił, żeby utrzymać się na nogach.

Odetchnął, a potem głęboko zaczerpnął powietrza. Kichnął donośnie.

Dopiero teraz zauważył, że w pokoju zalega gruba warstwa kurzu, również na poduszce, na której złożył głowę. Pył unosił się wokół niego gęstą chmurą.

–Edgarze, czy ktoś może teraz przebywać w twoich pokojach?

–Nie, magu – odparł Edgar i dodał ostrożnie: – Nie sądzę.

–Lepiej, żeby tak było – rzekł ponuro Jim. Oczami duszy ujrzał sypialnię Edgara z łóżkiem, poduszkami i pościelą – względnie czystymi i świeżymi. Za pomocą magii przeniósł ich tam, ponownie zabezpieczając pościel zaklęciem. Oparł się na poduszce i wezglowiu.

Znów westchnął. Tym razem nie kichał i poczuł jeszcze większą ulgę. Wydało mu się, że ból w plecach zaczął powoli ustępować.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Edgar stoi nienaturalnie sztywno obok łóżka z wyciągniętą, lecz opadającą ręką. Jimowi już rozjaśniło się w głowie i doszedł do wniosku, że dość nieporadnie uporał się z tą raną od noża. Teraz jednak wystarczy otoczyć zaklęciem ochronnym siebie razem z łóżkiem, a drugim cały pokój, żeby Edgar nie mógł wyjść. Potem obaj będą mogli odpocząć.

Rzucił dwa zaklęcia, zastrzegając, że będzie mógł przez nie rozmawiać z Edgarem, a potem prawie ze współczuciem spojrzął na dworzanina.

–Możesz się ruszać – powiedział. Edgar zwiotczał i prawie upadł.

–Usiądź na krześle.

Edgar podszedł do krzesła i osunął się na nie, kuląc się i łapiąc oddech. Jim obserwował go, zastanawiając się, jak Brian oceniłby szanse Edgara na to, że kiedykolwiek zostanie pasowany na rycerza.

Teraz, kiedy był już bezpieczny, Jim poczuł krańcowe wyczerpanie. Nagle uświadomił sobie, że od dawna nie spał i nic nie jadł. W jaskim sękatego króla razem z Dafyddem i Brianem byli zbyt zajęci, aby myśleć o jedzeniu i śnie.

Otworzył usta, żeby kazać Edgarowi, by wezwał służbę i zażądał jedzenia albo przyniósł je sam. Potem zrozumiał, że musiałby w jakiś sposób zmodyfikować ochronne zaklęcia, które chroniły go i trzymały Edgara w komnacie. Niechętnie zrezygnował na razie zjedzenia i snu.

Najważniejsze, że był teraz bezpieczny, gdyż nikt nie mógł złamać tych zaklęć – nawet wszyscy zbrojni broniący zamku nie zdołaliby wtargnąć do tej komnaty. A im dłużej o tym

myślał, tym bardziej był przekonany, że Edgar niemal na pewno wykonywał czyjeś rozkazy – przynajmniej do niedawna.

–Edgarze – powiedział.

–Tak, magu?

–Zamierzam odpocząć. A ty wyjdiesz i przyniesiesz mi coś do jedzenia i picia. Nikomu nie powiesz, że tu jestem i nikogo tu nie przyprowadzisz. Przez cały czas będę cię słuchał i obserwował, a w razie potrzeby uderzę z daleka. Masz nikomu nic nie mówić. Rozumiesz? Nikomu nie wyjawisz, że tu jestem.

–Och, magu – rzekł Edgar, błagalnie składając dłonie. – Nie powiem nikomu. Możesz mi zaufać.

–Lepiej, żeby tak było – warknął Jim i pomyślał, że ostatnio często używa gróźb. Zdjął zakłęcie z drzwi przed wychodzącym Edgarem, a potem znów rzucił czar, zastrzegając, że tylko Edgar może wejść do pokoju.

Kiedy dworzaniin wyszedł, Jim zamknął oczy. Przecież nie zdoła zasnąć, powiedział sobie, skoro wszystko go boli. Mimo to zamknął oczy i jak dobry średniowieczny rycerz próbował ignorować ból. Tak więc łatwo zrozumieć, że był wściekły, gdy sekundę lub dwie później musiał znów je otworzyć. Wołał go stojący obok łóżka Edgar.

–Co? Co jest? – warknął. – Co się stało?

–Nic, magu – odparł bojaźliwie Edgar. – Przyniosłem jadło i napitek, jak kazałeś...

Wskazał na stolik obok łóżka. Stał na nim puchar, dzban z winem, miska z zimnym mięsiwem oraz razowy chleb na drewnianym talerzu. Jim nadal siedział na łóżku.

–Ach tak – mruknął. – W porządku. Jak długo cię nie było?

–Godzinę. Nie dłużej, magu.

Jim chrząknął, po czym zajął się jedzeniem i piciem – czerwone wino było zdumiewająco dobre. W mgnieniu oka pochłonął połowę mięsa i wypił pół dzbanka wina. Oparł się o wezgi łóżka i poczuł się znacznie lepiej. Nadal bolały go plecy, ale już nie tak bardzo.

Przypomniał sobie, że Brian ani słowem nie wspomniał o tym, że rany bolały go po tym, jak Jim – a kiedyś Carolinus – wyleczył je za pomocą magii. Tak traktowano ból w tym stuleciu: jeśli nic nie można było nań poradzić, po prostu starano się o nim nie myśleć. Jakby zaskoczył cię deszcz w okolicy, w której nie ma schronienia: jeżeli nie możesz się przed nim schować, po prostu idziesz dalej. Tak już jest.

Próbował to sobie powiedzieć, ale ból wcale nie zelżał. Jim znów zajął się Edgarem.

–Dlaczego chciałeś mnie zabić? – zapytał.

–To była okropna pomyłka, magu – odparł szybko Edgar. – Myślałem, że jesteś diabłem, któremu mag Barron kazał mnie pilnować, a człowiek pełniący na dworze takie obowiązki jak ja nie może przez cały czas mieć diabła u boku. Pomyślałem, że kiedy pchnę cię nożem, po prostu znikniesz. Przecież tak robią diabły, czyż nie?

–Nie – odparł Jim.

Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy tak było, czy nie, ale nie miało to znaczenia, gdyż Edgar najwyraźniej go okłamywał. Gdyby rzeczywiście uważał go za diabła, na pewno nie odważyłby się użyć noża. Widocznie wołał, by uznano go za głupiego niż niebezpiecznego.

–A więc – rzekł Jim – myślałeś, że zniknę? Dlatego zaprowadziłeś mnie do opuszczonej części zamku, zanim użyłeś noża?

–Cóż... – powiedział Edgar. – Po prostu nie chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył. Nie masz pojęcia, magu, jak trudna jest moja sytuacja. Ledwie udaje mi się utrzymać na dworze i przy życiu, a pensję królewskiego garderobianego zawdzięczam mojej umiejętności zbierania drobnych ploteczek i przekazywania ich tym, którzy zyskują dzięki nim drobną i niewinną przewagę. Robiąc to, trzeba zachować ostrożność, a więc rozmawiać tylko w cztery oczy, a mając przy sobie diabła...

–Zapomnijmy o diable – rzekł Jim. – Musisz zrozumieć jedno: zostanę przy tobie, dopóki nie usłyszę prawdy. Jedno jest oczywiste: nie jesteś wprawnym zabójcą.

–Och nie! Wcale nie, magu – zawołał Edgar. – Wiedziałem, że ktoś taki jak ty zaraz to dostrzeże. Nie mógłbym nim być. Nie mógłbym się z tym pogodzić.

–Zatem dlaczego próbowałaś? – zapytał Jim. – Inie chcę już słuchać żadnych łgarstw. Musiałaś grać o wysoką stawkę – i nie mów mi, że chodziło ci o utrzymanie miejsca na dworze.

–Zapewniam cię, magu...

–Nie zapewniaj! – Jim wybuchnął gwałtowną rzadką u niego wściekłością, podsycaną myślą o Robercie i innych uwięzionych w jaskini. – Tutaj chodzi o życie dziecka i kilku zacnych ludzi, więc mam dosyć twoich wykrętnych odpowiedzi! Boisz się kogoś – doskonale, bardziej obawiaj się mnie! Jaki jest powód tego wszystkiego? Czy to ma coś wspólnego z tymi ludźmi, których szukam? Czy też stoi za tym sama Agatha Falon?

–Wcale nie, magu, przysięgam...

–Zastanów się, zanim coś powiesz! – ostrzegł go Jim. Powoli podniósł palec, aż wymierzył go w Edgara. – Czy wiesz, co mogę z tobą zrobić?

Twarz Edgara stała się biała jak papier. Jim nie miał pojęcia, co mógłby z nim zrobić, ale w tym momencie miał na to ochotę i niech diabli wezmą prawo magii nakazujące używać jej wyłącznie w samoobronie.

Edgar zalał się łzami i upadł na kolana, załamując ręce i patrząc na spoczywającego na łóżku Jima.

–Nie odważę się, magu! – wyjęczał. – Nigdy nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego, ale jak mogę odmówić, gdy taki lord każe mi być szpiegiem? Mógłby zniszczyć mnie jednym machnięciem ręki!

–Kto mógłby cię zniszczyć?

–Magu, nie mogę ci powiedzieć!

–Kogo miałaś szpiegować?

–Wszystkich! – odparł Edgar. – Szczególnie earla Oksforda i sir Johna Chandosa!

Jim powoli zaczynał kojarzyć fakty. Kiedy ostatnio słyszał o earlu Oksfordu, mówiono o nim w związku z najazdem na ziemię earla Cumberlanda.

–Lordem, którego tak się obawiasz – zaryzykował Jim – jest earl Cumberland. Nie zaprzeczaj!

Edgar załamał ręce. Wcześniej przestał płakać, ale teraz znów zaczął. Jim spoglądał na niego z niesmakiem pomieszany z odrobiną wstydu.

–Zabiją mnie! – łkał Edgar. – Nie tylko stracę wszystko, a niewiele mam, ale zabiją mnie. Zamordują mnie okrutnie i bezlitośnie, może tak samo, jak zabito ojca naszego obecnego króla, niech Bóg ma go w opiece, nie pozostawiając żadnych śladów!

–Obronię cię! – rzekł stanowczo Jim. Znów ryzykował. Nie miał pojęcia, czy Barron, KinetetE lub jakikolwiek mag zechciałby spełnić jego obietnicę. Musiał jednak dowiedzieć się prawdy od tego człowieka.

–Tak więc na rozkaz Cumberlanda szpiegowałeś Johna Chandosa, earla Oksforda i innych. Chodziło o powstrzymanie napadu na ziemie milorda, prawda?

–Co mam robić? Co robić? – pytał Edgar bardziej siebie niż Jima. – Ty wiesz wszystko, magu! Po co w ogóle mnie pytasz?

–Mam powody – odparł Jim. – Teraz powiedz mi, co łączy tych ludzi, których szukam, z lady Agathą i tą historią z najazdem na ziemie Cumberlanda?

–Nie odważę się – powiedział Edgar. Przestał płakać i jego twarz była blada, lecz spokojna. – Rób ze mną, co chcesz, magu, ona i oni mogą potraktować mnie gorzej. Ta kobieta to wiedźma!

–Jako czarodziej wiem, że ona nie jest czarownicą – rzekł Jim.

–Och jest, magu! – powiedział Edgar, podnosząc nagle głowę. – Sam kiedyś widziałem z daleka, jak weszła do jednej z komnat. Zaraz potem tam dotarłem, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Zamierzałem powiedzieć, że przez pomyłkę trafiłem do niewłaściwego pokoju, ale w środku nikogo nie było. – Patrzył na Jima. – I nie było tam ukrytego przejścia – dodał. – Wierz mi, magu, nie było.

Jim szczerze w to wątpił.

–Magowie nie muszą niczego tłumaczyć – rzekł. – Powtarzam ci, ona nie jest wiedźmą. Jak to się stało, że widziałeś ją wtedy na korytarzu i dlaczego z przygotowaną wymówką wszedłeś za nią do tej komnaty?

–Przypadkiem znalazłem się w tym korytarzu i zobaczyłem ją.

–Odpowiedziałeś tylko na połowę mojego pytania – rzekł Jim. – Dlaczego wszedłeś do tamtego pokoju?

–Myślałem, że odwiedza kogoś, o kim chciałby wiedzieć milord, i zamierzałem się dowiedzieć, kto to jest. Gdyby to był ktoś nieważny, zamierzałem przeprosić i wyjść.

–Boisz się jej, ponieważ uważasz ją za czarownicę – rzekł Jim. – Wszedłeś tam tak po prostu, zamierzając się wykręcić i wyjść? – Nagle warknął na Edgara: – Ją również kazano ci szpiegować!

Edgar osunął się na podłogę.

–Nie wiem, co robić – powiedział do siebie.

–Powiedz prawdę – zachęcił go Jim. – A obronię cię. Jak dobrze znana jest historia o tym, że lady Agatha to czarownica?

–Och, wszyscy o tym wiedzą – odparł zrezygnowany Edgar. – Ona nigdy o tym nie wspominała, ale mówią o tym wszyscy na dworze. Powiadają że lordowie i ludzie z jej najbliższego otoczenia – może z wyjątkiem samego króla – też o tym wiedzą ale rozmawiają o tym tylko między sobą. Ona czasami znika z królewskiego dworu. Nie było jej przez całe Boże Narodzenie. Oficjalnie pojechała razem z księciem Edwardem z wizytą do earla Somerset, lecz w rzeczywistości zabawiała się i obłapiała z różnymi trollami i demonami...

–Bzdura! – rzekł Jim. – Nic takiego nie robiła. W ostatnie Boże Narodzenie sam byłem u earla i widziałem ją tam.

–Naprawdę? – wytrzeszczył oczy Edgar.

–Naprawdę! – warknął Jim. – Odpowiedz na moje pytanie!

–Ją też – wykrztusił Edgar. – Ją także mam obserwować. Są różne sprawy, magu, które trudno wyjaśnić. Przecież los nie obdarzył ją szczególnie gładką twarzą i ciałem, ale król jest nią zauroczony. Jeśli ona nie jest czarownicą...

–Dość tego! – przerwał mu Jim. – Jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie słowo „czarownica”...

–Nie, magu! Nie usłyszysz, obiecuję! – zawołał Edgar.

–Dobrze. Teraz opowiedz mi o łasce, jaką darzy ją król.

–No, cały dwór o tym wie, magu. Przydzielono jej honorowy apartament w głównej wieży, bardzo blisko kwatery Jego Wysokości. W tej części wieży mieszkają również królewscy doradcy. Kiedy lady Agatha bawi na dworze i nie jest u króla, zazwyczaj można znaleźć ją przy jednym z lordów, którzy mu doradzają.

–Jak daleko znajdują się jej pokoje od kwatery Cumberlanda? Edgar szerzej otworzył oczy, ale tylko na chwilę.

–Oczywiście, obok Cumberlanda, magu.

–Dlaczego „oczywiście”? – warknął Jim. Plecy nie dokuczały mu już tak bardzo jak przedtem, ale i tak czuł ból.

–No, przecież Cumberland wprowadził ją na dwór. Nikt nie zostanie dworzaniem, jeśli nie wprowadzi go patron, który już jest członkiem dworu. Nie mówię o takich dworakach jak ja. – Edgar się uśmiechnął, przy czym na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się szczerzy smutek. – Bo ja się tu urodziłem.

–Jak Cumberland ją poznał? – zapytał Jim.

–Podobno spotkała go na przyjęciu w jednym z jego zamków i pokazała, jak majordomus okrada go z pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie.

–Hm – mruknął Jim. – Cumberland sprowadził ją tutaj, nie wiedząc, jaki kłopot ściąga sobie na głowę. A więc mieszka obok kwatery Cumberlanda?

–A jego pokoje są tuż obok królewskich komnat, magu – powiedział Edgar. – Musisz jednak pamiętać, że ona jest przyjaciółką króla.

–A więc częściej widuje się ją z Cumberlandem niż innymi?

–Tak! – odparł Edgar. – Milord earl Cumberland jest głównym doradcą Jego Królewskiej Mości. To całkiem naturalne, że ona tak często z nim przestaje.

Po raz pierwszy Jim poczuł przyływ otuchy – chociaż właściwie nie wiedział, czym spowodowany. Zadawał Edgarowi zupełnie przypadkowe pytania, jakie przyszły mu do głowy. Czasem było to oznaką intensywnego procesu myślowego przebiegającego w nieświadomości, więc być może jego umysł właśnie wpadł na jakiś trop.

–Może więc powiesz mi... – zaczęła, kiedy od sufitu oderwała się kartka szarobiałego papieru, jakim posługiwali się w Malencontri – zawirowała, poszybowała i zleciała tuż obok Jima.

–Zamknij oczy! – warknął Jim do Edgara, a kiedy ten usłuchał, Jim znów wydał rozkaz „bezruch”.

Rozdział 27

Jim złapał kartkę papieru, gdy mijała go w drodze na podłogę. Na szczęście zawsze

miał dobry refleks, a kilka lat gry w siatkówkę nauczyło go przechwytywać nadlatujący obiekt raczej przy ziemi niż w powietrzu. Chwycił papier i przytrzymał. Spojrzał nań.

Kartka była czysta. Jim spoglądał na nią przez chwilę, a potem ją odwrócił. Na drugiej stronie widniała notatka skreślona pismem Angie. Było to zwyczajne dwudziestowieczne pismo, a nie czternastowieczna kaligrafia, której nauczyła się zamieszkawszy w Malencontri, co w połączeniu ze znajomością łaciny pozwalało jej odpowiadać na rzadko przychodzące do nich listy.

Na szczęście. Jim do tej pory nie nauczył się wprawnie czytać zakrętasów stawianych przez skrybów. Oczywiście nawet najbieglejsi z nich mieliby podobne trudności z dwudziestowiecznym pismem, tak więc notatka Angeli była bezpieczna, nawet gdyby wpadła w niepowołane ręce.

Jednak list dotarł tu w magiczny sposób, co było dziwne, gdyż Angie nie dysponowała żadną magią. A z pewnością tak było, od kiedy Carolinus dowiedział się, że głównie dzięki sile woli zdołała się zamienić w smoka. Carolinus natychmiast się pojawił, cofnął przemianę, a potem rzucił zaklęcie uniemożliwiające jej dokonywanie następnych takich odkryć. Powiedział, że już z Jimem ma więcej kłopotów, niż powinien mieć ich człowiek w jego wieku, więc dwie takie osoby to byłoby już za wiele.

Jim zaczął pospiesznie czytać list. Pismo było opatrzone nagłówkiem skreślonym dużymi literami.

PILNE Mój Kochany!

Carolinus dał mi możliwość napisania do ciebie w razie pilnej potrzeby. Kiedy wyruszyłeś na tą wyprawę do Ziemi Świętej, obiecał mi, że znajdzie jakiś sposób, żebym mogła do ciebie napisać, gdybym naprawdę musiała, a później dał mi trochę tego magicznego papieru. Zdaje się, że wystarczy, jeśli coś na nim napiszę, a kiedy mu każę, sam cię odnajdzie. Wybacz, że nie powiedziałam ci o tym wcześniej, ale nie wiedziałam, kiedy i czy w ogóle będę musiała się z tobą skontaktować, więc zatrzymałam tę wiadomość dla siebie.

Pojawił się tu sir William Wilson z oddziałem królewskich zbrojnych i kolejnym listem od księcia Edwarda, który prosi cię o pomoc i przeciwdziałanie intrygom Agathy Falon. List jest utrzymany w rozpaczliwym tonie i zapewne został wysłany, zanim kurier z pierwszym powrócił do księcia. W drugim liście książę pisze, że sprawy przybrały znacznie gorszy obrót i w każdej chwili może zostać wydziedziczony, oskarżony o zdradę lub podobną zbrodnię. Nie rozumiem tego – królewscy zbrojni wydają się kiepskimi posłańcami w takiej sprawie, szczególnie że Agatha jest obecnie faworytą Jego Wysokości. Czy zauważyłeś, jak to się dziwnie składa, że zarówno Robert, jak i książę znaleźli się w niebezpieczeństwie, a najgorszym wrogiem obu jest właśnie Agatha? Jednak nie mam pojęcia, jak zdołała porwać Roberta, chyba że sprzymierzyła się z jakimiś czarodziejskimi stworami, do czego jest na pewno zdolna.

Chciałabym wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. Czy wszystko u ciebie w porządku? Zawsze chciałam to wiedzieć, ale Carolinus nalegał, żebym używała tego tylko w pilnej potrzebie, więc wcześniej nie pisałam do ciebie tą drogą. Nie będę się martwiła, jeśli nie odpowiesz, ponieważ wiem, że nic ci nie jest, tylko nie możesz pisać do mnie tak często, jak bym chciała. Bardzo za tobą tęsknię i kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nawet bardziej niż małego Roberta, choć tak bardzo go pokochałam przez ten krótki czas,

kiedy go mieliśmy.

Uważaj na siebie. Skłamałam. Martwię się. Martwię się cały czas, ale nie mogę się powstrzymać i nic nie można na to poradzić, więc nie zwracaj na to uwagi. Prześlij mi wiadomość, kiedy będziesz mógł. Kocham cię najbardziej na świecie.

Angie Jim wyciągnął rękę w powietrze, powiedział cicho: „Chusteczka!” i wyobraził sobie jedną. Złapał ją palcami tuż nad łóżkiem, a potem wytarł nos i odchrząknął. Był rad, że Edgar tego nie widzi. Starannie złożył list i schował go do kieszeni, a potem zmiął chusteczkę w kulkę i już miał jej kazać zniknąć, gdy przyszedł mu do głowy lepszy pomysł.

–Dezintegracja! – rzekł stanowczo.

Chusteczka wahała się tylko moment, zamigotała i znikła w krótkim rozbłysku światła. Zadowolony z tego, że czternastowieczna magia jest w stanie zrozumieć choć jedno nowoczesne słowo, Jim ponownie zajął się Edgarem.

–Możesz się ruszać! – powiedział nieco przyjaźniejszym tonem.

Edgar otworzył oczy, ale się nie odezwał.

–No, do rzeczy – rzekł Jim. – Powiedziałeś, że pokoje lady Agathy znajdują się obok kwatery earla Cumberlanda?

–No... tak.

–Rozumiem – rzekł Jim. – A teraz jeszcze jedno. Jak stoją sprawy między Agathą a księciem Edwardem?

–Tak, jak można by oczekiwać, magu – odparł Edgar. – Są w dobrych stosunkach, chociaż od kiedy ona zainteresowała się jego ojcem – królem – mają mało okazji do bezpośredniej rozmowy. Jednak niewątpliwie są to zażyłe stosunki.

Jim pamiętał, że podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset nikt nie miał cienia wątpliwości, że te stosunki nie są serdeczne. Nikt o tym nie wspominał – przynajmniej nie w obecności Jima. Jednak nie było to tam dla nikogo tajemnicą więc z pewnością nie było nią i na dworze, który był bardziej plotkarski niż najmniejsza z wiosek.

–Jeśli nadal będziesz mnie okłamywał – powiedział Jim powoli i groźnie – zaczniesz maleć i przypominać bardziej robaka niż człowieka. Będziesz małał i małał, aż staniesz się bardzo mały i zaczniesz pełzać po podłodze jak robak. A wtedy cię rozdepczę.

–Magu! – Edgar znów zaczął płakać.

–Przestań! – rzekł Jim.

Do tego jednego średniowiecznego zwyczaju nie był w stanie przywyknąć. Nikt nie powinien upokarzać się do tego stopnia. Jim zawsze był zażenowany, kiedy widział coś takiego. Zaczerpnął głęboko tchu, żeby się uspokoić, po czym dokończył normalnym tonem:

–Pamiętaj o tym i mów prawdę. Jak stoją sprawy między Agathą a księciem?

–Nie przepadają za sobą. To prawda – rzekł szczerze Edgar.

–Powiedzmy, że jest to bliższe prawdy – skomentował Jim. – No dobrze, od tej pory mów prawdę, bo inaczej... Następne pytanie: czy komnaty Agathy Falon i earla Cumberlanda łączy jakieś sekretne przejście?

–Magu! Przysięgam na Boga, że nic nie wiem o żadnych tajnych przejściach! Wciąż się o nich słyszy, ale to nic pewnego. Nic!

–Mimo to powiedziałeś, że wszedłeś za Agathą do jednej z komnat i nikogo tam nie znalazłeś, a pokój na pewno był pusty, ponieważ nie znalazłeś tam żadnych ukrytych

przejsć.

–Skłamałem, magu – wyznał Edgar. – Naprawdę nic nie wiem o ukrytych przejściach. Mówi się o korytarzu łączącym komnaty earla Cumberlanda z apartamentami króla, a jeszcze więcej o przejściach łączących królewskie pokoje z innymi częściami zamku, a nawet wiodącymi za mury, żeby monarcha mógł wyjeżdżać i wracać w tajemnicy. Ja jednak nic o nich nie wiem.

–A więc powinniśmy zaraz się dowiedzieć – rzekł Jim. – Zaprowadź mnie do kwatery Cumberlanda, do komnaty przylegającej lub znajdującej się niedaleko królewskich pokoiów.

–Magu – odparł Edgar. – Nie mogę cię otwarcie przeprowadzić przez zamek do tej części, gdzie znajdują się królewskie pokoje. Masz u pasa miecz oraz sztylet i nosisz kolczugę. Nie mówiąc już o tym, że twoja twarz nie jest znana na dworze. – Zamilkł i przełknął ślinę, zanim zaczął mówić dalej. – Przedtem starałem się prowadzić cię przez najmniej odwiedzane i najodleglejsze części zamku, gdzie widok obcego nie budzi zdziwienia. Jeśli teraz, uzbrojony i nieznajomy, zbliżysz się do niego, obaj zostaniemy natychmiast aresztowani i zakuci w kajdany!

–Czy wiedziałeś również, że w tych miejscach nie znajdziemy ludzi, których szukam? Edgar skulił się i bojaźliwie kiwnął głową.

–Hm, w tej chwili to nie ma znaczenia – rzekł Jim. – Uczynię nas obu niewidzialnymi i niesłyszalnymi.

Oczami duszy ujrzał pokój, w którym przebywali z Edgarem, całkowicie opuszczony. Kiedyś uważał, że nie zdoła uczynić siebie – czy kogokolwiek innego – niewidzialnym, ale znalazł inny sposób, aby uzyskać ten efekt. Teraz miał już wprawę i mógł uczynić to jeszcze prościej.

–Wybacz, magu, ale my nie jesteśmy niewidzialni – pisnął Edgar. – Dobrze cię widzę, tak samo jak moje części ciała.

–Zgadza się – odparł Jim. – Ja widzę ciebie, a ty mnie i sami siebie też możemy dostrzec. Nikt inny nas nie zobaczy. Będziesz musiał uważać, żeby nikt na ciebie nie wpadł, myśląc, że nikogo przed nim nie ma. Nie chcemy, aby ludzie dowiedzieli się o naszej obecności.

–Nie, magu – przytaknął Edgar. – Na pewno nie.

–Cóż, prowadź więc do apartamentów earla Cumberlanda. Edgar powiódł go na dziedziniec, gdzie bawiono się już w inną grę, chociaż cieszącą się mniejszym zainteresowaniem. Stamtąd weszli w następne drzwi i długi korytarz, kolejne schody i korytarze... W końcu dotarli do schodów szerszych i czystszych od wszystkich dotychczas napotkanych. Na ich końcu znajdował się szeroki korytarz. Długi spacer sprawił, że Jim zapomniał o bólu w plecach. Po korytarzu kręcili się służby z pełnymi lub pustymi tacami, a czasem częściami ubrań.

–Czy oni nas słyszą? – szepnął Edgar do ucha Jimowi. Jim pokręcił głową.

–Nie widzą nas i nie słyszą – powiedział normalnym głosem. – Teraz pokaż mi, gdzie dokładnie zaczynają się pokoje earla Cumberlanda.

Edgar wybałuszył oczy.

–Magu, nie mam o tym pojęcia – powiedział. – Nawet nie wiem, gdzie właściwie są pokoje earla Cumberlanda.

–Jasna cholera!

–To prawda, magu – bełkotał Edgar. – Nie jestem pewien, które drzwi prowadzą do czyich kwater. Widzisz, ktoś tak mało ważny jak ja... Nigdy tu nie byłem. Jestem tu pierwszy raz.

Jim przeszył go wzrokiem. Edgar się skulił.

–Gdybyś dał mi kilka tygodni – rzekł pospiesznie – może zdołałbym się dowiedzieć...

–Jasna cholera! – ponownie warknął Jim. Uświadomił sobie, że się powtarza, więc tak szybko przeniósł ich z powrotem do komnaty Edgara, że ten zachwiał się na nogach i zaczął spazmatycznie łapać ustami powietrze. Jim rozejrzał się po pokoju.

–Przynieś mi miskę czystej wody – rozkazał. – Nie, czekaj, to trwałoby za długo.

Przez chwilę szukał w pamięci, usiłując przypomnieć sobie, gdzie widział taką miskę, jakiej potrzebował. Przychodziła mu na myśl tylko jedna – miska w chacie Carolinusa. Pomysł zabierania czegoś, co należy do Carolinusa, budził lekki niepokój, ale Jim przypomniał sobie, że Carolinus siedzi zamknięty w klatce i może wcale z niej nie wyjść, jeśli Jim mu nie pomoże. Wyobraził sobie tę miskę z niebieskozielonej porcelany, z wywiniętym brzegiem i namalowanymi na niej rybkami. Naczynie pojawiło się na stole przed Jimem.

–Przynieś mi trochę wody – powiedział do Edgara. – Czystej! Edgar pospieszył do sąsiedniej komnaty i wrócił ze skórzanym bukłakiem. Podał go Jimowi.

–Dzięki – rzucił krótko Jim. Wlał płyn z bukłaka do miski, ale natychmiast spostrzegł, że w wodzie unosi się mnóstwo jakichś drobin – zapewne kawałków skóry albo czegoś gorszego. Jim podniósł naczynie i niedbałym ruchem jak Brian wylał zawartość na podłogę. Postawił miskę na stole. – Wróć do chaty Carolinusa – rozkazał jej. – Oplucz się dokładnie w fontannie Dźwięczącej Wody. Potem wróć tutaj pełna czystej wody.

Miska zniknęła i niemal natychmiast wróciła, po brzegi wypełniona wodą, której czystość zawstydziała cały ten pokój.

–No, wreszcie do czegoś dochodzimy – rzekł Jim.

Przystawił krzesło do stołu, usiadł i skoncentrował się na powierzchni wody. Już nie przebywał w królestwie sękatych, więc magiczne umiejętności powinny pozwolić mu zajrzeć do jaskini i gdziekolwiek zechce.

Oczywiście taki sposób podpatrzył u Abu al-Qusayra, którego odwiedzili z Brianem, gdy poszukiwali ojca Geronde. Mag ze Wschodu wolał posługiwać się miską wody niż szklaną kulą, którą preferował Carolinus oraz większość europejskich magów. Jim skupił się i po chwili ujrzał wewnątrz jaskini pełne nieruchomych postaci.

Hill wciąż stał przed królem, który pochylał się na tronie – widocznie nadal się kłócili. Jim przez chwilę dziwił się, dlaczego nikt się nie rusza, ale zaraz przestał się nad tym zastanawiać. Sądząc po tym, co słyszał, mogło to być efektem różnic czasu w poszczególnych królestwach.

Szukał Hoba i nie dostrzegł go, dopóki nie przyjrzał się uważnie jucznemu koniowi drzemiącemu na stojąco. Zobaczył twarzyczkę skrzata wyglądającą spod plandeki.

Pytanie, czy jego magia sięgnie jaskini króla sękatych. Musi spróbować tego, co właśnie przyszło mu do głowy. Chociaż mało prawdopodobne, aby to się udało, gdyż na dobrą sprawę próbował użyć czarów w królestwie, w którym obca magia była niedozwolona.

Carolinus jednak jakoś wysłał swój obraz, co sugerowało, że mistrz magii zdołał zachować tam przynajmniej część swych magicznych umiejętności.

Magia mogła nie działać na żaden fizyczny obiekt w tym królestwie, ale może uda się nią wpłynąć na coś, co jest czystą energią.

–Obłoczek dymu, dziesięć centymetrów sześciennych – rozkazał Jim i zamówiony dym ukazał się przed nim w powietrzu. – A teraz – powiedział mu Jim – stracisz fizyczną postać. Pozostanie tylko twoja energia.

Chmurka dymu przez moment niepewnie podskakiwała w powietrzu. Potem znikła.

–Dobrze – rzucił Jim, wskazując na pozornie nieruchomą twarzyczkę wyglądającą spod plandeki na grzbiecie jucznego konia. – Idź do niego!

Pospiesznie rzucił czar czyniący Hoba równie niewidzialnym jak Jim i Edgar.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Potem twarz Hoba zaczęła się szybko przybliżać i przybrała zdziwiony wyraz. Parę sekund później Hob z uśmiechem stanął tuż przed Jimem, a w powietrzu pod skrzatem pojawiła się smużka dymu. Hob wskoczył Jimowi na ramię i zarzucił mu rękę na szyję.

–Milordzie! Wiedziałem, że to ty przysłałeś ten dym! Wiedziałem! I od razu poleciałem do ciebie! – zawołał, mocno ściskając szyję Jima.

–Ble! – powiedział Jim.

–Och, przepraszam, milordzie! – Hob rozluźnił chwyt. – Czy ścisnąłem za mocno? Tak się cieszę, że cię widzę! Jak się tu dostałeś? Co to za miejsce? Kim...? – Hob wskazał na Edgara. – To jest edgar – odparł Jim, zdoławszy wreszcie zaczerpnąć powietrza. – Zaczekaj.

Właśnie przypomniał sobie o misce. Carolinus narobiłby rabanu, gdyby została zgubiona lub skradziona, chociaż najwidoczniej była stara i niepotrzebna. Poza tym Jim może jej jeszcze potrzebować. Nie tylko miski, ale i krystalicznie czystej Dźwięczącej Wody.

–Ty – wskazał na nią – masz zostać przy mnie, niewidoczna i niesłyszalna, i masz nie uronić kropli. To magiczne polecenie.

Miska znikła.

–No – rzekł Jim, obracając się do Hoba. – O co pytałeś?

–Przepraszam, milordzie – odparł pokornie Hob. – Ja tylko pytałem, kim on jest. Już mi odpowiedziałeś. To Edgar.

–Och tak – przypomniał sobie Jim. – Nazywa się Edgar. Słuchaj, później wszystko ci wyjaśnię. Znajdujemy się w królewskim pałacu pod Londynem. To bardzo duży budynek, ale jeśli znajdziemy jakiś komin, możesz do niego wejść i przelecieć po kominach, aż znajdziesz jakieś sekretne przejścia w murach?

–Oczywiście, milordzie – odparł Hob. – Przecież milord wie!

–No cóż, właśnie tego od ciebie oczekuję. Zaniosę cię jak najbliżej tego miejsca. Pamiętaj, że jesteśmy teraz niewidzialni i możemy rozmawiać, a nikt nas nie usłyszy.

Nagle znów znaleźli się w szerokim korytarzu pełnym służby.

–Naprawdę jestem niewidzialny, milordzie?

–Tak, naprawdę, i możesz nie ścisnąć tak mojej szyi.

–Bardzo przepraszam, milordzie.

–Ruszaj – dodał Jim. – Gdzieś tutaj są pokoje earla Cumberlanda. Kończą się ścianą za

którą znajdują się królewskie komnaty. Jestem pewien, że w rym murze musi być jakieś ukryte przejście. Sądzisz, że zdołasz je znaleźć?

–Och tak, milordzie – odparł Hob. – Jeśli tylko będę mógł zacząć... powiedzmy, od kominka?

–Cóż...

Jim rozejrzał się i szczęśliwym trafem opodal właśnie przechodził sługa z pełną tacą. Była tak ciężka, że musiał trzymać ją oburącz i balansować na jednej ręce, kiedy zapukał do drzwi. Zaczekał, a w tym momencie dotarł do niego Jim z Hobem na ramieniu i depczącym mu po piętach Edgarem.

Sługa otworzył drzwi i przeszedł przez nie bokiem, usiłując łokciem zamknąć je za sobą. Zaczęły się zamykać, lecz Jim przytrzymał je i prześliznął się przez nie razem ze skrzatem i dworakiem.

–Zamknij te drzwi! – warknął ktoś.

Jim słyszał już ten głos – we Francji, kiedy usiłował nie dopuścić do krwawej bitwy między angielskimi a francuskimi wojskami, co udało mu się dzięki pomocy francuskich smoków, księcia Edwarda i Carolinusa. Chociaż potyczka i tak była dość krwawa. W wyniku tego Jim zyskał wroga w earlu.

Mówiący był krępy mężczyzną o okrągłej siwej głowie i kwadratowej szczęce porośniętej krótko przystrzyżoną brodą. Jego ciało wyglądało niezgrabnie w kaftanie z czerwonego aksamitu, a twarz wykrzywiał niechętny grymas, pod wpływem którego broda nastroszyła mu się jak szczecina. Robert de Clifford, earl Cumberland – ten sam człowiek, który nie pozwolił Jimowi i Brianowi pochować ich przyjaciela Gilesa w morzu, zgodnie z wolą zmarłego.

Najwidoczniej, pomyślał Jim, earl wcale się nie zmienił.

Sługa, za którym tu weszli, ostrożnie postawił półmisek na stole przed earlem. Jim i dworzanie poszli dalej przez komnatę ku uchylonym drzwiom, które mogły prowadzić do komnaty przylegającej do królewskich pokojów. Jim szedł pogrążony w myślach.

Agatha Falon nie lubiła Angie i Jima – spokojnie można było stwierdzić, że głęboko ich nienawidziła – ponieważ pokrzyżowali jej plany zawładnięcia ogromnymi dobrami Falonów. Nie udało jej się porwać lub zamordować małego bratanka – Roberta. Teraz, jako faworyta króla, była trudnym przeciwnikiem. Jeszcze gorzej, jeśli w jakiś sposób sprzymierzyła się z jednym z królewskich doradców – chyba najważniejszym z nich, w dodatku wrogo nastawionym do Jima.

Mimo to Jim wciąż nie rozumiał, jak Agatha zdołała namówić króla sękatych, aby porwał dla niej Roberta, ani jak zdołała dostać się do Liones i zastawić pułapkę na Jima oraz jego towarzyszy.

Zastanawiając się nad tym, Jim minął dwa kolejne pokoje i nadal nie dotarł do ściany pozbawionej drzwi, co wskazywałoby na mur dzielący dwie kwatery. Kiedy skierował się do kolejnych drzwi, te nagle się otworzyły.

Pojawił się w nich król we własnej osobie, zdecydowanym krokiem zmierzający prosto na intruzów – lecz oczywiście nie widzący ich. Jim podejrzewał, iż monarcha spieszy na spotkanie z earlem Cumberlandem.

Rozdział 28

Nie było wątpliwości, że to król. Edward Plantagenet – z bożej łaski król Anglii, diuk Akwitanii, diuk Brytanii, diuk Carabelli, książę Tours, książę obojga Sycylii, a także wielu innych miejsc, których Jim w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć – w kwiecie wieku był wysokim, prosto trzymającym się mężczyzną.

Z biegiem lat skurczył się i obrósł sadłem. Nie nosił korony, lecz choć jego broda, wąsy oraz morwowej barwy szata były niechlujne i poplamione winem, to złoty pas na brzuchu, nawet bez miecza i sztyletu, świadczył o wysokim urodzeniu. Nadal kroczył, aczkolwiek trochę niepewnie, z godnością człowieka będącego właścicielem ziemi, po której stąpa. Nie tylko tej, ale całej ziemi w królestwie.

Jim z Hobem na ramieniu i Edgar cicho zeszedli władcy z drogi, patrząc, jak odchodzi w tym kierunku, z którego właśnie przyszli. Potem przeszli przez drzwi i znaleźli się w ślepo zakończonej komnacie.

Zobaczyli kominek z resztkami płonącego na nim drewna, wielkie łoże z baldachimem i dwoma nocnymi stolikami oraz parę foteli. Na ścianach wisiały gobeliny, a zasłony przy łożu były z grubego ciemnoniebieskiego aksamitu. W tym momencie były odsunięte i ukazywały skotłowane, nie posłane łóżko z co najmniej sześcioma wielkimi poduszkami oraz licznymi prześcieradłami i kocami.

–Och, spójrz, milordzie! – powiedział Hob, wskazując na kominek.

–Widzę – rzekł Jim. Polana na palenisku spaliły się na węgle i tylko cieniutka smużka dymu unosiła się z ich słabo żarzących się końców. – Czy nie potrzebujesz więcej dymu?

–Tyle mi wystarczy, milordzie! – zawołał radośnie skrzat i skoczył z ramienia Jima do kominka, przelatując tuż nad pełgającymi płomykami.

–Zaczekaj! – krzyknął Jim.

Hob już znikł w kominie, ale teraz ponownie się pojawił – głową w dół – badawczo zerkając spod okapu paleniska na Jima.

–Tak, milordzie?

–Co zrobisz, jeśli napotkasz innego skrzata, który tutaj mieszka?

–Och, pozdrowię go! – rzeki skrzat. – A on mnie.

–Przecież cię nie zobaczy – przypomniał Jim. – Zaraz zmienię czar, żeby inny skrzat mógł cię widzieć... Już! A jeśli nie będzie przyjaźnie nastawiony?

–Och, milordzie, wszystkie skrzaty są do siebie przyjaźnie nastawione. My nigdy nie... no, jak niektórzy z was, dużych ludzi...

–Dobrze – powiedział Jim. – Pamiętaj tylko, że sam mi mówiłeś, iż dość ostro potraktowałeś skrzata w zamku earla, kiedy tam przybyłeś.

–Naprawdę? – odwrócona twarz Hoba wyrażała niekłamane zdziwienie.

–Pewnie – przytaknął Jim. – Rozkazywałeś mu i rozstawiałeś go po kątach.

–Naprawdę? – powtórzył Hob. Z jego twarzy zniknęło zdziwienie. – Och, tam było zupełnie inaczej, milordzie. Widzisz, wtedy nadałeś mi to wspaniałe imię, którego nie mogłem zatrzymać... Pamiętajsz? Mogę je wymówić?

Jim kiwnął głową.

–Hob Jeden de Malencontri – powiedział Hob i łza spłynęła mu po policzku.

–Cóż – rzeki Jim, mając poczucie winy. – Carolinus powiedział, że nie wolno mi nadać imienia skrzatowi. Może jednak kiedyś je odzyskasz.

–Tak sądzisz, milordzie?

–Zobaczmy – odparł Jim. – W każdym razie bądź przygotowany, gdyż ten Hob będzie królewskim skrzatem i może sądzić, że jest ważniejszy od ciebie. Jesteś pewny, że zdołasz znaleźć ukryte przejście w ścianie, jeśli jakieś tam jest?

–Na pewno, milordzie – powiedział Hob. – Widzisz, każę dymowi wciskać się wszędzie. Jeśli jest tam jakaś szpara albo dziurka, dym wejdzie w nią, nawet gdyby musiał w tym celu wnikać do komnaty i z powrotem. Jednak to może trochę potrwać.

–Nie szkodzi – odparł Jim, któremu przyszedł do głowy nowy pomysł. – Rób swoje. Edgar zostanie tu i zaczeka na ciebie, a potem przyjdzie po mnie, jeśli coś znajdziesz. Hobe znikł, ale niemal natychmiast znów wyrzął z kominka.

–Pewnie nie możesz uczynić mnie niewidzialnym za każdym razem, gdy wychodzę z komina, milordzie?

–Nie – odparł Jim, wyobrażając sobie, co działałoby się w Malencontri, gdyby to zrobił.

–Och, trudno – rzekł skrzat i znowu zniknął.

–Dokąd idziesz, magu? – zapytał przestraszony Edgar.

–Z powrotem do komnaty, w której siedzi Cumberland. Nie bój się. Jeśli ktoś tu wejdzie, nie zobaczy cię. Staraj się tylko schodzić mu z drogi i nie wpaść na kogoś.

–Tak zrobię, magu. Możesz mi ufać.

Przynajmniej pod tym względem, pomyślał Jim, wracając przez kolejne pokoje do komnaty Cumberlanda. Drzwi były otwarte, ale nie dość szeroko, by mógł dostrzec earla. Jim cicho przecisnął się przez szparę, po czym wszedł do środka, licząc, że niewidzialność zapewnia mu bezpieczeństwo.

Cumberland stał, chociaż nie przed kominkiem. W najlepszym fotelu rozsiadł się król, wyglądając mniej majestatycznie niż na stojąco.

–Mówisz, że dokąd się udała, do licha? – pytał król.

–Na przejażdżkę, Wasza Wysokość – odparł Cumberland.

–Przejażdżkę! A to po co? Ostatnio ilekroć chcę się z nią zobaczyć, jest „na przejażdżce” – mruknął król do siebie. Spojrzał na earla. – Daj mi coś do picia, Robercie.

Cumberland podszedł do stołu, który znajdował się w zasięgu królewskiej ręki, do dużego pucharu z barwionego szkła nalał wino z butelki – a nie z dzbanka – po czym z lekkim ukłonem podał kielich królowi, który wziął naczynie z roztargnieniem, ale pociągnął długi łyk.

–Przekłęte kobiety – powiedział. – Zawsze mają jakieś pilne zajęcia. Przecież nie zabieram jej wiele czasu. Zawsze pozwalam jej robić, co chce. Tymczasem trzeba mieć świętą cierpliwość, żeby znosić najrozmaitsze przeszkody, jakie się pojawiają, kiedy chcę się z nią widzieć. – Spojrzał ostro na Cumberlanda. – Na wszystko, co święte, Robercie! Przecież pozwoliłem ci usiąść! Przestań krążyć po komnacie jak byk wokół krowy!

–Dziękuję, Wasza Wysokość – rzekł sztywno Cumberland, siadając w drugim fotelu.

–Co to ja mówiłem? – podjął król. – Ach tak, czesanie, przymierzanie nowej sukni, cokolwiek... Robercie, czy ona wciąż składa wizyty temu tam w lochach?

–Sądzę, że schodzi tam od czasu do czasu, Wasza Wysokość – odrzekł Cumberland. – Pewnego razu o mało nie uciekł. Jakimś cudem rozerwał łańcuchy, chociaż utrzymałyby niedźwiedzia. Lecz zerwał je i wykopał tunel tak głęboki, że człowiek, którego za nim

wystaliśmy, wrócił i oznajmił, że przejście jest zasypane ziemią. Jednak trzy dni później ten stwór powrócił. Założyliśmy mu grubsze żelaza i zatarasowaliśmy tunel. Owszem, sądzę, że lady Agatha zeszła tam od tego czasu co najmniej raz.

–Dlaczego ona to robi? – zapytał król.

–Nie wiem, Wasza Wysokość – rzekł Cumberland. – Może... Wiesz, jakie są kobiety wobec małych stworzeń – dzieci, ptaków i tym podobnych. Trzymają je, żeby się z nimi bawić. Może chce sprawdzić, czy tego dziwnego człeka można wytresować jak pieska.

–Jeśli tak, to zrobię go nadwornym błaznem – rzekł król. – Jednak osoba o jej pozycji kręcąca się po lochach... Wolałbym, żeby tego nie robiła!

–Wasza Wysokość mógłby jej o tym wspomnieć – podsunął Cumberland.

–Dlaczego sam najpierw z nianie porozmawiasz? – odparł król. – Nie wiem czemu, ale kiedy próbuję mówić z nią o takich sprawach, rozmowa nigdy się nie klei. Porozmawiaj z nią stanowczo, Cumberlandzie. Powiedz jej, że nie przystoi, aby ktoś z najbliższego otoczenia króla schodził do podziemi i brudził sobie ręce.

–Oczywiście, jeśli taka jest wola Waszej Wysokości.

–Jesteś dobrym sługą Robercie – rzekł król. – Doceniam to, że zajmujesz się takimi drobnymi problemami, jak również całkiem dużymi.

–Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł earl.

–Tak – ciągnął król. – Dobrze wiedzieć, że można ci powierzyć pewne sprawy... Och, Robercie, mam pusty kielich.

Earl wstał, napełnił królowi puchar i ponownie usiadł.

–Rad jestem z aprobaty Waszej Wysokości – rzekł ponuro. – Jeśli mogę prosić Waszą Wysokość o uwagę, to może nadszedł czas, abyśmy znów porozmawiali o napadzie na moje ziemie na północy.

–Tylko nie to, Robercie. Tylko nie to! – nadąsał się król. – Już o tym rozmawialiśmy. Rób, co chcesz. Sam się tym zajmij. Nie mogę cały czas prowadzić cię za rękę. W końcu to twoje posiadłości.

–Nie chodzi o moją własność, Wasza Wysokość. Gdyby tak było, w ogóle nie zawracałbym ci tym głowy. Pamięta jednak Wasza Wysokość, że mówiłem, iż ten napad miał być protestem przeciwko królewskim podatkom, co czyni go sprawą istotną dla tronu – dla Waszej Wysokości i Anglii.

Król westchnął. Ze znużeniem zamknął oczy i obserwujący to Jim dostrzegł przelotny ponury uśmiech satysfakcji na ustach Cumberlanda.

–Bardzo dobrze – rzekł król, otwierając oczy. – Przeciwno któremu podatkowi protestują?

–Przeciwko wszystkim. To właśnie czyni te bezprawne działania tak poważnymi – odparł Cumberland. – Protestują przeciwko podatkowo spadkowemu, podatkowi od sprzedaży i obrotu nieruchomościami oraz wielu innym. Wspominałem już o zdrajcach w twoim królestwie, zmierzających do wszczęcia niepokojów. Może pamiętasz, że wymieniłem nazwiska earla Oksfordu i sir Johna Chandosa.

–Tylko nie Chandosa, na Boga! – warknął gniewnie król. – Chandos jest człowiekiem i rycerzem bliskim memu sercu. Ponadto jest zbyt użyteczny, aby można go zastąpić w jego rozlicznych obowiązkach. Czasem zastanawiam się, jak on potrafi robić tyle rzeczy naraz. I

czyż to nie Chandos rozbił oddział napastników, którzy chcieli najechać twoje ziemie?

–Chandos jest bardzo doświadczony w różnego rodzaju intrygach – rzekł Cumberland. – Pamiętasz, że wspomniałem, iż wśród najeźdźców był rycerz z Somerset, sir Brian Neville-Smythe, a w oddziale Chandosa jego bliski przyjaciel, Smoczy Rycerz. Można by przypuścić, iż byli tam obecni po przeciwnych stronach, aby zapewnić łatwe i prawie bezkrwawe zwycięstwo silom Chandosa. Pamiętasz też moje podejrzenia co do użycia magii podczas tego starcia.

–Do licha! Teraz mówisz jak lady Falon! – mruknął król. – Jeśli użyto magii... Cóż, w końcu Smoczy Rycerz jest magiem, prawda? Może miał jakieś powody, aby to zrobić. I co z tego? Twoje posiadłości nie doznały uszczerbku. Protest – jeśli był to protest – nie udał się. Po co mamy zawracać sobie tym głowę?

–Ponieważ nadal mamy na dworze takich jak Oksford, Chandos i innych – odparł Cumberland. – Którzy są zbyt sprytni, aby otwarcie się przeciwstawić Waszej Wysokości, ale spiskują na rozmaite sposoby, takie jak ten, o którym mówię.

–Tak, tak, Agatha wciąż mi to powtarza – rzekł król. – Mogę zrozumieć, że nie lubi tego maga – mówię o Smoczym Rycerzu – i bardzo możliwe, że nie przepada za Chandosem. Obaj jednak już nieraz okazali się przydatni i mogą być użyteczni również w przyszłości. Nie ma dowodów, że stanowią jakieś zagrożenie dla mojego królestwa i dla mnie.

Jim też uśmiechnął się ponuro. Było dla niego oczywiste – a i dla Cumberlanda pewnie też – iż król prowadził starą grę o nazwie „dziel i rządź”. Chciał, aby wszyscy wokół niego skakali sobie do gardeł, gdyż w ten sposób nie mogli połączyć swoich sił i stać się zagrożeniem dla niego.

Cumberland odparł gładko, usiłując zmęczyć swego królewskiego brata:

–Lady Falon nieustannie na wszelkie sposoby pracuje dla dobra Waszej Wysokości, tu, na dworze, a nawet poza nim, na przykład na bożonarodzeniowym przyjęciu u earla Somerset, gdzie starała się powstrzymać twojego syna od nadużycia trunków i ośmieszenia się. W istocie, próbowała być dla niego jak matka, ale on nie chce o tym słyszeć. Mimo to ona wciąż się stara.

–No cóż – król upił łyk wina. – To może być prawda. Ona jest o kilka lat za młoda, aby być jego matką, ale okazuje wszystkie objawy matczynej troski. Jednakże, Cumberlandie, nie wolno zapominać, że ona jest kobietą, biedactwo, więc nie jest w stanie zrozumieć pewnych spraw tak jak ty i ja. Aczkolwiek chciałbym dodać smutnie – aby wróciła z tych swoich ciągłych przejażdżek i została na miejscu. W każdym razie jeśli chodzi o pozostałe sprawy, powtarzam, że sam musisz to załatwić. Ja umyvam od tego ręce. Rób, co chcesz. Tylko nie pozbawiaj mnie usług tak wartościowych ludzi, jak Chandos, a nawet Oksford, jeśli już o tym mowa. Oksford nie jest jakimś drobnym angielskim szlachcicem.

–Będzie, jak sobie życzysz, Wasza Wysokość – rzekł Cumberland. – Może jednak dobrze byłoby pamiętać, że choć lady Falon jest, jak mówisz, tylko kobietą, ze wszystkimi dziwactwami jej płci, których – sam przyznaję – nie rozumiem, będąc zajęтым człowiekiem, mającym niewiele czasu na białogłowy. Toa płeć, podobnie jak koty, wyczuwa pewne sprawy i choć nie może ich dowieść, miewa rację. Być może, podczas gdy ja wciąż szukam dowodów, których domaga się Wasza Wysokość, instynkt już pozwolił lady Falon na poznanie nazwisk wichrzycieli. Być może wyczuwanie takich skłonności u ludzi to dziwny

zmysł, z którym człowiek się rodzi.

–Możliwe – przytaknął ponuro król. – Ona dość często stawia na swoim. Wciąż stwierdzam, że przystałem na coś, na co nie miałem zamiaru się zgodzić...

Dalsze słowa króla utonęły w przeraźliwym wrzasku, który rozległ się kilka centymetrów od ucha Jima.

–Milordzie, znalazłem! Chodź szybko! – wołał podekscytowany Hob, wróciwszy na jego ramię. – Znalazłem je. Nie jedno przejście, ale dwa! Chodź szybko, dopóki oba są otwarte!

Jim błogosławił chwilę, kiedy uczynił ich wszystkich – siebie, Hoba i Edgara – zarówno niewidzialnymi, jak i niesłyszalnymi.

–Bądź cicho! – powiedział do Hoba i ponownie skupił uwagę na królu i Cumberlandzie. Cokolwiek jednak powiedzieli podczas tych kilku sekund, umknęło jego uszom.

–...hiszpańskie wino – mówił król do Cumberlanda. – Nie mów mi, że już się nam skończyło. Czy wkrótce przyjdzie nowa dostawa?

–Nie wiem, Wasza Wysokość – powiedział Cumberland. – Pytano już...

–W porządku, Hobie – rzekł Jim, przechodząc do sąsiedniego pokoju. – Pokaż mi te przejścia.

Kiedy Jim wszedł do następnej komnaty, zobaczył, że część cegieł obok kominka wsunęła się w głąb ściany i odchyliła, odsłaniając otwór. Edgar stał przed nim z dumną miną jakby na straży. Hob zeskoczył z ramienia Jima w ciemne wejście.

–Dobra robota! – pochwalił Jim, wchodząc tam za nim. – Nie spodziewałem się, że tak szybko coś znajdziesz.

–Prawdę mówiąc, to nie moja zasługa, milordzie – odparł Hob. – Dokonał tego dym.

–Och, rozumiem – rzekł Jim. – W takim razie gratuluję wam obu. Edgarze, zostań tutaj. Sprawdzę to przejście.

–Tędy, milordzie – mruknął Hob. – Zaraz trzeba skręcić w prawo, o tutaj.

Jim pochylił głowę i wszedł w niskie wilgotne wejście, skręcił w prawo i znalazł się w wąskim zakurzonym korytarzu między dwiema kamiennymi ścianami. Przejście było tak wąskie, że prawie ocierał się ramionami o ściany. Przeszedł trzy kroki, pokonał rząd wiodących w dół stopni oświetlonych osadzoną w ścianie grubą świecą, a potem dotarł do kolejnego załomu tunelu i stanął przed ścianą ciemności. Zatrzymał się.

–Chwileczkę – powiedział Hob.

Dał się słyszeć złowieszczy szcęk, a potem do tunelu wpadła smuga światła, ukazując znacznie większą od poprzedniej komnatę. Wszystko w niej lśniło czystością: meble, podłogi, sufit, a nawet oszklone okno i dywan na środku podłogi. W środku nie było nikogo, ale jeśli jakaś komnata wyglądała na królewską, to na pewno ta.

–A więc tak, Hobie – stwierdził Jim, zaglądając do pokoju, ale nie wchodząc do niego. – Teraz nie ma wątpliwości, że król ma sekretne przejście do kwatery Cumberlanda, a widząc je, jestem prawie gotowy się założyć, że podobne – choćby w postaci ukrytych drzwi – znajduje się między ostatnim pokojem earla a pokojami Agathy Falon. To wiele nam mówi.

–Jeśli milord zechce zejść tymi schodami w murze – powiedział tajemniczo Hob – może dowie się jeszcze więcej.

–Schodami? – powtórzył Jim. – Słyszałem, że król ma przejście prowadzące poza mury

zamku.

–Ono nie prowadzi na zewnątrz – a może i tak – powiedział Hob. W jego głosie pojawił się prawie łobuzerski ton. Nuta zadowolenia z siebie, jakby miał zamiar sprawić Jimowi jakąś niespodziankę. – Dlaczego milord nie zejdzie i nie sprawdzi?

–Byłeś już na dole? – zapytał Jim.

–Tak, milordzie – powiedział Hob. – Proszę, zejdź tam i sam zobacz.

Jim się wahał. Mógł nakazać Hobowi, żeby mu wszystko opowiedział, lecz najwyraźniej to, co znajdowało się na dole, miało być miłą niespodzianką, a Hob był dumny ze swojego odkrycia.

–To nie potrwa długo?

–Och nie, milordzie.

–Dobrze.

Jim ruszył korytarzem i zatrzymał się.

–Jak zamkniemy to przejście? – zapytał.

–Ach, to łatwe – odparł skrzat. – Widzisz ten łańcuch?

Jim spojrzał we wskazanym przez niego kierunku. Istotnie był tam łańcuch, widoczny teraz we wpadającym przez otwór świetle.

–Czy schody są oświetlone?

–Tak, milordzie. Świece palą się co kilka kroków.

A więc dobrze. Nie chciałby się znaleźć nagle w ciemnościach. Trzeba się przygotować. Podchodząc do schodów, wycelował w nie wskazujący palec.

–Jesteś mocną latarką – powiedział. – Włącz się! – dodał pośpiesznie.

Z czubka palca trysnął na schody strumień silnego światła. Jim prawie poniechał wszelkich prób oszczędzania zasobów magii. To po prostu nie było możliwe. Przyświecając sobie palcem, zauważył, że ktoś niedawno przechodził tędy po zakurzonej podłodze.

Jego źródło światła było znacznie mocniejsze od sporadycznie poutykanych w ścianie świec, ale musiał zachować ostrożność. Schody były strome i bez poręczy, której mógłby się przytrzymać, a stopnie ciągnęły się dalej, niż sięgał strumień światła.

–Czy to daleko? – zapytał Hoba.

–Nie tak jak z parteru na wieżę Malencontri, do pokoju milorda i milady – odparł Hob. – Może trochę więcej niż połowa tej odległości.

Sporo. Jim nadal ostrożnie schodził, lekko odchylony, aby w razie potknięcia rzucić się plecami na stopnie i ześliznąć się tylko kawałek.

Wydawało mu się, że upłynęło sporo czasu, zanim schody doprowadziły go do miejsca, gdzie wisiał następny łańcuch. Jim pociągnął zań i ściana niemal bezgłośnie się odchyliła, ukazując następny zakurzony korytarz. Jim poczuł w nozdrzach zdecydowanie nieprzyjemny zapach – coś w rodzaju odoru ścieków zmieszanego z wonią lodówki pełnej zepsutej żywności. Krótki przedsiónek prowadził do trzech następnych stopni, a te na ubitą ziemię, gdzie stanął przed zamkniętymi drzwiami.

–Zaczekaj, milordzie – powiedział Hob. – Pozwól, że zajrzę tam pierwszy.

Jim zobaczył, że Hob unosi się w powietrzu na smużce dymu nie wiadomo skąd na wysokości jego głowy.

–Zaraz wracam! – powiedział Hob.

Smużka dymu wyciągnęła się naprzód i wśliznęła w szczelinę między drzwiami a framugą. Jim zobaczył, jak reszta dymu znika w niej razem z Hobem. Nie miał pojęcia, czy to skrzat potrafił zmniejszyć się tak, by przejść przez taką malutką szparkę, czy też na moment poszerzył ją – w każdym razie przed chwilą był tutaj, a teraz znikł.

Jim przez chwilę wodził wokół smugą światła, czując się trochę śmiesznie. Potem Hob nagle wrócił.

–W porządku, milordzie! – oznajmił. – Byłoby jednak lepiej, gdybyś mógł przejść przez te drzwi, nie otwierając ich, bo strasznie skrzypią!

Kolejna strata magicznej energii. Niestety, nieunikniona. Jim zastanawiał się chwilę, a potem stanął tuż przed zamkniętymi drzwiami. Spojrzał na nie i wyobraził sobie, że stoją oparte o ścianę za jego plecami. Nagle zobaczył ukrytą dotychczas za nimi komnatę.

Rozdział 29

Pamiętając uwagi króla i czując ten odór, Jim wcale nie zdziwił się, widząc przed sobą lochy. Aczkolwiek równie dobrze mogłaby to być zamkowa fosa – zazwyczaj w obu tych miejscach unosił się równie okropny smród.

Niektóre z lochów zaliczały się do całkiem niezłych – nie pod względem komfortu i wystroju, lecz wyposażenia. Te, które znajdowały się najbliżej, miały kamienne podłogi i ściany, były rozmieszczone parami naprzeciw siebie po obu stronach korytarza i dość suche, a ponadto wysprzątane po ostatnich mieszkańcach. W głębi korytarza Jim dostrzegł kilka wykopanych w ziemi jam, pełniących funkcję bardziej typowych lochów. Na samym końcu, piętnaście metrów dalej, było otwarte przejście do większej komnaty. Jim dostrzegł koło do łamania oraz kilka podobnych przyrządów, niewątpliwie służących do nakłaniania ludzi do mówienia.

Wzdłuż korytarza wisały żelazne kosze z łuczywem, których płomienie oświetlały i ogrzewały korytarz oraz cele. W podziemiach nie było nikogo oprócz Agathy Falon, która stała w przejściu przed ostatnią z kamiennych cel i rozmawiała z jej lokatorem.

Jim przezornie wyłączył magiczną latarkę i cicho ruszył korytarzem. Hob unosił się obok niego na smużce dymu, aż podeszli tak blisko, że zdołali zajrzeć do celi, przed którą stała Agatha.

Jej przenikliwy głos zazwyczaj niósł się daleko. Tutaj, dziwnie stłumiony przez rozbrzmiewające echem podziemia, brzmiał z daleka znajomo, lecz niezrozumiale. Wreszcie gdy Jim podszedł bliżej, korzystając ze swojej niewidzialności, wyraźnie usłyszał jej słowa.

–Och nie, nic podobnego! – mówiła. – Odda mi chłopca, kiedy będę gotowa! Dopiero wtedy, jeśli wszystko tu dobrze pójdzie, dostanie to, czego chce. Może nawet jedną trzecią kopalń cyny w Kornwalii. Jednak nie więcej. Te kopalnie są cenne dla Anglii, a to oznacza, że będą cenne dla mnie. Teraz przestań jęczeć i zanieś mu tę wiadomość!

Metal szczęknął o metal i Jim, podszedłszy nieco bliżej, zobaczył, co kryło się w głębi celi. Stwór był brudny, ale warstwa ziemi i brudu nie mogła ukryć faktu, iż był to sękaty – tylko bez oskarda, młotka i pręta. Przykuto go do słupa w białego głęboko w dno lochu – na łańcuchu o tak grubych ogniwach, że mogłyby utrzymać słonia.

Kimkolwiek był, rzeczywiście jęczał dziwnym głosem, który odbijał się echem w głowie Jima, jakby był słyszany podwójnie. Jim nagle uświadomił sobie, że Agatha równie dobrze jak on rozumie słowa sękatego. Widocznie sękaty król użył do tego swojej magii. Natomiast

Jim, który wcześniej rozszerzył zakres wychwytywanych przez siebie dźwięków, teraz słyszał postać w obu językach.

Stojąc niedaleko, wyraźnie rozróżniał jego słowa.

–...on mnie zabije! Już drugi raz mnie odsyłaś!

–A co mnie to obchodzi, mospanie? – warknęła Agatha. Nawet nie próbowała ściszyć głosu. Widocznie nie tylko ta część lochów, ale i sala tortur na ich końcu były puste. Mało prawdopodobne, aby mówiła tak otwarcie, gdyby ktoś mógł ją podsłuchać. – Możesz rozerwać, tej kajdany, które ci nałożyli?

–Ach, te – rzekł sękaty, zerknąwszy na ogniwa. Niezwykle długie rękawy o zaciśniętych mankietach zwisały nad łańcuchem. – Tak, to łatwe. Ale on mnie zabije! Puszczanie wolno postać przynoszącego złe wieści przynosi pecha!

–Cóż, należysz do niego, nie do mnie – powiedziała Agatha. – Masz moją odpowiedź, a twoim zadaniem jest zanieść ją twojemu królowi. Zatem zrób to! Jeżeli spróbuje zatrzymać chłopca, kiedy go zażądam, nasza umowa będzie nieważna i nic nie dostanie. Po co mi taki mag? Kiedy będę gotowa, mogę mieć, co zechcę. Wtedy zdecyduję, ile kopalni cyny otrzyma wasz król. Może się na to zgodzić albo nie dostanie nic! A teraz muszę wracać na pokoje.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku Jima. Zaskoczony, pospiesznie umieścił drzwi z powrotem we framudze, a siebie po ich drugiej stronie. Zaczął się wspinać po schodach, a Hob leciał za nim.

–Musi tędy wrócić, prawda? – wysapał Jim.

–Tak, milordzie – odparł Hob.

Jim przyspieszył kroku. Zaczynało mu brakować tchu, lecz Agatha na pewno nie wchodziła po schodach szybciej od niego. Dzięki schodom w zamku Malencontri miał bardzo sprawne mięśnie nóg. Jeśli nie zabraknie mu tchu przynajmniej jeszcze przez chwilę...

–Którędy Agatha wróci do swojej kwatery? Król jest u Cumberlanda. Musiałaby ich minąć.

–Nie wiem, milordzie – odparł Hob. – Może wyjdzie przez drzwi do sieni. Tamtędy dotrze do korytarza i do swoich pokoi. Może chciałbyś przejechać resztę drogi na dymie?

–Och – wysapał Jim, czując się jak głupiec. Niedobrze, jeśli nawet skrzat myśli szybciej od niego. – Nie trzeba. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Istotnie tak było. Już widział szczyt schodów. Gorączkowo zbierał myśli.

Może w końcu sytuacja zaczynała się klarować. Agatha Falon zachowywała się tak, jakby miała szansę zostać nie tylko faworytą króla, ale jego żoną i królową. To śmieszne: była zaledwie drobną szlachcianką. Dwór już od roku z uciechą czekał na jej niechybny upadek i niesławny koniec – jeśli nie banicję, a nawet egzekucję. Zdziwiające, że dotychczas tego unikała.

Wydawało się niemożliwe, aby król mógł poślubić taką osobę jak ona. To prawda, że jego pierwsza żona nie żyła, lecz istniały inne poważne przeszkody ze strony państwa i Kościoła. Teoretycznie król powinien poślubić jedynie kobietę z królewskiego rodu. Co więcej, małżeństwo – a więc osadzenie na tronie nowej królowej – powinno przynieść

korzyści nie tylko monarsze, ale również krajowi. Na przykład utrwalić sojusz z innym wpływowym rodem, który pospieszyłby z pomocą w potrzebie.

A jednak... Czyżby obmyśliła jakiś plan, który dałby jej szansę usidlenia króla?

Niewiarygodne, ale rozmawiała z posłańcem sękatych, jakby była tego pewna.

Jednakże ten fakt w niczym nie mógł pomóc Jimowi. To, czy jej plan miał szansę powodzenia, było teraz zupełnie nieistotne. Jim musiał się uporać z obecną sytuacją, w której Agatha uzyskała już wpływ na króla oraz zawarła sojusz z sękatym królem, który więził małego Roberta.

Jej ambicje sięgały za daleko. Bez dwóch zdań. Cokolwiek jednak zamierzała, był to zbyt skomplikowany plan, aby zdołał go odgadnąć. I jaką rolę odgrywał w tym earl Cumberland? Jim był skłonny uwierzyć w to, co Chandos mówił o jego intrygach przeciwko młodemu księciu, ale nie miał pojęcia, co ma z tym wspólnego mały Robert Falon. A jednak mówiąc, że trzeba chronić króla i księcia, Carolinus z pewnością miał na myśli porwanie chłopca.

Jim miał szczęście, że dowiedział się choć tyle o planach Agathy. Nagle przyszło mu do głowy, że jest coś, co mógłby natychmiast zrobić. Edgar był szpiegiem nie tylko z zawodu, ale i z zamiłowania. Jeśli przebywając w towarzystwie Jima, dowie się czegoś interesującego, natychmiast zacznie się zastanawiać, w jaki sposób to wykorzystać. Równie dobrze mógłby wprowadzić do grona intrygantów miejskiego herolda.

–Chodź za mną, Hobie – powiedział.

Skrzat podążył za nim, gdy Jim pospiesznie przeszedł przez ukryte przejście do komnaty Cumberlanda. Edgar wciąż tam czekał.

–Edgarze – powiedział Jim. – Zamierzam odesłać cię do twojego pokoju. Ponadto rzucę na niego zaklęcie, tak że nie zdołasz zeń wyjść i nikt nie będzie mógł wejść do środka. Nie martw się. Niedługo przyjdę i uwolnię cię.

Edgar zbladł jak ściana, tak że jego wąsik i kozia bródka wyglądały jak przyklejone tandetne ozdóbki.

–Nic ci się nie stanie! – wycedził Jim przez zaciśnięte zęby. Nie chcąc słuchać żadnych protestów, wyobraził go sobie z powrotem w jego dwóch komnatach, pozbawił go niewidzialności i rzucił czar na całą jego kwaterę. Edgar znikł.

–Czyja też mam odejść, milordzie? – spytał cichutko Hob nad jego uchem.

–Nie, ty nie, Hobie. Ty zostaniesz ze mną – odparł Jim. – Wprawdzie nikt nie powinien nas słyszeć ani widzieć, ale nic do mnie nie mów, chyba że uznasz to za naprawdę konieczne. Przez minutę się nie odzywaj.

–Tak, milordzie.

Jim zastanawiał się, jak bardzo wyprzedził Agathę, i ucieszył się, że mimowolnie zaoszczędził trochę magii, wracając pieszo z lochów. Z pewnością ma jeszcze chwilę. Ruszył w kierunku następnego pokoju, w którym Cumberland rozmawiał z królem. Miał nadzieję, że jeszcze tam są. Ciekawe, co robi Agatha, kiedy odkryje, że będzie musiała przejść obok nich. Oczywiście mogła pójść inną drogą ale...

Hob opuścił smużkę dymu i przeskoczył na ramię Jima, gdy ten przechodził do sąsiedniej komnaty. Okazało się, że podczas ich nieobecności Cumberland sprowokował króla do czegoś niebezpiecznie przypominającego kłótnię.

–Mówię ci, Robercie – warczał król – że dobrze jest tak, jak jest. Chandos jest ostatnim człowiekiem, jakiego podejrzewałbym o zdradę. A jeśli inni chcą ją knuć, to proszę bardzo. W odpowiedniej chwili stracą głowy. Ponieważ jednak są zdolnymi ludźmi i robią to, co do nich należy, a nie ma nikogo, kto mógłby ich zastąpić, zostaw ich w spokoju, na Boga!

–Och, mój władco! – powiedział Cumberland. – Na mój honor! Jest wielu utytułowanych ludzi z dobrych rodzin, którzy mogliby zająć ich miejsce i wypełniać ich obowiązki równie dobrze, jeśli nie lepiej.

–Możliwe, możliwe – odparł król. – Tylko że ja jestem przyzwyczajony do tych, których mam. Mój sposób rządzenia się sprawdza. Dlaczego wciąż musimy zaglądać pod prześcieradła i za zasłony, szukając powodów, aby pozbyć się ludzi, którzy nie sprawiają mi kłopotów? Wierzę ci, gdy mówisz, iż wielu sarka i narzeka na moje podatki. Jeżeli dobrze pamiętam, wiele z nich wprowadzono za twoją namową. Również ty w swoim czasie wybrałeś ludzi do ściągania tych pieniędzy, a teraz niektórych z nich oskarżasz o zdradę stanu. Nie, nie, potrzebuję znacznie poważniejszych dowodów przed podjęciem działań, jakie proponujesz.

W głosie króla w końcu dał się słyszeć gniewny ton, ale poza tym nie mówiono niczego nowego ani interesującego. Król i earl wciąż toczyli tę samą dyskusję. Jim obejrzał się przez ramię i w ostatniej chwili zobaczył nadchodzącą Agathę. Pospiesznie zszedł jej z drogi. Nadal niewidzialni, razem z Hobem cofnęli się w kąt pokoju.

Agatha szła szybko jak ktoś, kto dobrze zna drogę. Usłyszawszy głos króla, stanęła jak wryta, nie dochodząc do uchylonych drzwi. Zamarła, a potem cichutko podkrađła się do nich tak, żeby móc niepostrzeżenie zajrzeć do środka.

Jim, ufając w swoją niewidzialność, po cichu stanął za nią, aby sprawdzić, na co patrzyła. Z tego miejsca dobrze widziała Cumberlanda, a gdyby on spojrzał w tym kierunku, także by ją zobaczył. Król pozostał niewidoczny, tak więc nie mógł dostrzec Agathy. Zarówno ona, jak i Jim słyszeli każde słowo. Mężczyźni zaczęli rozmawiać o koniach i Cumberland chociaż na chwilę przestał nękać monarchę problemem knujących zdradę lordów.

–...przysłał mi ogiera z Tours, którego kupiłem – mówił król. – Jeśli to zwierzę jest choćby w połowie tak dobre, jak obiecywali Francuzi, powinienem mieć bezcennego rumaka.

Cumberland nie powiedział tego, co cisnęło się na usta: że król jest za stary, aby dosiadać bojowego rumaka, więc będzie tylko nań patrzył i cieszył się z tego, że go ma.

–Znam pewnego młodego człowieka – rzekł Cumberland – z rodziny Lockyearów, którzy słyną ze świetnej znajomości koni. Może mógłbym go przysłać, żeby obejrzał rumaka?

–Nigdy o nich nie słyszałem – rzekł król. – A zresztą i tak już podjąłem decyzję. Powiadają, że w galopie ten koń zostawia w tyle wszystkie inne wierzchowce...

Myśli Jima również galopowały. Wspólnicy będą musieli jakoś wywabić króla z tej komnaty, jeśli Agatha ma niepostrzeżenie wymknąć się na korytarz. Jim z zainteresowaniem czekał na rozwój wydarzeń. Przeszedł za jej plecami trochę na prawo, skąd mógł zajrzeć do komnaty i zobaczyć króla. Jego Wysokość lekko osunął się w fotelu, jakby zmożony winem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, pomyślał Jim, zważywszy jego wiek i zdrowie.

Król opuścił głowę i na chwilę zamknął oczy, jakby zamierzał zapaść w sen. Cumberland wymienił spojrzenia ze stojącą za uchylonymi drzwiami Agatha, a potem lekko skinął głową i ponownie popatrzył na króla, który znów otworzył oczy.

–W każdym razie – rzekł Cumberland – wypijmy za twojego nowego konia, Wasza Wysokość. Taki szlachetny rumak wymaga toastu.

Napełnił puchary, podniósł swój i wlał jego zawartość do gardła, niemal ostentacyjnie opróżniając kielich. Król pił nieco wolniej.

–Toast... – zaczął, nieco ochryplym głosem.

On też opróżnił swój puchar, ale zajęło mu to więcej czasu niż Cumberlandowi, a kiedy odstawiał naczynie, ręka ciężko opadła mu na stół. Pusty kielich się wywrócił. Król westchnął.

–Robercie – rzekł powoli. – Ponieważ Agatha wolała przejażdżkę, a ty masz ważne sprawy, chyba trochę odpocznę. „Dajcie mi leżeć i krwawić przez chwilę, abym mógł powstać i znów podjąć bitwę...” Co, Robercie?

Cumberland znów uśmiechnął się ponuro, wyciągnął rękę i dosłownie dźwignął starego króla na nogi, demonstrując niemałą siłę. Nawet się przy tym nie zgiął, a przecież król sporo ważył po latach obżarstwa i lenistwa.

–Podaj mi rękę, Robercie... – powiedział Edward ochryplym głosem, który prawie całkowicie zacierał sens słów.

Cumberland podał mu ramię, a król chwycił je. Ciężko opierając się na młodszym i wyższym earlu, starszy mężczyzna niepewnym krokiem ruszył naprzód i przystanął, zobaczywszy dokąd zmierzają.

–Pomyślałem, Wasza Wysokość – rzekł earl w odpowiedzi na niepewne mamrotanie króla – że moje łóżko jest bliżej... Krótka drzemka...

–Dobry z ciebie chłopiec, Robercie. Chodźmy... Obaj zniknęli za drzwiami.

–Ba! – powiedziała do siebie Agatha.

Weszła do komnaty, podniosła puchar earla, napełniła go winem i zasiadłszy w opuszczonym przez króla fotelu, upiła kilka długich łyków.

–No? – zapytała, gdy Cumberland wrócił i usiadł za stołem. – Jak Jego Wysokość przyjął wiadomość, że jestem na przejażdżce?

–Nie najlepiej, milady – odparł earl. – Przyjął ją do wiadomości. Wydaje mi się jednak, że ta wymówka traci wiarygodność.

–A dlaczego nazywasz to wymówką, milordzie?

–Wczoraj byłaś na przejażdżce – rzekł Cumberland. – Dziś zeszłaś do lochów, odwiedzić tego stwora, prawda?

–Co daje ci prawo, żeby tak twierdzić? – spytała Agatha. – Nasłałeś na mnie szpiegów?

–Oczywiście! – warknął earl. Nalał trochę wina do opróżnionego przez króla kielicha, upił łyk i odstaviał naczynie. – A czy ty nie nasłałaś ich na mnie? Czy tu, na dworze, wszyscy nie szpiegują wszystkich? Nie traktuj mnie jak dziecko, milady.

–Poczułabym się urażona, milordzie – powiedziała powoli Agatha – gdybyś sugerował Jego Wysokości, że byłam dziś gdzie indziej niż na przejażdżce.

Earl zaśmiał się i znów upił wina.

–Myślę, że nie wiesz, co mówisz, lady Falon. Ty masz pewną zaletę w oczach króla. Ja

mam ich kilka. Mówiłem ci już, że ci, którzy długo pozostają w pobliżu tronu, nie zawdzięczają tego chwilowemu uśmiechowi losu. Ja znam tę grę bardzo dobrze. Przekonasz się o tym, jeśli sądzisz, że można ze mną igrzać.

–Sądzę, że nie w moim wypadku, sir.

–Czas pokaże, lady Falon.

–A więc czego ode mnie chcesz?

–Części wszystkiego, co dostaniesz. Chyba nie oczekiwałaś niczego innego? Tutaj są tylko dwie siły. Jedną jest król. Drugą ci z nas, którzy mu doradzają. A spośród tych ja mam największe wpływy.

–A ponadto jesteś przyrodnim bratem króla – dodała Agatha. – Być może dlatego wydaje ci się, iż masz większe wpływy niż w rzeczywistości. Ja może nie jestem groźnym przeciwnikiem, milordzie, lecz zapewniam, że potrafię być cennym sojusznikiem.

–Nie jesteśmy na rynku, milady. Nie można mnie przestraszyć ani kupić. Powtarzam. Tych, którzy doradzają Jego Wysokości, jest zbyt wielu, abyś zdołała przekonać ich wszystkich, nawet gdybyś była dostatecznie potężna. Podobnie jak król, będziesz musiała nas tolerować, tak samo jak my tolerujemy siebie. Wiesz, że Jego Wysokość nie jest głupcem. Nie zapomni o nagłej, niespodziewanej i zagadkowej śmierci ojca, którego zmuszono do abdykacji. Postara się, żeby jemu nie przydarzyło się nic podobnego, a najlepszym sposobem na to jest zachowanie równowagi sił.

–Jakiż więc wniosek wypływa z twoich nauk, o mądry i doświadczony panie? – spytała Agatha.

–Taki, że jestem mu przydatny do utrzymywania tej równowagi – rzekł earl. – W przeciwieństwie do ciebie. Ja pewnego dnia mogę przejąć nad nim całkowitą kontrolę. Ty nigdy tego nie osiągniesz. Na razie masz moją pomoc, dopóki na dłuższą metę to mi się opłaca. Może przyjdzie dzień, kiedy zechcę poznać twoje cele i plany. Gdy ten czas nadejdzie, przestrzegam cię przed próbą zatajenia czegokolwiek, lady Agatho.

–Najuprzejmiej dziękuję za życzliwą radę, earlu – powiedziała Agatha, wstając. – Teraz muszę wrócić do moich komnat.

Earl skłonił głowę, nie wstając z fotela, a ona odwróciła się i poszła w kierunku drzwi wiodących na korytarz. Czas ruszać, powiedział sobie Jim. Przystanął tylko na moment, żeby zdjąć zakłęcie rzucone na kwaterę Edgara.

–KinetetE? – powiedział głośno, czując się zupełnie bezpieczny, gdyż earl i Agatha nie mogli go usłyszeć.

Nagle znów znalazł się przed obliczem jednej z trojga najpotężniejszych magów tego świata.

Rozdział 30

Znów stał na podium, lecz tym razem sala była pusta, nie licząc KinetetE i Barrona, którzy odwrócili się i spojrzeli na Jima.

–A więc znalazłeś to, czego szukałeś? – spytała KinetetE.

–Niezupełnie – odparł Jim. – Cumberland usiłuje kontrolować króla. Agatha też. Myślę, że oboje działają razem. Rozmawiali jak wspólnicy, którzy nie przepadają za sobą. Agatha jest również gotowa oddać sękatemu królowi za małego Roberta jedną trzecią angielskich kopalni cyny, chociaż nie mam pojęcia, jak zdoła to zrobić, skoro nie jest ich właścicielką...

Sądzę jednak, że już o tym wiedzieliście.

–Oczywiście! – warknął Barron.

–Nie o Agacie i kopalniach cyny – przyznała KinetetE.

–W każdym razie – ciągnął Jim – najwyższy czas, abym wrócił do małego Roberta, Carolinusa i moich towarzyszy w jaskini sękatych. Możecie mnie tam odesłać? Czy też muszę użyć w tym celu własnej magii?

–Odeślę cię – powiedziała KinetetE. – Zakładam, że chcesz by ten skrzat na twoim ramieniu wrócił z tobą?

–No... – zaczął Jim.

–Och, tak – wtrącił pospiesznie Hob. – Muszę być u boku milorda, gdyby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo.

–Bardzo dobrze – powiedziała KinetetE. – Najpierw jednak chcę usłyszeć coś więcej o Agacie i kopalniach cyny. Jak się o tym dowiedziałeś?

–Słyszałem jej rozmowę z posłańcem sękatego króla – odparł Jim. – Jest przykuty w lochu pod królewskimi komnatami i najwidoczniej właśnie przyniósł jej wiadomość od króla sękatych. Słyszałem, jak odrzuciła jego propozycję.

Potem jak najdokładniej powtórzył podsłuchaną rozmowę między Agathą a Earlem.

–Interesujące – powiedziała KinetetE.

–Ja też tak sądzę – rzekł Jim. – Ale to nie wyjaśnia, w jaki sposób zdołała się dostać do Liones w odpowiedniej chwili, aby próbować zabić nas rękami olbrzymów. Ponadto Edgar nie zdołał mi pomóc w odszukaniu tych dwóch mężczyzn, którzy byli z nią.

–Oni pewnie nie są ważni – powiedziała KinetetE.

–Możliwe, ale chciałem ich zapytać, po co to zrobiła. Zadała sobie dużo trudu, próbując mnie zabić, zbyt wiele, aby robiła to tylko z nienawiści. Wiem, że Agatha Falon nie lubi Angie i mnie ani żadnego z naszych przyjaciół.

–Zgadza się – przytaknęła sucho KinetetE.

–Uważasz, że to król sękatych przeniósł ją do Liones za pomocą magii?

–Niemożliwe – odparła KinetetE. – Król krainy naturalnych może jedynie przenieść kogoś ze swego królestwa z powrotem do miejsca, z którego ten ktoś przybył. Natomiast mógł ją tam przenieść jakiś kompetentny mag. Prawda, że kiedy już znalazła się u króla sękatych, ten mógł przeprowadzić ją przez ten tunel, przez który wjechaliście do jego królestwa z Liones. Wtedy nadal pozostaje pytanie, w jaki sposób dostała się tam i wróciła na dwór wraz z tymi dwoma towarzyszącymi jej mężczyznami. Chyba że pomógł jej ktoś inny... – KinetetE urwała w połowie zdania, co rzadko się jej zdarzało, i zmarszczyła brwi.

–Edgar mówił – zaryzykował Jim – że na dworze krążą plotki, jakoby Agatha była wiedźmą. On w to wierzy.

–Ha! – zawołała KinetetE. – Ona jest taką samą wiedźmą jak ty. Jeden Merlin wie, kim ty jesteś... No, chyba że wie to Carolinus. Jeśli tak, to nawet mi nie chce powiedzieć.

–Ja również uznałem, że to bzdura – rzekł Jim, rozmyślnie ignorując jej ostatnie słowa. – Jednakże...

–Owszem, jest w tym odrobina prawdy – przerwała mu KinetetE. – Pamiętasz, że podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla okazało się, że za młodu zadawała się z bardzo starym i potężnym trollem. Chociaż ten troll...

–Mnrogar – rzekł Jim. – Co?

–Nazywał się Mnrogar.

–Jego imię nie ma nic do rzeczy. Chcę powiedzieć, że on nie mógł nauczyć ją magii.

Ona nie ma żadnej magii... Nawiasem mówiąc, chciałabym, żebyś nauczył się poprawnie wymawiać to słowo!

–Mówiłem tak przez całe życie – mruknął Jim.

–Ach tak? – powiedziała KinetetE. – Tam, skąd przybywasz, ludzie znają magię?

–Magię? – Magię!

–Zawsze wymawiałem to w ten sposób i nie mam zamiaru tego zmieniać.

–Cóż – powiedziała KinetetE. – Chyba nie powinnam cię winić za niedostatki twojego cudzoziemskiego wykształcenia. Porozmawiamy o tym innym razem.

Zapadła cisza, w której wrogo spoglądali na siebie.

–W każdym razie – podjęła KinetetE – chciałam tylko wykazać, że jak u wszystkich naturalnych jakakolwiek magia tego trolla była czysto instynktowna. Nie miałby pojęcia, jak działa. Tak jak twój skrzat latający na dymie.

–Wiem – odparł wciąż zjeżony Jim.

–To dobrze. Zapewne jednak nie wiesz, że nie byłoby niczym niezwykłym u dziecka, szczególnie dziewczynki mającej za jedyne towarzysza trolla i odciętej od ludzkiego społeczeństwa oraz uczuć, poszukiwanie innego miejsca, w którym czułaby się jak w domu. Tak się składa, że wiem, iż przeprowadzała eksperymenty z czarami, ale kiedy przekonała się, że opanowanie sztuki czarnoksiężskiej wymaga bezgranicznego poświęcenia, zarzuciła te próby. Po prostu nie nadawała się do tego. Może jednak nauczyła się czegoś. Na tyle, aby wiedzieć o istnieniu sękatych i poznać drogę do ich królestwa.

–I co mogłaby zaoferować królowi sękatych za jego pomoc?

–Władzę – rzekł Barron, po raz pierwszy wtrącając się do rozmowy – i bogactwo. W tym wypadku Wielkie Srebro, będące zarazem bogactwem i władzą. Żaden władca nigdy nie ma ich dość. Cumberland ma wiele kopalni, ale ich faktycznym właścicielem jest król Anglii. Jak wszyscy na dworze wiedzą Agatha jest w dobrych stosunkach z królem. Oddanie tych kopalni w ręce władcy królestwa naturalnych zmieniłoby historię świata. Tak więc Ciemne Moce i polityka splatają się ze sobą...

–Pozwolisz, Charles? – przerwała mu ostro KinetetE. – Zdaje się, że to ja zajmuję się tą sprawą?

–Och, już dobrze – powiedział Barron, ponuro wbijając wzrok w ścianę pustej sali.

–A jeśli mag może posłać ludzi do królestwa sękatych – rzekł Jim, korzystając z okazji, by zadać pytanie, na co od dłuższej chwili miał ochotę – dlaczego Carolinus nie ściągnął tam nas i każdego, kto by mu pomógł, zamiast kazać Brianowi, Daiyddowi i mnie podróżować o własnych siłach?

–Ponieważ znalazłszy się tam – odparła KinetetE – nie mógł już korzystać ze swojej magicznej energii, chyba że za pozwoleniem króla.

–Masz rację, zapomniałem o tym.

–Kompetentny mag – powiedziała lodowatym tonem KinetetE – nie zapomina. A teraz, jeśli ty i Charles nie macie nic przeciwko temu, chciałabym wrócić do tematu Agathy Falon.

–Och tak – rzekł Jim. – Przepraszam. Mów.

–Zamierzałam to zrobić z twoim pozwoleniem lub bez. Oto, co sądzę o Agacie i jej czarach. Nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby dziewczynka mająca za sobą takie dzieciństwo jak ona, a szczególnie po latach przebywania z trollem, lepiej czuła się w towarzystwie jemu podobnych, uważając innych ludzi za wrogów.

Jim zaczynał już trochę nużyć temat Agathy Falon. Myślał o Robercie, a także Carolinusi, Brianie i Dafyddzie uwięzionych pod ziemią, w królestwie sękatych. Głównie o Robercie, takim małym i samotnym.

–A jaki to ma związek z porwaniem Roberta przez sękatych? Z podsłuchanej rozmowy między Agathą a posłańcem wynika, że Agatha jest skłonna zapłacić za niego słoną cenę. Co Robert ma wspólnego z Agathą kopalniami i królem sękatych?

–Nawet w zapadłych krańcach Somerset – rzekł Barron – musiałeś słyszeć, że po bożonarodzeniowym przyjęciu u waszego earla Agatha poszła do klasztoru w Devon. Powiadano, że schroniła się tam tylko na kilka miesięcy, ale w rzeczywistości była w ciąży i chciała po cichu urodzić tam dziecko. Jeżeli tak było naprawdę i dziecko umarło, to może chcieć je zastąpić...

–Charles! – Jim jeszcze nie słyszał, by KinetetE przemawiała takim rozkazującym tonem. Barron nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć, zamykając usta z pośpiechem ostrzygi zaatakowanej przez rozgwiazdę.

–W porządku – mruknął. – Jeśli nie jestem potrzebny... – Znikł.

–Obraził się, oczywiście – powiedziała KinetetE, spoglądając na puste miejsce, gdzie przed chwilą stał mag. – Przejdzie mu.

–Po co miałyby je zastępować? – spytał Jim, nagle znów zainteresowany tematem Agathy.

–Nie wiem – odparła KinetetE. – Zazwyczaj wysoko urodzeni porzucają swoją nieślubną progeniturę lub pozbywają się jej. To część zagadki, ale teraz nie to jest najważniejsze, gdyż przejęcie angielskich kopalni przez sękatych zmieniłoby historię. A to świadczy o tym, że stoją za tym Ciemne Moce. Twój mistrz magii udał się do królestwa sękatych jako ambasador Zgromadzenia Magów.

–Tak – rzekł Jim. – Już o tym mówiłaś.

–Oczywiście – ciągnęła KinetetE – z początku król dobrze go traktował, dał mu swobodę ruchów i pozwolił używać magii. Potem jednak, wbrew wszelkim dyplomatycznym zwyczajom, uwięził.

–Co robi Zgromadzenie? Jeśli postanowi coś zrobić?

–Praktykanci nie muszą... – KinetetE urwała. – Wygląda na to, że nic nie możemy zrobić, żeby uwolnić Carolinusa. To zależy tylko od ciebie, tak samo jak uwolnienie Roberta. Nie wracaj bez nich obu.

–Oczywiście, że nie... ale on wysłał do mnie swój obraz! Zatem musiał zachować swoje magiczne umiejętności!

–Z Carolinusem wszystko jest możliwe. Może przewidział, co się stanie, nawet porwanie Roberta. A choćby zdołał zachować trochę magicznej energii, to za mało, żeby się uwolnić. Każdy władca takiego królestwa jest w stanie uniemożliwić intruzowi dostęp do zasobów magicznej energii. Z pewnością o tym wiesz.

–Tak, tak, masz rację – rzekł pośpiesznie, aby odwieść KinetetE od rozwijania tego

tematu. – Powiniennem jak najszybciej wrócić do jaskini sękatego króla. Powiedziałaś, że przeniesiesz mnie tam, zanim coś się zdarzy. Kiedy mnie tam odeślesz, czy możesz sprawić, żebym zachował tam choć odrobinę mojej magii?

–Nie – powiedziała. Uniosła rękę, jakby chciała go odprawić, ale się zawahała. – Mogłabym, rzecz jasna, odesłać cię otoczonego zaklęciem obejmującym część twego najbliższego otoczenia tutaj. Pod jego osłoną mógłbyś użyć twojej magii. Tyle że w chwili, gdy to zrobisz, sękaty król natychmiast zorientuje się i zdejmie zaklęcie równie łatwo, jakby zdmuchnął płatek śniegu. Twoja osłona zniknie, a magiczne zdolności razem z nią.

–Może nie zgadnie, że chroni mnie zaklęcie. A jeśli zdążę się posłużyć magią będzie już za późno.

–Nie będzie – powiedziała KinetetE. – W chwili gdy użyjesz magii, Wielkie Srebro na jego szacie i tronie rozjarzy się czerwono. Król pozbawi cię ochronnego zaklęcia i magii, zanim ta zdąży zadziałać. Carolinus kazał ci połknąć Encyclopaedie Necromantick, prawda?

–Tak – potwierdził Jim, przypominając sobie, jak Carolinus zmniejszył grube tomiszcze do rozmiarów pigułki, która mimo to zaległa Jimowi kamieniem w żołądku.

–Zajrzyj do niej. „Pokrewne moce”, przypisek piąty, strona siódma „Prawa i reguły”. „Rezydentna magia zastosowana jednocześnie z nierezydentną ma pierwszeństwo nad każdą i wszelką jej postacią”.

–Ach... tak – mruknął Jim. – Powiedziałaś, że możesz mnie odesłać tam otoczonego częścią tutejszej rzeczywistości?

–Mogę. Tylko czy będziesz pamiętał o tym przypisku do „Praw i reguł”?

–Carolinus chyba zaufał mojej pamięci na tyle, aby mieć nadzieję, że uratuję jego i Roberta.

KinetetE obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

–Może Carolinus wie, co robi – powiedziała w końcu. – Co zamierzasz, kiedy już tam będziesz?

–Będę wiedział, kiedy tam się znajdę. KinetetE wzruszyła ramionami.

–Wróć! – powiedziała.

I znalazł się z powrotem w wielkiej jaskini sękatych.

Najwidoczniej nikt nie zauważył jego powrotu ani nie zaniepokoił się jego nieobecnością. Ponownie ujrzał tę scenę, którą widział w lustrze wody w misce. Może zadziałała na jego korzyść jakaś anomalia czasowa lub zaledwie sekundy upłynęły od jego... albo to sprawka KinetetE. Hill i król sękatych nadal toczyli ten sam spór, który rozpoczęli, kiedy Carolinus odesłał Jima.

Lekki wzrost ciśnienia powietrza upewnił go, że jest otoczony ochronnym zaklęciem. Wszyscy w skupieniu przyglądali się kłótni Hilla z sękatym królem. Przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, że choć jest doskonale widoczny, to jednak niewidzialny. Miał więc czas, aby lepiej się rozejrzeć po jaskini. Kamienna ściana do wysokości metra była ciemniejsza – zasłaniały ją ciała sękatych, którzy zapełniali każdy centymetr powierzchni za Brianem, Dafyddem i końmi.

Musi tu być, pomyślał Jim, co najmniej kilka tysięcy zwykłych sękatych. Takie zgromadzenia z pewnością nie są rzadkością. Tę ciemną smugę na ścianach mogła pozostawić brudna odzież ocierająca się o czysty brązowy granit. Jim nie podejrzewał, aby

ich wyprawa przyciągnęła takie tłumy. Oczywiście powodem był Hill.

Tłum się nie poruszał. Sękaci stali jak skamieniali, oświetlani jedynie poświatą sącząca się ze ścian jaskini. Jednakże nad tym światłem jej sklepienie ginęło w smolistym mroku, który zdawał się pochłaniać wszelkie padające nań światło. Ciemność sugerowała istnienie gęstych pajęczyn i ogromnych nietoperzy, lecz żaden ruch ani dźwięk nie świadczył o tym, że coś w niej żyło.

Prostokąci srebrzystego metalu lśniły jak szlifowane diamenty w widmowej poświacie, znacząc ścieżkę, którą przyszli Jim i jego towarzysze aż do kręgu o średnicy około sześciu metrów, otaczającego podium z tronem. Te kawałki metalu pokrywały również cały tron i płaszcz króla sękatych. Ich nieustanne migotanie – graniczące z kalejdoskopowymi zmianami barw – wydawało się jeszcze wyraźniejsze, gdy głosy Hilla i króla przybierały na sile.

–...dziecko, owszem. Ale duży głupek nigdy nie będzie szczęściem! – ryczał król sękatych.

Hill i jego wuj stracili już ten pozornie naturalny dla sękatych niewinny wygląd. Jim zauważył, że mimo szyderczych słów króla najwyraźniej niepokoi powtarzane raz po raz przez Hilla słowo „szczęście”.

Być może, pomyślał Jim, sękaci pojęcie szczęścia traktują znacznie poważniej niż ludzie. Zastanawiało go, w jaki sposób miałyby przynosić szczęście Hillowi. Ten wyraźnie wcale w to nie wątpił, a król wyglądał na równie przekonanego. Jim poczuł, że ogarnia go gniew. Gdyby tylko zdołał zrozumieć ich koncepcję szczęścia, może w jakiś sposób mógłby naprawić sytuację.

–Nie będzie szczęściem?! – prawie zawył Hill. – Tak myślisz, co? Zatem stań ze mną w kręgu. A może po prostu oddasz mi szatę oraz tron i pójdziesz sobie? Nic ci nie zrobię.

–Ty mi nic nie zrobisz?!

Król zerwał się z fotela i zaczął ściągać z siebie grubą szatę. Pokrywające ją metalowe płytki rozbłysły nagle jak miniaturowe fajerwerki, na moment pochłaniając poświatę ścian, gdy król odrzucił szatę, która z trzaskiem upadła na podium. Król zrobił krok naprzód i wszedł w krąg.

Odsłonięty do pasa, ukazał tors i podobny do dębowej beczki tułów. Jego pierś niewiele różniła się od brzucha. Poza tym wyglądał zupełnie zwyczajnie. Dopiero ramiona króla i Hilla – gdyż i ten już zdjął koszulę – były całkowicie niepodobne do ludzkich. Stawy barkowe znajdowały się tak blisko szyi, że wydawało się, iż sękaci wcale nie mają barków. Jednak otaczał je potężny wał mięśni, dający im ogromną siłę i umożliwiający poruszanie rękami w niezwykłych kierunkach. Ramiona były niemal dwukrotnie dłuższe od przedramion i oplecione grubymi jak postronki mięśniami, grającymi pod gładką szarawą skórą. Przedramiona zaś były prawie mikroskopijne w porównaniu z ogromnymi łapskami, które dotychczas kryły się w długich rękawach. Te dłonie były tak masywne i długie, że ich właściciel mógł objąć się w pasie każdą z nich. Przypominały wiosła, a palce były trzykrotnie dłuższe od ludzkich i najwyraźniej bardzo chwytne.

Król podniósł ręce jak gotowy do walki zapaśnik i ruszył naprzód, kopnięciem odrzucając na bok koszulę Hilla. Ten też już przyjął zapaśniczą postawę, ale był zdecydowanie mniejszy od króla, który górował nad nim nie tylko wzrostem, ale i wagą. Krążyli wokół siebie,

zwróceniu twarzami.

Zapełniający jaskinię sękaci nadal milczeli, ale cofnęli się, zacieśniając szeregi albo wpychając stojących z tyłu do korytarza, tak że znajdowali się teraz o metr lub dwa od kręgu, w którym pozostał ich król, Hill, Jim, Brian, Dafydd i wierzchowce. Dopiero teraz Jim zauważył, że Hob wrócił na grzbiet jucznego konia i wyglądał spod plandeki.

Jim spojrzał dalej, za plecy króla, w zalegający obok tronu mrok. Może teraz, kiedy wszyscy obserwowali przeciwników, będzie miał szansę użyć magii, aby uratować Carolinusa i Roberta. Jim zauważył, że Robert śpi. Carolinus, trzymając się prętów klatki, czujnie obserwował przebieg wydarzeń.

–Hej! – Jim usłyszał nad uchem głos Briana. – Ten mały zmusił większego do walki. Dobra robota, Hill!

Ostatnie słowa prawie wykrzyknął do Hilla, który nie zwrócił na niego uwagi.

–Dla mnie to raczej wygląda na samobójstwo – rzekł Jim, patrząc na zawodników.

–Dlaczego, Jamesie! – zdziwił się Brian. – Co ma z tym wspólnego grzech samobójstwa?

Ich głosy przyciągnęły uwagę króla.

–Cofnąć się! – warknął na nich i Jim zrozumiał, że powinni opuścić krąg, pozostawiając go walczącym.

Odruchowo wycofał się; konie już to robiły, jakby same rozumiały i wykonywały rozkaz króla. Dafydd poszedł w ślady Jima. Tylko Brian pozostał tam, gdzie był.

–Brianie... – zaczął Jim, lecz w tejże chwili król sękatych, widząc nadal stojącego w kręgu rycerza, zamachnął się ogromną ręką.

Brian zareagował instynktownie. Błyskawicznym ruchem wyrwał miecz z pochwy i ciałem ramiem napastnika, trafiając w dłoń. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie stalowego ostrza o kamień. Brian zrobił zdumioną minę, a król sękatych ze zdziwieniem przystanął i spojrzał na swoją dłoń. Pojawiła się na niej czerwona linia, ale skóra – jeśli ta tkanka pokrywająca masywne łapsko była skórą – nawet nie została przecięta.

–Brianie! Brianie! Chodź tu do nas! – zawołał Jim.

Brian, nadal trzymając miecz gotowy do ciosu, obejrzał się przez ramię na Jima, zobaczył, że ten go wzywa, i się cofnął.

–Ten przeklęty stwór zaatakował mnie! – powiedział do Jima.

–Schowaj broń – rzekł Jim. – Proszę, Brianie! Król sękatych i Hill zamierzają stoczyć pojedynek. Stałeś wewnątrz kręgu.

–Kręgu? – powtórzył Brian. – Oczywiście. Racz wybaczyć – powiedział do króla, który nie zwrócił na niego uwagi. Brian westchnął. – Żadnych manier – mruknął do Jima, po czym skupił całą uwagę na przeciwnikach stojących naprzeciw siebie w środku kręgu. – Wolałbym, żeby potykali się z bronią w ręku, Jamesie!

–Wygląda na to, że będą walczyć gołymi rękami.

–Niezbyt to po rycersku – oświadczył Brian. – Jednak te biedne istoty trudno nazwać chrześcijanami.

–Myślę, że orężem będą ich ręce – powiedział Jim. – Kiedy Rrrnlf przyprowadził do mnie Hilla, powiedział, iż znalazł go wykopującego się spod tej samej skały, która go przywaliła, tak więc Rrrnlf wziął go ze sobą, ponieważ kopał znacznie szybciej. Sądzę, iż

Rrrnlf przekopywał się gołymi rękami przez skałę, więc może sękaci też to potrafią.

Podczas gdy rozmawiali, król i Hill krążyli wokół siebie, nie nawiązując kontaktu – jak dwaj zapaśnicy czujnie wypatrujący okazji do zastosowania zwycięskiego chwytu.

–Mimo wszystko – ciągnął Jim – chciałbym wierzyć, że Hill ma choć cień szansy na zwycięstwo. Król jest od niego dwukrotnie cięższy.

–Ten mały ma odwagę – odparł Brian. – I dlatego może wygrać. Odwaga jest najważniejsza. Każdy mężczyzna musi ją okazać, aby dowieść swojej męskości, zwyciężyć lub przegrać. A chociaż te istoty nie są ludźmi, bywa, że zachowują się jak ludzie.

Jim ledwie go słyszał. Zastanawiał się intensywnie, usiłując wymyślić coś, co zapewniłoby Hillowi zwycięstwo. Najwyraźniej wymagało to czegoś więcej niż odwagi. Inaczej Jim i jego towarzysze, a także mały Robert, nie ujdą stąd z życiem. Gdyby jednak Hill zdołał pokonać przeciwnika, może udałoby się im przeżyć. Hill mówił o Jimie jako o swoim szczęściu. Z pewnością nie chciałby go zniszczyć, gdyby wygrał. A może, zdobywszy tron i szatę, zmieniłby się w takiego samego despotę jak obecny król? W każdym razie Jim i jego towarzysze mieliby znacznie większe szanse, gdyby wygrał Hill.

Niestety, obserwując krążących wokół siebie przeciwników, Jim czuł, że to płonna nadzieja. W miarę jak zbliżali się do siebie, coraz bardziej uwidaczniała się fizyczna przewaga króla. Nie był wiele wyższy – zaledwie parę centymetrów, lecz poza tym wyglądał jak dorosły mężczyzna przy chłopcu. Nie tylko był potężniej zbudowany, ale szybciej i pewniej się poruszał. Hill też musiał o tym wiedzieć, pomyślał Jim. A więc Brian dobrze mówił: chłopak miał odwagę.

Obaj przeciwnicy zadali sobie kilka wolnych, lecz silnych zamaszystych ciosów otwartymi rękami. Dziwne, ale teraz obaj trzymali palce złączone i wyprostowane, natomiast przed chwilą król próbował uderzyć Briana grzbietem zgiętej dłoni. Jim pomyślał, że posługiwali się rękami tak jak Brian mieczem: jakby były orężem poruszonym przez resztę ciała. Jednakże ich ciosy były dziwnie wolne, jakby dłonie mieli za ciężkie i z trudem nimi poruszali.

Jeśli tak było – jeżeli te dłonie rzeczywiście były tak twarde i ciężkie, jak wyglądały – to jedno uderzenie mogło wystarczyć. Z drugiej strony może ciała króla i Hilla były z tego samego twardego materiału i mogły znosić potwornie silne ciosy.

Mimo wszystko król miał zdecydowaną przewagę. Zadane przez Hilla uderzenie w kark, w miejsce spojenia barku z szyją, nie sięgnęło celu i książę musiał się uchylić przed zamaszystym ciosem w głowę. Obaj stali na szeroko rozstawionych nogach, twarzami do siebie. Król miał znacznie dłuższe ręce.

Jim wiercił się niespokojnie. Przy całym tym zamieszaniu król najwidoczniej nie zauważył ochronnego zaklęcia. Jim nadal mógł użyć swojej magii. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że jeśli chce się nią posłużyć, aby pomóc Hillowi, powinien zrobić to tak, by książę nigdy się o tym nie dowiedział. W przeciwnym razie pojedynek uznano by za nieważny i nie rozstrzygnięty. Magiczna energia zmarnowałaby się, a król pozostałby na tronie.

Nagle Jim zrozumiał, że nie ma nic łatwiejszego, jak zrobić to niepostrzeżenie. Wystarczy sprawić, by król potknął się przy jednym ze swych zamaszystych ciosów, i pozwolić, aby Hill wykorzystał sposobność. Kiedy sękaty zamachnął się, Jim skupił się, tworząc wizję.

Nic się nie stało.

Król cofnął rękę jak najdalej, po czym zadał zamachowy cios. Hill znów się uchylił, ale za wolno i w ostatniej chwili.

Jim pospiesznie znów spróbował rzucić czar. Nic. Spróbował kilku innych wariantów. Nic nie działało. Zdesperowany, powrócił do swoich początków magicznej praktyki i stworzył zaklęcie do melodii Yankee Doodle. Zupełnie nic. Dlaczego?

–Wydział Kontroli – szepnął. – Coś jest nie tak z moim kontem?

–Połączę cię z Wydziałem Rewizyjnym, Jimie Eckercie – huknął basowy głos, z którym Jim zawsze porozumiewał się w sprawach związanych z dostawami magicznej energii.

–Cii! – Jim mimo woli próbował go uciszyć.

–Bez obawy – zagrzmiał głos. – Nasza rozmowa jest niesłyszalna poza otaczającym cię zaklęciem.

–Wiem o tym! – warknął Jim normalnym głosem. Wprawdzie nie wiedział, ale niech go ливо, jeśli da się przegadać komuś, kto zawsze przemawiał jak maszyna.

–Tu Wydział Rewizyjny – rzekł ten sam – przynajmniej tak wydało się Jimowi – głos. – Twoje konto jest puste, ponieważ zużyłeś cały kredyt.

Jim spoglądał na toczącą się na arenie walkę, ale niczego nie widział. A więc tak daleko zaszedł z zapasami magicznej energii, które posiadał, opuszczając Malencontri. Pamiętając o tym, że Wydział Rewizyjny prawdopodobnie nadal go słucha, starał się opanować gniew. Rzucił głośno:

–No cóż, to chyba wszystko... Żegnaj.

–Głowa do góry! – powiedział Wydział Rewizyjny niespodziewanie ludzkim głosem i we wnętrzu ochronnego zaklęcia zapadła cisza.

Gdy w końcu mógł wywrzeć jakiś wpływ na wydarzenia, nie mógł tego zrobić tylko dlatego, że w tym momencie chwilowo przestał być magiem. Otępiały, ponownie skupił się na walczących.

Hill tylko unikał ciosów, ale zamaszyste uderzenia króla padały coraz bliżej, chociaż i trochę wolniej. Jim zobaczył, że Hill zbliża się do przeciwnika. Wymienili kilka ciosów, którym towarzyszył dziwny głuchy odgłos uderzających o siebie kamieni. Hill się zatoczył. Nie upadł, ale potrząsnął głową i zachwiał się, po czym znów zaczął krążyć wokół króla, ale trzymając się poza zasięgiem jego ramion. Król natarł na niego jak drapieżnik na ofiarę.

Jim był wściekły na siebie z powodu swojej bezsilności. Mógł całkowicie zmienić sytuację, lecz tymczasem nic nie mógł zrobić. Nic.

Tak jak poprzednio, kiedy kończyła mu się magia, zapewne nadal mógł się zamienić w smoka, tylko co by to dało, jeśli miał przed sobą istoty o ciałach twardych jak kamień?

Chwileczkę!

Jego zdolność do przemieniania się w smoka była wrodzoną magią, podobną do magii naturalnych i niezależną od Wydziału Kontroli. Obdarzył go nią ten magiczny świat, kiedy Jim pojawił się w nim. Czy mógłby wykorzystać to źródło magii w jakiś inny sposób?

Może mógłby znaleźć się w innym ciele, tak jak w momencie jego przybycia na ten świat, kiedy mimowolnie przyjął ciało smoka Gorbasha, przejmując nad nim kontrolę. Gdyby teraz w ten sam sposób opanował ciało Hilla, może pomógłby zwyciężyć małemu sękatemu.

Hill w roli króla mógł się okazać tyranem. Mimo to mieli z nim większe szanse niż z obecnym władcą sękatych.

Metoda walki, którą obserwował, sprzyjała większemu i cięższemu sękatemu, ale był on też wolniejszy od przeciwnika. Jeśli Jim zawładnie ciałem Hilla, chyba powinien wykorzystać kilka dwudziestowiecznych sztuczek, których król nie zna. Ponadto Jim był gotów się założyć, iż okaże się szybszy od Hilla.

Nie było innego wyjścia. Musiał spróbować.

Zrobił to, usiłując przywołać to samo uczucie, jakie towarzyszyło mu przy przemianie w smoka, ale koncentrując się na Hillu. Nagle tuż przed sobą ujrzał króla sękatych. Dostrzegł ogromną szarą dłoń przecinającą powietrze i zmierzającą ku niemu jak dziób oceanicznego liniowca na szalupę. Wtedy zorientował się, że jednak nie zdoła zejść z linii ciosu tak szybko, jak sądził...

Rozdział 31

Nie zdołał uniknąć ciosu, który wyrzucił go w powietrze. Jim nie stracił przytomności, chociaż nie pamiętał momentu uderzenia. Upadł i rozpaczliwie przetoczył się po ziemi. Przeturlawszy się kawałek, znieruchomiał i przez moment leżał tak, sądząc, że ma połamane kości. Na razie był cały.

Poszukał wzrokiem króla i ujrzał go nieopodal, stojącego i spoglądającego z niedowierzaniem na Jima. Widocznie monarcha nie był przyzwyczajony do przeciwników, którzy toczyli się po ziemi, kiedy zostali powaleni.

Jim polegał na swoim dawno wyuczonym odruchu, nakazującym jak najszybciej oderwać się od przeciwnika po otrzymaniu ciosu, zanim spróbujesz stanąć na nogach. Pierwsze już zrobił. Teraz poderwie się na nogi...

Wstał, ale trudno było nazwać to zerwaniem się. W ciele Hilla i on poruszał się bardzo wolno. To ciało było jak obdarzony własnym życiem granitowy posąg o sprawnych mięśniach i stawach, ale i ogromnej bezwładności. Stał na nogach w samą porę, aby dostrzec wolno, lecz niepowstrzymanie nacierającego na niego króla.

Teraz, pomyślał kwaśno Jim, byłby czas posłużyć się magią, gdyby tylko jakąś dysponował. Nagle uświadomił sobie, że choć znajdowali się tak blisko siebie, król najwyraźniej nie zauważył, że w jego królestwie działa obca magia. Jim uznał, że to niemożliwe, aby zaklęcie, którym otoczyła go KinetetE przed odesłaniem tutaj, znikło w chwili, gdy przejął ciało Hilla. Może król tak zaangażował się w pojedynek, że ignorował to, co miał tuż pod nosem...

Jasne, że nie! Trzeźwy umysł podsunął Jimowi odpowiedź. Król nie siedział na tronie i zdjął szatę, zanim jak zwyczajny sękaty wstąpił do kręgu razem z Hillem. W tym momencie był równie niewrażliwy na działanie obcej magii jak Hill czy jakikolwiek inny naturalny.

Tymczasem król był już blisko. Jim walczył z ciałem, które wydawało się jak odlane z ołowiu. Najwyraźniej nie ma sensu stać w miejscu i próbować na monarsze dwudziestowiecznych technik bokserskich czy zapaśniczych. Wątpił też, by tych kilka wyuczonych przed laty chwytów mogło mu się teraz przydać. Nie w walce z tak silnym przeciwnikiem jak król. Ponadto dawno ich już nie używał, a król był znacznie cięższy, silniejszy i miał dłuższe ręce od Hilla. Ten Hill i jego szczęście! Bardzo by się teraz przydało.

Król wciąż atakował.

Tak więc pozostały jeszcze brudne sztuczki

Jim w porę uchylił głowę, unikając zamaszystego ciosu, po czym jak najszybciej odskoczył w bok. Król przystanął, zamierzając obrócić się i ruszyć za nim. W chwili gdy wielki sękaty stał nieruchomo, Jim zastosował pierwszą brudną sztuczkę, jaka przyszła mu do głowy.

W szkole średniej był zaledwie trzeciorzędnym piłkarzem i szybko zrezygnował z rugby na rzecz siatkówki, w którą grał naprawdę nieźle. Teraz całym ciężarem ciała rzucił się na króla, usiłując zwalić go z nóg.

Dwie rzeczy poszły nie tak. Po pierwsze, nie zdołał rzucić się tak daleko, jak chciał. Faktycznie tylko dlatego w ogóle dosięgnął przeciwnika, że ten odwrócił się i znów na niego natarł. I zamiast uderzyć w nogi króla na wysokości kolan, Jim runął na jego palce stóp.

Król jęknął i chwiejnie odskoczył, po raz pierwszy cofając się. Jim gorączkowo usiłował coś wymyślić. Coś kołatało się na dnie jego umysłu – to Hill usiłował odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, tak jak smok Gorbash, któremu czasem udawało się to, gdy Jim głęboko się zamyślił. Jim zignorował to odczucie.

Pierwszy atak zawiódł. No nic, są inne sztuczki. Tym razem, kiedy król podszedł bliżej, Jim powoli obrócił się na pięcie i łokciem uderzył go w nerki. A przynajmniej tam, gdzie u człowieka są nerki.

Zadał bardzo mocny cios, chociaż sam nic nie poczuł. Uderzył tak silnie, że kilkakrotnie zgiał rękę, sprawdzając, czy nie jest złamana w łokciu. Nie była. Król ponownie obrócił się do niego. Wyglądało na to, że i on nie poczuł ciosu.

Nadal jednak lekko kulał. Widocznie ciało Hilla wylądowało na nogach monarchy z większym impetem, niż Jim sądził, albo palce sękatych były szczególnie wrażliwe.

Mimo to, depcząc po królewskich odciskach, nie wygra tej walki. Jim doszedł do wniosku, że musi jakoś zwalić przeciwnika z nóg, jednocześnie uderzając na tyle mocno, aby król uznał się za pokonanego. Spróbował zanurkować pod te potężne łapska i podstawić przeciwnikowi nogę. Nie zdołał. Sękaty król mocno stał na nogach i niewiele brakowało, a to on obaliłby Jima, który ledwie zdołał mu się wymknąć.

Spróbował kopnąć króla w kolano i w ostatniej chwili przypomniał sobie, że sękaci mają krótkie nogi, a długie ręce – mające znacznie większy zasięg.

Powoli kończyły mu się pomysły. Przystanął na moment, aby złapać tchu. To był błąd. Król nacierał powoli, lecz nieustannie. Jim trochę za bardzo przyzwyczyił się do tego, że za każdym razem udaje mu się uchylić przed ciosem większego przeciwnika.

Właśnie zastanawiał się, co robić dalej, kiedy zobaczył, że król zaczyna wyprowadzać zamaszysty prawy sierpowy. Jim uchylił się przed nim i niemal wpadł na lewą rękę przeciwnika, która rozpoczęła ruch sekundę później.

Jim gwałtownie usiłował uskoczyć w lewo, ale grube wyprostowane paluchy trafiły go prosto w pierś. Znów wyleciał w powietrze, nieco na prawo od króla, pod kątem będącym wektorem siły uderzenia i własnego rozpaczliwego uniku. Przeleciał w powietrzu i z potwornym impetem runął na kamienne dno jaskini.

Już po mnie, powiedział sobie.

Jednak nie. Tym razem też nie połamał sobie – a raczej Hillowi wszystkich kości. Właściwie nic sobie nie złamał. Nawet się nie posiniaczył. Ciała sękatych były bardzo

odporne na uszkodzenia.

Powoli gramoląc się na nogi, zauważył, że wyładował za królem, który zaczął się odwracać do niego.

Jim dopiero teraz spostrzegł, w jaki sposób obraca się król. Nie wykonywał obrotu na palcach jak człowiek, lecz potrzebował kilku kroków – najpierw odstawiał prawą nogę, a potem dostawiał do niej lewą. Później powtarzał ten ruch. Jim odbiegł w bok, pozostając za plecami przeciwnika, jeszcze zbierając myśli i siły.

Udało mu się. Kiedy król zrobił prawie pełny obrót, nie dostrzegłszy go, zatrzymał się i niepewnie rozejrzał. Potem znów zaczął się obracać, lekko odsuwając ręce od tułowia, żeby utrzymać równowagę.

Nagle przyплыnęło mgliste wspomnienie wywołane pozycją króla i Jim przypomniał sobie rzut aikido, który kiedyś tak urzekł go swoją elegancją, wspaniałą prostotą i zabójczą skutecznością, że sądził, iż nigdy go nie zapomni. No cóż, zapomniał, ale teraz pamięć znów podsunęła mu to wspomnienie. Bez zastanowienia rzucił się w kierunku króla.

Dwoma krokami doskoczył do przeciwnika i oparł lewą dłoń na jego głowie, popychając ją do przodu i w dół. Jednocześnie prawą ręką chwycił za prawe ramię króla. Ten instynktownie próbował się wyprostować, przenosząc ciężar ciała w tył, a wtedy Jim pociągnął go do siebie, obracając w lewo. Zaczął go okręcać, trzymając się za jego plecami, aż do pozbawienia sękatego równowagi. Król nie miał wyboru: musiał powoli się okręcać albo upaść. Zaczęli się obracać coraz szybciej i Jim już gratulował sobie w duchu, gdy nagle uświadomił sobie, że nie wie, co robić dalej. Pamięć znów go zawiodła. Ponadto bezwładne, ciężkie ciało króla obracało się teraz własnym ruchem, pociągając za sobą Jima jak kamień na końcu sznurka. Jim pomyślał z rozpaczą, że jeśli zaraz go nie puści, to uniesie się w powietrze.

Niechętnie i z rozczarowaniem puścił króla. Ku zdziwieniu jego i wszystkich sękatych – którzy na ten widok wydali chóralny, zaskakująco głośny jęk – król nadal się obracał, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę, ale w końcu stracił ją, potknął się i z łoskotem przypominającym odgłos tony spadających na cement cegieł runął na podłogę. Tak silnie uderzył głową o skałę, że Jim aż się skrzywił.

Król się nie ruszał.

Przez chwilę nic się nie działo. Jim stał, oszołomiony nieoczekiwanym zwycięstwem. Hill skorzystał z okazji i przejął kontrolę nad swoim ciałem. Jim z powrotem znalazł się w swoim i patrzył, jak Hill podchodzi do leżącego monarchy. Trącił go nogą, a potem cofnął się, odwrócił twarzą do tłumu sękatych i szeroko rozłożył ramiona.

Sękaci odpowiedzieli gwizdami – potwornie głośnym dźwiękiem, który odbił się echem od ścian jaskini, ogłuszając Jima. Ruszyli hurmem, otoczyli Hilla i zanieśli go na rękach do tronu. Potem cofnęli się, pozostawiając Hilla z migoczącą królewską szatą narzuconą na ramiona. Dopiero kiedy wszyscy wrócili do szeregów, gwizdy ucichły.

Hill powoli zasiadł na tronie, a kiedy to robił, Jim poczuł jakby silny elektryczny prąd zdający się przepływać z głębi planety ku nowemu władcy. Nagle wszystkie kawałki lśniącego metalu na szacie i tronie rozblęły jak stopione złoto.

–No tak – rzekł Brian. – A więc ten mały rzeczywiście był prawowitym władcą.

Jim obrócił się i spojrzał na rycerza.

–Jak... – zaczął i urwał. – Dlaczego sądzisz, że jego wuj nim nie był?

–Daj spokój, Jamesie. Żaden samozwaniec nie zebrałby takich owacji. Wszyscy malcy równie głośno gwizdali by dla tamtego i pewnie robili to z obawy o swoje życie. Jednak te podziemne wstrząsy i srebro zmieniające się w złoto? Ha! Teraz znów obróciło się w srebro. Widzisz? Lecz przez mgnienie oka było złotem, sam widziałeś. Ten, który nas tu przyprowadził, miał rację co do swego ojca. Nie ma wątpliwości.

Jim otworzył usta i znów je zamknął. To miejsce i ci naturalni byli częścią Brianowego świata. Jim wiedział, że próba wyjaśnienia przyjacielowi, że jego wnioski są bardziej oparte na domysłach niż faktach, do niczego nie prowadzi. Kierujący się dwudziestowieczną logiką umysł Jima łatwiej może się mylić w tej sprawie niż instynkt Briana. Ponadto sam Jim pragnął wierzyć Hillowi, a nie jego wujowi.

Odwrócił się w stronę tronu i napotkał spojrzenie Hilla. Ten mierzył go gniewnym wzrokiem. Nie miało znaczenia, jakie obowiązywały tu zasady – może dobre wychowanie pozwalało wyłącznie członkom królewskiej rodziny okazywać uczucia, a zakazywało tego zwykłym sękatym. Istotne było to, że Hill gniewnie spoglądał z wysokości swego tronu na Jima.

?– Całkiem niezły jest ten chłopak! – powiedział wesoło Brian. – Zauważyłeś, jak wywrócił tego dużego? Naprawdę dobra robota! Chciałbym mu to powiedzieć.

–Już to zrobiłeś... – zaczął nieostrożnie Jim, kiedy przerwał mu bardzo władczy okrzyk nowego władcy.

–Ty! – wołał Hill. – Szczęście! Chodź tu do mnie!

Jim od dłuższej chwili usiłował znaleźć jakąś wymówkę, którą mógłby wytłumaczyć, dlaczego wmieszał się do pojedynku Hilla z byłym królem. Brian przerwał mu i Jim nie zdążył niczego wymyślić. Teraz Hill nie dał mu na to czasu. Gorączkowo zbierając myśli, Jim powoli ruszył w kierunku podium i przystanął przed nim.

–Na górę! – rozkazał Hill.

Jim wszedł na podium i podszedł do nowego króla. Zatrzymał się tuż przed tronem. Niecały metr dzielił jego twarz od twarzy Hilla.

–Dlaczego się wtrąciłeś? – zapytał Hill tak cicho, że Jim ledwie go słyszał. Domyślił się, że u sękatych był to odpowiednik szeptu, którego pozostali mieli nie słyszeć. Sam też zniżył głos.

–Ja? – powiedział.

–Tak! Ty! – mruknął Hill. – Przyszedłeś i walczyłeś za mnie. Obaliłeś mojego wuja i skruszyłeś go... No, prawie go skruszyłeś. Nie myśl, że nie wiem, że to twoja robota!

–Co za różnica... – zaczął Jim, kiedy Hill przerwał mu zduszonym głosem przepojonym wściekłością.

–Chciałem to zrobić sam!

Nie zdołałbyś, pomyślał Jim, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się i nie powiedział tego.

–Przecież zrobiłeś! – rzekł zamiast tego. – Gratuluję, Wasza Wysokość! Wspaniałe zwycięstwo!

Hill wytrzeszczył oczy. Zmieszanie pojawiło się na jego twarzy, która na chwilę znów przybrała tępy, zdumiony wyraz.

–Nic podobnego! – warknął. – To byłeś ty! Unieruchomiłeś mnie i zrobiłeś to sam!

–Nie, nie – powiedział cierpliwie Jim. – Wybacz, jeśli to zabrzmie nieuprzejmie, Wasza Wysokość, ale myślę, że wszystko ci się pokręciło. Sam mówiłeś, że jestem twoim szczęściem. To szczęście po prostu ci sprzyjało. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Czy naprawdę czułeś się tak, jakby coś cię więziło?

Hill się wahał. Jim w duchu trochę mu współczuł. Gdyby Hill upierał się, że Jim walczył za niego, pozbawiłby się zwycięstwa. A temu zwycięstwu zawdzięczał królewską szatę i tron. W tym momencie człowiek zamruczałby coś pod nosem lub zacząłby się jękać, usiłując znaleźć jakąś odpowiedź. Natomiast Hill, jako sękaty, po prostu otworzył usta i gapił się, rozważając sytuację. Jim cierpliwie czekał. Powoli twarz Hilla przybierała bardziej królewski wyraz, a jednocześnie znikł z niej gniew. Jego miejsce zajęła niewinna radość.

–No cóż, a więc jednak byłeś moim szczęściem! – powiedział Hill. – Niepotrzebnie się martwiłem! – Rozpromienił się. – Zaiste przyniosłeś mi szczęście! – rzekł. – Czy jest coś, czego pragniesz, teraz, kiedy jestem królem? Mogę dać ci, cokolwiek zechcesz.

Jim spojrział na szatę Hilla.

–Hm – powiedział. – Może chciałbym kilka tych... Wyciągnął rękę i dotknął migotliwych srebrzystych łusek, którymi była pokryta.

–Tego chcesz? – Hillowi trochę wydłużyła się mina. – Niemało żądasz. Trzeba było wieków, żeby zebrać to Wielkie Srebro, które widzisz, pokrywające swą magią całą szatę.

–Tak trudno je znaleźć? – zapytał Jim.

–Tak – odparł Hill. – Jako głupek nie możesz tego wiedzieć. W ziemi obok cyny leży również srebro, a jego niewielką częścią jest Wielkie Srebro. Jest zmieszane z cyną. Wszyscy nasi sękaty szukają go pod ziemią i przynoszą mi je. Zaczarowane przez króla – przeze mnie – Wielkie Srebro zatrzymuje tę magię i zmienia się w to, co widzisz. Jednak jest bardzo rzadkie i trudno je znaleźć. Dlatego mój lud pracuje tak blisko głupków, którzy wydobywają cynę, tam gdzie kończy się świat i zaczyna powietrze.

–Ach tak? – powiedział Jim. – A zatem bardzo się cieszę, że mi o tym powiedziałeś. To wyjaśnia, dlaczego twój wuj zostawił ci tyle kłopotów na głowie.

–Kłopotów? – powtórzył Hill. – Kłopotów? Jakiego rodzaju?

–Zmawiał się z damą z dworu króla ludzi.

–Zadawał się z nią?! – zakrzyknął Hill. – Sękaty zadawał się z jakąś kobietą głupków? On nigdy nie znał wstydu! Tylko po co robił coś takiego?

Jim nie prostował tej błędnej interpretacji faktów.

–Aby zapanować nad wszystkimi ziemiami, gdzie są kopalnie...

–A to dobre. Może było warto – stwierdził Hill. – Jednak z głupią kobietą!

–Chyba można ją tak nazwać – zgodził się Jim. – Tyle że tak naprawdę to ani ona, ani tacy jak ja wcale nie są głupi.

–Przecież przez tysiące lat żaden z was nigdy nie zauważył Wielkiego Srebra w cynie, którą wydobywacie – odparł Hill. – Głupi górnicy wydobywają ją, ale nie wiedzą, że jest w niej coś oprócz cyny. Jeśli to nie głupota, to co nią jest?

–Hm, chodzi o to, że twój wuj popełnił kilka poważnych błędów. Po pierwsze, porwał mojego Roberta.

–Mogę to skleić z powrotem.

–To jest Robert – rzekł Jim, wskazując na małego, który spokojnie spał.

–Ach tak? – powiedział poważnie Hill. – W takim razie możesz go sobie zabrać za to, że byłeś takim dobrym szczęściem.

–To dopiero początek tego, w co wplątał się twój wuj. Uwięził także maga Carolinusa i zamknął go w klatce, o tam – Jim odwrócił się i wskazał palcem. – Carolinus jest jednym z trzech największych magów na świecie i macie teraz przeciwko wam setki, a może nawet tysiące magów.

–Ja tutaj nie obawiam się magów z powierzchni!

–Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. Tylko co będzie, jeśli oni rozgniewają się tak bardzo, że za pomocą magii wydobędą z ziemi całe Wielkie Srebro? Taki lekki metal jak cyna na pewno leży blisko powierzchni.

–A kto im o tym powie? – zapytał bardzo królewskim tonem Hill, spoglądając oskarżycielsko na Jima.

–Och nie – odrzekł Jim. – Nie będę musiał. Zapewne właśnie oglądają nas w szklanych kulach lub taflach wody i zaraz każą im szukać waszej ukrytej magii.

Hill wytrzeszczył oczy.

–Szklane kule? Jim skinął głową. – A one... znajdą je?

–Będą musiały – powiedział poważnie Jim. Hill spoglądał na niego przez długą chwilę.

–Co za paskudna sztuczka! – wybuchnął w końcu. – Zrobiliby to, prawda?

–Jeśli nie wrócę do nich z Robertem i Carolinusem, a przymierze z tą kobietą nie zostanie zerwane.

–Możesz zabrać ze sobą tego maga, szczęście! – oznajmił Hill. – A czy zdołam coś zrobić z tą kobietą?

–Nie – odparł Jim.

W oczach Hilla zabłyśły łzy.

–Może jednak ja zdołam ją powstrzymać. Jak wiesz, ja również jestem magiem – pocieszył go Jim.

–Potrafisz ją powstrzymać?

–Może. Jeśli mogę liczyć, że pomożesz mi w razie potrzeby. – Tak, moje szczęście! Możesz mnie wezwać zawsze i wszędzie. Zrobię to! Teraz mogę ci pomóc!

–Świetnie – powiedział Jim. – A więc zbiorę wszystkich moich ludzi oraz konie, a ty odeślesz nas z powrotem na mój dziedziniec. Pamiętasz mój zamek, z którego wyruszyliśmy z Rrrnlfem?

–Tak – rzekł Hill. – Istotnie. To było na powierzchni.

–A więc odeślij nas tam. Zbiorę wszystkich, których wymienię, oraz konie i skrzata.

–Skrzata? – zdziwił się Hill. – Ach, mówisz o tym małym stworzonku. Czy on tak się nazywa?

–Właśnie – potwierdził Jim.

Odwrócił się. Robert nadal spał, więc Jim najpierw podszedł do klatki Carolinusa, który stał, trzymając się prętów. Kiedy Jim podszedł bliżej, zobaczył nikły uśmiech na ustach czarodzieja.

–Mam ci pomóc otworzyć klatkę?! – zawołał Hill.

–Nie, nie! – odkrzyknął Jim, czując się pewnie pod osłoną zaklęcia i wskazując na pręty.

Hill zaraz się zdziwi. – Zniknijcie!

Nic się nie stało. Zupełnie zapomniał, że nadal ma puste konto. Niechętnie odwrócił się do siedzącego na tronie Hilla.

–Hm, Wasza Wysokość... – powiedział.

Rozdział 32

–O co chodzi, szczęście? – zapytał Hill.

–Możesz sprawić, żeby ta klatka znikła? – spytał Jim.

–Mogę – odparł Hill. – Teraz ja mam szatę i tron.

Hill nie poruszył się, ale Jim zauważył kątem oka, że kraty zniknęły. Odwrócił się w samą porę, by złapać osuwającego się na ziemię Carolinusa. Jim miał już wcześniej do czynienia z nieprzytomnymi – zwykle byli niewiarygodnie ciężcy. Natomiast stary mag ważył tyle, co garść wyschniętych kości. Jim zaniósł odzianą w czerwoną szatę postać do koni. Dafydd spotkał go w połowie drogi i przejął od niego maga. Jim podszedł do kamienia, na którym spał Robert. Dziecko nie obudziło się, kiedy wziął je na rękę. Odwrócił się do Hilla.

–Jeszcze jedno – rzekł do nowego króla sękatych. – Jak mam cię wezwać, kiedy będziesz mi potrzebny?

–Po prostu zawołaj. Wołaj „Hill”. Moje nazwisko rodowe pochodzi od pagórka, który znajduje się nad nami. Przy innych okazjach zwracaj się do mnie „Wasza Wysokość”.

–Dobrze – odparł Jim. – Teraz odeślij nas...

Nie zdążył dokończyć. Już byli z powrotem w Malencontri.

Dziedziniec był zalany oślepiająco jasnym słonecznym blaskiem. Przechodzący tamtędy słudzy przystanęli, wytrzeszczyli oczy i zastygli na moment, zanim najpierw pojedynczo, a potem chórem zaczęli wydawać zwyczajowe powitalne wrzaski i okrzyki, jakimi uważali za stosowne obdarzyć swego pana, kiedy zjawiał się w magiczny sposób.

–Do mnie! – krzyknął Jim, mrugając w słońcu.

Stojący w pobliżu słudzy i zbrojni podbiegli do niego, a z przybudówek i drzwi wielkiej sali wypadli pędem inni. Wśród nich był kowal z młotem w ręku, a na twarzy miał wyraz irytacji z powodu przerwy w pracy i zdumienia wywołanego nie tylko niespodziewanym przybyciem podróżnych, ale i niezwykłym widokiem pana w zbroi i z mieczem, trzymającego na rękach dziecko, oraz Dafydda niosącego śpiącego Carolinusa.

–Hej! – krzyknął Jim. – Natychmiast sprowadźcie tu panią! Przygotujcie pokój dla maga! Zawołajcie Johna Stewarda! Wy czterej, przynieście nosze, żeby wnieść maga do komnaty na wieży! Stajenni, do mnie! Weźcie konie! Ruszać się, wszyscy!

Zaskoczeni, lecz wcale nie przestraszeni niespodziewanym wydarzeniem, już raczej podekscytowani tym wszystkim, słudzy rzucili się wykonać rozkazy. W mgnieniu oka konie wprowadzono do stajni i przyniesiono nosze. Położono na nich Carolinusa i wszyscy zmierzali do drzwi wielkiej sali, gdy wynurzył się z nich John Steward, podążający w tempie będącym kompromisem między biegiem a statecznym marszem, jaki jego zdaniem przystawał człowiekowi na jego stanowisku.

Po dziedzińcu niosły się krzyki i przekleństwa służby zachęcającej się wzajemnie do zdwojenia wysiłków.

–Milordzie! – wysapał majordomus, zatrzymując się przed Jimem i usiłując z godnością kroczyć tyłem, gdy wszyscy zmierzali do drzwi. – Czego milord sobie życzy? Co mam

zrobić?

–Zajmij się wszystkim! – warknął Jim. – Gdzie milady?

W tym momencie w drzwiach wielkiej sali pojawiła się Angie, a za nią piastunka Roberta i obie przebiegły kilka dzielących je od Jima kroków, zmuszając go do zatrzymania się. Angie uścisnęła Jima, ucałowała go, pocałowała rozbudzonego już i gaworzącego Roberta, wyjęła go z męzowskich ramion i pocałowała go jeszcze kilka razy. Robert zaśmiał się radośnie, zadowolony z tej nowej zabawy, i pacnął Angie w nos.

–Spokojnie – rzekł Jim. – Zamęczysz go.

Pospiesznie, nie wypuszczając Roberta z objęć, Angie ponownie pocałowała Jima na wypadek, gdyby czuł się pokrzywdzony.

–Mogę go teraz wziąć? – zapytała pokornie piastunka. – Nie! – odparła Angie, gwałtownie odwracając się od niej i wreszcie mogli ruszyć dalej.

John Steward już kierował wszystkim.

Kiedy przechodzili przez wielką salę, Jim pobieżnie zdał Angie relację z ostatnich wydarzeń.

–Później opowiem ci dokładniej.

–Świetnie. Kiedy będziesz mógł. A teraz zjedz coś. Noszowi za mną. Jim, wróć jak najszybciej. Nawiasem mówiąc, przybył kapłan, po którego posłałeś.

Odeszła w kierunku schodów na wieżę, a Jim przypomniał sobie, że rzeczywiście posłał po księdza, który miał wyegzorcyzmować kołatania. No cóż, teraz nie będzie już potrzebny.

Dafydd i Brian zasiedli przy stole. Już ustawiono na nim wino i wodę oraz różne przekąski, a służba wciąż donosiła nowe.

–Uff! – rzekł Brian, najwyraźniej usiłując wyrazić swoje zadowolenie. Zdołał przełknąć i powiedział wyraźnie: – James, sądzę, że sam mógłbym zjeść połowę tego, co stoi na stole. A potem spałbym przez tydzień.

–Żałuję, że to powiedziałeś – rzekł Jim, który właśnie też zdążył przełknąć i mógł odpowiedzieć. Zwrócił się do Johna Stewarda, który właśnie wszedł do wielkiej sali:– Jak długo mnie nie było? – zapytał.

–Nie było, milordzie? – Majordomus przez chwilę patrzył tępym wzrokiem, ale zaraz wziął się w garść. – Och, to szósty dzień, od kiedy wyruszyliście niesieni przez olbrzyma.

Jim kiwnął głową, znów mając pełne usta. Chyba powoli oswoił się z tym, że kiedy ma do czynienia z magią i naturalnymi, czas nie biegnie normalnie. Może to wyjaśniało, dlaczego wszyscy są tak głodni.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie zaczął jeść. I dopiero uwaga Briana uzmysłowiła mu, jak bardzo chce mu się spać. Nie spał od... od... Nie mógł sobie przypomnieć od kiedy. Oczywiście, przecież zdrzemnął się po tym, jak Edgar pchnął go nożem – jeśli można to nazwać snem.

Dafydd nic nie mówił. Jadł.

Gdy Angie zeszła, znalazła ich wszystkich śpiących przy stole. Niewiele zjedli, zanim zapadli w sen. Tylko Hob, przez cały czas siedzący na ramieniu Jima, spojrzał na nią bystrymi oczkami.

–Pomyślałem, że zostanę przy nim, milady – powiedział do Angie trochę niepewnym głosem. – Dobrze postąpiłem?

–Oczywiście, Hobbie – powiedziała. Obejrzała się i zawołała: – Służba do mnie!

Niemal natychmiast pojawił się tuzin sług, w tym May Heather i pięciu zbrojnych.

–Zanieście pana do słonecznego pokoju – rozkazała Angie. – A sir Briana do tej komnaty co zwykle. Nieważne, jeśli jest nie uprzątnięta. Posprzątajcie w niej, kiedy będzie spał, tylko róbcie to cicho. Chociaż pewnie i tak się nie obudzi. Znajdźcie inny pokój dla mistrza Hywela. May Heather, pobiegnij do Ellen Cinders, niech rozłoży czystą pościel na łóżkach.

Wszyscy wzięli się do roboty.

Angie usiadła przy stole, nalała pół kubka wina, spojrzała na nie z obrzydzeniem i odsunęła od siebie. Westchnęła.

–Mam ci wszystko opowiedzieć, milady? – zapytał Hob.

–Tak – powiedziała Angie. – Zrób to. No, już. Posłucham.

–No cóż – zaczął Hob. – Olbrzym podniósł nas i...

–Gdzie ja jestem? – zapytał Jim, obudzony przez świecące mu w oczy słońce.

–We własnym łóżku, w słonecznym pokoju – odparła sennie Angie, leżąca obok niego. – Jest czwarta rano albo coś kolo tego i słońce dopiero wzeszło. Śpij.

–Och – powiedział Jim. Zamknął oczy, poczuł, że Angie tuli się do niego, i ponownie zapadł w sen. – Która godzina? – zapytał, ponownie budząc się i siadając na łóżku.

Angie miała twarz wtuloną w poduszkę. Teraz wtuliła ją jeszcze bardziej.

–Piąta rano, może szósta – odparła niewyraźnie. – Za wcześnie. Śpij.

–Nie mogę – rzekł Jim. – Za dużo jest do zrobienia. Jednak mówił to do Angie, która znów zasnęła.

Szósta rano, chyba, pomyślał Jim. Było około południa, kiedy wrócili do zamku. Zaledwie osiemnaście godzin snu – albo trochę mniej. Usiedli w wielkiej sali i zaczęli jeść... tylko tyle pamiętał.

Jeżeli jedli godzinę – a zapewne krócej – to oznaczało, że spał tylko siedemnaście godzin. Hm, to w zupełności wyjaśniało, dlaczego już się zbudził. W głowie kłębiły mu się dziesiątki spraw, które wymagały załatwienia. Cicho wysliznął się z łóżka i poszukał ubrania.

Doszedł do wniosku, że skoro on nie śpi, to Brian i Dafydd pewnie też nie. W takim razie najbardziej prawdopodobnym miejscem ich pobytu będzie wielka sala, gdzie zapewne spożywają wczesne śniadanie. Na myśl o zimnym mięsiwie, winie lub piwie wywracało mu się w żołądku. Angie zwykle kazała kuchni przygotować coś na ciepło, na przykład jajecznicę, ale nie był to ten rodzaj śniadania, do jakich przyzwyczaili się tutejsi ludzie. Jeśli zejdzie, aby zjeść z przyjaciółmi, będzie musiał jeść to samo, co oni. Może więc najpierw uda mu się zjeść coś ciepłego.

Kawa była nieosiągalna, ale dzięki Carolinusowi mieli herbatę. Jim zrobił sobie kubek mocnej i zabrał ze sobą na dół, do wielkiej sali. Na schodach nikogo nie spotkał i nawet w gotowni było dziwnie pusto.

Oczywiście Brian i Dafydd siedzieli przy stole.

Zgodnie z oczekiwaniami na stół podano jadło oraz napoje i obaj zajadali z typowym dla nich apetytem. Przywitali się i Jim wybrał miejsce obok Briana, przed którym z jakiegoś powodu stały co większe półmiski. Był to dość dziwny zestaw, znacznie różniący się od tego, co zwykle jadano w Malencontri na śniadanie: warzywa, ocet winny, trochę czerstwy

chleb, ciasteczka i nawet nie pokrojone kawałki pieczonego mięsa.

–Co pijesz, Jim? – zapytał Brian, zerkając na mosiężny kubek Jima.

–Napój magów – odparł Jim.

–Spanie na podłodze w podróży – rzeki Brian – picie różnych świństw... Wybacz, Jamesie, ale czasem zapominam, jaką wysoką cenę płacicie wy, magowie, za waszą moc, podczas gdy nawet taki skromny rycerz jak ja może do woli cieszyć się dobrym winem i miękkim łóżkiem.

Jim, który właśnie gratulował sobie przezorności, dał się zaskoczyć i odparł zupełnie szczerze:

–Och, to wcale nie jest takie nieprzyjemne, Brianie. Czasem naprawdę czułem się nieswojo, słysząc takie uwagi. Usiadł za stołem, ale niemal natychmiast znów wstał.

–Wybaczcie – rzekł. – Idąc tu, zapomniałem zajrzeć do Carolinusa i sprawdzić, jak on się czuje.

–Dobrze – uspokoił go Brian. – Obaj z Dafyddem odwiedziliśmy go rano. Był przytomny, chociaż słaby. Uważa, iż kilka dni odpoczynku postawi go na nogi.

–Dobrze! – powiedział Jim. – Myślę jednak, że pójdę tam i zamienię z nim kilka słów, jeśli nie zasnął. Zaraz wrócę.

Kiedy otworzył drzwi komnaty, w której zazwyczaj umieszczali Carolinusa, spodziewał się, że zastanie tam kogoś ze służby. Tymczasem mag był sam, leżał i miał zamknięte oczy. Jim wszedł, zaniknął drzwi i podszedł do łóżka. Carolinus otworzył oczy.

–Ha!

Jego głos był słaby i ochrypy, lecz pobrzmiwała w nim ta sama wyzywająca nuta, jaką Jim zwykle słyszał w głosie Briana.

–Chciałem tylko chwilę z tobą porozmawiać – powiedział Jim.

–A więc?

–Zaraz siadam do śniadania z Brianem i Dafyddem. Wiesz, że jesteś już w Malencontri, prawda?

–Nie jestem ślepy ani głuchy – odparł Carolinus. – Pewnie, że wiem. Mów.

–No, jak się czujesz?

–Nigdy nie czułem się lepiej – odrzekł ostro Carolinus, lecz twarz miał bladą i ściągniętą jak nieboszczyk. – O tym chciałeś ze mną rozmawiać?

–Hm, nie – przyznał Jim. – Chodzi o to, co mam dalej robić z Brianem. Muszę w jakiś sposób oczyścić go zarzutów, jakie ciążyą na nim po tym, jak wziął udział w wyprawie na północne ziemie Cumberlanda. Pewnie będę musiał się udać na królewski dwór. Może Chandosowi uda się dogadać z Cumberlandem.

–Nieważne – odparł stary mag. Widząc, że Jim zachnął się, dodał pospiesznie: – Zgromadzenie Magów nie miesza się do dworskiej polityki. Ponieważ jednak ta sprawa sięgnęła aż po królestwo naturalnych, mamy do czynienia z precedensem. Cumberland nie będzie mógł temu zaprzeczyć.

Na chwilę zamknął oczy i zdawał się zasypiać, ale zaraz powiedział:

–Zajmie się tym KinetetE.

Jim już chciał wspomnieć o tym, że wyczerpało mu się magiczne konto, ale Carolinus najwyraźniej zasypiał, więc zamiast tego Jim podszedł do drzwi i cicho je otworzył.

–Co za bzdura... – mamrotał mag za jego plecami. – W razie problemów powiedz KinetetE... Głupi... biurokraci...

Po ostatnich słowach umilkł. Jego powieki zamknęły się, głowa opadła na poduszkę. Zachrapał.

Jim wszedł piętro wyżej do słonecznego pokoju, aby zrobić sobie drugi kubek herbaty. Starał się nie hałasować, lecz Angie już zaczęła się budzić. Cicho zamknął drzwi i ruszył w kierunku schodów.

W gotowalni nadal nie było nikogo i Jim zastanawiał się, czy czasem wszyscy nie poszli się przyglądać kolejnej bójce. Podeszedł do stołu.

–Dafyddie – powiedział, kiedy zaspokoił pierwszy głód. – Nie wiem, jak ci dziękować. Gdybyś nie przeprowadził nas przez zatopioną krainę do Liones, nigdy nie uwolnilibyśmy Roberta i Carolinusa.

Jak wszyscy ludzie w tych czasach Dafydd i Brian potrafili nie tylko pochłonąć niewiarygodne ilości jedzenia, ale także zrobić to bardzo szybko. Najwidoczniej obaj nasycili już pierwszy głód i siedzieli wygodnie oparci, popijając wino i pogryzając słodkie ciasteczka.

–Naprawdę nie ma o czym mówić – odparł Dafydd. – Widzisz, rad jestem, że miałem okazję odwiedzić moich krewnych mieszkających na dole, nie wspominając już o tym, iż zawsze chętnie pospieszę z pomocą Carolinusowi. Nie musisz mi dziękować, James.

–Ależ tak – rzekł Jim. – Chcę podziękować wam obu. Zamierzałem jednak powiedzieć, Dafyddie, że razem z Brianem musimy pojechać na królewski dwór w Londynie. Ponieważ tam teraz bawi król, a ja muszę załatwić tę sprawę z Cumberlandem. W każdym razie chciałem rzec, że nie będę cię już dłużej zatrzymywał. Wiem, że Danielle wróciła do domu, więc jeśli chcesz wrócić do rodziny, możesz to uczynić bez wahania.

Te słowa zabrzmiały niezupełnie tak, jak Jim chciał, więc poczuł zimny skurcz niepokoju, gdy Dafydd nie odpowiadał, a Brian nagle przestał żuć ciasteczko i znieruchomiał.

–Cóż, milordzie – powiedział cicho Dafydd z nieprzeniknioną miną i obojętnym tonem. Jim natychmiast się zorientował, że popełnił gafę. – Cieszy mnie twoja troska. Natychmiast wrócę do domu.

–Ja – rzekł posępnie Brian – uważam, że mistrz ap Hywel będzie nam bardzo potrzebny podczas tej podróży, Jamesie!

–Och, ja też tak sądzę! – dodał pospiesznie Jim. – Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, jak poradzimy sobie bez niego. I nic nie przychodzi mi do głowy. Pomimo to uznałem, że powinienem zaproponować... Odniosłem wrażenie, że domowe obowiązki...

–Ach – rzekł Dafydd. – Być może o tych obowiązkach wspominał ktoś z członków mojej rodziny? Na przykład chłopcy? Albo nawet pani ap Hywel, najlepsza z żon?

–Nie pamiętam dokładnie... Po prostu odniosłem takie wrażenie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

–Wiem, James. Wiesz co, uspokój się. Nie mam żadnych obowiązków, które uniemożliwiłyby mi podróż z tobą i Brianem.

–Świetnie! Wspaniale! – zawołał Jim. – A dziś rano zbudziłem się i przypomniałem sobie coś, o czym wam nie mówiłem. Pod moją nieobecność przyszedł list od księcia Edwarda, który prosi mnie o pomoc – i was także – ponieważ obawia się tej samej Agathy Falon, która zastawiła nas pułapkę tuż przed wejściem do królestwa sękatych. To dworskie

intrygi i nie zamierzałem was w to wplątać, chyba że naprawdę chcecie...

–Ależ Jamesie! – powiedział Brian. – Przecież powiedziałaś, że nas też prosi o pomoc. Tak więc honor nakazuje nam przyjść mu z pomocą. Nie mówię za Dafydd – dorzucił pospiesznie Brian. – Przynajmniej nie bardziej, niż mówiłbym w czyimkolwiek imieniu. Dafydd już wyraził swoje zdanie, a czymże jest dwór, aby wpływał na naszą decyzję w sprawach honoru?

–Cóż – odparł wymijająco Jim, pamiętając, że Brian nigdy nie wspominał o jego stanowisku wobec królewskich podatków. Już miał mu przypomnieć, że podczas tej wyprawy będą musieli uchronić Briana przed powieszeniem, łamaniem kołem i poćwiartowaniem pod zarzutem zdrady. Dopóki jednak Brian o tym nie wspominał, Jim w żaden sposób nie mógł poruszyć tego tematu. Jim spojrzał na Dafydd i stwierdził, że ten patrzy na niego. Łucznik nieznacznie wzruszył ramionami. Widocznie on też zdawał sobie z tego sprawę i nie mógł nic powiedzieć. Trudno. – Masz rację, Brianie – powiedział Jim. – Najważniejsze jest to, żeby pomóc księciu. To sprawa honoru.

–I za taką ją uznajemy! – rzekł Brian. – A zatem napijmy się za dalsze polowanie.

Wszyscy poszli za przykładem Briana i opróżnili kubki. Na szczęście Jim miał swój w połowie pusty. Zdołał powstrzymać atak kaszlu i kiedy odstawili kielichy, znów stanowili trójkę zgranych przyjaciół.

–Zjem jeszcze trochę – oznajmił Jim, wkładając do ust trochę najbliższej leżącego mięsa, okazując w ten sposób zadowolenie z rozwoju spraw.

Pozostali dwaj przez chwilę przyglądali mu się z satysfakcją a potem rozpoczęli dyskusję o polowaniu na różne rodzaje zwierzyny płowej. Jim co chwilę łowił uchem takie dziwne słowa, jak „roczniak” czy „dwunastak”. Najwyraźniej kontynuowali wcześniej rozpoczętą rozmowę.

–Bardzo słusznie, Jamesie – powiedział Brian, odrywając się na chwilę od tematu. – Obywać się bez jedzenia kilka dni, a nawet dłużej w razie potrzeby to jedno, ale gdy siadasz za zastawionym stołem, trzeba z tego korzystać! Nic nie mów, tylko jedz!

–Jem – mruknął Jim i spożył znacznie obfitszy posiłek, niż zamierzał. W ten sposób mógł milczeć i spokojnie rozmyślać.

Nie zdążył zapytać Carolinusa o magiczne konto. Teraz, kiedy mag został uratowany, niebawem będzie mógł się tym zająć. Jim był przekonany, że nikt nie zechce przeciwstawić się woli maga klasy AAA+, szczególnie że to on, Jim, odegrał główną rolę w uwolnieniu mistrza. Tak więc trzeba tylko trochę poczekać.

Dyskusja o łowach była przyjemnym tłem tych rozmyślań, a zerknąwszy na przyjaciół, Jim stwierdził, że zupełnie nie zwracają na niego uwagi. Już zaspokoił głód i odkrył, że teraz machinalnie wkłada zakąski do ust tylko dlatego, że przed nim stoją.

Zjadłszy więcej niż zwykle, usiadł wygodnie i spróbował pochwycić wątek rozmowy, przerywanej licznymi dywagacjami.

Powoli zdał sobie sprawę, że w zamku jest bardzo cicho. Wprawdzie dźwięki nie przenikały przez sklepienia poszczególnych kondygnacji, najwyżej niosły się klatką schodową w wieży, ale tutaj, na parterze zamku, zawsze było słycać gwar rozmów, nawoływania i krzątanie służby.

Teraz wokół panowała cisza. Nikt nie przyszedł z gotowalni, aby napełnić dzbany z

winem. Prawdę mówiąc, ten stojący przed Brianem był prawie pusty. Zazwyczaj służba przychodziła sprawdzać takie rzeczy częściej, niżby pragnął.

Dafydd i Brian patrzyli teraz w kierunku drzwi gotowalni. Jim też spojrzał i zobaczył wychodzącego z nich wysokiego mężczyznę w księżej szacie.

–Milordzie! – powiedział kapłan, gdy padło nań spojrzenie Jima. Mówiąc, szedł ku podium miarowym krokiem, a kiedy na nie wszedł, Jim wstał, żeby go powitać. Zdał sobie sprawę z tego, że gość mamrocze coś pod nosem po łacinie.

Ksiądz podchodził ze spuszczoną głową lecz kiedy znalazł się o krok od Jima, zatrzymał się i podniósł ją ukazując pociągłą poważną gładko wygoloną twarz mężczyzny w średnim wieku, po czym wypowiedział ostatnie słowa:

–Benedicat te, Omnipotens Deus, Domine Jacobe Ekertis. Zakończył te słowa, kreśląc w powietrzu znak krzyża. Jim dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co się stało. Został pobłogosławiony słowami: „Niechaj cię błogosławi Bóg Wszechmogący, panie Jamesie Eckercie”.

Został rozmyślnie pobłogosławiony, co dla maga oznaczało niemożność rzucania czarów przez następne dwadzieścia cztery godziny. Jim otworzył usta, aby wyjaśnić, jak śmieszne jest błogosławienie maga, który nie dysponuje żadną magią, ale natychmiast je zaniknął.

Wejściem dla służby, głównymi oraz bocznymi drzwiami wielkiej sali wpadli uzbrojeni w miecze ludzie w kolczugach i stalowych hełmach. Było ich około trzydziestu. Rzucili się na Jima, Briana i Dafydda. Całą hurmą opadli Jima, chwytając go za ramiona i wiążąc. Jego przyjaciele zostali obezwładnieni i związani w ten sam sposób.

Rozdział 33

–No, no – powiedział głos za plecami Jima, gdy już zaciśnięto mu więzy – baryton z akcentem londyńskich wyższych sfer. – Udało się, jak zawsze. Prędzej czy później szczury zawsze wpadną w pułapkę.

Właściciel głosu wyłonił się zza pleców Jima, przeciskając się między zbrojnymi, którzy rozstępowali się przed nim. Stał na końcu stołu, gdzie Jim, Brian i Dafydd mogli go widzieć.

Był trochę niższy niż większość jego ludzi, ale bardzo barczysty i wąski w biodrach. Nie nosił broni ani pancerza, koszulę miał rozpiętą pod szyją, w dłoni puchar z winem i szeroki uśmiech na trójkątnej opalonej twarzy. Ten uśmiech w pierwszej chwili wydawał się miły, ale Jim natychmiast go przejrzał. Usta mężczyzny były zbyt wąskie, a uśmiech rozciągał tylko ich kąciki.

Mężczyzna upił łyk wina i z wyraźną satysfakcją spojrzał na jeńców.

–Zdaje się, że jesteś dżentelmenem – wycedził zimno i spokojnie Brian. – Ale nie znam cię.

–Sir Simon Lockyear, do waszych usług. Jestem tu z rozkazu króla, niech go Bóg błogosławi.

–Znajduję cię irytującym – powiedział Brian. Sir Simon Lockyear się zaśmiał.

–Naprawdę? – rzekł. – I niewątpliwie z tego powodu chciałbyś mnie teraz wyzwać?

–Właśnie – powiedział Brian. – Jeśli będziesz łaskaw nakazać twoim ludziom, aby rozcięli więzy krępujące mnie, lorda Jamesa i łucznika, z przyjemnością niezwłocznie się z tobą spotkam na miecze lub jakąkolwiek broń raczysz wybrać.

Simon Lockyear ponownie się zaśmiał.

–Nie, nie – rzekł. – Byłoby to przyjemne, niewątpliwie. Jednak mam was przyprowadzić całych. Dlatego obawiam się, że musicie wszyscy pozostać związani. Mam królewski rozkaz aresztowania cię, sir Brianie, pod zarzutem zdrady z zamiarem wszczęcia niepokojów w królestwie, oraz dwa inne nakazy: jeden dla ciebie, sir Jamesie, za udzielanie schronienia rzezonemu sir Brianowi, oraz jeden dla walijskiego łuczniaka – który niewątpliwie jest tym trzecim z was – niejakiego Dafydd a Hywela, także oskarżonego o pomaganie zdrajcy sir Brianowi. – Przerwał i wyjął chusteczkę, której zapach Jim wyraźnie wyczuł nawet z odległości półtora metra. – Muszę rzec – powiedział – iż nie jesteście zbyt wybredni w doborze tych, z którymi siadacie do stołu. Łuczniak?

Brian nie zwrócił uwagi na jego słowa.

–Obowiązek to żadna wymówka, sir Simonie – powiedział.

–Może. Może. Z drugiej strony to żaden zysk i honor krzyżować broń ze zdrajcą.

–Niech cię szlag! – wybuchnął Brian. – Nie jestem i nigdy nie byłem zdrajcą! Co to za bzdury!

Sir Simon zdjął grube skórzane rękawice, odsłaniając długie i delikatne palce, po czym spojrzął przez stół na Briana.

–Wyjaśnisz to swoim sędziom, kiedy znajdziesz się w Tower, sir Brianie – rzekł. – Ja mam cię tam tylko doprowadzić i zrobię to. – Nagle obrócił się stojącego obok zbrojnego. – Dlaczego jeszcze nie przyprowadziliście żony sir Jamesa, Eliasie? – warknął.

–Mamy jakąś kobietę, sir Simonie, ale nie jesteśmy pewni, czy to ta dama.

–Rany boskie! Tępaki! Nie potraficie odróżnić damy od służącej! Popatrz na jej suknię i czy na nią pasuje! Wysoka kobieta, czarnowłosa. Poznałbym ją w mgnieniu oka. Rozmawiałem już z nią podczas naszej pierwszej wyprawy do tego zamku. Rozpoznam ją i teraz. Sprowadźcie ją tu, mówię! Na pewno aż się trzęsie, żeby zobaczyć drogiego małżonka. – Ostatnie słowa znów wypowiedział tonem towarzyskiej pogawędki i usiadł na jednym z krzeseł. – Zaczekam tutaj. – Dolał sobie wina do kielicha i zwrócił się do Jima, Briana i Dafydd: – Siadajcie, moi więźniowie. Powiedzmy, że wszyscy trzej jesteście moimi gośćmi.

Briana, Dafydd a i Jima popchnięto na krzesła. Elias rzucił rozkaz czterem zbrojnym, którzy znikli w drzwiach gotowni, podążając na wieżę. Elias wrócił do stołu.

–Czy życzysz sobie coś jeszcze, sir Simonie? – zapytał.

–Nie w tej chwili – rzekł sir Simon. – Idź za swoimi ludźmi i przypilnuj, żeby wykonali rozkaz. Nie chcę tracić czasu przez opojów i dziwkarzy.

Elias wyszedł, a Simon sięgnął po jedno z ciasteczek. Podniósł je i ugryzł.

–Ach – powiedział spokojnie i w zadumie, popijając je winem. – Gratuluję wyśmienitej kuchni, sir Jamesie. Nie wzgardziłbym taką w moim domu.

–Kto cię tu przysłał? – zapytał Jim.

–Przysłał? – sir Simon zjadł jeszcze jedno ciasteczko zanim odpowiedział. – Wykonuję rozkazy mojego pana, earla Cumberlanda, więc pewnie można powiedzieć, że to on. Chociaż rozkazy otrzymałem od jego rycerza, sir Adama Turnera. Szukałem was już od jakiegoś czasu, w nocy zająłem zamek i czekałem, aż znajdziecie się w odpowiednim miejscu... Ach! Dobra i szybka robota, Eliasie!

Obrócił się, odsuwając krzesło i wstając. Jego ludzie właśnie wprowadzili Angie. Miała ręce związane na plecach, lecz nie rzemieniem, tylko ukręconym z jakiejś szmaty powróstem. Była zupełnie opanowana i popatrzyła na Jima, jakby to ona chciała go uspokoić.

–Dzień dobry, milady – rzekł sir Simon. Wysunął prawą nogę i skłonił się dwornie, znów uśmiechając się kącikami cienkich warg. – Żałuję, iż spotykamy się w takich okolicznościach. Jednak twój małżonek oraz ci dwaj jego przyjaciele, mają być zabrani do Londynu, gdzie odpowiedzą za zdradę, a ustne rozkazy nakazują mi zabrać cię tam także.

Angie spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem i nie odezwała się.

Znów zwrócił się do swoich ludzi:

–Przygotować się do drogi! – rzekł. – Milady może zabrać pokojówkę i trochę rzeczy. Musimy dołożyć wszelkich starań. Więźniowie często umierają w drodze i nigdy nie docierają na miejsce. – Przerwał i uśmiechnął się do Jima. – Oczywiście, w ostatecznym rezultacie to często oszczędza sporo czasu i trudu, ale osobiście zawsze uważałem to za niedopatrzenie, szczególnie kiedy powinno się uzyskać od więźnia informacje. Eliasie, pošlij kogoś, niech sprawdzi, co jest w stajniach.

Elias wyszedł, a za nim jeden z jego ludzi. Kątem oka Jim dostrzegł, jak inny zbrojny podnosi metalowy kubek stojący na końcu stołu i wkłada sobie do worka na plecach. Nagle zauważył, że wszyscy napastnicy mają takie worki – mocno wypchane. Nie było czasu do stracenia.

–Hobie! – zawołał w kierunku kominka. – Powiedz Carolinusowi! Skrzat nie odpowiedział.

–Wzywasz diabła w kominie, żeby ci pomógł, sir Jamesie? – zapytał sir Simon. – Powinieneś pamiętać, że dobry ojciec pobłogosławił cię i pozbawił magii. Zapraszam ciebie i sir Briana, żebyście posiedzieli jeszcze chwilę spokojnie, zanim moi ludzie przygotują wszystko do powrotnej drogi do Londynu. To nie potrwa długo. Milady zechce usiąść?

Angie już to zrobiła.

–Coś mi się przypomniało – rzekł sir Simon. – Milady, czy masz jakąś ulubioną pokojową, którą chciałabyś zabrać ze sobą? Każę ją wezwać, żebyś mogła wydać jej polecenia, co spakować na drogę. Jestem kawalerem, więc nie mam pojęcia, czego dama może potrzebować w podróży. Po kogo mam posłać?

–Sprowadź tu Ennę – powiedziała chłodnym tonem Angie. – Będzie wiedziała, co zapakować.

–Zrób to – rozkazał sir Simon jednemu ze zbrojnych, który natychmiast wyszedł bocznymi drzwiami. – Widzicie – rzekł sir Simon – jak wszystko gładko idzie, kiedy wszyscy jesteście zgodni? – Znów nalał sobie wina.

–Niech mnie licho, jeśli usiadłbym z tobą do stołu, gdybym nie był tu wcześniej – rzekł Brian.

–Sądzę, że sir Brian jeszcze nie rozumie sytuacji. Może powinniśmy was wszystkich zakuć w kajdany, żeby oszczędzić czasu.

–Kajdany!

Brian zerwał się na równe nogi. Najwidoczniej szarpał więzy na przegubach i albo rozerwał je, albo zwilżył własną krwią i rozciągnął rzemienie. W każdym razie uwolnił ręce i

rzucił się na sir Simona. Pięciu zbrojnych ledwie zdołało go powstrzymać.

–Co za dzień! – rzekł sir Simon, kręcąc głową. Nawet nie podniósł się z krzesła. – Obawiam się, że gniew z powodu aresztowania odebrał rozum sir Brianowi. Zakućcie go pierwszego, a potem pozostałych – nawet milady, kiedy wsiądzie na konia, a także towarzyszącą jej pokojową. Nie możemy tracić więcej czasu. Przed nami cały dzień. Ruszać się!

Ostatnie słowo padło jak trzaśnięcie bicia. Dwaj zbrojni przemknęli przez wielką salę i wypadli na dziedziniec.

Jim zrozumiał, że ani on, ani Angie, Dafydd czy Brian nie mają już czasu. Hob i Carolinus nie mogą im pomóc. Zastanawiał się, co sir Simon zrobił z załogą Malencontri oraz ze służbą. Aczkolwiek tuzin zbrojnych nie powstrzymałoby tego oddziału napastników. Nawet kiedy część z nich rozesłano z różnymi rozkazami, w wielkiej sali pozostało ich około trzydziestu, a wszyscy byli uzbrojeni i nosili lekkie zbroje zwykłych średniowiecznych żołnierzy.

Powoli ogarniała go rozpacz. Zazwyczaj w takich opalach umysł podsuwał mu jakieś wyjście z sytuacji. Jeszcze nigdy nie brakowało mu magicznych umiejętności tak jak teraz, w sali własnego zamku.

Brian i Dafydd też byli związani i równie bezradni. Nikt nie mógł im pomóc...

Chyba że... chwileczkę!

Jeszcze mógł coś zrobić. Błogosławieństwo pozbawiało mocy tylko ludzi, nie działało na ograniczone, lecz wrodzone zdolności naturalnych.

Zaledwie wczoraj w sali tronowej króla sękatych potrafił wykorzystać moc pozwalającą mu zmieniać się w smoka, chociaż nie dysponował już magiczną siłą nadzorowaną przez Wydział Kontroli. Teraz przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie nadal posiada tę moc – podobną do zdolności naturalnych.

Zastanawiał się, kiedy powinien to zrobić. Jeśli teraz przemieni się w smoka, krępujące go więzy trzasną jak nitki. Na początku, kiedy przybierał smoczą postać, stracił sporo ubrań, zanim nauczył się kontrolować ten proces. W każdym razie będzie wolny...

Nie – ta myśl była kusząca, ale niepraktyczna. Może śmiertelnie wystraszyłby zbrojnych, chociaż nie rycerza, lecz gdyby tylu ludzi rzuciło się na niego w zamkniętej przestrzeni, gdzie nie zdołałby się unieść w powietrze, na pewno pokonaliby go.

Zmieniając postać, nie uratuje Angie i pozostałych. Powinien uciec i wrócić z większymi siłami, żeby pokonać napastników. Potrzebny mu był plan, aby wykorzystać przewagę wywołaną nieoczekiwaną przemianą w smoka – po tym jak pozornie pozbawiono go magicznych zdolności.

Na pewno zdołałby namówić młode smoki z Cliffsides, aby przyleciały tu z nim, kiedy oddział sir Simona opuści z więźniami zamek i znajdzie się na otwartej przestrzeni. Wtedy może coś uda się zrobić. Problem polegał na tym, że młode smoki będą pozorowały atak, ale nie podejmą walki, a nie chciał myśleć o tym, co powiedzą ich rodzice, kiedy dowiedzą się, że z rozmysłem wplątał ich dzieci w walkę z Jerzymi – czego ostatnio unikały nawet dorosłe smoki.

Gorączkowo szukał rozwiązania, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. No cóż, przynajmniej ucieknie i będzie ich śledził z powietrza. Może potem coś wymyśli.

Mógł poszukać pomocy w innych miejscach – na przykład zebrać tych nielicznych zbrojnych Briana. Geronde miała sporą drużynę w zamku Malvern, a w lasach był Giles o' the Wold i jego ludzie. Tyle że trudno będzie dotrzeć do wszystkich i zebrać na czas – bo nie mógł na dłużej spuścić z oczu sir Simona i jego oddział, żeby mu nie uciekli. Ponadto postąpiłby nieuczciwie, prosząc ich, by wystąpili przeciwko ludziom króla i przelewali krew. Byłoby lepiej, gdyby zdołał znaleźć sposób, żeby przerazić ich tak, by zostawili więźniów.

Osobnym problemem był sir Simon. Jim dostatecznie długo przebywał w czternastym wieku, aby wiedzieć, że ten człowiek – niezależnie od ułomności jego charakteru – nie wpadnie w panikę i nie ucieknie.

Dość już tych rozważań. Odwrócił się i spojrzał na siedzącą zaledwie dwa metry dalej Angie. Powoli i z rozmysłem kilkakrotnie uniósł i opuścił brwi. Lekko skinęła głową – wiedział, że rozumiała. Spojrzał na drzwi, oceniając odległość. Dwa długie susy, jeśli trochę pomoże sobie skrzydłami, powinny wystarczyć. Już miał się zmienić w smoka, kiedy powstrzymał go przeraźliwy wrzask.

Wydobywał się z wielu ludzkich gardeł. W następnej chwili drzwi wielkiej sali rozwarły się z trzaskiem i do środka wpadł tłum ludzi z dziedzińca. Jim znał ich wszystkich, ale dopiero po chwili uwierzył własnym oczom. Była tam służba z całego zamku, prowadzona przez dwunastoosobową załogę Malencontri. Zbrojni byli brudni – widocznie pojmano ich i zamknięto w lochu będącym zwykłą jamą w ziemi, ale wszyscy trzymali w dłoniach miecze, a służba uzbroiła się w najróżniejsze niebezpieczne narzędzia.

Wyglądali jak horda dzikusów z epoki kamienia łupanego. Zarośnięty kowal dzierżył w potężnych łapskach dwa młoty i błyskał resztkami zębów. May Heather niosła na ramieniu wielki topór – jej ulubioną broń. Kiedyś próbowała zaatakować nim Jima, nie poznając go w jego smoczej postaci. Teraz była o kilka lat starsza i już nie ugięła się pod jego ciężarem. Wszyscy pozostali też byli uzbrojeni. Panna Plyseth wymachiwała długim widelcem do opiekania mięsa, mającym dwa nieprzyjemnie wyglądające zęby, które bez trudu mogły przejść przez ogniwa kolczugi i wbić się w ciało.

Jim wytrzeszczył oczy. W pierwszej chwili poczuł przyływ nadziei, ale zaraz ogarnęło go przerażenie. To było czyste samobójstwo. Nigdy nie przypuszczał, że mogą podjąć równie niewiarygodną szaloną próbę. Chociaż było ich dwukrotnie więcej niż ludzi sir Simona, nie mieli szans przeciwko dobrze uzbrojonym i wyszkolonym żołnierzom zaprawionym w walce. Może tyle nasłuchali się opowieści o przygodach i bohaterskich uczynkach Jima, że również zapragnęli zostać bohaterami.

–Stać! – wrzasnął Jim, usiłując przekrzyczeć harmider. – Natychmiast przestańcie! Stać, już! Słyszycie? Powiedziałem STAĆ!

Zgiełk przycichł jak przetaczający się grzmot, aż w końcu zupełnie zgasł. Zatrzymali się i stali nieruchomo, z odległości metra gniewnie spoglądając na zbrojnych sir Simona, którzy odpowiadali równie gniewnymi spojrzeniami, nie mając nic przeciwko rozsiekaniu paru cywilów i wiedząc, że mogą to zrobić.

W głębokiej ciszy drzwi do wielkiej sali ponownie rozwarły się z trzaskiem i do środka wszedł Secoh – karłowaty smok.

Secoh razem z Jimem i jego towarzyszami brał udział w walce z Ciemnymi Mocami pod wieżą Loathly. Od tej pory czasem odwiedzał zamek Malencontri, jeśli pozwalały mu na to

obowiązki gawędziarza, przywódcy i idola młodych smoków z Cliffsides.

Teraz, kołysząc się jak kaczką, przeszedł między długimi stołami wielkiej sali. Smoki potrafią maszerować całkiem sprawnie, ale zupełnie bez gracji. Zbrojni sir Simona spoglądali na niego w osłupieniu. Z pewnością nigdy nie wyobrażali sobie, że zobaczą chodzącego smoka. Może heraldycznego, na czyjejs tarczy lub na obrazie przedstawiającym jego śmierć z ręki świętego Jerzego, ewentualnie smoka lecącego wysoko w przestworzach – ale nigdy kolebiącego się na krótkich nóżkach.

Pospiesznie schodzili mu z drogi. Karłowate smoki są znacznie mniejsze od normalnych, jak te z Cliffsides, lecz w zamkowej sali Secoh wydawał się dostatecznie duży, żeby schodzić mu z drogi. Służba już zrobiła mu przejście, a teraz zbrojni sir Simona również rozstąpili się przed nim jak Morze Czerwone przed Izraelitami.

–Milordzie! – zawołał Secoh głębokim smoczym głosem, stając przed siedzącym za stołem Jimem.

Ponieważ Jim znajdował się na podium, a Secoh przysiadł na podłodze sali, ich głowy znajdowały się mniej więcej na tej samej wysokości. W typowo smoczy sposób Secoh zignorował wszystkich pozostałych.

–Do Cliffsides dotarła wieść, że wróciłeś, więc niezwłocznie przybyłem. Milordzie, czy możesz mi powiedzieć, czy ostatnio widziałeś tu młodzieńca z jaskiń Cliffsides? Nazywa się Garnacka, ale zazwyczaj mówią na niego Acka.

–Tak – odparł Jim. – Kilka dni temu spotkałem go, latając. Kazałem mu wracać do Cliffsides.

Secoh z ulgą wydmuchnął chmurkę dymu.

–Dziękuję, milordzie! – rzekł. – Czuję się znacznie lepiej. Czy bardzo cię niepokoił? Wyraźnie mówiłem im wszystkim, że nie wolno im cię niepokoić. Jednak to bardzo ruchliwy smok, a Garaga – jego matka – kazała mi się dowiedzieć, czy czasem cię nie niepokoił. Oczywiście one wszystkie chcą cię zobaczyć.

–Nie sprawił mi kłopotu – odparł Jim.

Było coś zabawnego w tym, że ze związanymi rękami prowadzi uprzejmą rozmowę z Secohem. Mówił, co mu ślina przyniosła na język, jednocześnie gorączkowo zastanawiając się, jak wykorzystać tę niespodziewaną wizytę. W tym momencie Secoh był nie tyle potencjalnym pomocnikiem, co kulą u nogi. Zagradał drogę, którą Jim zamierzał opuścić wielką salę. Najwidoczniej Secoh, przyzwyczajony do tego, że Jim jest panem zamku, nawet przez chwilę nie wyobrażał sobie, że teraz może być inaczej.

–Nie, absolutnie żadnego kłopotu – rzekł Jim. – Można by rzec, iż nawet okazał się przydatny.

–Przydatny? – W głosie Secoha pojawił się cień zazdrości. Wyciągnął szyję i spojrzał badawczo na Jima.

–No wiesz, na tyle, na ile może być ktoś tak młody – dodał Jim. – Ty, na przykład, byłbyś znacznie użyteczniejszy, gdybyś tam był.

–Dlaczego mnie nie wezwałś?

–Przykro mi – rzekł Jim. – Lecz on po prostu dostrzegł coś na ziemi i powiedział mi o tym, a ja musiałem natychmiast wracać do zamku. Nie miałem czasu i nie było warto ciebie wzywać.

–Och – powiedział Secoh. – No... rozumiem, milordzie. Rozumiem. Wiesz, że gdybyś kiedyś mnie potrzebował, powiedz tylko słowo – chociaż może będziesz musiał użyć magii, jeśli zechcesz, abym zjawiał się natychmiast.

–Wiem o tym, Secohu. W takim razie tak się złożyło, że Acka był tam i wspomniał, że widział tych ludzi. Jednak – jak już powiedziałem – w prawdziwej potrzebie natychmiast wezwałbym ciebie.

–Cóż, dziękuję, milordzie – rzekł Secoh, skromnie spuszcżając wzrok. – Miło, że tak mówisz.

Jim nie wiedział, jak podtrzymać rozmowę z Secohem. Wszyscy obecni, zarówno miejscowi, jak przybyli, słuchali jej jak urzeczeni. Na szczęście okazało się, że Secoh był gotowy w razie potrzeby sam poprowadzić rozmowę.

–Skoro już tu jestem – rzekł. – Czy mógłbym zobaczyć Carolinusa? Słyszeliśmy w Cliffsie, że przeżył naprawdę ciężkie chwile, ponieważ był więźniem jakichś gnomów...

–Nie gnomów – przerwał mu gwałtownie Jim, usiłując zmienić temat. – Sękatych...

–No cóż, pomyślałem, że wpadnę na chwilę i przekażę mu wyrazy współczucia wszystkich smoków z Cliffsie, jak również własne. Wszyscy kochamy Carolinusa. Ponadto można powiedzieć, że to nasz mag, bo mieszka niedaleko, w Dźwięczącej Wodzie. Powiedziałbym tylko „cześć”, nie męczyłbym go, ani nic. Jest na górze? Prawda? Wyjdę na zewnątrz, wlecę na wieżę i zejść do niego.

–Nie, nie – zaprzeczył Jim. – Nie ma go na górze, a ponadto teraz jest nie najlepsza chwila na wizyty. Powiem mu...

Lecz było już za późno. Sir Simon już rozmawiał z kilkoma swoimi zbrojnymi.

–Wy sześciu – rozkazał. – Na wieżę. Przeszukać ją od dołu do góry. Ojciec – zwrócił się do księdza – pójdiesz z nimi. Jeśli mag jest tam na górze, chcę, abyś niezwłocznie go pobłogosławił, nawet jeśli będzie nieprzytomny. Nie chcemy ryzykować z magiem tej rangi.

Ksiądz i sześciu zbrojnych, najwyraźniej zadowolony z możliwości oddalenia się, dosłownie wybiegli z sali.

–Do licha! – powiedział Jim i już miał się zamienić w smoka i podjąć rozpaczliwą próbę dotarcia do Carolinusa, zanim zrobią to zbrojni i ksiądz, nawet gdyby po drodze musiał przewrócić Secoha, kiedy poczuł, że więzy na jego rękach puszcżają. Widząc miny Briana i Angie, zrozumiał, że ich pęta też opadły. Dafydd zachował kamienny wyraz twarzy, lecz Jim był pewny, że i on ma wolne ręce.

–Siedź spokojnie, James! – warknął znajomy, chociaż słaby głos i Jim ujrzał na końcu podium lekko chwiejącego się Carolinusa. Z jednej strony maga podtrzymywał earl Cumberland, a z drugiej równie znajoma postać w czarnych szatach kapłana, z wielkim wysadzonym klejnotami krzyżem na piersi i pierścieniem z ogromnym ametystem na grubym paluchu.

–Muszę usiąść – powiedział słabo Carolinus i obaj mężczyźni pomogli mu usadowić się na jednym z wyściełanych foteli przy honorowym stole. Mag z westchnieniem ulgi opadł na fotel. – Simonie, natychmiast sprowadź tu tego kapłana!

Simon Lockyear spojrział na niego tępym wzrokiem.

–Słyszałeś?! Niech cię diabli! – ryknął Cumberland. – Sprowadź tu tego księdza!

–Tak, milordzie – powiedział sir Simon, drgnąwszy, jak człowiek wyrwany z transu. –

Wybacz, milordzie, ale nie rozumiem...

–I nie musisz! – warknął Cumberland. – Czy kiedykolwiek miałem w zwyczaju zezwalać na kwestionowanie moich rozkazów, mospanie?

–Oczywiście, że nie – zapewnił pospiesznie sir Simon. – Herbercie, ty i dwóch twoich najszybszych ludzi, biegnijcie za nimi. Znajdźcie księdza i sprowadźcie go tu tak szybko, jak zdołacie go przywlec. Nawet gdyby trochę się przy tym poobijał!

Potężna postać z krzyżem na piersi złowieszczo odchrząknęła.

–Po namyśle – szybko dorzucił sir Simon – obchodźcie się z nim delikatnie, nie róbcie mu krzywdy, ale przyprowadźcie go tu jak najszybciej! Mój pan go wzywa!

Wszyscy czekali. Napięcie w wielkiej sali jakby nieco zelżało. Królewscy zbrojni nadal stali w szyku, gotowi do walki, a drużyna Malencontri z zawodowej dumy czuła się zobowiązana robić to samo, ale zamkowej służby nie krępowały takie surowe zasady. Powoli zaczęli posuwać się naprzód, opuszczając uzbrojone w prowizoryczny oręż ręce, chociaż nadal trzymali go w pogotowiu.

Między dwoma ugrupowaniami rozpoczęły się ciche rozmowy. Królewscy zbrojni, stojąc plecami do podium, chcieli wiedzieć, co się tam dzieje, a mieszkańcy Malencontri – aczkolwiek wciąż gotowi siekać, tłuc lub dźgać ich sztucami – chętnie im to wyjaśnili.

Jim porzucił myśl o natychmiastowej zmianie w smoka. Zawsze zdąży to zrobić, a ponadto Secoh nadal blokował mu drogę. Co więcej, Jim rozpoznał postać z krzyżem na piersi. Był to Richard de Bisby, biskup Bath i Wells, z którym Jim i Angie zawarli znajomość podczas ostatniego bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset. Richard de Bisby z pewnością był po stronie Carolinusa, a więc najprawdopodobniej również i Jima. A Richard de Bisby nie lękał się człowieka, zwierzęcia ni naturalnego – do których dobry biskup zaliczał również diabły, demony oraz wszystkie inne nieziemskie stwory – w swoim powołaniu duchowego pasterza. Dobry biskup miał wojowniczą naturę, która tęskniła do dawnych dni. Chciałby na przykład jak biskup Odo trzy wieki wcześniej walczyć podczas inwazji Williama na Anglię i dokonać żywota podczas krucjaty do Ziemi Świętej.

Duchowne powołanie bynajmniej nie hamowało bojowych zapędów Oda – chociaż przezornie zawsze postugiwał się maczugą aby nie plamić się grzechem rozlewu ludzkiej krwi. Teraz, w czternastym wieku, nie było miejsca dla takiego wojującego biskupa, lecz w świecie rojącym się od diabłów, demonów i tym podobnych piekielnych bestii Richard de Bisby miał nadzieję napotkać kiedyś jedną z nich i osobiście się z nią rozprawić.

To biskup postarał się, aby Jim i Angie zostali prawnymi opiekunami Roberta Falona. Dokonał tego, udając się na królewski dwór w Londynie i skutecznie wmawiając królowi, że inne rozwiązanie tej sprawy byłoby nie do pomyślenia. Król, w którym płynęła równie dobra normańska krew jak w żyłach biskupa, kiedyś byłby równie skory do sporu jak on. Kiedyś, być może dwadzieścia lub trzydzieści lat wcześniej. Jednak podczas gdy de Bisby był obecnie w kwiecie wieku – ściśle mówiąc, po czterdziestce – czas odcisnął nieubłagane piętno na koronowanej głowie i król niczego nie pragnął tak bardzo jak spokoju, który pozwoliliby mu na zaspokajanie zachcianek.

Król nie mógł uciec przed de Bisbym ani go przegadać. Najprościej było ustąpić mu. Ponadto sir James Eckert cieszył się znaczną popularnością, szczególnie po bitwie pod wieżą Loathly, którą wciąż opiewano.

W tej chwili jednak biskup nie zwracał uwagi na Jima i Angie, tylko spoglądał na Carolinusa, który zasnął w fotelu. Byli starymi przyjaciółmi, jak sądził Jim. Biskup zawsze odnosił się z szacunkiem do znacznie starszego – nikt nie wiedział, o ile – czarodzieja.

W tym momencie zbrojni sir Simona wrócili przez gotowalnię, prowadząc ze sobą księdza.

Rozdział 34

Nieszczęsny kapłan, poganiany przez otaczających go zbrojnych, widząc tylko to, co zdołał spostrzec spoza ich pleców, najpierw zauważył czerwoną szatę Carolinusa. Odruchowo zaczął mamrotać po łacinie słowa błogosławieństwa. Przeszedł jeszcze cztery kroki, potknął się o skraj podium i upadł, po czym wstał tylko po to, by metr dalej zobaczyć wysadzany klejnotami krzyż i pierścień z ametystem.

Wytrzeszczył oczy, zbladł, pospiesznie zrobił jeszcze dwa kroki i przyklęknął przed biskupem, wyciągając ręce do dłoni duchownego.

De Bisby odruchowo podał dłoń kapłanowi, jednocześnie mierząc go gniewnym spojrzeniem. Ksiądz z szacunkiem ucałował pierścień, puścił dłoń i wstał.

–Milordzie biskupie... – zaczął.

–Kim jesteś? – warknął de Bisby. – Skąd przybyłeś? Kto jest twoim biskupem?

Ksiądz zbladł jeszcze bardziej.

–Biskup Londynu, milordzie – rzekł, wbijając wzrok w podłogę.

–Gdzież zatem jest list episkopatu przysyłającego cię do mojej diecezji?

Kapłan miał nieszczęśliwą minę.

–Milordzie – wyjąkał. – Widzisz, milordzie...

–Nie masz go?

–Nie, milordzie.

De Bisby jakby urósł o kilka centymetrów i spurpurowiał z wściekłości.

–Czyżbyś nie wiedział, nieszczęsny kapłanie, iż wedle prawa kanonicznego biskup jest papieżem swej diecezji?

–Tak, milordzie – powiedział ksiądz. Może nie potrafił dokładnie podać rozdziału i wersu tego cytatu – jeśli takowy zapisano w prawie kanonicznym – lecz ta zasada była mu doskonale znana.

–A zatem jesteś tu bezprawnie! Zanim ponownie się tu zjawisz, wrócisz do Londynu po odpowiednie upoważnienie, a teraz wyznaczam ci następującą karę: jeśli masz wierzchowca, nie pojedziesz na nim, jeśli masz pieniądze, nie użyjesz ich. Wrócisz do rezydencji twojego biskupa pieszo, żebrząc po drodze o jedło i schronienie. Słyszysz?

–Tak, milordzie – odparł ksiądz ze spuszczoną głową.

–To na co czekasz?

Kapłan znów przyklęknął, wstał, odwrócił się, szedł z podium, szerokim łukiem minął Secoha, po czym powoli przeszedł przez salę i drzwi na zalany słońcem dziedziniec.

Jim zauważył, że Angie się poruszyła. Obrócił głowę i zobaczył, że podniosła ręce, pokazując mu, że ma je wolne. Jim pokazał jej swoje i zobaczył, że uśmiech nagle znikł z jej warg. Spoglądała z przerażeniem na jego przeguby. On też na nie zerknął i ze zdziwieniem stwierdził, że były tak samo zakrwawione jak nadgarstki Briana. Hm, kiedy to zrobił? Nie pamiętał, żeby szarpał więzy.

–Ty! – powiedział nagle Carolinus zaskakująco silnym głosem. Jim drgnął i odwrócił głowę, ale Carolinus nie patrzył na niego, tylko na Secoha.

–Skąd przybyłeś? Z Cliffside?

–Tak, magu – odparł Secoh. – Gdybym mógł zostać...

–Cliffside! – powiedział Carolinus, wskazując palcem na smoka. Secoh znikł. – A co do pozostałych... – zaczął Carolinus, omiatając wzrokiem służbę i zbrojnych.

Ci jednak już umykali w kierunku najbliższych drzwi. Nie minęły dwie minuty, a wszyscy opuścili wielką salę.

Królewscy zbrojni pozostali na swoich miejscach, ale też wyraźnie pobledli, szczególnie ci, którzy widzieli stojącego na podium Carolinusa i jego palec skierowany na nich tak samo jak na służbę. Najwyraźniej zastanawiali się, gdzie też podział się ten smok? Czyżby mag posłał go do piekła? I czy ich też tam pośle, nie dając im nawet czasu na spowiedź?

–Wy i rycerz – na podwórze! – rzekł Carolinus.

Sir Simon Lockyear i jego zbrojni także zniknęli. Natomiast na podium obok fotela, na który osunął się Carolinus, pojawiła się KinetetE.

Jim, jego przyjaciele, earl, biskup oraz dwoje znamienitych magów pozostali sami w wielkiej sali, która nagle wydała się Jimowi bardzo rozległa i bardzo pusta.

Słowa KinetetE przerwały mu te rozważania.

–Carolinusie! – warknęła. – Co ty tu robisz? Miałeś leżeć. Dlaczego nie jesteś w łóżku?

–Nie twój interes! – rzekł Carolinus, lecz trochę załamał mu się głos i ostatnie słowo zabrzmiało piskliwie.

–Nie możesz rozstawiać po kątach całego Zgromadzenia, mówiąc, że to ty jesteś poszkodowany i sam załatwisz tę sprawę, nawet jeśli to się komuś nie podoba, a potem wykończyć się przy tym. To byłoby zachowanie niegodne nawet maga klasy A!

Odpowiedziało jej tylko chrapliwe prychnięcie. Spojrzała na biskupa, a on na nią.

–Magu – powiedział.

–Milordzie biskupie – powiedziała KinetetE.

Wymienili chłodne ukłony pełne wzajemnego szacunku. Z ust Carolinusa wydobyło się kolejne chrapnięcie. Nagle Jim znalazł się z KinetetE i Carolinusem w komnacie tak niewielkiej, że ledwie ich mieściła, i ogromnie podobnej do wnętrza bardzo dużego jajka. Ściany miała płaskie, lecz jasno białe i nie było w niej żadnych okien i mebli poza fotelem, na którym pólleżał Carolinus.

–W porządku, Carolinusie – powiedziała KinetetE. – Teraz możesz się ocknąć. Doskonale cię rozumiem.

Carolinus otworzył oczy i spojrzał na KinetetE.

–Kin – powiedział słabym głosem. – Daj mi siłę!

–Ty nie potrzebujesz siły – odparła KinetetE. – Potrzebne ci łóżko. Jeśli teraz ci pomogę, jeszcze bardziej się nadwerężysz. Och, w porządku, jeśli musisz!

Jim, który już od kilku lat miał styczność z magią, sam jej używał i sądził, że już nic go nie zdziwi, teraz prawie podskoczył, gdy twarz Carolinusa odzyskała normalną barwę i mag otworzył oczy, a potem usiadł, odmłodniały o kilka lat.

–Jeszcze raz ci dziękuję, KinetetE – rzekł. – To tylko na kilka minut. Potem oddam ci to, co zostanie. Najpierw muszę porozmawiać z tym chłopcem. Jim!

–Tak? – zapytał Jim, nie odrywając od niego oczu. – Teraz wszystko zależy od ciebie! – rzekł Carolinus. – Nie pytaj mnie dlaczego. Nie mam siły ani cierpliwości do ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia o magii, a kiedy wyjawiam im jakiś okupiony ciężką pracą, dotyczący tej sztuki fakt, oni uważają go za dyskusyjny i zaczynają się ze mną spierać!

–Nie będę się spierał – odparł Jim. – Dobrze się czujesz?

–Teraz tak – odparł Carolinus. – To nieistotne. Chcę ci powiedzieć, że od tej chwili wszystko zależy od ciebie. Jesteś w swoim zamku, jesteś wolny, a chociaż nie możesz użyć twojej magii, możesz korzystać z mojej...

–Carolinusie! – zawołała KinetetE. – To już drugi raz obiecujesz...

–Nie dbam o to! – rzekł Carolinus. – Jak powiedziałem, Jim, możesz używać tyle mojej magii, ile chcesz. Rób to, co robiłbyś, gdyby to była twoja magia. Tylko pamiętaj, że jest znacznie potężniejsza od tej, do jakiej jesteś przyzwyczajony. Musisz skłonić earla Cumberlanda, aby zaniechał swoich obecnych działań, zanim wyrządzi nieodwracalne szkody. Ponadto, oczywiście, powinieneś uwolnić siebie i twoich przyjaciół od wszelkich zarzutów o zdradę.

Jim wytrzeszczył oczy.

–Jego obecność tutaj uznałem za dowód tego, że już uzyskałeś jego zgodę.

–Uzyskałem! – rzekł Carolinus. – Ale tylko chwilową. Musisz wymóc na nim obietnicę, której nie odważy się złamać w przyszłości! Jak powiedziałem, masz twój zamek, siłę i wolność, a nawet magię. Wszystko zależy od ciebie!

–A jak mam to zrobić?

–To zależy od ciebie!

–Pewnie – stwierdził półzartem Jim – mógłbym zamienić go w żuka, tak jak ty to robisz.

–Nikogo nie zamieniam w żuka! – mruknął Carolinus.

–Przecież zawsze grozisz ludziom lub innym stworzeniom, że zamienisz ich w żuki! – zdziwił się Jim. – Skoro już o tym mowa, to widziałem, jak zamieniłeś w ten sposób Rrrnifa, diabła morskiego!

–Tak ci się tylko wydawało. W rzeczywistości tylko sprawiłem, że uwierzył, tak samo jak wszyscy, że to zrobiłem. To całkiem co innego.

–Jak to zrobiłeś? – zdziwił się Jim.

–Mówiłem ci... – zaczął Carolinus, ale KinetetE natychmiast przerwała mu.

–Jim, przecież przed chwilą ostrzegł cię, żebyś nie podważał jego słów! Uspokój się, Carolinusie. Chłopak po prostu zapomniał. Jim. – Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. – Jamesie Montgomery Eckercie, uważaj, co mówisz!

Jim wytrzeszczył oczy. Mógłby przysiąc, że nikt w tej rzeczywistości nie wie, że ma drugie imię i jak ono brzmi.

–Skąd... – zaczął, ale powstrzymał się w porę. – Przepraszam – powiedział.

–Dobrze, dobrze – mruknął Carolinus. – To teraz nieistotne. Jim i ja musimy wrócić do wielkiej sali, jak najbliżej tego czasu, w którym ją opuściliśmy. Odeślesz nas z powrotem, KinetetE?

–Zrobię to – powiedziała KinetetE. – Ponadto zabiorę resztę tej siły, którą ci użyczyłam, Carolinusie. Tak więc zostaną ci tylko twoje zapasy, które będziesz musiał odbudować, zanim zupełnie się wypalisz, robiąc rzeczy, których nie powinieneś. Wrócę tam z wami. Bez

obawy, będą niewidzialna. Nikt poza wami nie dowie się, że tam jestem.

–Zaczekaj chwilę – poprosił Jim. – Pozostaw mu siły jeszcze na minutkę, proszę. Chyba mogę zadać mu jedno pytanie. Carolinusie, przecież byłeś na wieży. Skąd wiedziałeś, że sir Simon przybył tu ze swoimi ludźmi i jak udało ci się ściągnąć tu w porę biskupa oraz Cumberlanda?

–Simon i jego ludzie pojawili się w nocy – rzekł Carolinus. – Ten ksiądz przybył tu wcześniej, udając, że jest tym, którego wezwałeś do egzorcyzmowania kołatania w ścianach. Służba powitała jego przybycie z ulgą i pozwoliła mu swobodnie się poruszać po zamku, a on w nocy otworzył boczną furtę, wpuszczając ludzi sir Simona. Udało im się zaskoczyć twoich zbrojnych we śnie, a potem tylko czekali, aż zejdziecie na dół. Jednak ja jestem magiem klasy AAA+ i trudno mnie podejść.

–Tyle że i tak nie byłeś w stanie nic zrobić – przypomniała lodowatym tonem KinetetE. – Dostyc tego, Jim! Wszyscy wracamy do wielkiej sali!

Równie nagle, jak ją opuścili, Jim z Carolinusem znaleźli się z powrotem w wielkiej sali. Jeśli Jim się nie mylił, nikt się nie poruszył i nic się tu nie zmieniło od chwili ich zniknięcia. Uśmiechnął się krzepiąco do Angie, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

Na razie wszystko w porządku – ale tylko na razie. Jego umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach. W takich okolicznościach czasem pracował tak szybko, że Jim sam nie rozumiał własnych myśli. Jakby rozbłyskiwały mu w głowie i gasły, ledwie zdążył im się przyjrzeć. Oczywiście, nie było w tym nic złego, dopóki mógł rozważyć każdą z nich. Kiedy wymyśli coś użytecznego, ten proces ustanie.

Teraz martwił się tylko tym, czy tak się stanie w tym wypadku. Może ten problem był nierozwiązywalny i jego umysł będzie roztrząsał go w nieskończoność. Może Carolinus wymagał od niego czegoś niemożliwego. Mimo wszystko umysł Jima z oszałamiającą szybkością przeskakiwał od jednego konceptu do drugiego, a on sam prawie zapomniał o obecności pozostałych ludzi na podium.

A więc, powiedział sobie, zamiana Cumberlanda w chrząszcza nie jest dobrym rozwiązaniem. Chociaż nigdy nie mówił o tym poważnie – byłoby to niemoralne, a zapewne i nielegalne użycie magii.

Przyszło mu jednak do głowy, iż Carolinus właściwie kazał mu dokonać swoistej zamiany w żuka – tylko na innym poziomie. Im dłużej Jim zastanawiał się nad Cumberlandem, tym bardziej był pewien, że earl nie dochowa zwyczajnej obietnicy, którą teraz by złożył. Cumberland był bardziej politykiem niż rycerzem i szlachcicem.

Szaleńczy wir myśli nagle ustał.

Oczywiście, Cumberland był politykiem. W czternastym wieku też ich nie brakowało, tak jak w każdym czasie. Jedyna różnica między politykami ze świata, w którym wychował się Jim, a tutejszymi polegała na tym, że ci ostatni byli zazwyczaj gotowi – jeśli nie skłonni – popierać swoje programy mieczem, kopią i szubienicą (lub katowskim toporem, jeśli przeciwnicy byli dostatecznie wysokiego rodu).

Jim nie od razu rozpoznał w nich polityków, po prostu dlatego że tacy jak Cumberland dążyli do nieco innych celów niż ci, których znał. W dwudziestym wieku politycy walczyli o popularność. Tutaj współzawodniczyli o jak największy udział w królewskiej władzy i przywilejach – w takim stopniu, w jakim król mógł ich nimi obdzielić.

Arystokraci musieli być politykami. Prawdę mówiąc, cały dwór składał się z polityków lub ich popleczników. Może z wyjątkiem takich ludzi jak sir John Chandos, którego raczej należało nazwać mężem stanu niż politykiem, gdyż zajmował się stosunkami Anglii z wszystkimi innymi nacjami.

A co jest najważniejsze dla polityka jakiegokolwiek epoki? Jego reputacja. Cumberland, oczywiście, był bękartem i przyrodnim bratem króla, a więc faktycznie należał do królewskiego rodu. Pomimo to reputacja była jego czułym punktem.

Tylko jak to wykorzystać, żeby później nie mógł się wycofać? Jim nie mógł wyrzucić earlowi krzywdy, ale przecież Carolinus też nie zmienił Rrrnlfa w chrząszcza...

Jim jeszcze nie miał dokładnego planu działania, lecz powoli nabierał przekonania, iż da się to zrobić. Wystarczy tylko spróbować. Odwrócił się do Cumberlanda, który rozsiadł się za stołem, wziął kielich, napełnił go winem i zaczął pić.

– Witam w moim zamku – rzekł Jim. – Mam nadzieję, że milord znajduje moje wino dostatecznie dobrym.

Cumberland mruknął coś pod nosem.

– Chcę podziękować waszej lordowskiej mości za uwolnienie nas – powiedział Jim.

Cumberland zerknął na Carolinusa, który wydawał się pogrążony w głębokim śnie. Potem earl znów spojrzał na Jima.

– To nie ja was uwolniłem – powiedział. – I myślę, że dobrze o tym wiesz, sir Smoczy Rycerzu czy jak tam brzmi twoje piekielne imię! Co do uwolnienia zaś, to nie odmawiaj dziękczynnych modłów zbyt szybko. Jeszcze zobaczymy!

– Jestem baron sir James Eckert – powiedział Jim. – Może jeśli wasza lordowska mość zechce przedyskutować ze mną tę kwestię...

– Jeśli jest coś do powiedzenia, to ja będę mówił, mospanie! – rzekł Cumberland.

Spokojny, lecz silny głos biskupa przerwał im tę wymianę zdań.

– Milord zdaje się mieć kłopoty z oczami, sir Jamesie – powiedział melodyjnie. – Najwidoczniej nie pamięta i mnie, a tacy jak ja, który jestem troskliwym pasterzem mojego stada, nie przywykli być ignorowani – chyba że przez ludzi o nieczystych umysłach i duszach.

Cumberland gwałtownie odwrócił głowę. Przez moment gniewnie spoglądał na biskupa, ale zaraz błysk w jego oczach przygasł i earl zerwał się na równe nogi.

– Wybacz mi, lordzie biskupie – powiedział niemal równie gładkim głosem jak biskup. – Mam tyle rozlicznych obowiązków, że nabrałem zwyczaju nie zwracać większej uwagi na otoczenie. To jednak wcale mnie nie usprawiedliwia. Zechcesz udzielić mi błogosławieństwa, jak uczyniłeś to wiosną na królewskim dworze?

– Oczywiście, mój synu – odrzekł biskup.

Cumberland jeszcze nie skończył mówić, a już ku niemu szedł, gdy duchowny zaś wyraził zgodę, earl niezgrabnie przyklęknął i ujął podsuniętą mu dłoń z pierścieniem. Ucałował pierścień i chciał wstać, lecz biskup obrócił dłoń, zaciskając ją na palcach earla i zmuszając go do pozostania na miejscu.

– O Panie – rzekł gromkim głosem, spoglądając na krokwie nad głową. – Obdarz łaską tego grzesznika, jakkolwiek wielkie byłyby jego grzechy... – Jeszcze bardziej podniósł głos, który grzmiącym echem odbił się od ścian wielkiej sali. – Ty, któryś wybaczył

najnędniejszym grzesznikom, ukaż mu drogę odkupienia duszy, przypomnij o niebiosach oczekujących tych, którzy kroczą ścieżką prawdy, a także o losie rycerza, który podniósł rękę, by wezwać demony, i natychmiast został rażony gromem z jasnego nieba, a gdy chciano go pochować, nie zaznał spokoju. Jego ręka, którą chciał wezwać demony przeciwko niewinnym, unosiła się nawet przez zamknięte wieko trumny i wszyscy siłacze królestwa razem wzięci nie był w stanie jej zgiąć!

Puścił Cumberlanda, który zerwał się na równe nogi. Earl zaciskał zęby i miał gniewny błysk w oczach, ale twarz tak białą jak zbrojni sir Simona.

–Milordzie biskupie – powiedział, z trudem zachowując spokój. – Sękaci nie są demonami. To znani nam naturalni, jak niektórzy ich nazywają, podobni, tylko mniej niebezpieczni niż trolle, których nie musi się obawiać człowiek z mieczem w ręku. Rzadko ich widzimy, albowiem żyją pod ziemią i tylko sporadycznie pojawiają się w naszych kopalniach – zwykle umykając na sam dźwięk ludzkiego głosu. I nie wezwałem ich.

–Chcesz szermować ze mną słowami, nieszczęsny lordzie? – rzekł biskup. – Pobłogosławiłem cię, jak prosisz. Jeśli to błogosławieństwo obudziło jakieś wyrzuty sumienia, powinienes wejrzeć w twą duszę i zobaczyć się z twoim spowiednikiem. Ja nim nie jestem.

–Racja – rzekł Jim, zanim Cumberland zdążył odpowiedzieć. – To ze mną powinienes porozmawiać, milordzie.

Cumberland gwałtownie odwrócił się do niego.

–Z tobą! A co ty masz mi do powiedzenia?

–Nawet największy lord nie powinien ignorować tego, co może się dowiedzieć choćby od zwykłego rycerza i barona. Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał.

Cumberland drgnął, jakby znów chciał się odwrócić do biskupa, ale najwidoczniej zrezygnował z tego zamiaru.

–No, co takiego?

–Całe życie spędziłeś na dworze – rzekł Jim – i było ci tam dobrze. Jednak nikt nie wie, kiedy najcieplejsze miejsce w jasny i bezchmurny dzień się oziębi, gdy chmury zakryją słońce i gęste cienie...

–Ciepłe miejsce? Cienie? O czym ty mówisz, do diabła?! – ryknął earl.

Jim uspokajająco podniósł rękę. To jego wina. Mógł się spodziewać, że earl go nie zrozumie. Cumberlandowi nie brakowało inteligencji. Nie pozostawał przez tyle lat prawą ręką króla tylko dzięki niepewnym więzom krwi. Był bystry i umiał wykorzystywać swój umysł. Jednak próba podsuwania mu zawoalowanych aluzji była chybiona. Mogła powieść się w czasach Jima – zaniepokoić przeciwnika. Takie zagadkowe wzmianki po prostu nie leżały w czternastowiecznych zwyczajach – przynajmniej w Anglii. W średniowieczu mówiono prosto z mostu – przynajmniej na pozór – a człowiek musiał się liczyć ze słowami i wypowiadać się zrozumiale.

Jim zrezygnował z aluzji.

–Gdyby zaczęły o tobie krążyć plotki, milordzie – rzekł – mogłoby się okazać, że nie ma już dla ciebie miejsca na dworze.

–Dla mnie? – Cumberland wybuchnął szczerym, serdecznym śmiechem.

–Plotid o uprawianiu czarów, milordzie – dodał Jim. Earl przestał się śmiać i spoważniał,

ale odparł swobodnie:

–Ach, ta gadanina o lady Agacie – rzeki. – Odpowiedziałem na to jasno i publicznie.

Wszystko to, oczywiście, bzdura!

–Jednakże to ty wprowadziłeś ją na dwór – rzeki Jim. – Miałem na myśli plotki o tym, że musiałeś to zrobić, ponieważ sam jesteś wmieszany w uprawianie czarów.

Cień uśmiechu, który już zdążył się pojawić na ustach Cumberlanda, teraz gwałtownie znikł. Earl wytrzeszczył oczy.

Rozdział 35

Earl przez długą chwilę gapił się na Jima. Potem prychnął.

–Ty głupcze! Taka plotka mogłaby zaszkodzić innym. Ale mnie? Królewskiemu bratu?

–Nawet królom szkodzą plotki, milordzie. Szczególnie kiedy zaczynają je powtarzać zwyczajni ludzie. Plotki, wierszyki – i nagła cisza na rynku, kiedy przejeżdżasz po nim ze swą świtą. Może nawet kamień lub pecyna łajna rzucone niespodziewanie przez kogoś ukrytego w tłumie.

–A więc to są te cienie, którymi chcesz mnie przestraszyć – rzekł Cumberland. – Powiem ci, że nie boję się ich. Żadna z tych rzeczy, o których mówisz, nigdy mi się nie przydarzy.

–Może jednak nie powinieneś być tego taki pewny, milordzie – rzekł Jim. – W końcu mogą się zdarzyć każdemu. Są niebezpieczne ze względu na to, jak działają na możnych i bogatych. Wszyscy odsuwają się od obiektu takich plotek w obawie, że ich też splamią, a wiesz, milordzie, równie dobrze jak każdy, że w najwyższych kręgach ci, którzy nie są z tobą, są przeciwko tobie. Tak więc gadanina i zniewagi maluczkich łączą się z przekonaniem, że obiekt takich pogłosek wkrótce może upaść.

–Ach tak? – rzekł Cumberland, wysuwając dolną szczękę. – A kto rozpowszechni takie plotki, rzuci taki cień i spowoduje mój upadek? Ty?

–Przykro mi, że wasza lordowska mość może tak sądzić – odparł Jim.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – warknął Cumberland.

–Chciałem powiedzieć, że jako mag, aczkolwiek pomniejszy, dostrzegam cienie przyszłości. Ja tylko ostrzegam przed nimi waszą lordowską mość.

–Ha! Zatem zostałem ostrzeżony!

–Skoro tak, milordzie – ciągnął Jim – pozostaje ci tylko powiedzieć, gdzie schowałeś nakazy naszego aresztowania za zdradę, abym mógł je zniszczyć. Sądzę, iż mogę przyjąć, że nowe nakazy nie zostaną wystawione, i ani ja, ani sir Brian Neville-Smythe czy Dafydd ap Hywel nie będziemy w przyszłości niepokojeni.

Earl zachichotał.

–Ha! – powtórzył. – No cóż, Smoczy Rycerzu, wcale nie jestem pewien, czy mogę oddać ci te nakazy ani zapewnić cię, że twoja lojalność nie będzie w przyszłości przedmiotem śledztwa. Po pierwsze nie zajmuję się takimi sprawami. Zajmą się nimi sędziowie, którzy może już zostali wyznaczeni, by osądzić cię, kiedy przybędziesz na dwór.

–Tak myślisz, prawda? – powiedział Jim. – Obawiam się, że nie zgadzam się z tobą, milordzie. Chcę zaraz dostać te nakazy, a także twoje słowo, że nie będziemy już niepokojeni.

–A ja powiedziałem – odpadł Cumberland, podnosząc głos – że nie dostaniesz tych

przeklętych nakazów. Co do niepokojenia zaś w przyszłości...

Sięgnąwszy po zapasy użyczonej mu przez Carolinusa magii, Jim odciął wpadający przez okna wielkiej sali słoneczny blask i wygasił wszystkie światła. Pozwolił, by sala przez jakieś dziesięć sekund była pogrążona w ciemności, a potem znów ją oświetlił.

–Spóźniłeś się, milordzie – rzekł. – W Anglii i na dworze już rozeszły się pogłoski, że być może sam jesteś i byłeś od wielu lat zamieszany w czary. Przechodząc po krużgankach, usłyszysz szepty, a na ulicach ciszę – i być może obrzucą cię kamieniami. Wątpię, aby król chciał dłużej trzymać przy sobie kogoś, o kim opowiada się takie rzeczy.

Uważnie spojrział na Cumberlanda. Chwilowa ciemność była tylko tanią sztuczką. Wszystko zależało od tego, czy uda się przekonać earla. Najwyraźniej wstrząsnęło nim kazanie, jakie usłyszał od błogosławiącego go biskupa, i Jim miał nadzieję, że wyobraźnia earla dokona reszty.

Jednak pomylił się. Twarz earla tym razem istotnie pobladła, ale zacisnął szczęki jak buldog.

–W krainie, z której... przybyłem do Anglii – dodał Jim – sztuka posługiwania się plotkami jest wysoko rozwinięta.

–Ach tak? – warknął Cumberland, lecz Jim z rosnącym niepokojem zauważył, że jego ton nie świadczył o pogodzeniu się z klęską, lecz o nagłym przyplwywie nadziei. – Tak, nie wątpię, że to sztuka, i nikt w Anglii nie zna jej tak dobrze jak ty. Jeśli jednak chodzi o te nakazy, o które pytasz, mają sir Simon. Będziecie musieli go tu sprowadzić, chociaż nie widzę, kogo moglibyście po niego posłać. Może niech pójdzie po niego łucznik.

–Pewnie – rzekł Dafydd, zanim Jim zdołał wyrazić swoje oburzenie, wywołane wzgardliwym tonem, jakim powiedział to earl. – Z przyjemnością. Zaraz go tu sprowadzę, sir Jamesie.

Odwrócił się i poszedł do drzwi długim przejściem między stołami, niosąc na ramieniu łuk i kołczan ze strzałami, które wyjął spod stołu w tej samej chwili, gdy opadły mu pęta. Wszyscy obserwowali go w milczeniu.

Cichy szmer został prawie zagłuszony przez ostrzegawczy okrzyk Briana. Jim błyskawicznie odwrócił się i zobaczył, że earl porwał ze stołu nóż do krojenia mięsa. W porównaniu z mieczem czy sztyłem była to mizerna broń, ale miała dziesięciocentymetrową, ostrą jak brzytwa klingę ze spiczastym końcem. Earl rzucił się na Jima.

Jim chwycił puchar – jedyną rzecz, jaką miał w zasięgu ręki – po czym zasłonił się nim tak, że nóż trafił w środek naczynia. Wino trysnęło na kubrak earla i czubek noża zgrzytnął o wnętrze metalowego naczynia. Zdziwiająco szybkim ruchem Cumberland cofnął rękę, wprawnie wywijając nożem na prawo i lewo, usiłując znaleźć lukę w osłonie.

–Co się z tobą dzieje? – powiedziała z niesmakiem KinetetE w głowie Jima. – Po co Carolinus nagiął prawa Zgromadzenia – prawa, które sam pomagał tworzyć – jeśli nie używasz magii, którą ci dał? Nie wiesz, jak rzucić ochronne zaklęcie?

Zażenowany swoją bezmyślnością, Jim wyobraził sobie osłonę – nie wokół siebie, ale Cumberlanda, którego nagle ze wszystkich stron otoczyły niewidzialne ściany. W samą porę, gdyż zaledwie zaklęcie zaczęło działać, Jim usłyszał cichy zgrzyt i zobaczył, że w ostatniej chwili udaremnił zamiary Angie, która zamierzała wbić ostrze swojego noża w

plecy earla. Stała, patrząc na bezsilnego teraz. Cumberlanda, a jej twarz miała wyraz, jakiego Jim jeszcze nigdy u niej nie widział.

Jim wyciągnął rękę i delikatnie dotknął dłoni, w której trzymała nóż. Spojrzała na niego gniewnie, lecz gdy napotkała jego wzrok, jej twarz powoli się wygładziła.

–Rzuciłem zakłęcie ochronne – powiedział cicho Jim. – Wszystko w porządku. Myślę, że poradzę sobie z tym.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem położyła nóż na stole i usiadła na krześle.

–Dobrze... – zaczęła mówić, kiedy przerwał jej wrzask Cumberlanda.

–Simonie! – krzyknął zdumiewająco donośnie. – Do mnie! Wszyscy!

Podwójne drzwi na dziedziniec natychmiast się otworzyły, co świadczyło o tym, że jego zbrojni czekali tuż za nimi. Dafydd, który zatrzymał się w połowie drogi, gdy earl zaatakował Jima, odwrócił się, zwinnie jak jeleń przebiegł kilka kroków, wskoczył na podium, uskoczył za stół i zaczął słać jedną strzałę za drugą w tłum nadbiegających napastników.

Biegący na ich czele Simon z mieczem w garści nacierał dalej.

–On jest mój! – krzyknął Brian.

Jim usłyszał łoskot i w następnej chwili ujrzał Briana trzymającego oburącz ciężką halabardę, którą zdjął ze ściany.

–Zostawiłem go dla ciebie – odparł spokojnie Dafydd, podnosząc głos tylko na tyle, aby był słyszalny w hałasie, jaki robili nacierający.

Ci musieli atakować kolumną między dwoma długimi stołami i stojący jeszcze na nogach zbrojni zaczęli się cofać, gdy pierwszy szereg padł pod strzałami łucznika.

Jim wiedział, że Dafydd nie ma w kołczanie dość strzał, aby położyć wszystkich ludzi Simona. Po chwili przesunął kołczan na plecy, spokojnie odłożył łuk i wyciągnął długi wąski nóż z pochwy na biodrze.

Brian zeskoczył z podium, trzymając oburącz halabardę w poprzek piersi, ostrzem do przodu. Sir Simon zatrzymał się dwa lub trzy metry od podium i czekał na niego z wysoko uniesionym mieczem.

Trzy, a nawet dwa lata wcześniej Jim niczego nie wyczytałby z tego uniesionego wysoko ostrza. Kilka potyczek, w których jedynym celem było przetrwanie, oraz liczne lekcje szermierki udzielane mu przez przyjacielskiego, lecz surowego Briana otworzyły mu oczy na wiele spraw związanych z walką na miecze i inną średniowieczną broń.

Jim wiedział, że pomimo opiewających go legend nigdy nie będzie równorzędnym przeciwnikiem dla kogoś, kto od dziecka ćwiczył się w posługiwaniu się bronią i konną jazdą. Mimo to zdawał sobie sprawę, co oznaczały niektóre szermiercze pozycje.

W tym wypadku wysoko uniesiony miecz sir Simona zdradzał jego zamiary. Ten oręż był zbyt lekki, aby sparować nim cios zadany halabardą. Simon będzie się starał unikać kontaktu, uskakując i usiłując dosięgnąć przeciwnika w chwili, gdy impet i ciężar ostrza nie pozwolą Brianowi zablokować ciosu.

Brian zrobił krok naprzód, unosząc skierowaną ostrzem naprzód halabardę. Simon obserwował go czujnie. Obaj mierzyli się spojrzeniami, w których nie było wrogości czy furii. Były to nieruchome spojrzenia szachistów.

Brian szerokim łukiem opuścił ostrze, mierząc w tułów Simona – zadając cios, którego przeciwnik mógł uniknąć, jedynie odskakując. Simon uśmiechnął się wąskimi wargami i

zrobił krok, nie do tyłu, gdzie tłum zbrojnych ograniczałby mu ruchy, lecz do przodu.

Najwyraźniej zamierzał przeskoczyć drzewce halabardy za jej ostrzem, a potem pchnąć mieczem Briana, zanim ten zdąży powstrzymać impet i się zastawić.

Simon liczył na swoją zręczność i nie bez kozery, gdyż niejedynemu rycerzowi w owych czasach potrafił w pełnej zbroi wskoczyć na grzbiet pędzącego konia – pięćset lat przed tym, jak kowboje z Dzikiego Zachodu robili to samo, tylko bez zbroi.

Jednakże Brian w tym samym momencie zmienił kierunek ciosu, mierząc w głowę Simona. Był to odpowiednik dość niezwykłego cięcia mieczem, które Brian pokazał Jimowi i używał w kilku potyczkach. W tym wypadku najbardziej niezwykle było to, że nawet trzymana oburącz halabarda była niezwykle ciężka, więc nie dało się tak łatwo zmienić kierunku ciosu.

Mimo to Brian dokonał tego. Jim znowu zapomniał, jak silni bywają średniowieczni rycerze, którzy przez całe życie przygotowują się do walki. Ostrze halabardy poderwało się, mierząc w pierś i gardło Simona. Ten próbował jednocześnie się odchylić i cofnąć. Częściowo udało mu się, gdyż ostrze broni ominęło jego pierś, ale obuch – podążwszy wyżej – rąbnął go w skroń.

Simon z szeroko rozrzuconymi kończynami runął na podłogę wielkiej sali i leżał bez ruchu.

–Piękny cios! Na świętego Michała, piękny cios! Co za uderzenie! – krzyknął earl z głębi zaklęcia. – No, na co czekacie? Brać go!

Pozostali zbrojni z głośnym pomrukiem ruszyli na Briana. Nie było czasu do namysłu. Jim zaczerpnął głęboko tchu, zamienił się w smoka i skoczył ku nadbiegającym.

Rozdział 36

–To ostatnia kropla – powiedziała KinetetE w głowie Jima głosem, w którym zdawał się pobrzmiwać chichot – jeśli bezdźwięczny głos mógł chichotać.

Jim wylądował na podłodze między stołami, przed pierwszym szeregiem zbrojnych. Sir Simon nadal leżał tam nieruchomo. Natomiast pozostali... Nagle, ku zdumieniu Jima, KinetetE w magiczny sposób pokazała mu to, co myśleli zbrojni.

Nie była to taka telepatia, jakiej spodziewałby się Jim. Był to raczej rodzaj zbiorowej teleemпатii. Ukazała mu myśli i uczucia wszystkich zbrojnych Simona, jakby przekazując mu błyskawiczny zwięzły raport na temat ich odczuć.

Zamieniając się w smoka i atakując ich, najwidoczniej wyczerpał ich odporność nerwową. Nie zabrakłoby im odwagi do starcia ze zwyczajnym przeciwnikiem, ale teraz wszyscy usiłowali jak najszybciej oddalić się od Jima, przeskakując przez ławy lub czołgając pod stołami, żeby dopaść frontowych drzwi wielkiej sali i uciec.

Jim dowiedział się, że wszyscy od początku uważali tę misję za, pechową. Nikomu nie powinno się kazać aresztować maga. Wszyscy tak sądzili i mieli rację, jak widać. Przez chwilę pokrzepił ich widok siedzącego za stołem biskupa, lecz najwyraźniej nawet taka święta osoba nie była w stanie powstrzymać rycerza, który mógł się przeistaczać w smoka. Sir Simon powinien był to przewidzieć.

Sir Simon był dobrym rycerzem, jak na królewskiego oficera. Pod jego rozkazami mieli wiele zabawy i spore profity. Jednak był szlachcicem. Powinien wiedzieć, że stary krętacz wpakuje ich w kłopoty... Magowie pojawiający się znikąd i nawet sprowadzający ze sobą

starego krętacza, smoki spacerujące i odsyłane do piekła, potem ten diabelski łucznik kładący ich pokotem, a na dodatek sir Simon dał sobie rozwalić łeb! A teraz to!

Rycerz, który świadomie pakuje swoich ludzi w sytuację bez wyjścia, zasługuje na śmierć. Zazwyczaj próbowaliby zabrać ze sobą jego ciało, żeby zawieźć je jego damie – którakolwiek nią teraz była – w celu należytego pochówku. Powinni tak zrobić, ale do diabła z tym! Gdyby należycie o nich dbał, zatroszczyliby się o niego. Niech zostanie tam, gdzie upadł, i skończy w smoczym brzuchu! Drań!

Wszystko to Jim zobaczył w jednym błysku zrozumienia, który dopiero jego umysł mógł podzielić na słowa. Tylko nie teraz. Zbrojni za kilka sekund opuszczą wielką salę.

Wreszcie wpadł na znakomity pomysł. Wcześniej nie zdołałby go zrealizować, gdyż wymagał znacznego zużycia magii. Carolinus mógłby zużyć taką ilość do swoich celów, ale Jim nie chciał pożyczać jej od niego, żeby otrzymać tłum ludzi.

A teraz nie musiał używać magii. Miał swój tłum, gotowy do wykorzystania.

–Bezruch! – zawołał, zupełnie zapomniawszy, że mówi smoczym głosem, na dźwięk którego znieruchomieliby nawet wtedy, gdyby zawiodło magiczne zaklęcie.

–Dzięki, Jim – powiedziała kwaśno KinetetE w jego głowie.

–Przepraszam – powiedział cicho Jim, obrzucając spojrzeniem ludzi na podium. – Wszyscy na podium mogą się ruszać. Och, Brianie, przepraszam. Zapomniałem, że stoisz na dole. Ty też możesz się ruszać. Zechcesz się cofnąć na podium? Dobrze, dziękuję. – Pospiesznie znów przybrał ludzką postać. – Wszyscy zbrojni – rzekł – mają się obrócić twarzą do podium. Doskonale. A teraz zapomnicie o wszystkim, co tutaj zaszło, od kiedy sir Brian pokonał sir Simona, i zapomnicie wszystko, co się zdarzy, dopóki nie powiem wam, abyście znów zapamiętali... – Jim znów odwrócił się twarzą do podium. – A ty, milordzie – rzekł – także zapomnisz o wszystkim, co stało się od czasu walki sir Briana z sir Simonem. Ponadto zapomnisz o wszystkim, co się zdarzy, chyba że rozkażę inaczej... – Przewornie przerwał. – Milordzie biskupie, Wasza Wysokość – rzekł, zwracając się do duchownego. – Jeśli pozwolisz, chciałbym teraz posłużyć się magią. Nikomu nie stanie się krzywda.

–Mój synu – odparł biskup, również siląc się na kwaśny ton, ale z mniejszym powodzeniem od KinetetE. – Jeśli pamięć innie nie zawodzi, już użyłeś magii bez mojego zezwolenia.

–Milordzie, to nikomu nie zaszkodzi. W ten sposób postępuje mag Carolinus, nikomu nie robiąc krzywdy, tylko działając na wyobraźnię. Magu KinetetE! – Jim zwrócił się ku pustemu miejscu na podium, gdzie jego zdaniem stała. – Zechcesz pomóc mi wyjaśnić to lordowi biskupowi?

KinetetE ukazała się, ale miała niezadowoloną minę. Oboje z biskupem zerknęli na Carolinusa, który nadal drzemał w fotelu. Spojrzała na Jima w tej samej chwili co biskup i powiedziała do duchownego:

–Milordzie biskupie, znasz mnie. A ja znam maga Carolinusa znacznie dłużej niż ty. Choć wydaje się to śmieszne, on zaaprobowałby to, co zamierza zrobić jego praktykant. Carolinus musi teraz odpocząć. Sama wezmę odpowiedzialność za magię Jima.

Biskup z powątpiewaniem spojrzał na Jima.

–Pamiętaj – przypomniała KinetetE – że ten młodzieniec jest zaledwie magiem klasy C+, podczas gdy Carolinus i ja jesteśmy magami klasy AAA+, których na tym świecie jest tylko

troje. Jeśli uznać magiczną wiedzę Jima za wzgórek, ja jestem górą i będę obserwować jego działania, aby zapobiec wszystkiemu, czego byś sobie nie życzył.

–Rozumiem – rzekł biskup i odchrząknął. – Czy bierzesz pod uwagę, zważywszy twoją wyższą rangę, możliwość zakazania mu wszelkich magicznych praktyk?

–Nie.

–Rozumiem. Cóż, w takim razie... Słyszałem już o tobie od Carolinusa. – Biskup zwrócił się do Jima. – Oczywiście, nie mogę zaaprobować niczego, czego nie pochwała Kościół, lecz poza tym możesz użyć twej magii, mój synu. Dołóż jednak wszelkich starań, aby nie wyrządzić krzywdy jego duszy ani duszom innych obecnych w tej komnacie.

–Być może ulecę jedną czy dwie – odparł Jim. – Na pewno żadnej nie skrzywdzę.

–A więc do dzieła.

–Dziękuję, milordzie.

Jim przeszedł na podium i stanął obok earla, który zdawał się spać na stojąco. Jim popatrzył na nieruchomych zbrojnych. Obrzucił ich krytycznym spojrzeniem. Stojąc tak, tworzyli spory tłumek. Długie stoły rozdzielały ich na trzy grupki, upodabniając salę do miejskiego rynku z rzędami straganów i kupujących...

Odwrócił się i zerknął na earla. Ten wciąż znajdował się pod osłoną ochronnego zaklęcia, a szkliste spojrzenie świadczyło o tym, że wykonywał również rozkaz i natychmiast zapominał o wszystkim, co się zdarzyło. Jim zdjął osłonę.

–Następne magiczne polecenia są przeznaczone tylko dla ciebie, milordzie – powiedział. – Możesz usiąść.

Jim zawahał się. Czuł na sobie niepewny i zatroskany wzrok Angie, a także Dafyddda i Briana, którzy patrzyli z zaciekawieniem, ale bez cienia wątpliwości. Biskup obserwował go z groźną miną. KinetetE znów stała się niewidzialna, ale czuł na sobie jej spojrzenie.

Rzecz w tym, że nie zamierzał tylko wmówić jednej osobie – a także wszystkim obserwującym to – że zamienił ofiarę w chrząszcza. To, co chciał zrobić, było o wiele trudniejsze. Ponieważ Carolinus, każąc ludziom wierzyć, że zamienił kogoś w chrząszcza, robił to jednym wszechogarniającym zaklęciem. Tymczasem Jim chciał uzyskać ten efekt nie tylko u earla, ale także u wszystkich zbrojnych. Musi wydawać bardzo szczegółowe i wyraźne polecenia.

Ponadto musi także uważać, żeby nie wplątywać w nie innych osób stojących na podium. Jim chciał, aby tylko earl doświadczył tego, co dla niego szykował, nie pozostali, a już na pewno nie biskup, który mógłby uznać to za rzeczywistość, ponieważ – jak wielu ludzi w tych czasach – w przeszłości dawał się porwać nawet prostym teatralnym spektaklom.

KinetetE, rzecz jasna, wszystko usłyszy i zobaczy – Jim nie mógł nic zrobić, żeby tego uniknąć. Podszedł do krzesła, na którym zasiadł Cumberland, i powiedział do niego cicho:

–Nie widzisz mnie, lecz możesz słyszeć. Możesz słyszeć tylko mnie. I nie widzisz niczego oprócz obrazów w twoim umyśle, które będę ci opisywał. A teraz jedziesz...

Lewa ręka earla wyciągnęła się nad blatem stołu, za którym siedział, chwyciła niewidzialne wodze...

–...i masz przy sobie czterech lub pięciu członków świty, którzy, jadą za tobą. Wiesz, kim oni są. Wasza grupka wjeżdża właśnie na rynek zatłoczony w dzień targowy pospólstwem w różnym odzieniu. Słyszysz tłum, czujesz woń kurzu i inne zapachy

targowiska. Oczywiście zamierzasz przejechać środkiem, ponieważ jesteś Cumberlandem i oni muszą zejść ci z drogi. Robią to, aczkolwiek niechętnie...

Od tego momentu Jim nie chciał, aby słyszeli go pozostali obecni w wielkiej sali. Stojąc za earlem, w magiczny sposób będzie spoglądał oczami earla, wpływając na jego wyobraźnię, czasem manipulując zastygłymi zbrojnymi.

Magiczna wizualizacja nie była dla leniwych. Aby stworzyć przekonujący, a więc kompletny obraz dla czyichś oczu, trzeba wiedzieć, co się chce pokazać. Jeżeli ma to być zamek, musisz wiedzieć, jak został zaplanowany i zbudowany – a nawet z czego. Ewentualnie powinieneś przywołać obraz zamku, który kiedyś widziałeś. Jeśli zamek, który sobie wyobraziłeś, wydawał ci się realny, będzie realny także dla tego, komu go pokazujesz. Tylko wtedy. Oznaczało to, że ukazywane sceny muszą się składać ze znanych fragmentów.

Rynek wyobrażony przez Jima znajdował się w pewnym miasteczku w okręgu Cheddar. Z umieszczonymi na nim zbrojnymi ubranymi w odzież, jaką zarówno Jim, jak i earl często widywali na prostych ludziach, targowisko będzie podobne do prawie każdego ryneczku w południowej Anglii.

Teraz spojrzął oczami earla. Cumberland doskonale znał uczucie towarzyszące konnej jeździe i Jim natychmiast wyobraził sobie, że podskakuje w siodle kłusującego rumaka. Widział earla od tyłu, tuż zza jego pleców. Przed nimi stali zbrojni, lecz earl postrzegał ich jako tłum wieśniaków, jakich można zobaczyć na każdym targowisku...

Rozdział 37

...W stojącym na rynku tłumie rozległ się cichy pomruk, który stopniowo przerodził się w gwar gniewnych głosów. Earl jechał sztywno wyprostowany w siodle, z obojętną miną, jakby przemierzał pustą równinę. Towarzyszący mu jeźdźcy popędzili konie, podjeżdżając bliżej niego.

Głosy przeszły w nieskładny chór krzyków. Earl jechał dalej, nie zmieniając wyrazu twarzy ani nie poganiając konia. Jeszcze kilka metrów i minie ryneczek...

Jakiś czarno migoczący w słońcu przedmiot przeleciał łukiem w powietrzu. Trafił go w pierś i przywarł na chwilę, zanim odpadł. Była to spora na pół zgniła ryba, która pozostawiła ciemną plamę na jego wiśniowym kubraku.

Earl nadal nie okazywał żadnych uczuć, podążając w kierunku szpaleru drzew rosnących wzdłuż pobliskiej drogi. Tymczasem tłum znalazł w końcu jedno wspólne słowo i zaczął powtarzać je chórem...

–Czarownik! Czarownik! Czarownik!

Te głosy zagłuszyły tętent kopyt spienionego konia, który wypadł z lasu, niosąc na grzbiecie człowieka w barwach earla. Pędził tak szybko, że jeździec musiał z całej siły ściągnąć wodze i osadzić go w miejscu, żeby nie wpaść na lorda.

Bez słowa wręczył earlowi zwinięty brązowy pergamin przewiązany czarną wstążką. Earl w milczeniu wziął rulon, zerwał wstążkę i rozwinął pergamin.

Milordzie!

Lady Agatha Falon, aresztowana na rozkaz króla, złożyła zeznanie i – wyznała, że jest czarownicą. Twierdzi, iż Wasza Lordowska Mość wprowadził ją w czarnoksiężskie arkana, które praktykujesz dłużej, niż ona chodzi po tym świecie. Twierdzi, iż zamiarem milorda było

przywieść naszego dobrego króla do szaleństwa i śmierci, w czym potrzebowałeś jej pomocy, dlatego namówiłeś ją do niecznych praktyk, które oboje uprawialiście.

Niektórzy lordowie z północy, i nie oni jedni, niewielką pokładają wiarą w jej zeznanie, mówiąc, iż zapewne wymogli je na niej przesłuchujący i rygory śledztwa. Sugerują, abyś udał się na północ, do twych włości, gdzie znajdziesz przyjaciół i siły mogące stawić czoło wojskom, jakie mogą zebrać ci, którzy źle ci życzą.

Niechaj fortuna sprzyja Waszej Lordowskiej Mości. Modłę się, abyś bezpiecznie dotarł do twych posiadłości i pamiętał, że ryzykując własnym życiem, wysłałem ci niniejszą wiadomość. Posłuszny sługa Edgar de Wiggin Na widok posłańca zaciekawiony tłum przycichł. Earl, nie zmieniając wyrazu twarzy, przeczytał list, zwinął go i wepchnął pod kubrak.

–Jedziemy na północ – rzucił przez ramię do towarzyszy, którzy siedzieli za nim na niespokojnych wierzchowcach.

Spojrzał przed siebie i ruszył naprzód. Jego świta pojechała za nim. Po oblanym słonecznym blaskiem rynku chwilowo oślepił ich głęboki cień zalegający pod koronami drzew...

...Szarobiałe ściany namiotu poniesiono, wpuszczając światło i powietrze, odsłaniając rozległą polanę wyciętą w lecie. Szła po niej grupka mężczyzn: młodych rycerzy, giermków i zbrojnych. Niektórzy spoglądali w kierunku namiotu, prowadząc swoje rumaki. Inni – starsi – obserwowali las.

W namiocie rozstawiono stół ze zwykłych desek położonych na kozłach, który nawet tu i teraz – zgodnie ze średniowiecznymi zwyczajami – nakryto obrusem białym jak ślubna suknia, chociaż z widocznymi śladami składania do podróży.

Na stole stało wino w srebrnych dzbanach i pucharach. Oprócz earla przy stole siedziało sześciu mężczyzn, wszyscy w kosztownych strojach. Był chłodny dzień, jak zwykle w pobliżu szkockiej granicy, i silny wiatr kradł tę odrobinę ciepła, jaką ich ciała wniosły do namiotu.

Earl znał tych ludzi. Wiedział, co mówią.

W tym momencie prawie ich nie słuchał. Zaciskał szczęki jak buldog, tak jak wtedy gdy czytał list.

Potęźnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ufarbowaną na czerwono szubę, przemawiał barytonem, który w chwilach podniecenia przechodził w tenor. Tak było w tej chwili, gdyż próbował przekrzyczeć pozostałych i zabrakło mu tchu.

–...a ja mogę przyprowadzić ci stu rycerzy, milordzie, wraz z ich świtą! – oznajmił piskliwie i triumfalnie.

–Możesz ich tu mieć jutro wieczorem, gotowych do walki? – Głos earla zagłuszył wszystkich, chociaż każdy z nich usiłował przekrzyczeć pozostałych.

W namiocie zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na earla.

–Cóż... no nie, milordzie – rzeki grubas w farbowanym płaszczu. – Muszę objechać okolicę i porozmawiać z każdym szlachcicem, który mieszka w sąsiedztwie. Kiedy ich zawiadomię, chętnie przybędą tu zbrojnie. Powiedzmy w ciągu miesiąca, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

–Tak – rzekł earl, po kolei mierzając ich gniewnym spojrzeniem. – Czy któryś z was może

powiedzieć, ilu ludzi sprowadzi tu w ciągu tygodnia?

Nikt się nie odezwał.

–Panowie – ciągnął earl tonem, w którym pobrzmiwała nuta szyderstwa. – Wszyscy jesteście moimi dobrymi przyjaciółmi i przybyliście pomóc mi w potrzebie, która to pomoc, jak dobrze wiemy, niewątpliwie przyniesie wam wymierne korzyści. Jednak w sprawach wojny jesteście jak oseski z mlekiem na brodach! Posłuchajcie, co wam powiem!

–Chętnie, naprawdę chętnie cię wysłuchamy, milordzie – powiedział pospiesznie inny mężczyzna – wiedząc, jakim wielkim i dzielnym jesteś wodzem. Ale...

–A więc słuchajcie! – Earl podniósł głos do krzyku, jakim zwracał się do szeregów wojsk stojących w obliczu wroga. – Chcę, abyście powiedzieli mi, ilu gotowych do walki ludzi możecie sprowadzić tu w ciągu tygodnia, ponieważ za tydzień czeka nas bitwa!

Spojrzał na ich nagle zastygłe twarze.

–Żaden z was tego nie pojmuje, prawda? – zapytał. – A więc pozwólcie, że powiem wam, że to nie będzie jedna bitwa, ale co najmniej dwie – co najmniej dwie! Czy żaden z was nie zdaje sobie sprawy z tego, że Chandos na pewno wcześniej ode mnie wiedział o liście, który otrzymałem? W istocie może nawet przejął go zaraz po tym, jak ten list został napisany, a wtedy miał do wyboru, czy zatrzymać go – przez co nie przysporzyłby mi żadnych kłopotów – czy też wysłać go, żeby złapać w pułapkę nie tylko mnie, ale i was, jako spiskujących przeciwko królowi.

Na twarzach słuchających go mężczyzn od wielu lat nie gościła bladość – również i dlatego że wszystkie były czerstwe i ogorzałe – lecz teraz wyraźnie znieruchomiały.

–Tylko honor – którego tak jak bystrości nie można mu odmówić – powstrzymał go od wykorzystania tego listu inaczej niż do zastawienia pułapki na mnie. W każdym razie z pewnością od dawna już wie o naszym spotkaniu. Ponadto zna te lasy i ruszy na nas. Kiedy się spotkamy, dojdzie do pierwszej bitwy. Może będzie ich mniej niż nas, lecz będą to doświadczeni żołnierze, może wspierani przez konnych łuczników. – Earl zamilkł. Nikt z pozostałych nie śmiał zabrać głosu. Cumberland uśmiechnął się do nich zaciśniętymi ustami. – Skoro jest to zrozumiałe – rzekł – podajcie mi liczbę rycerzy i giermków. A klnę się na Boga, że wolę mieć przy sobie otrzaskanego z wojną giermka niż rycerza, który nie ma o niej pojęcia. Oraz liczbę wszystkich innych zbrojnych. Tylko mówcie o tych, których każdy z was może zebrać w ciągu sześciu dni, żebyśmy mogli dokładnie ocenić nasze siły.

Rozpoczęło się mamrotanie i obliczanie. Tylko jeden z obecnych, niski i szczupły młodzieniec z kręconymi włosami i długą szramą nad prawą brwią, odpowiedział natychmiast.

–Ośmiu rycerzy i jedenastu giermków, milordzie – rzekł. – Nawet jutro rano, jeśli trzeba. Wszyscy z mojej rodziny. Poza tym, kto wie, ilu i jak szybko uda się zebrać? Zawiadomię i sprowadzę, kogo zdołam, ale moi sąsiedzi nie biegną na każde moje wezwanie, tak jak zdają się to robić – zerknął nad stołem na mężczyznę w farbowanym futrze – sąsiedzi lorda Athernockie. Zbrojnych około trzydziestu, ale – na miły Bóg – nie wiem, jak prędko.

Gwar przy stole zaczął cichnąć. Earl siedział, czekając. W końcu obliczyli, że mogą mieć około sześćdziesięciu do osiemdziesięciu rycerzy i giermków oraz ponad stu zbrojnych i najwyżej dwudziestu kuszników. Miejscowych łuczników nie warto było ściągać, gdyż ci, których przyprowadzi Chandos, będą mieli nad nimi ogromną przewagę.

–Dobrze – powiedział w końcu earl. – Gdy tylko uzbieramy tylu, ilu nam potrzeba, ruszymy na spotkanie Chandosa. Powinniście wysłać czujki, które sprawdzą, czy nie mówi się o jego pochodzie.

–Jeszcze słówko, milordzie – powiedział starszy mężczyzna o szerokiej twarzy, siedzący najbliżej earla. – Czy oprócz rycerzy, giermków i zbrojnych chcesz także wieśniaków?

Mimo narastającego bólu głowy Jim zrozumiał, że tamten mówił o miejscowej ludności, która mogłaby się uzbroić w prowizoryczną broń – najczęściej cepy lub kosy – w nadziei na odrobinę rozrywki i łupy. Jim nie wymyślił tego sam. Podsunęła to bogata wyobraźnia i doświadczenie earla...

–...jeśli tylko nie będą się plątać pod nogami, kiedy rozpocznie się bitwa, nie mam nic przeciwko temu. Nigdy nie zaszkodzi, jeśli nieprzyjaciel pomyśli, że jest nas więcej niż w rzeczywistości. Teraz co do zapasów, dodatkowych wierzchowców i jucznych koni...

–Moi panowie – przerwał im w końcu earl. – Nie ma sensu się zastanawiać, jak będziemy walczyć z wrogiem, dopóki nie znamy jego liczebności, pozycji, układu terenu i woli walki, nie mówiąc już o pogodzie i wielu innych rzeczach. Dajmy teraz spokój dyskusjom i nie zwracajmy sobie głowy niedowarzonymi planami. Czy któryś z was dał rozkaz, aby podano nam posiłek i kiedy to nastąpi?

...Chudy mężczyzna w zielono-czerwonej liberii postawił na stole talerzyk z ciasteczkami i wyszedł, zabierając kilka opróżnionych talerzy oraz misek.

–To mi coś przypomina – rzekł earl. – Jaki powód mojej obecności na północy podacie waszym sąsiadom? Tym zacnym szlachcicom, których macie nadzieję sprowadzić? – Trzymał ciastko, znów rozciągając zaciśnięte usta w drapieżnym uśmiechu.

–Cóż, milordzie – odparł Athernockie. – Powiemy im cudowną prawdę. Oburzony ciężkim brzemieniem podatków nakładanych na nas przez Koronę i szerzącą się na dworze korupcją, doszedłeś do wniosku, iż musisz stawić temu czoło i podjąć śmiałe działania – być może nawet zasiąść na tronie, jeśli Bóg pozwoli.

–Radzę wam wszystkim, abyście dla własnego bezpieczeństwa nie mówili niczego takiego – rzekł earl. – Tymi słowami oznajmiłobyście wszystkim, że zamierzacie popełnić zdradę. – Obrzucił ich ciężkim spojrzeniem. – Raczej – ciągnął – powiedzcie im najszczerzą prawdę: że wiadomość, którą ostatnio otrzymałem, dopełniła czary mojej goryczy. Czuję się głęboko znieważony postawą królewskiego dworu, który uwierzył w zeznania Agathy Falon, wydarte jej w okrutnym śledztwie, podczas którego każda kobieta i każdy mężczyzna wyzna wszystko, czego oczekują przesłuchujący. Powiedzcie, że w wyniku tego wycofałem się do moich włości tylko po to, aby znaleźć je zagrożone atakiem tych członków dworu, którzy mają nadzieję uzyskać osobiste korzyści, sprowadzając mnie w charakterze więźnia. – Jego uśmiech poszerzył się, jeszcze bardziej upodabniając go do tygrysa. – Na przykład tacy jak zacny sir John Chandos, kiedy w końcu nas znajdzie – rzekł.

Wokół stołu zapadła długa cisza.

–Zaiste, milordzie – powiedział kędzierzawy młodzieniec – twoje słowa są daleko lepsze od tego, co my zdołalibyśmy powiedzieć. Twoje umiejętności w tej dziedzinie w pełni zasługują na sławę, jaką się cieszą.

–Bez nich nie przetrwałbym tylu lat na królewskim dworze – odparł sucho earl. – Lepiej jednak pamiętajcie nie o moich umiejętnościach, lecz o pierwszej z co najmniej dwóch bitew,

jaką stoczmy przed upływem tygodnia.

Na rozległej równinie rośło tylko kilka wątłych krzaków kolcolistu. Długi szereg jeźdźców powoli ruszył na earla i jego ludzi. Konie z początku szły stępą, by potem ruszyć kłusem, który w końcu przejdzie w galop – tuż przed tym, zanim oba szeregi się zetną. Earl, stojący na środku szeregu i trochę wysunięty przed niego, podniósł rękę i machnął nią dając sygnał do ataku. Po przeciwnej stronie łatwo było dostrzec wyprostowaną szczupłą postać odzianego w zbroję sir Johna Chandosa. Earl rozpoznał go. Obaj rycerze ruszyli na siebie.

Jednakże jadący w środku swego szyku Chandos znajdował się trochę w bok od earla, tak że lord musiał kierować konia w lewo, aby spotkać się z nim, kiedy oba szeregi się zetną. Niczego innego nie oczekiwano po obu dowódcach, a i oni obaj dążyli do tego spotkania. Jeźdźcy po obu stronach earla starali się zrobić mu miejsce.

Chandos chciał tego pojedynku, earl także, a i otaczający go rycerze z giermkami też – tylko rumak Cumberlanda był innego zdania.

Będąc tutaj, na północy, earl zdążył posłać po jednego ze swoich koni, pięknego ogiera, na którego było stać tylko kogoś tak bogatego jak on. Wierzchowiec był waleczny i dobrze wyćwiczony, ale earl wolałby innego, do którego był bardziej przyzwyczajony. Tego także znał, jednak nie jeździł na nim już od dłuższego czasu i teraz rumak – podniecony nadchodzącą walką i widokiem uzbrojonych ludzi – miał swoją koncepcję ataku na wroga. Gnał prosto.

–Niech diabeł usmaży ci bebechy! – ryknął earl, silnie ściskając kolanami boki konia, szarpiąc wodze i bodąc go ostrogą żeby pokazać głupiemu zwierzęciu, w którym kierunku ma biec.

Koń wreszcie rozpoznał znajomy głos i znajome bodźce. Postanowił skierować się tam, gdzie chciał jeździec, i przeszedł w pełny galop.

Jednak już się stało. Szereg, przed którym jechał earl, teraz znacznie go wyprzedzał. Oba oddziały zbliżały się do siebie z połączoną szybkością około trzydziestu kilometrów na godzinę.

Starły się na moment przed tym, zanim earl dogonił swoich ludzi. Wśród kwiku koni, ludzkich krzyków i szczęku metalu oba oddziały rozpadły się na szereg mniejszych grup walczących ze sobą. Wjeżdżając z kopią w rękę w ten galimatias, earl zaledwie zdążył dostrzec jakąś postać zbliżającą się z lewej strony, a potem potworny trzask zagłuszył wszystkie inne dźwięki i pogrążył go w ciemności.

Wydawało mu się, że ocknął się natychmiast, lecz najwidoczniej upłynęło już trochę czasu. Leżał w cieniu samotnego drzewa, na otwartej przestrzeni. Nie mniej niż sześciu zbrojnych stało nad nim, uważnie go obserwując. Nie miał zbroi ani broni i głowa pękała mu z bólu.

Teraz nie miał czasu, żeby się tym przejmować. Pozornie obojętnie powiódł wzrokiem wokół. Jeśli gdzieś w pobliżu stoi dobry koń, którego mógłby dopaść w kilku susach, wystarczy ominąć lub powalić tych, którzy go strzegą. Kiedy znajdzie się na końskim grzbiecie, jego szanse ucieczki się podwoją.

Jednak w pobliżu nie było żadnego konia, natomiast spojrzenie earla napotkało lekko zamgloną postać sir Johna Chandosa zmierzającego ku niemu z jeszcze jednym zbrojnym – zapewne wysłanym do sir Johna z wieścią, że jeniec odzyskał przytomność.

Po chwili rycerz znalazł się przy earlu.

–Jak się czujesz, milordzie? – zapytał Chandos. – Otrzymałeś silny cios w skroń.

–To nic – odparł earl. Z trudem usiadł i oparł się o pień drzewa, w czym pomogli mu dwaj zbrojni, którym Chandos nakazał to skinieniem głowy. – A ty, sir Johnie?

–Dzięki przypadkowi i łasce boskiej – odrzekł Chandos – jestem zdrow i cały. Możesz jechać konno?

–Nie pamiętam, żebym kiedyś nie mógł. Chandos przyglądał mu się przez chwilę.

–Mimo to – powiedział – zaczekamy godzinę czy dwie. Krótki odpoczynek ci nie zaszkodzi – tak samo jak posiłek. Każę ci przysłać wino. Pojedziesz bez zbroi, milordzie. Zostanie przewieziona wraz z twoją bronią, masz na to moje słowo. Niedługo musimy ruszać.

–Dokąd? – zapytał prosto z mostu earl.

–Do londyńskiej Tower – odparł Chandos. – Nie zakujemy cię w żelaza, milordzie, lecz przez cały czas będą jechać przy tobie moi najlepsi ludzie, a i w nocy będziesz równie dobrze pilnowany. Jesteś oskarżony o zdradę oraz próbę użycia czarów przeciwko królowi. Natychmiast po osadzeniu cię w Tower rozpocznie się twój proces.

...Wysoko sklepiona komnata miała wąskie okienka umieszczone wysoko w dwóch długich ścianach. Słabe światło późnego popołudnia sączyło się przez nie, padając głównie na niewielkie podium na końcu sali. Wysoki sufit ginął w mroku, skrywającym także dolne części ścian.

Na podium siedziało siedmiu ludzi – starych mężczyzn w kosztownych strojach. Dwaj z nich nosili na szyjach łańcuchy wysokich urzędników. Pozostali byli dostojnikami kościelnymi i lordami, których znał. Z boku, opodal podium, stał mały stolik, przy którym siedział nieco młodszy skryba w mnisiej czarnej szacie. Mężczyźni na podium siedzieli w wygodnych fotelach.

Earl stał przed podium, między dwoma zbrojnymi; inni, uzbrojeni w halabardy, stali w regularnych odstępach pod ścianami sali. Earl pogardliwie splunął w kierunku podium.

–Chciałem wam tylko pokazać, szlachetni panowie – powiedział – że na wasz widok nie zaschło mi w gardle ze strachu.

–Milcz! – powiedział lord Oksford. Siedział w środku, a jego suchy beznamiętny głos brzmiał zgrzytliwie jak piłka rusznikarza przecinająca metal. – Twój proces już się skończył. Zostałeś tu sprowadzony tylko po to, aby odczytać ci wyrok.

–Co to za proces? – wrzasnął earl. – Oksfordzie, kto wyznaczył ciebie i pozostałych sędziów? Kto podpisał nakaz mojego aresztowania? Nawet nie słyszeliście mojej odpowiedzi na zarzuty, jakie mi postawiono!

–Milcz! Zakneblować więźnia, jeśli znów się odezwie! Robercie de Clifford, earlu Cumberlandzie, powtarzam, iż przyprawiono cię tu tylko po to, by odczytać ci wyrok. – Oksford spojrzał na mnicha przy stoliku. – Czytaj wyrok! – rzekł.

Skryba skreślił ostatni zakrętas na pergaminie, odłożył gęsie pióro i chwycił kilka kartek. Podniósł je do oczu, by odczytać w słabym świetle, i wstał, podkreślając oficjalny charakter dokumentu.

Tekst był po łacinie, ale earl, podobnie jak Chandos – w czasach gdy większość rycerzy nie umiała czytać, pisać ani nie rozumiała tego kościelnego języka – łączył umiejętności

uczonego z zaletami dowódcy.

„Milordzie”, brzmiała sentencja wyroku, „ten sąd odmawia ci prawa do odpowiedzi, ponieważ nie możesz być nadal uważany za człowieka, gdyż zeznania twojej uczennicy dowiodły, iż jesteś czarownikiem. Jako taki zdradziecko usiłowałeś dla osobistych korzyści i profitu mącić rozum naszego dobrego Króla, niechaj Bóg da mu zdrowie. Czyniłeś tak wbrew naukom Świętego Kościoła, który rzuca na ciebie klątwę. Tak więc ten sąd skazuje cię na powieszenie za zdradę, ćwiartowanie za uprawianie czarów, ścięcie za bunt przeciw Kościołowi...”

Krzywiąc usta, earl ponownie splunął pod nogi czytającego wyrok skryby, który zamilkł i cofnął się o krok. – Czytaj dalej – rozkazał earl Oksfordu. Urzędnik znów zaczął czytać.

„...a ponieważ twe czyny plamią godność rycerskiego stanu, ten sąd nakazuje, abyś podczas wieszania i ćwiartowania miał na sobie koszulę z herbem twego rodu, tak by twoje nazwisko i herb zostały zniszczone na zawsze!”

–Nieeee! – zawył nagle earl. Jak szalenciec szamotał się z sześcioma zbrojnymi, którzy próbowali go zakneblować, a jednocześnie powstrzymać od rzucenia się na sędziów. – Mój herb! Moje nazwisko! Nie możecie mi ich zabrać! Nie macie prawa...!

Knebel zamknął mu usta. Zbrojni wywlekli go z sali.

Rozdział 38

Jim stał, patrząc z niesmakiem na earla. Czar prysł i gdyby earl rozejrzał się teraz wokół, zobaczyłby tylko wielką salę Malencontri oraz zbrojnych sir Simona, z niepewnymi i nieszczęśliwymi minami stojących między stołami.

Jednak earl niczego nie widział. Siedział zgarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach, wydając chrapliwe, zduszone dźwięki, które – po całym życiu ukrywania słabości, aby nie wykorzystali ich inni – zapewne były czymś najbardziej zbliżonym do szlochu.

Jim nie spodziewał się, że stworzone przez niego złudzenia będą miały tak potężny efekt, a ostatnie słowa wydanego przez sędziów wyroku spowodują taką zmianę u człowieka, który zalewie kilka sekund wcześniej pogardliwie pluł na sąd. Nie tylko na sędziów, ale i na wydany przez nich wyrok skazujący go na podduszenie stryczkiem, odcięcie ze sznura, wypatroszenie i ścięcie głowy. To wszystko nie przstraszyło Cumberlanda. Załamała go dopiero świadomość tego, że jego herb, a więc także wszelkie zapisy heraldyczne, mają zostać zniszczone na zawsze.

Jim nie wierzył własnym oczom. On tylko sparafrazował słowa wyroku wydanego w tym samym okresie historycznym na sir Hugh'a Despensera. Sir Hugh był tylko ulubieńcem króla, natomiast Cumberland miał w żyłach królewską krew i był przyrodnim bratem monarchy, a także podziwianym rycerzem i dowódcą. Tak samo jak dla Briana i Chandosa, dla niego liczyło się tylko to, kim był i czego dokonał. Kilka słów zniweczyło wszystko, co osiągnął w życiu.

Jim dostrzegł jakiś ruch na podium. Angie instynktownie zrobiła krok w kierunku Cumberlanda. Jim obrócił głowę i zobaczył, że KinetetE zagroziła jej drogę.

–Nie, Angie – powiedziała.

–Nie? – powtórzyła Angie.

–On by tego nie zrozumiał – KinetetE spojrzała na nią z sympatią. – Może gdybyś była jego matką lub siostrą... Ale wszelkie próby pocieszenia ze strony obcej osoby, a w

dodatku mężatki... Nie rozumiałby tego. Może powinnam powiedzieć, że pojąłby to zupełnie opacznie – jako drwinę z jego upadku. On nie zna uczucia, które tobą kieruje. Jak większość ludzi na tym świecie.

–Nie wierzę! – powiedziała Angie. – Ludzie rodzą się z tym. Empatia to...

–Czy rodzi się z nią dziecko, które dusi kaczuszkę albo z ciekawości wydłubuje jej oko? – spytała KinetetE. – Nie, ono uczy się jej, obserwując dorosłych. Ludzie w naszym świecie jeszcze się jej uczą. Umieją współczuć krewnym i przyjaciółom, tym, których kochają, ale nigdy obcym. Patrz... – Położyła dłoń na ramieniu Angie i obróciła ją tak, by spojrzała na Briana i Dafydd.

Jim razem z Angie popatrzył na innych siedzących za stołem. Nawet biskup, nie mówiąc już o Dafyddzie i Brianie, nie okazywał earlowi nawet cienia współczucia. Spoglądali na niego z zainteresowaniem, ale obojętnie, jakby earl był tylko zajęcem, upolowanym i rozszarpanym przez ich psy.

Jim nagle uświadomił sobie, że wszyscy na podium zdają się wiedzieć, co zrobił w głowie earla.

–Jak...? – zaczął, ale przerwał mu głos KinetetE.

–Obawiam się – powiedziała – że Carolinus zdecydował za mnie. W końcu jesteś jego uczniem. Porozmawiaj z nim o tym.

–Przecież on...

Jim spojrzał na zupełnie rozbudzonego już Carolinusa. Mag był przytomny, a w dodatku wyglądał na wypoczętego.

–Nie zadawaj mi pytań, to nie usłyszysz kłamstw – warknął, widząc spojrzenie Jima. – Wystarczy, jeśli powiem, że uznałem, iż wszyscy tu obecni powinni wiedzieć, co robisz. Zapewniłem lorda biskupa, że nikomu nie stanie się krzywda.

Może nie, pomyślał Jim, zerkając na biskupa będącego jedyną osobą, której reakcja naprawdę się liczyła. Biskup nic nie mówił, ale niezbyt przyjaźnie spoglądał na Jima.

–Myślę – mówiła surowo KinetetE do Angie – że już czas, aby ten, który doprowadził go do takiego stanu, wyprowadził go z niego.

–Nie poganiaj chłopaka, KinetetE – rzekł Carolinus.

–Nie ma sprawy – rzekł Jim, obchodząc stół i stając tuż przed earlem. – Milordzie Cumberlandzie?

Earl nie zwracał na niego uwagi. Nadal siedział z twarzą w dłoniach, wydając głuche miarowe dźwięki, którymi wyrażał ból.

–Milordzie!

Nadal żadnej odpowiedzi. Jim równie dobrze mógł próbować zwrócić uwagę kogoś stojącego na odległej o piętnaście kilometrów górze. Pochylił się, zniżył głos i beznamiętnie, lecz z naciskiem powiedział do ucha earla:

–Milordzie. Wszystko to, co tak dobrze pamiętasz, jeszcze się nie wydarzyło i może się nie zdarzyć, jeśli się o to postarasz. Wszystko to zdarzyło się we śnie, który może się spełnić lub nie, zależnie od tego, jak postąpisz.

Earl nie poruszył się i szlochał dalej. Jim czekał. W końcu, kiedy był już gotowy zrezygnować, szloch ustał, earl odjął dłonie od suchej, lecz poblądłej twarzy i powoli podniósł oczy.

–Nie! – rzekł chrapliwie, popatrzysz na Jima przez długą chwilę. – Wiem, co widziałem i słyszałem! Zostaw mnie. To nie był sen!

–Był – rzekł Jim. – Jestem magiem, jak wiesz, i mogę zsyłać takie sny. Tak było i z tym ostrzegawczym snem, który nie musi się urzeczywistnić, jeśli wysłuchasz przestrogi.

–To nie był sen, mówię! – earl podniósł głos, lecz był w nim tylko cień dawnej siły. – Żaden koszmar nie bywa równie realny... – Oszałałym wzrokiem spojrzał na Jima. – I jak ty, niewiele starszy od młokosa, mag czy nie...

–Na okrągłą Ziemię! – przerwał mu Carolinus tonem, jakiego Jim jeszcze nigdy u niego nie słyszał. – Nie sądziłem, że doczekam dnia, kiedy człowiek nie mający pojęcia o magii będzie zuchwale odmawiał magowi jego mocy!

–Mój synu – wtrącił sucho biskup, choć Jimowi wydało się, że słyszy w jego słowach nutę współczucia – jesteś w błędzie. Nasz Pan stworzył zwierzęta, naturalnych i zwyczajnych ludzi, jak również królów i świętych. Czy jest coś dziwnego w tym, że stworzył także i magów?

Powoli, przesuwając wzrok po Carolinusi i biskupie, Cumberland skinął głową.

–Błagam o wybaczenie, milordzie biskupie – powiedział i spojrzał na Jima. – Błagam o wybaczenie, wielki magu.

–Nie jestem wielkim magiem – rzekł Jim. – Ale mam moc. Jeśli pozwolisz, abym ci teraz pomógł, milordzie, pokażę ci, jak możesz wykorzystać to, czego dowiedziałeś się w tym śnie.

–Dowiedziałem się, że nie ujdę wrogom – powiedział beznamiętnie earl.

–Nie – odparł Jim. – Teraz wiesz, że jeśli spróbujesz ich zniszczyć, oni w odwecie zniszczą ciebie. Zorganizowałeś pozorowany najazd na twoje ziemie, aby popchnąć earla Oksforda i jemu podobnych do działań, które mogłyby doprowadzić do ich oskarżenia o zdradę. – Jim pokręcił głową. – Tymczasem twój atak uzmysłowił im, że muszą cię powstrzymać. W tym celu wystarczyłoby im oskarżyć ciebie i lady Falon o czary. Takie oskarżenie bardziej przypadłoby do gustu plotkarzom niż jakiś zwyczajny bunt przeciw podatkom. Ten sen pokazał, czym to może się skończyć.

–Nie jestem czarownikiem – warknął cicho earl.

–Nie – zgodził się Jim. – Jednak razem z lady Falon dostrzeżliście szansę wyrównania porachunków z takimi ludźmi jak ja, moja żona i przyjaciele. Aby się uratować, musisz zaprzestać tych działań – twoich i jej – zanim sprawy zajdą za daleko. – Jim mówił ostrzegawczo i z naciskiem. – Biegu wydarzeń nie uda się powstrzymać, jeśli dojdzie do tego, że lady Agatha zostanie przesłuchana i zmuszona do przyznania się do uprawiania czarów. Jeśli jednak ją powstrzymasz, ci, których uważasz za twoich wrogów, nie będą zmuszeni do podjęcia drastycznych działań. Nie wymuszają na królu, aby podpisał nakaz jej aresztowania. Tylko desperacja mogłaby skłonić ich do podjęcia takiego ryzyka.

–Ha! – rzekł earl głosem nieco bardziej podobnym do dawnego. – To prawda. Taka sama jak to, że mało kto prócz mnie nie przyznałby się do wszystkiego podczas przesłuchania.

–Oczywiście – rzekł Jim. – Będziesz musiał również anulować nakazy aresztowania sir Briana, Dafyddda i mnie, jak również wszystkich innych niesłusznie zaatakowanych lub oskarżonych.

Earl mruknął coś pod nosem z niechęcią, ale nie odmownie. Jim milczał przez chwilę.

–Powinieneś uznać, że tanim kosztem udało ci się wyjść z opresji – powiedział, skręcając się na dźwięk tych pompatycznych słów, ale nie potrafiąc wymyślić takich, które lepiej przekazałyby earlowi tę wiadomość.

Nie powinien się obawiać. I w tym wypadku średniowieczna reakcja była odmienna od spodziewanej. Earl nie uznał jego słów za pompatyczne, tylko za władcze i surowe.

–Dobrze – warknął. – Tylko że w ten sposób Oksford i jego przyjaciele w ciągu sześciu miesięcy podporządkują sobie króla i królestwo.

–Nie zrobią tego – odrzekł Jim, mając nadzieję, że się nie myli. – Czyż mogliby – ciągnął – dopóki jesteś silnym i powszechnie znanym lojalnym poplecznikiem króla? I dopóki nie przyprzesz ich do muru, organizując napady na własne włości i rozpuszczając pogłoski, że to ich sprawka, lub namawiając Jego Wysokość do nakładania coraz większych podatków. Podatków, które w przeważającej części – o czym wiedzą oni i wszyscy w królestwie – szły do twoich kufrów.

Earl cicho mruknął coś pod nosem, ale nie patrzył Jimowi w oczy.

–Jesteś magiem i wybac mi moje słowa. Sprowadziłeś mnie z niebezpiecznej drogi, za co jestem ci wdzięczny. Jednak nie znasz dworu. Oksford i jego poplecznicy znajdą sposób, aby zaatakować mnie i tron. Jestem tego pewny i tobie też radzę.

–Chcę tylko mieć pewność – odparł Jim – że zostawisz w spokoju mnie i moich przyjaciół, a ponadto postarasz się, żeby Agatha Falon zrobiła to samo.

–Taki mag jak ty powinien umieć się obronić... – earl odkaslnął, uświadamiając sobie, że wkracza na niebezpieczny teren. – Ale nałożę jej uzdę i wędzidło i każę zająć się czymś innym. Z tym nie będzie problemu.

–W porządku – powiedział Jim. – A więc możesz zacząć od oddania nam nakazów aresztowania sir Briana, Dafydd a Hywela i mnie oraz wszystkich innych, jak na przykład mojej żony.

–Nie wiem, kto w tej chwili ma te listy...

–Sir Simon mówił, że on je ma.

–Mógł mówić różne rzeczy, ale to nie tak. Królewski oficer, na którym spoczywa obowiązek doprowadzenia... – Earl zreflektował się w ostatniej chwili -...podejrzanych, nigdy nie zabiera dokumentów; aby nie zostały zgubione lub zrabowane. Teraz...

–Mój synu – przerwał mu biskup. – Ledwie ukazano ci drogę prawdy, a już z niej zbaczasz. Oczywiście, że ten biedny rycerz, niech spoczywa w pokoju, ma przy sobie te nakazy.

Earl powstrzymał się od wybuchu, lecz przychodziło mu to z widocznym wysiłkiem.

–Ja też tak sędzę – rzekł Jim. – Zatem, milordzie, jeśli zechcesz podejść do ciała i przynieść mi te dokumenty...

–Wielkie nieba! – krzyknął earl. – Królewski syn ma spełniać twoje zachcianki? Możesz robić ze mną, co chcesz. Nie jestem niczym sługą prócz mojego starszego brata, który zasiada na tronie. Nie wymagaj ode mnie takich usług!

–Ja to zrobię – powiedział Dafydd, tak szybko zrywając się na równe nogi, że wyprzedził Briana i biskupa.

–Milordzie biskupie – powiedział. – Miałem już do czynienia z nieboszczykami.

–Ja też – rzekł Brian.

–Łuczniku i rycerzu – powiedział biskup, wstając z dystyngowanym spokojem. – Jestem dostojnikiem Kościoła Świętego, a więc godzi się, aby to moje ręce dotknęły człowieka, który umarł, nie mając okazji wyznać swoich grzechów. Zważcie także, iż obszukując martwego i odbierając mu nakazy, okazalibyście brak szacunku dla śmierci, co samo w sobie jest grzechem, podczas gdy ja mogę zrobić to, nie popełniając go.

–Stać! – zawołał nagle earl. – Do licha, nie mogę na to pozwolić! Sam to zrobię!

–Milordzie – rzekł chłodno biskup, schodząc z podium. – Ja się tym zajmę. – Z tymi słowami doszedł do Simona. – Requiescat inpace – rzekł, robiąc znak krzyża nad nieruchomym ciałem i nachylając się, żeby wsunąć rękę za pazuchę rycerza. – Ach, tu są.

Wyjął coś, co wyglądało jak paczuszka owinięta w żółtą irchę. Była przewiązana czarną wstążką. Nie wracając na podium, biskup rozwiązał wstążkę i wyjął plik złożonych kart pergaminu. Stojąc tam, rozkładał jedną po drugiej i uważnie je studiował.

Simon jęknął.

W wielkiej sali zapadła nagle grobowa cisza. Jim, Angie, Carolinus i KinetetE zamilkli tylko na chwilę, ale zbrojnym Simona zupełnie odebrało głos. Wszyscy bez wyjątku mieli szeroko otwarte oczy i pobladłe twarze.

–Nie bądźcie głupi! – warknęła KinetetE. – Wasz rycerz wcale nie był martwy, tylko ogłuszony! Nie jest martwym przywróconym do życia, żeby wam rozkazywać!

Zbrojni tylko gapili się na nią lub spoglądali po sobie. Pozostali bladzi i milczący.

–Jeśli tak, to czemu nie powiedziałaś im o tym wcześniej? – zapytała Angie.

KinetetE obrzuciła ją gniewnym wzrokiem.

–Było mi obojętne, czy jest nieprzytomny, czy martwy – powiedziała. – Mam dość ludzi, którzy są doskonale obeznani z ranami i śmiercią, ale nadal widzą cud lub czary we wszystkim, co...

–To bardzo interesujące – przerwał jej biskup, który właśnie kończył przeglądać dokumenty. – Milordzie, oprócz pytania, w jaki sposób ten twój rycerz zamierzał dokonać aresztowania earla Oksforda i earla Winchestera, co ma znaczyć rozkaz zatrzymania króla podpisany przez ciebie jako „regenta działającego z upoważnienia księcia Edwarda”?

–Te przekłete gryziopórki! – krzyknął earl. – Zawsze stroją sobie żarty, kiedy tylko mają chwilę przerwy w pracy! Jeśli podrobili na tym piśmie mój podpis, każę obedrzeć ich ze skóry!

–Jeżeli to słudzy Kościoła i zostali ci tylko wypożyczeni jako skrybowie, niczego takiego nie zrobisz! – rzekł stanowczo biskup. – Prawa duchowieństwa są jednym z najcenniejszych przywilejów Kościoła i jego głowy. Jedynie Kościół rozważy ich grzechy i ukarze ich w razie potrzeby!

–Pochodzą z ludu, wyuczeni przez tych, których wyznaczyłem w tym celu – powiedział earl. – Niektóre sprawy, o jakich piszą są tajemnicą tronu, więc nie chciałbym sadzać do takiej pracy duchownych, gdyż moi pisarze mogą wpaść w ręce tych, którzy nie znają bojaźni bożej i mogliby próbować wydobyć z nich informacje. Wezmę ten pergamin oraz te nakazujące aresztować Oksforda i Winchestera. Resztę może wziąć sir James.

–Nie, nie – sprzeciwił się biskup. – Ja wezmę wszystkie.

–Milordzie biskupie – powiedział earl, z trudem powstrzymując gniew. – To nie sąd, a ty

nie jesteś sędzią gdyż te sprawy nie dotyczą Kościoła...

–Ha! – warknął biskup, a w jego oczach zabłyśł ten sam ogień, jaki pojawiał się w nich, ilekroć wspomniano o biskupie Odo, jego niedościgłym wzorze. – Król zasiada na tronie z łaski Boga i obowiązkiem Kościoła jest bronić go przed wszystkimi, którzy próbują go niepokoić. Obawiam się, że to fałszerstwo mogłoby być zagrożeniem dla Jego Wysokości! – Podszedł do podium i podsunął mu pod nos pergamin. – Chcesz powiedzieć, że twój podpis na tym dokumencie został podrobiony, a nie skreślony twoją ręką?

–Klnę... – earl zakrztusił się, urwał i poczerwieniał z wściekłości, ale najwyraźniej zrezygnował z wypowiedzenia tego, co miał na końcu języka. Trudno mu było znaleźć przekleństwo, które wyraziłoby jego uczucia i nie obraziło wysokiego dostojnika Kościoła.

–Ja... – zaczęła KinetetE i też przerwała, spoglądając na Carolinusa.

–Masz zupełną rację, KinetetE – powiedział wesoło Carolinus. – Bądź tak miły i podaj mi ten pergamin, milordzie biskupie...

Biskup, który najwyraźniej nie chciał opuszczać swojego miejsca nad nieszczęsnym earlem, podał pergamin Dafyddowi, a ten Jimowi, który wręczył go Carolinusowi.

–Ach, tak jak myślałem – rzekł Carolinus, rzuciwszy okiem na dokument. – Nie ma potrzeby wypytywać jego lordowską mość. Mogę sprawdzić, czy ten podpis został podrobiony... Owszem, tak jak podejrzewałem. Nie napisał tego wyćwiczony skryba. Tylko człowiek mieszkający daleko stąd i piszący zupełnie innym charakterem pisma mógł w taki sposób podrobić podpis milorda. Zobaczcie sami.

Pergamin wrócił tą samą drogą. Jim zerknął nań, gdy przechodził przez jego rękę. Przyjrzał mu się uważnie. Podpis był – przynajmniej teraz – podrobiony bardzo znanym charakterem pisma. Jego własnym.

Dafydd stał z wyciągniętą ręką. Jim oddał mu pergamin i obrzucił przenikliwym spojrzeniem Carolinusa, który uśmiechnął się w odpowiedzi.

–Istotnie – powiedział biskup, z lekkim zdziwieniem oglądając nakaz. – Teraz nawet bardziej wygląda mi na fałszykat niż przedtem.

–Ha! – powiedział z satysfakcją earl. – A więc oddajcie mi go. – Wyciągnął rękę, ale jego palce chwyciły tylko powietrze.

–Nie – rzeki gładko Carolinus, trzymając pergamin. – Ja go zatrzymam i wszystko sprawdzę. A tymczasem złożę go w bezpiecznym miejscu.

Pergamin znikł z jego dłoni. Earl i biskup byli wyraźnie rozczarowani, ale nie zdążyli nic powiedzieć, gdyż w tym momencie z najbliższego z trzech kominków wielkiej sali nadleciał głuchy przeciągły głos – jakby ducha mówiącego przez megafon.

–Milordzie?

Głos należał do Hoba. Najwyraźniej skrzat chował się głęboko w kominie z obawy przed obcymi. Zbrojni znów znieruchomieli jak posągi. Teraz już nikt nie zdołałby ich przekonać, że Jim nie potrafi w razie potrzeby wezwać na pomoc diabła. Nie było sensu tłumaczyć im, że to tylko zamkowy skrzat. Słyszeli ten głos i każdą komórką ciała wyczuwali prawdę. Nawet gdyby zobaczyli Hoba, uznaliby go za diabła w przebraniu.

–Milordzie, lady Geronde przysyła wiadomość dla niego. Wybacz, milordzie, że przeszkadzam, ale to bardzo ważne!

–Dla kogo? – zapytał Jim. – Jaką wiadomość?

–Muszę powiedzieć ci to szeptem, milordzie. Możesz podejść do kominka, żeby nikt nie usłyszał?

Rozdział 39

Mrucząc coś pod nosem, Jim ruszył w kierunku kominka i wpadł na Carolinusa, który też zerwał się na równe nogi.

–W porządku, Carolinusie – powiedział trochę ostrzej, niż zamierzał. – Sam dowiem się, o co chodzi Hobowi.

–Więc zrób to! – warknął Carolinus. – Tak się składa, że idę wygoić ranę sir Simona.

Carolinus precisnął się obok Jima, który z trudem utrzymywał nerwy na wodzy. Wpadł w szal, widząc Angie związaną na rozkaz Simona, ale na pozór zachował spokój. Był cierpliwy wobec earla, tolerancyjny dla KinetetE i uprzejmy dla biskupa, chociaż oni wszyscy zdradzali skłonność do aroganckiej wyniosłości, mimo że wszyscy znaleźli się nieproszeni w jego zamku i domu. Teraz wyglądało na to, że będzie musiał pocieszać Hoba, który zapodział się gdzieś wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny.

Jim podszedł do kominka, obserwowany przez zbrojnych Simona, którzy w milczeniu kiwali głowami do siebie, zgodnie uznając, iż właśnie czegoś takiego się spodziewali. Nie zwracając na nich uwagi, włożył głowę w kominek – teraz już ledwie ciepły.

–Tutaj... milordzie – usłyszał cichy szept i odwróciwszy się, zobaczył znacznie wyżej, niż się spodziewał – odwróconą do góry nogami niewyraźną postać Hoba, który rękami i nogami zapierał się w narożu komina, utrzymując się tam dzięki naciskowi na ściany lub jakimś niewidocznym dla Jima uchwytem.

–Zejdź niżej! – powiedział Jim. – I mów trochę głośniej. Ledwie cię słyszę!

–Tak, milordzie – szepnął Hob, schodząc mniej więcej do połowy dzielącej ich odległości. – Po prostu... dworski Hob... wcale nie nadęty... może ty... nosa... zadzierał... powiedział mi... a więc... Malvern...

–Blżej! Głośniej! – warknął Jim. – Nie mogę cię zrozumieć, jeśli nie słyszę czterech twoich słów na pięć. Powiedz mi to, co najważniejsze.

–Milordzie, on usłyszy!

–Nie, nic podobnego. A nawiasem mówiąc, co za on! Poza tym nikt cię nie usłyszy.

–Och, to w porządku – rzekł Hob normalnym głosem. – Obawiałem się... no nic, wszystko w porządku.

Zszedł kominem, najwyraźniej nie potrzebując żadnych uchwytów, i zatrzymał się, pozostając niewidoczny dla obecnych w wielkiej sali.

–Widzisz, milordzie – rzeki – królewski Hob, w tym miejscu zwanym dworem, okazał się bardzo porządny. Zabrałem na spotkanie z nim Hoba z Malvern i nadal byliśmy na dworze, kiedy mag Carolinus pojawił się z milordem biskupem i earlem Zunder... Sunder... tym wielkim człowiekiem...

–Cumberlandem – podpowiedział Jim.

–Właśnie – rzekł Hob. – Z milordem Cumberlandem. Hoby z Malvern i dworu były ze mną i słuchaliśmy go, kiedy Carolinus i milord biskup przybyli tutaj. Milord Cumberland rozmawiał z tą damą, której nie lubisz...

–Z Agathą Falon?

–Tak się nazywa... Opowiadał jej o tym, jak wynajął ludzi, żeby splądrowali jego ziemie,

ale Chandos za szybko dowiedział się o tym i powstrzymał ich – o czym dobrze wiesz, milordzie. W każdym razie królewski Hob i Hob z Malvern wskoczyli do komina, gdy tylko pojawił się Carolinus z milordem biskupem. Ja też uciekłem, zanim biskup nas zobaczył, bo biskupi wszystko widzą, a potem pojechaliśmy na dymie z Hobem z Malvern prosto do jego zamku. Jednak wtedy coś się stało. Bardzo przepraszam, milordzie!

–Przepraszasz? – rzekł Jim. – Za co?

–No cóż, wiesz, że my, skrzaty, potrafimy dochować tajemnicy. Jednak tobie, oczywiście, mówię o wszystkim i zapomniałem, że Hob z Malvern może powiedzieć o tym lady Geronde. W końcu jest jego panią, wiesz.

–Rozumiem. No dobrze. O czym jej powiedział?

–O milordzie Cum... tym wielkim człowieku, a ona była bardzo wzburzona. Powiedziała, że trzeba powiadomić sir Briana, żeby załatwił to, zanim on opuści Malencontri!

–Hobie – rzekł Jim. – Dość tych tajemnic. Opowiedz mi o wszystkim, nazywając rzeczy po imieniu. Dokładnie to, co chcesz mi powiedzieć! Jeżeli obawiasz się kogoś, ja cię obronię. Jesteś w domu! Nie musisz się chować i szeptać!

–Och, skoro tak mówisz, milordzie! Nie boję się!

Nagle Hob wyskoczył z komina i wylądował na ramieniu Jima. Wskazał palcem na Briana.

–Milady Geronde obawia się, że sir Brian może wypuścić earla... bez zapłaty. On powinien dostać obiecane pieniądze!

W tym momencie wrzask earla zagłuszyłby wszystkich, gdyby Brian nie ryknął głośniej.

–Pieniądze?! – zakrzyknął Brian. – Geronde?! Hobie, o czym ty mówisz?!

–Lady Geronde mówi, że earl powinien zapłacić ci czterdzieści funtów, które jest ci winien. I masz się postarać, żeby to zrobił.

Tym razem wrzask earla rzeczywiście zagłuszył wszystkich.

–Czterdzieści funtów!

–A więc to tak, milordzie – rzekł Brian, podnosząc się z fotela i mierząc spojrzeniem earla. – Teraz rozumiem. Jesteś mi winien czterdzieści funtów za udział w tym najeździe – na twoje włości! Jakież to dziwne! Mimo wszystko jesteś mi je winien.

Earl zerwał się na równe nogi i przeszył go wzrokiem, co bynajmniej nie zbiło Briana z tropu.

–Na wszystkie piekielne ognie! – wrzasnął earl. – Nigdy nie widziałem cię na oczy, dopóki nie przyprowadził mnie tu Carolinus!

–Powiedziano mi – rzekł Brian – że drugą część zapłaty wręczy mi najznamienitszy szlachcic w tym kraju, natychmiast po sprawie. Minęło już trochę czasu, a ja nie otrzymałem drugiej części. Co więcej, nie ma nikogo znamienitszego od ciebie w tym kraju, milordzie – oprócz Jego Wysokości Króla, niech Go Bóg błogosławi – a trudno mi uwierzyć, że Jego Wysokość organizowałby najazd na włości Jego ulubionego earla, w proteście przeciwko podatkowi nałożonemu przez siebie!

–Kto powiedział ci o tej zapłacie?

–Pewien szlachcic na służbie lorda Chestera. Skrzyżowałem z nim kopie na turnieju i znam go jako zanego rycerza dotrzymującego słowa i złożonych obietnic.

–Jego nazwisko?

–Ono nie ma nic do rzeczy, milordzie. W tej chwili mówimy tylko o czterdziestu funtach, jakie jesteś mi winien.

–Które obiecał ci jakiś nie znany mi człowiek. Phi! – powiedział earl. – To on ci je obiecał. Odbierz je od niego, jeżeli go znajdziesz!

–Zaprzeczasz, że jesteś mi je winien? – Brian nie należał do ludzi odznaczających się szczególną cierpliwością, a dobrze go znający Jim wiedział, że przyjaciel zaraz ją straci. Wprawdzie Brian miał ręce opuszczone wzdłuż boków, ale zaciśnięte w pięści.

–Hob – powiedział pospiesznie Jim – właśnie powiedział nam, że w rozmowie z lady Falon przyznałeś, że wynająłeś oddział Briana, milordzie.

–Czy mam odpowiadać na zarzuty stworzenia, które nie tylko nie jest chrześcijaninem, ale nawet człowiekiem? – Earl był bliski splunięcia na podium. – Idź poszukać gdzie indziej tego legendarnego złota...

–Dość gadania! – Brian stracił cierpliwość. – Ponieważ zaprzeczasz, lordzie Cumberlandzie, w imię Boże nazywam cię kłamcą i oszustem, a powiem nawet nikczemnikiem, jeśli nie odpowiesz na to w sposób godny rycerza. Tak też będę mówił wszystkim szlachcicom, których kiedykolwiek spotkam!

–Na Boga... – Cumberland sięgnął do pasa, nie znalazł tam broni i zacisnął dłoń w pięść, którą potrząsnął przed nosem Briana.

–Nie! – zawołała KinetetE. – Nie chcę tu bójk ani rozlewu krwi. Carolinusie, zechcesz... Czy też mam sama?

–Ja się tym zajmę – rzekł Carolinus. – Robercie de Clifford, spójrz na mnie. Earl z rozmysłem odwrócił wzrok.

–Robercie de Clifford – rzekł powoli Carolinus. – Spojrzysz na mnie, czy tego chcesz, czy nie.

Jim poczuł to. Wszyscy to poczuli. To nie diabła z komina najlepiej zapamiętają zbrojni sir Simona – choć nie będą w stanie w żaden sposób opisać tego komuś, kto tu nie był. Podczas kilku lat spędzonych w tym czternastym wieku, używając magii lub tylko obserwując jej efekty, Jim nigdy nie doznał czegoś takiego jak teraz.

Moc wypełniła wielką salę, ogarniając wszystko. Earl patrzył w oczy Carolinusa.

–My, magowie – rzekł Carolinus chłodnym i spokojnym tonem – staramy się nie krzywdzić nikogo, chrześcijanina, człowieka czy kogokolwiek. Zaiste, cała nasza sztuka nie jest w stanie nikogo skrzywdzić, chyba że w niewprawnych rękach. Jednak niektórzy z nas, na przykład ja czy KinetetE, w wyniku wieloletnich badań doszliśmy do wniosku, że możemy osiągnąć kolejny szczebel magicznych zdolności. Tyle że ta magia nie powinna być ograniczona nakazem używania jej wyłącznie do obrony. – Zamilkł. Obaj z earlem spoglądali na siebie. – Robercie de Clifford Plantagenecie – podjął Carolinus. – Powiem tak. Nie grozę ci. Jednak od tej chwili będziesz mówił tylko prawdę. Czy to ty jesteś odpowiedzialny za najazd na własne ziemie?

Wszyscy obecni w wielkiej sali poczuli się tak, jakby zaczęło brakować im tchu.

–Tak – odparł chrapliwie earl.

–Czy to ty zdecydowałeś, że uczestniczący w nim ludzie mają dostać za to pieniądze?

–Tak.

–Zatem zapłać mu. Teraz. Earl bezradnie rozłożył ręce.

–Nie mam przy sobie czterdziestu funtów.

–Są jednak miejsca, gdzie trzymasz pieniądze, nawet więcej niż czterdzieści funtów?

–Tak.

–Pomyśl o jednym z nich.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Carolinus znikł i natychmiast pojawił się z powrotem. Earl miał zdziwioną minę, gdyż siedział w fotelu, chociaż nikt nie spostrzegł, kiedy w nim zasiadł. Na kolanach miał jasnobrązowy skórzany mieszek. Spojrzał nań ze zdumieniem.

–Brianie – rzekł Carolinus. – Twoje czterdzieści funtów jest w tej sakiewce. Milord da ci je.

Brian przez chwilę spoglądał na mieszek, a potem podszedł do siedzącego earla, który bez słowa wręczył mu sakiewkę. W panującej w wielkiej sali ciszy wyraźnie było słychać pobrękiwanie metalu. Brian rozpromienił się. Zabrał mieszek i wrócił na swoje miejsce.

–Sir Simonie – ciągnął Carolinus, nadal chłodnym i stanowczym głosem, chociaż trochę głośniejszym. – Jesteś już przytomny, od kiedy cię uleczyłem. Przestań udawać, wstań i zabierz swoich ludzi tam, skąd przybyliście. Pozbierajcie waszych zabitych. Milordzie, wydaj mu rozkaz.

–Idź, Simonie.

Simon wstał. Przez chwilę patrzył w oczy Brianowi, który obdarzył go promiennym uśmiechem. Odwrócił się i powoli poszedł w kierunku drzwi, a jego ludzie pozbierali ciała towarzyszy i ruszyli za nim.

–Milordzie – rzekł Carolinus. – Wróć tam, skąd przybyłeś. Earl znikł.

–Milordzie biskupie – Carolinus mówił coraz wolniej, chociaż jego głos nadal rozbrzmiewał w każdym zakątku wielkiej sali. – Wszyscy jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni, a ja szczególnie. Teraz jednak muszę odejść. Czy mogę odesłać cię do twojej rezydencji?

–Czy mogę ci pomóc, Carolinusie? – zapytał z niepokojem biskup. – Z pewnością powinieneś...

–Dziękuję. Istotnie potrzebuję odpoczynku, ale poszukam go gdzie indziej, kiedy się rozstaniemy. Najlepiej pomożesz mi, jeśli pozwolisz mi odesłać cię do domu.

–Niechaj tak będzie. I biskup znikł.

–A teraz... – powiedziała Angie, ruszając do Carolinusa. Zanim zdążyła zrobić choć krok, mag nagle oklapł. Zamknął oczy i osunął się na fotel, jakby zapadając się w sobie. Zdawał się kurczyć, stawać się kruchy i bardzo, bardzo stary.

–Ja się nim zajmę – powiedziała KinetetE, omijając Angie i podchodząc do fotela, w którym mag teraz bardziej leżał, niż siedział.

–Musimy zanieść go na górę, do łóżka... – Angie próbowała wcisnąć się między KinetetE a Carolinusa, ale bezskutecznie. – Nie rozumiesz? On jest wyczerpany. Musimy...

–Bardziej wyczerpany, niż zdajecie sobie sprawę – powiedziała KinetetE, wodząc rękami w powietrzu nad nieruchomym Carolinusem. – I potrzebuje innego rodzaju opieki, niż możecie mu zapewnić. To moja wina. Pozwoliłam mu na ten ostatni wysiłek... Odsuń się! – warknęła na Angie. – Tylko ja mogę mu pomóc, a nie wy! Zabieram go, niezwłocznie. Zawsze za bardzo się angażuje. Jeśli będzie miał szczęście, zobaczycie go znowu... – Zniknęła wraz z Carolinusem.

Angie, Jim, Brian i Dafydd spojrzeli po sobie.

–Daj Boże – rzekł Brian.

Rozdział 40

–W końcu – powiedziała Angie, wchodząc do słonecznego pokoju i rzucając się na fotel – bankiet jest gotowy. Dziewięćdziesiąt procent dań ugotowano, a reszta wymaga tylko podgrzania przed podaniem. Możemy w każdej chwili bez problemu postawić je na stole.

–Mhm – rzekł Jim, mozolnie kreśląc coś na kawałku papieru.

–Jednak wolałabym, aby Brian i Geronde nie wybierali się na przejażdżkę, nie mówiąc mi o tym, a Dafydd nie odchodził do lasu, żeby wypróbować nowe strzały. No nic, jak tylko wrócą, zaczynamy. Służba nie może się doczekać, kiedy zasiądzie w wielkiej sali... Co robisz?

–Ach, to? – odparł zamyślony Jim.

Szczególnie Brian nalegał, napomykał i prawie domagał się, aby uczcić uratowanie Roberta i Carolinusa, nie mówiąc już o zwycięstwie nad sir Simonem i Cumberlandem. Jim nie spodziewał się, że zajęta przygotowaniami do uczyty Angie może go zaskoczyć.

–Wykresy kołowe – odparł. Pokazał jej kartkę grubego szarego papieru. – Próbowałem wyobrazić sobie coś, co jest poza wszystkim, i te wykresy miały mi w tym pomóc. Widzisz?

–Po co ci to?

–Nie pamiętasz, jak Carolinus powiedział earlowi, że istnieje cały obszar magii poza tym zwyczajnym, znany jedynie kilku największym magom? Takim nielicznym jak on czy KinetetE, którzy w swych magicznych studiach doszli do punktu, gdy musieli stawić mu czoło – a ta magia mogła zarówno pomagać, jak ranić?

–Oczywiście, pamiętam. Tylko czy musisz przejmować się tym właśnie teraz?

–Sam nie wiem. Dwukrotnie dysponowałem wystarczającą ilością magii, aby przenieść nas do naszego świata i nie zrobiłem tego, a potem zużyłem ją na inne rzeczy. Jakby ci się podobało, gdybyś w każdej chwili mogła uciec do naszych czasów, kiedy tylko byś chciała?

Angie spojrzała na niego, zaskoczona i przejęta.

–Nie patrz tak na mnie – rzekł. – Oczywiście, uprzednio wzięlibyśmy pod uwagę dobro Roberta. Wiesz jednak, iż martwię się, że ludzie mnie przejrzą. A zamkowa służba już...

–Naprawdę – przerwała mu Angie. – Naprawdę chciałabym, żebyś wybił sobie z głowy te obawy, jak również wszystkie inne związane z...

–Nie można o tym tak po prostu zapomnieć. A co by było, gdybyśmy utracili wszystkich przyjaciół i nadal musieli tu tkwić? Ta historia z Robertem i królem sękatych dowodzi, że nie przetrwalibyśmy tu sami. A jeśli służba już prawie mnie przejrzała, to jak długo potrwa, zanim nasi najlepsi przyjaciele również odkryją prawdę, nawet jeśli nie będą chcieli jej dostrzec?

–Jim, to po prostu śmieszne! Cały ten pomysł opiera się na czymś, co wydało ci się, że zauważyłeś lub usłyszałeś od mieszkańców zamku. Jeśli w to wierzysz, zapytaj ich, co o tobie myślą spytaj, czy...

–Mówiłem ci, że...

Przerwał mu dziki wrzask na dachu wieży.

–Do broni! Do broni! Pięciu rycerzy w pełnych zbrojach i pół setki lekko uzbrojonych konnych nadeżdża szybko zachodnią drogą...!

Resztę słów zagłuszyło donośne łomotanie w kawałek metalowej szyny pełniącej w Malencontri funkcję syreny alarmowej.

–Robert! – krzyknęła Angie, odwracając się. – Śmiertelnie się przestraszy!

–Zaczekaj, Angie! – zawołał Jim. – Może powinnaś być przy mnie, kiedy wydam rozkaz...

Lecz Angie już wypadła z komnaty, kierując się do pokoju, w którym Robert przebywał pod opieką piastunki. Klnąc pod nosem, Jim pobiegł za nią.

Wpadł do pokoju Roberta i zastał Angie trzymającą dziecko w objęciach i lekko poklepującą je po plecach, jakby chciała, aby mu się odbiło po posiłku.

–No już, już... – mówiła.

–Milady! – protestowała niańka.

–Nic podobnego! – powiedziała Angie. – Po prostu dzielnie to znosi.

Robert, bacznie obserwujący Jima przez ramię trzymającej go Angie, wyjął palce z buzi i wesoło pisnął.

–Angie – rzekł Jim. – Nic mu nie jest, a ja chcę, żebyś była przy mnie, kiedy wydam rozkazy do obrony zamku, abyś знаła swoje obowiązki.

–Masz – powiedziała Angie, oddając Roberta piastunce. Myślę, że już się uspokoił. – Z miłym uśmiechem odwróciła się do Jima. – No, co chciałeś?

–Chodź – powiedział Jim.

Odwrócił się i poszedł pierwszy. Przeszli przez korytarz i schodami na dach wieży. Nie było tam nikogo. Metalowa szyna jeszcze wibrowała i kołysała się.

–Co jest? – mruknął Jim.

Ruszył w kierunku ambrazury, żeby samemu rzucić okiem, ale powstrzymał go głos, który rozległ się za jego plecami.

–Milordzie!

Głos należał do Yvesa Mortaina, awansowanego na dowódcę zamkowej drużyny, kiedy dotychczasowego – Theolufa – wyniesiono do rangi giermka Jima – niezwykle, lecz czasem spotykany awans, szczególnie wśród doświadczonych żołnierzy.

To Brian zaproponował Theolufa. Jim nie zamieszkiwał w Malencontri dostatecznie długo, aby wziąć na giermka młodszego syna któregoś z sąsiadów, jak zazwyczaj robili rycerze. Ponadto nie był w stanie należycie wyszkolić młodego szlachcica. Chłopiec wiedziałby więcej od niego, a jednocześnie niewiele mógłby pomóc. Theoluf natychmiast okazał się o wiele użyteczniejszy od jakiegokolwiek niedoświadczonego młokosa.

Theoluf zaś zaproponował na swoje miejsce Yvesa. Ten szczupły i czarnowłosy mężczyzna o kocim chodzie był młodszym wydaniem Theolufa – żyłastym, zahartowanym w bojach weteranem – i natychmiast wszedł w swoją rolę.

Teraz, odwróciwszy się, Jim i Angie zobaczyli wchodzącego po schodach Yvesa. Prawie włóki za sobą jednego ze zbrojnych – młodzieńca z pierwszym zarostem na brodzie i paniką w oczach. Młodzik dreptał na czubkach palców, ponieważ Yves trzymał go za włosy i prawie unosił nad ziemię.

–Milordzie, milady! – zawołał, podchodząc do nich. – Wybaczcie, to moja wina. Ten baran stał na warcie pod moim nadzorem. Zostawiłem go samego tylko na moment. I właśnie znalazłem go w słonecznym pokoju, do którego pobiegł bez rozkazu, po tym jak

wszczął alarm. Chciał zawiadomić was osobiście i znalazłem go tam czekającego na milorda i milady. – Urwał, gdy podeszli bliżej. Przystanął i pociągnął młodzika za włosy, obracając go w kierunku jednej z ambrazur. – A teraz, puddingogłowy – rzekł groźnie. – Co tam widzisz? Powiedz!

Zbrojny przez chwilę łapał oddech, a potem odzyskał głos.

–Sześciu...

–Co?! – Yves szarpnął go za włosy, wydobywając z jego ust głośny pisk.

–Czterech, chciałem powiedzieć czterech rycerzy w zbrojach. To wszystko, mistrzu, milordzie, milady – tylko czterech opasanych rycerzy. Dwóch innych w podobnych zbrojach, ale bez rycerskich pasów – zapewne giermkowie.

–A pozostali? – zapytał Yves.

–Dwudziestu w lekkich zbrojach, z mieczami i włóczniami. Dziesięciu konnych łuczników. Zapadła cisza, a potem Yves ponownie szarpnął nieszczęsnego wartownika za włosy.

–Tam nie ma więcej zbrojnych, dowódco! – zawył młodzik. Jim skręcał się w duchu, ale do tej pory nauczył się rozsądnie nie krytykować swoich ludzi w obecności ich podwładnych.

–Kazałem ci powiedzieć, co widzisz! – wycedził Yves. – Jest tam dwudziestu konnych, o których nie wspomniałeś. Co z nimi?

–To słudzy i paziowie! – jęknął wartownik. – Słudzy i paziowie z zapasową bronią oraz bagażami rycerzy i giermków!

Yves w końcu puścił go, popychając tak, że młodzik o mało nie wyleciał za mur, z którego spoglądał.

–Ba! – rzekł Yves, nagle znacznie spokojniejszym tonem. – A jeśli pod osłoną nocy tych dwudziestu wyjmie z bagaży broje oraz broń i rankiem stanimy przed niemal dwukrotnie liczniejszym przeciwnikiem? – Odwrócił się do Jima i Angie. – Jak powiedziałem, to moja wina, milordzie, milady. Ukarzcie mnie, jak uznacie za stosowne. A tymczasem, gdybyście rzucili okiem z murów, rozpoznalibyście, kto nadjeżdża.

–Cóż – powiedziała Angie. – Herb na pierwszej tarczy... czy to nie znak sir Johna Chandosa?

Jim spojrział. Herb na tarczy pierwszego rycerza rzeczywiście przedstawiał złoty trójkąt zajmujący środek tarczy, skierowany podstawą ku górze, a wierzchołkiem w dół. Pozostała część tarczy wokół tego złocistego klina była jasnyniebieska. Lazur i złote runo, jak powiedzieliby znawcy heraldyki.

Rozdział 41

Zaprowadzili sir Johna do słonecznego pokoju, gdzie mogli porozmawiać w spokoju. Angie po drodze powiedziała mu o bankiecie i że nie mogą zacząć bez Briana, Geronde i Dafydda. Rycerze sir Chandosa, a z pewnością on sam, oczywiście zasiądą przy honorowym stole. Niestety, nie będą mogli zaprosić giermków i żołnierzy, gdyż mieszkańcy Malencontri wypełnią prawie całą wielką salę.

–Absolutnie tego nie oczekiwałem – rzekł Chandos, gdy wchodzili po schodach. – Wielce to uprzejmie z waszej strony zapraszać mnie i moich rycerzy, kiedy przybyliśmy tak niespodziewanie. Jeśli trafiliśmy na jakąś prywatną uroczystość, nie chciałbym przeszkadzać...

Wcale nie przeszkadzał, zapewnili go Jim z Angie. – Z ulgą to słyszę! – odparł Chandos.

– Z tego, co słyszę, za późno przybywam z moim ostrzeżeniem. Ale nic się nie stało. Jakie ostrzeżenie, chcieli wiedzieć gospodarze.

–W świetle tego, co mi powiedzieliście, to nic wielkiego, ale i tak miło mi to powiedzieć – odparł Chandos.

Do tego czasu dotarli do słonecznego pokoju i usiedli. Słudzy już wcześniej zdążyli postawić na stole wino i zakąski.

–Jak już mówiłem – rzekł Chandos, skosztowawszy wina i pogryzając zakąski zwane „wisielcami”, chociaż trzeba było sporej wyobraźni, aby dopatrzeć się w nich takiego kształtu – przybyłem, aby was ostrzec, ale stwierdziłem, że już nie jest to potrzebne. Mimo wszystko miło mi złożyć tę wizytę, chociaż KinetetE mogła uprzedzić mnie, że to zbyteczne, kiedy spotkała mnie trzy dni temu na królewskim dworze.

–KinetetE na dworze? – zdziwiła się Angie. – Nie wiedziałam, że się tam wybiera. A więc znasz KinetetE, sir Johnie?

–Spotkałem ją już kiedyś, przelotnie i nie na dworze – odparł Chandos. – Tym razem jednak przybyła wyjaśnić mi powód twojego zniknięcia z sir Brianem po potyczce na ziemi Cumberlanda, jak może pamiętasz, James.

–Ach tak? No, tak – rzekł zaniepokojony nagle Jim. – I co ci powiedziała?

–No, że magiczne sprawy wielkiej wagi wymagały waszej obecności w innym miejscu. Domyśliłem się, że przyczyną było coś takiego, ale przyjemnie mi było to słyszeć – szczególnie z ust czarodziejki tak wysokiej rangi.

–Doskonale! – rzekł Jim. – Chcę powiedzieć, że cieszę się, iż to zrobiła.

Istotnie chodziło o magiczną sprawę wielkiej wagi – a mianowicie uratowanie życia Brianowi.

–Chciałeś nas przed czymś ostrzec – przypomniała Angie.

–Tak – odparł Chandos. – Ale już o tym wiecie. Chciałem powiedzieć, abyście mieli się na baczności przed earlem Cumberlandem, który jest waszym wrogiem, nie za sprawą i przyczyną Agathy Falon, lecz ponieważ nigdy nie wybaczył wam tamtej historii z pogrzebem waszego przyjaciela, sir Gilesa de Mer, na polu bitwy we Francji.

–Sir Giles miał w żyłach krew silkie – przypomniał Jim – i powinien być pochowany w morzu. Ponieważ wyprawiliśmy mu taki pochówek, po wrzuceniu do morza zamienił się w fokę, a błogosławieństwo biskupa przywróciło mu ludzką postać. Nie mieliśmy wyboru.

–Prędzej podejrzewałabym, że będzie nienawidził księcia Edwarda. Gdyż to książę Edward kazał mu zostawić Gilesa w spokoju – powiedziała Angie.

–Nienawidzi go. Nigdy nie zapomina i nie wybacza przeciwnikom. Książę stoi między nim a koroną Anglii – a on pragnie tej korony. – Chandos wstał z fotela i podszedł do jednego z otwartych okien słonecznego pokoju. – Najgorsze jest to, że mogę cię tylko ostrzec. Od czasu starcia pod wieżą Loathly jesteś jednym z paladynów Anglii i trudno byłoby się ciebie pozbyć bez wyraźnego powodu. On jednak potrafi czekać, a teraz właśnie dąży do wojny z Francją. Wspólnie z Janem Nawarskim i przeciw dawnemu księciu Walezjuszowi, który został wybrany na tron Francji przez francuskich magnatów, bez zgody naszego króla Edwarda. Jeśli taka wojna wybuchnie, zostaniesz wezwany pod sztandar naszego wasala i będziesz musiał usłuchać. Cumberland będzie dowodził wyprawą do Francji, a wojna da mu okazję, żeby cię zabić.

–Jim! – powiedziała Angie.

–Pomyślałem więc, że przyjadę zaproponować, abyś wraz z przyjaciółmi przyłączył się do mnie, jeśli wybuchnie wojna – powiedział Chandos. – Ja także będę w polu jako jeden z wodzów i do pewnego stopnia będę mógł was ochraniać, jako rycerzy z mojego oddziału... – Urwał, spoglądając przez okno. Jim i Angie czekali, aż dokończy, lecz on nadal wpatrywał się w to, co przykuło jego uwagę. Jim już miał coś powiedzieć, gdy Chandos odzyskał głos. – Trochę trudno mi w to uwierzyć – rzekł. – Ale jeśli łaska, zechciejcie spojrzeć przez to okno albo któreś z sąsiednich.

–Okno? – powtórzył Jim.

Razem z Angie zerwali się na równe nogi.

–Jak pamiętacie – ciągnął Chandos – podczas mojego poprzedniego pobytu tutaj spojrzałem przez jedno z tych okien i zobaczyłem... W każdym razie ryzykując, że zostanę uznany za herolda wyłącznie złych wieści, muszę powiedzieć, że coś dzieje się na waszym dziedzińcu. Tym razem nic się nie pali, ale toczy się tam jakaś bójka, chociaż gapie tłoczą się tak ciasno, że nie mogę rzec, czy biją się słudzy, czy zbrojni. Przedziwne. Oni zawsze załatwiają swoje spory w jakimś cichym i spokojnym miejscu, gdzie nie przyłapią ich zwierzchnicy.

Jim i Angie podeszli do sąsiedniego okna.

–To znów oni! – powiedziała Angie. – May Heather i Tom... Och, Jim, tym razem przycisnął ją do ziemi i naprawdę daje jej w kość. Może zrobić jej krzywdę! Dlaczego patrzący na to dorośli go nie powstrzymają?

–Wybacz, sir Johnie – powiedział Jim już w pół drogi do drzwi. Angie deptała mu po piętach, a Chandos szedł za nią, gdy jak najszybciej pokonywali strome schody wieży. Kiedy przebiegali przez pustą wielką salę z rozłożonymi już obrusami, na których stały kubki, dzbanki i talerze, Angie starała się dogonić Jima. Nie żeby nie potrafiła szybko biegać. W świecie, z którego przybyli tutaj z Jimem, miała nawet mały srebrny puchar za zwycięstwo w biegu na sześćdziesiąt metrów, zdobyty w szkole średniej. Trudno jednak rozwinąć większą szybkość, kiedy oburącz trzeba przytrzymywać fałdy bardzo ciężkiej sukni, a konkurenci mogą swobodnie machać rękami.

Przynajmniej, powiedziała sobie, jestem szybsza od Chandosa.

Jednak zerknąwszy przez ramię, zobaczyła, że rycerz tylko z uprzejmości trzyma się trzy kroki za nią. Tak więc w tej kolejności dobiegli do drzwi na dziedzińcu, które jeszcze były uchylone po przejściu Jima i zamknęły się za Angie – Chandos musiał je otworzyć.

Zaraz za drzwiami Jim zatrzymał się i chwycił Angie za rękę, gdy chciała go wyprzedzić. Dalej poszli statecznym krokiem. Na razie jeszcze nikt z tłumu ich nie zauważył. Wokół było podejrzenie cicho, aczkolwiek niektórzy gapie podskakiwali jak podniecone dzieciaki – ale robili to jak najciszej.

–Co tu się dzieje?! – ryknął nagle Jim, kiedy znaleźli się najwyżej tuzin kroków od tłumu.

Obecni zastygli, niektórzy w dziwnych pozach. Wszystkie głowy obróciły się w kierunku Jima, który – co nagle zobaczyła Angie – miał teraz na sobie czerwoną szatę maga, jaką zawsze nosił Carolinus.

–Sądziłam, że mogą je nosić tylko magowie klasy A – szepnęła mu do ucha.

–Bo tak jest – mruknął. – Ale tylko magowie o tym wiedzą. Czy sprawił to widok szaty,

czy nie, gdyby nagle zamienił się w smoka, nie wywarłoby to równie silnego wrażenia na gapiach. Jim postanowił kuć żelazo, póki gorące.

–Czy chcecie, abym was wszystkich zamienił w chrząszcze?! – krzyknął surowym głosem. – Zamienił w chrząszcze i aż do sądnego dnia uwięził w bursztynie?

Ta groźba zrobiła wrażenie – może nawet zbyt wielkie. Jeszcze nie widzieli go tak rozżłoszczonego, a nie mieli powodu wątpić w cokolwiek, co wiązało się z magią.

Pobledli i milczący rozstąpili się przed nim i Angie. Sir John obserwował to z uprzejmym zainteresowaniem, stojąc przy drzwiach wielkiej sali. Na końcu powstałego przejścia, przed wejściem do kuchni, kuchcik Tom stał chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach nad nieruchomą postacią leżącą na udeptanej ziemi.

–Och! – wykrzyknęła Angie głosem, w którym brzmiał gniew i współczucie, po czym podbiegła do leżącej postaci. Uklękła i uniosła zakrwawioną głowę ofiary, z trudem rozpoznając w niej May Heather.

–W porządku, milady – powiedziała dziewczynka nieco zduszonym głosem. – Nic mi nie jest... tylko zabrakło mi tchu.

–Zaraz – powiedziała złowieszczo Angie – zaniesiemy cię na górę do łóżka, umyjemy i dopiero wtedy zobaczymy, czy nic ci nie jest.

–Przegrałaś! – zawołał nagle Tom.

–Tak – przyznała May. – Przegrałam.

Głowa znów opadła jej na ziemię.

–Ty, ty, i ty – powiedziała Angie, wskazując palcem jednego służącego po drugim. – Podnieście ją. Ostrożnie! I zanieście – ostrożnie, powiedziałam – do pierwszego gościnnego pokoju na najniższym piętrze wieży...

–Milordzie! – May Heather zdołała znów unieść głowę, gdy czterej mężczyźni szykowali się, żeby ją podnieść. – Błagam, milordzie, nie zamieniaj Toma w chrząszcza!

–Co mi tam! – mruknął cicho Tom.

Jim przeszył wzrokiem chłopca, który pobladł, ale zdołał odpowiedzieć mu nieugiętym spojrzeniem. Tłum wstrzymał oddech, czekając na słowa wyroku, który przypieczętuje los kuchcika. Jim milczał długą chwilę.

–Ponieważ prosi o to May Heather, którą tak ciężko pobiłeś – rzekł – tym razem jeszcze pozwolę ci zachować ludzką postać.

Tłum odetchnął.

–Ależ, milady! Pokój w wieży dla pomocy kuchennej?! – zawołała z tłumu Mary Becket, garderobiana.

–A, jesteś tu, moja panno! – powiedziała Angie. – Obserwujesz to pożałowania godne widowisko zamiast pełnić obowiązki. Pójdiesz z ludźmi, którzy niosą May, i dopilnujesz, żeby był to czysty pokój, z czystą pościelą i wszystkim jak należy.

–Przecież ona zabrudzi... – Idź!

–Tak, milady.

W tłumie dały się słyszeć przyciszone rozmowy i Jim miał wrażenie, że słyszy coś podejrzanie przypominającego śmiech ulgi. Doszedł do wniosku, że nie może kolejny raz poprzestać na groźbach i darować im. Jeśli to zrobi, zaczną liczyć, że zawsze im się upiecze.

–Co zaś do pozostałych... – podniósł głos i nagle rozmowy ucichły i wszyscy znów wstrzymali oddech. – Nie zamienię was wszystkich w chrząszcze tylko dlatego – ciągnął – że chcę, abyście nadal pełnili dzisiaj swoje obowiązki. Jednak dzisiejszej nocy wszyscy będziecie mieli koszmarne sny!

Odwrócił się i odszedł, a czerwona szata łopotała mu wokół nóg. Tym razem nic nie przerwało ciszy. Angie dogoniła go. Sir John uprzejmie czekał przy drzwiach do wielkiej sali, tak że Angie zdążyła zapytać szeptem Jima:

–Jak zdołasz wymyślić zły sen dla każdego z nich z osobna? Czy w ten sposób nie zużyjesz mnóstwo magicznej energii?

–Wcale – odparł Jim, uśmiechając się pod nosem. – Nie będę musiał wymyślać ani jednego koszmaru i wcale nie użyję magii.

–Przestań! – powiedziała cicho i stanowczo. – Powiedz!

–Oni wierzą, że będą mieć koszmary, i tak się też stanie. Wszyscy będą źle spać, a rano każdy opowie pozostałym, co mu się śniło. Jeśli kogoś nie będą dręczyły, to sam je wymyśli i w końcu uwierzy, że je miał. W rezultacie zapamiętają dzisiejszą noc do końca życia.

Doszli do Chandosa. Gdy przechodzili przez drzwi, Jim zerknął przez ramię. Tłum już znikł z dziedzińca, oprócz kilku spóźnialskich, którzy pośpiesznie wracali do swoich obowiązków.

–Wszystko załatwione, sir Jamesie? – zapytał Chandos, gdy szli przez nadal pustą wielką salę do stołu.

–Tak sędzę – rzekł Jim.

–Muszę przyznać – rzeki Chandos – że wasza służba doskonale zna swoje obowiązki. Ani słowa. Tylko jedno pytanie zadane przez tę kobietę – i problem załatwiony w kilka sekund.

–Miło, że tak mówisz – rzekł Jim. – Słuchajcie, może oboje zasiądziecie do obiadu. Ja zaraz wrócę, ale muszę pozbyć się tej szaty, a z pewnych względów nie mogę uczynić tego magicznym sposobem, w jaki ją włożyłem. Pójdę do słonecznego pokoju, przebiorę się i natychmiast wrócę. Tymczasem wy zasiądźcie już do posiłku.

Odwrócił się i odszedł, nie czekając na ich zgodę. Nagle uświadomił sobie, co zrobił, wkładając tę szatę. Im prędzej ją zdejmie, tym lepiej.

Szybko przeszedł przez pełną teraz gotownię, gdzie wszyscy unikali jego spojrzenia, a potem wszedł na schody. Kiedy ruszył w górę, szybko zapomniał o satysfakcji wywołanej pomysłowym rozwiązaniem problemu ze służbą.

Nie miał powodu do samozadowolenia. Cieszył się, a przecież wcale nie miał z czego. Po prostu jeszcze raz udało mu się wywieść wszystkich w pole. Kiedy to zrozumieją, tylko umocnią się w podejrzeniach wobec jego osoby.

Droga na górę dłużyła się, lecz zarazem była zbyt krótka. Niebawem znów wróci do Angie i Chandosa. Oczywiście Angie wiedziała, że Jim jest oszustem, chociaż lojalnie zaprzeczała temu. Nie zdziwiłby się, gdyby Chandos również się już zorientował – to byłoby bardzo do niego podobne, aby zachować tę informację dla siebie, jednocześnie zaśmiewając się w duchu.

Jim dotarł do słonecznego pokoju i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, ściągnął

przez głowę czerwoną szatę i starannie złożył ją na łóżku. Przez moment stał w pustej komnacie, a chłodny podmuch wpadający przez otwarte okna owiewał mu ramiona i nogi nie osłonięte przez średniowieczną bieliznę.

Potem westchnął i powiedział:

–Carolinusie?

Czekał. Mag nie odpowiedział.

–KinetetE? Żadnej odpowiedzi.

–KinetetE – rzekł po chwili. – Wezwałem cię, ponieważ może jesteś w stanie przekazać wiadomość Carolinusowi, gdziekolwiek on jest. Chciałem tylko powiedzieć, że włożyłem tę czerwoną szatę pod wpływem impulsu... bez zastanowienia. Po prostu był to pierwszy pomysł, jaki przyszedł mi do głowy, kiedy musiałem rozwiązać problem ze służbą. Źle postąpiłem. Już ją zdjąłem i nie ubiorę ponownie, dopóki nie będę miał prawa jej nosić. A jeśli mając ją na sobie, wyrządziłem jakąś szkodę, to tylko ja jestem za to odpowiedzialny, nikt inny.

Czekał, ale nikt nie odpowiadał. Westchnął, włożył ten sam strój, który miał na sobie, zanim w magiczny sposób ubrał czerwoną szatę, po czym opuścił słoneczny pokój i poszedł do wielkiej sali.

Po drodze nagle uświadomił sobie, że jeśli zejdzie tam, nie sprawdziwszy, jak się ma May Heather, to niewątpliwie będzie to pierwsza rzecz, o jaką zapyta go Angie.

Tak więc skręcił na najniższym piętrze wieży i poszedł szukać pokoju, w którym umieszczono May. Czuł w sercu pustkę, taką samą jak wtedy, kiedy na ziemi Cumberlanda przebił kopią Briana, a potem musiał mu o tym opowiedzieć.

Mag, średniowieczny rycerz, pan zamku – teraz, kiedy dokładnie się temu przyjrzał, doszedł do wniosku, że nie nadaje się do żadnej z tych ról. Mało prawdopodobne, aby mógł sknocić krótką wizytę przy łożu poturbowanej dziewczyny, ale miał nieprzyjemne przeczucie, że w jakiś sposób i tym razem zdoła coś popsuć.

Dzielnie odepchnął od siebie tę myśl. Drzwi do pokoju, w którym leżała May, lekko się spaczyły lub opadły na zawiasach, tak że nie można było ich domknąć. Zerknąwszy przez szparę między drzwiami a framugą zobaczył leżącą na łóżku May Heather. Miała na sobie zbyt dużą niebieską koszulę, spraną prawie do białości. Nie spała, tylko leżała, patrząc w sufit. Jim otworzył drzwi i wszedł do środka.

–No, May... – zaczął.

–Milordzie! – May usiłowała podnieść się z łóżka.

–Nie, nie! – machnął ręką zabraniając jej wstać. – Leż. Zajrzałem tylko, żeby powiedzieć lady Angeli, co u ciebie. Jak się czujesz?

–Bardzo dobrze, milordzie. Naprawdę bardzo dobrze. Czuję się jak księżniczka, milordzie, na tym wielkim łożu, w tym pięknym pokoju. Nigdy nie myślałam, że kiedyś znajdę się w takim.

–Masz w nim zostać, dopóki ci nie powiedzą że możesz go opuścić – rzeki surowo Jim.

–Och, tak, milordzie. Powinnam być na dole, pomagać przy obiedzie. Ja naprawdę dobrze się czuję, milordzie.

Wcale nie wyglądała dobrze. Na twarzy miała trzy spore siniaki oraz kilka skaleczeń – chociaż żadne z nich nie krwawiło i ktoś obmył jej buzię i ręce – a zapewne na całym ciele

było ich więcej. Nawet uczesano lub wyszczotkowano jej włosy.

Jim starał się jej nie współczuć – z powodu jej obrażeń, niskiej pozycji społecznej, zabawnego poczucia obowiązku – lecz nie zdołał. A przecież nauczył się już, że współczucie było ostatnią rzeczą jakiej pragnęli ci ludzie. Najwidoczniej uważali, iż współczucie świadczy o słabości osoby, którą nim darzono, albo traktowali je jako zawołowaną pogardę lub drwinę. Dlatego KinetetE powstrzymała Angie, gdy ta chciała pocieszyć earla Cumberlanda, kiedy magia Jima doprowadziła go do najczarniejszej rozpacz.

Teraz jednak uczucia Jima wzięły górę. Uległ przemożnemu pragnieniu, aby ostatni raz spróbować myśleć tak jak oni – poczynając od Briana, a na tej podkuchennej skończywszy. Rozejrzał się wokół, szukając jakiegoś fotela. Znalazł jedno z krzesel bez poręczy, w jakie wyposażono te pokoje, postawił je obok łóżka i usiadł, spoglądając na dziewczynę.

–Powiedz mi, May – rzekł. – Dlaczego ty i Tom tak często się bijecie?

–Nie robimy tego częściej niż inni ludzie, milordzie – odparła. – Wszyscy się biją.

–No cóż – naciskał Jim – dlaczego więc zawsze walczyacie na dziedzińcu i czemu przychodzą to oglądać wszyscy słudzy i zbrojni?

–Nie wiem, milordzie. Tak się składa, że zanim zostałam przydzielona do panny Plyseth, najczęściej biliśmy się przed kuchnią, kiedy odbierałam od Toma dania, żeby je zanieść do gotowni.

Ton jej głosu świadczył, że nie powie nic więcej. Jim przypomniał sobie rozmowę dwóch stojących przed komnatą Briana wartowników, których podsłuchał, kiedy wrócili z przyjacielem z ziemi Cumberlanda. Rozmowa, którą prowadzili ściszymi głosami, najwyraźniej dotyczyła zakładów na zwycięstwo Toma lub May. Ona jednak najwyraźniej nie chciała o tym mówić.

–A co z tymi, którzy przychodzą to oglądać?

–Po prostu przychodzą, to wszystko.

–Czy nie dlatego, że są zainteresowani waszą bójką w sposób, w jaki nie interesują ich inne zwady?

Na jej twarzy po raz pierwszy pojawiło się wahanie i dopiero teraz zauważył, jak bardzo była blada i wyczerpana. Czuł wyrzuty sumienia, że przesłuchuje ją w ten sposób.

–Nieważne – rzekł, podnosząc się z krzesła. – Możemy porozmawiać o tym innym razem. Teraz zapomnij, że pytałem i wyśpij się...

–Aleja chcę odpowiedzieć, milordzie! – wybuchła nieoczekiwanie. – Milord i milady... chcę o tym powiedzieć!

Jim otworzył usta, by zapewnić, że nie musi, ale uświadomił sobie, że postąpiłby wbrew życzeniom ich obojga, i ponownie usiadł na twardym jak skała krześle.

May odwróciła wzrok.

–Milord i milady powinni wiedzieć! – rzekła. Nie patrząc na niego, mówiła dalej. – Byliśmy jak bliźnięta. Z różnych rodzin, ale tego samego wieku, wzrostu i wagi. Ja nawet byłam podobna do Toma, a on do mnie. Potem, kiedy obojgu nam pozwolono pracować w zamku, nic lepszego nie mogłoby nas spotkać. – Urwała i błyszczącymi oczami spojrzała na Jima. – Czy rozumiesz to, co mówię, milordzie?

–Doskonale – rzekł Jim. Znów odwróciła wzrok.

–Potem jednak, po kilku latach, zaczęłam rosnąć. – Znów zerknęła na niego. – On też

rósł, ale nie tak jak ja... Milord wie, jak to jest z kobietami?

Jim skinął głową. Ponownie spojrzała w bok.

–Kiedy się biliśmy, czasem ja wygrywałam, a czasem on. Potem okazało się, że już nie mógł mnie pobić. Byłam większa od niego i silniejsza, i to już było niedobre. A później inni to zauważyli. Powiedziałam mu, żeby zaczekał i nie wdawał się w bójki ze mną, a ja będę obchodzić go szerokim łukiem. Ale nie, on wciąż próbował zwyciężyć, a potem było za późno. Wszyscy się dowiedzieli. – Zabrakło jej słów albo po prostu zamilkła.

Po chwili Jim spytał łagodnie:

–Chcesz powiedzieć, że inni zaczęli z niego kpić?

–Tak, właśnie. I gorzej, bo zaczęli się zakładać, że nigdy nie będzie mężczyzną. A kiedy chciał walczyć z tymi, którzy tak mówili, oni zawsze odpowiadali, że nie mogą się bić z chłopcem, który nie potrafi pokonać dziewczyny. On i tak próbował sprowokować ich do bójki, ale nic nie mógł zrobić dorosłym mężczyznom. Wciąż próbował... – Wbiła wzrok w prześcieradło, szarpiąc je kciukiem i wskazującym palcem.

–No i tak to trwało – powiedział Jim, gdy znów zamilkła.

–Tak trwało – skinęła głową. W końcu znowu popatrzyła na niego. – Będziemy mężem i żoną, milordzie. Ustaliliśmy to ze sobą już dawno temu. Nie byłoby dla niego lepszej żony ode mnie ani lepszego męża dla mnie niż on.

–A więc dzisiaj dałaś mu wygrać – powiedział ze zrozumieniem Jim.

Gwałtownie usiadła na łóżku.

–Nigdy w życiu! Nie skłamałabym dla nikogo! Dla nikogo, milordzie!

Spojrzał na jej rozgniewaną opuchniętą twarz.

–Rozumiem – rzekł. – Myliłem się.

–W końcu nabrał sił albo musiał wygrać, albo coś – ale zwyciężył sprawiedliwie i uczciwie!

–Wierzę ci, wierzę – zapewnił ją Jim. – A teraz połóż się. W tym momencie martwimy się o ciebie, nie o Toma.

Powoli usłuchała go.

–Wygrał uczciwie – powtórzyła nie głośniejszym od szeptu. – Nieważne, co mi zrobił. Teraz jest takim samym mężczyzną jak inni. Każdy, kto będzie z niego drwił, musi z nim walczyć albo odwołać swoje słowa! A tej jesieni zostaniemy mężem i żoną.

Jim spojrzał na nią. Tych dwoje dzieci... lecz w tych czasach uważano ich za dostatecznie dużych, aby podjęli obowiązki związane z małżeństwem. Jim wstał i sięgnął do skórzanej sakiewki zawieszanej u pasa.

–Masz – powiedział, wyjmując monetę i podając jej. Odruchowo wzięła ją, szeroko otwierając oczy.

–To na wasz ślub.

Wciąż gapiała się z szeroko otwartymi oczami i ustami. W końcu odzyskała głos.

–Cały złoty lampart, milordzie?

Jim poczuł w brzuchu bolesny skurcz. Instynkt słusznie go ostrzegał. Mimo wszystko udało mu się sknocić tę wizytę.

May tak jak wszyscy, знаła wartość tego pieniądza. Była to mniejsza z dwóch monet zwanych florenami, po raz pierwszy bitymi w czternastym wieku w Anglii. Miała wartość

trzech szylingów – a szylinga dziennie otrzymywał rycerz, który ze swą swiątą, bronią, zbroją i końmi wyruszał na wojnę. May niemal na pewno jeszcze nigdy nie widziała takiej monety ani nie miała jej w ręce. Teraz trzymała ją ostrożnie, jakby obawiając się, że pieniądz zniknie, jeśli mocniej go ścisnie.

–To prezent ślubny – powiedział Jim lekko ochryplym głosem. Ruszył do drzwi. – Teraz połów się. To rozkaz. Masz spać.

May posłusznie zamknęła oczy. Jim wymknął się za drzwi, pozostawiając je lekko uchylone. Sumienie już nie dawało mu spokoju. Co za głupota. Teraz pewnie każdy sługa przyjdzie do niego, żeby pod jakimś pretekstem też dostać monetę. Dał May o wiele za dużo jak dla jakiegokolwiek sługi, nie mówiąc już o podkuchennej.

Sięgał do sakiewki po szeląga, monetę prawie tej samej wielkości, ale cieńszą i bitą ze srebra – a wartą tylko cztery pensy. Nawet to byłby zdumiewająco szczodry gest dla takiej pary jak May i Tom. Być może był to jedyny złoty floren, jaki w tej chwili mieli w zamku, i Angie, gdyby o tym usłyszała... Jim odsunął od siebie te myśli. Może się czuć jak największy idiota dwóch stuleci, ale zrobił to i kropka. Przynajmniej te pieniądze zapewnią szczęście May i Tomowi... zamiast stać się częścią jakiegoś nowego podatku.

Przystanął. Czy naprawdę go posłuchała i spróbowała się przespać? Jeśli nadal nic spała, mogła zrobić coś głupiego. Na przykład spróbować połknąć monetę, która była o wiele za duża. Dziewczyna na pewno zadławiłaby się nią na śmierć. Jim odwrócił się i podszedł do nie zamkniętych drzwi. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby po prostu wyjaśnił, że to była pomyłka, i dał jej szeląga – albo cztery srebrne pensy, gdyby okazało się, że naprawdę nie ma takiej monety.

Zerknął przez szparę. May leżała na boku, twarzą do niego, przyciskając do piersi coś, co musiało być monetą. Powieki miała mocno zaciśnięte i dwie łzy, które powstrzymywała, gdy Jim tam był, teraz spływały jej po policzkach. Nie, nie mógł jej tego powiedzieć. To niemożliwe.

Leżała tak nieruchomo, że wyglądało na to, iż w końcu zapadła w sen. Jim trochę szerzej uchylił drzwi, żeby wsunąć głowę do środka i upewnić się, że dziewczyna naprawdę śpi. Drzwi zatrzeszczały i May natychmiast szeroko otworzyła oczy.

Jim szybko cofnął głowę, zostawiając uchylone drzwi. Przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. W komnacie panowała cisza.

–Milordzie! – zawołała May Heather. – Milordzie, czy mogę o coś zapytać?

Jim westchnął, odwrócił się i wszedł do pokoju.

–Czemu nie – powiedział.

Teraz siedziała już na łóżku, przyciskając łokieć do ciała i wyciągając rękę. Na jej dłoni leżał złoty floren, błyszcząc w słońcu wpadającym przez jedyne okienko w pokoju.

–Wybacz, milordzie – powiedziała. – Zabierz ją.

–Dlaczego? – wykrztusił Jim.

Dwie kolejne łzy spłynęły śladem poprzednich po opuchniętych policzkach.

–Obawiam się, że przyniosłaby mi pecha, gdybym ją zatrzymała. Ale i tak dziękuję, milordzie.

–Bzdura! – warknął Jim, nagle postanawiając, że samo piekło, powódź i cała populacja czternastowiecznej Anglii nie powstrzyma go od sprezentowania tej monety May. – Jakże

mogłaby przynieść ci pecha? Jako mag mówię ci, że to niemożliwe!

–Och, milordzie! A więc jednak nigdy nas nie opuścisz? Ani ty, ani milady?

–Oczywiście, że... – Jim urwał, zaskoczony nagłą zmianą tematu. – No, nie planowaliśmy...

–Musimy wiedzieć, milordzie. Nie tylko ja i Tom. Wszyscy mieszkańcy zamku muszą to wiedzieć!

–Dlaczego?

–Ponieważ kochamy was, milorda i milady. Nigdy nie służylibyśmy innemu panu i pani. Wszyscy tak mówią. Gdybyście odeszli, to byłby koniec wszystkiego. A więc nigdy nas nie opuścicie, prawda, milordzie?

Zaskoczyła go. Mocno mrugała powiekami, powstrzymując łzy.

–Nie! – burknął po chwili.

Angie nie zostawiłaby małego Roberta. To pewne. A przecież nie mogli zabrać go z jego rodzinnego świata, gdzie czekały go bogactwa i dostatnie życie.

–Nie, nie odejdziemy – rzekł. – A skąd w ogóle wziął się pomysł, że moglibyśmy to zrobić?

–Wszystkie plany moje i Toma – May spoglądała na niego żałośnie – opierały się na tym, że nigdy nie będziemy mieli innego pana i pani! Tak samo wszyscy pozostali w zamku. Wciąż starają się, żeby wam się tu podobało, ale wy jakby nie zwracacie na to uwagi. Dlatego wszyscy byli pewni, że odejdziecie. Na żadnym zamku w Anglii nie ma takich państwa jak milord i milady.

–Cóż... – zaczął Jim.

–Jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, milordzie, i musimy myśleć o naszych dzieciach, Toma i moich. One mogłyby tu dorosnąć, tak samo jak dzieci innych, gdybyś został tu z milady. Proszę, milordzie, zabierz tego lamparta, a wtedy będę pewna, że wszystko będzie dobrze!

Jima ścisnęło w gardle.

–Nie – rzekł stanowczo, biorąc w rękę jej dłoń i zaciskając palce. – Zatrzymaj ją. Daję ci słowo, że zostaniemy. A gdyby coś nam się stało, to masz moje słowo – słowo rycerza i maga – że do końca życia będziecie mieli taką opiekę, jakbyśmy tu byli. Teraz przestaniesz się już zamartwiać?

May patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem naprawdę zalała się łzami.

–Och tak, milordzie – zdołała wykrztusić, ściskając monetę.

–To dobrze! – powiedział i prawie wybiegł z komnaty.

Rozdział 42

Z mieszanymi uczuciami zszedł do wielkiej sali. Przeważało w nim zadowolenie i ulga podnoszące go na duchu niczym lżejszy od powietrza gaz, tak że Jim prawie spłynął po długich spiralnych schodach. Jednak czuł też leciutki niepokój wywołany złożoną przed chwilą obietnicą. Nigdy nie sądził, że tak poważnie będzie ją traktował i tak trudno przyjdzie mu ją dać.

Jednakże w tych czasach słowo traktowano bardzo poważnie, a skoro zaczął poważnie podchodzić do swoich obowiązków w tej epoce... Zadowolenie przyćmiło chwilowy niepokój. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Angie.

Tak przyzwyczał się myśleć o wszystkich mieszkańcach zamku jako indywidualnościach,

że zapomniał, iż byli także społecznością: otoczoną kamiennymi murami wioską, której on i Angie byli władcami. I jak każda społeczność, również ta miała swoje zbiorowe uczucia i cele.

Jim dostrzegał ten odwieczny porządek, zdawał sobie sprawę, że w murach tego zamku rodzą się dzieci, czego on z Angie niemal nie zauważają. Ich służba miała nawet coś w rodzaju przedszkola, zwanego pokojem dziecinnym, chociaż oficjalnie oboje udawali, że nic o tym nie wiedzą.

Istotnie, na zamku, na lepszym wikcie i otoczone baczniejszą opieką dzieci miały większe szanse przeżycia. Ponadto na służbę i jej dzieci spadała część splendoru pana i pani, którym służyli. Powszechnie uważano mieszkańców zamku za zdolniejszych i lepszych od innych. Nic dziwnego, że May marzyła, aby jej potomstwo mogło mieszkać w Malencontri.

Jim szybko przeszedł przez gotowalnię. Tym razem też nikt na niego nie patrzył, ale tylko dlatego że wszyscy byli bardzo zajęci. Wszedł do wielkiej sali i dotarł do stołu, na skraju którego siedziała Angie.

–Spójrz, kto tu jest! – powiedziała, odchylając się do tyłu, żeby mógł zobaczyć.

Tuż za nią siedziała KinetetE, a dalej Carolinus – blady i wymizerowany, lecz poza tym taki jak zawsze.

Jim zaniepokoił się. KinetetE zmierzyła go wzrokiem.

–Ach... KinetetE. Magu. – Z trudem wytrzymał spojrzenie spod tych czarnych brwi. – Wzywałem was niedawno... Możemy porozmawiać na osobności?

Nie mógł pozwolić na to, by służba, a nawet sir John dowiedzieli się, że nie miał prawa nosić czerwonej szaty.

–Wiem – odparła KinetetE. – I nie chcę już o tym słyszeć. Rozumiem, że zamierzałeś dosiąść się do nas? Zajmij miejsce obok Carolinusa i nie pozwól, żeby się denerwował.

Podchodząc do Carolinusa, Jim zauważył, że na drugim końcu stołu siedzą trzej młodzi rycerze sir Johna. Milczeli, uważnie przypatrując się pozostałym. Nic dziwnego, pomyślał Jim. Zasiadali przy stole z największymi magami na świecie... Chociaż to wcale nie psuło im apetytu. Jim usiadł i przywitał się z Carolinusem, chudym jak szczapa, ale w dobrym humorze.

–Muszę przyznać – rzekł po chwili Carolinus, odpowiadając na zadane przez Angie pytanie – że nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do mojej chatki. Do niej i do Dźwięczącej Wody – takich, jakimi je uczyniłem. Tam panuje spokój i wszystko znajduje się na swoim miejscu.

–Mogę zrozumieć... – zaczęła Angie, lecz przerwała, gdy podszedł sługa i szepnął jej coś na ucho. – Raczcie wybaczyć, drodzy goście, ale muszę na chwilę was opuścić.

Wstała i pospieszyła do gotowalni.

Jim słuchał jej tylko jednym uchem. Zupełnie zapomniał o wszystkim, tknięty nagłą myślą. Jeden przedmiot w chatce Carolinusa nie znajdował się na swoim miejscu. Jim odchrząknął i spojrzał na starego maga.

–Muszę ci coś powiedzieć – rzekł. – Byłem na dworze i potrzebowałem szklanej kuli. Wtedy przypomniałem sobie, że w Ziemi Świętej widziałem maga, który używał zamiast niej miski z wodą. Nie miałem pod ręką żadnej, więc pożyczyłem jedną z twojej chatki...

Carolinus uniósł brwi.

–Moją miskę? Pożyczyłeś? Jaka?

–Och, taką, której najwidoczniej wcale nie używałeś. Po prostu wałała się w kącie.

Byłem pewien, że nie będziesz miał nic przeciwko temu...

–Jaka miska?

Carolinus podniósł głos. KinetetE obejrzała się.

–Taka z zielonej porcelany, z wygiętą krawędzią i czterema pomarańczowymi rybkami...

–Chyba nie moja waza Lung Ch'uan z dynastii Sung? Porcelanowa i mająca prawie trzy tysiące lat? Gdzie ona jest?

Jim patrzył na niego z przerażeniem.

–Cóż, no właśnie... – wymamrotał. – Nie pamiętam, gdzie dokładnie...

–Nie pamiętasz?!

–Tyle się działo... Hobbie! – zawołał rozpaczliwie Jim. – Jeśli mnie słuchasz, czy wiesz, co stało się z tą wazą?

–Przepraszam, milordzie. Wybacz, milordzie – powiedział Hob, natychmiast wyłaniając się z kominka i jednym susem wskakując na stół przed Carolinusa. – Pomyślałem, że spodoba się dzieciom, a ponieważ ją zostawiłeś... Och! – Zakrył usta dłonią. Za późno.

–Zostawił ją, tak? – głos Carolinusa odbijał się o krokwie pod sufitem i rozmowy przy stole ucichły.

–Mam ją tutaj, magu – pospiesznie rzekł Hob, wyjmując wazę zza pleców i podając ją Carolinusowi. – Nic się jej nie stało...

Na wszystkich padł czarny złowieszczy cień.

–Carolinusie! – powiedziała stalowym głosem KinetetE. – Obiecałeś mi, że nie będziesz się unosił! Jim, mówiłam ci, żebyś go nie irytował!

–Jest cała zakopcona – rzekł ponuro mag, ale znacznie ciszej.

–Zaraz ją wyczyszczę. Daj mi ją, magu! – zawołał Hob. Jednocześnie z Jimem sięgnęli po wazę. Carolinus przycisnął ją do piersi.

–Żebyście ją porysowali? – warknął. – Poza tym nie potrzeba. Rzeczywiście. Waza lśniła już jak nowa.

–Bardzo dobrze – podsumowała KinetetE. – Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Carolinusie, jednak nie powinieneś się przemęczać. Idziemy.

Oboje znikli i prawie natychmiast znów się pojawili.

–Nie, nie idziemy! – rzekł Carolinus.

–Chcesz się wykończyć?

–Chcę zostać na uczcie z moim ukochanym uczniem Jimem i jego ukochaną żoną Angie oraz wszystkimi pozostałymi kochanymi przyjaciółmi. I tak zrobię.

–W porządku! – powiedziała KinetetE. – Jeśli jednak jeszcze raz stracisz cierpliwość, to koniec z tym. Zostajesz pod jednym warunkiem. Kiedy odejdziemy, zostaniesz ze mną w domu, dopóki nie uznam, że możesz go już opuścić. Inaczej umyвам ręce.

–Udam się do mojej chaty.

–Jak uważasz.

–Jednakże – dodał Carolinus – jeśli to cię uszczęśliwi, to najpierw złożę ci krótką wizytę.

–A będziesz tu cierpliwy i spokojny? – Oczywiście. Ja...

–Dajesz słowo?

–Och, jeśli muszę... – Carolinus był bliski wybuchu. No tak – Jim z własnego doświadczenia wiedział, że nie jest łatwo dać komuś słowo. – No dobrze. Daję słowo!

Jim spojrzał na niego z podziwem. Często widywał, jak Carolinus posługuje się magią, ale nigdy nie podejrzewał, że czarodziej potrafi mówić małymi literami. KinetetE zwróciła się do Jima.

–Powinieneś pamiętać, że kiedy wróciłeś do królestwa sękatych, gdzie twoja magia nie działała, waza nie mogła pozostać przy tobie i być niewidzialna, tak jak jej nakazałeś.

–Rozumiem – odparł pokornie Jim. – Tylko jak dostała się tutaj?

–Sądzę, że na to pytanie może odpowiedzieć skrzat – odparła KinetetE i spojrzała na Hoba.

–Zaraz po naszym powrocie do królestwa sękatych, a zanim Hill zaczął walczyć z wujem, zobaczyłem, że waza pojawia się tuż za nami i spada na ziemię – rzekł Hob. – Pochwyciłem ją, zanim się rozbiła, i umieściłem w jukach. – Był wyraźnie zasmucony. – Czy źle uczyniłem, milordzie?

–Wprost przeciwnie – powiedział Jim.

Hob uśmiechnął się. Jim zwrócił się do Carolinusa:

–Naprawdę bardzo mi przykro, Carolinusie – rzekł. – Gdybym wiedział, że ta waza jest tak...

Jednak Carolinus nie zwracał na niego uwagi. Oglądał naczynie, czule wodząc palcem po jego krawędzi. Jim wstał.

–Jeśli wszyscy wybaczą mi na chwilę, muszę pójść poszukać milady.

Wyszedł. Nie był to zbyt zręczny odwrót. Oczywiście wszyscy siedzący przy stole słyszeli każde słowo wypowiedziane przez niego, Hoba, Carolinusa i KinetetE. Przynajmniej jednak zyskał chwilę spokoju. Wciąż miał coś do powiedzenia Angie – oczywiście na osobności. Prawie na nią wpadł, kiedy wyszła z gotowalni.

–Pudding... – zaczęła i urwała. – Uśmiechasz się jak Kot z Cheshire. Co się stało?

Spojrzał nad jej ramieniem na pannę Plyseth, która opuściła swoje miejsce przy stole, aby dopilnować swojego królestwa, a także na inne kucharki.

–Nie tutaj – powiedział cicho. – Chodź.

Przeprowadził ją przez gotowalnię aż do podnóża schodów na wieżę, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

–Dziwnie się zachowujesz – zauważyła Angie. – Co to za historia z Carolinusem?

–Opowiem ci później. Nieważne. Przy okazji – rzekł Jim – obiecałem coś May Heather, a nawet dałem jej słowo. To było trudne, ale skoro Carolinus mógł...

–O czym ty mówisz?

–Dużo by opowiadać. Nie ma czasu. Nie tutaj. Później. Chodzi o to, że dałem słowo May Heather, że jeśli ty i ja opuścimy kiedyś Malencontri, zapewnimy wcześniej utrzymanie do końca życia jej oraz innym członkom służby.

–Jak mogłeś coś takiego obiecać? – wytrzeszczyła oczy. – Skąd wiesz, co może się stać?

–Jakoś to zaplanuję, poradzę się Briana i Carolinusa, jak to zrobić. Może zapiszę Malencontri Brianowi i Geronde, zapewne użyję trochę magii. Nie to jest ważne.

–A co może być ważniejsze? Powiedziałeś, że dałeś słowo May... Kiedy ją widziałeś?

–Schodząc z wieży. Pomyślałem, że pewnie zechcesz wiedzieć, jak się czuje.

–Jak...

–Dobrze. Opowiem ci później. Najważniejsze jest to, że postanowiłem z nią porozmawiać, a ona powiedziała mi coś o naszej służbie. Myliłem się. Wcale mnie nie przejrzeni. Angie, oni nas kochają wszyscy. Tak powiedziała May. Za żadne skarby nie chcieliby innego pana ani pani. Angie, May powiedziała, że oni mnie uwielbiają! Dlatego tak dziwnie się zachowywali.

Uśmiechnął się do niej promiennie i widział, że Angie z trudem powstrzymuje równie promienny uśmiech, ponieważ gdy jedno z nich było szczęśliwe, drugie czuło się tak samo.

–Przecież ci mówiłam – powiedziała Angie, walcząc do końca. I tak ją pocałował.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-29

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/